

Steve Sem-Sandberg

BIEDNI LUDZIE Z MIASTA ŁODZI



Steve Sem-Sandberg

BIEDNI LUDZIE Z MIASTA ŁODZI

przełożył Mariusz Kalinowski

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

[Memoriał](#)

[Prolog. Prezes sam](#)

[I. W obrębie murów](#)

[II. Dziecko](#)

[III. Ostatnie miasto](#)

[IV. Widzenie w mroku](#)

[Osoby](#)

[Słowniczek](#)

[Komentarz](#)

[Ilustracje w tekście](#)

Memoriał

Łódź, 10 grudnia 1939

Ściśle poufne

TAJNE!

Założenie getta w m. Łodzi

Liczbę Żydów zamieszkujących dzisiaj w mieście Łodzi szacuje się na blisko 320 000. Wszystkich ich nie da się ewakuować jednocześnie. Wszechstronna analiza sytuacji przeprowadzona przez odnośne władze wykazała, że niemożliwe jest skoncentrowanie wszystkich w jednym zamkniętym getcie. Tymczasowo kwestię tych Żydów rozwiązuje się następująco:

1. Wszyscy Żydzi zamieszkali na północ od linii wytyczonej przez ulicę 11 Listopada, plac Wolności i ulicę Pomorską muszą być ulokowani w zamkniętym getcie w taki sposób, aby, po pierwsze, silne niemieckie centrum wokół placu Wolności zostało tym samym odżydzone oraz, po drugie, aby getto objęło także te północne części miasta, które już teraz są zamieszkałe prawie wyłącznie przez Żydów.

2. Zdolnych do pracy Żydów mieszkających w innych częściach Łodzi zorganizuje się w specjalne oddziały robocze i ulokuje w barakach pozostających pod ścisłym nadzorem.

Przygotowanie i wykonanie tego planu należy do sztabu, w skład którego wejdą przedstawiciele następujących organów:

1. NSDAP [Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników]
2. Przedstawiciel Łodzi przy prezydium rejencji w Kaliszu
3. Wydział mieszkaniowy, wydział pracy i wydział zdrowia miasta Łodzi
4. Policja porządkowa
5. Policja bezpieczeństwa
6. Oddziały Trupiej Głównki [SS-Totenkopf]
7. Biura przemysłu i handlu
8. Urząd finansowy

Ponadto winny być podjęte następujące wstępne kroki:

1. Oszacowanie, jakich działań wymaga zamknięcie ulic i zatarasowanie wejść i wyjść z różnych budynków, et cetera.
2. Oszacowanie, czego trzeba do rozmieszczenia służby wartowniczej wzdłuż granic getta.
3. Zaopatrzenie w materiały z urzędu miasta niezbędne do zamknięcia samego getta.
4. Działania przygotowujące opiekę sanitarną w getcie, zwłaszcza pod kątem zapobiegania epidemiom, tzn. sprowadzenie niezbędnych leków i sprzętu medycznego.
5. Przygotowanie regulacji dotyczących usuwania z getta śmieci i odpadów oraz transportu zwłok na cmentarz żydowski, lub założenie takiego cmentarza w obrębie getta.
6. Zaopatrzenie w niezbędną ilość opału dla potrzeb getta.

Skoro tylko powyższe wstępne kroki zostaną podjęte i będą dysponował dostateczną liczbą wartowników, wyznaczę datę założenia getta; to znaczy: wyznaczone wcześniej granice o określonej porze obsadzi służba wartownicza, a ulice zostaną odcięte drutem kolczastym i innymi zaporami. Jednocześnie fasady domów zostaną zamurowane lub zablokowane w inny sposób przez robotników z wewnątrz getta. W samym getcie zostanie powołany żydowski samorząd. W jego skład wejdzie Przełożony Starszeństwa Żydów i poszerzony Zarząd Gminy [*kehila*].

Łódzki wydział aprowizacji będzie zaopatrywać getto w żywność i opał, dostarczając je do specjalnych miejsc w getcie, gdzie je będzie przejmować administracja żydowska. Konieczna jest przy tym zasada, że getto płaci za żywność i opał wyłącznie towarami: tkaninami, wyrobami tekstylnymi itp. Tym sposobem wydrenujemy z Żydów wszystkie te dobra, które zgromadzili przez swoje malwersacje.

Trzeba koniecznie przeszukać inne części miasta, tak aby wszyscy zdolni do pracy Żydzi mogli być przeniesieni na teren getta w momencie jego powstania albo zaraz potem. Umieści się ich w specjalnych oddziałach roboczych, w strzeżonych barakach, zbudowanych przez władze miejskie i gestapo.

W związku z powyższym trzeba sformułować następujący wniosek. W skład oddziałów roboczych wchodzić tylko Żydzi mieszkający poza gettem. Ci spośród Żydów ulokowanych w barakach, którzy okażą się niezdolni do pracy albo zachorują, muszą zostać przeniesieni do getta. Ci Żydzi z getta, którzy nadal są zdolni do pracy, wykonują roboty potrzebne w samym getcie. O tym, czy zdolni do pracy Żydzi mają być przeniesieni z getta do baraków, zadecydują później.

Założenie getta jest oczywiście rozwiązaniem tymczasowym. Zastrzegam sobie prawo do decyzji, kiedy i w jaki sposób miasto Łódź ma zostać oczyszczone z Żydów. Tak czy inaczej, wszystko zmierza ku jednemu: ten ropiejący wrzód musi zostać raz na zawsze doszczętnie wypalony.

Prolog

Prezes sam

(1 – 4 września 1942)

Było to tego dnia, który na wieki wrył się w pamięć getta, kiedy to Prezes kazał wszem wobec ogłosić, że nie ma wyboru i musi wydać gettowe dzieci i starców. Wcześniej, jeszcze tego samego popołudnia, kiedy to oznajmił, siedział w swym biurze na Bałuckim Rynku, oczekując na zbawczą interwencję sił wyższych. Gettowych chorych był zmuszony oddać już przedtem. Teraz zostali tylko starcy i dzieci. Pan Neftalin, który przed paroma godzinami znów kazał zwołać Komisję, zapewniał go, że wszystkie listy z nazwiskami muszą być gotowe i przekazane gestapo najpóźniej o północy. Jak więc im miał wytłumaczyć, jak przeraźliwą klęską było to dla niego? „Przeżyłem sześćdziesiąt sześć lat i nie zaznałem jeszcze słodczy ojcostwa, a teraz władze żądają ode mnie ofiary z wszystkich moich dzieci”.

Czy ktoś z nich choćby pomyślał, jak on w tej chwili się czuje?

(„Co ja im mam powiedzieć?” — zapytał doktora Millera na posiedzeniu Komisji tego popołudnia, a doktor Miller przysunął do niego nad stołem swoją zniszczoną twarz, a z drugiej strony sędzieja Jakobson zajrzał mu w oczy głęboko i obaj rzekli:

„Niech pan powie prawdę. Jeśli nie można nic innego, to pozostaje tylko ona”.

Ale jak może istnieć Prawda, jeżeli nie istnieje Prawo, a jak może istnieć jakieś Prawo, skoro już nie ma Świata?)

Z głową huczącą od głosów umierających dzieci Prezes sięgnął po swoją marynarkę, którą panna Fuchs odwiesiła dla niego na gwoździu w ścianie baraku, nieporadnie poszukał kluczem zamka i gdy cudem udało mu się otworzyć drzwi, te głosy znów nim zawładnęły. Ale za drzwiami jego biura nie stało żadne Prawo ani żaden Świat; jedynie resztki jego osobistego sztabu, w postaci pół tuzina niewyspanych kancelistów z niezmordowaną Fuchsówną na czele, ubraną tego dnia jak co dzień schludnie, w wyprasowaną bluzkę w niebiesko-białe prążki, z włosami upiętymi w niski kok.

Przemówił:

— Gdyby Pan chciał, by to jego ostatnie miasto zginęło, powiedziałby mi o tym. Przynajmniej dałby mi jakiś znak.

Ale sztab gapił się tylko na niego, nic nie rozumiejąc.

„Panie Prezesie — powiedział sztab — już mamy godzinę spóźnienia”.

*

Słońce było, jak zwykle w miesiącu Elul, jak nadchodzący dzień sądu. Słońce jak tysiąc igieł, które przebijają skórę. Niebo było ciężkie jak ołów, bez najlżejszego poruszenia wiatru. Półtoratysięczny tłum zebrał się na dziedzińcu straży pożarnej. Prezes tu często wygłaszał swoje przemówienia. Wtedy ludzi ściągała ciekawość. Przychodzili posłuchać, jak Prezes opowiada o planach na przyszłość, o następnych transportach żywności, o czekającej ich pracy. Tych, którzy byli tu dzisiaj, nie przyciągnęła ciekawość. Ciekawość by nie wystarczyła, żeby wyciągnąć ich z kolejek po przydział kartofli i zmusić, żeby poszli aż na plac strażacki. Nikt nie przyszedł tu po nowiny, ludzie przyszli wysłuchać wyroku, jaki miał na nich zostać wydany — wyroku dożywocia albo, co nie daj Boże, śmierci. Ojcowie i matki przyszli, by usłyszeć, jaki wyrok wydano na ich dzieci. Starcy ściągnęli tu ostatkiem sił, aby usłyszeć, co los ma dla nich w zanadrzu. Większość zebranych stanowili starcy — opierający się na cienkich laskach lub na ramionach swoich dzieci. Lub młodzi, trzymający mocno za ręce swoje dzieci. Albo same dzieci.

Ze spuszczoneymi głowami, twarzami zniekształconymi żalem, z zapuchniętymi oczami i gardłami ściśniętymi płaczem, wszyscy ci ludzie zebrani na placu — półtoratysięczna gromada — byli jak miasto, społeczeństwo w swojej ostatniej godzinie; oczekujące pod słońcem na swego Prezesa i swoją zagładę.

Józef Zelkowicz, *In jene koszmarne teg*
(*W tamte koszmarne dni*, 1942)

*

Całe getto było na nogach tego popołudnia.

Mimo że jego ochroniarze trzymali większość motłochu na dystans, paru rozzuchwalonym ulicznikom udało się wdrapać na powóz. On pólleżał, oparty o podniesioną budę, zbyt słaby, żeby okładać ich laską, jak miał to w zwyczaju. Było tak, jak złośliwe języki powtarzały za jego plecami: że jest skończony, jego czas jako króla getta minął. A później będą o nim mówić: fałszywy *szofet*, który podjął złą decyzję, ten *ewed hagermanim*, który nie troszczył się o dobro swego ludu, tylko o władzę i o własny zysk.

A przecież zawsze miał na celu jedynie dobro getta.

„Boże, dlaczego mi to czynisz?”, myślał.

U celu drogi, na dziedzińcu straży ogniowej, w prażących promieniach słońca czekał już zбитy tłum. Musieli czekać tak od paru godzin. Gdy tylko zobaczyli ochroniarzy, rzucili się na niego jak stado dzikich zwierząt. Policjanci stworzyli z przodu żywy łańcuch i młócili pałkami, żeby odeprzeć cizbę. Ale to nie wystarczyło. Znad ich pleców nadal zwieszały się powykrzywiane grymasami twarze.

Postanowili, że najpierw przemówią Warszawski i Jakobson, a on zaczeka jeszcze chwilę w cieniu podium. Miało to, w miarę możliwości, złagodzić ból zawarty w twardych słowach, które za moment będzie musiał wypowiedzieć. Tyle że kiedy nadszedł czas, gdy musiał wkroczyć na prowizoryczną mównicę, którą mu przygotowali, nigdzie nie było tego cienia, nie było też żadnego podium: tylko zwyczajne krzesło ustawione na chybotliwym stole. Na tym wahlwym podwyższeniu zmuszony był stać, podczas gdy wstrętna czarna masa szydziła z niego, gapiąc się na niego z dołu, z zakrytej cieniem strony dziedzińca. Odczuwał lęk przed tym nabrzmiewającym mrocznym ciałem, tak niepodobny do niczego, co już znał. Właśnie tak, teraz to rozumiał, musieli czuć się prorocy, w momencie gdy występowali przed swój lud; Ezechiel, który z w e w n ą t r z obłązonego Jeruzalem, „miasta krwawego”, mówił o konieczności oczyszczenia miasta z wszelkiego zła i wszelkich nieczystości i wypisania znaku na czołach tych, którzy wciąż trwają po stronie prawej wiary.

Tak oto mówił Warszawski:

— Wczoraj pan Prezes otrzymał rozkaz wysłania ponad dwudziestu tysięcy ludzi... pośród nich naszych dzieci i naszych najstarszych.

Jakże przedziwne są odmiany losu. Wszak wszyscy znamy naszego Prezesa!

Wiemy wszyscy, ile lat swego życia, ile sił, ile trudu i zdrowia poświęcił na wychowanie żydowskich dzieci.

I teraz żąda się od niego, właśnie od NIEGO, spośród wszystkich ludzi...

*

Wielekroć wyobrażał sobie, że jest możliwe rozmawianie z umarłymi. Jedynie ci, co już wymknęli się z tej matni, mogliby powiedzieć, czy zrobił słusznie, czy niesłusznie, wydając tych, którzy i tak nie mieliby innego życia.

W pierwszym, trudnym okresie — gdy tylko władze rozpoczęły deportacje — rozkazał zaprząć powóz, żeby odwiedzić cmentarz na Marysinie.

Ciągnące się bez końca dni z początku stycznia albo w lutym, kiedy równiny wokół Łodzi, bezkresne kartofliska i buraczane pola leżały otulone bladą mokrą mgłą. Aż wreszcie śnieg stopniał i przyszła wiosna, i słońce stało tak nisko nad horyzontem, że cały pejzaż wydawał się odlany z brązu. Pod światło widać było każdy szczegół: surowy deseń drzew na tle ochrowych pól, tu i tam fioletowy rozbłysk stawu albo strumienia zagubionego na równinie.

W takie dni siedział skulony, nieruchomy, z tyłu wozu; za Kuprem, którego plecy zakreślały ten sam łuk, co bat trzymany na kolanach.

Po drugiej stronie płotu stał jeden z niemieckich wartowników, zeszytniały w swoim mundurze *feldgrau*, albo też chodził niespokojnie w tę i w tę wokół swojej budki. W niektóre dni nad równią pól wiał silny wiatr. Niósł z sobą ziarna piasku i pył ziemi, ale przywiewał też przez płot i mury papierowe śmieci; a kłębowi kurzu towarzyszył kwaśny zapach siarczanu z fabryk na terenie Litzmannstadtu oraz krzyk ptactwa domowego i porykiwanie bydła z pobliskich polskich gospodarstw. To dawało pojęcie, jak dowolnie wytyczono linię ogrodzenia. Wartownik stał bezradny, opierając się wiatrowi, w płaszczu, który trzepotał mu bez sensu wokół ramion i nóg.

Jednak Prezes ciągle tam siedział, cicho i nieruchomo, owiany piachem i pyłem. Nie okazywał w żaden sposób, czy to, co widzi i słyszy, w najmniejszym stopniu go porusza.

Józef Feldman nazywał się człowiek, który pracował jako grabarz w brygadzie Barucha Praszkiara. Przez siedem dni w tygodniu, także w szabas, ponieważ władze tak kazały, kopał groby. Te groby nie były zbyt duże: siedemdziesiąt centymetrów głębokości, pół metra szerokości. Wystarczające, by pomieścić ciało. Ale jeśli weźmie się pod uwagę, że chodziło o dwa, może trzy tysiące grobów rocznie, łatwo zrozumieć, że to była ciężka praca. Często na wietrze chłuszczącym twarz piaskiem.

Zimą nie dało się kopać. Zimowe groby trzeba było wykopać już latem, dlatego Feldman wraz z resztą brygady najintensywniej pracował właśnie wtedy. Zimą zaszywał się z powrotem w swoim kantorze i wypoczywał.

Przed wojną Józef Feldman miał niewielkie przedsiębiorstwo ogrodnicze na Marysinie. W dwóch cieplarniach hodował ogórki i pomidory, zieleninę: sałatę i szpinak; sprzedawał też cebulki i torebki z nasionami na wiosnę. Teraz szklarnie stały opustoszałe, z powybijanymi szybami. Sam Feldman zimował w drewnianej przybudówce do jednej z cieplarni, gdzie przedtem miał kantor. Pod ścianą w głębi stała niska, drewniana prycza. Była też koza opalana drewnem, z rurą dymną prosto przez okno, i mała kuchenka na propan.

Wszystkie parcele i wszystkie dawne ogródki działkowe na Marysinie należały formalnie do Przełożonego Starszeństwa Żydów w getcie, który je mógł dawać w dzierżawę wedle uznania. To dotyczyło także gruntów, które wcześniej były własnością kolektywną, tak jak hachszary syjonistów, dwadzieścia jeden ogrodzonych działek z długimi rzędami starannie podciętych drzewek owocowych, gdzie gettowi pionierzy pracowali kiedyś dniem i nocą; kibuc imienia Borochowa, zaniedbane gospodarstwo kolektywu Haszomer na Próznej, gdzie uprawiano warzywa, i gospodarstwo młodzieżowej organizacji Chazit Dor Bnej Midbar. Także duże, otwarte tereny za starymi szopami na narzędzia, tak zwanym warsztatem Praszkiara, gdzie pasły się nieliczne pozostałe w getcie mleczne krowy. Wszystko to należało do Prezesa.

Ale, nie wiedzieć czemu, Prezes pozwolił Feldmanowi zatrzymać parcelę. W kantorze Feldmana nierzadko widywało się ich obu. Dużego i małego. (Józef Feldman był niski. Mawiano o nim, że ledwie wystaje z grobu, który wykopie). Prezes roztaczał wtedy swoje plany: tereny wokół cieplarni Feldmana chciał zmienić w jedno gigantyczne pole buraczane, a na stoku przy drodze zasadzić drzewa owocowe.

To było coś, co często słyszało się o Prezesie. Że w gruncie rzeczy wołał towarzystwo zwykłych, prostych ludzi od obcowania z rabinami i członkami rady w centrum getta. Bardziej u siebie czuł

się wśród chasydów w chederze na Lutomierskiej lub wśród nieuczonych, lecz głęboko wierzących prawowiernych Żydów, którzy dopóki to było dozwolone, przychodzili na wielki cmentarz przy Brackiej. Wysiadywali tam potem godzinami, przykucnięci między mogiłami, z tałesem na głowie i z nosem w wyświechtanym modlitewniku. Wszyscy oni, tak samo jak Prezes, kogoś stracili — żonę, dziecko, bogatego, zdrowego krewnego, który może mógłby zapewnić im teraz, na starość, łyżkę strawy i dach nad głową. To było to samo odwieczne *szokln*, ten sam lament, co w każdej epoce:

Czemu dar życia przypada temu, kto tak bardzo cierpi;

temu, kto wyczekuje śmierci, a ta się nie zjawia;

temu, kto zaznałby radości jedynie w grobie;

temu, którego droga jest spowita w mrok:

zawężana, zagradzana przez Boga?

Młodszy nie uderzali w tak podniosłe tony:

— Gdyby Mosze zostawił nas w Micraim, to byśmy wszyscy mogli siedzieć w kawiarni w Kairze, zamiast tu tkwić za drutami.

— Mosze wiedział, co robi. Gdybyśmy nie wyszli z Micraim, nie otrzymalibyśmy błogosławieństwa Tory.

— A co nam dała nasza Tora?

— Napisano: *Im ejn Tojre, ejn kemach*; bez Tory nie ma chleba.

— Jestem pewien, że nawet z Torą nie mielibyśmy chleba.

Pan Prezes płacił Feldmanowi, żeby się troszczył zimą o jego letnią rezydencję na ulicy Karola Miarki. Wśród dygnitarzy z Rady Starszych prawie wszyscy, oprócz mieszkania w centrum getta, mieli do swojej dyspozycji jakieś „letnisko” na Marysinie; o niektórych niosła fama, że nigdy się stąd nie ruszali, jak na przykład bratowa Prezesa, „księżna Helena”, o której mówiono, że swoją letnią rezydencję opuszczała tylko na koncerty w Domu Kultury albo gdy jakiś bogaty przedsiębiorca wydawał obiad dla gettowych *szpicn*; za to wtedy zawsze się pojawiała wystrojona, w jednym ze swoich wielu eleganckich kapeluszy z szerokim, wymodelowanym rondem i z paroma ulubionymi czyżykami w koszyku z konopnego sznura. Księżna Helena kolekcjonowała ptaki. Na jej polecenie jej osobisty sekretarz, wszechstronnie uzdolniony pan Tausendgeld, zbudował w przydomowym ogrodzie na Marysinie wielką wolierę, która pomieściła nie mniej niż pięćset różnych gatunków, wiele z nich tak rzadkich, że tu, na północy, nigdy ich nie widywano, a w każdym razie nie w getcie, gdzie nieczęsto pojawiały się inne ptaki niż wrony.

Sam Prezes unikał wszelkich ekscesów. Nawet jego wrogowie musieli zaświadczyć, że wiódł wstrzemięźliwy tryb życia. Wypalał jednak mnóstwo papierosów, a gdy pracował do późna w swoim biurze na Bałuckim Rynku, nierzadko krzepił się kieliszkiem wódki lub paroma.

Mogło się wtedy zdarzyć, także w środku zimy, że panna Dora Fuchs dzwoniła z Sekretariatu i oznajmiała, że pan Prezes jest w drodze i Feldman musiał brać kubły z węglem i maszerować z nimi całą drogę aż na Miarki, żeby rozpalić w piecu, a kiedy pan Prezes się zjawiał, to chwiały się na nogach i kłął, że w domu ciągle jeszcze jest zimno i wilgotno, i Feldmanowi przychodziło wtedy układać starego do snu. Feldman jak mało kto znał wszelkie humory Prezesa, wiedział o oceanach zawiści i nienawiści kryjących się pod jego milczącym spojrzeniem i sarkastycznym zbrązowiałym od papierosów uśmiechem.

Do zadań Feldmana należała także opieka nad Zielonym Domem na rogu Zagajnikowej i Okopowej. Zielony Dom był położonym najdalej, był najmniejszym z sześciu sierocińców, które Prezes założył na Marysinie, i często się zdarzało, że Feldman właśnie tu go znajdował, skulonego w dorożce Kupra, naprzeciw płotu odgradzającego placyk zabaw na dziedzińcu.

Stary wyraźnie znajdował ukojenie w przyglądaniu się dziecięcym zabawom.

D z i e c i i u m a r l i. Zasięg ich wzroku był ograniczony. Zajmowało ich tylko to, co mieli bezpośrednio przed oczami. Nie pozwalali się ogłupić żadnym intrygom żywych.

Rozmawiali o wojnie, on i Feldman. O tej potężnej niemieckiej armii, która zdawała się wciąż przeć do przodu na wszystkich frontach, i o prześladowanych Żydach Europy, którzy muszą nauczyć się żyć u stóp potężnego Amaleka. I Prezes wyznał, że ma pewne marzenie. A właściwie: miał dwa marzenia. O pierwszym rozmawiał z wieloma, to było marzenie o Protektoracie. O tym drugim wspominał tylko nielicznym.

Marzyło mu się, mówił, że pokaże władzom, jakimi zdolnymi robotnikami są Żydzi, raz na zawsze, tak aby dały się namówić na poszerzenie getta. A wtedy także inne części Łodzi zostałyby włączone do getta i już po wojnie władze byłyby zmuszone uznać getto za miejsce s z c z e g ó l n e. Tutaj robota wrzała dzień i noc, tu się produkowało, jak nigdy. I wszyscy odnosili korzyść z tego, że zamknięta ludność Litzmannstadtu pracuje. A kiedy Niemcy to dostrzegą, nadadzą gettu status protektoratu w ramach tej części Polski, która została wcielona do Rzeszy. Powstanie wolne państwo żydowskie pod zwierzchnictwem Niemiec, którego wolność będzie opłacona ciężką, uczciwą pracą.

To było marzenie o Protektoracie.

W tym drugim, skrytym marzeniu, w swoim śnie, stał na dziobie wielkiego pasażerskiego statku płynącego do Palestyny. Statek opuścił port w Hamburgu i wiezie lud, który on osobiście wywiódł z getta. Dokładnie kto, poza nim samym, zaliczał się do tej elity, której zezwolono na exodus, nie było w tej wizji jasne. Ale Feldman zrozumiał to tak, że większość stanowiły dzieci. Dzieci ze szkół zawodowych i z gettowych sierocińców, dzieci, którym pan Prezes sam ocalił życie. W tle, hen za morzem, widniał brzeg: wyblakły od słonecznego żaru, z paskiem białych budynków nad wodą, a nad nimi łagodne wzgórza, które stapiały się dyskretnie z białym niebem. Wiedział, że to, co widzi, to Erec Israel, a dokładnie Hajfa, tylko że więcej nic się nie dało rozróżnić, ponieważ wszystko się zlewało: biały pokład statku, białe niebo, białe spienione morze.

Feldman wyznał, że trudno mu pogodzić z sobą te dwa marzenia. Marzenie o getcie jako poszerzonym protektoracie czy ten sen o wyjeździe do Palestyny? Prezes mu odpowiedział, tak jak zawsze mawiał, że cele zależą od środków, że trzeba być realistą, zobaczyć, jakie zaistnieją możliwości. Przez lata zdążył dobrze poznać sposób bycia i myślenia Niemców. Zdążył też w ich szeregach pozyskać sobie wielu zaufanych. Jednego wszakże był pewien. Za każdym razem, gdy się budził i konstatował, że znów śnił ten sen, serce wypełniała mu duma. Cokolwiek się zdarzy, z nim i z gettem: on nigdy nie porzuci swego ludu.

A jednak to właśnie uczynił.

O sobie samym, o swoim pochodzeniu, Prezes opowiadał rzadko. To wszystko jest zamknięty rozdział, mówił, gdy się przywoływało pewne fakty z jego przeszłości. Mimo to czasem, gdy zgromadził wokół siebie dzieci, powracał do pewnych zdarzeń z okresu swojego dzieciństwa, o których najwyraźniej wciąż rozmyślał. Jedno z tych opowiadań dotyczyło jednookiego Stromki, mełameda w szkółce talmudycznej w rodzinnym Ilinie. Podobnie jak niewidomy doktor Miller Stromka miał laskę, a ta laska była tak długa, że mógł w każdej chwili dosięgnąć nią każdego ucznia w ciasnej salce. Pan Prezes pokazywał dzieciom, jak Stromka poczynął sobie z tą laską, a potem sam kołysał swoim ciężkim ciałem, tak jak Stromka chodzący w tę i w tę między rzędami ławek, w których uczniowie ślęczeli nad książkami, i co jakiś czas robił gwałtowny wypad laską, trzaskając nią po łapach lub po karku jakieś nieuważne dziecko. „Ot tak!”, mówił pan Prezes. Tę laskę dzieci nazywały przedłużonym okiem. Stromka zdawał się w i d z i e ć czubkiem swojej laski. Swoim ślepym, prawdziwym okiem zaglądał do innego świata, istniejącego poza naszym własnym, do świata, w którym wszystko było doskonałe, bez najmniejszej usterki i skazy, gdzie uczniowie wypisywali hebrajskie litery z najwyższą perfekcją i potrafili bez wahania i najmniejszego zająknięcia wyrecytować z pamięci swoje wersy Talmudu. Stromka lubował się wyraźnie w zaglądaniu do owego cudownego świata, natomiast tego, co widział na zewnątrz, nienawidził.

Była też inna historia — chociaż tej pan Prezes tak chętnie nie opowiadał:

Miasteczko Ilino, gdzie się wychowywał, leżało nad rzeką Łować w pobliżu miasta Wielkie Łuki, o które później, w czasie wojny, toczyły się tak twarde boje. Sztetl składał się w tym czasie prawie z samych chwiejnych, wąskich drewnianych domków, stawianych ciasno obok siebie. Między rzędami tych chałup, na małych zboczach, które wiosną, kiedy spadały deszcze i wylewała rzeka, pęczniały, zamieniając się w bezkształtne grzędawisko, było dość miejsca na małe ogródki. Mieszkające tam, głównie żydowskie, rodziny utrzymywały się z handlu tekstyliami i towarami kolonialnymi, sprowadzanymi furami aż z Wilna albo z Witebska. To była biedna okolica, ale synagoga przypominała orientalny pałac, z dwiema przysadzistymi kolumnami u wejścia, wszystko z drewna.

Na brzegu rzeki stała mykwa. Za mykwą była kamienista plaża, dokąd dzieciaki czasem chodziły po chederze. Rzeka w tym miejscu była płytka. Latem wyglądało to jak woda w cebrzyku, który jego matka stawiała na schodkach przed domem, gdy prała ubranie. Uwielbiał wkładać rękę do tej wody, cieplej jak jego własny mocz.

Kiedy poziom wody opadał, wynurzała się nawet wysepka, piaszczysta łacha w środku nurtu, gdzie przysiadaly ptaki wypatrujące ryb. Lecz ta mielizna była zdradliwa. Po drugiej stronie „wyspy” muliste dno rzeki znów się zapadało, tworząc głębinę. Kiedyś tam utonęło dziecko. To się zdarzyło na długo, nim sam przyszedł na świat, ale w sztetlu jeszcze się o tym mówiło. I może dlatego to miejsce wabiło jego szkolnych kolegów. Każdego popołudnia gromadki dzieci prześcigały się w odwadze, próbując dostać się na obnażoną łachę na środku rzeki. Pamięta, jak jeden z chłopców, z uniesionymi łokciami, stał zanurzony już po pas w opływającej go, rozmigotanej słońcem wodzie i nawoływał pozostałych, by szli za nim.

O ile sobie przypomina, jego samego nie było wśród chłopców, którzy chwilę później, roześmiani, zaczęli brodzić przez wodę za tym pierwszym.

Może wyraził chęć udziału w tej zabawie, ale go nie chcieli. Może mu powiedzieli (jak często

mawiali), że jest zbyt gruby, zbyt brzydki, zbyt niezdarny.

Właśnie wtedy olśniła go pewna idea:

Postanowił pójść do Stromki i powiedzieć mu, co robią pozostali. Potem już tylko niejasno pamiętał, jak sobie to wszystko wyobrażał. Swoim donosem miał wkraść się w łaski Stromki, zasłużyć na jego szacunek, a gdyby to mu się udało, inne dzieci już nie ważyłyby się więcej wykluczać go ze swoich zabaw.

Nastąpił krótki moment triumfu, gdy ślepy Stromka zamaszystym krokiem schodził ku rzece, macając drogę swoją długą laską. Ale ów moment nie trwał długo. Sympatii Stromki sobie jakoś nie zaskarbił. Wręcz przeciwnie, złe oko nauczyciela spoglądało odtąd na niego, o ile to możliwe, z jeszcze większą pogardą i niechęcią. Inne dzieci go unikały. Codziennie, gdy zjawiał się w szkole, szeptały po kątach. Aż w któreś popołudnie, gdy wracał do domu, ruszyły za nim z wszystkich stron. Był otoczony wielką grupą rozkrzyczanych, śmiejących się dzieci. Właśnie to miało utkwąć mu w pamięci. Nagły przypływ szczęścia, którego doznał, gdy wydało mu się, że jest przyjęty i włączony do ich grona. Chociaż od razu spostrzegł, że w ich uśmiechach i koleżeńskim poklepywaniu w plecy jest coś sztywnego i sztucznego. Bawią się i żartują, mówią mu, że powinien wejść do rzeki, mówią, że pewnie nie starczy mu odwagi.

Potem wszystko toczy się bardzo szybko. Stoi po pas w wodzie, a ci na plaży schylają się po kamienie. I zanim pojmie, co się dzieje, trafia go w ramię pierwszy kamień. Ma zawrót głowy, a w ustach smak krwi. Nie zdąży nawet się odwrócić, żeby wybiec z wody, gdy nadlatuje drugi kamień. Macha rękami, próbuje się podnieść, lecz znów się przewraca; a wokół niego pluskają w wodę kamienie. Widzi, że rzucane są tak, żeby go wygnać na głębinę. I w chwili, gdy sobie to uświadamia — że tamci chcą jego śmierci — chwyta go panika. Do dziś za bardzo nie wie, jak to zrobił, lecz odgarniając wodę jedną ręką, a drugą osłaniając głowę, wydostał się jakoś na brzeg, stanął na nogi i kuśtykając, potelepał się do domu: żegnany gradem kamieni.

A potem musiał stać zwrócony plecami do klasy, podczas gdy Stromka okładał go laską. Piętnaście razy po tyłku i udach, już opuchniętych i posiniaczonych kamieniami. Dostał nie za to, że zwagarował z lekcji, tylko za oczernianie kolegów.

Jednak, co wryło mu się w pamięć, to nie ten donos i kara, lecz tamten moment nad rzeką, gdy uśmiechnięte twarze dzieci nagle zmieniły się w mur nienawiści i gdy zrozumiał, że znalazł się jakby w klatce. I raz za razem będzie wracać (także w obliczu „własnych” dzieci) do tej klatki, przez której pręty bez przerwy leciały na niego kamienie albo szturchały go boleśnie kije, a on tkwił tam, uwięziony, i nie miał dokąd uciec — ani żadnego sposobu, aby się obronić.

Gdzie się zaczyna kłamstwo?

Kłamstwo, powtarzał rabbi Fajner, nie ma początku. Korzenie kłamstwa są jak włókna grzybni, biegnące siatką nieskończonych rozgałęzień. Ale gdy pójść za takim jednym włóknem w dół, nigdy nie znajdzie się pierwotnej iskry czy natchnienia, tylko przemożną rozpacz i desperację.

Kłamstwo zawsze ma swój początek w zaprzeczeniu.

Coś się wydarzyło — a jednak nie chce się przyjąć tego do wiadomości.

Tak się zaczyna kłamstwo.

*

Tego wieczoru, kiedy władze bez jego wiedzy podjęły decyzję o deportacji starców i chorych, on wraz z bratem Józefem i bratową Heleną był w Domu Kultury, aby uczcić okrągłą, pierwszą rocznicę utworzenia w getcie oddziałów straży ogniowej. Dzień później mijały dokładnie trzy lata, odkąd Niemcy napadły na Polskę, rozpoczynając wojnę i okupację. Choć tego oczywiście się nie świętowało.

Wieczorek inaugurowała składanka muzyczna; następnie odegrano kilka scenek z gettovej rewii Mosze Puławera, która akurat tego dnia dawała setne przedstawienie.

Ogólnie rzecz biorąc, spektakle muzyczne Prezes uważał za nader męczące. Śmiertelnie blada panna Bronisława Rotsztat wiła się wokół swoich skrzypiec, jakby raz po raz doznawała porażenia prądem. Muzyczna furia Rotsztatówny bardzo się jednak podobała paniom. Potem przyszła kolej na duet sióstr bliźniaczek Schum. Ich numer polegał zawsze na tym samym. Najpierw wznosiły oczęta ku niebu i rytmicznie zginały kolana. Później pędziły za kulisy i powracały w zamienionych rolach. Ponieważ były jak dwie krople wody, nie nastroczało to problemu. Zamieniały się po prostu ubraniami. Następnie jedna z sióstr zniknęła, a druga musiała jej szukać. Szukała po walizkach i szufladach. Potem się pojawiała ta, która zniknęła, i zaczynała szukać tej, która wcześniej szukała (a która teraz zniknęła), czy może ta, która szukała, to była wciąż ta sama siostra.

Łatwo się było w tym wszystkim pogubić.

Potem na scenę wychodził sam pan Puławer i opowiadał *plotkies*.

Na przykład o tym, jak spotkało się dwóch Żydów. Jeden przybywa z Insterberga. Drugi go pyta: Co tam nowego w Insterbergu? Pierwszy na to: Nic. Drugi: Nic? Pierwszy: A *hintel hot gebilt*. Pies szczekał.

Publiczność w śmiech.

Drugi: Pies szczekał w Insterbergu? Nic więcej się nie stało?

Pierwszy: A co ja wiem? Zbiegła się cała masa ludzi.

Drugi: Zbiegła się masa ludzi? I pies szczekał? To wszystko, co się wydarzyło w Insterbergu?

Pierwszy: Aresztowali twego brata.

Drugi: Aresztowali mego brata. Za co?

Pierwszy: Aresztowali twego brata, bo fałszował weksle.

Drugi: Mój brat fałszował weksle? To przecież nic nowego.

Pierwszy: No przecież powiedziałem ci, że w Insterbergu nic nowego.

Cała sala skręcała się ze śmiechu poza Józefem Rumkowskim. Brat Prezesa jako jedyny na widowni nie rozumiał, że ten dowcip był o nim.

Opowiadano też o młodej żonie Rumkowskiego, Reginie, i o niepoprawnym bracie pani Reginy, Beniu, którego podobno Prezes zamknął u czubków na Wesolej, ponieważ „zbyt

podskakiwał”, to znaczy mówił Prezesowi prosto w oczy takie rzeczy, jakich ten nie chciał słyszeć.

Największą popularnością cieszyły się jednak historie o bratowej Prezesa, Helenie. Opowiadał je sam Mosze Puławer, stojący z przodu, na proscenium, po andrusowsku, z rękami w kieszeniach. Tylko że ją nazywał księżną Kentu — *firsztin fun Kent. Wer hot zi gekent un wer wil zi kenen?* — zapytał i nagle scena zaroїła się od aktorów przykładających dłonie do czoła i wypatrujących zaginionej księżnej: „Księżna Kentu? Księżna Kentu?”. Publiczność, rycząc z uciechy, wskazywała pierwszy rząd, gdzie siedziała księżna Helena oblana rumieńcem pod rondem swego fasonowanego kapelusza.

Reszta aktorów wciąż jej wypatrywała na widowni:

— Gdzie ona jest? Gdzie ona jest?

Inny aktor wkroczył na scenę, bezwstydnie naśladowując kaczy chód księżnej Heleny. Zwrócony ku publiczności opowiadał, że marysińska straż ogniowa dostała nagłe wezwanie do niezwykłego przypadku: pewna kobieta zamknęła się u siebie w domu i odmówiła wychodzenia. Jedzenie przynosił jej mąż. Jadła tak i jadła, a kiedy w końcu przyszedł czas udać się do wychodka, to okazało się, że tak utyla, że się nie mieści w drzwiach. Wezwana straż pożarna była zmuszona wyciągnąć ją przez okno.

TO WŁAŚNIE BYŁA TA NIEZNANA KSIĘŻNA KENTU!

Po czym wszyscy aktorzy wypadli na scenę, chwycili się za ręce i chórem zaśpiewali:

S'iz kejdarken kejtn,

S'iz gite cajtn

Kejner tut zych hajnt niszt szemen

Jeder wil do hajnt nor nemen;

Abi cu zajn cu zat

[Ot, nasze kajdany,

Ot, szczęśliwe czasy

Nikt się dziś nie wstydzi

Nikt się brać nie brzydzi;

Byle do koryta

Najeść się do syta]

To był jak dotąd najzłośliwszy i najbezczelniejszy numer rewiowy, jaki wyszedł spod pióra pana Puławera. Tak bliski zbrodni obrazy majestatu jak tylko to było możliwe i charakterystyczny dla nastroju chaosu i przygnębienia panującego w getcie w ciągu ostatnich miesięcy. Mimo że Prezes próbował robić dobrą minę do złej gry i klaskał we właściwych momentach, nawet on poczuł wyraźną ulgę, kiedy popisy aktorów się skończyły i na scenę wrócili muzycy.

W finale panna Bronisława Rotsztat zagrała brawurowe scherzo Liszta, ostatnim pociągnięciem smyczka kładąc kres tej całej żenującej imprezie.

*

Nazajutrz rano, we wtorek, 1 września 1942, Kuper czekał jak zwykle z dorożką przed letnią rezydencją na Miarki i Prezes wsiadł, jak to miał w zwyczaju, z ledwie słyszalnym burknięciem jako jedynym powitaniem. **WAGEN DES ÄLTESTEN DER JUDEN** głosi napis na srebrnobiałej plakietce po obu stronach dorożki. Nie żeby ktoś mógł się pomylić. W getcie jest tylko jeden taki powóz.

Prezes często kazał się wozić po getcie. Ponieważ wszystko tutaj było jego własnością, musiał przecież czasami urządzić objazd, aby się upewnić, że wszystko jest jak należy. Że je go robotnicy czekają porządnie w kolejkach, zanim przejdą przez któryś z drewnianych gettowych mostów; że je go fabryki każdego ranka otwierają bramy, aby wpuścić napływające tłumy robotników; że je go policjanci są na miejscu i czuwają, by nie dopuścić do niepotrzebnych zwad; że je go robotnicy natychmiast stawiają się przy swoich stanowiskach pracy i czekają aż je go fabryczne syreny zaczną wyc, najlepiej wszystkie razem, w tym samym momencie.

Tego ranka syreny właśnie tak rozbrzmiały. Był całkiem zwykły, bezchmurny, chociaż nieco chłodny poranek w getcie. Wkrótce żar dnia miał wypalić w powietrzu resztki wilgoci i znowu miało być gorąco, tak jak przez całe to lato, i tak już miało pozostać do końca tego koszmarnego września.

Że coś jest nie tak, spostrzegł dopiero, kiedy Kuper skręcił z Dworskiej na Łagiewnicką. Przed strzeżonym przez szupo szlabanem przy wjeździe na Bałucki Rynek było mnóstwo ludzi, i nikt z nich nie szedł do pracy. Widział, jak głowy zwróciły się w jego kierunku i ręce wyciągnęły się w stronę budy powozu. Ktoś, może parę osób, krzyczał do niego. Twarze mieli dziwnie wyciągnięte do przodu. Zaraz nadbiegli ludzie Rozenblata, siły porządkowe otoczyły powóz i gdy niemieccy żandarmi podnieśli szlaban, mógł wjechać spokojnie na rynek.

Pan Abramowicz wyciągał już ku niemu ramię, żeby go wesprzeć przy wysiadaniu. Panna Fuchsówna nadbiegła z baraku, a za nią wszyscy kanceliści, telefonistki i sekretarki. Powiódł wzrokiem od jednej wystraszonej twarzy do drugiej, a potem spytał: — Co się tak gapicie? — Młody pan Abramowicz pierwszy nabrał odwagi, wystąpił z gromady i odchrząknął:

— Nie wie pan, panie Prezesie? Rozkaz przyszedł w nocy.

Opróżniają szpitale z wszystkich chorych i starców!

Istnieje kilka świadectw opisujących reakcję Prezesa na otrzymaną w ten sposób wiadomość. Niektórzy opowiadali, że nie zawahał się ani przez sekundę. W chwilę potem widzieli go pędzącego „jak burza” w stronę Wesolej, aby możliwie jak najszybciej spróbować ocalić swoich bliskich. Inni twierdzili, że przyjął nowinę z błyskiem w oku, który nieledwie przypominał rozbawienie. Do ostatniej chwili zaprzeczał podobno, jakoby trwała jakaś akcja deportacyjna. Jak w getcie mogłoby się dziać coś bez jego wiedzy?

Lecz byli też tacy, którzy podobno zobaczyli, jak spod autorytarnej maski Prezesa wyziera nagle niepewność i strach. W końcu to nie on zadeklarował w jakimś przemówieniu: „Moja zasada — to zawsze wyprzedzać każde niemieckie polecenie co najmniej o dziesięć minut”. Rozkaz wydano gdzieś w godzinach nocnych, komendant Rozenblat musiał zostać poinformowany, bo oddziały gettovej policji były już na ulicach, w pełnym składzie. Wyglądało na to, że wszyscy liczący się zostali poinformowani, z wyjątkiem Prezesa, który spędzał ten czas w kabarecie!

Kiedy Prezes dotarł do szpitala, we wtorkowy poranek, tuż przed ósmą, cały teren dookoła Wesolej był obstawiony. Przy wejściu do szpitala żydowska Służba Porządkowa utworzyła kordon, przez który nikt nie mógł się prześlizgnąć. Po drugiej stronie tego muru z żydowskich *policajtn* gestapo podstawiło duże ciężarówki-budy. Do każdej były doczepione dwie albo trzy przyczepy traktorowe. Pod nadzorem niemieckich oficerów ludzie Rozenblata wywlekali z budynku chorych i starców. Niektórzy chorzy wciąż mieli na sobie szpitalne ubrania; inni szli w samych majtkach albo całkiem nadzy, wysuszonymi ramionami zakrywając sobie piersi

i chude żebra. Kilku pojedynczym pacjentom udało się wyrwać poza policyjny kordon. Ubrana na biało postać z ogoloną głową pognąła w stronę blokady, powiewając jak flagą tałesem w białoniebieskie pasy. Niemieccy żołnierze natychmiast podnieśli karabiny. Niepojęty triumfalny krzyk tego człowieka zamilkł jak nożem uciął, a on sam upadł na twarz w chmurze strzępków tkaniny i krwi. Inny zbieg usiłował schronić się na tylnym siedzeniu jednej z dwóch czarnych limuzyn, które przystanąły w sąsiedztwie ciężarówek z przyczepami. Obok limuzyn od dłuższego czasu stała grupka niemieckich oficerów obserwujących obojętnie cały ten tumult. Uciekinier próbował właśnie wczolgać się tylnymi drzwiami, gdy szofer pokazał intruza swojemu przełożonemu. SS-Hauptsturmführer Günther Fuchs dłonią ubraną w rękawiczkę wywłókł z auta szarpiącego się dziko mężczyznę i strzelił mu najpierw w pierś, a potem — gdy tamten już leżał — jeszcze w głowę i szyję. Zaraz nadbiegli dwaj porządkowi, chwycili trupa z krwawiącą wciąż głową za ręce i wrzucili go na platformę przyczepy, gdzie już tłoczyła się setka schwytyanych pacjentów.

Podczas gdy działo się to wszystko, Prezes, spokojny i opanowany, podszedł do dowódcy jednostki specjalnej, niejakiego SS-Hauptscharführera Konrada Mühlhausa i poprosił o dostęp do lokali szpitalnych. Mühlhaus odmówił, wyjaśniając, że jest to Sonderaktion przeprowadzana przez gestapo i że żaden Żyd nie ma prawa wkraczać na ten teren. Prezes poprosił wówczas, by mu pozwolono udać się do biura, ponieważ musi niezwłocznie zatelefonować. Kiedy ta prośba także została odrzucona, Prezes miał powiedzieć:

„Możecie mnie zastrzelić albo deportować. Jednak jako Przełożony Starszeństwa Żydów mam pewien wpływ na społeczeństwo getta. Jeżeli chcecie, żeby ta akcja przebiegała spokojnie i godnie, najmądrzej będzie pójść mi na rękę”.

Prezesa nie było niespełna trzydzieści minut. W tym czasie gestapo zdążyło podstawić kolejne przyczepy i wysłać kolejną gromadę policjantów Rozenblata na teren szpitalnego parku, gdzie mieli szukać pacjentów próbujących uciec tylną bramą. Tych, którzy zdążyli pochować się w parku, powalano ciosami pałek lub kolb karabinów; do tych, którzy przypadkiem zblądzili na ulicę, strzelali z zimną krwią niemieccy wachmani. Co jakiś czas rozlegały się krzyki i zduszone nawoływania z tłumu krewnych zebranych pod parkiem, którzy nie byli w stanie nic zrobić, aby pomóc niedołącznym pacjentom wyprowadzanym teraz, jeden po drugim, z budynku szpitala. A jednocześnie coraz więcej spojrzeń kierowało się ku oknom na piętrze, gdzie ludzie spodziewali się zobaczyć siwą głowę Prezesa, która ukaże się, aby ogłosić, że akcja jest zakończona, że to wszystko jest skutkiem jakiegoś nieporozumienia, że rozmawiał z władzami i że wszyscy chorzy i starcy mogą teraz wrócić do domu.

Lecz kiedy Prezes po upływie półgodziny ponownie pokazał się w bramie, nawet nie spojrzał w stronę załadowanej po brzegi kolumny przyczep. Przeszedł tylko pospiesznie i wsiadł do dorożki, po czym zaprzęg zawrócił i ruszył z powrotem na Bałucki Rynek.

Tego dnia — pierwszego dnia wrześniowej akcji — z sześciu szpitali getta wywieziono w sumie 674 pacjentów do obozów zbiorczych w różnych miejscach getta, a stamtąd dalej — już pociągami. Wśród wysiedlonych znalazły się dwie ciotki Reginy Rumkowskiej, Lovisa i Bettina, a może także ukochany brat Reginy, pan Benjamin Wajnberger.

Wielu ludzi dziwiło się później, że Prezes nic nie zrobił, żeby pomóc choćby swoim najbliższym, mimo że wszyscy widzieli, jak stał przed szpitalem i rozmawiał najpierw z SS-Hauptscharführerem Mühlhausem, a potem jeszcze z komisarzem Fuchsem.

Niektórym wydawało się, że znają przyczynę tej uległości. Podczas krótkiej rozmowy telefonicznej, jaką Rumkowski zaraz potem miał ze szpitalem przeprowadzić z zarządcą getta, Hansem Biebowem, otrzymał ponoć pewną obietnicę. W zamian za zgodę na wydanie z getta wszystkich starców i chorych, Prezes mógł spośród tych, którzy zostali wytypowani do wywózki, wybrać „dwie setki zdrowych, pełnosprawnych mężczyzn”, to jest sporządzić imienną listę ludzi niezbędnych dla dalszego funkcjonowania getta, którzy tym samym mogli zostać w getcie, chociaż formalnie przekraczali ustaloną granicę wiekową. Prezes miał przystać na ten szatański pakt, nie widział bowiem innego sposobu, aby na dłuższą metę zapewnić gettu przetrwanie.

Jeszcze inni mówili, że Rumkowski pojął, iż dla niego czas obietnic się skończył. Zrozumiał to już w momencie, kiedy deportacje zaczęto bez jego wiedzy. Że wszystko to, co władze dotąd obiecywały, okazało się kłamstwem, pustymi słowami. Cóż więc znaczyło życie jakiegoś jednego krewnego, kiedy jemu zostało już tylko przyglądać się bezsilnie i w oszołomienu, jak to całe olbrzymie imperium, które wybudował, powoli wali się w gruzy.

I

W obrębie murów

(kwiecień 1940 – wrzesień 1942)

*Geto, getunia, getuchna, kochana,
Tyś taka malutka i taka szubrana
Der vos hot a hant a sztarke
Der vos hot ojfzych a marke
Krigt fun szenstn un fun bestn
Afile a postn ojch dem grestn
[Getto, getteczko, gettuchno kochane,
Tyś takie malutkie, a takie szemrane
Kto nosi odznakę
Kto ma twarde pięści
Ten może być królem
Temu się poszczęści]*

Jankiel Herszkowicz, *Geto, getunia*
(piosenka skomponowana
i śpiewana w getcie, ok. 1940)

Getto: płaskie jak pokrywka garnka między ołowianym granatem nieba a betonową szarością ziemi.

Gdyby wziąć pod uwagę samą nieobecność topograficznych przeszkód, mogłoby rozciągać się w nieskończoność: konglomerat budynków wznoszących się z ruin albo z powrotem obracających się w ruinę. Rzeczywiste rozmiary getta można w pełni ocenić dopiero o d s r o d k a, z przestrzeni ogrodzonej drutem kolczastym i masywnym płotem z desek, wzniesionym przez niemieckich okupantów.

Gdyby mimo wszystko było możliwe — na przykład z lotu ptaka — stworzenie sobie obrazu getta, zobaczyłoby się wyraźnie, że składa się ono z dwóch części czy płatów.

Wschodni płat jest większy. Rozciąga się od Bałuckiego Rynku i starego placu Kościelnego z kościołem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny pośrodku — jego dwie wieże widać ze wszystkich stron — przez resztki tego, co kiedyś było łódzkim Starym Miastem aż po podmiejskie ogródki na Marysinie.

Przed wojną Marysin to były głównie zaniedbane tereny ogródków działkowych, pełne na pozór chaotycznie rozmieszczonych szop narzędziowych, chlewików i budynków gospodarskich. Po zamknięciu getta małe poletka i domki działkowe Marysina przekształcono w letniska i domy wypoczynkowe dla specjalnie wybranych członków elity rządzącej gettem.

Na Marysinie leży też największy żydowski cmentarz i, już za drutami: bocznica kolejowa na Radogoszczu, gdzie przychodzą najcięższe transporty z zaopatrzeniem. Jednostki tej samej Schutzpolizei, która przez okrągłą dobę strzeże getta, każdego ranka wyprowadzają tam brygady żydowskich robotników, pracujące na rampie przy załadunku i rozładunku; i ta sama kompania policji po skończonym dniu pracy odprowadza robotników z powrotem do getta.

Wschodni płat getta obejmuje wszystkie dzielnice na wschód i na północ od dużej ulicy przelotowej, Zgierskiej. Cały ruch tranzytowy, włącznie z ruchem tramwajów między południową a północną Łodzią, przebiega właśnie tą ulicą, strzeżoną na każdym rogu przez posterunki niemieckiej żandarmerii. Dwa najbardziej uczęszczane z trzech w sumie mostów getta to drewniane konstrukcje przerzucone nad Zgierską. Pierwszy z nich stoi koło rynku Starego Miasta. Drugi, ten który Niemcy nazywają *Hohe Brücke*, biegnie od kamiennego fundamentu kościoła Maryi Panny do Lutomierskiej, po drugiej stronie Kirchplatzu. Zachodni płat getta obejmuje dzielnice dookoła starego kirkutu i placu Bazarowego, gdzie kiedyś była stara synagoga (przerobiona teraz na stajnię). Te nieliczne kamienice czynszowe, które mają bieżącą wodę, znajdują się w tej części getta.

Jeszcze jedna większa ulica, Limanowskiego, wbija się w getto od zachodu, dzieląc jego zachodni płat na dwie części, północną i południową. Także tu, przy Masarskiej, znajduje się drewniany wiadukt, choć jest mniej uczęszczany.

Pośrodku getta, dokładnie u zbiegu dwóch głównych ulic, Zgierskiej i Limanowskiego, leży Bałucki Rynek. Ten rynek to żołądek getta. Wszelki towar, jakiego getto potrzebuje, jest tutaj trawiony i rozwożony potem do różnych „resortów”. Stąd też wywozi się większość towarów produkowanych przez fabryki i warsztaty getta. Bałucki Rynek jest jedyną neutralną strefą getta, gdzie Niemcy spotykają się z Żydami, totalnie odizolowany, otoczony drutem kolczastym, jedynie z dwiema, zawsze strzeżonymi bramami: jedną od Łagiewnickiej i drugą od Zgierskiej, prowadzącą do „aryjskiego” Litzmannstadtu.

Niemiecka administracja getta także ma swoje lokalne biuro na Bałuckim Rynku, w kilku barakach położonych ściana w ścianę z Sekretariatem Rumkowskiego: kwaterą główną, jak się pospolicie mówi. Mieści się tu także Centralne Biuro Resortów Pracy (*Zentralbüro des Arbeitsressorts*), kierowane przez Arona Jakubowicza, który koordynuje pracę w „resortach” getta i odpowiada za całość produkcji oraz handel z niemieckimi władzami.

S t r e f a p r z e j ś c i o w a.

Ziemia niczyja pośrodku tego Judenlandu pod ścisłym nadzorem, czy raczej ziemia należąca do każdego, do której mają dostęp zarówno Niemcy, jak i Żydzi, choć ci ostatni tylko pod warunkiem okazania ważnej przepustki.

A może tylko ten szczególny węzeł bólu w środku getta, który wyjaśnia, dlaczego getto w ogóle istnieje. To gigantyczne skupisko anty-sanitarnych, obskurnych budynków, będące w istocie jedną gigantyczną stacją wywozową.

Wcześniej odkrył dokoła siebie jakby martwą strefę. Mówił i mówił, ale albo nikt nie słyszał, albo słowa nie mogły się przebić. Jakby siedział zamknięty pod szklanym, przezroczystym kloszem.

Te dni, gdy umierała jego pierwsza żona, Ida:

To było w lutym 1937, dwa i pół roku przed wybuchem wojny i po długim małżeństwie, które ku jego utrapieniu nie przyniosło żadnego owocu. Choroba, wyjaśniająca może, czemu Ida została bezdzietna, doprowadziła do uwięzienia jej ciała i duszę. Pod koniec, kiedy wchodził z tacą na górę do jej pokoju, gdzie przebywała pod opieką dwóch młodych służących, już go nie poznawała. Chwilami była grzeczna i poprawna, jak wobec kogoś obcego; kiedy indziej wroga i opryskliwa. Pewnego razu wytrąciła mu tacę z ręki, krzycząc na niego i nazywając go dybukiem, którego należy przepędzić egzorcyzmami.

Czuwał nad nią, gdy spała; tylko w ten sposób mógł się upewnić, że wciąż ją bez reszty posiada. Leżała zaplątana w swoją przepoconą pościel i dziko wymachiwała rękami. „Nie dotykaj mnie — krzyczała — trzymaj przy sobie te swoje brudne łapska”. Wszedł na schody i zawołał do służących, żeby pobiegły po lekarza. Ale one stały tam tylko na dole, gapiąc się na niego, jakby nie docierało do nich, kim on jest albo co mówi. Skończyło się na tym, że sam musiał pójść. Szedł chwiejnym krokiem od bramy do bramy jak pijany. W końcu znalazł jakiegoś lekarza, który kazał sobie zapłacić dwadzieścia złotych za samo założenie palta.

Ale już było za późno. Nachylił się, wyszeptał jej imię, ale go nie słyszała. Dwa dni później już nie żyła.

Kiedyś próbował szczęścia jako fabrykant pluszu w Rosji, ale wybuchła rewolucja bolszewicka. Jego nienawiść do wszelkiej maści socjalistów i bundowców pochodziła z tamtych czasów. Ja to i owo wiem o komunistach, takie rzeczy, które się nie nadają na wykształcone salony, potrafił czasem powiedzieć.

Uważał siebie za prostego i praktycznego człowieka, bez wyszukanych manier. Kiedy mówił, mówił bez ogródek, głośno, donośnym i natarczywym, nieco piskliwym głosem, dla wielu tak przykrym, że odwracali wzrok.

Był wieloletnim członkiem Centralnej Organizacji Syjonistycznej, partii Teodora Herzla, ale bardziej ze względów praktycznych niż z powodu żarliwej wiary w sprawę syjonistów. Kiedy polski rząd w 1936 przesunął wybory do gmin żydowskich z obawy, że socjaliści tam też przejmą władzę, wszyscy syjoniści odeszli z łódzkiego kahału, pozwalając, aby Agudat Israel sama zarządzała gminą. Wszyscy, oprócz Mordechaja Chaima Rumkowskiego, który odmówił opuszczenia swojego miejsca w radzie gminy. Jego krytycy, którzy go za to wykluczyli z partii, mówili o nim, że mógłby współpracować z samym diabłem, gdyby do tego przyszło. Nie wiedzieli, jak bardzo mają rację.

Kiedyś on także marzył o tym, żeby zostać wielkim fabrykantem, producentem tkanin, jak tamci wszyscy, legendarni w Łodzi: Kohn, Rosenblatt czy niezrównany „król bawełny” Izrael Poznański. Przez jakiś czas prowadził ze współnikiem tkalnię. Lecz brakowało mu koniecznej w interesach cierpliwości. Unosił się gniewem z powodu byle spóźnionej dostawy, za każdą fakturą węszył machlojki i szwindle. W końcu zaczęły się także konflikty między nim a współnikiem. Do tego doszła ta rosyjska awantura i plajta.

Gdy po wojnie wrócił do Łodzi, pracował jako agent i komisant dla towarzystw

ubezpieczeniowych, takich jak Silesia i Prudential. Kiedy stukał do drzwi, w oknach tłoczyły się zaciekawione i wylękłe twarze, ale nikt nie ważył się otworzyć. Mówiono o nim *Her Tojt*, Pan Śmierć, i rzeczywiście miał twarz Śmierci, kiedy tak włókł się ulicami, w Rosji bowiem nabawił się choroby serca. Często siedział samotnie w którejś z modnych kawiarni na Piotrkowskiej, gdzie bywali ci lekarze i prawnicy, w których wybournym towarzystwie sam chętnie by się pokazywał.

Ale żaden z nich nie chciał dzielić z nim stolika. Wiedzieli, że to prostak, bez wykształcenia, który potrafi sięgać po najcięższe obelgi i groźby, byle tylko sprzedać swoje ubezpieczenia. Pewnemu sprzedawcy farb na Kościelnej powiedział, że ten padnie trupem, jeśli natychmiast nie podpisze polisy dla swojej rodziny — nazajutrz rano znaleziono kupca martwego pod klapą sklepowej lady, a jego żona i czerega siedmiorga potomstwa zostały nagle bez środków do życia. Do kawiarnianego stolika Pana Śmierci przysiadali się różni tajni informatorzy; siadywali plecami do innych, nie pokazując twarzy. Mówiło się, że już wtedy zadawał się z pewnymi ludźmi, którzy później mieli wejść w skład Bejratu getta — „osobnikami trzeciej kategorii, którzy w pogardzie mieli interes publiczny, a tym bardziej honor i przyzwoitość”. Zamiast „wielkimi ludźmi”, którym zazdrościł, otaczał się raczej gromadą hultajstwa, która mu towarzyszyła krok w krok.

Lecz coś się nagle wydarzyło: n a w r ó c e n i e.

Dzieciom i opiekunkom dzieci z Zielonego Domu miał później opowiadać, jak to słowo Pańskie niespodziewanie objawiło mu się z mocą w e z w a n i a. Od tego dnia, mówił, jak ręką odjął, choroba już nie miała do niego przystępu.

To było zimą. Posępnie włókł się jakąś ciemną uliczką Zgierza, gdy natknął się na dziewczynkę, która siedziała skulona pod zadaszaniem z blachy przy tramwajowym przystanku. Dziewczynka zatrzymała go i głosem drżącym z zimna zapytała, czy nie mógłby jej dać czegoś do zjedzenia. Zdjął wtedy swoje długie palto i otulił jej ciało, po czym spytał, co robi na dworze tak późno i dlaczego nie ma co jeść. Odpowiedziała, że jej oboje rodzice nie żyją, a ona nie ma gdzie mieszkać. Żaden z jej krewnych ani nie chciał jej wziąć do siebie, ani żywić.

Wtedy przyszedł Prezes wziął dziewczynkę ze sobą na szczyt wzgórza, gdzie na najwyższym piętrze wielkiej zbytkownej kamienicy mieszkał klient, którego zamierzał odwiedzić. Był nim znajomy słynnego bławatnika i filantropa Heimana-Jareckiego. Rumkowski powiedział temu człowiekowi, że jeśli ma choćby najmniejsze wyobrażenie, co znaczy żydowska *cedaka*, to powinien natychmiast zająć się tą sierotą, dać jej porządnie zjeść i wyspać się w ciepłym łóżku; a ów handlowiec, który już rozumiał, że odmawiając, ryzykuje życie, nie miał odwagi postąpić inaczej, niż żądał Rumkowski.

Od tego dnia życie Rumkowskiego zmieniło się radykalnie.

Pełen świeżej energii nabył podniszczoną posesję w Helenówku, tuż pod Łodzią, i założył ochronkę dla sierot. Chodziło o to, aby żadne żydowskie dziecko nie musiało dorastać w głodzie, bez dachu nad głową i elementarnego wykształcenia. Wiele czytał, teraz też, po raz pierwszy, dzieła ojców założycieli ruchu syjonistycznego: Ahada Haama i Teodora Herzla. Marzyły mu się otwarte kolonie, gdzie dzieci mogłyby nie tylko uprawiać ziemię jak prawdziwi kibucnicy, lecz także uczyć się prostych zajęć rzemieślniczych w ramach przygotowania do szkół zawodowych, które czekały po sierocińcu.

Środki na prowadzenie swojej *kinder kolonie* uzyskał między innymi z amerykańsko-

żydowskiej organizacji charytatywnej JDC, Joint Distribution Committee, która dawała hojną ręką na wszelkie dobroczynne instytucje w Polsce. Resztę pieniędzy ściągał w ten sam sposób, jak sprzedawał ubezpieczenia. Miał swoje metody.

Więc tutaj znowu mamy Pana Śmierć. Ale tym razem nie sprzedaje polis na życie, tylko wsparcie na utrzymanie i polepszenie bytu sierot. Ma nazwiska wszystkich swoich dzieci. Nazywają się Marta, Chaja i Elwira, i Zosia Granowska. Nosi z sobą w portfelu ich zdjęcia. Maluchy na koślawych nóżkach, trzy- albo czterolatki, z jedną rączką wetkniętą do buzi, drugą błędzącą w powietrzu w poszukiwaniu jakiegoś niewidzialnego opiekuna.

I teraz przyszły właściciel polisy nie może już się chować za franką w kuchni. Pan Śmierć zdobył zawód, który pozwala mu być ponad życie i śmierć. Mówi, że to moralny obowiązek każdego Żyda: dawać słabym i potrzebującym. A jeżeli dawca nie daje tyle, ile on żąda, grozi, że zrobi wszystko, żeby zszargać mu opinię.

Jego *kinder kolonie* rosła i rozkwitała.

Na rok przed wojną mieszkało w Helenówku sześćset sierot i wszystkie one traktowały Rumkowskiego jak ojca, wszystkie witały go radośnie, gdy nadjeżdżał z miasta długą aleją wiodącą do posesji. W kieszeniach marynarki miał zwykle pełno słodyczy, które rzucał dzieciom garściami jak konfetti, aby to one ganiały za nim, a nie on za nimi.

Ale Pan Śmierć to jest Pan Śmierć, nieważne, w jakim płaszczu chodzi.

Jest taka jedna dzika bestia, opowiadał pewnego razu dzieciom w Zielonym Domu. Inna od innych. Utkana z drobnych części wszystkich zwierząt, jakie Pan kiedykolwiek stworzył. Ogon tej bestii jest rozszczępiony; można zobaczyć ją, jak chodzi na czterech łapach. Jest pokryta łuskami jak wąż albo jaszczurka, a zęby ma ostre jak mały dzik. Jest nieczysta, włóczy brzuchem po ziemi. Jej oddech pali jak ogień i wszystko dokoła zamienia w popiół.

Taką bestią jest to, co przyszło do nas jesienią 1939.

Wszystko odmieniła. Także ludzie żyjący wcześniej zgodnie obok siebie stali się częścią ciała bestii.

Dzień po tym, jak niemieckie czołgi i wojskowe auta wtoczyły się na plac Wolności w Łodzi, gromada esesmanów opitych taną polską wódką szła pryncypalną ulicą miasta, Piotrkowską, i wywlekała żydowskich kupców z ich sklepów albo z dorożek. Mówili, że gdzieś tam jest potrzebna żydowska siła robocza. Nie dano Żydom nawet czasu na spakowanie rzeczy. Zbierano ich w duże grupy, formowano w kolumny marszowe i wysyłano w tę czy w inną stronę.

Ci, którzy uprawiali handel, zamykali teraz sklepy. Rodziny, które miały taką szansę, barykadowały się w domach. Niemieckie władze okupacyjne wydały wtedy zarządzenie zezwalające gestapo na wchodzenie do wszystkich domów, w których Żydzi się chowali albo gdzie podobno ukryli swoje bogactwa. Rekwirovano wszystko, co przedstawiało jakąś wartość. Tych, którzy protestowali albo stawiali opór, zmuszano publicznie do wykonywania poniżających czynności. Pewien wysoki rangą oficer gestapo szedł ulicą i spluwał. W ślad za nim podążały trzy kobiety, które zmuszano, żeby biły się między sobą o to, która pierwsza wylize plwociny. Innym kobietom kazano czyścić publiczne szalety za pomocą własnych szczoteczek do zębów i bielizny. Żydowskich mężczyzn, zarówno młodych, jak i starych, zaprzęgano do fur załadowanych kamieniami i zmuszano, żeby ciągnęli je z miejsca na miejsce. Później musieli te kamienie rozładować; potem z powrotem załadować. Zwyczajni Polacy patrzyli na to w milczeniu — lub po prostaku bili brawo.

Członkowie zarządu gminy żydowskiej próbowali negocjować z nowymi władzami; wspólnie lub każdy z osobna starali się o posłuchanie u nowego komisarza miasta, Leistera. Ten w końcu przyjął niejakiego doktora Klajnzettla — w Grand Hotelu, gdzie równocześnie konferował z szefem policji Friedrichem Übelhörem. Doktor Klajnzettel był prawnikiem i miał ze sobą długą listę protestów w sprawie ekspropriacji żydowskich gruntów i posesji, do jakich doszło po wkroczeniu Niemców.

Przed hotelem rósł wielki orzech włoski. Po dwudziestu minutach dwóch mundurowych esesmanów wyprowadziło z hotelu Klajnzettla. Długim sznurem obwiązali doktora w kostkach i pod kolanami i podciągnęli go do góry, tak że zwisał z drzewa głową w dół. Wokół zebrała się spora gromada polskich mężczyzn i kobiet, którzy najpierw byli oburzeni, ale potem zaczęli śmiać się z podrygów dyndającego Klajnzettla. W tym tłumie było także kilku Żydów, ale żaden nie ważył się interweniować. Paru bezczynnych żołnierzy stojących na warcie przed hotelem zaczęło rzucać w Klajnzettla kamieniami, żeby uciszyć jego lamenty i krzyki. Po pewnym czasie kilku Polaków z gromady także zaczęło rzucać kamieniami. W końcu w stronę włoskiego orzecha posypał się grad kamieni i mężczyzna wiszący tam jak nietoperz, z połami płaszcza zasłaniającymi jego twarz, przestał się poruszać.

Jednym ze świadków ukamienowania doktora Klajnzettla był Mordechaj Chaim Rumkowski. On miał własne wspomnienia związane z rzucaniem kamieniami, a ponadto sądził, że wie coś o naturze bestii, która, jak się zdawało, wchłonęła polską ludność miasta pod swoją kostropatą jaszczurzą skórę. Sądził, że wie, iż kiedy Niemcy mówią o Żydach, to wcale nie mówią o ludziach, tylko o przydatnym być może, lecz w istocie plugawym materiale użytkowym. Żyd pojedynczy jest sam w sobie anomalią; już samo to, że jakiś Żyd ogłasza swoją odrębność, to potworne wynaturzenie. O Żydach można myśleć tylko w postaci z b i o r o w e j. W określonych ilościach. Numerycznych, liczbowych. Tak myślał Rumkowski: „Po to, by bestia zrozumiała, co masz na myśli, musiałeś sam zacząć myśleć tak jak bestia. Nie widzieć jednostek, lecz wielu”.

W tej sytuacji zwrócił się listownie do Leistera. Nie omieszkał przy tym podkreślić, że przedstawia w liście swój osobisty punkt widzenia, który tym samym niekoniecznie podzielają pozostali członkowie łódzkiego kahału. Tym niemniej list zawierał pewną propozycję:

Potrzebujecie siedmiuset robotników, zwróćcie się do nas: damy wam siedmiuset robotników.

Potrzebujecie tysiąca, to damy wam tysiąc.

Ale nie siejcie wśród nas przerażenia. Nie odrywajcie mężczyzn od ich pracy, kobiet od ich domów, dzieci od ich rodzin.

Pozwólcie nam żyć w spokoju — a my przyrzekamy wam wsparcie w możliwie największym zakresie.

W końcu ktoś jednak wysłuchał Rumkowskiego.

W obwieszczeniu z 13 października 1939 Albert Leister oznajmia, że rozwiązał stary zarząd gminy żydowskiej w Łodzi i że mianuje jego, Mordechaja Chaima Rumkowskiego, na stanowisko prezesa nowej Żydowskiej Rady Starszych, odpowiedzialnej tylko przed nim.

Wjazd do getta —

Jest luty 1940.

Śnieg na ziemi. Niebo białe i puste, nieruchome.

Po śniegu toczą się ze skrzypem koła powozów, bryczki na miękkich resorach; fury wyładowane walizkami i prowizorycznie przywiązаныmi meblami.

Niektórzy idą z przodu, ciągnąc wózki, inni z tyłu i pchają albo z boku, pilnując, żeby ta kolosalna góra walizek i toreb nie runęła.

Dziesiątki tysięcy ludzi w ruchu. Elegancy państwo i robotnicy. Szary zimowy dzień ich nie rozróżnia. Niektórzy idą mimo zimna w spódnicy lub w samej koszuli; może z kocem lub płaszczem na ramionach, wypędzeni ze swoich kryjówek przez gestapo, które wciąż przeprowadza rewizje we wszystkich żydowskich domach. Z domów dobiega niekiedy odgłos strzałów. Na śniegu leży potłuczone szkło.

On śpiewa, eskortując dzieci z Helenówka.

Wszystko mają ze sobą: nawet gosposie, kucharki i niańki.

Wyglądają jak wędrowny tabor. Grzechoczą przytroczone naczynia i rondle.

Mają do dyspozycji pięć powozów; między nimi ten, który później stanie się jego własną *droszkę* z opuszczanym schodkiem i srebrnymi plakietkami po bokach.

Sam siedzi w pierwszym, obok woźnicy, Lwa Kupra, z kilkorgiem dzieci: ubrany w grubą, zimową czapkę i palto z futrzanym obszyciem i kołnierzem. Mijają ruiny Wielkiej Synagogi na alei Kościuszki.

Opowiada dzieciom o sztetlu, z którego pochodzi.

Podobnym do sztetla, do którego jadą:

M a l u t k i e, m a l e n k i e miasteczko, wyjaśnia. Takie małe, że mieści się w pudełku od zapalek.

Podnosi swoje poplamione tytoniem dłonie i pokazuje.

Ma jasny, niemal piszczący głos. Właśnie połączenie tego monotonnego, cienkiego głosu z masą ciała (nie jest wysoki ani w inny sposób rosły, za to c i ę ż k i) robi takie potężne wrażenie na dzieciach, które miały nieszczęście go spotkać; to i gniew, którym umiał wybuchnąć, nagły i niesłychanie intensywny. Z wytrzeszczonymi oczami i przyskającą z ust śliną obrzuca stekiem sarkazmów tych praktykantów albo biuralistów, albo najemnych robotników, którzy nie wyrobili normy, a w sekundę później idzie w ruch jego laska. Także, gdy jego głos brzmi anemicznie i łagodnie, tak jak zwykle, jest jasne, że nie znosi sprzeciwu.

Zdaje też sobie dobrze sprawę z tego, jak działa na innych; w ten sam intuicyjny sposób, w jaki aktor dobrze wie, jakie środki wykorzystać, kiedy stoi na scenie. Zagrać infantylnego idiotę. Albo niestrudzonego, ofiarnego, wiernego pracownika. Mądrego starca z łamiącym się głosem i półślepyimi oczami, które widziały, jak upływa całe życie. Z niesamowitym talentem potrafi wcielać się w te różne postacie albo przerywać ludziom, wpadając im w słowo, tak że brzmi identycznie jak oni.

— Był w tym małym miasteczku szewc i kowal.

(Naśladuje:)

— Był tutaj piekarz i pasamonik.

Był tutaj bednarz i aptekarz.

Był tutaj meblarz i powroźnik.

I oczywiście był tu także rabin.

(Który mieszkał w najdalszym zakamarku synagogi, w nieopalanej izbie pełnej książek i papierów).

— I był tu też mełamed, nauczyciel, ale nie taki jak wasi nauczyciele, bo miał jedno oko dobre, a drugie złe.

(Tym dobrym okiem patrzył na wszystkich, którzy byli pożyteczni — a tym złym na tych, którzy się tylko wałkonili i lenili).

Kiedy mówi do dzieci lub przed dziecięcym audytorium, ten jego cienki głos jest równy i gładki jak kamień, lecz jednocześnie pobrzmiewa lekko pedanterią. Język i podniebienie robią krótki postój przy każdej sylabie, aby upewnić się, że dzieci słuchają.

A dzieci istotnie słuchają:

Starsze z wyrazem ślepej fascynacji na twarzy, jakby niesyte miarowego rytmu wybijanego przez metronom tego cienkiego głosu.

Dla młodszych ten głos jest może jeszcze bardziej hipnotyczny. Gdy tylko Prezes zaczyna mówić, jest tak, jakby człowiek za tym głosem zniknął i pozostaje sam głos szybujący swobodnie w powietrzu jak żar z papierosa, którego on w trakcie opowieści wyjął ze swego srebrnego etui i zapalił.

— I był taki jeden, który znał się trochę na wszystkim i umiał robić to wszystko, o czym wam opowiadam: nazywał się Kamiński.

Nacinał i ściągał skórę z wołów i owiec.

Umiał nawet wyprawiać tę skórę dawnym sposobem, który polegał na tym, że się wcierało w skóry tłuszcz i opalało się je nad otwartym ogniem.

Znał nawet sztukę reperowania zegarów.

Robił wywary z ziół na przemywanie ran i zbicie opuchlizny.

Wiedział dokładnie, jakiej gliny trzeba, by zreperować palenisko w popękkanym piecu.

Mówiło się, że umie nawet oswajać dzikie wilki.

Prezes zamilkł na chwilę.

Końcówka papierosa nabrzmiała czerwienią i znów zmatowiała, kiedy się zaciągnął, potem pociągnął jeszcze raz. „Nazywał się Kamiński”, dorzucił cicho, sam do siebie.

Oświetlona żarem papierosa, stara, pobrużdżona twarz złagodniała, zwrócona jakby do wewnątrz. Jakby wyraźnie widział przed sobą człowieka, którego chciał przed nimi wyczarować:

— Nazywał się Kamiński...

I ten Kamiński wszystkich złościł.

(Rabin się złościł, ponieważ widział w nim wysłannika Szatana; ale też piekarz, garbarz, kamieniarz, ślusarz i aptekarz złościł się, gdyż uważali, że im kradnie sprzed nosa klientów...)

— Dlatego wszyscy członkowie naszego kahału postanowili jednogłośnie wysiedlić go z miasteczka.

Ale najpierw zdecydowano, że wsadzi się go do klatki i będzie się go pokazywać na targowisku.

Przez czterdzieści dni siedział w klatce, schwyte zwierzę szczerzące zęby jak wilk, choć jednocześnie dzieciom zbierającym się wokół klatki pokazywał, jak się piecze macę —

klap klap obiema rękami

(o tak!)

Prezes zacisnął papierosa w ustach. Wyciągnął swoje własne ręce i pokazał, klepiąc i klaszcząc dłonią w dłoń.

— Chleb — powiedział z uśmiechem.

Pan stworzył i urządził świat w siedem dni.

Rumkowskiemu zajęło to trzy miesiące.

Już pierwszego kwietnia 1940, dokładnie miesiąc przed zamknięciem getta, na Łagiewnickiej 45 otworzył szwalnię i zlecił jej prowadzenie energicznemu fabrykantowi Dawidowi Warszawskiemu. Był to resort, który później nazwano Centralą Krawiecką. Niedługo potem, w maju, uruchomiono jeszcze jedną szwalnię, na ulicy Jakuba 8, koło granicy getta. Ósmego lipca, we wspólnym lokalu z Centralą Krawiecką, otworzono warsztat szewski.

I tak to się kręciło:

14 lipca: stolarnia meblowa i fabryka wyrobów drewnianych na Drukarskiej 12–14 z własnym składem wyrobów drewnianych na dziedzińcu.

18 lipca: kolejna szwalnia na Jakuba 18.

4 sierpnia: warsztat tapicerski na Urzędniczej 9.

Produkowano tu także materace, kanapy i fotele (z wyściółką z trawy morskiej).

5 sierpnia: fabryka bielizny na Młynarskiej 5.

10 sierpnia: garbarnia na Urzędniczej 5–7. (Tu garbowano podeszwy i skórę licową na kamasze i buty z cholewami, które później miano produkować dla Wehrmachtu).

15–20 sierpnia: farbiarnia; warsztat szewski (właściwie fabryka kapci) na Marysinie; i jeszcze jedna szwalnia, tym razem na Łagiewnickiej 53.

23 sierpnia: zakłady metalowe na Zgierskiej, które między innymi produkowały wiadra, balie, kubły i różne rodzaje metalowych pojemników; nawet blaszane obudowy do agregatów gazowych itp., przede wszystkim do użytku wojskowego.

17 września: kolejna szwalnia, na Młynarskiej 2.

18 września: jeszcze jedna szwalnia, Żabia 13.

8 października: fabryka futer, Ceglana 9.

28 października: znów zakład krawiecki, na Dworskiej 10.

Oprócz mundurów dla wojska niemieckiego produkowano w szwalniach (dla tej samej armii): odzież ochronną i maskującą; obuwie wszelkiego rodzaju: buty marszowe, trzewiki, oficerki; skórzane pasy z metalowymi sprzączkami; kołdry, materace. Lecz także różne typy damskiej bielizny: gorsety i staniki. Oraz dla panów: zimowe nauszniki i wełniane kurtki z rodzaju tych, które nazywano wówczas golfowymi.

Swoje biuro administracyjne Rumkowski urządził na polecenie władz w kilku połączonych drewnianych barakach na Bałuckim Rynku. W kilku podobnych, położonych obok, mieściło się lokalne biuro niemieckiego zarządu getta. Natomiast część administracji getta podlegającą zarządowi miasta umieszczono na Moltkestrasse, w centrum Litzmannstadtu.

Szefem zarządu getta był Hans Biebow.

Biebow popierał od początku plany Rumkowskiego. Jeśli Rumkowski meldował Biebowowi, że mu brakuje stu maszyn krojących, Biebow załatwiał mu sto maszyn krojących.

Albo maszyn do szycia.

Maszyny do szycia były w tych wojennych i kryzysowych czasach trudne do zdobycia. Wielu z tych, którzy uciekli z Polski przed inwazją Niemiec, zabrało swoje prostsze maszyny ze sobą.

Ale Biebow załatwiał także maszyny do szycia. Najwyżej przybywały w uszkodzonym stanie, ponieważ Biebow zawsze składał jak najniższe oferty. Ale Rumkowski odpowiadał, że to nieważne, czy te singery są sprawne, czy nie. Przewidział ten problem i kazał w getcie uruchomić dwa zakłady naprawcze maszyn do szycia. Jeden na Rembrandtstrasse (Jakuba) 6, a drugi na Putzigerstrasse (Pucka) 18.

Tak wyglądała na początku współpraca między nimi:

Co jeden uważał za niezbędne, ten drugi załatwiał.

W ten sposób wyrosło getto: z niczego powstał nagle najważniejszy dostawca materiału dla niemieckiej armii.

*

T u j e s t B i e b o w. Wydaje właśnie garden party dla swoich pracowników, na jakimś cieniściej dziedzińcu w pobliżu biura niemieckich władz okupacyjnych na Moltkestrasse.

W tle: długi stół umajony wiankami i świeżymi, ciętymi kwiatami. Wysokie, wąskie kieliszki ustawione w szeregu. Stosy talerzy. Półmiski z ciastem, ciastkami i owocami. Dokoła stołu stoi mnóstwo uśmiechniętych ludzi, większość w mundurach.

Sam Biebow na pierwszym planie, ubrany w jasny garnitur z ciemnym krawatem i marynarką z wąskimi klapami. Kark ma na wojskową modłę wygolony, a z boku głowy przedziałek, co uwydatnia kanciasty kształt twarzy z mocno zarysowaną szczęką i kośćmi policzkowymi. Obok niego widać szefa finansów — Josepha Hämmerle i Wilhelma Ribbe, odpowiedzialnego za dostawy towarów i zakup surowców dla getta. Wąska, jakby lisia twarz tego drugiego wylania się pomiędzy dwóch nieco korpulentnych kobiet, które on obejmuje w talii. Obie mają ondulowane włosy i głębokie dołeczki w policzkach. To, z czego się śmieją, to zwój Tory, który Biebow trzyma w ręku, a który dostał w prezencie.

W istocie chodzi o jeden z rodałów, które rabinom gminy udało się w ostatniej chwili ocalić z płonącej synagogi na Wolborskiej, w listopadzie 1939, a który władze niemieckie skonfiskowały niejako powtórnie, tym razem jedynie po to, aby go wręczyć Biebowowi jako *Geschenk*. Wśród wyższych niemieckich oficerów i urzędników w Łodzi wiadomo powszechnie, że Biebow ma zabawny feblik do wszelakich judaiców. On sam uważa się wręcz za kogoś w rodzaju eksperta od kwestii żydowskich. W liście do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie zadeklarował się już z chęcią objęcia zarządu i administracji obozu koncentracyjnego w Theresienstadt. Tam byli kulturalni Żydzi, w odróżnieniu od tych stłoczonych tutaj biednych, nieoświeconych robotników.

Rumkowski jest w tym okresie przekonany, że już dobrze poznał Biebowa. „*Er ist uns kein Fremder*”, mawiał o nim. Nic nie mogło być dalsze od prawdy.

Biebow jest zarządcą chimerycznym. Zdarza się, że tygodniami nie zjawia się w getcie, a potem zjeżdża nagle z wielką delegacją i domaga się bezzwłocznej inwentaryzacji wszystkich manufaktur. A potem chodzi od fabryki do fabryki, ciągnąc za sobą ogon ochroniarzy, i przeszukuje składy materiałów w pogoni za jakąś lewizną. Jeśli w drodze powrotnej do swojego biura na Baluter Ring natknie się przypadkiem na furę albo ręczny wózek z ziemniakami albo warzywami, ciągnięte do jakiejś gettowej garkuchni, i jeśli choćby jeden ziemniak spadnie na ziemię, on zatrzymuje cały pojazd majestatycznym gestem ręki i przykłęka, by podnieść ten ziemniak. Wyciera go potem rękawem swojej marynarki i ostrożnie, niemal z namaszczeniem, odkłada z powrotem na wóz.

— Trzeba szanować każdy okruch tego, co się ma.

Ową troskę o każdy przeoczony w getcie szczegół niełatwo raczej pogodzić z ekspansywną zwykle, łagodnie rzecz ujmując, osobowością Biebowa. Rzadko jest trzeźwy, gdy zjawia się w biurze, a gdy znajduje się, jak o tym mówi, „w błogosławionym stanie”, często wzywa do siebie swojego Przełożonego Starszeństwa Żydów. Pewnego razu, kiedy Rumkowski przychodzi, Biebow siedzi za biurkiem i wyje jak pies. Innym razem pełza przed biurkiem na czworakach,

imitując pędzącą lokomotywę. To było dzień po tym, jak wydano pierwszy nakaz deportacji; rozkaz o pierwszych transportach kolejowych do obozu zagłady w Chełmnie.

Na ogół Biebow narzuca o wiele uprzejmiejszy ton. Chce argumentować. Chce rozmawiać o wynikach produkcji i dostawach środków spożywczych. Takie rozmowy mogły czasami sprawiać, że rodziła się między nimi dziwna, fałszywa zażyłość. „Oj, Bóg mi świadkiem, Rumkowski, że urósł wam kałdun”, mógł na przykład powiedzieć, obejmując go w pasie.

Było na co popatrzeć: handlarz kawą z Bremy uczepony szefa Judenratu w getcie jak niechętny kolumny. Rumkowski stał, tak jak zwykle, z kapeluszem w ręce i głową pokornie opuszczoną. To przy takich okazjach Biebow wykladał zwykle swoją tezę o tym, że głodny jest najlepszym robotnikiem.

— Robotnicy z pełnymi brzuchami są ospali — mówił...

— Nie mają siły porządnie trzymać narzędzi — mówił...

— Walą się na pysk...

— A jak nie walą się na pysk, to tylko gapią się na zegar, który im pokazuje, kiedy mogą wstać i powlec te swoje przekarmione ciała na spoczynek...

— Nie — ciągnął dalej tę swoją teorię — chodzi o to, żeby utrzymać te świnię na takim poziomie, że mają trochę, ale nigdy tyle, żeby wystarczyło. Kiedy pracują, cały czas myślą o żarciu i ta myśl, że zaraz coś zjedzą, zmusza ich, żeby dali z siebie jeszcze trochę, zmusza do jeszcze jednego wyrzeczenia, cały czas na granicy przetrwania, ale nigdy naprawdę już tam, tylko n a g r a n i c y, Rumkowski, na granicy...

(R o z u m i e c i e? — pytał i patrzył na Prezesa wzrokiem pełnym zachęty, tak jakby nie był jednak pewien, czy Rumkowski w całości pojął sens tego, co usłyszał).

*

Istniał pewien Dług. Biebow mu ciągle o nim przypominał. Zewnętrzną formą tego Długu była pożyczka w wysokości dwóch milionów reichsmarek, której komisarz miasta Leister udzielił Rumkowskiemu, aby ten miał za co rozbudować przemysł getta. Od tej pożyczki należało teraz opłacać raty amortyzacyjne i procenty, a ta amortyzacja przybierała postać konfiskowanej własności żydowskiej i wytwarzanych towarów, które teraz coraz szybszym strumieniem płynęły przez stację wywozową przy Baluter Ring.

Ale Dług miał też postać wewnętrzną. To według niej wyceniano samą pracę w getcie. Ustalono dzienną rację przypadającą na każdego mieszkańca getta: trzydzieści fenigów; nikt w getcie nie mógł kosztować więcej. To szef finansów Biebow, Joseph Hämmerle, wyliczył tę *Judenration*, biorąc za punkt wyjścia koszty zaopatrzenia getta w żywność i opał.

Dodatkowym obciążeniem dla rodzin mających w domu dzieci albo starców były opłaty za mleko, o ile w ogóle dało się je zdobyć, oraz za prąd i opał. Prezes zlecił jednemu ze swych współpracowników przeprowadzenie kalkulacji. Aby zagwarantować przeżycie w getcie jednej dorosłej osoby, konieczna była racja żywnościowa, której koszt wynosił co najmniej jedną markę pięćdziesiąt fenigów na dobę, to znaczy pięciokrotnie więcej niż dzienna kwota, którą ustaliły władze.

Większość dostaw przychodzących do getta była też miernej, albo wręcz podłej jakości. Z partii dziesięciu ton ziemniaków, którą dostarczono do getta w sierpniu 1940, udało się uratować jedynie tysiąc pięćset kilo. Pozostałe były tak zgniłe, że trzeba je było zakopać w latrynach na Marysinie.

Co więc zrobić, żeby wyżywić getto, 160 000 ludzi, za pomocą półtora tony ziemniaków?

Zamieszki głodowe były tylko kwestią czasu.

Rozruchy zaczęły się w sierpniu 1940.

Demonstranci nie byli początkowo agresywni, tylko hałaśliwi. Fala za falą biednych, obszarpanych Żydów wylewała się z budynków na Zgierskiej i Lutomierskiej i wkrótce nie dało się poruszać w getcie w inną stronę niż maszerujący tłum.

Rumkowski natychmiast zdał sobie sprawę, że stoi przed trudnym dylematem.

Leister od pierwszej chwili deklarował jasno, że jeśli on, Rumkowski, nie poradzi sobie z utrzymaniem porządku i spokoju w getcie, to gestapo rozwiąże Radę Starszych z natychmiastowym skutkiem i o żydowskiej autonomii w getcie, jaka mu się marzyła, będzie mógł zapomnieć.

Nie miał jednak własnych oddziałów policyjnych, których mógłby użyć. Tych pięćdziesięciu ludzi z policji porządkowej, których Rozenblatowi udało się zmobilizować, zbrojnych wyłącznie w pięści i gumowe pałki, nie odważyło się nawet zbliżyć do demonstrantów. Woleli poodgradzać ulice barierkami, a potem szybko się stamtąd ulotnić. Ale demonstranci nie dbali o żadne barierki. Niebawem stali pod Szpitalem nr 1 na Łagiewnickiej, gdzie Prezes miał swoje „prywatne kwatery”, i krzyczeli, złorzeczyli i skandowali hasła. Wysłali także posłańca, który zażądał, żeby Prezes wyszedł i przemówił do nich.

Na dole w szpitalu stał niewidomy doktor Wiktor Miller i próbował telefonicznie ściągnąć do pracy więcej lekarzy. Doktor Miller w poprzedniej wojnie Niemców brał udział jako felczer i kiedy po ataku francuskiej artylerii pomagał nieść trupa jakiegoś żołnierza, wyleciał w powietrze pobliski skład amunicji. Wybuch wyrwał mu prawą nogę i kawałki prawego ramienia, a odłamki wtargnęły do czaszki przez oczy, na zawsze go oślepiając. Niemcy go za to uhonorowali Krzyżem Żelaznym za „męstwo na polu walki”.

Lecz to za swoje zasługi podczas głodowych rozruchów w getcie został raz na zawsze uhonorowany przydomkiem *der Gerechter* — Sprawiedliwy. Z pokrytą bliznami poharataną twarzą, pocącą się za czarnymi okularami, i tylko z laską i paroma złęknionymi pielęgniarkami do pomocy, biegał tam i z powrotem, żeby uspokajać najbardziej zapalczywych demonstrantów, a jednocześnie pomagał układać poturbowanych na nosze, żeby ich można było zanieść do poczekalni zamienionych w prowizoryczne izby przyjęć. Większość rannych na razie była sama sobie winna: zostali stratowani przez tłum albo zasłabli z wycieńczenia czy odwodnienia. Wszak byli głodni, więc skąd mieli brać siłę na demonstrowanie? Przed poczekalnią leżał człowiek, krwawiąc obficie z rany głowy od brukowca, który miał trafić w jedno z dwóch okien Prezesa na piętrze.

Było już jasne, że zamieszki ogarnęły całe getto.

W tym czasie do pokojów w lokalach dyrekcji szpitala, gdzie zamieszkiwał Prezes, dotarł brat Rumkowskiego, Józef, wraz z żoną Heleną. Z okien na piętrze widzieli, jak ludzie Rozenblata wymachują i młócą swoimi niegroźnymi pałkami w żalosnych próbach wdarcia się w środek tłumy. Lokalnie wybuchały bijatyki, tam gdzie mężczyźni nie uchylali się od pałek, lecz przechodzili do ataku, z kamieniami i kijami.

Księżna Helena, patrząc na to wszystko, była niezwykle wzburzona i klarowała wszystkim obecnym, że to całkiem tak samo jak podczas rewolucji paryskiej, kiedy to ludzie „postradali rozum”, zwracając się przeciwko swoim. Miotła się bez przerwy w tę i we w tę między oknem

a biurkiem, wydając przy tym przestraszone krzyki i trzepocząc rękami. Widok tumultu pod oknami w końcu okazał się za mocny na jej nerwy: — Wymordują nas wszystkich! — wykrzyknęła ochryplym głosem, po czym zainscenizowała jedno ze swoich bardziej spektakularnych omdleń.

Jak zwykle, gdy księżna Helena miała atak swego *malaise*, Józef Rumkowski sztywnym krokiem zbliżył się do brata. I tylko stał tam: tuż przy nim, z wbitym w niego oskarżającym spojrzeniem. Robił tak już jako dziecko.

— No, co masz zamiar w tej sprawie zrobić? — zapytał.

A Rumkowski? Jak zawsze w takich sytuacjach czuł, jak świadomość własnej niewystarczalności i wstyd rozpuszczają się w ślepej nienawiści: nienawidził twardych wyrzutów brata; jego unizoności wobec żony, która wszelkimi dostępnymi środkami próbowała odciągnąć ich uwagę od zaistniałej sytuacji i zwrócić ją na własną nieskończoną udrękę. W normalnych okolicznościach jego gniew w tym momencie już by eksplodował. Ale wybuchy gniewu Józefa nie wzruszały. Brat dalej świdrował go wzrokiem. Nie dało się obejść ani zignorować tego upartego spojrzenia.

Szczęśliwie żaden z nich nie musiał nic robić.

Niemcy byli już w drodze.

Od strony Zgierskiej dobiegał już głos syren — i wyraźny popłoch ogarnął nie tylko demonstrantów, lecz także policjantów ściągniętych przez Rozenblata, z których większość była już powalona na ziemię albo zdążyła schronić się między domami na Spacerowej. Czy mieli wykorzystać sytuację i spróbować, kiedy zjawią się Niemcy, wykazać się „energicznym działaniem”, czy zrobić tak jak demonstranci: uciekać najszybciej jak się da?

Większość z nich spróbowała tego drugiego, lecz podobnie jak demonstranci nie zdążyli uciec daleko, zanim całe komando niemieckich sił bezpieczeństwa zablokowało wszystkie drogi dojazdowe wozami patrolowymi i ciężarowymi budami. Z samochodów otwarto ogień maszynowy, by posiać zamęt wśród uciekających, którzy nie wiedzieli, co mają z sobą zrobić, a w sekundę potem z każdej najmniejszej uliczki i zaułka wypadli żołnierze. Po paru minutach cała Łagiewnicka była oczyszczona, zostało tylko kilka leżących ciał, a między nimi żałosna sterta wyrwanych z bruku kamieni, porzucone czapki i podeptane ulotki i transparenty.

Tej nocy Rumkowski zwołał zebranie, w którym wzięli udział: komendant Rozenblat, niewidomy lekarz Wiktor Miller i szef Biura Ewidencji Ludności — Henryk Neftalin. A także paru dowódców policji z lokalnych komend, których Rozenblat darzył szczególnym zaufaniem.

Prezes wezwał zebranych, by zechcieli rozsądnie rozważyć sytuację.

Ludzie, a zwłaszcza mężczyźni z rodziną na utrzymaniu, nie wychodzą gromadnie z domu, jeżeli nie zostaną namówieni. W każdej dzielnicy są agitatorzy. To właśnie tych podżegaczy należy wyłuskać: komunistów i bundowców, i aktywistów z lewego skrzydła Poalej Syjon — jest ich mnóstwo i zakładają w getcie tajne komórki partyjne. P e r f i d n i ludzie. Gotowi zrobić wszystko, aby udowodnić, że nie ma żadnej różnicy między zaufanymi w j e g o administracji a znienawidzonymi nazistami. Ponadto chodzą słuchy, że nawet w jego własnej Radzie Starszych są ludzie próbujący dla własnej korzyści wyzyskać tę sytuację, osoby, które potajemnie sprzyjają machinacjom podżegaczy, chcąc spowodować, aby Niemcy obalili cały Bejrut.

Od Rozenblata i Neftalina Prezes domagał się n a z w i s k. Na podstawie tych list z nazwiskami, już od następnej nocy poczynając, wszystkie jednostki policyjne miały

przeprowadzać rewizje w domach podejrzanych. Nie ma znaczenia, czy to socjaliści, czy bundowcy, czy tylko najzwyczajsi kryminaliści i wichrzyciele. Prezes już zlecił komendantowi więzienia, Szlomo Hercbergowi, przygotowanie specjalnych cel na prowadzenie przesłuchań.

Strategia okazała się nadszodziejanie skuteczna. Od miesiąca września do grudnia nie doszło do żadnych kolejnych incydentów, getto było spokojne. Lecz potem nadeszła zima, a zima była najlepszym przyjacielem jego wroga.

G ł o d u.

Niezadowoleni znowu wylegli na ulice — teraz byli tak zdesperowani, że nic nie było w stanie ich odstraszyć, a już najmniej parę zwyczajnych ciosów pałką.

*

To była pierwsza zima w getcie.

Mówiło się, że jest tak zimno, że nawet ślina zamarza ludziom w ustach. Zdarzało się, że ludzie nie stawiali się do pracy, ponieważ w nocy pozamarzali w łóżkach.

Wydział opałowcy powołał brygady, które z domów przeznaczonych do rozbiórki wydobywały drewno. Na wyraźny rozkaz Prezesa wszelki materiał opałowcy szedł do warsztatów i manufaktur oraz do garkuchni i piekarni, które w przeciwnym razie nie miałyby czym palić w swoich piecach. Przydzielanie opału na użytek prywatny było wykluczone. Co oczywiście spowodowało, że jego czarnorynkowa cena wzrosła dziesięciokrotnie w ciągu zaledwie paru dni. To właśnie tu, na czarny rynek, trafiała większość wypilowanego drewna. Podczas gdy kryzys opałowcy się pogłębiał, nagle ustały transporty mąki do piekarni getta. Kiedy Prezes rozmawiał o tym z władzami, usłyszał, że nawet ich własne transporty nie podocierały, z powodu śniegu i oblodzenia. Spróbował zyskać na czasie, zmniejszając tymczasowo wielkość racji, lecz zauważył, że w fabrykach znowu zaczęło wrzeć.

Codziennie ten sam widok. Zasypane śniegiem ulice, wozy, których nie można było ruszyć z miejsca, ponieważ koła i szprychy utknęły w zmarzniętym śniegu. Trzeba było co najmniej czterech mężczyzn, żeby z powrotem wciągnąć ręczny wózek w koleiny. A przy garkuchniach na Zgierskiej, Brzezińskiej, Młynarskiej, Drewnowskiej kuliły się pod paltami, szalami, kocami ciasno stłoczone rzędy kobiet i mężczyzn, siorbiących swoją coraz cieńszą zupkę, podczas gdy po ulicach i zaułkach hulała gęsta zadymka.

Rozruchy, które wybuchły teraz, były innego typu.

Motłoch tym razem był mobilny. Nie miał wyraźnych celów, kiedy się zbierał na ulicach, ale szybko przemieszczał się z dzielnicy do dzielnicy.

Kierował się pogłoskami.

A racje iz do, a racje iz do!

Wszędzie tam, gdzie słyszano te słowa, ludzie zawracali i ruszali za tłumem, w tę stronę, gdzie, jak przypuszczano, zmierzają konwoje z aprowizacją.

Ledwie jakiś transport żywności zdążył minąć bramę od strony Radogoszcza, a już go zaatakowano. Woźnicę ściągnięto z furmanki, pięciu czy sześciu mężczyzn wparło się w wóz ramionami i przewrócili go przy radosnych wiwatach zebranych. Kiedy pierwsi biegnący niezdarnie policaje dotarli na miejsce, przy wywróconej furze nie było już ani jednego ziemniaka czy brukwi.

Rozeszły się słuchy, że pod pewnym adresem na Brzezińskiej można zdobyć opał. Ten opał to była rudera, przeoczona nie wiedzieć dlaczego przez wydział opałowcy przy inwentaryzacji

rezerw drewna w getcie.

I motłoch zaraz tam był.

Ktoś pierwszy kazał się podsadzić i wylazł na dach, a po nim inni z siekierami i piłami rzucili się na wszystko, co tylko dało się wyrąbać i rozdrapać i niebawem szopa runęła. Spośród mężczyzn i kobiet, którzy znaleźli się w środku, z pół tuzina zdeptano na śmierć. Kiedy przybyła policja, zagrodzili jej drogę mężczyźni, którzy stawiając opór, umożliwiali swym kolegom zebranie przed ucieczką jak największej ilości cennego drewna.

W tej sytuacji personel sześciu gettowych szpitali zdecydował się rozpocząć strajk. Pracowali w trybie trzymianowym — przez okrągłą dobę, a do tego w lokalach, gdzie było tak zimno, że chirurdzy ledwie co czuli trzymane w dłoniach skalpele — usiłując ratować zmorzonych głodem dorosłych i dzieci, których dostarczano z odmrożeniami albo zmiażdżonymi czy połamanymi kończynami, po bójkach albo stratowanych pod jakimś punktem dystrybucyjnym w getcie. Tylko niewielki procent transportów żywności przyjeżdżających z Radogoszcza docierał do celu. Te, których nie obrabowano po drodze ze stacji, atakowano już na miejscu. Grupki mężczyzn przeskakiwały przez niski mur okalający centralną składnicę warzyw i chociaż Rozenblat w tej sytuacji przydzielił do eskorty żywności ludzi pracujących na dwie zmiany (na każdy wóz z aprowizacją przypadało teraz po dwóch policjantów, na każdy magazyn co najmniej po trzech), nie byli w stanie przeszkodzić, by motłoch nie wdzierał się przez ogrodzenie — w ciągu paru ledwie godzin skład był doszczętnie rozgrabiony.

Problemem był g ł ó d.

Cokolwiek by Prezes robił, aby uporać się z bezprawiem w getcie, nie miał najmniejszych szans na sukces, dopóki nie rozwiąże kwestii głodu.

Aby wykazać się energią i zdecydowaniem, Prezes skasował wszelkie specjalne przydziały i podniósł racje chleba kolektywnie. Wszystkim pracującym w getcie, niezależnie od ich profesji i pozycji w gettowej hierarchii, miało odtąd przysługiwać czterysta gramów chleba tygodniowo.

Likwidacja specjalnych przydziałów na pierwszy rzut oka zdawała się mądrą decyzją. W przyszłości miała się okazać największą pomyłką Prezesa, która doprowadziła niemal do otwartej rewolty przeciw jego rządowi.

Od samego początku, kiedy getto odcięto od świata, środki spożywcze rozdzielano wedle jasnego systemu przywilejów.

Najpierw były tak zwane r a c j e B:

B oznaczało Bejrat, centralną administrację getta. Racje B przysługiwały ludziom szczególnie zaufanym — podzielonym na klasy od I do III, w zależności od miejsca, jakie zajmowali w hierarchii getta: od członków własnej kancelarii Prezesa, idąc w dół, aż po przedsiębiorców i instruktorów technicznych; prawników, lekarzy i innych.

Istniały też tak zwane r a c j e C.

C oznaczało C i ę ż k o P r a c u j ą c y; tę kategorię przyznawano robotnikom fizycznym wykonującym szczególnie ciężką pracę. Różnica w stosunku do normalnego przydziału nie była zbyt wielka; ciężko pracujący otrzymywali dziennie pięćdziesiąt gramów chleba więcej niż zwyczajni pracownicy fabryczni, do tego może dodatkową chochlę zupy. Lecz był to symbolicznie ważny ekstra przydział, dowód na to, że opłaca się ciężko pracować.

Kiedy rozeszła się wiadomość, że racja C ma być cofnięta, żeby sfinansować ogólne podwyższenie racji chleba, stolarze z Urzędniczej i Drukarskiej, postanowili podjąć strajk.

Oprócz niezmiennych racji C żądali także pewnej nieznaczonej podwyżki płac.

Na to Prezes, rzecz jasna, nie mógł przystać. Gdyby stolarze na Drukarskiej zachowali swój dodatkowy przydział, niebawem cała masa innych robotników twierdziłaby, że ich profesje też wymagają dodatkowych racji żywnościowych. Polecił Rozenblatowi postawić siły policyjne w stan gotowości. Rozenblat wysłał do stolarni na Drukarskiej siedemdziesięciu ludzi pod dowództwem inspektora policji o nazwisku Frenkel. Niewielka grupa robotników opuściła zakład, gdy zobaczyli, że otacza go policja, ale większość zabarykadowała się na piętrze i odmówiła wyjścia z budynku, pomimo parokrotnych wezwań, najpierw ze strony Frenkla, a potem samego dyrektora fabryki, Freunda. Gdy oddział policyjny zdecydował się w końcu przypuścić atak na piętro, przywitał go grad wyrobów drewnianych o różnym stopniu wykończenia. Na głowy atakujących posypały się drewniane krzesła; za nimi półki, nogi do kanap i blaty do stołów. Oslaniając twarze rękami, policjanci weszli na piętro i próbowali obezwładniać i wywlekać strajkujących jednego po drugim. Żaden z robotników nie poddał się bez walki. Przeciwnie, donosił później Rumkowskiemu przez telefon podniecony dyrektor Freund, wielu z obezwładnionych robotników musiano potem zabrać do szpitala. Byli tak wygłodzeni, że padali z wycieńczenia, zanim ludziom inspektora Frenkla udało się skuć im ręce.

Ledwie tylko Freund odłożył słuchawkę, zadzwonił dyrektor Wiśniewski ze szwalni mundurów na Jakuba 12 i oznajmił, że także tam przerwano pracę w akcie poparcia dla stolarzy z Drukarskiej i Urzędniczej. Wiśniewski był zrozpaczony. Jego szwalnia kończyła właśnie duże zamówienie: blisko dziesięć tysięcy kompletnych mundurów Wehrmachtu, z naramiennikami i patkami na kołnierz. Jak zareagują władze, kiedy nie dostaną na czas swoich mundurów? A ledwie tylko Wiśniewski odłożył słuchawkę, Estera Daum z Sekretariatu zaanonsowała rozmowę telefoniczną z Marysina. Teraz kompania grabarzy za pośrednictwem przewodniczącego Bractwa Pogrzebowego zawiadamiała, że nie zamierza kopać więcej grobów, jeśli się im odbierze dodatkowe przydziały chleba i zupy. Dlaczego, argumentowali, właśnie grabarzy chce się skazać na cienką zupkę? Czyżby ich praca była w jakiś sposób gorsza od pracy innych, którzy przedtem otrzymywali racje C?

— Co waszym zdaniem mam w tej sprawie zrobić? — zapytał tylko Rumkowski.

W odróżnieniu od Wiśniewskiego, który na dobrą sprawę wyplakiwał swój lęk do słuchawki, przedstawiciel Bractwa Pogrzebowego, niejaki pan Morski, miał styl bardziej humorystyczny:

— Są takie czasy, że umarli też będą musieli przyzwyczaić się do kolejek — powiedział.

Tego ranka na Marysinie termometr pokazywał minus dwadzieścia jeden stopni, wyjaśnił pan Morski; tę informację otrzymał od pana Józefa Feldmana, który jest przecież szanowanym i godnym zaufania członkiem jego brygady kopaczy. Z miasta dostali tego ranka dwanaście świeżych trupów. Jego *grobers* zaczęli jak zwykle obrabiać ziemię oskardami i łomami, lecz nie udało im się przebić nawet powierzchniowej warstwy.

— I co ja mam w tej sprawie zrobić? — powtórzył Prezes niecierpliwie.

Ale pan Morski był nazbyt przejęty własnymi problemami, by w ogóle słuchać.

— Trzeba je chyba będzie stawiać — rzekł. — Jak się ustawi trupy zamiast składać je na stos, to zajmą mniej miejsca.

Ale teraz Przewodniczący getta miał już dosyć. Przepchał się przez morze pracujących pilnie telefonistek i maszynistek Sekretariatu, gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi zewnętrzne i zawołał do Kupra, żeby natychmiast przyszykował powóz. Potem przejechał niedługi kawałek,

na Jakuba. Pan Wiśniewski czekał już w drzwiach i zacierał przy tym ręce, nie wiadomo, czy marzył, czy tylko chciał w swojej służalczej gorliwości, żeby pan Prezes jak najszybciej zobaczył jego fabrykę.

Strajkujące szwaczki, te od szycia mundurów, siedziały karnie na swoich stanowiskach pracy i z nadzieją w oczach wpatrywały się w pana Prezesa.

Wiśniewski: Obilem je.

Prezes: Słucham?

Wiśniewski: Złoiłem je laską. To znaczy te, co nie chciały pracować.

Prezes: Ależ panie Wiśniewski, co pan sobie wyobraża? Pan za wiele sobie pozwala. Od bicia to tu jestem ja!

I czy to były rozognione nagle czerwone uszy Dawida Wiśniewskiego, czy ukradkowy śmiech zza przyciśniętych szybko do ust kobiecych dłoni, czy może ten szczególny nastrój, jaki panował w wyiębionej fabrycznej hali, gdzie brązowe mundury Wehrmachtu maszerowały szereg za szeregiem wzdłuż przeciwległej ściany (cała armia brązowych manekinów, wprowadzie tylko piersi i tułowia; wszystkie w marszu!), ale stało się tak, jakby nagle na starego spłynęło natchnienie i zanim ktoś się zorientował, zanim zdążył podbiec, podsuwając dla wsparcia ramię albo łokieć, Prezes stał już na jednym z chwiejnych roboczych stolików i przemawiał z uniesioną pięścią, dokładnie tak jak jeden z tych socjalistycznych agitatorów, których dopiero co przeklinał; a mowę, którą w tej chwili wygłosił, wszyscy obecni mieli później uznać za jedną z jego najbardziej natchnionych:

— Wy, kobiety, pierwsze mnie potępiacie — możecie stanąć po stronie tych wszystkich, co agituja przeciwko mnie! Ale powiedzcie mi uczciwie: co byście o mnie myślały, gdybym faworyzował tylko jakąś małą grupkę w getcie, a wszystkich innych zmuszał do roboty za niewolnicze pensje...!

Ja w każdej chwili mam na celu jedynie dobro getta. Porządek i spokój w naszych miejscach pracy to jest jedyny ratunek dla nas wszystkich...!

(I hańba tym, którzy myślą inaczej!)

— Czy nie zdajecie sobie sprawy, że wy i ja, i my wszyscy pracujemy dla NIEMIECKICH SIŁ ZBROJNYCH; czy choć przez chwilę żeście o tym pomyślały? I jak wam się wydaje, co by się stało, gdyby w tym momencie — dokładnie teraz, gdy to mówię — wpadli tutaj niemieccy żołnierze i pod bronią zagnali was na jakiś plac zbiórki, żeby was potem deportować.

Co byście powiedziały waszym biednym rodzicom, waszym mężom, waszym dzieciom?

(Kobiety kulily się za swoimi stanowiskami pracy jak za osłoną rowów strzeleckich).

— Od dzisiejszego dnia obowiązuje ZAKAZ PRACY w tym i w innych zakładach getta, w których doszło do podżegania i buntu.

PANIE WIŚNIEWSKI! NATYCHMIAST PROSZĘ WYPROWADZIĆ STĄD WSZYSTKICH ROBOTNIKÓW. I ZARYGLOWAĆ BRAMY DO FABRYKI!

Od tej pory nie będą wydawane żadne racje. Wszystkim strajkującym odbierze się kenkarty i książeczki pracy.

Dopiero jak do was dotrze, że to, co służy interesom getta, służy także waszym interesom, będziecie mogły wrócić na wasze dawne miejsca pracy!

Strajkujący wytrzymali przez sześć dni.

Dnia 30 stycznia Rumkowski kazał ogłosić, że bramy fabryk znowu są otwarte dla tych, którzy zobowiązują się pracować na istniejących warunkach. Wszyscy strajkujący wrócili wtedy do pracy, i na tym ta historia mogłaby się skończyć.

Ale się nie skończyła.

Dwa dni po odwołaniu strajku, 1 lutego 1941, Rumkowski dopełnił swojej zemsty. W kolejnym przemówieniu, tym razem przed gettowymi *resort lajterami*, ogłosił swój zamiar deportowania z getta wszystkich „wichrzycieli i szkodników”, którym udowodniono udział w akcji strajkowej. Wśród tych 107 osób, które wciągnięto tego dnia na listę, znalazło się ponad trzydziestu robotników z meblarni na Drukarskiej i drugie tyle z Urzędniczej.

Jednym z tych, którzy „dostali wymówienie” i opuścili tego dnia meblarnię na Drukarskiej, był

trzydziestoletni wówczas stolarz Lajb Rzepin.

Lajb Rzepin uczestniczył w strajku, należał nawet do tej grupy, która zabarykadowała się na piętrze i rzucała czym popadnie w policjantów.

Ale nazwisko Lajba Rzepina nie trafiło nigdy na żadną listę deportacyjną.

8 marca 1941 — tego samego dnia, gdy pierwszy transport przymusowo wysiedlonych wyjechał z getta — Lajb Rzepin podjął nową pracę w *Kleinmöbelfabrik* Winograda na Bazarowej. Przy długim stole warsztatowym, gdzie stał ze swoją szpachelką do kleju, dokoła niego panowała głucha cisza. Nikt nie podnosił wzroku znad roboty, nikt się nie ważył spojrzeć zdrajcy w twarz.

Od tego dnia w getcie zaczęły padać długie cienie zdrady — Żyd zwracał się przeciw Żydowi; żaden robotnik nie mógł już być pewien, czy następnego dnia także jemu nie odbiorą książeczki pracy, żeby go deportować z getta, tylko za to, że pragnął wyżyć z pracy własnych rąk. Ale Chaim Rumkowski wiedział, jak słowa i legendy obiegają getto. W przemówieniu do gettowych *resort lajterów* powiedział, że nigdy nie miał do rozdania więcej, niżli było do rozdania. Ale sam fakt, że r o z d a w a ł, dawał mu także prawo, by z a b i e r a ć. Zabierać złym i nieodpowiedzialnym ludziom marnotrawiącym ten chleb, którego wszyscy mieli prawo się domagać.

Pod tym względem, powiedział, cytując Talmud, „stoi na twardym gruncie”.

Postanowiono więc w wyższej instancji: wszyscy w getcie mają pracować.

Zarabiając na własne utrzymanie, służyło się zarazem społeczności.

Mimo to było w getcie wielu, którzy nie dbali o dobro wspólnoty i najchętniej szukali zarobku na własną rękę. Niektórzy z nich kopali w poszukiwaniu węgla za cegielnią na rogu Dworskiej i Łagiewnickiej. Tamtejszy plac służył przez lata jako składowisko. Dotarcie do warstwy węgla zajmowało często kilka godzin. Należało przekopać się najpierw przez breję z naci warzyw i innych spożywczych odpadków, które gniły pod rojowiskiem agresywnie brzęczących much; a potem głębiej, przez warstwę za warstwą kwaśnego piachu i gliny pełnej raniących dłonie odłamków fajansowej tłuczki.

Pośród gromady kilkunastu dzieci, które tu kopały, byli też bracia Wajsbergowie, Jakub i Chaimek, z Gnieźnieńskiej. Jakub miał dziesięć lat, Chaimek sześć. Mieli ze sobą motyki i szpadle, ale wcześniej czy później byli zmuszeni używać rąk. Pojemne worki z juty, które mieli przewiązane przez ramię, zjeżdżały wtedy do przodu, na wysokość brzucha, tak żeby można było wrzucać upragnione „czarne złoto” od razu do worka.

Teraz już nieczęsto zdarzało się, że ktoś znajdował węgiel z własnych pieców cegielni. Ale jeżeli mieli szczęście, to mogli wygrzebać z gliny jakiś stary kawałek drewna albo szmatę czy coś w tym rodzaju, co było pomieszane z węglowym pyłem. Kiedy się taką szmatę wrzuciło do pieca, co najmniej parę godzin można było podtrzymać ogień, dobry i równy, i stabilny płomień, za coś takiego można było dostać co najmniej ze dwadzieścia, trzydzieści fenigów, kiedy się to sprzedawało na mieście, na placu Jojne Pilcera.

Jakub i Chaimek pracowali najczęściej na spółkę z braćmi Frydmanami z podwórka po sąsiedzku, Felkiem i Dawidem; ale to nie dawało gwarancji, że mogą pracować w spokoju. Wystarczyło, że paru dorosłych, którzy też polowali na węgiel, przeszło koło ich miejsca i szast-prast już nie było worków z węglem. Dzieciaki zatrudniły zatem wspólnie Adama Rzepina, żeby stał na warcie.

Adam Rzepin mieszkał nad Wajsbergami, piętro wyżej; w okolicach Gnieźnieńskiej nosił przezwisko Adam Brzydal albo Adam Za Kwadrans; a to z powodu nosa, który miał wykoślawiony przy urodzeniu. Sam mówił zawsze, że ma krzywy nos, bo mu go matka wykręcała za każdym razem, kiedy skłamał. Wszyscy jednak wiedzieli, że to łgarstwo. Adam Rzepin mieszkał tylko z ojcem i swoją niedorozwiniętą siostrą; pani Rzepin nikt nigdy nie widział.

Z pierwszych lat w getcie Adam pamiętał tylko głód, jak wciąż jątrzącą się, bolesną ranę w brzuchu. Samo pilnowanie młodych „kopaczy złota” na dłuższą metę nie starczało, jeśli się chciało uśmierzyć ten ból. Więc kiedy Mosze Stern któregoś razu wyjątkowo przechodził koło cegielni i spytał, czy Adam nie mógłby skoczyć coś mu załatwić, Adam przyjął zlecenie z wdzięcznością i machnął ręką na to wartowanie.

Mosze Stern był jednym z wielu tysięcy Żydów, którzy po odcięciu getta od świata, robili kasę na handlu wszelakim materiałem palnym. Niemal wszyscy poważni ojcowie rodzin usiłowali zebrać jakiś zapas węgla lub brykietów, które przechowywali w różnych zamykanych schowkach. Niektóre zamki dało się otworzyć wytrychem — i tym sposobem upragnione „czarne złoto” znów pojawiało się na rynku. Dało się też zarobić na handlu zwykłym drewnem opałowym ze starych mebli, kuchennych szafek z szufladami, listew okiennych i podłogowych, drewnianych poręczy i wszystkiego tego, co można było wypiłować i powiązać w pęk. Cena takich wiązek spadała

w półroczu letnim do około dwudziestu fenigów za kilo, ale potem wzrastała do dwóch albo trzech „rumek”, kiedy zbliżała się zima. Innymi słowy, chodziło o to, żeby odważnie zaczekać na popyt. Podczas najgorszych zim, kiedy kopalnie węgla też były niedostępne, ludzie palili dosłownie wszystko to, na czym siedzieli i leżeli.

Policja raz po raz dobierała się do Mosze Sterna. Matka usiłowała go ukrywać w suszarni na strychu domu starców, gdzie miał podobno swój tajny magazyn. Ale policja porządkowa stamtąd też go wykurzyła.

Fama głosiła, że Stern pragnie zostać nowym Zawadzkiem.

Zawadzki był królem kontrabandy w getcie. Nazywano go też „linoskoczkiem”, często bowiem uciekał policji po dachach. Był to jedyny sposób, aby przejść do getta z aryjskich dzielnic miasta, ponieważ budynki przy granicy getta były pozbawione podziemnych wodociągów i kanalizacji.

Perfumy, damskie mydełka; mąka, cukier, płatki żytnie; konserwy, wszystko, poczynając od prawdziwego niemieckiego *krojtu* do peklowanych ozorków wołowych: oto kilka z towarów, które *via* Zawadzki trafiały do getta. Późnym wieczorem we wrześniu 1940 został ujęty przez żydowskich policjantów po Lutomierskiej stronie getta z plecakiem wypchanym czekoladą w proszku, papierosami i damskimi trykotami. Funkcjonariusze wzięli go na przesłuchanie do komendy pierwszego rewiru policji na Bałuckim Rynku. Gdy Niemcy usłyszeli, że Żydzi złapali samego Zawadzkiego, zadzwonili po samochód z Litzmannstadtu. Żydowscy policjanci zrozumieli, że przysłała kryśka na Zawadzkiego, i zapytali go, czy ma jakieś ostatnie życzenie. Powiedział im, że życzy sobie pójść do toalety. Dwaj policjanci odstawili Zawadzkiego do wygodki na podwórzu. Kajdankami przyczepili mu rękę do drzwi wychodka, a potem stanęli na zewnątrz, pilnie obserwując parę butów widoczną przez szparę pod zamkniętymi drzwiami. Ponad godzinę policjanci stali, gapiąc się na buty Zawadzkiego. Potem jeden z nich zebrał się na odwagę i wyważył drzwi.

Buty tam były, owszem, i kajdanki; nie było tylko Zawadzkiego.

Przestronny otwór w dachu pokazywał drogę ucieczki.

Przemytnik Zawadzki był legendą. Wszyscy mówili o Zawadzkiem. Ale Zawadzki był Polakiem — przychodził z aryjskiej części miasta. A jak już pobył w getcie tyle, ile chciał, to znów sobie *w y c h o d z i !* Gdy Adam Rzepin marzył o wolności, roił sobie, że ma, tak jak szmugler Zawadzki, długą linę i plecak. Marzył o tym, że kiedyś, tak jak Zawadzki, obłowi się na jakimś interesie, będzie w życiu czymś więcej niż pospolity *luftmensch*.

Marzenie Adama prawie ziściło się pewnego ranka, kiedy Mosze Stern przysłał jednego ze swych wielu gońców do cegielni, gdzie on jak zwykle stał, pilnując tych dzieciaków. Wiadomość, jaką dostał, brzmiała, że jest *pekl* do odebrania. *Pekl* mógł oznaczać Bóg wie co — tobołek, paczkę, przesyłkę — od brykietów węglowych po mleko w proszku. Adam Rzepin nauczył się nie zadawać pytań. Lecz kiedy zjawił się pod wskazanym adresem, opróżnionym lokalu piwnicznym przy Łagiewnickiej, zastał tam tylko Mosze Sterna, nie było *pekla*.

Mosze Stern był niewielki wzrostem, ale chodził tak, jakby był parę rozmiarów większy. Kiedy wydawał polecenia i instrukcje, ręce miał założone na piersi jak stanowczy biurokrata. Ale nie teraz — Mosze Stern zrobił dwa kroki i chwycił Adama za ramiona. Jak zwykle, gdy był niespokojny lub nerwowy, oblizywał sobie wargi.

Paczka, o którą chodzi, wytłumaczył, ma być dostarczona pewnej „bardzo ważnej osobie”. Osoba ta jest tak ważna, że jeśli złapie go policja albo gdy zaczną go wypytywać, Adam nie może

„pod żadnym pozorem” zdradzić, że paczkę dał mu Mosze Stern. Czy może mu to przyrzec?

Adam przyrzekł.

Mosze powiedział, że Adam jest jedynym człowiekiem w getcie, któremu może zaufać; potem mu wręczył paczkę.

Na środku podwórza przy Gnieźnieńskiej stał kiedyś kasztanowiec o mocnych korzeniach, potężnym pniu i olbrzymiej koronie, dzięki której wyglądał, jakby przywędrował z którejś z wielkich alei w Paryżu albo Warszawie. Pod tym kasztanem lalkarz Fabian Zajtman miał swoje atelier: dwie połączone szopy z desek, tak ciasne, że mieściły się tam tylko lalki. Z długich metalowych haków pod dachem i wzdłuż ścian zwieszali się rabini w długich kapotach i wiejskie baby w chustach, wszyscy tak samo uśmiechnięci i bezradni. Latem, kiedy pod dachem z desek było za gorąco, Zajtman wolał siadywać z narzędziami na powietrzu, pod kasztanem. Siedział pośród dzieci, strugał główki lalek i widział chmury płynące po bladym niebie podwórza. „Wiesz, gdzie pioruny przysiadają, żeby odpocząć?”, spytał kiedyś Adama, kiedy ten przyszedł z wizytą do Wajsbergów i znacząco kiwnął głową ku górze, ku koronie drzewa, za którą już kłębiło się stado wysokich czarnych chmur. Od tego dnia Adam żył w ciągłym strachu przed tym, co n a p r a w d ę kryje się w koronie kasztanowca; zwłaszcza w gorące dni, gdy liście zwisały bez ruchu, a rozżarzone powietrze stało martwe w zaułkach Bałut.

Fabian Zajtman zmarł na krótko przed wojną. Znalaziono go leżącego na własnym warsztacie, tak jakby piorun wrócił w gniewie, żeby wytrącić mu z ręki dłuto i kawałek heblowanego drewna. W okolicy Gnieźnieńskiej nie brakowało ortodoksów, którzy spluwali na ziemię i mówili, że to grzech i obrzydliwość, kiedy Żyd para się struganiem lalek jak ten Zajtman.

Potem przyszli Niemcy; druty dokoła getta przeciągnięto akurat za szopą Zajtmana i pani Herszkowicz, *die Hauswartin*, jak się teraz mówiło, kazała ściąć kasztan i porąbać go na opał. Kazała też rozebrać i porąbać obie szopy Zajtmana.

„Teraz mam tyle drewna, że wystarczy mi na całą wojnę albo lepiej” — chwaliła się.

Ludzie na Gnieźnieńskiej przyzwyczaili się do dziury w niebie, gdzie stał kasztan, ale Adam nie mógł przestać myśleć o tym drzewie i piorunach. Gdzie teraz podziewają się pioruny, kiedy zabrakło kasztanowca? W getcie nie było żadnych drzew. Adam przedstawiał sobie, jak pioruny błędzą, coraz bardziej szalone wewnątrz swojego grzmotu. Nie było dla nich odpoczynku ni ucieczki od tego niekończącego się trzasku. Z tej strony drutów na wolność prowadziła tylko jedna droga, udowodnił to Zawadzki: ta d o g ó r y, przez otwory i okna, których nie ma albo które należy wymyślić, żeby móc się przez nie wydostać.

Adam Rzepin stał ze swoim pakunkiem na bezdrzewnej parceli niedaleko od szwalni na Jakuba 12 i czekał, aż pojawi się ta „bardzo ważna osoba”.

Pierwszą osobą, która się zjawiała, był bardzo młody mężczyzna, ubrany w kapelusz i garnitur, i elegancki płaszcz z jasnej gabardyny, który przypomniawszy Adamowi amerykańskie filmy gangsterskie pokazywane przed wojną w kinie Bajka. Gość mógłby stać na rogu jakiegokolwiek ulicy w Europie, gdyby nie ci dwaj, którzy towarzyszyli mu jak cienie. Dwaj zwaliści mężczyźni: wyglądali jak *policajtn*, ale bez czapek i opasek na ramionach.

— Masz towar? — zapytał mężczyzna w gabardynowym płaszczu.

Adam kiwnął głową.

Dopiero wtedy zbliżyła się czwarta osoba.

Już później Adam Rzepin zastanawiał się, jakim cudem od razu zrozumiał, że ten czwarty to był niemiecki oficer. Nowo przybyły był ubrany po cywilnemu, ale mundur, jaki nosił na służbie i tak można było rozpoznać po czujnym sposobie, w jaki całe jego ciało zwracało się, kiedy obracał głowę albo rozglądał się na boki.

Mężczyzna w jasnym gabardynowym płaszczu mówił do niego „panie Stromberg”. W takim razie był to esesman, Kriminaloberassistent Stromberg, jeden z najbardziej osławionych szefów policji w całym getcie. Stromberg był folksdojczem, jednym z tych Niemców, którzy żyli i mieszkali w Łodzi na długo przed przyjściem nazistów.

Stromberg uśmiechał się bez przerwy; lecz poruszał się tak, jakby brnął przez gęste ścieki. Nie spojrział nawet na Adama, zwrócił się tylko w stronę młodzieńca w płaszczu z gabardyny i powtórzył swoją niejasno śpiewną polszczyznę:

— Ma pieniądze?

A gdy pytany skinął potwierdzająco głową, zdało się, jakby pan Kriminaloberassistent Stromberg wreszcie odprężył się wewnątrz swojego cywilnego ubrania.

Adam odebrał to jako sygnał, że nadszedł czas przekazać swoją paczkę; podał ją gabardynowemu płaszczowi, który z kolei wręczył ją Strombergowi, który bezzwłocznie zaczął rwać i zdierać z niej papier, jak niecierpliwый dzieciak w Chanukę. Po chwili trzymał między palcami błyszczący złoty łańcuszek. Gabardynowy płaszcz wykonał w stronę Adama szybki gest obiema dłońmi, jakby mu nakazywał się odwrócić, tak jak odwraca się plecami do kobiety, by nie musiała się krępować przy ubieraniu; potem pospiesznie wetknął Adamowi w rękę banknot dziesięciomarkowy.

Po chwili obaj zniknęli — młody Żyd w gabardynowym płaszczu i niemiecki szef kripo. Zostali tylko ci dwaj ochroniarze, ponurzy, z rękami pod boki; jakby się chcieli upewnić, że Adam nie pójdzie ich śladem.

Miało upłynąć kilka miesięcy, zanim Adam pojmie, kim był ten mężczyzna w płaszczu z gabardyny, sprzedający złote przedmioty Strombergowi. Wtedy już w całym getcie mówiło się o Dawidzie Gertlerze, młodym żydowskim komendancie policji, który sprawiał wrażenie, jakby pozostawał na dobrej stopie ze wszystkimi oficerami okupantów.

Adam stał w kolejce do piekarni na Piwnej. Każda piekarnia wypiekała teraz swój własny chleb, a „rozkurz” był ogromny; żeby upewnić się, że się dostanie swoją rację, trzeba było wstawać jak najwcześniej.

Na Piwnej. Kolejka za chlebem. Paru „dygnitarzy” wpycha się poza kolejnością.

Znowu pojawia się ten młody człowiek w gabardynowym płaszczu. Także tym razem ma z sobą dwóch ochroniarzy. W kolejce rozlegają się protesty. Ochroniarze robią stanowczy krok do przodu, gotowi użyć pałek, by uciszyć tych, którzy się buntują. Ale tym razem sprawa nie kończy się jak zwykle. Dziś to ubrani w garnitury ludzie z Bejratu Rumkowskiego muszą ustąpić pola.

— Także w getcie chleb należy się temu, kto czekał najdłużej — mówi człowiek w płaszczu.

„Gertler, Gertler, Gertler...!”, wołają kolejkowicze, z rękami w górze i wyciągniętymi szyjami, jakby wywoływali jakąś gwiazdę sportu.

A Dawid Gertler przyciska kapelusz do piersi i składa ukłon jak cyrkowy iluzjonista. Adam Rzepin nie odda swego miejsca w kolejce za żadne skarby; nie podnosi także spojrzenia z obawy, aby ten groźny młody człowiek go nie rozpoznał. Czy ci ludzie w kolejce za chlebem biliby brawo jeszcze frenetyczniej, gdyby wiedzieli, że młody Dawid Gertler jest gotów sprzedać

ich dusze, byle tylko pozostać w dobrej komitywie z nienawistnymi Niemcami?

Chociaż to może było bez znaczenia.

Byle chleb mógł być rozdzielany sprawiedliwie i wszystkim po równo.

Wśród codziennych kolumn zamieszczanych w Kronice Getta znajdował się wykaz urodzin i zgonów. Istniała przy nim też rubryka, w której publikowano nazwiska tych, którzy zginęli z własnej ręki.

W Kronice pisano: „zginął z własnej ręki”. Ale w getcie mówiło się tylko, że on czy ona „poszli na druty”.

To wyrażenie poszerzyło bogaty już słownik getta, oznaczając nie tylko odebranie sobie życia, lecz także przekroczenie wszelkich granic, jakie władze wyznaczyły życiu przeżywanemu tutaj wewnątrz.

W pierwszym tygodniu lutego 1941, według Kroniki, na druty poszło siedmioro ludzi. W paru przypadkach były to, mówiąc oględnie, spektakularne samobójstwa. Pewien urzędnik w średnim wieku z gettowego Wydziału Mieszkaniowego wpadł na pomysł, by w biały dzień spróbować przeczołgać się pod płotem z desek wzmacniającym druciane zasieki na północnym odcinku Zgierskiej. Ze wszystkich miejsc, jakie mógł wybrać na swoją próbę ucieczki, wybrał akurat to najlepiej strzeżone w całym getcie. Lecz i tak nie od razu go zauważono. Tramwaj przewożący Niemców i Polaków przez teren getta zdążył przejechać kilka razy obok głowy i ramion mężczyzny, który utknął pod ogrodzeniem, zanim policjant w budce dwieście metrów dalej zrozumiał, co się święci. Biuralista już wtedy leżał tylko rozplaszczony na ziemi i czekał, aż wystraszony wachman zacznie strzelać.

Inne przypadki nie były tak jasne.

Najczęściej chodziło o robotników wracających do domu z późnej zmiany.

Wszyscy poruszający się po getcie mieli rozkaz trzymać się jak najdalej od jego granicy. Mówiło się o bezpiecznym dystansie dwustu pięćdziesięciu metrów. Jeśli ktoś mimo wszystko musiał zbliżyć się do drutów, polecano robić to za dnia, tuż przed nosem niemieckich wartowników i w wyraźnie określonym celu (gdyby ktoś, wbrew oczekiwaniom, o to spytał).

Lecz na półżywych ze zmęczenia pracowników zmianowych czyhała zawsze pokusa, by zaoszczędzić sobie choć paręset metrów, idąc na skróty, wzdłuż granicy getta, do najbliższego drewnianego mostu.

I może było już ciemno. Idący na skróty nie widział.

Wartownik po drugiej stronie też może nie widział wyraźnie.

I może ten mężczyzna albo ta kobieta idąca do domu nie znali niemieckiego.

Albo też nie słyszeli, co krzyczy wartownik, ponieważ akurat przejeżdżał tramwaj.

Albo nie było żadnego tramwaju. Tylko wartownik krzyczał, a ten mężczyzna czy kobieta, którzy już dawno powinni być w domu, wpadali w popłoch i zaczynali biec.

Co wartownik tłumaczył sobie jako próbę ucieczki. A więc strzelał.

Co najmniej cztery z tych siedmiorga osób, które w lutym 1941 poszły na druty, zginęły właśnie w ten sposób. Czy celowo szukały śmierci, czy to wyczerpanie przyćmiło im zmysły? A może nie było różnicy między świadomym zamiarem a bezwiednym wyborem? Może szli ku granicy dlatego, że poza tym po prostu nie było dokąd pójść.

Kilka tygodni później, w marcu 1941, zapisano w Kronice, że Cwajdze Blum, lat czterdzieści jeden, udało się w końcu popełnić w ten sposób samobójstwo po nie mniej niż trzynastu nieudanych próbach pójścia na druty.

Cwajga Blum mieszkała na Limanowskiego. Jedyne okno w mieszkaniu, które dzieliła

z dwiema innymi kobietami, wychodziło prosto na płot getta. Ulica Limanowskiego była główną arterią transportową dla niemieckich dostaw żywności i materiałów produkcyjnych, które rozładowywano przy Bałuckim Rynku, i dlatego szczególnie pilnie jej strzeżono. Nieopodal znajdował się też trzeci wiadukt getta, łączący ze sobą jego dwa zachodnie płaty, z widocznymi z daleka budkami strażników w biało-czerwone pasy przy obu przyczółkach mostu. To do tej budki przy południowym przyczółku Cwajga Blum poszła ze swoim życzeniem.

— Zastrzel mnie — powiedziała do wachmana.

Wachman udawał, że nic nie usłyszał. Zapalił papierosa, zsunął z ramienia pasek od karabinu; oparł karabin na kolanie, zrobił taką minę, jakby go ciekawiły detale koło łożyska i wylotu lufy.

— Proszę — błagała. — Z a s t r z e l m n i e.

Ten sam żołnierz stał na posterunku co wieczór. I ta sama Cwajga.

Po paru tygodniach tej udręki dowódca wachmana poprosił żydowską policję, żeby zrobiła z tym porządek.

Mieli położyć kres temu molestowaniu.

Odtąd dom Cwajgi Blum na Limanowskiego pozostawał pod stałą obserwacją ludzi Rozenblata. Gdy tylko Cwajga ośmieliła się przekroczyć próg bramy, żydowscy policjanci już tam byli i wlekli ją z powrotem do mieszkania, gdzie była bezpieczna.

Cwajga Blum próbowała wydostać się tylnym wejściem. Lecz policjanci przejrzeni jej plany. Gdy tylko wyszła przez bramę od podwórza, dopadli ją i zawlekli z powrotem do domu. Dwanaście razy powtarzała się ta zabawa w kotka i myszkę. Dopiero za trzynastym razem Cwajdze Blum udało się przechytryć swoich nadzorców, a szczęśliwy traf sprawił, że szupo równocześnie zarządziło rotację w grafiku wart. Tamten speszony żandarm z Limanowskiego dostał przeniesienie na Marysin, a jego miejsce w budce strażniczej zajął inny, o wiele śmielszy kolega.

— Proszę cię, zastrzel mnie — powiedziała Cwajga Blum.

— A potańcz trochę dla mnie, to zobaczymy — powiedział nowy żandarm.

Nim ludzie Rozenblata zorientowali się, co się święci, Cwajga Blum po drugiej stronie drutów wykonała szalony, rozpaczliwy taniec. Kiedy taneczny numer dobiegł końca, wartownik wycelował z karabinu i strzelił jej dwa razy w pierś. A gdy jej nogi wciąż wierzgały, mimo że już leżała, to dla pewności strzelił jeszcze raz.

Historię Cwajgi Blum opowiadano w getcie w wielu wersjach. Według jednej z nich Cwajga siedziała wcześniej w zamkniętym oddziale psychiatrycznym szpitala na Wesołej, lecz musiała odstąpić swoje łóżko jakiejś ważnej osobie z Bejratu.

Według innej Cwajga Blum miała być tak skołowana, że nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że jest w getcie, a do żandarma w budce na Limanowskiego miała nie mówić „zastrzel mnie, zastrzel mnie” tylko „zamknij mnie, zamknij mnie” — zdawało jej się bowiem, że ten żołnierz to jeden z nadzorców w szpitalu.

(Wartownik musiał w takim razie myśleć, że ta kobieta z niego drwiła. Czemu miałaby prosić, by ją zamknąć? Przecież już była zamknięta).

Tak czy inaczej, w końcu wszystkich tych historii o mężczyznach i kobietach, którzy poszli na druty, namnożyło się tyle, że Prezes poczuł się zmuszony wydać specjalne rozporządzenie (Obwieszczenie nr 241), w którym stanowczo zakazał zbliżania się do granic getta bez

uzasadnienia. A zwłaszcza poza godzinami normalnych końców zmian.

Ale ludzie i tak wychodzili na druty. W taki czy inny sposób.

W kwietniu 1941 w Kronice odnotowano zmniejszenie się liczby osób zastrzelonych przy granicy getta. Według statystyki kandydaci na samobójców woleli teraz wyskakiwać z okien wysoko położonych mieszkań i klatek schodowych. Poza tym większość z nich wybierała budynki, w których sami nie mieszkali. Może po to, żeby zapewnić sobie dostateczną wysokość upadku, a może po to, żeby niepotrzebnie nie sprawiać kłopotu sąsiadom.

W maju 1941 zarejestrowano według Kroniki Getta nie mniej niż czterdzieści trzy takie samobójstwa. Ale także o tych, którzy zginęli, rzucając się z okna, mówiło się w getcie, że poszli na druty. Byli tylko zbyt pogrążeni w depresji lub wycieńczeni głodem i chorobą, aby samemu się tam dowlec.

Któregoś ranka niemiecka policja zameldowała, że na „aryjskim terytorium”, przy ogrodzeniu z drutu, tuż obok osławionej teraz wachy na Limanowskiego znaleziono ciało kobiety. Kobieta leżała na wznak, z głową w stronę ulicy i z rękami pod dziwnym kątem względem tułowia.

Ci dwaj wachmani, którzy ją znaleźli, sądzili początkowo, że nie żyje, ot jeszcze jedna z serii tych żydowskich samobójczych ofiar. Lecz gdy się pochyliłi, żeby zająć się ciałem, spostrzegli, że ciągle oddycha. Przeszukali ubranie kobiety, ale nie znaleźli żadnego dowodu tożsamości. Niemieccy żandarmi stanęli teraz przed prawdziwym dylematem. Ponieważ nie było żadnych dowodów tożsamości, nie mogli stwierdzić z pewnością, czy kobieta należy do żydowskiej, czy aryjskiej strony drutów; czy próbowała wydostać się z getta, czy też przeciwnie (co ciągle się zdarzało — przykładem choćby Zawadzki!), usiłowała przez druty dostać się do środka.

Naradziwszy się z przełożonymi, postanowili dostarczyć ciało do biura Przełożonego Judenratu, by już tamtejsi pracownicy martwili się, co dalej. Jednocześnie kripo zażądała raportów dziennych od komendantów wszystkich posterunków, żeby zobaczyć, czy gdzieś w getcie nie zgłoszono brakującej lub zaginionej Żydówki. Przejrzano także rejestry szpitalne i wykaz pacjentów kliniki psychiatrycznej na Wesołej, gdzie wielu z zamożniejszych mieszkańców getta zostawiało swoich mentalnie lub fizycznie osłabionych krewnych. Lecz nie odkryto nigdzie zgłoszeń o zbiegłych lub zaginionych pacjentach.

Uznano zatem, że można stwierdzić z pewnością, iż ta kobieta *n i e p o c h o d z i* z getta.

Jednym z pierwszych, który ją zbadał, był „doktor robotników” Leon Szykier. Mówiono o nim doktor robotników, ponieważ był jedynym lekarzem w getcie, który nie zdzierał bezlitośnie z pacjentów, dzięki czemu stać było na niego także prostych ludzi. Doktor Szykier poddał ciało kobiety palpacji, stwierdził, że jest „nieco zmizerowana i wychudła”, ale poza tym bez objawów odwodnienia. Na łydkach i przedramionach było też coś podobnego do otarć albo zadrapań, które mogły oznaczać, że kobieta usiłowała się przedostać przez jakieś ogrodzenie. Innych obrażeń na ciele nie stwierdzono. Żadnego obrzęku gardła. Żadnej gorączki. Puls i oddech w normie.

Później miano dawać do zrozumienia, że te pół godziny, jakie Szykier spędził sam na sam z kobietą, starczyło, żeby ją „zbecześcić”. Inni rzecz jasna temu zaprzeczali. Faktem jest jednak, że gdy niemieccy żandarmi wnieśli ją do Sekretariatu, kobieta leżała na noszach całkiem spokojnie, natomiast pół godziny później — gdy doktor Szykier ją zostawił — miotła się po pryczy w gorączkowych spazmach i mamrotała nieskładnie słowa modlitw po hebrajsku i w jidysz.

Niektórzy twierdzili nawet, że w jej ustach pojawiały się ślady słów proroka:

aszrej kol-chochej lo —

Pan jest sprawiedliwym Bogiem.

Szczęśliwi wszyscy, którzy w nim ufają.

Nowina o porażonej kobiecie i jej osobliwej mowie szybko się rozeszła. Prezes kazał przetransportować nieszczęsną do chasydzkiego chederu na Lutomierskiej, gdzie zajął się nią reb o nazwisku Gutesfeld i jego pomocnik Fide Szajn. Chasydzi mieli później twierdzić, że reb Gutesfeld widział już wcześniej tę kalekę kobietę we śnie. W jego snach nie była ponoć sparaliżowana, lecz chwiejnym krokiem wędrowała od drzwi do drzwi po jakimś płonącym mieście. Nie wchodziła podobno do domów, lecz dotykała tylko mezuz na futrynach — jakby

dawała znak tym, którzy tam mieszkają, że mają rzucić wszystko i iść za nią.

Zdaniem chasydów nie zachodziła tu najmniejsza wątpliwość. To była *cadika*, święta niewiasta; może wysłana po to, aby po dwóch latach wojny i strasznej głodowej zimie wlać w serca Żydów zamkniętych w getcie trochę otuchy. Zwyczajni ludzie z getta mieli później mówić o niej Mara — „przepełniona goryczą”. Przez pewien okres ona jedna z całego getta, liczącego wówczas bez mała ćwierć miliona mieszkańców, nie miała stałego adresu ani kartki na chleb. Nie było jej nawet w rejestrze kripo, obejmującym przecież każdą duszę w getcie i co miesiąc aktualizowanym przez *Meldebüro* Wydziału Statystycznego.

Formalnie rzecz biorąc, jej sprawa leżała w gestii rabinatu, który jednak chętnie oddał ją pod opiekę reb Gutesfelda. Ale nawet chasydzi nie mieli odwagi pozwolić jej zostać. Często widywano, jak rebe i jego pomocnik chodzą wąskimi uliczkami, dźwigając kobietę na noszach. Fide Szajn szedł pierwszy, a Gutesfeld, który miał słabe nogi, a poza tym niedowidział, kuśtykał za nim w swoim długim czarnym kaftanie. Potrafili pokonać tym sposobem kilka kilometrów; na mroźnym wietrze, w deszczu lub w śnieżnej zawiei. Czasem rebe przystawał, żeby błędząc palcami po murze albo ścianie domu, spróbować odgadnąć, gdzie są, lub żeby dać Fide Szajnowi (który miał chore płuca) wykaszleć się do woli.

Czemu tak szli? Dlaczego ciągle szli dalej?

Niektórzy mówili, że to dlatego, iż owa kobieta nigdy nie ucichała. Skoro tylko stawiali nosze na ziemi, wyrwał się z jej gardła przenikliwy krzyk i biła na oślep rękami, jakby się opędzała od niewidzialnych demonów. Inni zaś mówili, że w każdym domu, w każdym zaułku, krył się jakiś szpicel gotów zaraz pobiec na kripo, gdyby wiedział, że ta kobieta tam jest; i co by się wtedy stało z „przepełnioną goryczą”?

W niektóre dni rebe wracał jednak z noszami do sali modlitw i w takie dni przed bramą zbierała się zawsze blada, lecz pełna nadziei gromada wierzących, że dotknięcie lub spojrzenie porażonej uśmierzy ból w ich ramionach albo zaleczy rany, które nie chciały się zagoić, albo nawet uwolni ich od męki głodu, która sprawiała, że dawniej silni i zdrowi mężczyźni wlekli się teraz ulicami getta jak upiory. Doktor Szykier, który był z przekonania socjalistą i nie cierpiał wszelkich przesądów, próbował skłonić policję, by odpędzała ludzi, ale rebe się uparł i twierdził, że jego sen zwiastował także przyście ludzi i że to byłby ciężki grzech odtrącać Żydów, którzy przychodzą, wierząc święcie, że Bóg Pisma potrafi sprawiać cuda także za pośrednictwem jednego ze swych najmniej godnych dzieci.

Wśród tych, którzy czekali w kolejce, była Hala Wajsberg, sąsiadka Adama Rzepina w domu na Gnieźnieńskiej, matka Jakuba i Chaimka, którzy spędzali dnie, szukając drewna i miału węglowego koło dawnej cegielni na Łagiewnickiej. Wieść o zdolnościach Mary dotarła do Hali przez jej przyjaciółkę, Borkę z Pralni Centralnej, więc Hala namówiła swego męża Samuela, żeby wybrał się do tej kobiety ze swym bolącym płucem.

W ciągu pierwszych miesięcy po zamknięciu getta nie było jeszcze żadnych mostów, tylko niemieccy wartownicy każdego ranka otwierali przejścia dla robotników, takich jak Samuel, którzy, by dotrzeć do pracy, musieli przewędrować z jednej połowy getta do drugiej. Przejścia te otwierano o określonych porach i trzeba było zdążyć tam na czas. Samuel zawsze miał wrażenie, że przebiega ulicę jako ostatni, nim dwaj żandarmi, którzy przepuszczali ludzi, zdążyli znów zagrodzić przejście zasiekami z drutu kolczastego, a pewnego ranka naprawdę był ostatnim, który wyszedł — nim się połapał, co się dzieje, znalazł się sam pośrodku „aryjskiego” korytarza,

podczas gdy getto z obu stron było już zamknięte.

Ci znudzeni niemieccy żandarmi, którzy nie mieli nic innego do roboty, jak dzień w dzień przestawiać zasieki, wymyślili sobie sadystyczną zabawę: za każdym razem, gdy udało im się schwytać jakiegoś Żyda w „korytarzu” między nimi, mieli chwilę ubawu po pachy.

Samuel potknął się i upadł, a jeden z żandarmów walnął go kilkakrotnie kolbą karabinu w plecy i podbrzusze, i kopał go okutym stalą wojskowym butem prosto w pierś, żeby go zmusić, aby wstał. Potem, gdy znów puszczono ruch uliczny, chwycili półprzytomne teraz ciało, rozbujali i przerzucili je nad płotem z drutu. I już długo po tym, jak znów mógł ruszać rękami i nogami, wciąż w lewym płucu Samuela pozostawał odcisk buta żandarma, jak samo piętno przemocy. I wcale się nie polepszyło, gdy zbudowano te drewniane mosty.

Każdy krok przy wchodzeniu na most sprawiał, że Samuel się dusił, każdy krok przy schodzeniu był męką. Czterdzieści siedem schodów w górę, czterdzieści siedem w dół. Za każdym krokiem coraz mniej powietrza w świszczącym, obolałym płucu. Gdy schodził na podest, stawał zlany potem, trzęsąc się jak osika, robiło mu się czarno przed oczami; ale przez mgłę głodu znowu przebijał się okuty w metal głos żandarma:

— *Schnell, schnell...!*

Beeilung, nicht stehenbleiben...!

Gdyby nie to, że pan Serwański w stolarni na Drukarskiej znał problem Samuela z uszkodzonym płucem, pewnie już dawno by go zwolnił, a wtedy co by się stało z rodziną? Hala myślała w pierwszym rzędzie o sobie. Getto już było pełne mężczyzn, których głód wydrażył do niepoznaki i którzy teraz tylko leżeli w domu, bladzi, gapiąc się w sufit, a ich kobiety same musiały żywić rodzinę.

Ten ranek, kiedy Hala Wajsberg zabrała swego męża Samuela do domu modlitw chasydów, to był zimowy, blady, lodowaty dzień z mgłą wiszącą tak nisko nad gettem, że jego trzy drewniane mosty były jak schody prowadzące wprost do nieba. Tego ranka w salce na zapleczu panował chaos. Porządkowi ze służby, która normalnie pilnowała w getcie fabryk, robili, co tylko mogli, żeby odepchnąć napierający z zewnątrz tłum, który z każdą minutą zdawał się coraz większy. Gromadka z pół tuzina kobiet przepchała się do samych noszy i teraz pochylały się nad twarzą sparaliżowanej ze swoimi chorymi dziećmi na rękach.

Wszyscy krzyczeli, jazgot był tak przeraźliwy, że nikt nie spostrzegł, iż chora kobieta sama już dawno przestała krzyczeć. Doktor Szykier otworzył swoją dużą czarną lekarską torbę i w blasku świec, które Fide Szajn rozstawił dokoła noszy, zrobił zastrzyk w wychudzone, usiane masą ropiejących czerwonych otarć ramię Mary.

W tym samym momencie do salki wkroczyła Helena Rumkowska ze świtą.

Ostatnimi czasy księżnej Helenie także zaczęła dokuczać typowa dla getta choroba, owa *malaise au foie*, która, jak twierdził jej nadworny medyk, doktor Garfinkel, dotykała wielu „wybranych” w getcie. Jak oznajmiało to francuskie słowo, choroba gnieździła się głównie w wątrobie. Od ataku żółtaczki przed wieloma laty pani Rumkowska miała, jak wszyscy wiedzieli, wrażliwą wątrobę. Niejednoznaczne objawy choroby, jakich wątroba dostarczała, stanowiły niewyczerpany temat rozmów podczas obiadów, które księżna wydawała regularnie w garkuchni dla inteligencji, przy Łagiewnickiej. Do owej kuchni mieli dostęp tylko mieszkańcy getta z kuponami B, „przyzwoici ludzie”, jak się wyrażała, i było wielkim darem łaski móc zobaczyć, jak podczas jakiejś ze swoich inspekcji księżna Helena przystaje, życzliwie schyla się

nad którymś z konsumujących obiad gości, wyciąga krzesło, albo nawet wręcz się przysiąda, i prowadzi kawałek salonowej konwersacji.

Do jeszcze wyżej cenionych faworów, nieosiągalnych dla większości, trzeba zaliczyć o s o b i s t e zaproszenie do „rezydencji” Heleny i Józefa Rumkowskich na ulicy Karola Miarki na Marysinie. Ich dom nie był wprawdzie nazbyt okazały: opalana drewnem podniszczona dacza z masą ciasnych izdebek, snycerką na schodach i rosyjskimi dywanami, i przeszkloną werandą, której okna pod tchnieniem zimy zachodziły parą i robiły się takie błyszczące i białe od szronu jak porcelana w wyjmowanym oku doktora Millera.

Za to z sufitu zwisał kryształowy żyrandol, który księżna Helena wzięła z sobą z ich starego domu w Łodzi; był reliktem minionej epoki. Goście, którzy byli w domu u Rumkowskich, mówili nie tylko o słynnym „gościnnym stole” zastawianym przez księżną Helenę, ale także o tym, jak plamki światła z żyrandola rozsiewały mieniące się barwami cętki po tej ciasnej izbie, od prostych zasłon z tiulu po trzcinowe meble i matowo połyskujący lniany obrus.

Dla wielu ludzi w getcie adres na Karola Miarki stał się symbolem tych pogodnych „złotych czasów”, którym kres położyła wojna. Na przykład pod tym właśnie żyrandolem, w pewien pamiętny wieczór, księżna Helena kazała rozpruć cały wór pełen czyżyków, które pan Tausendgeld polecił przynieść z woliery w ogrodzie: a to w tym celu, aby raz na zawsze, symbolicznie, przepędzić chorobę, nie tylko tę gnieźdzącą się w ciele księżnej Heleny, ale ze wszystkich zacnych mieszkańców getta. Lecz nawet takie dramatyczne zabiegi nie pomagały. Wątroba nadal dręczyła księżną Helenę. Przez dziesięć dni Helena spoczywała w egipskich ciemnościach, zamknięta w swojej sypialni, aż doktor Garfinkel uprosił ją, by spróbowała, jako ostatnią szansę, spotkać tę kobietę, o której wszyscy rozprawiali, a która, nie wiedzieć jakim cudem, posiadała dar uzdrawiania.

A więc w wielkich mękach i z wielkim rabanem kazała się zawieźć jedną z gettowych *droszkes* do domu modlitw chasydów. To, że tam byli inni ludzie, niemile ją zaskoczyło, a zatem rozkazała „opiekunom” wyrzucić na dwór tych wszystkich chromych i kalekich. Dopiero kiedy salkę opróżniono, pozwoliła sobie pochylić się nad tym nieszczęsnym, żalonym stworzeniem, które leżało tam wyciągnięte na noszach.

Właśnie wtedy zdarzyło się t o, czego potem nie potrafili jasno wytłumaczyć nawet najbliżsi księżnej Heleny. Ktoś miał później napisać, że porażoną wstrząsnął jakby „nagły paroksyzm”. Inni zaś opowiadają, że było tak, jakby się dłonią przysłoniło światło. W jasne i czyste spojrzenie kobiety wdarła się ciemność i drżący niepokój. „To dybuk!”, krzyknął pan Tausendgeld. A może najzwyczajniej było tak, że Mara wybiła się na moment z ciężkiego morfinowego snu, w którym pogrążył ją doktor Szykier, a Helena Rumkowska, która łatwo wpadała w egzaltację, poczuła, jak ściska jej się serce z powodu czegoś, co przed chwilą zamajaczyło jej w czystym jak łąza spojrzeniu chorej. Tak się wzruszyła, że z torebki wyjęła małą chusteczkę, której koniuszki delikatnie nawilżyła śliną, zanim się nachyliła, żeby wytrzeć — c o? — no właśnie, c o też chciała wytrzeć? (później już sama Helena Rumkowska dobrze nie pamiętała) — może ślinę z kącika ust kobiety, łzy z jej policzka, pot z jej czoła.

Lecz drżąca dłoń księżnej Heleny wraz z chusteczką nie dotarła do celu.

W tej chwili spazmy znów trągnęły ciałem tej obcej kobiety. Doktor Szykier, który przez cały czas wychodził z założenia, że pacjentka cierpi na epilepsję, rzucił się ku niej, żeby jej rozewrzeć szczękę. Lecz zamiast stawiać opór Szykierowi, kobieta otworzyła usta jak najszerzej i w tej

sekundzie, kiedy dybuk (według Tausendgelda) opuszczał jej ciało, cała ta przerażona kupa ludzi tłocząca się na podwórku domu modlitw, mogła zajrzeć prosto w opuchnięte gardło i podniebienie obłożone grubym białym nalotem. Mara wypowiedziała ponoć w tym momencie dwa krótkie zdania, wedle niektórych jedynie dwa z trudem wydobyte słowa — tym razem jednak w całkowicie „zrozumiałym” jidysz:

— *Du host mich geszendt...!*

A bejzer ruech zol dich und dajn hojz chapn...

[Zhańbiłeś mnie...!]

Niech diabli porwą ciebie i twój dom...]

I to wszystko. W pierwszej konfuzji wystraszona księżna Helena przyłożyła chusteczkę do twarzy, a gdy zorientowała się, co robi, usiłowała, krzycząc histerycznie, strząsać chusteczkę z palców:

— Ona jest chora! Ona chora!

Zesłali na nas zarazę!

W ciągu paru sekund salka opustoszała, zostali sami porządkowi. Leon Szykier uprosił ich, żeby posłali po karetkę, lecz zamiast tego powrócili z wiadomością, że brat pana Prezesa — Józef Rumkowski — w żadnym wypadku nie zamierza dopuścić, żeby jakiś szpital w getcie przyjął tę kobietę. Oficjalnie utrzymywano, że nie można jej poddać leczeniu, ponieważ nikt nie wie, kim ona jest. W gettowym *Meldebüro* nie była zarejestrowana. A skoro nie ma nazwiska, pod którym by ją można zaksięgować, to skąd w ogóle pewność, że to jest Żydówka, a nie jakaś osoba, którą Amalek przysłał pod przebraniem, by rozsiewała wśród nich wszystkich rozkład i chorobę?

Przez cztery dni i noce pierwsza dama getta walczyła o życie, będąc krok od śmierci, na skutek spotkania z tą chorą kobietą. Józef Rumkowski przyniósł do pokoju księżnej Heleny jej ulubione ptaszki: makolągwy, które zazwyczaj obsiadały drzewka owocowe; śmiesznego szpaka, który podskakiwał i naśladował głos marszałka Piłsudskiego.

Lecz także ptaszki siedziały teraz w swoich klatkach ciche, przygnębione.

W domu modlitw na Lutomierskiej doktor Szykier zorganizował stację kwarantanny. To była pierwsza taka w getcie i należało ją traktować wyłącznie jako prowizorium, przed salką bowiem znowu zaczął się gromadzić tłum. Choć teraz był o wiele bardziej agresywny i składał się przeważnie z mężczyzn, którzy żądali, aby tę kobietę wydalić z getta.

— Hańba, hańba! Ściągają do getta zarazę!

W końcu rebe chasydów nie widział innego wyjścia, jak znów ułożyć chorą na noszach i znowu ją obnosić. Dwie pierwsze doby spędziła w kuchni u doktora Szykiera. Lecz rozwścieczony tłum wkrótce trafił i tam. Tak więc zaczęła się chwiejna wędrówka, tułaczka po różnych domach i adresach, która miała potrwać aż do nocy z 4 na 5 września 1942, pierwszej nocy szpery, kiedy to Prezes odjął swoją chroniącą rękę od getta i niemiecka policja pod dowództwem Hauptsturmführera SS Günthera Fuchsa chodziła od domu do domu i zabierała z getta wszystkich chorych, wszystkie dzieci i starców.

A dla Samuela Wajsbęrga nie było żadnego ratunku.

Ani dla jego żony Hali, która trzy dni po ogłoszeniu zakazu opuszczania domów miała stracić swojego najukochańszego syna, Chaimka.

To było tak, jak stracić samo życie.

Dwa dni po awanturze w bożnicy chasydów Prezes zwołał kolegium lekarskie, gdzie raz na zawsze miano postanowić, jak postępować wobec epidemii, które zagrażają istnieniu getta od wewnątrz. W zebraniu uczestniczył także przedstawiciel rabinatu, rabbi Fajner, gdyż przedmiotem obrad miały być kwestie dotyczące nie tylko zdrowia fizycznego.

Po zebraniu rozpętała się gwałtowna chwilami dyskusja.

Doktor Szykier stanowczo zdementował wszelkie plotki, jakoby kobieta była nosicielką zarazy, i zyskał przy tym poparcie gettowego ministra zdrowia, Wiktora Millera, który stwierdził, że jeśli chodzi o dyfteryt, to w jego przebiegu faktycznie są fazy, czy też fazy wstępne, mogące przypominać porażenie nerwów. Ponadto, ciągnął doktor Miller, dyfteryt zagraża przede wszystkim młodzieży, ale choroba ta przenosi się wyłącznie drogą z ust do ust, co mimo wszystko ogranicza zagrożenie. Inaczej ma się sprawa, mówił, z zarazą niesioną przez wodę pitną i przez to, co jemy, czy insekty, od których roi się we wszystkich ścianach — żeby się z tym uporać, trzeba by przecież przeprowadzić sanację całego getta.

— Do walki z czerwonką i tyfusem trzeba nam lekarzy; niczego więcej jak tylko — lekarzy, lekarzy, lekarzy!

Walka z epidemiami w getcie miała stać się prywatną walką doktora Millera. — Ludzie się skarżą, że nie mogą dłużej trzymać koszer, ale że trzeba przegotować wodę albo utrzymać czystość koło pieca — o tym nie pomyśl! — Niemordowanie mierzył swoją okutą białą laską głębokość otwartych rynsztoków, tą resztką palców, która mu została w dłoni, przeszukiwał sterty odpadków i kloaki; wtykał kciuki za pęczniejące lub powybrzuszane tapety, w poszukiwaniu tyfusowych wszy. Przy najmniejszym podejrzeniu o tyfus albo czerwonkę cały dom był poddawany kwarantannie.

Z czasem tę walkę zwieńczył sukces. W ciągu jednego roku liczba zachorowań na czerwonkę zmniejszyła się dziesięciokrotnie, od 3414 przypadków w ciągu drugiego roku istnienia getta do niespełna 300 rok później. Podobna spadająca krzywa ilustruje zapadalność na tyfus: ze szczytem w okresie od stycznia do grudnia 1942 — 981 przypadków — i stopniowym spłaszczeniem linii w ciągu dwóch kolejnych lat.

Co do wybuchu dyfterytu w getcie, zachodzi jednak coś dziwnego. W ciągu pierwszej doby po awanturze w bożnicy chasydów przychodnie w getcie rejestrują siedemdziesiąt cztery nowe przypadki dyfterytu, lecz następnego dnia już tylko dwa, a potem żadnych. Tak jak ów mglisty kształt przepływający nad twarzą chorej, dostrzeżony przez pana Tausendgelda, zaraza zjawia się i znika z getta jak pospiesznie wyszeptane słowo. Nawet księżna Helena nie odczuwa żadnych jej przykrych skutków, mimo że leży dzień za dniem na piętze na Karola Miarki, trzęsąc się od gorączki i oczekując, aż ten przeraźliwy głos, który zawołał do niej z opuchniętego gardła Mary, zagnieździ się także w niej.

Ale nic się nie dzieje. Przynajmniej na razie.

Wczesnym rankiem dnia 9 maja 1941 nowo mianowany minister propagandy Rumkowskiego, Szmul Rozensztajn, wstąpił na skrzynkę od piwa ustawioną przed biurem na Bałuckim Rynku i obwieścił wszystkim, którzy chcieli słuchać, że pan Prezes wyjechał do Warszawy w celu ściągnięcia stamtąd lekarzy dla getta. Wszędzie tam, gdzie zbierali się ludzie, od salonu fryzjerskiego Wiewiórki na Limanowskiego aż po szwalnię na Łagiewnickiej, przekazywano sobie dalej tę wiadomość: „Prezes wybrał się do Warszawy, aby szukać ratunku dla chorych w getcie”.

Ledwie Prezes zdążył wyjechać, a już zaczęto się szykować na jego powrót. Chciano przywitać go na wielką skalę — *afn kiniglechn ojfn*, po królewsku — z powozem, wartą honorową i tłumami wiwatujących gapiów trzymanymi w stosownej odległości przez żydowską policję mundurową. Chociaż w rzeczywistości chodziło tu o zwykły, rutynowy transport, zorganizowany przez gestapo, które codziennie przemierzało te sto trzydzieści kilometrów do Warszawy i nie miało zupełnie nic przeciwko temu, aby wraz z konwojem wybrał się jeden Żyd, skoro był taki głupi, że za bilet zgodził się zapłacić 20 000 marek.

Wizyta Rumkowskiego w Warszawie potrwała osiem dni.

Dzień i noc był podejmowany przez członków Judenratu Adama Czerniakowa, ale przyjmował także członków ruchu oporu i kurierów, którzy próbowali wydobyć z niego wszystko, co mógł wiedzieć o ruchach niemieckich transportów i sytuacji Żydów pozostających w Wartheland. Sam Prezes jednak nie był ciekaw, jak się żyje warszawskim Żydom, jak zorganizowali swoją *alejnhilf*, jak rozdzielają żywność, ucząc dzieci czy uprawiają agitację polityczną. Wszędzie taszczył ze sobą duży kufer. W kuftrze spoczywały druki informacyjne i broszury, które na jego polecenie zestawiał w Wydziale Statystycznym getta mecenas Neftalin, a wydrukował Rozensztajn. Były tu szczegółowe dane o tym, ile gorsetów i staników miesięcznie produkuje jego szwalnia konfekcji damskiej i ile płaszczy mundurowych, rękawiczek, czapek wyjściowych czy podszywanych skórą czapek maskujących obstałował u niego niemiecki *Heeresbekleidungsamt*. Na warszawskich Żydach, którzy się z nim zetknęli, ten starzec ze swoim kufrem wywarł niezatarte wrażenie:

Przebywa tu od paru dni osobnik znany jako Król Chaim, siedemdziesięcioletni starzec z wybujałymi ambicjami i lekko stuknięty [*a bisl a cedrejter*]. Opowiada cuda o swoim getcie. W Łodzi [jak mówi] jest żydowskie państwo, mające czterystu policjantów i trzy więzienia. Ma tam własne „ministerstwo spraw zagranicznych” i wszelkie inne ministerstwa. Na pytanie dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze, dlaczego tak wielu umiera, nie odpowiada.

Uważa się za pomazańca bożego.

Tym, którzy mają siłę słuchać, opowiada, jak zwalcza korupcję w policji. Mówi, że wchodzi do lokalnej komendy policji i ze wszystkich, którzy tam stoją, zdziera czapki i opaski.

Tak oto pomazaniec boży wymierza sprawiedliwość w getcie Litzmannstadt.

Rada Starszych zarządzająca Litzmannstadtem ma siedemnastu członków. Wszyscy posłuszni, gotowi na jego najmniejsze skinienie. Rumkowski nazywa ich s w o j ą Radą. Wszystko w getcie uważa najwyraźniej za swoją prywatną własność. To są j e g o banki, j e g o punkty skupu, j e g o sklepy, j e g o fabryki. Wygląda na to, że to także j e g o epidemie, j e g o nędza, j e g o wina za całe to upokorzenie, którym karmi swoich mieszkańców.

Spotkali go także Adam Czerniaków i inni członkowie Judenratu w warszawskim getcie. Czerniaków pisze w swoim dzienniku:

W Gminie Rumkowski zdawał relację ze swojej działalności w Łodzi.

Jest to samochwalec. Zarozumiały i głupi. Szkodliwy, bo wmawia władzom, że u niego jest dobrze.

Kiedy się przysłuchiwałem jego wywodom, przypomniałem sobie mimo woli ś.p. adwokata Świerzewskiego (znanego z dowcipu). Powiedział on kiedyś: „Co to by było, gdyby skazanego na śmierć nie bronił adwokat Sterling!”

Ale Rumkowski rozglądał się dokoła i z tego, co widział, wynikało jedno. W odróżnieniu od getta w Litzmannstadcie w getcie warszawskim panował tylko chaos i degrengolada. Zdawało

się, że ludzie nie pracują i całymi dniami włóczą się tylko bez celu. Na trotuarach siedziały szeregi żebrzących wynędzniałych dzieci i ich wygłodzonych matek. Z jakiejś restauracji — że ciągle jeszcze takie mieli! — dobiegał rejwach i pijane wrzaski. Kontrasty były olbrzymie. Rumkowskiego zaprowadzono do sklepu kolonialnego przerobionego na ambulatorium. W witrynie sklepu na drewnianych kozłach położono deski i na tych prymitywnych pryzkach leżeli starcy i konali na oczach przechodniów. Odwiedził garkuchnię Poalej Syjonu, gdzie ludzie wszędzie, gdzie tylko było miejsce, siedzieli i leżeli, siorbiąc darmową zupę.

Wszędzie, gdzie się pojawiał, ludzie podnosili lament.

Żalili się na brud, ciasnotę, wstrętne warunki sanitarne.

Zwołano na spotkanie w siedzibie gminy wszystkich Żydów, którzy z początkiem wojny uciekli z Łodzi i teraz ugrzęźli tu, w sieci kliki Abrahama Gancwajcha, lub jako lizodupcy Czerniakowa. Chodziło o tysiące łódzkich Żydów, starych i młodych, którzy wypełnili salę po ostatnie miejsca stojące.

Miał z sobą swój kufer podróżny z wiekiem otwartym na oścież.

— Nic — powiedział — zupełnie nic dziś nie przemawia przeciwko gettu jako przyszłej formie egzystencji dla Żydów Europy...!

— Dziś w Europie toczy się wojna. Ale wojna to dla Żydów Europy nie nowina. Przez wszystkie lata, kiedy ciemne chmury przeciągały nad naszymi wsiami i miastami, nauczyliśmy się radzić sobie z tym faktem, że żyjemy odcięci od siebie i nie możemy poruszać się swobodnie.

W dawnych latach, jeżeli w naszych miastach i wsiach panowała bieda i nędza, jeżeli brakowało lekarzy czy lekarstw, podejmowano w radach gmin decyzję o wysłaniu posłańca, który miał się rozwiędzić, czy gdzieś w sąsiednim mieście nie znajdzie się lekarz, który by mógł powrócić razem z nim, by leczyć i uzdrawiać.

TRAKTUJ CIE MNIE JAKO TAKIEGO POSŁAŃCA. — Ja jestem zwykłym, prostym Żydem, który przychodzi do was z prośbą o waszą pomoc. [...]

Większość z was na pewno słyszała o moim getcie.

Złe języki twierdzą, że moi Żydzi z własnej woli zgodzili się na niewolniczą pracę. Że niby tyramy w brudzie i nieczystościach. Że z własnej woli łamiemy przykazania o szabasie, że umyślnie jemy trefne potrawy. Że się ponizamy, wykonując najdrobniejsze polecenia okupanta.

Ci, którzy mówią to wszystko, nie umieją właściwie docenić wartości pracy. Tak bowiem napisano w Pirke Awot: NIE OCZEKUJE SIĘ OD CIEBIE, ABYŚ DOKOŃCZYŁ SWOJEJ PRACY; ALE NIE WOLNO CI TEŻ JEJ PONIECHAĆ.

I cóż to znaczy? To znaczy, że w pracy nie chodzi tylko o twoją czy moją zasługę. Bo praca to spoiwo społeczności.

Praca nie tylko oczyszcza. Praca także chroni.

U nas, w naszym getcie, nikt nie umiera z głodu. Każdy, kto pracuje, ma prawo do tego, co jest do podziału. Lecz kto ma prawa, ten ma także obowiązki.

Ten, kto przywłaszcza sobie wspólne dobro, kto nim frymarczy dla własnego zysku, ten będzie także wykluczony z *chewry*, i nigdzie sobie nie znajdzie pożywienia. Nie będzie miał gdzie spać. I nie będzie miał dokąd pójść się pomodlić.

I przeciwnie, ten, kto jest gotów pracować dla wspólnoty, będzie za to nagrodzony. Nie przychodzę do was jako ten, który prawi kazania i poucza. Jestem prostym człowiekiem. Bóg mi dał, jak każdemu innemu, parę rąk. Te ręce wznoszę teraz ku wam, prosząc: wróćcie do nas do Litzmannstadtu i pomóżcie nam budować dom dla wszystkich Żydów.

Wszelki wkład będzie mile widziany.

Można także ofiarować pieniądze.

Ludzie przychodzili do niego nocami.

Nie chcieli słuchać o jego wysokich wynikach produkcyjnych i wszystkich jego sukcesach w zwalczaniu korupcji i czarnej giełdy w getcie. Chcieli usłyszeć, jak im opowiada o ich bliskich, którzy zostali w Litzmannstadcie, o dzielnicy, w której mieszkali, chcieli wiedzieć, czy jeszcze stoją ich domy i czy ci, którzy kiedyś tam mieszkali, jeszcze żyją. A on otwierał wieko swego kufra i rozdawał listy i pocztówki, i żeby jeszcze bardziej „odświeżyć” ich pamięć, opowiadał o kasztanowcach, jakie Niemcy kazali im teraz, na wiosnę, zasadzić przy Lutomińskiej. To miała być prawdziwa aleja. Opowiadał o dzieciach chodzących codziennie do szkoły, o koloniach

letnich, które planował założyć na Marysinie: siedemnaście tysięcy dzieci miało otrzymywać po trzy posiłki dziennie; miały się uczyć jidysz, hebrajskiego i historii Żydów pod opieką nauczycieli wykształconych przez niego specjalnie w tym celu; cały szpital z najnowocześniejszą aparaturą został oddany mu do dyspozycji wyłącznie dla dzieci. Dzieci miały w zamian pracować, siejąc i sadząc warzywa i ziemniaki na wiosnę. Opowiadał, że są już spółdzielnie rolnicze, gdzie setki kibucników pracują przy sadzeniu ziemniaków. Trzy razy do roku robili wykopki.

Wyjmował z kufra *Informator far klajngertner*, poradnik o uprawie warzyw, wydrukowany przez Szmula Rozensztajna. Nieważne k i m, tylko c z y m się jest, mówił, machając broszurą, liczy się tylko to, że każdy, kto przychodzi, zna swój fach i nie boi się roboty.

*

Po przeszło tygodniu Prezes wrócił do Litzmannstadtu. Nie przywitano go bynajmniej *afn kiniglechn ojfn*. Jedno z aut gestapo wysadziło go przy granicy getta. Było około wpół do szóstej po południu. Getto leżało wyludnione. Dalej, na Zgierskiej, niedaleko drewnianego mostu, stał tramwaj, całkiem nieruchomy, jakby uderzył w niego piorun.

Gdzie się podzieli wszyscy ludzie? Jego pierwsza myśl była absurdalna: że ludność getta, pozbawiona jego obecności, najzwyczajniej wymarła z głodu i zgrzyoty.

Druga myśl była sensowniejsza: że ktoś pod jego nieobecność dokonał przewrotu. Czy to bundowcy, czy Poalej Syjon, czy ci postrzeleńcy marksiści znów się sprzyśegli przeciw niemu? Czy może spolegliwy Dawid Gertler przekonał władze, że powinien przejąć także funkcje policji porządkowej?

Ale jeżeli tak się stało — dlaczego wszędzie jest tak cicho?

Die Feldgrauen stali jak zwykle, wyprężeni i idiotyczni w swoich budkach w biało-czerwone pasy. Nie spoglądali nawet w jego stronę. Postanowił nie głowić się nad tym, chwycił za kufer i ruszył w stronę szlabanu granicznego przed wejściem na Bałucki Rynek.

Przed długim rzędem baraków, w których mieściła się administracja getta, stała zaparkowana ciężarówka, za nią zaś — jakby chowali się przed bombą — oczekiwał cały sztab, na czele z panną Dorą Fuchs, Mieczysławem Abramowiczem i wszędobylskim do znudzenia Szmulem Rozensztajnem. Zdawali się spięci, jakby przyłapał ich na czymś wstydlwym.

— Gdzie są wszyscy ludzie?

— Ktoś strzelał w getcie, panie Prezesie.

— Kto? Kto strzelał?

— Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że strzały padły z getta. Jeden z nich trafił nieszczęśliwie niemieckiego funkcjonariusza. Pan Amtsleiter jest bardzo wzburzony.

— Gdzie Rozenblat?

— Nadkomendant policji Rozenblat został wezwany przez władze na przesłuchanie.

— To wezwać tu Gertlera.

— Pan Amtsleiter Biebow ogłosił w getcie zakaz wychodzenia z domów do czasu aresztowania sprawcy. Jeżeli sprawca nie ujawni się do siódmej jutro rano, pan Biebow grozi rozstrzelaniem osiemnastu Żydów.

— A gdzie ci Żydzi teraz są?

— W Czerwonym Domku, Panie Prezesie.

— No, to idziemy do Czerwonego Domku. Pan idzie z nami, panie Abramowicz.

Czerwony Domek to dwupiętrowy budynek przy placu Kościelnym, w kwartale za kościołem

Maryi Panny, z solidnej czerwonej cegły; stąd ta nazwa.

Przed okupacją ten czerwony dom służył za dom parafialny, lecz skoro tylko utworzono getto, od razu wpadł w oko niemieckiej policji kryminalnej, która wyrzuciwszy księży, osadziła tam swoich ludzi. Na piętrach siedziały polskie maszynistki i sporządzały raporty dla sztabu w śródmieściu Litzmannstadtu. W piwnicach były cele tortur.

W getcie Żydzi mogli swobodnie, przynajmniej w myślach, przewędrować każdą dzielnicę. Każdy mieszkaniec Bałut potrafiłby nawet po omacku z łatwością znaleźć jakie bądź podwórko, zaułek czy róg. Lecz przy Czerwonym Domku język i myśl stawały. Już samo wymówienie nazwy *Rojte Hajzl* było jak dotknięcie chorego zęba: całe ciało kurczyło się z bólu. Mieszkańców z sąsiedztwa, z Brzezińskiej i Jakuba, co noc budziły krzyki torturowanych; i każdego ranka — czy były trupy do wywiezienia, czy nie — pan Muzyk, przedsiębiorca pogrzebowy, czekał tam ze swoim wozem.

W swoim dzienniku Szmul Rozensztajn opowiada, że Rumkowski dwukrotnie spotkał się z władzami tego samego dnia, gdy wrócił z Warszawy.

Najpierw w Czerwonym Domku (gdzie w końcu się doczekał powitania, jakiego się spodziewał przy powrocie: osiemnastu mężczyzn, zakładników Biebowa, przyciskało złężnione twarze do więziennych krat i wykrzyczało swoją ulgę na widok powracającego oswobodziciela); potem z samym Biebowem, w jego bałuckim biurze.

Wtedy jednak historia tego, co się wydarzyło, wyglądała już nieco inaczej:

Okazało się, że nie było w getcie żadnej strzelaniny. Natomiast jakiś ciężki, tępy przedmiot został rzucony z za drutów, z terytorium getta, i trafił w tramwaj przejeżdżający właśnie „aryjskim” korytarzem. Ten sam tramwaj, który widział stojący na Zgierskiej, gdy przybył. Kamień z getta stłukł szybę w tramwaju i odłamki szkła poraniły pasażera. Może i dałoby się przymknąć na to oko, gdyby nie to, że skaleczony nosił nazwisko Karl-Heinz Krapp, urzędnik z kancelarii nadburmistrza Wernera Ventzkiego; czystej krwi Aryjczyk.

Ze swojej strony kripo przyjęło od razu, że ma do czynienia z zamachem, i rozkazało aresztować pół setki ludzi, świadków owego incydentu, a osiemnastu spośród nich osadzono w celach przesłuchań Czerwonego Domku. Począwszy od godziny siódmej następnego ranka, miano co godzinę rozstrzeliwać jednego zakładnika, tak długo, póki się nie zgłosi ten, kto rzucił kamieniem.

— Jeżeli ma pan zamiar coś w tej sprawie zrobić, najlepiej wziąć się za to od razu — powiedział Biebow Rumkowskiemu.

Na rozkaz Rumkowskiego Dawid Gertler miał przeszukać wszystkie kwartały z prawej strony Zgierskiej. Ludzie Gertlera postanowili zabrać się do rzeczy z naukową precyzją. Żeby móc trafić w tramwajowe okno pod tym kątem, kamień musiał zostać rzucony ze stosunkowo dużej wysokości, a więc z drugiego lub trzeciego piętra którejś z czynszówek stojących wzdłuż Zgierskiej. To wykluczało wszystkie domy poza trzema.

Ludzie Gertlera pobiegli w górę krętymi, zniszczonymi schodami; wdzierali się do mieszkań, wyważając zamknięte lub zabarykadowane drzwi.

Koło wpół do ósmej Gertler mógł osobiście zameldować, że sprawca jest już otoczony. Znajdował się w mieszkaniu na najwyższym piętrze budynku Zgierska 87. W mieszkaniu przebywały najwyraźniej także dzieci. Gdy policjanci sforsowali drzwi mieszkania, dobiegł ze środka dziecięcy krzyk.

— Mamy wejść mimo to? — zapytał Gertler.

— Nic nie róbcie — powiedział Prezes. — Ja sam tam pójdę.

Zgierska 87 była najbardziej odrapaną z czynszówek wychodzących na poprzeczną ulicę Flisacką. Cztery rzędy okien w fasadzie wyglądały jak otwory jaskini. W oknach nie było ani jednej całej szyby. W większości z nich brakowało także ram okiennych i jedyne, co miało chronić przed deszczem i zimnem, to był kawałek zwykłej papy albo płachta poplamionego prześcieradła.

Policjanci już otoczyli budynek kordonem i skoro tylko Prezes zjawił się na miejscu, zaprowadzono go na samą górę, do mieszkania na czwartym piętrze. Najbliżej pieca siedzieli dwaj skuleni mężczyźni, na czymś podobnym do leżącej dnem do góry emaliowanej wanny; jakaś kobieta stała obok, wycierając dłonie o swój brudny fartuch. Gertler ruszył przodem i podszedł do czegoś w rodzaju komórki czy garderoby na końcu pokoju i parokrotnie załomotał pięścią we framugę drzwi.

— Idźcie stąd, zostawcie nas w spokoju — dobiegł ich przytłumiony głos ze środka.

(Gruby, męski głos).

Prezes podszedł do drzwi i powiedział władczym głosem:

— To ja. Tutaj Rumkowski.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Komuś zdawało się, że słyszy szepty i odgłos mocujących się z sobą ciał. W garderobie było wyraźnie więcej osób.

Rumkowski:

— Żądamy, żeby się ujawnił ten, kto się dopuścił tego czynu. Inaczej zginie osiemnastu niewinnych Żydów.

Znowu: cisza. A potem głos. Bardzo cieniutki głos:

— Czy to naprawdę pan Prezes?

Jakieś dziecko. Ludzie z komanda Gertlera wymienili znaczące spojrzenia. Prezes odchrząknął i powiedział głosem, któremu usiłował nadać ton nieznoszący sprzeciwu:

— Jak się nazywasz?

— Mosze Kamersztajn.

— To ty rzuciłeś tym kamieniem, Mosze?

— To niechcący tylko tak wyszło.

— Czemu rzuciłeś tym kamieniem, Mosze?

— Ja rzucam kamieniami w szczury. Ale ten mi się wymknął.

— Kamień czy szczur?

— To naprawdę pan, panie Prezesie?

— Ja, Mosze, i jeszcze mam dla ciebie prezent.

— Jaki prezent?

— Jak stamtąd wyjdiesz, to zobaczysz. Mam go w moim kufrze.

— Panie Prezesie, ja się boję wyjść. Bo mnie pobiją.

— Nikt cię nie będzie tutaj bił, masz na to moje słowo.

— Jaki to prezent? Kiedy go dostanę?

Ten gruby męski głos ze środka:

— Przestań, nie widzisz, że cię chcą oszukać?

— Mosze, kto tam jest z tobą w komórce?

(Cisza).

— Nie mów nic!

— Czy to twój tata?

— Tak...

— CICHY GNOJKU!

Zapadła cisza.

Na chwilę. Potem Prezes znowu przemówił:

— Mosze, powiedz swojemu tacie, że jak się pokażesz, to ja ciebie wezmę do siebie. W mojej policji zawsze się znajdzie miejsce dla bystrego chłopca.

(Cisza).

Jesteś już dużym chłopcem, Mosze? Powiedz, jesteś mężczyzną?

— Siedź cicho!

(Cisza).

— Powiedz mi, Mosze, co ty umiesz? Co ty robisz dobrze?

— Szczury dobrze tłukę.

— To będziesz u mnie tłukł szczury.

— Będę policjantem?

— Mało tego. Ja cię mianuję szefem specjalnego szczurzego komanda. Jeżeli tylko otworzysz te drzwi i wyjdiesz. Nigdy nie jest za późno, Mosze, żeby sensownie pokierować swoim życiem.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich wychudły trzynastolatek, mrugając niepewnie pod światło. Za nim stał starszy mężczyzna; blady, nieogolony. Rozglądał się z zażenowaniem. Wyraźnie krępowała go obecność wszystkich tych ludzi w ich ciasnym pokoju. Chłopiec był równie blady jak ojciec i jakby krzywo wyrosnięty. Prawa strona jego twarzy zwiślała nad lewą, jakby zwiotczała i zupełnie pozbawioną czucia. Podobnie było z całym ciałem: jakby ktoś wbił mu w jedno ramię hak rzeźniczy, a reszta ciała zwiślała, bezwładna i martwa. Lecz ta część twarzy, która żyła, promieniała nadzieją i ekscytacją.

Sporo się później w getcie miało mówić o właściwym podejściu Prezesa do dzieci. To dziecko, prowokując władze, narażało życie setek niewinnych Żydów. Nikogo by nie zdziwiło, gdyby w tym momencie Prezes wymierzył którąś ze swych najostrzejszych kar dyscyplinarnych. Lecz nie uczynił tego. Przykucnął tylko i wziął obie ręce chłopca w swoje dłonie.

— Jak myślisz, Mosze Kamersztajn, co bym z tobą zrobił, gdybyś był moim synem?

Objawienie Prezesa było tak przytłaczające, że chłopiec nie mógł zdobyć się na więcej, jak tylko gapić się w brudne deski podłogi; pokręcił głową.

— Poprosiłbym cię, żebyś dobrze rozważył w duchu swój uczynek i żebyś potem godnie przyjął swoją karę. Jeśli ci się to uda, to odzyskasz mój szacunek.

Wziął chłopca za rękę i poprowadził go, mijając policyjny kordon, schodami w dół i na ulicę. Potem poszli ręką w rękę przez getto. Prezes pierwszy, gestykulując żywo (najwyraźniej w trakcie opowiadania którejś ze swoich niezliczonych historii); chłopiec za nim, zataczając jak w tańcu swoim sztywnym biodrem.

W połowie drogi do Kirchplatzu spotkali Meira Klamma z jego wozem. Zakład pogrzebowy pana Muzyka miał z czasem korzystać z wielkiego wozu mieszczącego trzydzieści sześć wysuwanych szuflad i skrytek na trupy; ale wtedy była to ciągle jeszcze furka z miejscem na jedne zwłoki, zaprzężona w starą kobyłę, którą zawsze wysyłano, gdy w getcie brakło zwierząt

pociągowych: tak wychudzoną, że jej żebra wystawały z boków jak źle spleciony ażurowy kosz. Rozpoznawało się ją głównie po jej chodzie. Robiła krok lub parę kroków w przód i przystawała; następnie znowu krok lub parę wycieńczonych kroków; i stary Meir na koźle nie był w stanie uczynić nic, żeby przyspieszyć.

Teraz Prezes chwycił za lejce i spytał Meira, czy ten jest świadomy, że władze wprowadziły z a k a z w y c h o d z e n i a z d o m ó w i może zostać zastrzelony za jego złamanie. Meir odpowiedział, że wyjechał wozem na długo, nim zakaz zaczął obowiązywać. I co mógł poradzić?

Zakaz czy nie zakaz: ludzie i tak umierają.

W trakcie tej wymiany zdań Mosze Kamersztajn miał mnóstwo czasu, żeby stamtąd dać drapak. Prezes wypuścił nawet jego dłoń. Ale Mosze stał tylko i się gapił. A kiedy Prezes był gotów iść dalej, Mosze poszukał znów dłoni Prezesa i dalej rozmawiali sobie o tym, co Prezes wcześniej opowiadał.

Tak wyglądało to przez całą drogę do Czerwonego Domku, gdzie śledczy z kripo już czekali, żeby się wziąć za swego „sprawcę”.

*

Cztery dni później Prezes wezwał swoją Radę Starszych, wszystkich gettowych *resort lajterów* i pozostały personel administracyjny na zebranie w Domu Kultury. Zaczął od przemówienia, w którym zdał relację ze swoich przeżyć w Warszawie:

— Byłem w Warszawie. Niektórzy robią z tego zarzut wobec mnie, że względu na wysoką cenę, jakiej władze żądają za organizację tych podróży.

Chcę jednak powiedzieć wam, co tam widziałem:

W Warszawie nikt nie troszczy się o wspólne dobro. Ludzie dbają tylko o swoje. I rządzący z Judenratu Czerniakowa nie mogą nic na to poradzić i tylko patrzą, jak pieniądze przechodzą z rąk do rąk za plecami lekarzy, którzy zajmują się chorymi.

Bo opieka lekarska jest wyłącznie dla tych, którzy mogą za nią zapłacić.

Przemycą się do getta żywność i lekarstwa. Ale ceny są takie, że stać na nie tylko bogaczy.

Mogę wam powiedzieć, że przestępczość i przemyt w Warszawie wyrosły na największy przemysł w getcie. W odróżnieniu od nas szmugiel to w Warszawie jedyny działający przemysł.

Nie wspólna praca dla wspólnego dobra. Tylko walka wszystkich z wszystkimi.

Czy właśnie tak my, Żydzi, mamy wobec siebie postępować?

Czy my tu, w moim getcie, też tak mamy postępować? Tego chcecie?

Myślę, że nie, choć wiem, że także tu są tacy, którzy uważają, że to by rozwiązało wszystkie nasze problemy.

Nie to, że po równo dzielimy nasze brzemień, tylko że każdy odpowiada za swoje.

Ja wam powiem, do czego to prowadzi.

Nie do żadnego krótkoterminowego dorobytu, tylko do powszechnej anarchii.

Z przodu podium stał stolik przykryty białym obrusem. Na obrusie Prezes postawił swój kufer. Dwaj ludzie z policji porządkowej strzegli go z obu stron, aby zapobiec grabieży. I to pomimo że kufer nie zawierał — jak Prezes zaznaczył wyraźnie — żadnych cennych przedmiotów, a tylko listy, pozdrowienia (zapisane naprędce na kartkach papieru); wyjęte z ramek zdjęcia; pukiel włosów w puzderku; jakiś łańcuszek na szyję, amulet.

Mimo to do stolika przypuszczono szturm, gdy tylko wieko kufra uchyłono.

Dowódca policjantów musiał wezwać posiłki. Wśród tego tumultu rozwarły się gwałtownie drzwi i na salę wkroczył sam szef policji, pan Leon Rozenblat, trzymając mocno za kark młodego pana Kamersztajna.

Rozdwojona twarz Mosze Kamersztajna była obrzękła i czerwona z obu stron; lewy policzek spuchł w dwójnasób i zdawał się zwisać aż do obojczyka. Ale na jego podstawowy defekt oprawcy z Czerwonego Domku nie zdołali wpłynąć. Chłopiec ciągle kuśtykał, jakby gdzieś między

policzkiem a karkiem wbito mu bolesny hak.

— On mówi, że pan Prezes obiecał mu prezent z Warszawy.

Prezes obrócił hojnym gestem otwarty kufer.

— Podejdź tu, kawalerze Kamersztajn.

Podejdź i wybierz sobie to, co chcesz.

Trzy tygodnie później dojechał — jako jeszcze jeden *geszenk* Rumkowskiego dla getta — transport z dwunastoma lekarzami z Warszawy. Porozumienia i kontrakty Prezes spisał już tam i zarówno łapówka, jak i należność za transport dla gestapo były już zapłacone. Kronika odnotowuje całą dwunastkę lekarzy z nazwiskiem i specjalizacją:

Michał Eliasberg i Arno Kleszczelski — (chirurdzy);

Abram Mazur — (laryngolog);

Salomon Rubinstein — (radiolog);

Janina Hartglas i Benedykta Moszkowicz — (położnictwo);

Józef Goldwasser, Alfred Lewi, Izak Ser, Mojżesz Nekrycz,

(panna) Alicja Czarnożyłówna i Izrael Geist — (lekarze ogólni).

W czerwcu 1941 Niemcy rozpoczęli inwazję na Sowiety; operację Barbarossa.

Tego lata ludzie w salonie fryzjerskim Wiewiórki godzinami czekali w kolejce, żeby posłuchać głośnego czytania z egzemplarzy „Litzmannstädter Zeitung”, które zostawiał tutaj, za namową, jeden z niemieckich żandarmów. Sam pan Wiewiórka czytał po niemiecku, podczas gdy jeden z jego praktykantów tłumaczył tekst na jidysz. „Białoruś — mówił uczeń coraz bardziej trzęsącym się głosem — została z d o b y t a z m a r s z u; oddziały niemieckie zmierzają n a M o s k w ę”.

Co z tego wyniknie?

Wcześniej tego roku, 7 czerwca 1941, odwiedził getto SS-Reichsführer Heinrich Himmler. Do fabryk i manufaktur, które mu pokazano, należała Centrala Krawiecka na Łagiewnickiej 45 oraz szwalnia mundurów na Jakuba. Po niedawnej wizycie w Warszawie Prezes doszedł do wniosku, że nie może już więcej zostawiać getta bez nadzoru i wprowadził — z własnej inicjatywy — godzinę policyjną od ósmej wieczorem w dzień przed przyjazdem Himmlera. Orszak z ochroną SS i limuzyną Himmlera jeździł po otwartych, pustych ulicach getta, na których nie było śladu żywej duszy.

W swoim dzienniku Szmul Rozensztajn zanotował następującą wymianę zdań między Rumkowskim a Himmlerem:

Himmler: Więc to pan jest tym bogatym Żydem z Litzmannstadtu, o którym mi mówiono, Herr Rumkowski.

Rumkowski: Jestem bogaty, Herr Reichsführer, bo mam cały naród do swojej dyspozycji.

Himmler: I cóż pan robi z tym swoim narodem, Herr Rumkowski?

Rumkowski: Buduję z tym narodem miasto pracy, Herr Reichsführer.

Himmler: Ale to nie jest miasto pracy — to jest getto!

Rumkowski: To miasto pracy, Herr Reichsführer; i będziemy pracować tak długo, aż spłacimy nasz dług wobec was.

Prezes powiedział potem członkom swojej Starszozyny, że niemieckie sukcesy na froncie wschodnim sprawiły, iż n a c i s k na getto nieco zelżał. Wśród władz okupacyjnych zapanował s p o k ó j, który on zamierzał wykorzystać. Czas dojrzał, by zażądać poszerzenia getta.

— Ciasnota mieszkaniowa rodzi nędzę społeczną, a podłe warunki sanitarne sprzyjają rozprzestrzenianiu się chorób — przede wszystkim dyfteryt okazał się trudny do opanowania. Osobiście kazałem do mojego getta ściągnąć większą liczbę lekarzy, ale to na nic się nie zda, póki nie będę w stanie objąć kwarantanną całych domów, czy nawet całych kwartałów.

Wobec władz Rumkowski umiał zachować się bardziej powściągliwie. Stał przed nimi, tak jak zawsze stawał, z rękami po bokach tułowia i siwą głową pokornie spuszczoną:

— *Ich bin Rumkowski. Melde mich gehorsamst zur Stelle.*

To było dwa dni po tym, jak złożył swój apel o powiększenie getta „z przyczyn sanitarnych”. Teraz nadburmistrz Werner Ventzki zniżył się z wysokiego podium, gdzie zasiadał z Amtsleiterem Biebowem i szefem administracji Wilhelmem Ribbe, i złożył Rumkowskiemu swoje święte przyrzeczenie:

— Spełnimy wasze życzenie, Rumkowski. Powiększymy getto. Powiększymy je o dwadzieścia tysięcy Żydów. Berlin postanowił przysłać ich z dawnych terenów Rzeszy i tych nowo anektowanych.

Jeszcze dwadzieścia tysięcy współziomków, Rumkowski!

Już bardziej chyba nie możemy powiększyć waszego getta.

Ze swego posterunku na dachu cegielni Adam Rzepin mógł zobaczyć przybycie do getta „zagranicznych” Żydów. Tysiące ludzi w pochodzie, jak długi sznur zza niskiego horyzontu. Ponad tym rozciągniętym ludzkim sznurem sklepiało się październikowe niebo, szerokie i posępne nad równiną. W jednej chwili otwarte i błękitne prawie aż boleśnie, za moment przesłonięte nawałą gęstniejących czarnych chmur. A jeszcze chwilę później ten niestrudzony ludzki sznur zniknął w mrocznym тумanie jak połknięty. Kiedy przybysze znów się wyłonili, ich bagaże, ich odzież, wszystko było pokryte cienką warstwą śniegu.

Adam przyłożył do ust dłoń zwinie w trąbkę i krzyknął w dół, do Kuby Wajsberga: „Zagranicznicy idą! Zagranicznicy idą!”. Zobaczył, jak ten odwraca przestraszoną twarz do góry; potem zręcznie, tak jak przemytnik Zawadzki, jednym ciągiem, ześlizgnął się z dachu cegielni na ziemię, na idealnie czysty jeszcze śnieg.

Lecz wyglądało na to, że setki mieszkańców getta tknęła ta sama myśl. Ulice i uliczki w stronę Marysina były zapchane ludźmi. Już na Marynarskiej Sonderkommando Gertlera ustawiło zasieki. Nie przepuszczano nikogo, kto nie mógł uiścić opłaty: dwadzieścia marek za samo wpuszczenie i drugie tyle, gdy się miało ze sobą ręczny wózek. Adam miał tylko swoje poranione ręce, lecz wściekły strażnik chciał opłaty także za nie.

Nie wpuszcza się żadnych tragarzy bez uiszczenia opłat!

Spoza barier i zasieków, przez które nie miał szansy się przedostać, Adam Rzepin widział, jak jeden z przybyszów — niski mężczyzna w kapeluszu i eleganckim płaszczu z gabardyny — stoi i grzebie w wewnętrznej kieszeni marynarki, szukając pieniędzy. Przy tym cudacznym zagraniczniku stała jego żona, ubrana w obcisłą spódnicę, prawdziwe pończochy i buty na szpilkach, a z kolei przy niej trójka ich prawie dorosłych już dzieci, dwaj chłopcy i młoda pannica. Młodzi patrzyli dookoła, robiąc wielkie oczy. Najwyraźniej nie mieli kompletnie pojęcia, gdzie trafili. Gestem, który miał być wielkopański, lecz który tylko dodatkowo podkreślał jego zagubienie, nowo przybyły wyciągnął portfel i wetknął w rękę tragarzowi parę banknotów.

Obok tej grupki masa ich walizek, już ułożonych w stos i przywiązanych do wózka tragarza: cała góra bagaży.

*

— *Schnell, schnell...!*

Mach, dass du hier wegstommst, dumme Judensau...

To było pierwsze, co Věra Schulz usłyszała: głos niemieckiego żandarma, ostry, choć przygłuszony, przebijający się przez wiele zamkniętych wagonowych drzwi. Potem te drzwi odryglowano z zewnątrz i przez cały skład pociągu przebiegł mroczny, metaliczny szczęk. I nagle wszystko zamieniło się w zgietkliwy chaos, kiedy ludzie, którzy przez wiele godzin siedzieli nieruchomo, zeszywniali, teraz ciężko, z oporem zaczęli się ruszać.

W swoim zeszycie zapisała datę:

„4 październik 1941; Transport nr Praga II”

Musiał tu w nocy padać śnieg; odbite od śniegu światło raziło w oczy, łzawiące od nagłego mrozu. Żadnego peronu: tylko naga, zmarznięta ziemia. Do otwartych wagonów przystawiono zbite z desek kładki, jakich używa się do sprowadzania bydła. Chorzy i starcy niepewnie wyciągali ręce przed siebie, podtrzymywani przez tych, którzy już zdążyli zejść na ziemię. A tam na dole: przeraźliwy ścisk, jaki się robi, kiedy tysiące ludzi nie wiedzą, w którą stronę iść.

Niemieccy żołnierze napierają z różnych stron; przede wszystkim zewsząd słychać ich rozwrzeszczane historyczne głosy: „*Schnell, schnell! Nicht stehenbleiben! Los!*”.

Ani minuty na ochłonięcie i zaczerpnięcie oddechu.

Tuż przy pociągu stoi kilku mężczyzn w mundurowych czapkach z czerwonym otokiem i opaskach z Gwiazdą Dawida, których początkowo wzięła za pracowników stacji, ale którzy, jak już zrozumiała, muszą być jakimiś policjantami. Niektórzy z nich zastępują ludziom drogę i żądają okazania dokumentów, lub upierają się, by ludzie bebeszyli cały swój *Gepäck* i tym sposobem (pojęła to dopiero później) znika mnóstwo odzieży i cennych przedmiotów, jeszcze nim przybysze dotarli na miejsce.

Są także wśród tych polskich Żydów nastoletnie dzieci, głównie chłopcy, którzy za pomocą łapówek przedostali się przez policyjny kordon i podchodzą teraz z wózkami, oferując przewóz bagażu. Jakaś kobieta z transportu (nie z jej wagonu) zgubiła w tłumie męża albo syna i rozpaczliwie wykrzykuje jego imię. Inna — tuż obok Věry — rzuca się nagle na kolana i wybucha płaczem.

Rozdzierającym serce, niepohamowanym.

Gdzie oni nas przywieźli? Gdzie my jesteśmy?

Jeszcze kawałek dalej stoi gromadka niemieckich żołnierzy w szarzielonych płaszczach po kolana, z karabinami na plecach. Przytupują ciężkimi butami, żeby się rozgrzać na mrozie, i wszyscy się uśmiechają, chociaż udają obojętność, udają, że nic nie widzą. Może myślą o czekającym ich teraz proficie, gdy wszyscy Żydzi — (z całej Rzeszy, ze wszystkim, co mają i co zapakowali i zaszyli w walizkach, plecakach i podszewkach płaszczy) — zostaną wreszcie zmuszeni zapłacić to, co są winni niemieckiemu narodowi.

*

Z dziennika:

Idziemy jak w transie. Ten marsz wydaje się nie mieć końca. Odrapane czynszówki z potłuczonymi szybami lub zięjącymi pustką otworami okien. Żadnego ruchu samochodów; ale wszędzie ten sam tłok. Mężczyźni i kobiety wleką wyładowane wózki i śmierzące szambem beczkowsy — dwoje z przodu, a dwoje pcha z tyłu. Jak zwierzęta pociągowe!

Lecz przede wszystkim dzieci. Całe chmary płaczą się nam pod nogami, skoro tylko weszliśmy za barierę — ustępują dopiero wtedy, gdy je odpędzają maszerujący przy nas policjanci.

Dotarliśmy wreszcie do naszego „miejsca przeznaczenia” — budynku starej szkoły. Szeroka brama wjazdowa na dziedziniec tonie w kloacznych nieczystościach. Kilku młodszych kładzie tam deski, żeby starsi mogli przejść na drugą stronę suchą nogą, a potem tworzą łańcuch i podają sobie z rąk do rąk walizki.

Ludzie się tłoczą, przepychają; wszystkie klasy włącznie z korytarzami z jednego końca budynku na drugi są przerobione na miejsca do spania. Drewniane prycze wzdłuż okien, każda szeroka na 75 centymetrów i nie dość długa, żeby stopy nie wystawały poza krawędź. W jednej małej salce ma się też zmieścić cały bagaż, plecaki na wierzchu, walizki na spodzie. W naszej salce „mieszka” około sześćdziesięciu ludzi. Drugie tyle na korytarzu przed klasą! Gdy wszyscy mają przydzielone miejsca, dają nam chleb, który ma starczyć na cały tydzień.

Z rana: lurowata kawa jak brązowa woda.

Młode kobiety z getta przynoszą wielkie kotły z zupą z gettowej garkuchni.

Trudno to nazwać zupą — podgrzana woda z czymś zielonkawym pływającym w środku. Chociaż wszyscy rzucają się na jedzenie — nawet ci, którzy z początku mówili, że tego nie tkną! Okazuje się, że to posiłek wydawany tylko raz dziennie.

Umyć się jest ciężko. Trzeba wychodzić na dziedziniec, ponieważ w kranach nie ma wody. A potem: stać w śniegu w kolejkach do wychodków. Papier toaletowy — gdzie tam. Ta odrobina papieru, jaki jest, ma służyć chorym! Mówi się, że w getcie szaleje czerwonka i tyfus. Co drugi mieszkaniec getta jest już podobno zarażony. Bola mnie ręce aż do łokci, ćmiący bez przerwy tępy ból, który dokucza jeszcze bardziej, gdy trzeba prać ubranie w lodowatej wodzie. Znow ten reumatyzm!

Niektórzy rozciągnęli sznurek dokoła swoich prycz, na którym mogą wieszać swoje mokre pranie. Wszyscy się kulą najciaśniej, jak mogą; dzieci krzyczą, szlochają, zanoszą się płaczem; a wielu chorych kaszle, rżęzi albo jęczy.

Tak mija noc, przychodzi dzień.

A potem znowu noc. A z rana wciąż ta sama brunatna cienka zupka o stęchłym smaku, zalatująca amoniakiem. Zapach tej zupy siedzi w ścianach do późna w nocy i jest jak ból żołądka i głodowa obręcz uciskająca czoło. Czy kiedyś się do tego przyzwyczaję?

Ale najgorszy jest ten żal. Myśl, że trzeba było się ratować, kiedy jeszcze był na to czas — że tata uznał swoje obowiązki wobec szpitala za ważniejsze od swojej własnej rodziny. Że nie pomyślał o nas i o Maman!

Ale nie mogę teraz nic z tego powiedzieć, bo tata oczywiście udziela się ciągle na piętrze, gdzie urządzili izbę przyjęć dla najbardziej chorych z transportu! Straszliwie brakuje im tutaj lekarzy! Ale ja nie mogę teraz spać, tak strasznie dręczy mnie świadomość, że nie mamy żadnej przyszłości...

Gdzieś przecież musi znaleźć się jakiś sposób, jakaś pomoc, bo inaczej wszyscy tu zmarniejemy i wymrzemy... Gdzieś przecież musi być...

Adam Rzepin mieszkał ze swoim ojcem Szają i siostrą Lidą w pokoju z kuchnią na poddaszu przy Gnieźnieńskiej w pobliżu południowo-zachodniej granicy getta. W kuchni stało też łóżko brata Szaj, Lajba. Ale od czasu tego fatalnego strajku w stolarni na Drukarskiej zdawało się, że nad Lajbem ciąży jakieś przekleństwo. Przenosił się z resortu do resortu i zmieniał prace jak rękawiczki, i nikt nigdy nie wiedział tak naprawdę, gdzie nocuje. Mówiono w getcie, że jest szpiclem kripo i że najlepiej trzymać się od niego z daleka.

W łóżku, na którym sypiał Lajb, leżała teraz siostra Adama. Gdy Adam wstawał z rana, żeby przynieść wodę i rozpałi w piecu, Lida leżała ciągle, słuchając aniołów. Anioły często schodziły z nieba i rozmawiały z Lidą. Latem śpiewały w rurze pieca, zimą zaś koniuszkami swoich skrzydeł rysowały na szybach mroźne róże. Szaja, ojciec Adama i Lidy, uszczelniał ramę okienną szmatami, ale wilgoć i tak przenikała do środka i zimą szyba była czasem całkiem zamrożona od wewnątrz, a okienna klamka porastała cienkimi włoskami szronu. Czasem do Lidy mówił pewien szczególny anioł, nazywany **W i e l k i m Z w i e r z e m**. Świat Lidy zamieszkiwały małe zwierzątka i ten wielki zwierz. Małe zwierzątka to były płaskie pluskwy, których hordy gnieździły się za tapetami i obłaziły dłonie, kiedy się tylko odchyliło listwę podłogową. Wielki Zwierz to był krwawiący anioł głodu.

Gdy anioł głodu zatapiał w kimś zęby, to było tak, jakby ludzkie trzewia wywracały się na drugą stronę. Każda cząstka ciała wyla za jedzeniem, za czymkolwiek, co da się pogryźć i połknąć, wepchnąć do żołądka. Gdy Wielki Zwierz dobywał z siebie głos, przemawiał jak z zachłannej, monstualnej, mrocznej czeluści głodu. Jedyne, co przerażona Lida mogła zrobić, to otwierać i zamykać usta, aby wypuścić jego udręczony krzyk.

Kiedy Wielki Zwierz chwycił jego siostrę, Adam brał koc i kładł się obok niej; przywierał do niej tak mocno, jakby chciał włączyć jej ciało do swojego.

Chociaż Lida ważyła nie więcej jak trzydzieści parę kilo, jej twarz była dziwnie nietknięta, skóra blada, niebieska i cienka jak porcelana. Lecz pod szmatami, w które była okutana, leżało mimo wszystko ciało ze wzdętym brzuchem i parą drobnych, chudych piersi. Miejsca, w których jej skóra nie była wodnista i spuchnięta z niedożywienia, pokrywały zasinienia i rany. Adam co rano przynosił wodę z podwórza i w dużej drewnianej balii obmywał siostrę, by potem znowu owinąć ją w szmaty. Lecz także wtedy, gdy ją mył, porcelanowa twarz Lidy pozostawała pusta i nieruchoma, jakby zastygła w wyrazie wiecznego zdumienia — nad tym, że świat istnieje, i nad bratem, i nad aniołem głodu, który tam na zewnątrz, w brunatnym lodowatym mroku wciąż bił i bił swoimi twardymi skrzydłami.

Rodzina Rzepinów mieszkała na Gnieźnieńskiej na długo przedtem, nim powstało jakieś getto. W tamtych czasach każdy z Rzepinów pracował na utrzymanie rodziny; także stryj Lajb. Lecz odkąd Lajb popadł w niełaskę, Szaja miał niewiele poza codzienną resortową zupką, a na bieganiu z posyłkami i pilnowaniu dzieci, czym się zajmował Adam, kokosów się nie robiło.

W getcie dużo się teraz gadało o nowo przybyłych. Mosze Stern powiedział, że najbogatsi Żydzi to ci z Pragi. Niektórzy z nich, mówił Mosze, przywieźli nawet tyle żarcia, że pierwsze, co zrobili, gdy się zjawili w getcie, to rozdali dzieciakom i innym zebrzącym to wszystko, czego już nie mieli siły dźwigać.

Leżąc przy swojej chorej siostrze, wieczorami, Adam Rzepin sporo o tym rozmyślał. Jak to możliwe, że ktoś mógł przybyć do getta z takim bogactwem?

Praskich Żydów podzielono w getcie na dwa kolektywy. Jeden z nich zakwaterowano w dawnym gettowym szpitalu dziecięcym na Łagiewnickiej 37, drugi — w budynku szkoły na Franciszkańskiej, który Prezes przerobił tego lata na szkołę zawodową. Adam wybrał ten drugi dom, zdawało mu się bowiem, że pamięta, iż wie dzie stamtąd więcej możliwych dróg ucieczki; parę tygodni później zaczął ostrożne podchody.

Śnieg, który zaczął padać w tym samym dniu, kiedy przybyli obcy Żydzi, prószył nadal, choć już nie taki gęsty. Zrobiło się zimniej. Na dziedzińcu praskich Żydów kilka kobiet czerpało wodę ze studni. Wnosiły potem wiadra z wodą do budynku. Ruszały się przy tym niezdarne, nieporadnie — od razu widać, że to m i e j s c y Ż y d z i. Ich dzieci też były inne. Zamiast się bawić czym popadnie, łażyły tylko gnuśnie po podwórzu i popychały się nawzajem.

Adam pojął od razu, jak bardzo jest tutaj obcy. Na co dzień rozmawiał w jidysz, po polsku wtedy, gdy musiał. Ale ten dziwny, śmieszny, śpiewny czeski, słyszany u tych kobiet na dziedzińcu, był mu całkiem obcy. Nie rozumiał z niego ani słowa.

Mosze Stern, który odwiedzał kolektywy parokrotnie, tłumaczył, że jest tylko jeden sposób na poruszanie się wśród obcych. Z uśmiechem na twarzy i grzecznie. Więc skoro tylko wkroczył na dziedziniec, Adam pokazał swój najmiłszy uśmiech. Z uśmiechem przepchał się przez grupkę Czechów idących korytarzem w stronę wyjścia z szuflami do śniegu, w grubych czapkach uszatkach na głowach. Nie musiał się odwracać, żeby widzieć, jak ich spojrzenia wwiercają mu się w plecy. W głowie odezwał mu się ból. Im wyżej wchodził po schodach budynku, tym mocniej zaciskała się na czole obręcz bólu, a kiedy wszedł na samą górę, Lida zaczęła śpiewać.

Tylko raz wcześniej zdarzyło się, że Lida zaczęła śpiewać, kiedy go nie było. Z grupką dzieciaków z sąsiedztwa szukali wtedy drewnianych odpadów na pustym placu przy składzie tarcicy na Drukarskiej. Plac był ogrodzony, a całego składu strzegła policja porządkowa, w systemie zmianowym od rana do nocy. Pospołu z Felkiem Frydmanem, który mieszkał na sąsiednim podwórku, wykopali małe przejście pod płotem z tyłu składu i Felek zdążył już tam przeleźć, kiedy on usłyszał głos Lidy, tak samo klarowny i jasny jak ton, który powstaje, kiedy się stuknie łyżeczką w kant szklanki napełnionej do połowy. Gdy ten ton rozbrzmiewał, przez głowę przeciągnął mu ból, jakby ktoś nagle przeszył ją ostrym, stalowym drutem od skroni do skroni. Ledwie zdążył się schować, gdy nadlecieli porządkowi, wymachując pałkami. Felka po drugiej stronie płotu już złapali.

Teraz znowu usłyszał głos Lidy; jak cienki, zawodzący odgłos świdra: iiii—iiii.

Czy chce go ostrzec przed tamtymi ludźmi z szuflami do śniegu? Ale co mogą mu zarzucić? Jest przecież tutaj tylko z ciekawości, żeby się trochę rozejrzeć. Poza tym, zaszedł za wysoko, żeby teraz zawrócić.

Ludzie mają miejsca do spania w klasach i na korytarzach, lecz ku swojemu zdumieniu Adam zauważa, że parawanów, które dzielą od siebie różne rodziny, nie ma tu zbyt wiele. Większość mieszkańców kolektywu musiała się wyprowadzić; albo pan Prezes znalazł już robotę dla nich wszystkich. Gorączkowo omiata wzrokiem prycze i prowizoryczne stoły, widzi ubrania, koce, materace, rozłożone albo zwinięte; widzi mnóstwo sprzętów kuchennych, garnków, półmisków, balii do prania i niecek ułożonych w stosy albo wepchniętych pod te wąskie prycze, razem z walizkami. Ale nigdzie nie widzi niczego, co by warto ukraść. Wtedy uderza go raptownie to, co mówił Mosze — że w każdym transporcie jechał co najmniej jeden lekarz i że ci lekarze mieli urządzić w każdym kolektywie izbę przyjęć. Adam nie widział żadnej izby przyjęć na parterze.

A więc ta izba musiała mieścić się gdzieś wyżej. On teraz jest na trzecim piętrze. Salki są tu mniejsze, korytarz między nimi węższy. Widzi, że ludzie zamierają w pół ruchu i odwracają za nim głowy, gdy coraz bardziej obcesowo się przypycha.

Nagle zrobiło się dokoła niego dość pustawo.

Z boku podchodzą dwaj młodzi ludzie.

— Gdzie tu jest przychodnia lekarska? — pyta.

Po polsku.

A potem, żeby jeszcze zyskać na czasie, dorzuca w jidysz:

— Szukam PANA DOKTORA. Ktoś może mi powiedzieć, gdzie on jest?

Jeden z tych młodych jakby go zrozumiał i niepewnym gestem wskazuje na przedłużenie korytarza. Ruszając we wskazaną stronę, Adam myśli, że przypuszczalnie nigdy stąd nie wyjdzie żywy.

Ale na końcu korytarza jednak otwiera się coś, co wygląda na poczekalnię, z siedzącymi i półleżącymi ludźmi na podłodze przed zamkniętymi drzwiami. Podchodzi do drzwi i otwiera je jednym szarpnięciem, przygotowany, że zobaczy twarz zaskoczonego lekarza w trakcie badania pacjenta. Ku jego zdziwieniu salka za drzwiami jest pusta. Całkiem zwykły pokój biurowy ze stolikiem i krzesłem z oparciem, a przy stoliku szafka z paroma miseczkami, materiałami opatrunkowymi i nieopisanymi butelkami na półkach. Otwiera drzwi szafki, wyciąga szuflady; nie patrzy dokładnie, co bierze, upycha tylko po kieszeniach buteleczki i opakowania z gazą opatrunkową, co tylko się zmieści; wychodzi potem na korytarz i rusza z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł.

Ale teraz jego słoneczny uśmiech już nie napotyka innych uśmiechów. Jakiś starszy mężczyzna, obok którego chce się przemknąć, otwiera usta i krzyczy.

Zaczyna biec, nie zważając na to, kto albo co znajduje się na jego drodze. Aż na końcu korytarza spostrzega jakąś kobietę drzemącą na drewnianym stolku, z głową — właściwie widzi tylko gęstą masę włosów związanych jakąś chustą — zwieszoną nisko między kolanami. Na podłodze obok stoi jej torebka; p r a w d z i w a torebka. Jest duża, dość zwyczajna, z wyblakłej skóry, z zatraskiem na górze, tego samego typu co ten na torebce Józefiny Rzepin, gdy we dwoje przechadzali się w niedzielę po Piotrkowskiej. Właśnie ten nagły obraz matki, którą normalnie ledwie co pamięta, sprawia, że Adam się nie waha. Bez namysłu chwyta torebkę i rzuca się schodami na dół. Kątem oka widzi mężczyzn w uszatkach, pędzących w g ó r ę tych samych schodów, w zamęcie podnieconych głosów, ale zjawiają się z a p ó ź n o — z niewłaściwych drzwi — on wie, że zdąży zbiec na dół przed nimi: jeszcze dwa kroki i nagle jest na zewnątrz.

Franciszkańska. Oślepiające światło śniegu w oczy.

Gliniasta breja na ulicach. Ślepe fasady.

Dziesięć metrów dalej prześwit między domami prowadzi na wąskie podwórko. Dawniej każde podwórko w getcie było otoczone wysokim płotem z desek, ale te płoty są teraz rozebrane, porąbane na szczapy i używane jako opał. Za fasadami domów ciągną się teraz całe drogi pożarowe, czasem szerokie jak aleje, dające uciekającemu szansę na łatwe przejście z jednej części getta do drugiej. Lecz te wewnętrzne drogi znają tylko ci, którzy mieszkali tu na długo, nim ustawiono zasieki. Jeszcze nim tu powstało getto.

Śpiąca kobieta w kolektywie na Franciszkańskiej, z chustką na głowie i torebką, miała na imię Irena, ale nikt nie nazywał jej nigdy inaczej niż Maman — nie z wymową francuską, tylko z jednakowym akcentem na obie sylaby.

M a-m a n n! M a-m a n n!

Całe dzieciństwo Věry Schulz rozbrzmiewało tym wołaniem, cała klatka schodowa, której wysokie kamienne sklepienie wzmacniało łoskot przejeżdżających tramwajów, i wszystkie te puste pokoje w dużym mieszkaniu na Vinohradach w Pradze, które popołudniami wypełniało ciepłe słoneczne światło i dźwięk leniwie tykających i stukających zegarów. Po całym ranku przesiedzianym za klawiaturą fortepianu Maman spędzała popołudnia w stanie wiecznej, śmiertelnej agonii. Uskarżała się na migrenę z powodu gorąca i smarowała się kosztownymi kremami, aby jej skóra nie wyschła. Leżała na plecach na szerokim łóżku i zabawiała dzieci, wplatając sobie we włosy kolorowe wstążki. Maman miała bujne, falujące, prawie kręcone włosy, którym umiała, jeśli jej się chciało, nadać dowolny wygląd. Maman wchodziła do swojej garderoby i wychodziła w spódniczce tenisowej i kapeluszu à la Mary Pickford lub ubierała się w stylu prezydentowej Benešovej w obcisły kostium „kroju angielskiego” i kapelusz podobny do czapki mundurowej.

To, że matka ciągle znikwała i powracała już jako ktoś inny, choćby tylko ubrana na swoje wieczory fortepianowe, wcześniej zasiało w sercu Věry strach, że któregoś dnia Maman zniknie bezpowrotnie. Jeśli będziecie się mną dobrze opiekować, to nigdzie nie zniknę, żartowała czasami Maman, ale spośród dzieci — oprócz Věry byli jeszcze dwaj bracia: Martin i Josel — żadne jej nie wierzyło. Jak długo znali swoją matkę, zawsze się od nich oddalała — w taki lub inny sposób.

Arnošt Schulz kochał swoją żonę na sposób bardziej pragmatyczny; tak jak się kocha i hołubi jakiś cenny, dekoracyjny przedmiot. Według niego Maman nie miewała dobrych czy złych dni, a tylko (jak przystało na artystkę) wcielała się w szereg postaci, i rodzina miała je wszystkie uszanować: „Dzieciaki, proszę, dajcie teraz Maman chwilę odetchnąć”, mawiał, gdy tylko Věra lub jej bracia podnieśli nieco głos przy stole albo bawili się za głośno w swoich pokojach.

Po dwóch tygodniach w kolektywie ze wszystkich postaci Maman została tylko jedna: wychudła kobieta z zapadłymi oczami siedząca skulona pod burzą kędzierzawych włosów, która wzdrygała się ze strachu, gdy tylko ktoś do niej przemówił. Tę obrzydliwą zupę jadła tylko, gdy ktoś ją karmił łyżką; lub jak robiła Věra: maczała w zupie po kawałku suchego chleba i wpychała je matce do ust, skoro ta tylko gdzieś się zagapiła.

Jakże inaczej przedstawiała się kondycja jej energicznego męża!

Już od pierwszej chwili doktor Arnošt Schulz występował jako rzecznik praskiego kolektywu. Z jego inicjatywy utworzono grupę wartowniczą, by stawić czoło bezczelnym kradzieżom ze strony miejscowych; ponadto pisał listy i petycje do kancelarii Prezesa, skarżąc się na nieogrzewane sale, brak bieżącej wody i opróżnianie kloak, które nazwał „zwykłą farsą”. To ostatnie napisał jako nowo zatrudniony lekarz ogólny w Szpitalu nr 1 na Łagiewnickiej, gdzie, jak sam to wyraził, „dzień i noc zajmuję się ratowaniem życia ludziom, którzy z powodu niedostatecznego zaopatrzenia getta w żywność i tak nie mają szansy na przeżycie”.

Przez kilka tygodni po wysłaniu pisma nie działo się nic.

Któregoś dnia nadszedł list z pieczętką Prezesa na wąskiej kopercie. List zawierał

zaproszenie na „wieczór muzyczny” na cześć nowo przybyłych, który miał odbyć się w Domu Kultury na Krawieckiej. Arnošt Schulz postanowił wybrać się tam razem z córką. Szedł z mieszanymi uczuciami i bez większych nadziei, a wrócił stamtąd, wedle jego własnej relacji, „przygnębiony”. Także Věra opisuje to wydarzenie w swoim dzienniku, prowadzonym wówczas jeszcze dosyć regularnie:

Rewia w Domu Kultury

Już przy wejściu wita nas grupa *policajtn* w opaskach i z pałkami [!], którzy nam każą zejść na bok i przepuścić miejscowych *honoratiores*.

Wyobrażałam sobie, że tu w getcie są takie hierarchie, ale nie aż do tego stopnia. Wygląda na to, że nas zaproszono tylko po to, żeby pokazać nam, jak mało jesteśmy warci!

Staliśmy jak więźniowie za kratami, patrząc na wejście dygnitarzy. Widziałam samego Rumkowskiego: siwy, ponury człowiek, jak pompatyczny cesarz na czele swojej gwardii pretorianów. To byłoby śmieszne, gdyby nie to, że cała sala nagle powstała i zaczęła bić brawo.

Potem zaczęło się to całe widowisko. Na scenie malowany obraz: synagoga. Przed nią biega kilku aktorów i głośno wykrzykują swoje repliki. Ponieważ publiczność się śmieje, musi to być jakiś skecz, ale ja nie rozumiem z tego ani słowa. Wszystko w jidysz.

Między tymi scenkami numery muzyczne. Niejaka panna B. Rotsztat, skrzypaczka, wykonuje parę „lekkich romansów” Brahmsa, z towarzyszeniem pana T. Rydera na fortepianie. Panna B. Rotsztat gra zaskakująco dobrze, chociaż ruchy ma zbyt zamaszyste. Żenujące są tylko reakcje publiczności — jakby musiała się przesadnie egzaltować, żeby się poczuć prawdziwą publicznością.

Potem nadchodzi wielka chwila Prezesa, pana Mordechaja Ch. Rumkowskiego. W lokalu cisza jak makiem zasiał, widać, że wszyscy przyszli tu właściwie po to, żeby usłyszeć, jak przemawia.

Zwraca się do nas, stojących na końcu, ale przemawia do nas nie po niemiecku, tylko w jidysz, co przez moment wydaje się kompletnie absurdalne, bo mało kto z nas go rozumie. Może zresztą i lepiej, żeśmy nie rozumieli, bo jak się potem okazało, „stary” — jak go tu nazywają — główną część swojej mowy poświęcił na besztanie nas i wyzywanie od „pasożytów”, ponieważ nie oddaliśmy naszych precjozów do „jego” banku, ponieważ nie stawiliśmy się w tych miejscach pracy, które dla nas zorganizował (to bez wątpienia nie dotyczy taty!), i że jeżeli nie dostosujemy się do jego regulaminu, to każe nas natychmiast deportować — dokąd? dokąd? — Czy on nie rozumie, że my dopiero co zostaliśmy deportowani?

*

Dwa dni po „przedstawieniu” w Domu Kultury Prezes osobiście zjawia się w kolektywie na Franciszkańskiej. Pierwsze zauważyły go kobiety i dzieci przy wychodkach, a raczej: dzieci na dziedzińcu zobaczyły, jak przez szeroką bramę wjeżdża, idąc stępa, parszczając rażno, biały koń ciągnący dorożkę, którą jeździ Prezes. Sam Prezes znika, zdałoby się, jakby połknęło go to falujące morze czapek i беретów, które nagle go otacza. Ale od razu są tam jego ochroniarze i za pomocą pięści i pałek udaje im się odeprzeć tłum na tyle, aby on mógł się swobodnie poruszać.

Prezes zaczyna od inspekcji wychodków i długiego rzędu balii do prania ustawionych przy wejściu do piwnicy; następnie w otoczeniu świty ochroniarzy rusza w górę po startych marmurowych schodach. Mija korytarz za korytarzem. Wszędzie, gdzie są porzucane wierzchnie ubrania, albo gdzie leżą stosy walizek i kufrów, każe usunąć luźne części garderoby. Walizki, kufry, torebki: wszystko jest otwierane i przeszukiwane. W szkolnych salach jedna ze starszych kobiet podnosi rozpaczliwy krzyk, gdy któryś z ochroniarzy wyciąga nóż i szybkimi, brutalnymi ruchami zaczyna rozpruwać materac, na którym ona przed chwilą leżała.

Ze wszystkich stron zbiegają się mężczyźni z nowo powstałej grupy wartowniczej praskiego kolektywu; pierwszy z nich — były szef kliniki w szpitalu na Vinohradach w Pradze — doktor Arnošt Schulz.

Schulz: Panie Rumkowski, niech pan będzie łaskaw natychmiast przerwać te hece.

Prezes: Kto pan jest?

Schulz: Schulz.

Prezes: Schulz?

Schulz: Poznaliśmy się. Tylko pan ma chwilowe zaćmienie pamięci.

Prezes: Aa, profesor Schulz...! Pan, jako lekarz, powinien przecież wiedzieć, że porozrzucane klamoty, jak te tutaj, tylko ściągają wszy.

Schulz: Niedopatrzenie z mojej strony, ma pan rację. Natychmiast coś z tym zrobimy.

Prezes (pokazuje): Te wszystkie rzeczy znieśliśmy teraz na podwórzec i spalimy.

Schulz: Panie Rumkowski, nie może pan tak robić — to jest prywatna własność ludzi.

Prezes: Kto tu stanowi prawa, pan czy ja?

Schulz: Ale to przecież szaleństwo.

Prezes: To ostatecznie na mnie spoczywa obowiązek, żeby raz na zawsze usunąć z getta wszelkie sanitarne zagrożenia. A jedyne co widzę podczas tej inspekcji, poza tym, że pan całkiem ignoruje zasady i przepisy, które wprowadziłem, to te siedliska zarazy w pańskim kolektywie.

Schulz: Jeśli obawia się pan epidemii, to powinien pan chyba w pierwszym rzędzie zadbać, żeby gazu starczało dla wszystkich albo dopilnować, żeby kloaki były opróżniane.

Prezes: Możliwe, że tam, skąd pan pochodzi, profesorze, toalety są czystsze.

Schulz: Zwierzęta by nie chciały tknąć tej zupy, którą nam serwujecie. Chleb jest spleśniały. Poza tym życie naszych kobiet i dzieci jest zagrożone przez rabusiów, którzy przychodzą tu z ulicy w biały dzień. Nie dalej jak parę dni temu jakiś bezczelny złodziej włamał się do naszego magazynku środków medycznych. Pieniądze, koce, garnki — wszystko nam kradną sprzed nosa.

Prezes: Jak potrzebujecie ochrony, to mój *Ordnungsdienst* jest do waszej dyspozycji.

Schulz: Wybacz pan, panie Prezesie, ale pański *Ordnungsdienst* jest nic niewart. Widuję czasem paru pańskich ludzi. Przychodzą w porze wydawania pożywienia; ale ja mam wrażenie, że oni raczej nas pilnują, żebyśmy my nie kradli w a s z e j zupy — nie odwrotnie. Dlatego utworzyliśmy własną gwardię.

Prezes: Ta cała wasza gwardia jest od tej chwili rozwiązana.

Schulz: Nie może pan zakazać nam samoobrony.

Prezes: Od tego w getcie jest policja, która podlega mnie, i każdą próbę powołania jakiejś innej będę traktował jako zdradę. Wie pan, jak tutaj w getcie karzemy zdrajców, panie Schulz?

Schulz: Grozi pan nam? Grozi pan nam?

Prezes: Nie ma powodu uciekać się do gróźb. Ja może w pańskich oczach nie jestem nikim więcej jak tylko królem beczek do wywozu szamba, panie doktorze Schulz. Ale jedno jest pewne. Wystarczy, żebym wykonał jeden jedyny telefon, a pan i pańska rodzina w ciągu dwudziestu czterech godzin zostaniecie deportowani z getta. Ale ja nie wykonam tego telefonu. Ja panu doktorowi puszczę płazem tę bezczelność. Tym razem.

Tymczasem ludzie Gertlera znieśli na dół walizki i porozrzucane części garderoby na dziedziniec, polali je benzyną i podpalili. W ciągu niewielu sekund płomień wystrzelił na wysokość drugiego czy trzeciego piętra, gdzie ludzie tłoczyli się w oknach, patrząc ze zdumieniem, jak ogień rzyga czarnym dymem na przeciwległą oficynę. Oprócz straconych luźnych części garderoby i torebek wiele rodzin zgłaszało później zaginięcie osobistych przedmiotów w rodzaju złotych łańcuszków, wisiorów i pierścionków. Jeden z członków kolektywu zameldował także, że ludzie Prezesa zabrali mu jego zimowe palto, wycięli mu z kieszonki kamizelki zegarek kieszonkowy wraz z łańcuszkiem, a jego małżonce ukradli parę zimowych sznurowanych botków.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Rumkowski przeprowadzał inspekcję kolektywu na Franciszkańskiej, kripo zrobiło nalot na restaurację Adria przy Bałuckim Rynku, która stała się miejscem nieformalnych spotkań niemieckich Żydów z getta. Dziewięć osób z berlińskiego i kolońskiego kolektywu oraz pięć osób z Pragi przyłapano na gorącym uczynku podczas różnych transakcji. Jeden z niemieckich Żydów usiłował sprzedać kompletny serwis obiadowy, inny — komplet srebrnych sztućców. Okazało się przy tym, że wszyscy potencjalni nabywcy byli albo donosicielami podległymi bezpośrednio kripo, albo też należeli do informatorów Dawida Gertlera.

Tak Żydzi w getcie chronią swoich ludzi.

Věra Schulz o Rumkowskim w swoim dzienniku, nazajutrz po płonącym stosie na podwórku (11 grudnia 1941):

...ten człowiek to potwór —

Jego jedyne dotąd osiągnięcie: w rekordowym czasie sprzedał swój naród i ukradł albo sprzeniewierzył całe jego mienie. A mimo to ćwierć miliona ludzi upatruje w nim swojego zbawiciela! Co to jest za człowiek, który celowo chce poniżyć i pohańbić jak najwięcej ludzi, wyłącznie dla własnego wywyższenia?

To przechodzi moje pojęcie!

Adam Rzepin nie miał, rzecz jasna, pojęcia, co to za lekarstwa wpadły mu w ręce, ani w jaki sposób można je wykorzystać. Idąc za radą Mosze Sterna, wybrał się więc do niejakiego Nussbrechera — doświadczonego pośrednika we wszelkich czarnych interesach w getcie — i poprosił o bezpłatną wycenę.

Czego Adam nie wiedział, to że od przybycia obcych Żydów rynek był nasycony towarami i że rekiny czarnej giełdy na Pieprzowej biły się teraz o zachowanie swoich udziałów w rynku, aż pierze leciało. Każdy nowy aktor na rynku był potencjalnym konkurentem. Dlatego też Aron Nussbrecher, zamiast dać Adamowi przyzwoitą cenę, udał się prosto do nowego komendanta więzienia w getcie, Szlomo Hercberga, i opowiedział mu, że pewien młody człowiek nazwiskiem Rzepin rozkręca w getcie handel lekarstwami. Hercberg wyszedł akurat ze spotkania z Prezesem, podczas którego ten podkreślał „konieczność uporania się za wszelką cenę z rosnącą przestępczością i korupcją”, zatem Hercberg pomyślał sobie, że ten szczeniak Rzepin mógłby posłużyć jako niezły odstraszający przykład. Rzepin był świeży i nie miał kontaktów. Przede wszystkim nie miał protektorów. Innymi słowy, na nikogo by nie doniósł, gdy sam wpadnie.

Dlatego też nazajutrz w mieszkanku Adama i Lidy, zamiast szeregu lukratywnych ofert, znaleźli się dwaj rośli policjanci, którzy wzięli Adama na przesłuchanie w areszcie śledczym na Czarnieckiego.

Tak jak wielu innych w organach policji i Służby Porządkowej getta Szlomo Hercberg wywodził się z Bałut. Należał do tych, o których Łódzcy Żydzi mówili czasem „prawdziwy *Reichsbaluter*”.

Kiedyś pracował jako operator w kinie Bajka na rogu Brzezińskiej i Franciszkańskiej. Wciąż jeszcze żyli w getcie ludzie pamiętający te czasy, jak pan Hercberg, przed rozpoczęciem seansów, nieśmiało pętał się przed kinem w swojej granatowej przyciasnej liberii z ciemnoszarymi galonami, w nadziei, że zobaczy tam paradującą socjetę. Hercberg uwielbiał wieczory premierowe. Dużo później, na obiadach w domu księżnej Heleny, kiedy już sam należał do tego, co uchodziło za socjetę getta, wracał raz po raz do tematu, jak to przed laty można było zobaczyć członków wielkich rodzin — Poznańskich, Silbersteinów albo Sachsów — jak zajeżdżają swymi karocami pod Tempel, Wielką Synagogę, albo do swoich łóż w Domu Koncertowym przy Narutowicza.

Także Hercberg rościł sobie prawo do pewnej rangi. Chwalił się, że dosłużył się stopnia kapitana jako szwoleżer marszałka Piłsudskiego i, gdyby go proszono, mógł okazać szereg poświadczonych kopii rozkazów powołania, przeniesienia, jak i świadectw lekarskich, dokumentujących, gdzie i w jaki sposób „odniósł w boju rany”, jaki szpital polowy się nim zajął i gdzie go potem rehabilitowano. Wszystkie te zaświadczenia były oczywiście z góry do dołu sfalszowane; lecz Szlomo Hercberg wiedział, dokładnie tak jak sam Prezes, że kiedy się buduje coś od podstaw, to się nie liczą akademickie tytuły, a tylko zdolność nadania swemu urzędowi autorytetu i powagi. A jeśli Szlomo Hercberg coś potrafił, to było właśnie to.

Na Czarnieckiego Adam Rzepin siedział na samym dole, w części więzienia zwanej Kopalnią. Kopalnia to był właściwie tylko szeroki betonowy szyb, zbudowany jak *oubliette*, z otworem w suficie, przez który klawisze mogli wprowadzać albo wyprowadzać więźniów tylko za pomocą długiego żelaznego pręta zakończonego rozwidleniem, mniej więcej tak, jak się wyławia

podbierakiem żaby z sadzawki. Wzdłuż ścian w pobliżu tego otworu stało kilka prostych, żelaznych prycz, na których spali więźniowie-faworyci. Reszta musiała tłoczyć się jak popadnie koło kibla w głębi.

Lecz to był jedynie przedśmiatek. Za okratowanymi drzwiami Kopalnia wciąż się poszerzała, rozgałęziając się w kolejne, schodzące na dół, wydrążone w skalnym podłożu korytarze. Gdy później tego roku zaczęły się deportacje z getta, ten labirynt podziemnych korytarzy stanie się więzieniem dla dziesiątków tysięcy mężczyzn. Było tak, jakby getto w samym ś r o d k u albo na samym s p o d z i e (zależy jak się na to spojrzeć) nie miało dna. Z dołu, z tej płataniny korytarzowych wyrobisk, wybijał bezustanny jęk, tak jakby skargi wszystkich tych, co kiedyś tam siedzieli, spłotyły się w jedną monotonną pieśń, która się nigdy nie kończyła, bez względu na to, ilu ich czekało na deportację lub na wypuszczenie.

Co jakiś czas brano Adama na przesłuchanie do Hercberga.

Prowadzono go do tak zwanego Kinematografu, który z pozoru nie był celą przesłuchań, lecz raczej prywatnym gabinetem, wyposażonym w to wszystko, czego mógł zapragnąć *Reichsbaluter* złacony zbytkiem i luksusem. Stały tu meble ze skórzaną tapicerką w otoczeniu „orientalnych” lamp z jedwabnymi frędzlami; sekretera z zasuwanymi roletą szafkami i przegródkami z mnóstwem kluczy, i zdobionym intarsją blatem do pisania z wbudowanym srebrnym kałamarzem. Ale przede wszystkim było tu jedzenie; kusiciel Hercberg wystawił wszystko, o czym głodny więzień mógł zamarzyć, a zatem szynkę i kielbasę, całą beczułkę *krojtu*; spoczone sery w lnianym płótnie; pachnący, świeżo upieczony chleb, na wyraźny rozkaz Hercberga dostarczany co rano z piekarni na Marysińskiej.

— No, proszę, zachodź, nie bój się...! — powiedział Hercberg do Adama z uśmiechem lśniącym jak tłuszcz na szynce. A kiedy Adam w końcu nie wytrzymał i drżącą ręką sięgnął po leżący na skraju tacy kawałek chleba, Hercberg chwycił mocno za kark niepoprawnego grzesznika. — Co... Nawet t e r a z nie umiesz trzymać łap przy sobie, gnojku! — i walnął jego głową prosto w ścianę.

Tłukli go bez przerwy. Czasem gołymi pięściami, czasem długimi, płaskimi drewnianymi pałkami, systematycznie, od tyłka przez wewnętrzną stronę ud, do dołu, aż do kostek i pięt. Wypytywali go o Mosze Sterna. Chcieli wiedzieć, z kim Mosze teraz robi interesy. Słyszeli też, że zwąchał się z handlarzem Nussbrecherem. Do kogo Nussbrecher wysłał go z towarem? Na koniec chcieli wiedzieć wszystko o ludziach, których okradł. Żądali nazwisk wszystkich bogatych Żydów z Pragi. Adam skradł przecież ich dokumenty, może nie? Więc musi wiedzieć, jak się nazywają.

Adam krzyczał aż do utraty przytomności, ale Lida do pieśni, która dobiegała z wszystkich chodników Kopalni, dodawała własny wysoki głos; to brzmiało tak jak wibrujący ton napiętej do ostatnich granic struny:

„Nie daj im nic, nie daj im nic” — przewiercał go całego ten jej głos.

Dlatego nic od niego nie dostali. Żadnych nazwisk.

Po powrocie do Kopalni Adam śni o tym dniu przed wieloma laty, kiedy z ojcem wybrali się całą rodziną, żeby zobaczyć morze. Jechali z Łodzi małym Citroënem, pożyczonym od pewnego brygadzysty z tartaku. Szaja sam siadł za kierownicą i prowadził.

S o p o t. Tak nazywało się to miejsce, gdzie jechali. Adam teraz pamięta.

Sama w mieszkanku na Gnieźnieńskiej Lida śni o tym samym morzu. A brat jest razem z nią

w tym śnie, tak samo jak jest razem z nią we wszystkim, co ona mówi albo robi; nawet we śnie albo w bezwładnym spadaniu.

W Sopocie był drewniany długi pomost, o którym się mówiło Molo, wystrzelający prosto w morze. Po obu stronach Mola były plaże z drobnym i sypkim, ciepłym piaskiem usianym muszelkami, a w głębi, przy plażowej promenadzie, stały wysokie domki kąpielowe z pięknymi biało-czerwonymi markizami, gdzie przebierali się Bogaci i Naprawdę Ważni goście. Adam pamięta, jak kilka z tych Bogatych i Naprawdę Ważnych osób uchyliło przed nimi kapelusza, kiedy później, wieczorem, szli po Molo, jakby nie byli biedakami z Łodzi, a już na pewno nie Żydami.

Lida pamięta chwilę, gdy brodząc u brzegu, pojęła, że morze to nie płaska, równa, gładka tafla jak na widokówkach. O nie, morze było żywą istotą. Morze się ruszało. Kołysało się i falowało, wzbierało, tocząc się przez jej ramiona i przez plecy, a potem uciekało w dół między jej kolanami. Bez przerwy się zmieniało.

Akurat teraz jest jak olbrzymia piłka.

Lida stoi i oburącz obejmuje tę wielką i błyszczącą piłkę morza, choć nie udaje jej się schwytać jej całej. Jej powierzchnia jest śliska i mokra. Lecz co najważniejsze, morze przez cały czas się jej wymyka. Dwie dłonie nie wystarczą, żeby je zatrzymać, spojrzenie też się ześlizguje, a kiedy Lida wreszcie je podnosi, widzi, jak morze odpływa w dal, aż hen gdzieś za horyzont.

Wypija je w tym wspomnieniu. Długie, głębokie łyki, polyka morze, łyk za łykiem, a morze nie smakuje jak ta zupa, którą Adam zawsze ją karmi, tylko cierpko i słono, i im więcej pije, tym wyraźniej czuje, że tam w środku jest coś do schwytania, coś oślizgłego, co, gdy się w końcu jej udaje zacisnąć na tym zęby, staje się rybą z twardym, szorstkim ogonem, drapiącym podniebienie i wewnątrz policzków. Ryba smakuje cierpko i ostro, i słono, ale też żywo i miętko, i Lida gryzie, aż trzaskają ości, a potem ssie i obmacuje językiem szorstką rybią łuskę i śliskie, miękkie wnętrzości.

A w swojej celi Adam także czuje, jak jego usta wypełnia smak ryby, cierpki i słony, jakiego w życiu jeszcze nigdy nie próbował; i przypuszczalnie wydaje z siebie dziki krzyk, bo nagle słychać klawiszy pod celą.

Wpadają, podzwaniając pękiem kluczy, z rękami już wzniesionymi do bicia.

— Zamknij się, skurwysynu,
czy chcesz, żeby ciebie też wysłać!

I wtykają z góry drąg z długą pętlą na końcu, a kiedy on szarpie głową w tył, aby nie dostać drągiem w twarz, ten się zamienia w twardą, zrogowaciałą dłoń klawisza, która chwyta go za kark i przyciska mu twarz do podłogi. Z karku dobywa się jakby pijane odrętwienie. Usta są pełne krwi, ledwie jest w stanie przełknąć. Lecz kiedy mu się to udaje, wszystko smakuje rybą — cały on jednym krwawym snem o rybie i żywej wodzie.

*

Kiedy przyszli, żeby go zabrać, Adam Rzepin siedział już w Kopalni ponad cztery tygodnie. Jeden z klawiszy, którzy otworzyli klapę, miał ze sobą jakiś formularz. Adam musiał podać swoje nazwisko, adres i imię ojca. Potem wzięli drąg z pętlą i wyciągnęli go.

Na zewnątrz był ziąb! Przed miesiącem na ulicach leżała tylko szara śnieżna breja; teraz całe getto leżało pod lśniąca, śnieżnobiałą pokrywą. Widział, jak słońce krzesze iskry ze śnieżnych zasp, światło tak oślepiające, że ledwie był w stanie odróżnić ziemię od nieba.

Na ogrodzonym więziennym dziedzińcu panował tumult jak na targowisku; ludzie taszczyli ciężkie torby lub przytwierdzone do ramion materace i tłumoki z pościelą. Lecz tu nie było nic z nieprzerwanego zgiełku i gwaru targowiska. Ludzie ruszali się raczej niechętnie, jak rząd skazańców; dziwnie milczący, zdyscyplinowani. Jedyne dźwięki, jakie rozlegały się wyraźnie w ten mroźny poranek, to głuchy szczeł kuchennych rondli przywiązanych do pasów i troków.

— Co tu się dzieje? — zapytał jednego z klawiszy.

— Już po tobie, wyjeżdżasz stąd — burknął klawisz i bez ceregieli wręczył jego książeczkę pracy funkcjonariuszowi, siedzącemu opodal za stolikiem. Ten podstemplował szybko dokumenty i chwilę potem dano Adamowi kawałek chleba oraz miskę zupy, i rozkazano, aby przeszedł na koniec dziedzińca, gdzie stało już koło stu mężczyzn pilnujących swoich rzeczy.

— Tak to jest — powiedział jeden z więźniów, który już dostał swoją zupę i w bezzębnych prawie ustach międlil chleb. Biorą do getta Żydów z zagranicy, a nas miejscowych wysiedlają.

Adam rozłożył swój dokument i spojrzał na stempel:

AUSGESIEDELT

stało tam napisane dużymi czarnymi literami, przez całą górną część książeczki pracy, tam, gdzie ręcznie wpisano jego nazwisko, adres i wiek.

W y s i e d l o n y.

I wtedy nagle, choć nie bez oporów, pojął, co się dzieje.

Nie wydobyli go z Kopalni po to, żeby go wypuścić, tylko po to, żeby go deportować z getta.

Adam rozejrzał się. Niektórzy z mężczyzn stojących tu za kordonem znali się, albo przynajmniej znali się z widzenia, lecz w czasie trwania rytuału z wywoływaniem nazwisk, stemplowaniem i wydzielaniem zupy i chleba żaden z nich nie przemówił ani słowem. Jakby wstydzili się przed sobą.

Adam zrozumiał, że czekają, aż kontyngent wysiedlonych osiągnie wielkość pozwalającą im na wymarsz. D o k ą d? Na plac zborny gdzieś na terenie getta czy całą drogę aż na Radogoszcz? Jeśli go deportują, co wtedy będzie z Lidą? Czy jeszcze kiedyś ją zobaczy? W tym zdenerwowaniu Adam połknął cały swój chleb od razu. Chleb był ciemny i zadziwiająco soczysty: jego pierwszy prawdziwy posiłek od miesiąca. Poczul, jak zupa rozpala mu żołądek.

Właśnie wtedy po drugiej stronie płotu spostrzegł swojego stryja Lajba.

*

Jeszcze za czasów, kiedy mieszkał razem z nimi, stryj Lajb miał własny rower. Był jedynym posiadaczem roweru na całej Gnieźnieńskiej, i żeby wszystkim udowodnić, jaka to nadzwyczajna maszyna, wyprowadzał rower, rozkręcał go na drobne części i rozkładał je przed sobą na kawałku ceraty. Każdą rzecz z osobna: osobno łańcuch; osobno narzędzia w specjalnym pokrowcu z kieszonkami i przegródkami na każdy klucz i każdą tulejkę. Potem z powrotem skręcał cały rower, a dzieciaki z podwórka stały wkoło i przyglądały się z podziwem.

Parę wieczorów w tygodniu poświęcał na ten rytuał. Za wyjątkiem szabasu.

W szabas Lajb stał twarzą do ściany, z modlitewnikiem w ręku i modlił się. Modlitwę osiemnastu błogosławieństw Lajb wygłaszał z tą samą dokładną precyzją, z jaką rozkręcał i składał swój rower. Kiedy zakładał tałes, wygłaszał błogosławieństwo tałesu; kiedy zakładał swoje *tefilin*, dziękował Bogu za rzemienie modlitewne. Za każdą rzecz z osobna. I kiedy Adam patrzył na rozmodloną twarz Lajba, myślał, że ta twarz wygląda zupełnie jak siodło roweru, z wąskimi nacięciami oczu i ścięgnaми szyi jako rozdwojonym przednim widelcem schodzącym

do osi, wokół której wiruje modlitewne koło ze swoimi szparkami szprychami: bezgłośnie i niedostrzegalnie. Mimowolnie i bezwiednie Lajb pozostawał zawsze w centrum tego koła. Gdziekolwiek szedł, ludzie zbierali się dokoła niego i przyglądali mu się z należnym szacunkiem i podziwem. Wtedy, na Gnieźnieńskiej, byli to mali chłopcy. Tym razem — więzienni strażnicy. Zbliżali się teraz do Lajba, jakby był jakimś świętym rabinem. Już po paru minutach podszedł do Adama szczęśliwy klawisz z papierami przestemplowanymi; cała twarz promieniała mu radością:

— Rz-rzepin! To twój szczęśliwy dzień, Rz-rzepin.

Jesteś s-s-skreślony z listy.

*

Szli w milczeniu, Adam i Lajb.

W przeciwną stronę szły kolejne gromady mężczyzn i kobiet, którzy dopiero co dostali swoje nakazy deportacji i którzy szli do punktu zbornego przy Centralnym Więzieniu, i znowu powstał jakiś krąg, czy może pustka wokół nich. Adam nie miał odwagi patrzeć w twarz deportowanym. Nie miał odwagi podnieść wzroku wyżej niż do ich kolan. Większość z nich była bez butów i miała tylko stopy owinięte w zwykłe onuce albo wetknięte w ciężkie, klapiące drewniaki, którymi powłóczyli w śniegu, jakby to były kule u nóg.

Adam pomyślał o tych nowych butach, które stryj Lajb sznurował sobie dzień po tym, jak pan Prezes obwieścił, że robotnicy, którzy urządzili strajk na Drukarskiej, zostaną wysiedleni z getta.

To było tak: niektórych wyrzucono z getta, inni za to dostali nowe buty.

Podobnie jak z rowerem stryja Lajba nikt w getcie nigdy nie widział na oczy takich butów; prawdziwe, sznurowane trzewiki z lśniącej skóry, z mocnym obcasem i podeszwą, z dziurkowanym wzorem na przyszwie. Kiedy Lajb chodził w nich po mieszkaniu na Gnieźnieńskiej, buty skrzypiały na podłodze w ten sam sposób, jak teraz skrzypiał im pod nogami suchy śnieg.

W normalnych okolicznościach o tej porze mieszkanie byłoby puste, ojciec w pracy. Ale kiedy weszli, Szaja z zakłopotaniem podniósł się z za stołu. Adam popatrzył odruchowo w stronę łóżka, gdzie zwykle leżała Lida. Tam, gdzie zazwyczaj stało łóżko, stał teraz stolik i dwa wąskie krzesła, na których siedzieli jakiś mężczyzna i kobieta, a między nimi, na podłodze, dziewczynka w wieku dziesięciu, dwunastu lat.

— To są państwo Mendlowie — mówi Szaja, uroczystą, litwacką odmianą jidysz, której poza tym nigdy nie używa; i gwoli wyjaśnienia (po polsku):

— Oni są z tego praskiego kolektywu. Dostali tutaj kwaterunek.

Pan Mendel jest niewysoki, przygięty prawie jak garbus; świeci łysiną i parą okrągłych okularów. Adam zagląda mu głęboko w oczy, ale spojrzenie za okularami jest zupełnie nieobecne. Widzi, jakby nie widział. Obok niego siedzi jego żona i grzebie w jakiejś torebce.

— A gdzie Lida? — pyta wtedy Adam.

Szaja nie odpowiada.

Adam odwraca się, chcąc ponownie zadać to samo pytanie Lajbowi.

— G d z i e j e s t L i d a ?

Ale Lajba już tam nie ma. Ledwie przed minutą stał tuż przy Adamie, z martwą i pozbawioną wyrazu twarzą, jak zwykle. A teraz jakby nigdy go tutaj nie było.

Po śmierci Józefiny Rzepin ojciec i syn nauczyli się bez zbędnego gadania robić to, co do nich

należy. Codziennie rano Szaja rozpałał w piecu, podczas gdy Adam schodził na podwórze po wodę. Ponieważ tylko Szaja miał prawdziwą książeczkę pracy, to on najczęściej wystawał w kolejkach do punktów dystrybucyjnych, gdy ogłaszano jakieś nowe przydziały; natomiast Adam został tym, który gotuje zupę, pierze ciuchy, karmi Lidę, rozmawia z nią i śpiewa jej piosenki.

A teraz pierwszy raz od wielu lat czują obaj, że ciszę, jaka zapanowała między nimi, da się przerwać tylko słowami. Adam ma w piersi wielką wyrwę. Ta wyrwa to Lida. Tylko że jest za duża, żeby ją wypełnić słowami jak tęsknota, niepokój czy strach. Albo raczej: te słowa, gdyby odważył się je wypowiedzieć, tylko by w niej utonęły.

— Ja nigdy nie prosiłem o pomoc — mówi w końcu Szaja i kiwa głową w stronę drzwi, którymi Lajb właśnie wyszedł.

Adam się nie odzywa. Po drugiej stronie pokoju siedzi rodzina Mendlów i niespokojnym wzrokiem śledzi przebieg rozmowy. Mimo że nic nie rozumieją, im też udziela się napięcie panujące między ojcem a synem.

— Powiedzieli, że nas wszystkich wysiedlą. (Przy słowie „wysiedlą” głos ojca cichnie jeszcze bardziej). — Lida też była na ich liście.

Więc poprosiłem, żeby Lajb mi pomógł.

Nigdy w życiu nikogo nie prosiłem o pomoc.

Adam zagląda ojcu w oczy.

— Gdzie jest Lida? — mówi tylko.

— Lidę też mieli deportować.

Adam odwraca głowę w stronę Mendlów. Zastanawia się, czy pan Mendel rozpoznaje go jako złoczyńcę, który wtargnął do ich kolektywu. Pewnie tak. Tylko że chwilę potrwa, zanim to sobie uprzytomni. Że mieszka teraz u człowieka, który próbował go ograbić ze wszystkiego, co posiada.

— Lajb ci załatwił robotę.

Adam wbija wzrok w ojca.

— Na Radogoszczu, na stacji. Potrzebują ludzi do przeładunku. Dobrze płatna.

Rozpoznanie przeszło już w strach w spojrzeniu pana Mendla. Patrzy teraz prosto na Adama, a Adam na niego. (Zaczeplnie, drwiąco: co mi może zrobić?) Potem do ojca:

— Gdzie jest Lida?

— Nie masz pojęcia, jak tu było, jak cię zabrakło.

— Gdzie jest Lida?

Adam rzuca się przez stół i chwyta ojca za ramiona, trzęsie nim w tę i w tę, jakby ten był szmacianą lalką. W drugim końcu pokoju pani Mendel wstaje i przyciska do piersi twarz córki, jakby ją chciała chronić przed napaścią. Ze stołu lecą z brzękiem na podłogę sztućce i talerze.

— W sanatorium — mówi tylko Szaja.

Lajb załatwił dla niej miejsce w sanatorium.

*

Tak jak dla wielu innych bałuciarzy Marysin także dla Adama był obcym terenem. Miejscem dla tych i n n y c h: zamożnych i wpływowych, ludzi władzy.

Zwykli ludzie wybierali się na Marysin tylko wtedy, gdy mieli tu do załatwienia jakąś sprawę, w fabryce obuwia, stanowiącej jeden z resortów Marysina, albo w magazynie za warsztatem

Praszkiara, gdzie ludzie ze specjalnymi kuponami stali w kolejce po odbiór drewna na opał albo brykietów węglowych. Albo jak człowiek nie żył i mieli go pogrzebać. Dzień w dzień widziało się, jak Meir Klamm i inni z Bractwa Pogrzebowego jeździli w tę i we w tę, Dworską i Marysińską, trupiarkami dyrektora Muzyka. Po drugiej stronie muru na Zagajnikowej otwierało się królestwo umarłych, tak olbrzymie, że ponoć nawet się nie dało zobaczyć jego końca. Powietrze na Marysinie też było wypełnione śmiercią, stęchłą wonią surowej, rozkopanej ziemi, zwiertzałego cementu i zgniłych odpadków; a gdy śnieg stopniał, obnażając glinę i żwir, a wiatr ciągnął z niewłaściwej strony, nappełniało się gorzkawo-słodkim smrodem saletry z dołów kloacznych, posypywanych przez szambiarzy niegaszonym wapnem. Można ich było z daleka zobaczyć. Długi rząd mężczyzn z łopatami rysował się na tle nieba jak nastroszone wrony na drucie telefonicznym.

W okolicach Próźnej i Okopowej, gdzie pan Prezes i inni możni panowie z Bejratu mieli swoje domy, noga Adama nigdy nie powstała. Ale wiedział z raportów Mosze Sterna, że byli tacy w getcie, którzy wynajmowali tutaj sobie „pokoje tymczasowe” i że wynajmujących widywano czasem, jak chodzą po Marysińskiej w poszukiwaniu tymczasowych gości.

Okrutnie zimno było tego wieczoru, kiedy Adam Rzepin wybrał się na poszukiwanie siostry. Śnieg piął się w wysokich zaspach między domami, gdzie żadne wozy nie były już w stanie przejechać. Adam nie widział zbyt wielu wynajmujących. Ci, których ważył się zapytać, instynktownie go ignorowali. Dla nich był przypuszczalnie tylko zwykłym obdartusem: człowiekiem „bez pleców”, jak się mówiło w getcie. Nie mając żadnego wysokiego rangą dygnitarza, po którego plecach można by się wspinać, było się tu dosłownie nikim.

Gdyby nie głos Lidy, zapewne by tu nie wytrzymał samotnie na mrozie. Głos Lidy był słaby jak nikły cień majaczący za szkłem: ale żył i bez przerwy w nim mówił.

— Zabiorę cię do domu, Lida — powiedział temu głosowi.

Nie bój się. Ja cię zabiorę do domu.

Znad paru domów unosił się słaby dym. Policjanci z piątego rewiru patrolowali okolicę w swoich opaskach na ramię i wysokich lśniących butach. Widział, jak rozmawiają z paroma wynajmującymi. Nie wiedział, pod czyją protekcją były te kwartały. Ponad ślepych szczytami domów i gzymsem muru na Marysińskiej niebo jarzyło się bladoczerwonym odbiciem światła z części Litzmannstadtu, które nie były zaciemnione.

Potem nagle od strony getta nadjechała dorożka. Usłyszał głośnie parskanie konia i podzwanianie upręży: dźwięk znajomy, a jednak tutaj tak niezwykły, że każdy pewnie by się wzdrygnął. W głębokim śniegu stuku kopyt prawie się nie słyszało. Fiaker ściągnął lejce. Po opuszczanym schodku zstąpił ciężko Szlomo Hercberg, odziany w grube futro, jakby z bobra czy innej dzikiej zwierzyny. W drugiej dorożce nadjechali dwaj ochroniarze i obaj instynktownie ruszyli w stronę Adama, jakby chcieli usunąć tę nagłą przeszkodę, jaka wyrosła niespodzianie na drodze komendanta więzienia. Ale w ten wieczór Hercbergowi się spieszyło, więc ochroniarze tylko odpędzili chłopca, i Hercberg ruszył w stronę małego domku nieco dalej na Marysińskiej, po lewej, niewiele większego od baraku. Gdy tylko się pojawił, ktoś stamtąd wyszedł i uchylił jedno skrzydło wysokiej żeliwnej bramy, za którą Hercberg zniknął.

Fiaker czekał. Koń parskał i przestępował z nogi na nogę pod uprzężą. Dorożkarz zsiadł po chwili z kozła i zaczął chodzić w kółko, zabijając zmarznięte ręce. Adam nie wiedział, co ma zrobić. Nie miał odwagi stamtąd odejść, z obawy żeby Hercberg mu nie umknął. Nie miał

odwagi też się zbliżyć, żeby go nie przyłapali dorożkarz i ochroniarze.

Po upływie niespełna półgodziny Hercberg stamtąd wyszedł. Rozkazującym głosem mówił coś do kogoś obok; wsiadł potem do dorożki i szybko odjechał. Człowiek, który z nim wyszedł, przypuszczalnie wynajmujący, stał jeszcze przez chwilę; potem zamknął i zarygłował wielką żelazną bramę. Adam zaczekał, póki obaj nie znikną mu z widoku i z impetem rzucił się na ogrodzenie. Zamek nie ustąpił. Dom był otoczony parkanem na kamiennej podmurówce; żelazne sztachety miały ostre szpice w kształcie francuskich lilii. Udało mu się oprzeć jedną stopą na podmurówce; potem przywarł do sztachet jak najwyżej, odbił się jeszcze raz i zdołał przerzucić ciało nad liliami. Ale nie zdążył się asekurować, zeskakując. Przy upadku stopa mu się omsknęła i ostry, rwący ból przeszył nogę. Pokuśtykał prędko pod osłonę domu. Odczekał. Nic.

Zobaczył teraz okno z wychodzącą rurą od piecyka. Mżące tam blade światło rzucało na śnieg niewyraźny czworokąt.

Podszedł do drzwi i zapukał. Nic.

To normalne, spodziewał się tego. Zastukał mocniej.

— Otwierać, prędszej, tu policja! — powiedział.

Drzwi się otworzyły. Na progu stała Lida. Było tak zimno, że światło padające z wewnątrz miało siną barwę. Ciało Lidy także było sine — od zagłębienia w jej filigranowej szyi aż po zniszczone podbrzusze. Nie mógł pojąć, dlaczego jest całkiem rozebrana.

— Lida — powiedział.

Rzuciła mu prędko, niewesoły uśmiech, jak zupełnie obcemu człowiekowi, potem zrobiła w jego stronę szybki krok i splunęła mu w twarz.

Pierwsze zebranie dotyczące wysiedleń z getta zarządzanych przez władze okupacyjne odbyło się według protokołu Rozensztajna dnia 16 grudnia 1941. Tak samo jak wcześniej, w podobnych przypadkach, nie było ono poprzedzone żadną korespondencją, tylko wezwano Rumkowskiego do biura Gettoverwaltung, aby odebrał swoje rozkazy bezpośrednio od władz. Poza Biebowem obecni przy tym byli jego zastępca Wilhelm Ribbe, Günther Fuchs i jeszcze paru ludzi z gestapo, które miało dostarczyć środków transportu i przeprowadzić sam załadunek.

Rumkowski stał, tak jak zawsze stawał i zawsze potem miał stawać w obliczu swoich przełożonych. Z postarzałą siwą głową opuszczoną, wzrok wbity w podłogę.

— *Ich bin Rumkowski. Ich melde mich gehorsamst.*

Byli uprzejmi i formalnie nienaganni, ale przeszli od razu do rzeczy i oznajmili Przełożonemu Judenratu, że oto czeka ich znowu długa i ciężka wojenna zima i że na dłuższą metę nie są w stanie zapewnić dostaw żywności i opału dla wszystkich Żydów, którym udzielili schronienia w getcie. W związku z tym *die Gauleitung* w Kaliszu zdecydowało, że część ludności getta zostanie przesiedlona do mniejszych miast na terenie Warthegau, gdzie sytuacja aprowizacyjna nie jest tak bardzo napięta.

Spytał, o jaką liczbę osób chodzi.

Odpowiedzieli: dwadzieścia tysięcy.

Skonsternowany, rzekł, że nie jest w stanie wyzbyć się aż tak wielu.

Odpowiedzieli, że ze względu na sytuację aprowizacyjną jest to niestety konieczne.

Powiedział wtedy, że wszak władze dopiero co ulokowały w getcie dwadzieścia tysięcy zagranicznych Żydów.

Odpowiedzieli na to, że decyzję o zagranicznych Żydach podjęto w Berlinie.

A tu chodzi o to, jak sobie poradzić z aprowizacją na miejscu, w Warthegau.

Powiedział wówczas, że może im zaoferować **d z i e s i ę ć t y s i ę c y**.

Odpowiedzieli mu, że mogliby zaakceptować okrojenie „pierwszego kontyngentu wysiedleńców” do dziesięciu tysięcy osób, o ile on zagwarantuje, że transporty zaczną się bezzwłocznie. Warunkiem było, oczywiście, że to on sam, ze swoją administracją, zajmie się typowaniem wysiedleńców i dostarczeniem ich do punktów zbornych na Radogoszczu, gdzie ich przejmie niemiecka policja.

Według świadectwa tych, którzy spotkali Prezesa po tym zebraniu, wydawał się wprawdzie wzburzony, ale też dziwnie powściągliwy i stanowczy. Było tak, jakby to spotkanie z najwyższą władzą oraz fakt, że to on sam miał wcielać w życie plany owej władzy, wlały w niego nowego ducha.

Powtarzał raz po raz:

— Dziesięć tysięcy Żydów będzie musiało opuścić getto. To prawda. Taka jest decyzja władz. Ale niech to nam nie przesłania szerszej perspektywy. Spróbujmy raczej spojrzeć na to z innej strony. Na możliwości, jakie nam to daje. Jeżeli dziesięć tysięcy ma bezwarunkowo opuścić getto, to zastanówmy się, kto to ma być. Tak, żeby getto na tym najwięcej skorzystało?

Za radą Prezesa postanowiono stworzyć Komisję Wysiedleńczą do wszelkich spraw związanych z deportacją. Pracą Komisji miał kierować szef Biura Meldunkowego, mecenas Henryk Neftalin, a tworzyć ją mieli, poza samym Rumkowskim, szef gettovej policji Leon Rozenblat, szef Prezydium Sądu Szaja Jakobson i komendant więzienia Szlomo Hercberg.

Komisja miała za zadanie przewertować od deski do deski rejestry ludności i, zestawiając je z zapisami w rejestrze skazanych i wykazami pacjentów szpitali, zdecydować, kto powinien zostać wysiedlony.

Postanowiono, aby w miarę możliwości nie deportować poszczególnych osób, tylko raczej wysyłać całe rodziny. Postanowiono także przy nakazach wysiedlenia preferować tak zwany niepożądany element. Kiedy ktoś zapytał, jakie kryteria decydują o tym, kto jest „niepożądany”, Prezes odpowiedział, że należy sięgnąć po rejestr skazanych. Notoryczni handlarze z czarnej giełdy; znani recydywiści; prostytutki; złodzieje — wszyscy ci, którzy żerowali na nędzy i rozpaczy innych ludzi: ci mieli iść w pierwszym rzędzie.

A jeśli taka osoba uznana za niepożądaną nie figuruje mimo wszystko w rejestrze skazanych? Wtedy należało powołać się na niego. Decyzja o wysiedleniu leżała wprawdzie w gestii władz, ale on chciał, tak samo jak poprzednim razem, sam decydować, kogo wysłać.

Mówiło się w tym czasie o Prezesie, że nigdy nie sypia.

Dzień i noc ślęczał z bólem serca nad listami Komisji Wyszczędlenczej.

Jego pokój: jedyny oświetlony sześcian w baraku na Bałuckim Rynku. W reszcie biura panował mrok z powodu nakazu zaciemnienia. Ale dopóki siedział i pracował, część jego sztabu wciąż tu była. Włóczyli się po ciemku po pokojach, kryli się za meblami i framugami drzwi, gotowi na jego najmniejsze skinienie. Kiedy gettowy zegar na rogu Łagiewnickiej pokazał za pięć dwunastą, odłożył teczkę i poprosił pannę Fuchs, żeby wezwała powóz. Pragnął odwiedzić jeszcze dzieci w Zielonym Domu, a potem przenocować w rezydencji na Karola Miarki.

— Ale już późno jest, panie Prezesie. Zaraz dwunasta.

Na jej protesty machnął tylko ręką:

— Zadzwoń też do Feldmana i poproś go, niech przyjdzie wcześniej i napali.

Choć praca była taką męką, to późne opuszczanie biura sprawiało mu głęboką satysfakcję. Wysokie elewacje z rzędami zaciemnionych okien działały na niego uspokajająco. Tu i ówdzie, na jakimś rogu lub przed jakąś manufakturą, pełnili wartę policjanci. Przed czerwoną ceglana twierdzą kripo stały zaparkowane czarne gestapowskie limuzyny w długich lśniących rzędach.

A potem dalej, przez opustoszałe nocą ulice Marysina.

Siedział w kapeluszu nasuniętym głęboko na czoło, z kołnierzem płaszcza postawionym wokół uszu. Jedyne, co się dało słyszeć w tę ciemną północną godzinę, poza skrzypieniem kół dorożki i przytłumionym stukiem kopyt, to równomierne trzaskanie z bata, kiedy woźnica podcinał konia.

Bo też Marysin to było coś innego. Zawsze, gdy tu wyjeżdżał, miał uczucie, że getto wokół niego się rozpuszcza. Domy robiły się coraz mniejsze, rozsiane za murami i płotami. Domki i szopy, baraki i budy. Tu i tam jakieś małe poletka uprawne, które niegdyś wchodziły w skład ogródków działkowych, lecz które teraz rozdał jako osobne parcele swoim najlojalniejszym współpracownikom. Dalej kibuce prowadzone kiedyś przez syjonistów: duże, otwarte pola, gdzie młodzi, piękni mężczyźni i kobiety chodzili z motykami i szpadlami między prostymi rzędami ziemniaków i kapusty, i buraków.

Zielony Dom leżał najdalej z tych domów letniskowych, które on przerobił na schroniska młodzieżowe i ochronki. W sumie było w getcie sześć takich domów dziecka. A także powiązany z nimi nowo założony szpital dziecięcy i duża apteka. Lecz jego serce należało do dzieci z Zielonego Domu. Tylko one przypominały mu o wolnych i szczęśliwych latach w Helenówku, przed wojną i okupacją.

Budynek nie był wcale nadzwyczajny: podniszczony, piętrowy dom z wilgocią w ścianach i dachem, który zaczynał się zapadać. Gdy tylko przeniósł tutaj z Helenówka swoją *kinder kolonie*, zlecił przemalowanie domu. Jedyne farbę, jaką dało się zdobyć w getcie, to była zielona. A zatem ściany pomalowano na zielono, dach, ganek, gzymsy; nawet poręczę schodów. Dom zrobił się taki zielony, że latem ledwie dawał się odróżnić od bujnych pnączy porastających tylną ścianę.

Ale to było jego królestwo: *ś w i a t s z t e t l a*, małych, ciasno stłoczonych domków, gdzie do późnej nocy zawsze ktoś nie spał, ktoś się trudził w świetle płonącej lampy. Najchętniej zjawiał się bez zapowiedzi. Tak sam rozumiał swoją rolę. Prostą, skromną człowieka, nieznanego dobroczyńca, który pomimo późnej pory wstąpił, bo było mu po drodze.

W transportach do getta, w ciągu tych miesięcy, przybyło także wiele dzieci, które straciły lub nigdy nie miały rodziców ani bliskich krewnych. Jednym z tych dzieci była dziewczynka o imieniu Mirjam, innym był chłopiec bez nazwiska.

Dziewczynka miała jakieś osiem, dziewięć lat i trafiła do Zielonego Domu z tekturową walizką, której nie chciała puścić, a w której później panna Smoleńska znalazła dwie dobrze wyprasowane sukieneczki, ciepły płaszcz i cztery pary bucików. Wśród tych ostatnich parę lakierków ze srebrną sprzączką. W kieszonce, wewnątrz walizeczki, leżały dokładnie złożone dokumenty małej. Wynikało z nich, że dziewczynka nazywa się Mirjam Szygorska. Urodzona i zameldowana w Zgierzu. (Chociaż nie stamtąd przyjechała). W walizeczce było oprócz tego parę zabawek, jedna lalka, parę książek po polsku.

Chłopca przyprowadzili do Zielonego Domu bracia Józef i Jakub Kohlmanowie, na bezpośrednie polecenie szefa transportu z kolektywu kolońskiego. Chłopiec przyjechał ostatnim transportem z Kolonii, 20 listopada 1941. Na liście transportowej figurował jako numer 677. Ale ta cyfra nie mówiła nic poza tym, że jest sześćset siedemdziesiątą siódmą osobą, jaka została zarejestrowana do transportu. Z przodu kolumny widniało tylko imię, WERNER, potem znak zapytania, określenie SCHUELER, a na samym końcu, w rubryce JAHRGANG, rok 1927. Przy założeniu, że we wpisie czegoś nie poplątano, SCHUELER był tylko neutralnym określeniem „ucznia” i młody człowiek nie miał żadnego nazwiska.

Nazwali go SAMSTAG, ponieważ bracia Kohlmanowie dostarczyli go pod bramę Zielonego Domu akurat w szabas; i pod tym nazwiskiem kierownik domu dziecka, doktor Rubin, wciągnął go na listę pensjonariuszy sierocińca:

SAMSTAG, WERNER, geb: 1927 (KÖLN);

VATER/MUTTER: Unbekannt

Od początku było w nim coś nieokiełzanego, jakaś frustracja. Nie umiał minąć ściany czy framugi drzwi, nie uderzając w nią. Jeśli spojrzeniem był w ogóle obecny, to jakby cały czas szukał czegoś obok albo poza tym, na co patrzył. No i ten uśmiech. Werner uśmiechał się często i, jak myślała Róża Smoleńska, która najczęściej miała z nim do czynienia, niemal bezwstydnie; uśmiechem pełnym małych, lśniących białych zębów.

Bracia Kohlmanowie, którzy go przyprowadzili, oznajmili, że chłopak nie mówi ani po polsku, ani w jidysz. Ale gdy Róża Smoleńska próbowała rozmawiać z nim po niemiecku, zareagował tylko rozzłoszczonymi grymasami. Tak jakby słowa tam były i jakby rozumiał, co znaczą, lecz nie pojmował, czemu ona mówi to, co mówi, ani dlaczego zagaduje go w ten sposób. Gdy próbowali zmusić go do czegoś, czego nie chciał, czasami reagował gwałtownymi wybuchami wściekłości. Któregoś dnia wyrzucił balię do prania, którą Chaja wniosła do kuchni; innym razem zaczął wyrzucać przez okno meble z Różowego Pokoju. Kiedy dyrektor Rubin zbliżył się, chcąc jakoś go uspokoić, ten ugryzł go w ramię. I tak pozostał, nie chciał puścić, chociaż rzuciło się na niego czworo ludzi, włącznie z Chają, ważącą dwa razy tyle co on, i próbowało ich rozdzielić. Te jego małe, gęste zęby tkwiące w ramieniu dyrektora, ostre i lśniące, przypominały zęby rekina.

Nie miał jednak problemu z porozumieniem się z innymi dziećmi. Lubił przebywać z maluchami, a zwłaszcza lubił towarzystwo Mirjam. Kiedy byli na podwórzu, wystawał tylko i gnuśniał po kątach, prawie komiczny w swoich za dużych butach, dwa razy wyższy od swych małych towarzyszy zabaw. Lecz jeśli Mirjam gdzieś szła, Werner zawsze podążał parę kroków

za nią. Razem z młodszymi, Abrahamkiem i Leosiem, bawił się w policję. Gonił ich z kijem i jak wszyscy inni krzychał *ich hob dich gechapt*, ale z dziwnym akcentem zdradzającym, że nigdy w życiu nie mówił tym językiem.

(Później Róża miała wspominać, jakie to jej się od początku wydawało dziwne, że ktoś, kto nigdy nie był w getcie, potrafi tak dokładnie naśladować wszystkie głosy i tonacje, że nawet kiedyś mu to powiedziała — po niemiecku, rzecz jasna, był to bowiem język, w którym wtedy wciąż jeszcze z sobą rozmawiali: — *Du bist doch ein kleiner Schauspieler!, Du, Werner...!* — żeby w sekundę potem zobaczyć, jak twarz mu tężeje w tym wstrętnym uśmiešku, którego nauczyła się już bać. Same zęby, bez ust, i kompletnie bez wyrazu w tych bladych, niebieskich oczach).

*

Róża Smoleńska przez całe życie pracowała z sierotami i bezdomnymi dziećmi. W Helenówku przepracowała osiem lat i cały czas opiekowała się tam najmłodszymi. Nie licząc szefa, dyrektora Rubina, kiedy nastąpiła okupacja, tylko ona i gospodyni Chaja Meyer przyszły z Prezesem do getta. Inne opiekunki po wybuchu wojny uciekły do Warszawy. Ale też wszystkie były mężatkami i miały *m o ż l i w o ś c i*. Róża nie miała nigdy ani męża, ani możliwości: tylko te wszystkie dzieci! Było ich teraz czterdzieścioro siedmioro, z Wernerem i Mirjam jako ostatnio przybyłymi.

Róża Smoleńska należała do tych, którzy z rana wstawali jako pierwsi. Zimą była na nogach już o czwartej albo piątej, żeby zdążyć napalić. Po rozpaleniu w dużym piecu w kuchni szła do studni, położonej nieco niżej na zboczu, tam gdzie się zaczynała ogrodzona część Wielkiego Pola. O świtaniu na wałach chmur na wschodzie leżały najczęściej blade smugi światła. W poświacie wstającego słońca ceglany mur wokół cmentarza rzucał na śnieg długie cienie. Parę godzin później słońce wychodziło nad szczyt muru i światło skrzyło się na oszronionych drutach zwisających między słupami telefonicznymi na Zagajnikowej. Około szóstej, siódmej z rana często widziała grupy robotników idących do pracy albo wracających ze swojej zmiany na stacji Radogoszcz. Chodzili zwartymi grupami, jakby chcieli lepiej utrzymać ciepło na mrozie; i bez jednego słowa. Jedyne dźwięki, jakie się rozlegały, to pobrząkiwanie przytroczonych do pasa menażek na zupę. Co jakiś czas zmarzniętą ciszę rozrywał także huk niemieckich czołgów albo ciężarówek, albo żołnierze z bronią maszynową patrolujący podejrzliwie przyległą do getta ulicę. Blżej niż na tę odległość Niemcy nieczęsto podchodzili. Już częściej widywało się czarne trupiarki, które nad ranem przyjeżdżały z Bałut. Czasem nie było koni do zaprzęgu i wóz z trupami był ciągnięty tak jak szambiarki, przez mężczyzn zaprzężonych w hołoble, podczas gdy inni nieszczęśliwcy musieli popychać wóz z tyłu.

Gdy już naniosiła wody, wychodziła znowu i czekała, aż się pojawi Józef Feldman człapiący w górę Zagajnikowej ze swoimi kubłami z węglem. Zimą czy latem zawsze był ubrany w ten sam poźółkły kozuch i tę samą baranią czapkę, co sprawiało, że jego twarz prawie ginęła pośród tych gałganów. Róża wiedziała, że Prezes kazał Feldmanowi zawsze w pierwszym rzędzie napalić w Zielonym Domu; poza tym miał być zawsze gotów rzucić wszystko, co akurat robi, jeśli w czymś trzeba pomóc *t a m n a g ó r z e*. Swoje właściwe zatrudnienie Feldman miał w brygadzie grabarzy Barucha Praszkiara. Róża się nigdy zbyt do niego nie zbliżała — zdawało jej się, że czuje smród śmierci bijący od jego rąk — lecz pomagała mu w piwnicy z węglarkami, żeby mógł sypać i zacząć opalać. Tymczasem Malwina już obudziła wszystkie dzieci. Stały teraz i trzęsły się z zimna w ciasnym holu, czekając w kolejce do mycia. Róża już włąła część

studziennej, zimnej wody do dużej kadzi, którą Chaja zawsze stawiała w przejściu z kuchni do jadalni. Dopiero gdy już się umyły, mogły podejść do blatu, gdzie Chaja kroїła dla nich chleb. Kromki robiły się z czasem coraz cieńsze, ale dla każdego była co najmniej jedna kromka posmarowana cienką warstwą margaryny.

Któregoś ranka Feldman przyprowadził małą i bladą, lękliwą osóbkę, o której nikt nie wiedział, jak się nazywa i skąd jest. Ale w odróźnieniu od Mirjam i Wenera ten, jak się zdawało, nie przybył do getta z transportami. Gdy Róža Smoleńska spytała go, kim jest i co tu robi, chłopiec wystąpił tylko butnie na środek sali i obwieścił, jakby to była jakaś pieśń albo deklamowany wiersz:

— Słyszałem, że tu jest pianino, które wymaga nastrojenia!

Był synem konserwatora instrumentów o nazwisku Rozner, tak znanego wśród łódzkich elit, że nikt go nigdy nie nazywał inaczej niż „stroiciel fortepianów”. Ale pan Rozner reperował także inne instrumenty: flety, instrumenty stroikowe, puzony i perkusje dla orkiestr wojskowych. Część swoich instrumentów eksponował w urządzonych z przepychem witrynie przyległej do jego warsztatu.

Sam jednak warsztat był ciasny i prymitywny, widziało się to, gdy się przebywało w środku; ale przechodzień na ulicy widział tylko piękną witrynę z błyszczącymi instrumentami wyłożonymi na poduszkach z jedwabiu i pluszu. Ponieważ Rozner był Żydem, to mówiło się, rzecz jasna, że gdzieś w warsztacie trzyma schowane pieniądze. Któregoś wieczoru wataha pijanych folksdojczów pod wodzą dwóch oficerów SS wdarła się do konserwatora instrumentów i zażądała natychmiast tych pieniędzy, a kiedy Rozner zaprzeczył, jakoby miał coś schowanego, zaczęli dewastować lokal kijami i pałkami, aż wszystkie instrumenty zostały potrzaskane, a sam Rozner leżał pośrodku swojej zniszczonej witryny z rozbitą czaszką i wszystkimi kościami pogruchotanymi. W ostatniej chwili synowi Roznera udało się uciec z tym, co ojciec miał najcenniejszego. Chodziło o dwie zszyte torby z grubego żeglarskiego płótna, w których pan Rozner nosił swoje narzędzia, kiedy chodził po domach bogatych łódzkich rodzin i stroił im fortepiany. Z tymi dwiema torbami z żaglowego płótna na ramieniu syn pojawiał się teraz w różnych miejscach w getcie; chodził po ludziach i próbował podjąć dzieło zabitego ojca.

Pianino w Róźowym Pokoju było wrażliwe na zmiany temperatury, dlatego w środku stawiało się miseczkę z wodą, po to by drewno się nie rozsychało i żeby kołki nie puszczały stroju. Stroiciel zwracał baczną uwagę na te i podobne defekty. Wypróbował pedały; poglądził dłonią ostrożnie klapę i boki instrumentu, ostukał go kłykciami wzdłuż i wszerz. Dopiero kiedy się upewnił, że nie słyhać żadnych niepokojących odgłosów, poprosił, żeby Kazik przytrzymał nakrywę, a on sam zdjął tylną ścianę obudowy i wszedł do środka instrumentu. Był tak nikłej postury, że mógł wisieć jak małpa w obnażonej gęstwie strun, popuszczając je i przykręcać, luzować i naprężać. Zanim wy dostał się z pianina, na oko zdrów i cały, zbadał od wewnątrz cały mechanizm klawiatury, jeden młoteczek po drugim. Ze źle ukrywanym wyrazem triumfu na swojej skurczonej twarzy ustawił na górnej nakrywie kamerton; potem zaprosił uśmiechniętym gestem Debora Żurawską, aby podeszła i zasiadła do instrumentu.

A Debora uderzyła pewnie dźwięczny akord C-dur, wyraźnie podchwycony i wzmocniony przez kamerton.

Stroiciel dostał od dzieci brawa, a gdy Debora zaczęła grać jakąś etiudę Chopina, usiadł przy niej i towarzyszył jej dziwnymi tryłami i arpedżiami w wysokim rejestrze. Było słyhać, że nigdy

nie nauczył się porządnie grać, a tylko naśladował przebiegi akordów i zmiany tonacji: jakby do swoich toreb zgarnął wszystkie motywy i frazy, jakich kiedykolwiek użył Chopin, a potem znów je wysypywał na klawiaturę, jak mu się żywnie podobało, bez ładu i składu. Ale teraz nie miało to znaczenia. Debora grała, stroiciel jej przygrywał i po chwili byli już tak zgrani, że nikt nie wiedział, gdzie kończą się jej akordy, a zaczynają jego.

Kilka dni później muzyka i piosenki były już napisane; „orkiestra” po próbach; była nawet trupa aktorska, w której skład weszły wszystkie dzieci z sierocińca z niejakim panem SAMSTAGIEM, Wernerem („dyrektor teatru”) na czele, chodząca i rozdająca ręcznie wypisane zaproszenia:

Grupa aktorska „**Grine Hojz**” przedstawia

Der klajner Wasserman

Sztuka w jednym akcie

SY „Ritter”

Młody Adam Gonik wyrecytował po hebrajsku wiersz *Przyszła wiosna*; następnie mały chór dziecięcy, pod kierunkiem samego dyrektora Rubina, zaprezentował kilka pieśni i wierszy Bialika. W trakcie tej uwertury pajęczonogi stroiciel fortepianów wszedł na drabinę w holu i zdjął blaszaną pokrywkę z dzwonka umieszczonego na ścianie przed kuchnią. Jednym z żelaznych młoteczków, które nosił w swoich torbach, dokonał zwarcia w urządzeniu, włączając dzwonek, którego przeraźliwy dźwięk rozległ się w całym Zielonym Domu:

drrrrrrrrrrr-rrrrrrrrryń

Był to sygnał: dzieci z chóru podbiegły i rozsunęły zieloną draperię, którą aktorzy rozpięli jak kurtynę. Na scenę wszedł chwiejnym krokiem Kazik przebrany za bogatego polskiego szlachcica i powiedział do grupy Żydów wypędzonych ze swojej galicyjskiej wsi przez żołdatów rosyjskiego cara, że oczywiście ukryje ich wszystkich w wielkich piwnicach swojego pałacu. Debora wyębniła szybką sekwencję dramatycznych akordów, a tymczasem stroiciel fortepianów wdrapał się na drabinę i zawołał wysokim deklamatorskim głosem — RUSCY IDĄ! RUSCY IDĄ! — i wszystkie dzieci zaśpiewały:

Umgluk, szrek un mojres

Mir wejsn nit fun wanen

Ojch hajnt wi in ale dojres

Zajnen mir ojsgesztanen!

[Nieszczęście, strach i groza

Nie wiemy skąd, dlaczego

Dziś znowu nas spotyka

Jak ojców, tyle złego!]

Wtedy na scenę wkroczył zamasyście Werner Samstag, odziany jak prawdziwy rebe w długi czarny chałat i wielki czarny *sztrejml*, który zapewne zrobił sobie sam, bo kawałki aksamitej lamówki opadały mu na oczy. Broda też była własnego wyrobu: szara szmata, zza której błyskał tak jak zawsze ten jego biały uśmiech, jakby całkiem pozbawiony warg. Podczas gdy Debora bębniła oburącz w klawisze niskiego rejestru, a głosy dzieci szybowały wysoko w śmiałym kontrapunkcie, reb Samstag uniósł palec w geście napomnienia, wpierv ku publiczności, a potem ku niebu; po czym wyrecytował:

Szrajt jidn, szrajt arojf

*Szrajt hecher ahin dort;
Wekt ir dem altn ojf —
Wos szloft er klojmerszt dort?
Wemen wil er gor gewinen?
Wos zajnen mir — a flig?
Loz er undz a zchus gefinen
Oj, es zol szojn zajn genug.
[Krzyczcie Żydzi, wołajcie,
Krzyczcie wniebogłosy;
Zbudźcie w niebie Starego —
Co on, udaje, że śpi?
Po czyjej on jest stronie?
Czy nasze modły to dla niego —
Brzęczenie much?
Czyśmy niegodni jego łaski?
Oj, już przebiera się miarka.]*

Kiedy wracała potem myślą do tego całego spektaklu, Róża Smoleńska pamiętała, że dzwonek na kuchennej ścianie brzęczał przez cały wieczór; i że parokrotnie w trakcie przedstawienia podchodziła do stroiciela fortepianów, mówiąc, że czas już, aby wyłączył ten jazgot i że na przyszłość ma nie ruszać rzeczy, które do niego nie należą.

Ale może te agresywnie brzmiące dzwonki, za wyjątkiem tego pierwszego, jedyne, nie były dziełem stroiciela. Może było dokładnie tak, jak potem miała powiedzieć panna Estera Daum: że z kancelarii Prezesa przez cały wieczór próbowano się dodzwonić do Zielonego Domu, tylko że nikt nie odpowiadał. Po raz ostatni próbowali już grubo po północy. O tej porze Róży udało się w końcu zdjąć ze spoconych, rozdokazywanych aktorów ich kostiumy, zapędzić dzieciarnię do łóżek i wreszcie samej położyć się spać.

Drrrrrrrr-rrrrryń...!

...rozległ się ponownie nagłący dźwięk dzwonka.

Słyszała, jak na dole, w biurze na parterze, dyrektor Rubin człapie tu i tam w poszukiwaniu telefonu, który stał gdzieś schowany wśród papierów i książek na biurku; potem zaś jego głos, który odpowiada i zaraz zgina się pokornie i mówi „tak”, i „oczywiście”, i „natychmiast, panie Prezesie”. Zrozumiała od razu, co się święci, zarzuciła pospiesznie swój kaftan na nocną koszulę i zaczęła chodzić od sali do sali i potrząsać dziećmi, aby znowu otworzyły oczy:

— Ubierzcie się szybciotko, pan Prezes przyjeżdża! Pospieszcie się!

W normalnych wypadkach personel Zielonego Domu miał trzydzieści do czterdziestu minut na to, by wszystkie dzieci umyć, uczesać i ubrać. Tyle mniej więcej czasu upływało od momentu, gdy panna Estera Daum dzwoniła z biura z ostrzeżeniem, do chwili gdy Prezes docierał na Marysin.

Ale teraz dzieciaki były takie wymęczone, że z najwyższym trudem udało jej się podnieść je na nogi. Kiedy w końcu wspólnie z Malwiną ustawiły je w jako tako porządne i proste szeregi, z najmłodszymi na przedzie, a starszymi na schodkach powyżej, według wzrostu, Prezes już zdążył wysiąść z dorożki i wchodził do domu. Nie rzucił nawet okiem na lewo czy na prawo, mijając pędem Mirjam, która próbowała wręczyć mu abum z ilustrowanymi wersetami

Talmudu, zrobiony przez dzieci specjalnie na taką okazję. Ale Najwyższy getta nie spojrział jeszcze ani na młodziutką Mirjam, ani na żadne z pozostałych dzieci; oddał tylko Chai kapelusz, płaszcz i spacerową laskę i zawołał głośno do dyrektora Rubina:

— Pan będzie łaskaw ze mną do pańskiego biura, doktorze Rubin. Tak, od razu...! I proszę wziąć wykazy wszystkich dzieci!

Jeszcze za dawnych czasów, w Helenówku, panna Smoleńska dzień w dzień próbowała wyczuwać, jak pogodę, wszystkie zmiany humoru starego. Był dziś spokojny i zadowolony z siebie? Czy może znów był ogarnięty tą osobliwą furją, która czasami go porywa?

Prawie zawsze były jakieś oznaki. Na przykład sposób, w jaki poruszał dłońmi: czy były pewne i spokojne, czy nerwowe i niezgrabne, kiedy sięgał do kieszeni marynarki, szukając cygara. Albo czy miał, jak to mówiła Chaja Meyer, „spojrzenie gagatka”: ten szelmowski uśmieszek w kąciku ust, mogący znaczyć, że miał jakieś myśli albo plany co do którejś z nich, czy może nawet w związku z którymś z dzieci.

Lecz o tej późnej porze nie dostrzegła żadnych znaków. Prezes wydawał się skupiony, poważny i zdecydowany. Poza tym siedział tam w biurze z dyrektorem niezwykle długo. Minęło parę godzin. Później Chaja, najwyraźniej na polecenie, które wyszło z biura, zaczęła napełniać cebry ciepłą wodą z wielkiego kotła w kuchni, a panna Malwina chodziła między stolikami i rozkładała ręczniki. Godzina była wtedy w p ó ł d o t r z e c i e j z rana, a ponieważ nikt nie zarządził inaczej, dzieciaki wciąż stały w szeregach na schodach. Niektóre już spały, opierając głowy o siebie nawzajem, o ścianę albo poręcz schodów; albo siedziały tak jak Samstag, osunąwszy się na schodek, z rękami między kolanami, a kolanami podciągniętymi na wysokość uszu, jak świerszcz.

Wtedy Prezes pojawił się znowu. W jednej ręce trzymał te *Zugangslisten*, które dyrektor Rubin kazał przynieść.

Róża Smoleńska miała później pamiętać pusty i bezduszny wyraz twarzy Prezesa, i to, że kiedy wreszcie otworzył usta, nie mógł początkowo wydobyć z siebie właściwych słów. Czy to właśnie wtedy — dopiero w chwili, kiedy siedział tam w biurze Rubina i razem z nim wertował listy z nazwiskami wszystkich dzieci — zrozumiał w całej rozciągłości los czekający zamkniętych w getcie Żydów? Nie tylko los dzieci, chociaż przede wszystkim, ponieważ dzieci były przecież j e g o. Nie było jasne od tej chwili, do kogo się zwraca, do tych półśpiących dzieciaków na schodach czy do niewyspanego personelu Zielonego Domu. Ale j ą k a ł s i ę, mówiąc. A to się nigdy przedtem nie zdarzyło:

— Powiem wam to tylko raz i powiem to teraz, żeby raz na zawsze wyjaśnić powagę zaistniałej sytuacji:

Władze, którym my wszyscy musimy się podporządkować, wydały zarządzenie, że wszyscy w getcie mają pracować — dotyczy to także dzieci i młodzieży — i że ci, którzy nie pracują, zostaną natychmiast wydalen z getta.

Mówię to niechętnie — bo nie chcę niepotrzebnie straszyć ludzi — ale poza granicami getta nie ma już nikogo, kto mógłby za was ręczyć i gwarantować wam czy innym Żydom bezpieczeństwo. Tylko w getcie, pod moją opieką, ponieważ raz na zawsze zapewniłem sobie zaufanie władz, jesteście bezpieczni.

Dlatego też w porozumieniu z panem Warszawskim postanowiłem stworzyć specjalne stanowiska praktykanckie dla wszystkich dzieci z getta zdolnych z racji wieku do pracy. Także te,

które jeszcze nie przeszły wymaganej kontroli zdrowotnej, mają od dziś obowiązek podjąć pracę w zawodzie kroczy albo szwaczka w naszych gettowych szwalniach!

Po tych słowach wśród starszych dzieci na schodach powstał pewien niepokój.

— Mamy się przenosić? — zawołała Debora Żurawska, gdzieś zza nóg Wenera Samstaga. Z kolei za nią rozległo się głośnie szemranie. Lecz teraz u starego widać było nieomyślne znaki, te same, które dawno temu nauczyła się poznawać: uśmiezek w kąciku ust; błędzący wzrok; dłoń wędrująca do kieszeni marynarki i z powrotem:

— Tu chodzi o wasze młode życie, a wy macie czelność mi się sprzeciwiać?

W holu zapadła całkowita cisza.

Dyrektor Rubin postąpił krok w stronę starego. Runkowski, poirytowany, wyrwał mu z ręki wyświechtane listy z nazwiskami.

— Tutaj brakuje informacji o kilkorgu dzieciach, które powinny tu być wykazane. Poza tym, przed chwilą mogłem przekonać się naocznie, że wiele z nowych dzieci zapisano pod myłnymi czy nawet fałszywymi nazwiskami... Gdy władze każą mi przedstawić wykaz dzieci pozostających pod moją opieką, wtedy wszyscy będziecie straceni! Słuchajcie, dzieci! A teraz wszyscy, po kolei, kiedy dyrektor Rubin was wywoła, występujcie krok do przodu, mówicie, jak się nazywacie i skąd jesteście, a potem idziecie do kuchni, gdzie doktor Zysman każe was przebadać.

Nikt nie pyta, dlaczego ta lustracja musi się odbywać w mroźną zimową noc, o trzeciej rano. Wszyscy wiedzą, że gdyby przeprowadzał ją sam okupant, mogłoby dojść do dużo gorszych rzeczy. Mimo to jakby udzieliło im się coś z takiej samej atmosfery grozy i nierzeczywistości, kiedy dyrektor Rubin nieporadnie poprawia sobie na nosie okulary i zaczyna głośno wyczytywać z listy:

Rubin (czyta): Samstag, Werner. Geburtsort: Köln. Vater/Mutter — *unbekannt*.

Prezes: I co oznacza to *unbekannt*?

Rubin: Samstag przyjechał z drugim transportem. Nie było z nim żadnych krewnych i później też nie umiał nam nikogo wskazać.

Samstag: Nie nazywam się Samstag.

Prezes: Tu nie jest napisane Samstag. To pan sam, panie Rubin, wpisał Samstag. Prawda? Tak czy nie?

Rubin: Uznaliśmy, że trzeba dać mu jakieś nazwisko.

Prezes: Brednie! Dalej!

Rubin (czyta): Majerowicz, Kazimir. Geburtsort: Łódź. Vater/Mutter — *unbekannt*.

Prezes: Ciągłe to *unbekannt*. Jak to jest możliwe?

Rubin: Sam pan polecił brać tu dzieci rozłączone z rodzicami.

Prezes: Ile pan ma lat, panie Majerowicz?

Kazik: Piętnaście i pół, jak by kto pytał, panie Prezesie.

Prezes: Tu stoi data urodzenia dwunasty styczeń 1926.

Rubin: Słucham?

Prezes: Więc pan nie może mieć piętnastu lat.

Rubin: To musi być jakiś pojedynczy błąd, panie Prezesie.

Prezes: No dobrze, dalej.

Rubin (czyta): Szygorska, Mirjam. Vater/Mutter —

Prezes: Pan pozwoli, że zgadnę. *Unbekannt*.

Rubin: Skąd pan wiedział?

Prezes: Wie pan co, panie Rubin? Włos się jeży na głowie. Czy pan ma pojęcie, ile osób może przypłacić życiem tę pańską niedbałość?

Rubin: Nie, panie Prezesie.

Prezes: Może panna Szygorska zechce wystąpić...?

Teraz Mirjam wyszła do przodu. Ponieważ wciąż trzymała album z ilustrowanymi wersetami

Talmudu, jeszcze raz spróbowała wręczyć go panu Prezesowi. Tym razem pan Prezes, wyraźnie speszony, przyjął dar. Stał później, gapiąc się na nią, a uśmiezek w kąciку jego ust rósł coraz większy:

Prezes: A ileż to lat liczy sobie panienska Szygorska?

Rubin (lęklíwie): Mała Szygorska nic nie mówi, panie Rumkowski.

Prezes: Rozmowna czy nie, pani Szygorska może sama raczy mówić za siebie.

Rubin: Panna Szygorska ma jedenaście lat, panie Prezesie.

Prezes: Dość duża jak na jedenaście lat. Czy może to kolejna próba wymigania się od pracy w szwalni?

Rubin: Panna Szygorska jest niestety pozbawiona daru mowy, panie Rumkowski.

Prezes: Pozbawiona daru mowy? Ale poza tym, zdaje się, natura niezwykle hojnie obdarzyła panienkę Szygorską.

Potem chwytą Mirjam za ramię i bezceremonialnie wlecze ją z sobą do biura. Odwraca się w drzwiach i rozkazującymi gestami dłoni daje znak Chai, żeby wniosła tam jedną z miednic do mycia i ręcznik, czeka w drzwiach niecierpliwie, aż Chaja przyniesie to, czego zażądał; potem przymyka i rygluje za sobą drzwi.

Przez długą chwilę stoją tam tylko — przestraszeni, zaskoczeni — gapiąc się na zamknięte drzwi. Po chwili ze środka dają się słyszeć niewyraźne dźwięki. Szorujące o podłogę nogi krzesła; coś ciężkiego uderza o ścianę, a potem toczy się powoli po podłodze. Parokrotnie powtarzają się te uderzenia i ten łoskot. Potem dobiega głos Prezesa, głuchy i poirytowany. I nałożony na to jasny sopran — głos Mirjam. Więc jednak ma jakiś głos! Brzmi tak, jakby uparcie usiłowała coś głośno powiedzieć, ale coś albo ktoś nie pozwala słowom się wydostać.

Znowu nogi krzesła szorują o podłogę i znowu ciężkie stuknięcie, jakby coś się przewróciło.

Potem zapada cisza. Przerażliwa cisza.

Debora pierwsza wrywa się z odrętwienia. Biegnie z powrotem do Różowego Pokoju i zaczyna walić i bębnić rękami w klawisze pianina. Potem rodzi się rytm i cała klawiatura ugina się pod tonami starego żydowskiego protest songu, który młoda trupa aktorska Zielonego Domu już zdążyła wykonać:

Ceszlogn, ceharget ales

Ceworfn, jedes bazunder

Fun chasanim — kales

Fun muters — klajne kinder

Szrajt, kinder, szrajt arojf.

Szrajt hecher ahin dort;

Wekt ir dem tatn ojf.

Wos szloft er klojmerszt dort?

Far dir herstu wejnen, klogn

Kinder in der wig

Zej betn doch, du zolst zej zogn:

Oj, es zol szojn zajn genug!

[Zniszczone wszystko, zdruzgotane

Wyrwane z kochających rąk

Oblubienice — oblubieńcom

Małe dzieci — matkom

Krzyczcie, dzieci, wołajcie.

Krzyczcie wniebogłosy;

Zbudźcie tam w niebie Tatę —

wyższy od niej, udaje jej się zarzucić sobie na ramiona jego bezwładne ciało i Róża niesie go, idąc tyłem po schodach, do sal sypialnych na piętrze.

W tym rozgardiaszu, jaki następuje, nikt jednak nie myśli o Mirjam. Prawdę mówiąc, dopiero długo po tym, jak Róży i Malwinie udało się ponownie ułożyć wszystkie dzieciaki do snu, zdają sobie sprawę, że Mirjam zniknęła.

Przeszukują cały dom. Także piwnicę na węgiel, gdzie stroiciel fortepianów urządził sobie legowisko do spania pod parą usmolonych koców. W rozlanej wodzie do mycia pod biurkiem doktora Rubina Róża znajduje potem powitalny album i starannie pokolorowane portrety Hagar i Lota, wyrwane z albumu i przedarte na pół.

Ale Mirjam nie znajdują.

Koło piątej rano pojawia się jak zwykle Józef Feldman zmierzający ku domowi z kubłami węgla na kierownicy roweru. Dyrektor Rubin daje Feldmanowi latarkę na baterię i Feldman wyrusza w pusty świt, by szukać.

Gdy pierwsze światło dnia sięga nad mur przy Brackiej, Feldman znajduje ciało w nietkniętej śnieżnej zaspie pomiędzy dawnym sklepem kolonialnym a pasem ziemi niczyjej przyległym do drutów i prowadzącym prosto do wież wartowniczych przy bramie na Radogoszcz. Mirjam jest ubrana w ten sam czarny płaszczyk do kolan, w którym zjawiała się w Zielonym Domu. Parę metrów od ciała leży także jej walizeczka z sukienkami, szmacianymi lalkami i tą parą czarnych lakierków, które inne dzieci tak podziwiała.

Jakim cudem mogła się wymknąć przez nikogo niewidziana, było dla wszystkich zagadką. Może skorzystała z tylnego wyjścia, przez piwnicę, którego, jak się okazało tego dnia, używał nie tylko Feldman, ale także stroiciel fortepianów; potem na skos przez dziedziniec na tyłach domu służący jako plac zabaw dla wszystkich sierot z Marysina. Lecz zamiast pójść na prawo, w stronę miasta, musiała skrócić w lewo. Może zwabiły ją światła i hałasy dochodzące ze stacji Radogoszcz, a potem nieświadomie weszła prosto w strefę zakazaną, gdzie na wysokiej wieży stał niemiecki wachman z karabinem maszynowym zwróconym w jej stronę.

Strzał musiał trafić ją w bok głowy, koło czoła, bo tryskająca krew szerokim łukiem zbryzgała śnieg na dystans prawie dwudziestu metrów. Spod warstwy śniegu, którą wiatr zdążył w nocy przykryć ciało, wystawała, celując w niebo, jak kij, jedna ręka. Żadnych innych znaków nie było.

Kiedy znosili zamarzniętego trupka do kotłowni Zielonego Domu, Werner Samstag uparł się, że zejdzie z nimi. Kiedy Róża i Chaja myły i ubierały zwłoki, z młodym Samstagiem stało się jakby coś, czego Róża Smoleńska jeszcze parę lat później ciągle nie potrafiła wytłumaczyć. Nie odmawiał kadiszu — przypuszczalnie nie znał nawet słów — ale jego twarz jakby nagle zmiękła i zapadła się wewnątrz swojej formy.

— *Dem tatn ojf* — powiedział tylko i skulił się na podłodze koło sztywnego trupka.

W tej samej pozycji co Mirjam, z ręką jak wykrzyknik wyciągniętą w powietrze, leżał potem przez cały następny dzień, aż Józef Feldman znów się zjawił ze swoimi wiadrami z węglem, żeby zacząć palić. Temperatura w piwnicy zeszła wtedy poniżej zera i okienka pokrywał od wewnątrz biały osad szronu. Mirjam nie żyła, ale Werner Samstag żył. Spał w tym mrozie, na środku podłogi, obejmując się ciasno ramionami, z jasnym i całkiem spokojnym uśmiechem na ustach.

Owego czasu rządziły w getcie Sprawiedliwość i Prawo —

Recht un gerechtikajt.

Sprawiedliwość reprezentował niewidomy doktor Miller. Dzień w dzień włókł swoje podtrzymywane protezami ciało uliczkami getta, przenosił domy i fabryki w stan kwarantanny i pilnował, by gospodynie w getcie korzystały z kuchni gazowych, które kazał uruchomić specjalnie dla nich, gdzie mogły sobie przegotować wodę pitną, co kosztowało ledwie dziesięć fenigów za litr. Prawem kierował rumianolicy sędzia Szaja Jakobson. Obecnie działał specjalnie powołany sąd policyjny (*Sznelgericht*), orzekający kary natychmiast po popełnieniu wykroczenia. Ściskając beret w rękę, stawali przed nim robotnicy przyłapani na defraudacji sznurówek albo bezprawnym przywłaszczeniu paru deka ścinek drzewnych.

(Jako karę mogli wybierać albo wywóz fekaliów, albo deportację. Większość wybierała robotę szambiarza, i to także z pożytkiem dla getta).

W czystości i dyscyplinie, z dnia na dzień, getto miało przeżyć. Tak postanowił Prezes w swojej nieskończonej mądrości. Na Miłość i inne ekscesy, w obecnych warunkach historycznych, w getcie nie było miejsca. A jednak Miłość swoimi niezbadanymi drogami umiała zakraść się do getta i odmienić życie wszystkich. Także życie samego Prezesa.

Przewodniczącym swojego *Sznelgericht* Prezes getta mianował młodego prawnika, nie bez pewnych widoków na przyszłość, nazwiskiem Samuel Bronowski, oddając mu do dyspozycji sekretarkę nazwiskiem Rywka Tenenbaum. Panna Tenenbaum była jedną z wielu pięknych młodych kobiet w Sekretariacie, w związku z którymi Prezes żywił pewne romantyczne nadzieje. Tych dwoje czasem nawet widywano razem. Ale Prezes pojechał ze swoją słynną wizytą do Warszawy i los zdarzył, że Rywka Tenenbaum pod jego nieobecność zadurzyła się bez pamięci w młodym magistrze prawa Bronowskim.

I nie dość na tym: gdy Przewodniczący getta powrócił z podróży, ona nie tylko mu wyznała swoje miłosne eskapady. Odtrąciła także dalsze zaloty Prezesa, mówiąc, że nie jest taka, za jaką Prezes ją uważa i że z pewnością nie można jej k u p i ć.

Prezes wpadł w taką wściekłość z powodu tej perfidnej zdrady, że natychmiast rozkazał Dawidowi Gertlerowi odwiedzić dom młodego Bronowskiego. Podczas rewizji Gertler znalazł nie mniej niż dziesięć tysięcy amerykańskich dolarów pochowanych w różnych miejscach, w wielu sekretnych szafkach i szufladach Bronowskiego. Zatem młody jurysta powołany przez Prezesa do zwalczania korupcji sam okazał się najbardziej skorumpowany. Ze względu na kaliber zbrodni Prezes postanowił sam przewodniczyć obradom i kiedy zapadł wyrok, opiewał on na pół roku ciężkiego więzienia, a potem deportację z getta, za kradzież, podrobienie dokumentu i przyjęcie łapówki.

Dwa dni później młoda Rywka Tenenbaum powiesiła się na rurze hydraulicznej za salą rozpraw na Gnieźnieńskiej, w jednym z niewielu budynków getta wyposażonych w bieżącą wodę i toaletę ze spluczką.

*

Ze strony Prezesa nie szło tu w pierwszym rządzie o powodzenie u kobiet, ale o władzę i prawo posiadania. Tak samo jak Sąd i Bank Skupu to były j e g o Sąd i Bank Skupu, każdy kolektyw i punkt dystrybucji to były j e g o kolektyw i punkt dystrybucji, także każda kobieta w getcie miała być w pierwszym rządzie j e g o własnością.

Zahartowane pracownice jego kancelarii twierdziły, że potrafią rozpoznać po starym, czy danej nocy któraś „dopuściła” go do siebie, czy też nie. To było widać po humorze. Jeśli się stało zadość jego woli, mógł być łagodny jak baranek. Jeśli spotkała go odmowa — burkliwy, sarkastyczny, z ł y. Niektóre twierdziły nawet, że umieją przepowiedzieć stan jego ducha, sądząc po przychylności okazywanej mu za dnia przez jego aktualną wybranekę. Prezes bywał życzliwy tylko wtedy, gdy jakaś kobieta mu się podkładała. Jeśli natomiast został odtrącony, nikt nie był w stanie przewidzieć potęgi i mocy jego wybuchów gniewu.

Jego gniew był jak ciemna grań niebosiężnej burzowej chmury. Oczy mu się zwięzały, trzęsła się skóra pod brodą; zza warg pryskał śliną.

Tylko jedna osoba, jak się potem miało okazać, umiała okiełznać ten gniew.

Teraz właśnie powstaje zza długiego stołu, z tej strony, gdzie siedzi obrona:

— Trzeba właściwie to zrozumieć — mówi Regina Wajnberger do sądu, który się zebrał, aby wydać wyrok w sprawie Bronowskiego — tu nie chodzi, rzecz jasna, o kradzież ani defraudację, to jest klasyczna *crime passionnel*, tak to należy rozumieć i tak to należy osądzać.

Prezes patrzy z niedowierzaniem na młodą mecenas, która jest adwokatem Bronowskiego. Niewiele starsza od oskarżonego; poza tym taka niewysoka, że sprawia wrażenie, jakby musiała stać na palcach, by móc dosięgnąć swojej własnej twarzy. Lecz to jego niedowierzanie bierze się skądinąd: oto znalazł się w getcie ktoś jeden, kto ma odwagę bronić praw Miłości, w miejscu, gdzie się panoszą tylko pazerność i zdrada. To jest jak cud. Zdaje się, jakby jednym słowem ta dziwna kobieta nadała jego życiu i dziełu jego życia nowy sens.

Z Reginalą Wajnberger było tak, jak się czasami mawia o niektórych ludziach: że miała silną duszę, lecz bezwolne serce. Wiedziała, że aby coś osiągnąć w getcie, należało mierzyć jak najwyżej, i już od pierwszej chwili żywiła nadzieję, że uda jej się omotać starego. Ale Regina miała także brata, a ten brat nie dawał sobą tak łatwo manipulować. Benjamin, albo Benio, jak go nazywano, był raczej sam dla siebie Prawem i sam sobie sądem. Nie był skłonny ulegać nikomu, a już najmniej swojej ambitnej siostrze; ona zaś odplacała mu absolutną miłością, niepodobną do żadnej innej miłości na świecie.

Benio był wysoki i szczupły, z przedwcześnie posiwiąłą grzywą włosów, którą niecierpliwie odgarniał sobie z twarzy długimi, kościstymi palcami. Najczęściej spotykało się go na jakimś rogu, gdzie jakiejś mniejszej czy też większej gromadce słuchaczy prawił o potrzebie, aby niektórzy dygnitarze w getcie zaczęli żyć odpowiedzialnie i wreszcie zgodnie z głoszonymi zasadami; i z zachwyconym, prawie złośliwym błyskiem w oku dorzucał jeszcze:

— A do tych dygnitarzy zaliczam odtąd także mojego tak zwanego szwagra...!

I wokół tego szczudłowatego oryginała ludzie wybuchali śmiechem. Śmiali się tak, że aż kulali się po chodniku; silne dłonie ocierały potem łzy z oczu, chwytaly Benia i z entuzjazmem windowały go do góry.

Co wzbudzało taki entuzjazm? To, że wreszcie ktoś w getcie odważył się wygarnąć bez ogródek to, o czym wszyscy wiedzieli, ale nikt nie ośmielał się głośno mówić? I to, że owe słowa prawdy nie pochodziły od jakiegoś przypadkowego przechodnia, tylko z samego wewnętrznego kręgu — od kogoś, kto wszak powinien wiedzieć — od brata tej młodej kobiety, którą stary zdecydował się w końcu poślubić — od samego przyszłego szwagra Prezesa?

Siostra i brat. Wzajemne przeciwieństwo i uwarunkowanie:

Gdzie ona była Regułą, on — błakającym się Wyjątkiem.

Gdzie ona była Światłem świecącym jak Lampa, on — głębokim Mrokiem.

Gdzie ona była wiecznie uśmiechniętą Bezwiną, on był Sumieniem.

Gdzie ona (mimo fizycznej kruchości) była tą Siłą, której trzeba, by przewyciężyć wszelkie przeciwności, on był jak jedna wieczna Słabość, która miała karać ją aż do dnia jego śmierci, i później.

Gdyby nie istniał Benio, Regina nie przyjęłaby, rzecz jasna, oświadczyn Prezesa. Być może dalej spotykałaby się z nim „w sekretariacie”, tak jak jego inne kochanki. Nie było innego wyjścia. Kobieta, którą Prezes raz uszczęśliwił swoją obecnością, nie miała innego wyboru, jak tylko spełniać jego wolę.

Lecz wyjść za niego za mąż to już co innego. Jej ojciec, mecenas Aron Wajnberger, niejednokrotnie ostrzegał ją przed skutkami związania się na zawsze, na dobre i na złe, z tym „fanatykiem”. Ale Regina powoli dusiła się w getcie. Każdego dnia ubywał jej kawałek życia, haust powietrza. Jej postarzały ojciec siedział teraz w wózku, już nie potrafił wstawać ani chodzić o własnych siłach; i co się stanie, kiedy ojca — którego jednak w obozie Prezesa ceniono i szanowano — któregoś dnia zabraknie i zostaną bez opieki. Co wtedy będzie z Beniemiem?

Tymczasem jej brat, oczywiście, na ten swój sposób włóczył się po getcie i robił wszystko, żeby zniszczyć tę pozycję, którą jej udało się wywalczyć dla siebie i swojej rodziny.

Benio lubił zwłaszcza wdawać się w rozmowy z „nowo przybyłymi” Żydami z Berlina, Pragi i Wiednia, którzy obecnie coraz rozpaczliwiej wylegali na gettowe targowiska. Im mianowicie mógł tłumaczyć, jak to n a p r a w d ę jest: że deportacje, które mają nadejść, to tylko początek wysiedleń na masową skalę, i że Niemcy nie spoczną, póki nie opróżnią getta do ostatniego Żyda.

I niech nowo przybyli nie myślą sobie, że są bezpieczni tylko dlatego, że już raz ich wysiedlono, albo że jako „niemieccy Żydzi” stanowią jakąś specjalnie chronioną elitę:

— My w tych pociągach wszyscy jeździmy jedną klasą, przyjaciele!

To tylko Prezesowi się wydaje, że Niemcy rozróżniają jakichś dobrych i sumiennie pracujących Żydów. Tak naprawdę to wszyscy jesteście dla nich takie same śmieci — i skoro nas wszystkich zebrali w jednym miejscu, to tylko po to, żeby łatwiej móc się nas pozbyć. Zapamiętajcie sobie moje słowa, przyjaciele. O to im chodzi. Żeby się nas pozbyć.

Niektórzy z nowo przybyłych uważali, że wszystko to, co Benio mówi, jest okropne i nie chcieli więcej słuchać. Inni jednak słuchali uważnie i długo.

Benio był jednym z tych nielicznych „autentycznych” mieszkańców getta, z jakimi się kontaktowali, którzy mówili tak, że oni rozumieli — czystą, jasną niemczyzną, zdatną nie tylko do dyskusji o Schopenhauerze, lecz także o praktycznych sprawach, na przykład jak ubiegać się o prawdziwe mieszkanie albo gdzie w getcie zdobyć brykiety węglowe czy parafinę. Poza tym Benio przecież miał, jak się zdawało, koneksje u szczytów gettowej hierarchii. Jeśli uważnie się wsłuchają w potok jego wymowy, to może otrzymają choćby ślad odpowiedzi na dręczące ich wszystkich pytanie. Mianowicie: jak długo będą zmuszeni tu zostać? I co też władze trzymają dla nich w zanadrzu?

A Benio opowiadał z wielką chęcią — o wszystkim, co wiedział.

Opowiadał o Długu, jaki Prezes zaciągnął u władz, kiedy miano w getcie powiększać fabryki, i o ciągłych żądaniach Biebowa, aby ten Dług w jakiejś formie był spłacany; jeśli nie w gotówce, to w każdym razie w przedmiotach wartościowych albo w brygadach zdrowych robotników

zdolnych do wykonywania pracy poza gettem. Ten Dług, powiadał, jest bez dna. To dlatego zobligowano nowo przybyłych do oddania wszelkiej gotówki i odsprzedania wszelkiego mienia w banku Prezesa, za śmieszne sumy, a mimo to zawsze tego będzie za mało:

— On mówi do was, jakby getto miało z was pożytek, ale jaki tam z was pożytek; tak naprawdę jesteście tutaj po to, żeby dać się zaszlachtować... A wiecie jak? Tak jak się wpuszcza zwierzęta do zagrody. Najpierw niech się zmęczą, biegnąc przez labirynt, a jak już dobiegną, to tam czeka młot i hak rzeźnicki...!

Niektórzy z tych, z którymi Benio rozmawiał, ukryli potem swoje zaoszczędzone rezerwy. Paru pytało go podobno, czy nie zna w getcie kogoś innego, kto by mógł zarządzić ich mieniem. Czy jest tu jakiś prywatny bank? Ale Benio nic o czymś takim nie wiedział, a gdyby nawet jakimś cudem wiedział, nigdy by tego nie zdradził. Gapił się tylko na człowieka, który mu zadał to pytanie, takim wzrokiem, jakby ten właśnie wypełznął z własnej skóry. Potem odchodził stamtąd szybkim krokiem.

*

Zanim ruszyły deportacje późną zimą 1942, ślub Mordechaja Chaima Rumkowskiego z Reginą Wajnberger był w getcie najczęściej komentowanym wydarzeniem.

Mówiło się o zbyt krowej uczcie, jaką Prezes powinien wydać na cześć swej oblubienicy, i o tych wszystkich darach, jakie z wdzięczności za jej rękę zamierza ofiarować jej rodzinie oraz wszystkim Żydom w getcie. Ale przede wszystkim mówiło się o pannie młodej. O tym skandalu, że on jest starszy od niej o trzydzieści lat, głównie jednak o tym, że wybranka Prezesa jest „jedną z nich”, i że tym samym takie nagłe wyniesienie na pozycję u boku władcy getta mogło przytrafić się każdemu. W obrazie młodej, na pozór bezbronnej Reginy niejeden upatrywał drogi wyjścia z tej niewoli i poniżenia — drogi, której istnienia nikt wcześniej nie podejrzewał.

Właśni krewni Prezesa byli jednak mniej skłonni do entuzjazmu. Księżna Helena parokrotnie błagała męża, aby przemówił swemu bratu Chaimowi do rozumu. A gdy to nie odniosło skutku, udała się do rabinatu i zażądała sprawdzenia, czy to małżeństwo jest legalne. Uważała, że ta „fałszywa żmija” — jak nazwała Reginę — z premedytacją omotała bezradnego starca, który poza tym choruje na serce, a zatem trudno się spodziewać, że przetrzyma emocjonalne uniesienia mogące wiązać się z małżeństwem z o trzydzieści lat młodszą kobietą. Jednak Prezes stwierdził, że nigdy nie miał i nie ma zamiaru się wycofać. O Reginie powiedział, że jest pierwszą kobietą, do której się zbliżył, a której nie musi się wstydić. W jej cudnym uśmiechu odnalazł niewinność, wybawiającą go z jego dawnego zepsucia, oraz szlachetną czystość inspirującą do podjęcia nowych obowiązków. O jedno tylko się obawiał. Czy jej kruche ciało podda trudom donoszenia dziecka, którym zamierzał ją obdarzyć. Bo ostatnimi czasy coraz częściej myślał, że jego obowiązkiem jest nie tylko karcić i wychowywać, ale też dopilnować, by jego dziedzictwo wędrowało dalej. W marcu tego roku — 1942 — miał skończyć sześćdziesiąt pięć lat. Dlatego też uważał, nie bez racji, że czas najwyższy spłodzić tego syna, o którym zawsze marzył.

Sam akt zaślubin, odprawiony przez rabiego Fajnera w starej synagodze na Łagiewnickiej, był skromną ceremonią z Rumkowskim w trzyczęściowym aksamitnym garniturze i panną młodą pod bladym welonem, delikatną i piękną jak wiosenny deszcz. W ciągu kilku godzin Prezes i jego młoda małżonka odebrali nie mniej niż sześćset telegramów z gratulacjami, wysłanych z wszystkich możliwych zakątków getta, a przed wejściem do szpitala, gdzie w owym

czasie Prezes miał swój „miejski apartament”, czekały w kolejce setki *resort lajterów*, kierowników administracji, reprezentantów Służby Porządkowej i straży pożarnej, bo wszyscy chcieli osobiście przekazać prezenty, bez których nie wazyliby się przyjść. Także księżna Helena i jej świta uznali za stosowne wyzbyć się oporów i przejść na stronę przeciwnika. I stali teraz uśmiechnięci w drzwiach, przyjmując wszystkich gości, nawet rządcą księżnej Heleny, pan Tausendgeld, który osobiście zaofiarował się, że przygotowuje stół na prezenty, gdzie składano dary i telegramy z życzeniami.

Także Benio tam był. Chodził dokoła spokojny i blady i prosił wszystkich o kawałek chleba i łyżeczkę, którą przyciskał do piersi, odlali parę kropel wina ze swoich kieliszków. Kiedy miseczka była napełniona, wyszedł na dwór, gdzie mimo mroźnego wiatru zebrało się trochę ciekawskich. Wszyscy weselni goście mogli widzieć przez okno, jak brat panny młodej, w przykrótkich spodniach od garnituru powiewających mu u kostek, rozdaje chleb i leje wino gettowej biedocie.

Ci, których było na to stać, wstydziło się.

Reszta tańczyła przy zakazanej muzyce z gramofonu.

Jednak Regina nie wstydziła się. Była fizycznie niezdolna wstydzić się za swojego brata.

Prezes powiedział później małżonce, że zarezerwował specjalne miejsce dla Benia w „sanatorium” na Wesolej. Może czasowy pobyt i wypoczynek w takim *hejmie* wyciszy go i w końcu uspokoi. Regina zapytała męża, czy to przypadkiem nie jest pusta obietnica. Odpowiedział, że jeśli tylko tyle trzeba, by uszczęśliwić ukochaną żonę, nic nie sprawi mu większej radości.

Po sześciu miesiącach w kolektywie na Franciszkańskiej rodzinie Schulzów przydzielono wreszcie własny lokal. Znajdował się parę kwartałów dalej, na Sulzfelderstrasse, czyli na Brzezińskiej, jak brzmiała polska nazwa. W dwóch pokojach mieszkania były już zakwaterowane dwie rodziny. W pokoju od podwórza młoda robotnicza para z małą córeczką o długich warkoczach i imieniu Emelie, która nigdy nic nie mówiła i gdy się spotykali w sieni, nie podnosiła nawet wzroku; w większym pokoju, od ulicy, sprzedawca farb Riemer z żoną, także przybyli z Pragi.

Za radą doktora Schulza rozwiązali problem w ten sposób, że on sam, Martin i Josel spali u Riemerów, Věra zaś i jej matka wprowadziły się do kuchni.

Do kuchni przylegała też komórka, służąca przedtem jako spiżarka albo może garderoba. Do tej komórki prowadziła para drzwi: od kuchni takie niskie, że wchodząc, musiało się prawie przykucnąć; i z sieni wąskie drzwiczki, wyglądające jak zwyczajne drzwi do garderoby.

W komórcie u sufitu była kłapa wywietrznika, którą się otwierało za pomocą długiej korby. Jak długo kłapa była podniesiona, oboje drzwi mogły być zamknięte, a mimo to w środku nie było ciemno.

W tym ciasnym pomieszczeniu urządziła się Maman. Věra codziennie przynosiła jej tackę z jedzeniem; stało tam zawsze wiadro z wodą i emaliowana miska, która służyła jej za nocnik. Było tam tak ciasno, że gdy Maman chciała spać przy zamkniętych drzwiach, musiała siadać, podciągając obie nogi i plecami opierając się o ścianę.

I Maman siedziała w swoim pokoiku. Jadła bardzo mało; wkrótce nie jadłaby zupełnie nic, gdyby Věra i Martin nie wtykali jej do ust jedzenia i nie zmuszali do przełknięcia.

Arnošt próbował wykorzystać swoje kontakty, by umieścić Maman w szpitalu, najpierw na Łagiewnickiej, potem w „specjalnej klinice” na Wesolej; ale w końcu musiał dać za wygraną. W getcie, gdzie wszyscy byli mniej lub bardziej chorzy, pobyt w szpitalu przysługiwał tylko *di privilegierte*, a Arnoštowi Schulzowi jeszcze daleko było do wybranej grupy uprzywilejowanych, jako obcemu Żydowi.

Ale pracował na to niestrudzenie, dzień za dniem.

Wraz z jakimś doktorem Wienegerem z Berlina, z którym przed wojną utrzymywał naukową korespondencję, wiosną 1942 doktor Schulz opracował technikę produkcji specjalnego roztworu soli i cukru, który można podawać podskórnie, a który bazował na wywarze z obierzyn kartofli, pozostających po ugotowaniu fabrycznej zupy.

Obierki ziemniaka — *szolechn* — były w getcie cenionym towarem; obierzyny mogły być „grube” albo „cienkie” i sprzedawano je w workach po dwa albo pięć kilo tym wszystkim, którzy mieli kontakty w administracji, a te osoby, oczywiście, natychmiast wiedziały, co zrobić, by na czarnym rynku otrzymać za nie pięciokrotnie więcej. Handel obierkami ziemniaków tak w końcu się rozpowszechnił, że Prezes zażądał, aby wydawać je wyłącznie na recepty, tak jak mleko czy inne produkty mleczarskie. Obaj lekarze, Schulz i Wieneger, właśnie w ten sposób je zdobywali. Wypisywali sobie nawzajem recepty.

Los zdarzył, że stało się coś, co w końcu zwróciło uwagę Przełożonego getta na tego przysadzistego, lecz najwyraźniej niegłupiego lekarza z Pragi. W przemówieniu na forum gettowego Wydziału Administracji, w lutym 1942, Rumkowski wymienił specjalnie „genialny patent praskiego lekarza Schulza na wykorzystanie odpadków z garkuchni” jako przykład na to,

że palące problemy getta można rozwiązywać, starczy pomyśleć tylko dobrze, jak wyzyskać własne zasoby getta.

*

Ale to z obierkami kartofli było zrobione dla Maman.

Każdego ranka, zanim wyszedł do szpitala, przymocowywał do stojaka na kroplówkę, który Martin skonstruował ze starych wieszaków, własnoręcznie skomponowany roztwór infuzyjny, a potem rurkę z komorą kroplową podłączał do cewnika w prawym przegubie Maman.

W ten sposób otrzymywała odżywczy roztwór dożylnie.

W swoim dzienniku Věra opisuje, jak ciałem matki trzęsie dziwna febra i każdym porem skóry wylewa się z niej ciężki, śmierdzący pot, a cała twarz jest opuchnięta i czerwona. Jednak pomimo tych ubocznych efektów Maman odzyskiwała jakby coś z dawnej siły i impulsywności. W takich chwilach bywała święcie przekonana, że w istocie nigdy nie opuściła ich dawnego mieszkania na Mánesovej. Któregoś wieczoru zdradziła Věrze swoje podejrzenia, że w ich mieszkaniu kryją się czescy naziści, którzy po nocach, kiedy cała rodzina śpi, piszą tajne depesze do Berlina na podróźnej maszynie do pisania Věry.

Nim opuścili Pragę, matka kłóciła się z córką właśnie o tę maszynę. Věra uparła się, żeby ją z sobą zabrać, wiedziała bowiem, że wcześniej czy później będzie zmuszona poszukać jakiejś pracy; Maman nie chciała o tym słyszeć. „Dziewczyna chyba zwariowała; ten złom do pisania waży co najmniej z piętnaście kilo!” Czy teraz była to subtelna próba odwetu ze strony Maman za to, że wtedy musiała ustąpić?

Lecz tam w komórce, gdzie Věra siedziała z Maman, ona także wyraźnie słyszała chrzęst małych maszynowych czcionek stukających o wałek maszyny. Spojrzała na sufit i zobaczyła, jak bryła karakonów — wielka jak gniazdo os — czepia się boku klapy wywietrznika, by potem zrzucać na podłogę twarde ciała, jedno po drugim: klik, klik, klik — to brzmiało całkiem tak jak maszynowe czcionki stukające w wałek...

W owym czasie władze już wprowadziły obowiązek zaciemnienia.

Co wieczór Martin albo Josel włąził na parapet i zasłaniał kuchenne okna kawałami blachy, tak aby światło nie wydostawało się spoza nich.

Ale wywietrznika w komórce Maman dzieci nie miały odwagi zasłaniać, mimo że wchodziło tamtędy robactwo. Gdy drzwi były zamknięte, światło wpadało tylko przez wywietrznik.

I tak siedzieli tam wszyscy, w swojej brudnej, nieopalanej kuchni, w obcym polskim mieście i nasłuchiwali odległych odgłosów, o których Josel mówił, że to bombowce aliantów lecą w stronę Niemiec, a Maman szeptała z mroku swojej komórki, że jest pewna, iż tym razem aliantom uda się wysadzić desant i gdy następnym razem pójdzie po świeże *rohliky* z piekarni na rogu, to wszyscy ci straszni naziści będą już z Pragi wypędzeni.

Pomieszanie języków

Wiem. To było „nieszczęście”, dokładnie tak jak tata i mama mówili, brać ze sobą tę maszynę do pisania. Ale nie mogłam przecież tak po prostu oddać sprawnej maszyny do pisania, za którą dałam 150 Kč, „na przechowanie”, co w tym przypadku oznaczałoby, że daję ją w prezencie Niemcom.

Na pewno będą potrzebować usług sekretarki także tam, dokąd jedziemy. Łódź to jest przecież, jak Martin nam wszystkim wyjaśnił, niemieckie miasto.

O, jakże miałam rację! I jak się myliłam!

W tutejszym sekretariacie używa się oczywiście polskich maszyn, gdybym dostała tu pracę, byłabym jak idiotka — zamiast szukać klawiszy z niemieckimi literami, tutaj się pisze, jak rozumiem, polskie *ę* zamiast niemieckiego *e* — albo *ą* — albo *Ł* zamiast normalnego *L*.

A jeszcze gorzej jest z językiem. To jakby się mieszkało w środku ula: wszędzie mówią po polsku, w jidysz, po

hebrajsku. Jedyne język, w jakim się nie mówi, to niemiecki. To język okupanta, wroga — język Niemców.

Człowiek mówiący po niemiecku czy po czesku jest tu kompletnie odizolowany; nie ma pojęcia, o czym się dokoła dyskutuje. Czuję się przez to jak kompletna analfabetka...

To było wiosną 1942. Akcja wysiedleńcza, jak nazywano deportację, była już w pełnym toku.

Oślepienie spowodowane nędzą sytuacji, w jakiej się znaleźli, u wielu „zagranicznych” Żydów przeszło w ciemny lęk, co będzie dalej. Chodziły słuchy, że obecnie także „zachodni” Żydzi są na listach tych, których miano deportować, co w oczach wielu z nich było absurdem. Czy tym szaleństwom nie ma końca?

Zimą było tak mroźno, że Martin musiał wyrąbywać lód ze studni, zanim mógł przynieść na górę wodę. Věra chodziła na czworakach i próbowała zmyć przynajmniej najgorszy brud, lecz woda była taka zimna, że dłonie puchły i drętwiały, a potem bóle w stawach były straszne. Pranie musieli rozwieszać na sznurze przebiegającym od rury piecowej do kłamki ciasnej komórki Maman, ale nie chciało schnąć, i ile by próbowali palić, i tak marzli na kość.

Ale tym, co dawało się we znaki bardziej niż wilgoć i ziąb, był wieczny głód. Skóra na brzuchu, wokół ramion i kostek u nóg opuchła i zrobiła się wodnista i ciężka; każdy członek był ocieźżały z osłabienia. Po paru dniach bez niczego do jedzenia poza śmierdzącą amoniakiem cienką zupką wycieńczenie zmieniało się w zawroty głowy, a te z kolei przechodziły w rodzaj manii. Godzinę za godziną, minutę za minutą Věra nie miała w głowie innej myśli jak tylko tę o jedzeniu. Myślała o świeżo wypieczonym chlebie, który Maman czasami przynosiła z rana, z twardą, chrupiącą i aromatyczną skórką, taki świeży, że gdy się go łamało, leżał ciepły w dłoni; albo o wołowinie gotowanej na parze i cudownie pachnącej czosnkiem, którą ich gospościa podawała do stołu w niedziele z ziemniaczanymi knedliczkami, które robiła sama w dużej kopańce wysypanej mąką, gotowała i okraszała potem dużą grudką masła; albo o prawdziwych *palačinkach*, które dzieci dostawały na deser, z dżemem i śmietaną, gdy wracały ze szkoły do domu; albo o tacach uginających się od *cukrovinek*, małych ciasteczek waniliowo-orzechowych uformowanych w kulki i precelki, które zawsze wystawiano na święto Chanuki. Żadna z tych fantazji w najmniejszym stopniu nie kołała męki, wprost przeciwnie, tylko drażniły jeszcze bestię głodu w jej wnętrzościach. Poza tym Arnošt był bezkompromisowy w swoich żądaniach: wszelkie jedzenie, jakie mieli ponad niezbędne minimum, choćby nie wiedzieć jak niewiele tego było, miało być dla Maman.

Bez przerwy mówił do Věry i jej braci o Maman.

M ó w i e n i e o M a m a n stało się sposobem, aby nie mówić o głodzie. I w końcu stało się to jedynym sposobem na zagłuszenie bólu własnego ciała: bez przerwy mówić i rozmyślać o kimś innym, kto cierpiał i głodował jeszcze bardziej.

Wycieńczona, obolała i zgłodniała, wraz z tysiącami innych robotników, Věra codziennie wędrowała głębokimi, brudnymi bruzdami, jakie powstały w masie śniegu pośrodku ulicy.

Tkalnia dywanów, gdzie znalazła zatrudnienie jako „polska” sekretarka, leżała na bocznej ulicy od Jakuba. W tym domu kiedyś, przed zamknięciem getta, musiał być sklep mleczny lub coś w tym rodzaju, bo w szarym tynku wciąż pozostawały odciski liter jego nazwy (choć sam napis był już zdjęty): MLEKO głosił napis złożony z lekko pochylonych „cieni” liter nad rzędem trzech głębokich sklepowych okien, w których szyby były powybijane, lecz które były mimo to starannie zasłonięte papierem do zaciemniania.

Niewielką pociechą w całej ich zgryzocie było to, że jej kwalifikacje maszynistki do czegoś jednak się przydały. Zamiast siedzieć przy krosnach, dostała małą kłitkę, czy raczej kącik

oddzielony przepierzeniem, obok pokoju dyrektora Moszkowskiego. Spędzała tam całe dnie, wypisując długie listy materiałowe i faktury adresowane na *Zentraler Arbeits-Ressort*, które pan Moszkowski pod koniec dnia pracy podpisywał.

Na wyciągnięcie ręki od otwartego kantorka stały trzy krosna z sięgającymi aż po sufit osnowami; a na długich ławach siedzieli rzędem tkacze i tkaczki, mężczyźni i kobiety, parami albo czwórkami. Brygadzysta nazywał się Gross; chodził tam i z powrotem jak poganiacz niewolników na rzymskiej galerze i wybijał takt, stukając drewnianym trzonkiem w belki krosien, a dłonie tkaczek, unikając rozpędzonego kija, raz dwa trzy prędko przetykały czółenka z wątkiem przez osnowę, potem podbicie stopy na podnózek, żeby przełożyć nicielnice, i wątek wracał w przesmyk; trzaskało bidło:

— Przerzuć, odeślij; przybij.

Powietrze gęste i kwaśne od drobnego pyłu.

Rozwiany mokry kurz osiadający w gardle jak mdląca onuca, powodujący puchnięcie przelyku, zatykający przewody nosowe i słuchowe.

Mimo że Věra siedziała za przepierzeniem, ledwie ważyła się oddychać, żeby nie wciągać w płuca więcej tego kwaśnego, plugawego kurzu. Co więc musieli znosić sami robotnicy? Lecz robotnicy w getcie nie byli niczym więcej niż te ruchy, jakie wykonywali: tymi śmigającymi rękami i stopami, które przez dziesięć godzin dziennie wciąż naciskały na podnóżki, tak jakby wszystko w życiu zależało od tego, czy nie wypadną z rytmu, w tym szaleńczym tempie, jakiego w normalnych warunkach nie utrzymałby żaden człowiek.

O dwunastej w okienku koło szwalni na Jakuba wydawano *Mittagessen*. To okienko nie było właściwie okienkiem, lecz zwykłym oknem na parterze w zwykłym czynszowym mieszkaniu. Wewnątrz, za oknem, jakaś ledwie widoczna ręka rozlewała chochlą zupę do podawanych jej naczyń i kubków.

Po dwie chochle otrzymywali zaufani, to znaczy ci, których pani za okienkiem знаła lub uznawała za znajomych. Po jednej chochli dostawali wszyscy inni — włącznie z Věrą. Ponadto, za okazaniem talonu obiadowego, dostawała kromkę suchego ciemnego chleba bez margaryny. Zawsze musieli czekać na swoją kolejkę. Musieli przepuścić robotników ze szwalni mundurów na Jakuba 12. Ci mieli pierwszeństwo, szyli bowiem dla niemieckiej armii.

To właśnie gdy stała w kolejce i czekała, aż „pani Wydzielaczka” dosięgnie chochlą także jej menażki, po raz pierwszy spostrzegła, że trwają deportacje. Najpierw to była jedna z kobiet w tkalni, która „miała ich opuścić”, a która wszystkich zaskoczyła, przechodząc uroczyście wśród pracowników tkalni i podając wszystkim rękę na pożegnanie, a pan Moszkowski i brygadzysta Gross, i dwaj policjanci z gettowej *Wirtschaftspolizei*, których zadaniem było pilnowanie, żeby „nikt nic nie kradł”, jak jeden mąż gapili się gdzieś w bok albo pod nogi, czerwoni na twarzach ze wstydu. Wiedzieć, że ma się pracę i mieszkanie w getcie tylko „z łaski”, to jedna sprawa; ale to wszem wobec udowodnić — to zupełnie co innego.

Następnego dnia zniknęła także mieszkająca w sąsiedniej izbie polska robotnicza para. Któregoś wieczoru, gdy Věra wróciła z resortu pana Moszkowskiego, stała tam w sieni całkiem inna rodzina, choć z prawie taką samą córką: ona też miała włosy zaplecione w warkoczyki i wzrok wbity w podłogę. Věra chciała ją spytać, czy nie wie, co się stało z tamtą dziewczynką, Emelie, jakby sam fakt, że były tak bardzo podobne, sprawiał, iż jedna musi wiedzieć coś o drugiej.

Ale skąd ktoś w ogóle miałby wiedzieć, co się właściwie dzieje? W takich czasach jak te nikt nie troszczył się o nic innego, jak tylko, by mieć miskę pełną zupy, najlepiej dwie chochle; i żeby ta cieniutka kromka chleba, jaką dostawali, wystarczyła przynajmniej na godzinę lub dwie, zanim się znowu zaczną te okropne skurcze głodowe.

Zdarzały się wieczory, kiedy Věra całkiem nie mogła się ruszyć, gdy kubki i miski leciały jej z rąk, jakby te ręce były tylko bezwładnymi p r z e d m i o t a m i.

Martin i Josel pomagali jej szorować podłogę w kuchni, która zawsze zdawała jej się tak samo zarośnięta brudem. Razem prali i rozwieszali ubrania.

Jednak ból nie ustawał. Było tak, jakby w jej stawy wlała się lodowata martwota, wyginająca i wykręcająca każdą kość. Nocami czuła, jak cały jej szkielet zamienia się w jeden kawał lodu; ciało bólu wewnątrz tego, co jeszcze jej własne, które zmuszało myśli, aby biegły tam, dokąd same nigdy by nie podążyły: do Marysina, gdzie Emelie i jej rodzina i tysiące innych mieszkańców getta brnęły przez śnieg z naprędce spakowanymi tobołkami i workami na plecach lub obwiązanymi wokół pasa.

W drodze dokąd? Nikt nie wiedział.

I akcja wysiedleńcza trwała dalej.

W lutym ponownie wezwano Prezesa na spotkanie z władzami i oznajmiono mu, że czas prologaty już minął i że dodatkowych dziesięć tysięcy Żydów musi opuścić getto.

Jego Komisja Wysiedleńcza pracowała teraz nad swymi listami przez okrągłą dobę. W lutym udało im się skompletować kilkanaście transportów, ale tego i tak nie starczało dożądanego kontyngentu. Według sprawozdania dla niemieckiego zarządu getta, w miesiącu lutym opuściło getto „tylko” 7025 Żydów — z umówionych 10 000.

Władze wyraziły głęboki niepokój z powodu tej opieszałości i odpowiedziały na nią dodaniem tego, co zostało z lutowej kwoty do kwoty marcowej, a zatem do 1 kwietnia Prezes miał rozkaz dostarczyć dodatkowo, oprócz tych 10 000 Żydów, których „normalnie” wymagano, jeszcze trzy specjalne transporty z niespełna 3000.

Niezadowolenie władz przejawiało się także na inne sposoby:

Z Radogoszcza nadeszły alarmujące doniesienia o tym, że wysiedleńców, zanim weszli do pociągów, pozbawiano bagażu. Tych, którzy natychmiast nie spełniali tych rozkazów, wachmani brutalnie bili, a następnie wrzucali do wagonów.

Czy zatem te dokładnie ustalone liczby osób były jedynie kamuflażem, manipulacją obliczoną na to, żeby ludzie sami zgłaszali się na punkty zborne?

Lutowe i marcowe deportacje w 1942 zbiegły się poza tym z kilkoma dniami najgorszego mrozu, jakiego getto dotąd doświadczyło.

W punktach zbornych pękały z zimna rury piecowe i kominy i ludzie musieli spać na podłodze, w samych ubraniach. W drugim tygodniu marca nad północną Europę nadciągnęła fala śnieżnych zamieci i siarczystych mrozów. W ciągu tego tygodnia w dawnej klasie szkolnej na Młynarskiej zamarzło dziewięć osób czekających na pociąg, który nigdy nie nadjechał. Te same odkryte ciężarówki, które wcześniej kursowały między rampą na Radogoszczu a Bałuckim Rynkiem, zwożąc bagaże odebrane wysiedleńcom, wracały teraz ze skrzyniami pełnymi zamarzniętych trupów.

Była możliwość zaskarżenia decyzji o deportacji.

Protestujący musiał złożyć w tej sprawie podanie do Komisji w ciągu pięciu dni od otrzymania nakazu wysiedlenia. Aby protest został uznany, należało do niego załączyć dokumenty od pracodawcy, z których wynikało, że petent posiada miejsce zatrudnienia oraz że jego pracowitość nie budzi zastrzeżeń. Takie zaświadczenia można było kupić sobie w getcie za parę marek. Można też było kupić sobie pomoc kopistów, którzy formułowali te podania wedle pewnych przyjętych standardów.

To wyjaśnia niezręcznie formalny ton w niektórych z nich:

Do Komisji Wysiedleńczej —

Dot. Nakazu Wysiedlenia NR VII/211-23

Wielce Szanowna Komisjo Wysiedleńcza,

Niniejszym zwracam się z serdeczną prośbą o udzielenie mi odroczenia co do wezwania do wyjazdu, dla mnie samego, mojej małżonki Zory i moich czworga dzieci oraz mojej matki: pani Libkowicz, wdowy po panu Pawle Libkowiczu, operatorze maszyn. Od kilku lat jestem wykwalifikowanym elektrykiem, a moja małżonka Zora pracuje jako modystka w Resorcie Nr 14 na ulicy Brzezińskiej. Pan *resort lajter* Viekl jest z niej bardzo zadowolony jako z sumiennej i solidnej pracownicy, i w naszej rodzinie nigdy nie byliśmy w konflikcie z prawem, tylko każdy zawsze uczciwie pracował na chleb, więc nakaz wysiedlenia dla mnie i rodziny jest wielkim zaskoczeniem. Wielokrotnie słyszałem, jak nasz Prezes mówi, że książeczka pracy i uporządkowane stosunki rodzinne to najlepsza gwarancja, żeby mieć spokój w getcie, i nie rozumiem, czemu doszło do tego, że się karze zwykłych, uczciwych robotników.

Dziękuję najuprzejmiej za uwagę i upraszam szanownych panów z Komisji Wyszędleńczej, aby łaskawie oszczędzili mnie i moją małżonkę oraz moją matkę, która po długim, pracowitym życiu ma już słabe nogi i w ogóle nie nadaje się na wysiedlenie.

Litzmannstadt Getto, 7 marca 1942

Józef Libkowicz

W marcu naciski na Komisję Wyszędleńczą tak przybrały na sile, że uznano za konieczne przeprowadzić się do większych i bardziej przestronnych lokali na ulicy Rybnej. Aby poradzić sobie z masą nadchodzących podań, zwiększono liczbę sekretarek i referentów z czterech do ponad dwudziestu. Zatrudniono też telefonistkę, której zadaniem było odpowiadać przede wszystkim na pytania niemieckiego zarządu getta. Każdego ranka, zanim o ósmej otwarto biuro Komisji, przed okienkiem czekała już kolejka ponad stu zaskarżających.

Zdarzało się także, w szczególnie trudnych przypadkach, że Szlomo Hercberg osobiście odwiedzał petentów. W getcie było na to specjalne określenie. Mówiło się, że nikt nie umknie od swojego *tnoim*, jeśli się najpierw nie nauczy „całować Hercberga”.

Tnoim — kontrakt zaręczynowy — tak nazywano te specjalne druki, które Komisja Wyszędleńcza wysyłała wybranym osobom z podaną datą i godziną, kiedy mają się stawić w punkcie zbórnym.

Hercberg mógł w ostateczności odsunąć nieco termin wyjazdu. Ale cena za takie odroczenie była słona. A cena za to, żeby zostać w getcie na czas nieograniczony, była, rzecz jasna, jeszcze wyższa, a opłata miała być zawsze w gotówce.

Dawny kinooperator Szlomo Hercberg dorobił się w niedługim czasie znacznego majątku. Ale musiał się gdzieś przeliczyć w swoich rachubach.

A może ktoś, kto miał jeszcze lepsze *plejces* niż on, wziął się, żeby go oczernić.

Rankiem dnia 13 marca 1942 bajeczna kariera Szlomo Hercberga dobiegła końca. Kripo zrobiło nalot na dwa mieszkania Hercberga: apartament na Drukarskiej i letni dom na Marysinie. Dokonano także rewizji w biurze na Młynarskiej i włamano się do jednego z zamkniętych na cztery spusty lokali Hercberga w Centralnym Więzieniu. Poniższa lista to spis tego, co niemiecka policja kryminalna znalazła w Kinematografie, oprócz sumy wartości 2955 RM, w amerykańskich dolarach upchniętych w paru starych pudełkach po butach, i ściennych malowideł autorstwa Hirscha Szylisa, przedstawiających „znanych aktorów i gołe kobiety”, przez niemieckiego skarbnika ocenionych jako „nic niewarte”:

- 70 kg (solonego) boczku
- 60 kg szynki (solonej, suszonej, marynowanej)
- 12 beczek Sauerkrautu
- 120 kg mąki żytniej i pszennej (w workach)
- 150 kg cukru
- 24 pudełka pralinek i „marmoladek”
- 32 butelki koniaku + wódki
- 40 szt. marynowanych ozorków wołowych
- 1 szt. skrzynka pomarańczy
- 242 opak. „perfumowanego” mydła
- 262 szt. pasty do butów (w nienapoczętych opakowaniach)

Adam Rzepin podjął już w tym czasie pracę poza gettem, którą załatwił mu jego stryj Lajb, na rampie załadunkowej stacji na Radogoszczu; i właśnie zszedł ze swojej zmiany w ten lodowaty szary ranek, gdy nadjechało gestapo, wioząc człowieka, który był prawą ręką Rumkowskiego, komendantem więzienia i policji, który więził i gwałcił jego siostrę.

Był 17 marca 1942; całkiem zwyczajny dzień „nowego życia” w getcie.

Najnowszy transport stał już gotowy do załadowania. Ostatnie kolumny wychodzących z punktu zbornego na Marysińskiej dotarły na miejsce i przytupywały w półzamarzniętym błocie. Tu i ówdzie podnosił się zamęt, kiedy grupy wachmanów tłukły nowo przybyłych, żeby ich zmusić do oddania bagaży. Plecaki, duże tłumoki z materacami i pościelą piętrzyły się już na stosie po jednej stronie niskiego budynku stacji.

Na krótko przed odjazdem pociągu na rampę towarową wjechał czarny kryty samochód i ubrany po cywilnemu funkcjonariusz kripo wyprowadził śmiertelnie bladego Szlomo Hercberga, z którym był skuty kajdankami. Nie pozwolono mu przystanąć, ani nawet się rozejrzeć, tylko od razu zapędzono go do najbliższego wolnego wagonu.

Następnego ranka tę samą procedurę powtórzono z żoną Hercberga, teściową i trójką jego dzieci. Dzieci, według relacji obecnych przy tym świadków, wyglądały, „jakby się bały tak jak wszyscy inni”. Co być może powinno dostarczyć pociechy tym wszystkim, którzy padli ofiarą chciwości Hercberga. Jednak na ogół reakcja była odwrotna. Dopiero kiedy Szlomo Hercberg i jego rodzina zostali deportowani, zwyczajni ludzie w getcie zrozumieli, że wyrok władz na Żydów z Litzmannstadtu jest nieodwołalny.

Jeżeli nawet dla najwyższych osób w getcie nie było łaski i ratunku, to co to będzie, kiedy kolej przyjdzie na nich?

W niedzielę 12 kwietnia wezwano Prezesa do władz jeszcze raz. Poza samym Biebowem obecni byli jego zastępcy, Czarnulla i Ribbe, natomiast gestapo reprezentował SS-Sturmscharführer Albert Richter, wiceszef tak zwanego Referatu II B4, zajmującego się Żydami w getcie.

Obrady przebiegały także i tym razem w „zdyscyplinowanej i, biorąc pod uwagę okoliczności, stosunkowo swobodnej atmosferze”.

Albert Richter rozpoczął od wyjaśnienia, że wysiłek wojenny zmusza do koncentracji ludności żydowskiej w Warthegau w kilku wybranych miejscach o „strategicznym” znaczeniu. Dlatego wkrótce ruszą też transporty z pozostałych terenów Warthegau do getta w Litzmannstadcie. Pomimo tych akcji — czy może raczej na skutek tych akcji — trzeba koniecznie kontynuować jak najszybsze i nieprzerwane wysiedlanie getta. Z Berlina nadeszły „jednoznaczne instrukcje”, że w przyszłości w getcie mają pozostać tylko Żydzi, których można używać do pracy. Oznacza to, że cały niezdolny do pracy element spośród nowo przybyłych zachodnich Żydów też musi teraz opuścić getto.

Wtedy Rumkowski poprosił o głos i zapytał zebranych przedstawicieli władz, w jaki sposób będzie można rozstrzygnąć, kto jest zdolny do pracy, a kto nie.

Richter odparł, że komisja medyczna z udziałem niemieckich lekarzy przebadła wszystkich pozostałych mieszkańców getta w wieku powyżej lat dziesięciu — zarówno Żydów „zachodnich”, jak i „resztę”. Ci, których się ostempluje jako niezdolnych do pracy, będą musieli opuścić getto. Cała reszta może pozostać.

Prezes: Wolno Żydowi wtrącić parę słów?

Richter: Oczywiście. Zawsze możecie wyrazić swoją opinię, Rumkowski.

Prezes: Od tego obowiązku pracy trzeba za wszelką cenę zrobić wyjątek dla naszych chorych i słabych. Ich utrzymuję z własnych środków.

Richter: Ależ ma się rozumieć, Rumkowski. Nie jesteśmy przecież potworami.

Na polecenie służby bezpieczeństwa administracja getta rozpowszechniła teraz wieści o tym, dokąd trafili deportowani. Mówiło się, że wywieziono ich do Chełmna w powiecie Warthbrücken — niemiecka nazwa miasteczka brzmiała Kulmhof. Po wysiedleniu niemieckiej ludności wzniesiono tam obóz z baraków, wielkością odpowiadający obozowi pracy, który pierwotnie miał być zbudowany pod Lublinem. Według gestapo było tam zgromadzonych (*verlagert*) sto tysięcy Żydów z Warthegau, a wśród nich także owe czterdzieści tysięcy, które wcześniej wywieziono z Litzmannstadtu. Warunki bytowe, jak mówiono, przedstawiały się tam *n a d e r* korzystnie. Zapewniano dziennie trzy pełne posiłki; wszyscy ci, którzy uważali, że są zdolni do pracy, mogli poza tym wykonywać nieuciążliwe prace za godziwą gażę. Mężczyźni, powiadano, pracowali głównie przy naprawie dróg, natomiast kobiety przy uprawie roli.

Pogłoska o „obozie pracy w Warthbrücken” pobiegła prędko z ust do ust i wkrótce wszyscy znali oficjalną wersję, tylko że nikt w nią nie wierzył. Możliwe, że deportowani jeszcze żyli, że przebywali w jakimś innym obozie pracy, że znajdowali się gdzie indziej — w Warthelandzie lub w Generalnej Guberni. Ale z całą pewnością nie w żadnym nowo zbudowanym obozie pracy w Warthbrücken.

*

Przed publiczną garkuchnią na Młynarskiej od wczesnego ranka stała długa kolejka czekająca na „ostemplowanie”. Większość w ogonku stanowili niemieccy Żydzi z kolektywów; mężczyźni,

kobiety i dzieci, przemieszani, bo kierownicy transportów ogłosili, że tylko ci, którzy dobrowolnie poddadzą się badaniu lekarskiemu, będą mogli później wyfasować swoją codzienną rację zupy.

Przy wejściu kolejka dzieliła się na męską i żeńską.

Mężczyźni musieli dalej telepać się wzdłuż parteru do kontuaru w głębi, gdzie zwykle stały panie Wydzielaczki ze swymi kotłami zupy, a gdzie teraz czekało wielu poważnych lekarzy w białych kitlach. Podczas gdy sprawdzano ich książeczki pracy, mężczyźni musieli wykręcać tułowie w tę i we w tę, poddawani dokładnej palpacji, po czym szef lekarzy przybijał im do piersi, pleców albo brzucha pieczętkę unurzaną w niebieskim tuszu.

To stemplowanie przebiegało zgodnie z pewnym literowym kodem; od „A” — co oznaczało pełną zdolność do pracy — aż po „E” albo „L” oznaczające niezdarność do wszelkiego zatrudnienia.

W ciągu pięciu dni komisja lekarska zdążyła ostemplować i zarejestrować w sumie 9956 z tych ponad 20 000 osób, których zbadanie wyznaczyła sobie za cel. Zaczęła też ściągać pacjentów i innych pensjonariuszy gettowych szpitali do punktów badań lekarskich. Dzień później władze podjęły decyzję o rozpoczęciu „ewakuowania” także zachodnioeuropejskich Żydów.

W przemówieniu wygłoszonym zaraz po wydaniu tego rozkazu Rumkowski powiedział:

— Tak samo jak ja dobrze znacie to stare żydowskie przysłowie mówiące, że prawda to najlepsze kłamstwo. Niech więc będzie, zatem powiem wam prawdę: ci wszyscy Żydzi z Pragi, Berlina i Wiednia, którzy teraz opuszczają getto, podejmą pracę w innym miejscu. Władze mi zagwarantowały, że ich życiu nic nie zagraża i że wszyscy Żydzi opuszczający getto trafią w bezpieczne miejsce.

Lecz ci, co pakowali te marne dziesięć kilo, które wolno im było zabrać, zadawali sobie całkiem naturalne pytanie, że skoro już ich przebadano i ostemplowano jako niezdolnych do pracy, to po co ktoś zadaje sobie trud i deportuje ich, żeby zatrudnić ich gdzie indziej?

Później zaczęły przybywać transporty z Brzezina i Pabianic, a zaraz potem przyjechały konwoje ciężarówek wypełnionych po brzegi zużytymi ubraniami i butami, i korzenie kłamstwa sterczały widoczne dla wszystkich.

Sobota w maju; uporczywy, rześisty deszcz zwisa z nieba w długich bladych kurtynach. W osoblowej, zimnej niebieskiej poświacie na dziedzińcu Komisji Wysiedleńczej na Rybnej stało parę setek czekających ludzi, stłoczonych w jedną masę, z głowami wciśniętymi w ramiona i dłońmi w kieszeniach palt.

Stali już tak od tygodni, od czasu, gdy ogłoszono, że także zachodni Żydzi, którzy dotąd nie znaleźli sobie pracy, będą ewakuowani. Prezes raz po raz powracał w swoich przemówieniach do niechęci nowo przybyłych do pracy. Drżącym głosem mówił o nich jako o istnych pasożytach i bumelantach, że już od dawna pragnął zrobić z nimi porządek, tylko że go opóźniły deportacje miejscowych. Ale już przyszła kryśka na matyska.

— Już niebawem — grzmiał z wysokości swojej trybuny — już niebawem nadejdzie dzień sądu także nad wami!

Czescy i niemieccy Żydzi w getcie zdawali się kompletnie zaskoczeni tymi wściekłymi szarżami Prezesa. Centralne Biuro Resortów Pracy na Bałuckim Rynku i biuro Komisji Wysiedleńczej na Rybnej zalała nagle fala ludzi z kolektywów, którzy szukali pracy; albo twierdzili, że potrafią udowodnić, że już mają pracę; albo utrzymywali, że są tak chorzy, iż nie będą w stanie przeżyć drugiego takiego transportu, jaki niedawno właśnie przecierpieli, co dokumentowali, przedstawiając świadectwa lekarskie i wszelkie możliwe listy polecające, zarówno od przyjaciół, jak i od byłych pracodawców.

Sam Arnošt Schulz był w ciągu ostatnich tygodni nachodzony przez wielu dawnych znajomych z gminy żydowskiej w Pradze, ludzi, którzy mu wcześniej ledwie się kłaniali, lecz teraz domagali się koniecznie jego podpisu na różnych zaświadczeniach, które są dla nich, jak mówili, jedyną deską ratunku.

Zwłaszcza jedna kobieta odwiedzała ich często, Hana Skořápková: czeska Żydówka, tylko parę lat młodsza od Věry; wcześniej dzielili z jej rodziną pokój w kolektywie. Teraz ojciec, matka i starszy brat Hany, wszyscy troje, dostali zawiadomienie, że są na liście i że tylko córka, jako jedyna, która miała pracę, będzie mogła zostać. Věra pomogła zrozpaczonej Hanie napisać na swojej maszynie podanie o odroczenie wyjazdu, doktor Schulz dołożył zaświadczenie zapewniające, że pani Skořápková (matka) cierpi na zapalenie mięśni, a zatem nie nadaje się na transport — *für Transport ungeeignet*. Wysłali to wszystko do Komisji Wysiedleńczej i pozostawało teraz tylko czekać.

To dlatego stały tam w deszczu na dziedzińcu przed biurem na Fischgasse. Każdego ranka bowiem punkt o ósmej ogłaszano decyzje w sprawie podań o odroczenie wyjazdu, jakie ostatnio rozpatrzono.

Věra miała później pamiętać ten nerwowy wdech, przebiegający jak fala przez stłoczoną masę, gdy otworzyły się drzwi w głębi dziedzińca i sekretarz Komisji, niski mężczyzna w koszuli z zakasnymi rękawami i zwisających luźno szelkach, wyszedł i zaczął przerzucać swoje papiery. Stojąc obok Hany, Věra słyszała dźwięk kropel bębniących w kawałek brezentu rozpięty przy bocznym skrzydle budynku; a za tym rozproszonym stukaniem kropel — głęboki, potężny szum deszczu stojącego jak niewidzialna ściana w powietrzu wokół nich.

Niespodziewanie głośnym, niemal tubalnym głosem sekretarz zaczął wyczytywać nazwiska, najpierw tych, którym przyznano odroczenie, potem tych, których podania odrzucono.

Początkowo pośród zebranych nadal panowała zupełna cisza. Mimo że nazwiska

wyczytywane były w porządku alfabetycznym, niektórzy jeszcze jakby ludzili się nadzieją, może nazwisko, na które czekali, zostało przypadkowo pominięte albo może pojawi się dalej na liście; lecz po sekundzie w tłumie zaczął się szerzyć niejasny niepokój. Ktoś wybuchnął rozdzierającym, przenikliwym płaczem; ktoś inny zaczął wykrzykiwać imię kogoś, kto właśnie dostał odmowę. I nagle to, co przedtem było tylko lekkim ruchem do przodu, zmieniło się w ciężką lawinę, wszyscy rzucili się, jak jeden mąż, ku owym drzwiom (za którymi samotny kancelista już zdążył się schować), a policja, która przez cały czas ich pilnowała, ruszyła do przodu i utworzyła kordon przed wejściem.

Dla policjantów nie była to wcale pierwszozna. Ale dla Hany tak. Dziewczyna była załamana. Wszyscy ci, dla których chciała zdobyć odroczenie, włącznie z jej matką, dostali odmowę.

*

Getto siedziało na walizkach. Na trotuarach i na rogach ulic, od placu Jojne Pilcera i dalej wzdłuż Łągiewnickiej, stali niemieccy i czescy Żydzi i sprzedawali to, co mieli — klamoty, lary i penaty. Jeszcze niedawno nowo przybyli z Pragi, Luksemburga i Wiednia płacili świeżutkimi reichsmarkami, żeby załatwić transport tych bagaży, które wwieźli z sobą do getta. A teraz wszystkie te przedmioty, które mieli, były tylko zbędnym balastem, niewiele więcej wartym niż podszewki tych drogich futer, które oferowali przechodniom.

I nikt z dobijających targu nie chciał żadnych pieniędzy. Sprzedający zbywali towar za jedzenie; zaś „miejscowi” Żydzi, którzy tu przyszli, by coś kupić, wszyscy mieli z sobą własne wagi lub bezmiany, którymi skrzętnie odmierzali tę ilość mąki, cukru czy żytnich otrębów, którą mogli oddać w zamian za ciepłe palto czy parę jeszcze nie zdeptanych butów.

Gdzieś z tego tłoku dobiegł Věřę głos wołający jej imię.

Kawałek dalej na ulicy stał jakiś mężczyzna i dawał jej znaki, wymachując całym ramieniem. To dzięki temu mogła go rozpoznać, po tym stylu.

Schmied, brzmiało jego nazwisko. Hans Schmied. *Aus Hamburg.*

W pierwsze tygodnie po przybyciu transportów on oraz paru innych niemieckich Żydów z Kolonii i Frankfurtu przychodzili czasem do dawnej podstawówki na Franzstrasse, gdzie zakwaterowano czeskich Żydów, żeby z nimi pogadać.

Zjawiali się rzekomo po to, aby wymienić nowiny, gettowe wieczne *was Neues*, lub aby szukać cennych kontaktów w nieustającej pogoni za jedzeniem. Ale szukali głównie towarzystwa kobiet i Schmied, z jakiegoś powodu, natychmiast zaczął przystawiać się do Věry.

Nie żeby pan Schmied nie był atrakcyjny. Ten sam Pan Bóg, który przy urodzeniu wykręcił mu o pół obrotu ramię z barku, obdarzył jego szczupłą, wydłużoną twarz rysami arystokraty, z cienkimi skrzydełkami nosa i opadającymi ostro kącikami ust. Także przy tych rzadkich okazjach, kiedy próbował się uśmiechać, kąciki ust opadały mu do dołu, przez co sprawiał wrażenie, jakby na wszystko patrzył z jednakowym lekkim obrzydzeniem. Tej arystokratycznej aparycji zadawał jednak kłam jego głos. Schmied gadał nieprzerwanie, i niezmordowanie. Opowiadał wtedy, że prawie już ukończył dyplom z elektrotechniki, gdy weszły w życie nowe przepisy rasowe. Dwa lata później całą rodzinę deportowano do Litzmannstadtu. Ale rodzina nie straciła jeszcze wszystkich dawnych kontaktów, tłumaczył. Jego ojciec, który posiadał firmę spedycyjną w Hamburgu, miał wielu dawnych klientów — bogatych fabrykantów z Litzmannstadtu. Teraz mieszkał zakwaterowany u jednego z nich, niejakiego pana Kleszczewskiego, który mu ofiarował własny pokój w rodzinnym mieszkaniu na

Sulzfelderstrasse.

W getcie, powiedział wtedy Schmied (niemal tonem przechwałki), wiecie mu się nad wyraz dobrze.

Teraz tu jednak stał, w tym tłoku na ulicy; a ów garnitur, w którym kiedyś przychodził, by ją emablować, wisiał teraz za nim na wieszaku, na parkanie z kutego żelaza. Nie zadał sobie nawet trudu, aby odpruć znienawidzone żółte Gwiazdy Dawida przyszyte na piersiach i plecach.

— Więc pan wyjeżdża, panie Schmied, powiedziała.

To była raczej konstatacja niż pytanie. Nie wiedziała, co ma mu powiedzieć.

Ale on nie słuchał. Z jedną ręką na jej ramieniu pochylił się i wyszeptał, że ma coś, co chce jej pokazać, coś ważnego. Że ona tylko musi mu poświęcić kwadrans, albo co najwyżej dwadzieścia minut swego czasu.

Rozejrzała się wkoło. Próbowwała mu wytłumaczyć, że powinna siedzieć w domu. Że jej matka jest chora i nie może zbyt długo pozostawać bez opieki.

Jednak Schmied był uparty. W jego spojrzeniu pojawiło się coś wilgotnego, dziwnie płochliwego: „Nie mam nikogo oprócz pani, komu mógłbym zawierzyć”, powiedział z tym swoim zastygłym grymasem dezaprobaty, który bardziej niż kiedykolwiek upodobił jego twarz do sztywnej, kościstej maski.

Chwilę później Schmied poprowadził ją przez bramę, która zdawała się dostatecznie szeroka, aby mogły się w niej minąć dwa pojazdy. Wewnątrz, na podwórzu zauważyła porzucony ręczny wózek najprostszej konstrukcji stojący oparty o ścianę. Wózek miał drewniane, okute żelazną obręczą koło i długie dyszle z szorstkiego, niemalowanego drewna. Kiedy o wiele później przyjdzie jej szukać właśnie tego adresu, będzie szukała tej szerokiej bramy wjazdowej — i tego wózka na podwórzu.

Tylko że w t e d y, oczywiście, już żadnej z tych rzeczy nie będzie, a brama wyda jej się o wiele węższa.

Właśnie taki efekt dawał głód. Wszystko to, czego się nie miało prosto przed oczami, wyciekało natychmiast z pamięci, a jedyne, co pozostawało, to dręcząca żądza jedzenia. (Czy to jedzenie chciał jej dać? Chleb, może coś, co zostało i czego on nie będzie mógł z sobą zabrać?) Później miała pamiętać, że szli schodami w górę, kilka pięter, i wszędzie spotykali ludzi schodzących na dół. Na drugim piętrze minęli czterech mężczyzn, którzy zajęli cały podest, znosząc szerokie łóżko. Wszystko szło teraz na sprzedaż! Także stoły i krzesła z mieszkań na wyższych piętrach wędrowały tą samą drogą.

Dopiero na najwyższym piętrze, gdzie ściany się ścieśniły, a sufit był taki niski, że ledwie dało się stać prosto, zostali sami. Hans Schmied wyjął klucz i otworzył jakieś drzwi lśniące metalowymi okuciami.

W półmroku, w który wkroczyli, wysokie krokwie unosiły daleki dach, skąd się zwieszały jakieś sznury czy linki wyciągu. Tu i ówdzie w kątach leżały porzucone materace i koce, spod których wyzierały jakieś cudaczne domowe sprzęty. Schmied podszedł od razu do przeciwległej ściany, uklękł przy czymś, co wyglądało na prymitywne palenisko, i ostrzem noża zaczął podważać kilka poczerniałych od sadzy cegieł. Spoza syjących się kamyków i odłamków wyłonił się prostokątny otwór, a w samej niszy — ledwie dostrzegalny w chmurach ceglanego pyłu — prosty radioodbiornik własnej konstrukcji.

— Sam wszystko zbudowałem — wyjaśnił głosem nabrzmiętym od kurzu i dumy. — Ze

starych części, które Kleszczewski mi załatwił.

— Tutaj — schylił się i pokazał — tutaj jest mieszacz, a tu oscylator.

— A tutaj — powiedział. Wyciągnął usmolony brulion, starł kurz z wyklejki i pokazał stronę za stroną zapisane drobnym maczkiem:

— Tu są moje notatki z wszystkich audycji informacyjnych, jakie udało mi się złapać przez ostatnie pół roku.

Wszystko to zapisane szyfrem, tak aby nawet jeśli radio wpadnie, nikt nie mógł go z nim powiązać:

— Dam pani klucz do szyfru, to sama pani będzie mogła poczytać o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd tu jesteśmy.

Věra zrobiła odruchowo parę kroków w tył. Nasłuchiwała kroków na schodach za nimi, ale jedyne, co słyszała, to był szepczący, szeleszczący odgłos deszczu stukającego w dach; i energiczny głos Schmieda, który wciąż opowiadał, jak ukradkiem wieczorami wymykał się tu na strych, czasami sam, czasami w towarzystwie Kleszczewskiego. Najczęściej słuchali niemieckich rozgłośni z Litzmannstadt i Poznania, ale też polskiej nielegalnej radiostacji Świt. Wtedy Kleszczewski był tym, który słuchał, a Schmied siedzący obok zapisywał.

Przerzucał kartki, pokazując stronę za stroną z notatkami sporządzonymi jego własnym tajnym szyfrem:

— Niemiecka ofensywa zimowa poniosła klęskę, oblężenie Stalingradu to wojna na wyczerpanie, którą wygrać może tylko rosyjska armia ludowa. Rosyjscy patrioci już przesuwają naprzód swoje pozycje na Kaukazie. Wcześniej czy później zwycięska armia rosyjska przejdzie przez Weichsel, a wtedy już nie będzie żadnego getta. To tylko kwestia czasu.

Wwiercał w nią swoje intensywne spojrzenie, które sprawiało, że czuła się nader nieswojo. — Wszędzie w getcie są Słuchacze — powiedział.

Nawet się nie spostrzegła, jak chwycił ją za prawą dłoń i włożył do niej klucz, którego użył, aby otworzyć drzwi na strych.

— Nie musi pani się niczego bać — powiedział. — Proszę to tylko dla mnie przechować. Wystarczy mi, że wiem, że zostawiłem wszystko w pewnych rękach.

Mówił to zaskakująco mocnym i spokojnym głosem. — Proszę już iść — powiedział, a kiedy ona w dalszym ciągu stała jak sparaliżowana: — Zostanę tu, aż się upewnię, że pani poszła.

Zacisnęła palce na kluczu i ruszyła w stronę drzwi, a gdy ostatni raz się odwróciła, zobaczyła, że już zasłonił dziurę w ścianie, wkładając cegły z powrotem, i pozacierał wszelkie ślady.

Później widziała go, jak opuszcza getto.

Stała wśród innych gapiów, którzy zebrali się za linią zagrodzoną przez policję, i widziała, jak deportowani opuszczają miejsce zbiórki na Trödlergasse przed Centralnym Więzieniem i idą kurzącą się drogą na Radogoszcz. To był upalny, majowy dzień; w tylnej części kolumny szła także Hana Skořápková ze swoją matką i ojcem. A więc Hana zdecydowała się w końcu opuścić getto wraz z rodziną.

Schmied szedł sam w szeregu, ze swoim zwykłym arystokratycznym grymasem na twarzy i z walizką w jednej ręce; niósł na ramieniu nieforemny tłumok, zawierający, jak się domyślała, sprzęty domowe zawinięte w ręczniki i pościel. Spotkał jej wzrok, gdy stała tam na poboczu, lecz nie dał nic po sobie poznać i nie obejrzał się.

Każdej nocy wjeżdżały do getta konwoje ciężkich aut wojskowych. Ci, co mieszkali przy gettowych arteriach komunikacyjnych, opowiadali, że blask reflektorów był tak silny, że wycinał wielkie rany na wskroś zasłon zaciemniających i że od huku dudniących silników drżały ściany. Na każdy konwój przypadało co najmniej dziesięć ciężarówek. Każda z nich wiozła ponad sto worków, po dwadzieścia kilo, pełnych porwanej i zakrwawionej odzieży.

Nad ranem teren wokół kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny był zamknięty. Na otwartej przestrzeni, od wejścia kościoła aż do figury Maryi Panny koło zejścia schodami na Zgierską, leżały materace i worki z bielizną pościelową i kołdrami.

Siłę roboczą rekrutowano teraz bezpośrednio na Bałuckim Rynku.

Około pięćdziesięciu najemników ładowało worki na taczki i przewoziło je do pustego kościoła. Zaczęto składać worki z ubraniami na stos przy ołtarzu; następnie zapelniono także przestrzeń między rzędami ław — kołdrami i materacami. Wkrótce wzniesiono piramidę z worków tak wysoką, że zasłoniła światło wpadające przez witrażowe okna nad ołtarzem i ucichło echo, i cały ten pusty, opuszczony kościół utonął w ciemnościach.

Mniej więcej w tym samym czasie zaczęli przybywać do getta Żydzi z pobliskich Brzezin i Pabianic. Oni też przyjeżdżali po nocach, w małych wagonach z zaplombowanymi drzwiami i oknami.

W pierwszym transporcie było tysiąc Żydów — same kobiety. Gdzieś w trakcie podróży oddzielono je od ich mężczyzn i odebrano im dzieci. Ich opowieści były chaotyczne i nieskładne. Niektóre mówiły, że Niemcy stłoczyli je w kilkusetosobową grupę i popędzili je biegiem w stronę stacji, a wszystkie te, które po drodze potknęły się i upadły lub nie nadały, zostały z miejsca zastrzelone.

Te, które przeżyły, wpędzono, bijąc i chłoszcząc, do czekających pociągów. Do innych nie dotarło jakby nawet, że są w wagonach kolejowych, nie mówiąc już o tym, dokąd pociąg je wiezie.

Niewidomy doktor Miller kazał wysłać lekarzy do kina Marysin, gdzie tymczasowo te kobiety umieszczono. To były te same (teraz puste) lokale magazynowe, których zaledwie parę tygodni wcześniej użyto przy ewakuacji kolektywów z Kolonii i Frankfurtu.

Mówiło się także, że Prezes powinien się tam wybrać, porozmawiać z kobietami. Ale odmówił. Może nie miał odwagi. Zamiast tego Rozenblat dostał rozkaz otoczenia terenu i dopilnowania, by kobiety spokojnie siedziały w barakach.

Było jednak za późno. Niektóre z nich już wydostały się za kordon i niebawem pojawiły się w kwartałach w okolicy Bałuckiego Rynku. Rzucały się na każdego, kogo tylko spotkały, i rozpaczliwie dopytywały się o swoje dzieci i swych mężów.

Żydzi z łódzkiego getta z rosnącym przerażeniem słuchali tych opowieści.

Także w Brzezinach było getto. Ale getto otwarte, takie że ludzie mogli swobodnie wchodzić i wychodzić, i nikt do nich nie strzelał. Pracę także mieli. Prawie wszyscy Żydzi w Brzezinach pracowali dla jednego niemieckiego przedsiębiorstwa, Günther & Schwartz, dlatego byli przekonani, że wszyscy Żydzi w Brzezinach są bezpieczni. Lecz oto nagle przyszedł rozkaz, że mają być wysiedleni. Komanda SS otaczały kwartał za kwartałem. Pozwolono im wziąć ze sobą jedenaście kilo bagażu na osobę. Lecz kiedy tam stanęli w rzędzie, już gotowi, ze swymi niewielkimi pakunkami, podeszli esesmani w czarnych płaszczach i zaczęli selekcjonować ludzi.

Młodych i zdrowych, mężczyzn i kobiety, kierowano do grupy oznaczonej jako A. Innych, dzieci, starców i chorych, uformowano w grupę B. W ten sposób rozdzielano rodziny. Grupa B musiała zejść na bok, zaś grupie A rozkazano wyruszyć biegiem w stronę stacji. Jeszcze zanim dotarli do celu, mogli usłyszeć, jak Niemcy rozstrzelują wszystkich z tych grup, które zostały.

Inni umieli opowiedzieć więcej:

We wsi Dąbrowa, trzy kilometry od Pabianic, w starej fabryce, która stała pusta od końca ubiegłego wieku, zrobiono magazyn. Do tego składu zwożono całe góry używanych materaców, butów i ubrań. Kilkoro z młodych mężczyzn i kobiet, którym przyznano kategorię A, trafiło tu do pracy przy sortowaniu. Ci ludzie opowiadali, że pośród wszystkich palt i płaszczy, i butów, i bielizny znajdowali także książeczki pracy z żydowskimi nazwiskami, wszystkie opatrzone okrągłą pieczęcią Centralnego Biura Resortów Pracy i stemplem władz, **AUSGIEDEL**, w poprzek zdjęcia, i podpisem. Znajdowali także portfele z własną walutą getta, monetami i banknotami o nominałach pięć i dziesięć marek.

Wystraszone grupki słuchaczy nie były w stanie podważyć tych świadectw. Książeczki pracy nie mogły zostać wystawione gdzie indziej niż w getcie, a ta waluta miała przecież wartość wyłącznie tutaj i nigdzie indziej nie można było wejść w jej posiadanie.

*

W poniedziałek 4 maja, godzina 7.00, ze stacji Radogoszcz odjechał pierwszy transport zachodnich Żydów. Rodziny z Hamburga, Frankfurtu, Pragi i Berlina, które zaledwie pół roku wcześniej po ciężkich przejściach przybyły do getta, teraz musiały je opuścić.

Wysiedlenie kolektywów odbyło się niemal w tym samym porządku, w jakim przybywały.

Jako pierwsze wyjechały kolektwy: Berlin II i Wiedeń II, Düsseldorf, Berlin IV i kolektwy z Hamburga. Po nich: Wiedeń IV, Praga I, Praga III, Kolonia II, Berlin III, Praga V, Wiedeń V, Praga II, Praga IV, Wiedeń I.

Ci, którzy dostawali nakaz wysiedlenia, musieli udać się na punkt zborny przy Trödlergasse. Tam odbierano im ich kartki na chleb i produkty żywnościowe i rejestrowano ich pod tym samym numerem transportu, jak mieli na liście Komisji Wysiedleńczej. Spędzali później noc albo w którymś z nowo postawionych baraków na Trödlergasse, albo w pomieszczeniach Centralnego Więzienia. O czwartej rano przybywało komando gettovej policji i wszystkim kazano ustawiać się w szyku marszowym — po pięć osób w szeregu, z policjantem na czele i z tyłu kolumny, oraz co dziesięć metrów na całej trasie marszu.

Musieli iść Marysińską całą drogę do stacji Radogoszcz.

O szóstej rano, na godzinę przed odejściem pociągu, rozkazywano im ponownie stanąć w szyku, tym razem dwa metry od samego pociągu. Pół godziny przed odjazdem pociągu na teren stacji zajeżdżały dwa samochody z gestapo i dwaj oficerowie w towarzystwie żandarmów z ochrony getta przechodzili wzdłuż pociągu, każąc wszystkim odłożyć na ziemię swój bagaż. Dopiero gdy to było już zrobione, otwierano zaplombowane drzwi i pasażerowie, pomagając sobie nawzajem, wsiadali do pociągu, który tym razem składał się wyłącznie z wagonów trzeciej klasy.

Pozostawiony bagaż przewieziono potem ciężarówkami do lokali Komisji Wysiedleńczej na Rybnej, gdzie już dwa pomieszczenia w oficynie wypełniono stertami materaców i walizek. Parę godzin później dokładnie ten sam pociąg wracał z tymi samymi wagonami, chociaż wagony były teraz puste — gotowe na następny transport.

Najpierw widać tylko ostry blask reflektorów zawieszonych w mroku na zewnątrz. Światło podnosi się i opada pionowo, tak jakby niewidzialna ręka podnosiła i opuszczała zapaloną latarnię. Ta latarnia pęcznieje, aż zamienia się w kulę światła, które nagle się rozprasza, i w tym samym momencie dobiega ciężkie sapanie i buchanie pracującej z trudem lokomotywy. Później lokomotywa wtacza się na stację z przeraźliwym zgrzytem metalu o metal. Jedzie nią zawsze czterech, pięciu uzbrojonych wachmanów i tyłuż biegnie niską rampą towarową albo wskakuje w biegu, chwytając za uchwyty do wsiadania albo za drzwi wagonu. A na samym przedzie stoją dowódcy wach i wyrzaskują komendy ochryplymi głosami, zanim gromada robotników, która dotąd czekała w szopach i pod zadaszeniami, podejdzie do wagonów, które teraz będą rozładowywać, z obu stron.

Na papierze znajdują się już p o z a granicami getta. Adam Rzepin odczuwałby z tego powodu pewną euforię, gdyby nie fakt, że to na zewnątrz wygląda całkiem tak samo jak tam wewnątrz. Ta sama banda znudzonych niemieckich żołnierzy ze straży getta, w stalowych hełmach i długich mundurowych płaszczach koloru *feldgrau*; chodzą tam i z powrotem — bez przerwy paląc papierosy; zamieniają z sobą obojętne zdania, przyglądając się ze znudzeniem, jak robotnicy rozsuwają drzwi do wagonów.

Po drugiej stronie oświetlonego torowiska jest tylko mrok. I równiny. I glina. I bezwzględny strzał w plecy, kiedy snajper z wieży wartowniczej dogoni je snopem światła z reflektora.

Radogoszcz może leży poza gettem. Ale nikomu nie udało się stąd uciec, nikt nawet nie próbował. Tak łatwo nie da się opisać granic getta.

O wiele bardziej krzepiący był fakt, że z transportami towarów przyjeżdżała garstka polskich robotników kolejowych. Czasem zdarzało się, że coś wołali z góry do żydowskich robotników. Czasem pogroźki i obelgi — czasem zachęty do wytrwania. Jeden z Polaków nawet odezwał się do niego po imieniu:

— Pssst Adam, Aa-daam, chodź tu...!

Jakaś ręka wysunęła się z wagonu i dotknęła szybko jego ręki, jakiś uśmiech, który potem zniknął w ciemnościach i chaosie, kiedy zaczęto rozładowywać wagony. Polacy nie robili nigdy nic poza tym, że otwierali drzwi lub odkręcali zaplombowane klapy spustowe. Ciężka robota, sam rozładunek, to było już zadanie samych Żydów. Jedyne narzędzia, jakimi dysponowali, to łopaty i szerokie, proste wózki. Dwaj ludzie wskakiwali na platformę, dwaj inni wchodzili na wózek, żeby przyjmować towar, i podawano sobie worki z mąką, jeden po drugim. Warzywa, takie jak biała albo czerwona kapusta, marchew i ziemniaki na ogół zsypywano bezpośrednio z wagonów na wózki. Gdy trzeba było się pospieszyć, Polacy podnosili tylko boczne burty wagonu i towar wysypywał się, w najgorszym razie, prosto na ziemię. Jeżeli Żydzi mieli pecha, mogło się zdarzyć, że sam szef służby wartowniczej — Oberwachtmeister Sonnenfarb — akurat wtedy postanowił wygramolić się ze swojej budki koło rampy, gdzie siedział i wciąż coś podjadał, słuchając sobie radia. Dietrich Sonnenfarb objętościowo był olbrzymim Niemcem lubiącym pasjami przedrzeźniać Żydów, których nadzorował. Gdy któryś przechodził obok, pchając taczkę, Sonnenfarb natychmiast ruszał za nim z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby on też trzymał za uchwyty taczki, kolebiąc się z boku na bok całym swym wielkim, słoniowatym ciałem, i wykrzykiwał, zachęcając innych wachmanów, żeby też krzyczeli:

— *Ich bin ein Karrenführer, ich bin ein Karrenführer!*

Ci inni aż kulali się ze śmiechu; i jakby tego było mało, za Sonnenfarbem ruszył jego fagas Henze i kolbą karabinu bił zebranych Żydów, próbując ich zmusić, żeby też się śmiali. Henze był niższy rangą; zależało mu na tym, żeby wszyscy — Żydzi czy Aryjczycy — zachowywali się dokładnie tak, jak chce Sonnenfarb.

Lecz ku ogólnej uldze najczęściej nie starczało czasu na żadne dalsze orgie śmiechu. Wtaczano nowy wagon do „zsypania”.

Kilka razy, gdy podniesiono boczną burtę, z wagonów zważyło się co innego:

Puste walizki, torby podróżne i teczki. I buty, tysiące butów — damskie, męskie, dziecięce sandaalki — większość bez podeszw i cholewek. Chodziły słuchy, że czasem znajdowano złote przedmioty wetknięte w te buty albo zaszyte w podszewkach toreb. Dlatego wachmani podwajali czujność, gdy tylko zobaczyli taki transport. Adam stał obok, patrząc, jak paru kolegów grzebie gorączkowo wśród zakrwawionych kłopotów. Lecz to nie mogło nigdy trwać zbyt długo. — *Schluss! Schluss!* — krzyczał Henze. — *Aufhören damit!* Gdy wózek był załadowany, ci dwaj, którzy byli na górze, w wagonie, zeskakiwali na ziemię i „zaprzęgano” ich z przodu wózka, zaś ci dwaj, którzy byli na dole, szli na tył, żeby wózek popychać.

Wózki rozładunkowe ciągnięto do któregoś z wielu drewnianych magazynów zbudowanych wokół budynku stacji. Stąd ładunek jechał bezpośrednio do wielkiej składnicy warzyw przy Bałuckim Rynku. Na Radogoszczu znajdował się także magazyn mięsa, gdzie przechowywano resztki z uboju w oczekiwaniu na „przerób”. Latem czy zimą panował tam w środku, pod wysokimi krokwiami, ohydny, mdlący smród. W długich, lśniących kadziach na samym końcu sortowano produkty mięsne zaliczane do „drugiej jakości”, kawałki surowej koniny z błękitnawymi żyłkami, pod którymi ochłapy mięsa już zszarzały i zaczynały puszczać soki. Ten „drugi sort” przewożono potem do getta, gdzie był mielony na kielbasę. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi magazynu, czuło się gęsty, mdlący smród tej zjełczałej masy mięsa jak zgniły, kwaśny powiew prosto w twarz.

Za próby przemycenia czegoś z wózków albo z magazynów groziły najsurowsze kary. Policja porządkowa rewidowała wszystkich robotników na początku, żeby upewnić się, że nie wnoszą nic zakazanego, a potem jeszcze raz: gdy rozładowywacze schodzili ze zmiany. Ale żadna policja na świecie nie mogła im przeszkodzić podnieść w przelocie jakiś ziemniak czy brukiew, które przypadkiem spadły z wózka, i natychmiast je spałaszować. To się nazywało „spijać śmietankę”. Spijali ją wszyscy. Najpierw ci pracujący na rampie rozładunkowej. Potem ci, którzy umieszczali te produkty w składach. Następnie ci, którzy wwozili jedzenie do getta i rozładowywali je w centralnej składnicy. Potem furmani rozwożący produkty spożywcze ze składnic do punktów rozdzielczych. Potem ci, którzy zajmowali się samym rozdziałem i którzy chętnie odkładali trochę dla siebie albo dla tych, z czyjej protekcji korzystali. Gdy jakiś klient po trzech albo czterech godzinach czekania w kolejce dotarł wreszcie do lady i wyciągnął swój kupon, często zdarzało się, że nic nie dostał, bo pożądane *burikes* właśnie się skończyły. *Awek*, słyszał wtedy tylko, rzucone charakterystycznym opryskliwym tonem, *niszto mer cuker, nishto mer brojt* —

Awek —

Adam Rzepin nie był tak głupi, żeby nie rozumieć, że stryj Lajb wystarał się dla niego o lukratywną pracę, pomimo nocnych zmian i forsownej fizycznej harówki. Jak długo trwały deportacje, w ciągu jednej zmiany rozładowywali trzy, cztery pociągi. Poza używanymi ubraniami i butami, które powtórnie wykorzystywano w manufakturach getta, tą drogą

sprowadzano także materiał dla gettowych fabryk wyrobów drzewnych i metalowych. A brygadziście było wszystko jedno, czy chodzi o ludzi, czy stare ubrania, złom żelazny czy węglowe brykiety. Wszystko to był ładunek, który należy rozładować.

Do tego dochodziły te dwie zupy. Wszyscy na nocnej zmianie dostawali dodatkową porcję zupy. Którejś nocy, już po drugiej zupie, kiedy brygada, w której pracował Adam, właśnie zaczęła opróżniać wagon z metalowego złomu, znów posłyszał ten głos:

— Adam Brzydala! — nie poznajesz mnie?!

I tam, akurat w przejściu między dwoma wagonami, stał Paweł Bielka. Mieszkali kiedyś na tym samym podwórzu na Gnieźnieńskiej, rodzina Rzepinów pod dwudziestką szóstką, rodzina Bielków pod dwudziestką czwórką. Paweł Bielka był jednym z tych prostaków, którzy głównie łazili i kopali inne dzieci, nazywając je żydowskimi srulkami. Lecz teraz zachowywał się, jakby go rozpieszczała radość ze spotkania i szczerzył zęby w szerokim uśmiechu:

— Adam, brzydalu — jak ci się właściwie wiedzie...?

A Adam, zbyt skonfundowany tym spotkaniem, żeby móc odpowiedzieć, zdążył jedynie rzucić szybkie spojrzenie przez ramię, żeby sprawdzić, czy ich nie słyszy jakiś wachman.

Nie dawniej jak w zeszłym tygodniu Adam widział, jak wzdłuż pociągu pędzą niemieccy żandarmi. Powód: Polak i Żyd przystanęli, na pozór całkiem nieruchomo, jakieś dziesięć metrów od siebie. Czy rozmawiali z sobą, czy nie, tego Adam nie umiał rozstrzygnąć. Lecz jeden z policjantów zdzielił Żyda — to był Mirek Tryter — kolbą karabinu w łeb i na następnej zmianie Mirka już nie było i nikt nie miał odwagi o niego zapytać.

Ale Bielka zareagował tylko na to zmieszanie Adama, chwytając go za ramiona i wlokąc między wagony. Często później mieli tak stawać, przywierając do siebie ciasno jak monety. I Paweł powtórzył: „Jak wam się tam właściwie wiedzie, bo chodzą straszliwe pogłoski, że zlizujecie gówno ze ścian, bo za mało macie jedzenia, to prawda, Adam? Że żrecie własne gówno, co?“, stojąc i balansując przy tym na szeroko rozstawionych nogach na zaczepie łączącym ze sobą dwa wagony towarowe.

Adam nie wiedział, co ma na to odrzec. Czuł się tak, jakby ciągle byli na tamtym podwórku, a Paweł Bielka usiłował go sprowokować. „No, dawaj ty żydowski gruby srulu!”

Bielka kołysał biodrami. Potem się zatrząsł cały skład pociągu i Adam odruchowo zeskoczył z powrotem na rampę. W samą porę, by zdążyć założyć na ramiona rzemienie podane mu z wózka ze złomem metalowym, tak aby *die Feldgrauen*, którzy byli zajęci czymś nieco dalej, nie spostrzegli jego nieobecności.

Napiął zatem rzemienie i pociągnął.

Dwaj ludzie ciągnęli, a dwaj pchali z tyłu.

I oto nowy ostry gwizd: skład wagonowy znów się zakolysał; a potem cały pociąg z wolna, niemal z ociąganiem, ruszył w kierunku, z którego przyjechał.

*

Jeszcze zanim zdążyli przywyknąć do paroksyzmów Lidy, matka Adama, Józefina, stawiała zwykle wiadro wody przy jej łóżku i zawieszała lustro nad wezglowiem. Zdawało się, że Lidę to uspokajało. Potrafiła leżeć godzinami, przeciągając dłonie przez wodę w wiadrze albo rysując coś palcami na zaszronionej od wewnątrz szybie.

Teraz Adam, każdego wieczoru, przywykł robić to samo, zanim wyszedł do swojej roboty: stawiał przy łóżku cebrzyk z wodą, wieszał lustro, i miał nadzieję, że to starczy. Jednak Lida

miała pewien sposób, żeby wszystkich przechytryć. Dopóki Adam albo Szaja spali, dopóty leżała spokojnie, lecz skoro tylko w mieszkaniu nie było nikogo, znów zaczynała spadać w otchłań.

Pewnego ranka, kiedy Adam wracał z Radogoszcza, dobiegł go ochryply jak głos mewy krzyk Lidy, na długo zanim jeszcze skręcił na Gnieźnieńską, i mimo że po nocnej zmianie był tak wycieńczony, iż ledwie się włókł, to biegł po schodach do mieszkania. Lida leżała na podeście drugiego piętra z nocną koszulą podciągniętą nad wzdęty z głodu brzuch, z rękami i nogami wciąż wyciągniętymi w urojonym locie, a pochylona nad nią stała żona dozorca, pani Herszkowicz. Trzymała w ręce łopatę do węgla, którą wznosiła i opuszczała, miarowo i zdecydowanie, jakby chodziło o rozbicie kawałka żyłastego mięsa; a wokół stali zebrani sąsiedzi (włącznie z panią Wajsberg i jej oboma synami, Jakubem i Chaimkiem, i panią Pinczewską i jej córką Marią) i każdy widział, co się dzieje, lecz nikt nie ruszył palcem, by to przerwać, póki on z mozołem nie dotelepał się na górę. Wtedy wszyscy rozpierzchli się z zażenowaniem, także pani Herszkowicz (która puściła łopatę, jakby trzonek sparzył ją w dłonie); i pozwolili mu objąć siostrę ramieniem i powoli i ostrożnie pomóc jej strąconemu, obitemu ciału wrócić na górę do mieszkania.

Przez pierwsze tygodnie po powrocie Lidy z *hejmu*, owego sanatorium, które Lajb dla niej załatwił, wszyscy mieli wrażenie, że zdrowie jej się polepszyło. Zniknęły ropiejące rany na rękach i nogach; porcelanowa cera odzyskała trochę dawnego połysku. Przynajmniej pewniej chodziła. Jeśli wcześniej chodziła tak, jakby deski podłogi miały się pod nią lada chwila załamać, teraz biegła lekko i sprężysto. Skłaniała głowę i dygała i mówiła wysokim przenikliwym głosem: „*Einen schönen guten Tag, meine Herren*”, albo (po żydowsku): „*S'iz gut — dos wejs ich szojn*”.

Kiedyś wystarczyło, żeby się na niej czy nad nią położył, żeby ucichła, kiedy miała te swoje napady. Potrafił leżeć tak godzinami, z ciałem przy jej ciele, czasem coś szepcząc, a czasem śpiewając jej do ucha. Teraz nic z tego nie pomagało. Z siłą, o jaką jej nie podejrzewał, wyrывała się z jego objęć i od nowa zaczynało się jej spадanie. Próbował wozic ją na taczce po podwórzu. Na chwilę pomagało. Zyskiwał dość czasu, aby w najlepszym razie zdążyć ją umyc i nakarmić, położyć do łóżka. Dodatkowo, na wszelki wypadek, przywiązywał jej ręce do wezglowia. Czasami nie protestowała. A czasem wzbraniała się tak bardzo, że Adam musiał prosić Szaję, żeby ją przytrzymał podczas zawiązywania sznurów. Ale także wtedy, i długi czas potem, mógł wyczuć w jej ciele rozpaczliwe ruchy mięśni: długie, przeciągłe spazmy biegnące z tułowia aż do spętanych rąk.

Jak uderzenia skrzydeł. Kurczowe, zduszone.

Coś się w niej złamało.

Zdarzało się, że go nie poznawała. Co mu chyba sprawiało najwięcej bólu.

Jak w tamtym domu na Marysinie, gdy mu otworzyła. W jej oczach wtedy był tylko jeszcze jednym z tych, którzy przychodzili, by ją krzywdzić.

Próbował porozmawiać o tym z ojcem, jednak Szaja nie chciał o tym słyszeć. Przynajmniej nie chciał rozmawiać o swoim bracie Lajbie.

— Powinniśmy być wdzięczni — rzucił tylko.

— Powinniśmy być wdzięczni, Adam, za to, że masz pracę i że dostaliśmy Lidę z powrotem. To się mogło skończyć o wiele gorzej.

I Adam pracował. I był wdzięczny za to zatrudnienie, które załatwił mu stryj Lajb. I myślał, że

już nigdy nie popełni żadnej nieprawości i nie złamie prawa Prezesa. Dla dobra Lidy. Ale pewnego ranka znów usłyszał znajomy gwizd między wagonami, a kiedy tam wskoczył, żeby nie sięgać na siebie spojrzeń wachmanów, Paweł Bielka powiedział nagle:

— Znasz Józefa Feldmana.

To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

— Mam coś dla niego.

Bielka pogrzał w spodniach i wyciągnął egzemplarz „Litzmannstädter Zeitung”: zawilgocony kawał papierowej masy pełen czarnych literek. Adam chciał powiedzieć, że rewidują ich codziennie, przy wchodzeniu i wychodzeniu z getta. Ale to wszystko Bielka oczywiście wiedział.

— Zrób tak jak ja — wciśnij sobie w krocze.

— Jak cię przyłapią, powiesz tylko, że się tym gównem podcierałeś, to przynajmniej nie zeżżesz!

Adam wykonał gest, jakby chciał z powrotem zeskoczyć na peron, ale Paweł znowu pochwycił go za ramię i zajrzał mu w oczy z największą powagą:

— Czego chcesz. Papierosów?

To zbyt niebezpieczne.

— Jedzenia?

— Paweł, ja nie mogę.

— Lekarstw? Azetynilu, Vigantolu?

To ostatnie sprawiło, że Adam zmiękł. Pomyślał o Lidzie. Może parę fiolek witamin w tabletkach sprawi, że przyjdzie do siebie, odzyska przytomność umysłu. Gdyby mijał bramę z fiolkami pod językiem, wartownik by ich nie znalazł. Jedyne raz, kiedy Niemiec świecił Żydowi w usta, to sytuacja, kiedy się spodziewał, że znajdzie tam złoto, a wtedy ten Żyd z całą pewnością już nie żył.

— Przynajmniej spróbuj — powiedział Bielka, który zauważył, że Adam się waha. Jednocześnie wyciągnął przed siebie zgniecione arkusze gazety pod takim kątem, że każdy wachman wzdłuż peronu mógł je widzieć i Adam zrobił to, co każdy zrobiłby na jego miejscu: schował je jak najszybciej pod ubraniem.

*

Słońce już weszło i wisiało teraz niecałą piędź nad horyzontem: drżąca, czerwona ciepła kula nad wyglansowanymi do szarości polami Marysina i rzadko rozsianymi rzędami ruder i ziemianek porośniętych trawą. Był już maj, chociaż nocami jeszcze zimno. Smugi mgły ciągle leżały w zagłębieniach, gdzie nie dotarło światło. Niewiele też zieleni na drzewach i krzakach, które zdawały się raczej pokryte tym samym cementowoszarym kurzem, który w tej chwili barwił także niebo.

Lecz słońce miało swoją moc. Poczuł, jak pali go w policzek. Kiedy się odwrócił, zobaczył światło dnia przebiegające jak ostrze noża nad cmentarnym murem. To światło wycinało odbłyski z pordzewiałych blaszanych dachów naprzeciwko, z odłamków żwiru na drodze, którą szedł, z butelkowego szkła na szczycie muru wokół czyjejs *dzialke*: gęste krzaki porzeczek za żelazną bramką z przerdzewiałym zamkiem. Szedł powoli wzdłuż muru terenów cmentarnych, mijając Zielony Dom, a potem pięćset metrów w dół, aż doszedł do budylni Feldmana. Z blaszanego komina przymocowanego do ściany głównego budynku dobywał się słaby dym.

Z domu dobiegał cudowny swąd smażonego mięsa. Adam zapukał, wszedł na przewróconą skrzynkę od piwa tworzącą schodek i pchnął drzwi.

Budynek składał się z jednego dużego pomieszczenia zagraconego od podłogi do sufitu stołami i sekretkami z przegródkami i regalikami pełnymi faktur i starych ksiąg rachunkowych; nad wszystkimi tymi półkami i szafeczkami książki i broszury reklamowe, których barwne niegdyś okładki wyblakły, napęczniały od wilgoci. A nad nimi z kolei szeregi wypchanych zwierząt: cietrzewie i głuszcze tokujące z rozpostartymi ogonami; kuna leśna, która wdrapuje się na cienkie drzewo, z pyszczkiem opuszczonym, jakby wypatrywała zdobyczy gdzieś daleko w dole, w szparach między deskami podłogi.

W kontraście do tego wszystkiego, Józef Feldman był niewielkim człowieczkiem, najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu; poza tym zdawał się tonąć w grubym, nadzartym przez mole kozuchu, który miał na sobie. Jednak spojrzenie z tego płaszcza było nadspodziewanie twarde i bystre, a głos jak dyndająca pętla szubienicy, kiedy wyrzucił z siebie swoje „Kto pan jest?” już w chwili, kiedy Adam popchnął drzwi.

— Pan Feldman? — spytał Adam dla pewności, ale jeszcze nie ważył się puścić drzwi.

Zamiast wkroczyć do środka, rozpiął pasek i stanął, potem trzymając spodnie w jednej ręce, a w drugiej przeschmugłowany numer „Litzmannstädter Zeitung”.

Feldman, który stał przy swoim małym prymusie, robiąc coś do jedzenia, ani na sekundę nie spuścił wzroku z jego twarzy.

— Rzepin? — powiedział tylko, gdy usłyszał nazwisko Adama. — Znam tylko jednego Rzepina — na imię ma Lajb.

Zdawało się, jakby wymawiając to imię, zmełł w ustach przekleństwo. Adam zawstydzził się, chociaż nie miał bladego pojęcia dlaczego.

— Lajb to mój stryj — powiedział tylko.

Zapach smażonej kielbasy to nagle dla niego zbyt wiele. Chce usiąść, ale stoi dalej, bo nie wiadomo, gdzie wśród tych wszystkich gratów można przysiąść. Feldman rzuca szybkie spojrzenie na gazetę, którą Adam mu wręczył, potem składa arkusze i niedbale wsuwa je między półki regału.

Na drugim końcu tej niskiej szklarni stoi coś, co Adam początkowo wziął za wielkie poplamione okno; potem widzi, że to są małe szklane pojemniki czy kubelki różnych formatów i wielkości, ustawione jedne na drugich i dopasowane do siebie jak jakiś regał ze szkła od podłogi po samą kalenicę. Część z tych pojemników zawiera piasek albo żwir i suche rośliny, inne są puste. Kiedy tak stoi ze wzrokiem wbitym w tę niepojętą szklaną ścianę, nagle zapala się w niej ogień. Gdzieś w głębi labiryntu odbijających się w sobie nawzajem szklanych płyt pojawia się rozwibrowana igielka światła, które rośnie i rozkwita ogniem jak słońce — światło nagle tak ostro klująco w oczy, że w polu widzenia wszystko natychmiast się rozplywa.

To nagły wschód słońca po drugiej stronie tej szklarnianej ściany.

— Musisz być wygłodniały — mówi do niego Feldman i wskazuje kątem na podłodze, gdzie leży jakiś materac i wyświechtana stara końska derka.

— Siadaj...

Kiedy Adam siada, światło jutrzeńki znów zapada w cień i szklana ściana już nie wygląda tak imponująco: stos brudnych akwariów z dnem pokrytym szarą gliniastą masą i ściankami bladymi od przyschłego kurzu.

Później Feldman opowie, jak za młodych lat przewędrował całe Mazury z podbierakiem i torbą na okazy botaniczne, i masą puszek i słoiczków, zdecydowany zbadać i opisać florę całego systemu jezior. I jak poszerzył zakres tych zainteresowań, gdy na początku lat trzydziestych zaczął eksperymenty z agregatami powietrznymi i cieplnymi, aby odtworzyć w mikroskali także inne biotopy: brazylijskie lasy deszczowe, wysuszone tereny pustynne, stepy i prerię.

— W tamtych czasach byłem jak opętany myślą, żeby odtworzyć każde środowisko, każde podłoże, jakie jest na ziemi. Ale potem nadeszła wojna, okupacja, i można chyba powiedzieć, że dość mam różnych własnych spraw i tego, co tu mam.

Feldman wykłada usmażoną kielbasę na talerz i zaczyna ją kroić na mniejsze kawałki. W mózgu Adama przebiega zaawansowany proces obliczeniowy. Czy to pięćdziesiąt, nie, to musi być prawie sześćdziesiąt gramów kielbasy na jego talerzu? Jak długo uda mu się zatrzymać kielbasę w żołądku? Dziesięć godzin, dwanaście?

To zależy od tego, jak wolno ją zje.

Teraz, gdy siedzą bliżej ognia, widzi, że Feldman jest znacznie młodszy, niż się z początku wydawał. W tej ciemnej twarzy kryją się jaśniejsze fałdy skóry; jakby ta ogorzała skóra była tylko maską wciśniętą na twarz pod spodem. Spojrzenie z tamtej d r u g i e j twarzy jest chłopięco jasne, nieustraszone i w pewien dziwny sposób wyrachowane. Adam miał później powiedzieć, że Feldman patrzy na ludzi w taki sposób, jakby brał z nich miarę przed ich pogrzebaniem. Z takim wyrazem twarzy patrzył na niego teraz.

— Był taki jeden, co tu przedtem przychodził z gazetami. Wiesz, co się z nim stało? — Adam przeżuwa kielbasę; nic nie odpowiada. — Rzepin? — mówi Feldman potem, jakby próbując smaku tego nazwiska. Adam żuje dalej. — Dziwi mnie, że Lajb bierze na posyłki jednego ze swoich. Jakiego haka on ma na ciebie? Adam odwraca się i mówi: — To taki jeden, co się nazywa Biełka, przyszedł i poprosił, tylko tyle wiem.

Feldman przygląda mu się ciągle, jakby oczekiwał, że Adam powie coś więcej, skoro już w końcu zaczął mówić. Kiedy nic nie następuje, odwraca się z westchnieniem, które przebiega jakby przez całe ciało, wyciąga z rękawa płaszcz zaskakująco długą rękę i zaczyna szturchać polanem tak, że żar w piecyku strzela w górę iskrami.

Adam siedzi dalej i żuje, aż nie ma już więcej kielbasy, którą mógłby żuć. Gdy nie pojawia się więcej jedzenia, pojmuje, że nadeszła pora podziękować za gościnę. — Wpadnij tu jeszcze kiedyś mnie odwiedzić — mówi Feldman, ale takim głosem i tonem, jakby Adam i jego przemycony towar nagle przestali go interesować.

Ledwie Adam wyszedł z powrotem na południowe, niespodzianie jaskrawe światło, spotyka pierwszą kolumnę wysiedlonych wychodzących z punktu zbornego na Młynarskiej.

Maszerujący dostali w przydziale nowe, produkowane maszynowo trepki, i te praktyczne buty wzbijają kurz na drodze, gigantyczną chmurę, która spowija ich jak blady, biały jak wapno welon, opuszczający się powoli, dopiero gdy miną. Po lewej stronie pięciu eskortujących policjantów dotrzymuje kroku kolumnie. Czasami któryś z nich rzuca krótką komendę wyznaczającą kierunek marszu. „Na wprost marsz!” albo: „Na prawo!”. Poza tym nic nie słychać. Mężczyźni człapią w swoich nowych drewniakach, z walizkami i kuframi, i materacami obwiązanymi wokół talii lub wiszącymi na ramionach, i żaden z nich nie próbuje nawet się obejrzeć i spojrzeć na Adama. On także nie ogląda się za nimi. Tak jakby poruszali się w dwóch całkiem odrębnych światach.

Lecz imię stryja Lajba powraca jak uparty, wiercący ból zęba. Adam wie, że ojciec ma rację, i że powinien cieszyć się z roboty, którą dostał. Ale jednocześnie wciąż nęka go myśl, że to nie może być przypadek, że nagle się zwolniło miejsce w brygadzie pracy na Radogoszczu. Ze wszystkich możliwych prac w getcie czemu Lajb oferuje mu akurat tę? I ze wszystkich możliwych ludzi, których kiedyś znał czy których poznał w getcie, czemu akurat Paweł Bielka zjawił się między wagonami? Czy nie jest tak, że powierzono mu zadanie, które pierwotnie miał wykonywać ktoś inny? A w takim razie kto to był i co się z nim stało?

Gdy Adam Rzepin się odwraca, kolumny marszowej już nie ma; tylko ta biała jak wapno chmura ciągle przesłania cienką warstwą pyłu tonący w słońcu horyzont. Słoneczna tarcza stoi już wysoko. Skwar poboлева w piasku, żwirze i kamieniach. W żołądku Adam Rzepin ma kielbasę. Postanawia więcej o tym nie myśleć.

To się zaczęło jak zabawa. Powiedział: „Przymknij oczy, wyobraź sobie, że jestem kimś innym”. A Regina śmiała się swoim jasnym śmiechem, mówiąc, że on chyba nie zechce aż tak zniżyć się. Wszak jest samym Prezesem. Ma u stóp całe getto. Jednak on nastawał. „Zamknij oczy”, powiedział, a kiedy w końcu to zrobiła, położył dłoń na jej kolanie, a potem powoli przesunął ją do góry, po wewnętrznej stronie jej uda.

Miłość może wyglądać i tak.

Wiedział, że budzi w niej obrzydzenie swoim starym tłustejącym ciałem, wstrętnym starczym zapachem wydzielanym przez jego włosy i skórę. Teraz ją zwolnił od przymusu nazbyt bliskiego spotkania z tym wszystkim, i w nagrodę mógł poczuć, jak jej krocze wilgotnieje i nabrzmiwa pod dotykiem jego drobnych, lęklivo masujących palców.

Kim był jednak ów ktoś, o kim marzyła za przymkniętymi oczami?

Opowieść o kłamstwie i tak można napisać:

Mieszkańcom getta wmawiał, że wcale nie powiedział wszystkiego tego, co powiedział, że wszystko to, co się zdarzyło, jednak się nie zdarzyło. A ci, co go słuchali, wierzyli mu, bo przecież był Prezesem całego getta, a takich, których można słuchać i którym można wierzyć, poza nim nie było przecież zbyt wielu.

Tym szalonym kobietom z Pabianic i Brzezin powiedział, że „z najwyższego szczebla” otrzymał zapewnienia, że z ich mężami jest wszystko w porządku oraz że sam podejmie interwencję w sprawie dzieci, aby natychmiast zostały dostarczone z powrotem do Łodzi.

A swemu bratu Józefowi, który niesłuchanie męczył się, odkąd zaczęły się deportacje, powiedział, że Namiestnik Rzeszy darzy go całkowitym zaufaniem i że nic złego nigdy się nie stanie wybranym Żydom z getta.

I wielki Chaim przechadzał się po swoim kłamstwie jak cesarz po swoim pałacu. Przy każdych drzwiach stali lokaje, którzy padali na kolana i pytali, czy mogą jeszcze coś dla niego zrobić. Czym więc staje się kłamstwo, jeśli jest naturalnym przedłużeniem całej istoty człowieka?

Wahanie i wątpliwości, mawiał Rumkowski, są dla ludzi słabych.

W piątkowy wieczór Regina zapalała szabasowe świece i wykladała na stół chałki, a gdy siedzieli za stołem, on odmawiał modlitwy, ponieważ tego od dobrego Żyda wymaga tradycja, w domu, który miał wszystkim w getcie służyć za wzór. W niedzielę brali *droszke* i jechali do szpitala na Wesolej. Opłacał tam „z własnej kieszeni” miejsca w pokojach i dwa pełne posiłki dla dwóch niezamężnych ciotek Reginy i jej kłopotliwego brata Benia. Całą godzinę odwiedzin spędzali w towarzystwie tych dwóch starych panien, w ich pokoju, i Regina chwaliła się, że Chaim postarał się o założenie stałej linii telefonicznej między nim a szyszkami w Berlinie, a jej łagodny i uroczy mąż mówił, że negocjacje z władzami idą nadspodziewanie dobrze, że niebawem spodziewa się decyzji o powiększeniu getta: „Już niedługo — powiedział — ani się obejrzyście, kiedy będziecie mogli wziąć stąd tramwaj do samego Paryża!”.

I stare panny chichotały spod zażenowanych palców:

— *Pruw niszt undz opcunarn, Chaim.*

Tylko nie próbuj nas nabierać.

Jednakże przymykały oczy i pozwalały sobie na odrobinę marzeń. Z wielkim Prezesem nic się nie zdawało niemożliwe.

Tylko jednego brakowało, aby kłamstwo stało się kompletne, lecz chociaż miał nadzieję

i modlił się o to, Regina nie zachodziła w ciążę. W tym czasie Biebow dał do zrozumienia Prezesowi, że władze na przyszłość nie zadowolą się bynajmniej ewakuacją z getta jakichś kolejnych niedołączonych starców. Niebawem w s z y s c y niezdolni do pracy — także ci najmłodsi — będą zmuszeni stąd wyjechać.

Może powinien był odebrać to jako przestrożę.

Jednak Prezes wciąż mieszkał w swoim Kłamstwie, a w nim znajdowało się Dziecko, jedno jedyne, które będzie dostatecznie silne, aby przetrwać wszelkie nieszczęścia, jakie Pan na nich ześle, i temu jednemu Dziecku będzie mógł zwierzyć wszystko to, czego dotąd nie ważył się zdradzić nikomu.

Lecz jeśli jego małżonka, mimo młodego wieku, okaże się bezpłodna, to jak to dziecko będzie mogło przyjść na świat? Jak i skąd będzie można je sprowadzić?

Pozostałe dzieci w getcie próbował ocalić w bardziej konkretny sposób.

W gruncie rzeczy nie wymagało to szczególnej filozofii: im większą liczbę zaprzęgnię do roboty, tym większą liczbę władze oszczędzą.

Już w marcu 1942 zaczął organizować specjalne manufaktury czeladnicze dla chłopców i dziewcząt od dziesięciu do siedemnastu lat. To tu kazał sprowadzić starszych chłopców i dziewczęta z Zielonego Domu i z innych domów dziecka na Marysinie.

W maju tegoż roku, po wysiedleniu kolektywów niemieckich Żydów, nakazał przebudowę budynku dawnej szkoły powszechnej na ulicy Franciszkańskiej na szkołę zawodową z dwunastoma osobnymi klasami, po pięćdziesięcioro dzieci w każdej. Były klasy kroju, klasy szycia ręcznego i maszynowego, materiałoznawstwa. Nauczano nawet podstaw księgowości.

Po kilku tygodniach treningu najzdolniejszych brano na zmianę produkcyjną w Centrali Krawieckiej, gdzie pracowali pod nadzorem inspektorów, którzy chodzili i zwracali im uwagę na każdy fałszywy ruch i stratę czasu. Zadaniem dzieci było szycie specjalnych czapek maskujących dla armii niemieckiej, z zewnątrz białych, do walki w warunkach zimowych, a po wewnętrznej stronie szarych, do walki w normalnym terenie. Prezes chodził od ławki do ławki, patrząc, jak duże płyty płótna przemykają między zręcznymi palcami dzieci, jak ich nauczyciele schylają się i pomagają małym dłoniom trzymać materiał prosto, gdy go przeszywa igła maszynowa, sztukę za sztuką, i ogarniało go p o c z u c i e d u m y, mimo wszystko: że pomimo tego chaosu i głodu, jaki panował, dało się jednak utrzymywać taki porządek i dyscyplinę.

Do lipca 1942 udało mu się zdobyć stałą pracę w szwalniach dla przeszło 1700 z tych dzieci w getcie, które ukończyły dziesięć lat. Gdyby tylko dano mu więcej czasu, z pewnością mógłby znaleźć pracę (ocalenie) dla następnych, co najmniej równie wielu.

Ale w tym samym czasie, kiedy on w ten sposób umacniał mury swego miasta pracy, trwał bezustanny proces rozpadu:

Już w końcu kwietnia zaczęły docierać do nich nowiny o masakrach lubelskich.

Następnie (w czerwcu): Pabianice i Biała Podlaska.

Z Białej Podlaskiej zniknęło bez śladu całe czterdzieści wagonów załadowanych kobietami i dziećmi.

Czasami, kiedy siedział za zamkniętymi drzwiami w swoim Sekretariacie, zdawało mu się, jakby tam, na zewnątrz, sunęła olbrzymia lawina. Jakby coś pękło w posadach samej rzeczywistości.

Odwiedził go w jego biurze Dawid Gertler, który bez ogródek przekazał mu, co sam usłyszał

o przygotowaniach masowych wywozków z Warszawy. W Warszawie więziono 300 000 Żydów. Według Gertlera tamtejsze władze miały zamiar oszczędzić z tego tylko jedną dziesiątą, niespełna 30 000 — tych, którzy mieli dalej pracować w fabrykach getta.

Jednocześnie Anglicy zwiększyli ilość nalotów bombowych na strategiczne miasta w Rzeszy — Kolonię, Stuttgart, Mannheim. Dnia 26 czerwca brytyjskie radio po raz pierwszy nadało wiadomość o masakrach na żydowskiej ludności Polski. W audycjach BBC wymieniono takie miasta, jak Słonim, Wilno, Lwów.

Ale i Chełmno — miasteczko Kulmhof w powiecie Warthbrücken:

— Tysiące Żydów z przemysłowego miasta Łodzi i okolicznych miast i wsi zginęło, według naszych informacji, w tej, poza tym, anonimowej miejscowości.

Te nowiny z za drutów dotarły do getta za pośrednictwem setek nielegalnych radioodbiorników i to, co dotąd było jedynie makabrycznym podejrzeniem, szybko zmieniło się w zupełną pewność.

Na zewnątrz nic się oczywiście nie zdarzyło. Głodujący w getcie mężczyźni i kobiety dalej wlekli swoje wynędzniałe ciała od jednego punktu dystrybucji do drugiego; zgarbione już plecy stały się być może jeszcze bardziej zgięte. Ale tam, gdzie wcześniej nie było żadnej pewności, teraz była pewność. I ta pewność zmieniała wszystko.

Rankiem, po wiadomości BBC o masowych mordach w Chełmnie, Prezes getta przeprowadził inspekcję w Wydziale Statystycznym na placu Kościelnym. Wraz z panem Neftalinem, adwokatem, przejrzał całą zachowaną korespondencję i dopilnował, by spalono wszelkie dokumenty, które ewentualnym przyszłym pokoleniom mogłyby sugerować, że zbyt skwapliwie wykonywał rozkazy władz, czy też w ogóle miał jakieś pojęcie o ich prawdziwym sensie. Rzecz dotyczyła, przykładowo, kwestii, co robić ze zbędnym bagażem, który odebrano Żydom deportowanym z getta, za który Biebow nie chciał płacić frachtu. Na prośbę Rumkowskiego mecenas Neftalin założył specjalną teczkę archiwalną, z której nie tylko wynikało, kogo deportowano, ale też kto został „wyreklamowany”, a więc w czyjej obronie Prezes osobiście interweniował, czy też za kim się wstawiał.

Ci, którzy w owym czasie przestawali blisko z Prezesem, twierdzą, że coś zmieniło się w zapachu jego ciała. Zdawał się wydzielać ostrą, nieco słodkawą woń, która utrzymywała się w ubraniu jak niewietrzony tytoniowy dym i wszędzie się za nim ciągnęła. Zarazem większość z tych, którzy widzieli go w tych dniach, opowiadała, że poruszał się bardzo stanowczo i godnie. Jakby dopiero teraz, wraz z całym tym praktycznym obchodzeniem się z tłumami ludzi w punktach zbornych albo w kolumnach statystyk, znalazł schemat ruchu godny tej wielkiej misji, jaką na siebie przyjął.

*

24 lipca przychodzi z Warszawy wiadomość o samobójstwie Czerniakowa:

— Więc ten tchórzliwy człowiek wolał umrzeć, niż wziąć udział w wysiedlaniu Żydów z warszawskiego getta. Mimo to w dalszym ciągu, jak rozumiem, tysiące Żydów codziennie opuszcza Warszawę. Więc jeśli Czerniaków chciał wstrzymać tę akcję, to jego samobójstwo nic tu nie zmieniło. To tylko bezsilny, bezsensowny gest.

W ten sposób przedstawia zaistniałą sytuację pozostałym członkom swojej Rady Starszych.

To, co się teraz dzieje w Warszawie, tutaj nie będzie mogło się wydarzyć, zapewnia ich. „Przecież to nie jest getto — to jest miasto pracy”, mówi i bezwiednie używa tego samego określenia, co tego dnia, gdy przed biurowym barakiem na Bałuckim Rynku przyjmował Himmlera:

— To miasto pracy, Herr Reichsführer, a nie getto.

*

Swojemu nadwornemu lekarzowi, Eliasbergowi, wyznaje, że znów go kłuje w okolicy serca i pyta, czy Eliasberg nie zechce mu załatwić, tak jak poprzednio, nitrogliceryny. Doktor Eliasberg załatwia mu nie tylko nitroglicerynę; przynosi także inny lek na serce: małe białe pigułki, połyskujące z wierzchu jak tabletki sacharyny sprzedawane na rogach ulic przez dzieciaki.

Dla głodującego nawet najmniejszy okruch cukru na języku może wyznaczać granicę między życiem a śmiercią. Ta myśl go dziwnie ekscytuje. Chowa te małe tabletki cyjanku w niewielkim blaszanym etui w kieszeni marynarki i bez przerwy wtyka dłoń do kieszeni, żeby upewnić się, czy tam są.

Nigdy nie myśli o tym, jak by to było, gdyby sam je zażył. Widzi natomiast, jak on sam rozpuszcza dwie takie tabletki w herbacie Reginy. Gorzki smak sprawi, że ona się skrzywi, ale nie zdąży już zrobić nic więcej. Śmierć następuje błyskawicznie. Doktor Eliasberg go zapewnił.

Jak w ogóle mógł myśleć o czymś takim, on, który kochał ją tak bardzo? Odpowiedź brzmiała, że właśnie dlatego, iż kochał ją ponad wszystko. Nigdy by nie zniósł tego wstydu, gdyby mu przyszło stanąć przed nią w nędzy i pohańbieniu. Tak jak Czerniaków, prezes Judenratu w Warszawie, który nie zrozumiał, co to znaczy słuchać rozkazów.

— Czerniaków był słabszy ode mnie — powiedział Prezes. — Dlatego teraz nie żyje.

To było wtedy, gdy leżał, a doktor Eliasberg słuchał rytmu jego serca.

— Wolał odebrać sobie życie, niż wysłać swoich braci i siostry na wschód.

Doktor Eliasberg milczał.

— Tutaj do tego nie dojdzie — powiedział Prezes.

(Moje dzieci szyją czapki maskujące do walki w warunkach zimowych. To wykluczone, żeby tu do tego doszło).

Doktor Eliasberg milczał.

— Lecz gdyby jednak tu do tego doszło, chcę, żeby pan, doktorze, mi zaręczył...

— Pan wie, że ja nie jestem w stanie niczego zaręczyć, panie Prezesie.

— Ale jeżeli miałbym umrzeć...?

— Pan nigdy nie umrze, panie Prezesie.

*

Na wielkim, wyłysiałym trawniku za Zielonym Domem zbierają się dzieci z marysińskich ochronek i bawią się w zabawy w kole.

Ich śmiech rozbrzmiewa echem pod twardym czarnym niebem.

Dzieci stają w szeregu i biorą się za ręce, potem podnoszą ręce wysoko nad głowy i idą ku sobie, domykając koło. Koło zaczyna się kręcić: najpierw w lewo, a potem w prawo.

Siedzi w swojej dorożce i przygląda im się. Nie chce od razu robić zamieszania i psuć im zabawy.

Te młodsze potykają się i przewracają, starsze się śmieją. Samstag, ten chłopiec z Niemiec, na którego zwrócił uwagę, gdy był tu ostatnio, stoi oparty o zardzewiałą karoserię samochodu bez kół. Jest ubrany w krótkie porcięta, jakby zdjęte z dziecka o dziesięć lat młodszego, i krótki, dziany pulower, ledwie zakrywający pępek. Cały czas się uśmiecha, lecz bez widocznej radości: jakby usta ktoś mu przykleił i tkwiły tam, rozdziawione, na samym dole jego dużej twarzy. Wszędzie na Marysinie trawa pleni się wysoko. Na tyłach domów, za szopami i wychodkami.

Dzieci jedzą tę trawę. Dlatego mają takie czarne, umazane wargi.

Musi pamiętać, żeby porozmawiać o tym z panną Smoleńską. Ta trawa mogła być trująca.

Czeka. Jeszcze go nie zauważyły. W górze, na niebie, gromadzą się chmury i łączą się w cienkie welony gęstniejącej, deszczowej mgły. Słyszą daleki grzmot. Idzie burza. Za chwilę spadną pierwsze krople deszczu.

Dzieci patrzą do góry —

Wkłada dłoń do kieszeni marynarki, podważa paznokciem wieczko pudełka z tabletkami cyjanku i teraz miesza je wszystkie palcami.

Krople spadają coraz gęściej. Z burzowej ściany słychać głuchy pomruk, kiedy prosi Kupra, żeby podjechał bliżej. Dzieciaki stoją z palcami w buziach i gapią się na konia i dorożkę, i na starca, który tam stoi, z ręką w kieszeni marynarki, jak objawienie z innej epoki.

Widzi, że one widzą, i najwyraźniej się peszy.

— No, ale bawcie się! — woła — zmykajcie — mówi i śmieje się, a kiedy dzieci, spojrzawszy na pannę Smoleńską, niemal niechętnie powracają do zabawy, wygarnia z kieszeni tabletki i ciska je wszystkie pod niebo.

Hejże hejże, hejże ha! —

Od grupy odłącza się jedno z dzieci. Chłopiec ma może dziesięć lat; krępej budowy ciała, szerokie uda i ramiona, ale szybki. Pędzi jak wichur nad ziemią i skacze z wyciągniętymi przed siebie rękami wszędzie tam, gdzie wylądowały białe tabletki.

— Tam i tam, i tam! — śmieje się Prezes zachwycony.

Ale tak samo jak u Samstaga tylko dolna część twarzy Prezesa się uśmiecha. Na górze, pod oczami, leży ostre, śmiertelne ostrze. Poza tym energicznym chłopcem ganiającym za cukrowymi tabletkami, żadne z dzieci nie waży się podejść. Stoją tam tylko zacukane z paluszkami w buziach.

Chłopiec na imię ma Stanisław. Przyjechał z początkiem maja z transportem z Aleksandrowa. Jego matka i ojciec, siostry i bracia (było ich co najmniej siedmioro) wszyscy nie żyją. Chociaż przypuszczalnie on sam o tym nie wie. A może wie?

— Ej ty, podejź no tu.

Mówi to po polsku, co od razu zdradza, że rozpoznaje Staszka jako jedno z tych nowych dzieci.

A kiedy chłopiec z ociąganiem podchodzi do dorożki, wychyla się i dłonią w rękawiczce chwyta go za brodę.

— Powiedz mi, ile żeś nazbierał?

Staszek otwiera zaciśniętą dłoń i pokazuje garść białych tabletek. Nie da się rozróżnić, które z nich to cyjanek, a które zwykłe cukrowe tabletki. Wykluczone: nawet on sam by ich nie odróżnił. I Prezes śmieje się swym wielkim śmiechem. Chce, by z daleka było widać, jak bardzo chłopiec mu zaimponował.

W tej samej chwili nad okolicą trzaska grom i po minucie huczy już ulewa.

Akcję rozpoczęto o piątej nad ranem, pierwszego września 1942, w samą rocznicę inwazji Niemiec na Polskę.

Szef policji Leon Rozenblat otrzymał rozkaz zmobilizowania Służby Porządkowej getta ponad pół godziny później. Do tego czasu na Bałucki Rynek zdążyły już zajechać wojskowe pojazdy transportowe: wielkie ciężarówki z wysoką skrzynią ładunkową, tego samego typu jak te, które wcześniej zwoziły nocami do getta buty i worki z brudnymi, zakrwawionymi ubraniami. Do tego ponad pół tuzina traktorów, każdy z dwiema albo i trzema przyczepami.

W bladym świetle poranka zlikwidowano kilka zapór i zasieków biegnących wzdłuż dróg wyjazdowych, Zgierskiej i Lutomierskiej, i ustawiono nowe bariery, a zwykłe oddziały wartownicze szupo wzmocniono siłami gestapo.

W czasie gdy działo się to wszystko, Przewodniczący getta leżał w łóżku i spał.

Spał i śnił, że jest dzieckiem.

A właściwie: śnił, że jest samym sobą i j e d n o c z e ś n i e dzieckiem.

Dziecko i ten, co był nim, urządzili sobie zawody w rzucaniu kamieniami w kapsle. Dziecko rzucało swój kapsel, a on celował weń kamieniem. Po pewnym czasie spostrzegł, że coraz gorzej widzi. Dziecko rzucało kapslem coraz dalej w pełnym piekącym słońcu, a kamień, który przygotował do rzucenia, rósł mu w rękach, robił się duży i ciężki jak głowa, aż w końcu urósł tak, że się nie dało go objąć, nawet kiedy próbował oburącz.

Nagle pochwycił go przemożny strach. Zabawa nie była już zabawą, lecz jakąś groteskową próbą sił między tymi dwoma, którymi w równej mierze był on sam.

Dokładnie w momencie, gdy miał odrzucić ten olbrzymi kamień, ktoś chwycił go za ramię i powiedział:

— Za kogo ty się uważasz? Nie wstydzisz się swojej pychy?

Wtedy już słyhać było warkot dieslowskich silników ciężarówek i szczęk żelaznych łańcuchów, które ze zgrzytem podniosły się i napięły, kiedy pojazdy, do których je przyczepiono, ruszyły z wolna ulicami getta.

*

Powie później, że co go boli najbardziej, to nie ta czystka sama w sobie; na nią go władze, mimo wszystko, już przygotowały. Czego nie mógł przeboleć, to że akcję na tak szeroką skalę można było rozpocząć i prowadzić parę godzin, nim komuś w ogóle przyszło do głowy, żeby zadzwonić i go o tym powiadomić.

W końcu to przecież j e g o getto. Powinni go o wszystkim informować.

Panna Fuchs miała później tłumaczyć, że kiedy Sekretariat został powiadomiony o rozkazie, to wszyscy byli przekonani, że Prezes jest we wszystko wprowadzony, a sam fakt, iż nie zjawił się w biurze, znaczy po prostu, że woli planować dalsze kroki w domowym zaciszu.

Jednak on sam nie odebrał takiego wrażenia, kiedy się zjawił na Bałuckim Rynku i spotkał delegację swoich pracowników stojącą przed barakami. Przeciwnie, poczuł, że gapią się na niego tak, jakby tam stali i szydzili z niego, jakby już nie był najwyższym autorytetem w getcie, tylko pośmiewiskiem, kimś, kogo wszyscy w getcie mogą wytykać palcami.

— Ależ panie Prezesie — TO ZNACZY, ŻE PAN NIE WIE, CO SIĘ STAŁO?

Dziecko rzuca kapsel — lecz on nie może go dosięgnąć swym kamieniem.

Kapsel jest biały i lśniący, leci jak błyskawica i znika. Żaden kamień na świecie nie mógłby go

dośćgnąć.

Powienien czuć gniew, skoro warunki w tych zawodach są dla niego tak niekorzystnie ustawione. Właściwie wszystko powinno przemawiać na jego korzyść: waga kamienia; większa siła fizyczna; fakt, że jest o tyle starszy i bardziej doświadczony, i mądrzejszy od tego, którym był kiedyś jako dziecko. Powinien sobie z nim poradzić, a mimo to nie jest w stanie.

A co pozostaje to wstyd. Z powodu faktu, że on, który zagarnął tyle władzy, mimo to może tak nieskończenie mało.

*

Gdy dotarł wreszcie do szpitala na Wesolej, było już po ósmej rano, i zrozpaczeni krewni, którzy zebrali się za ogrodzeniem, rzucili się na niego, jakby był ich ostatnim ratunkiem.

„Wreszcie! — krzyczał tłum, albo przynajmniej wydawał się krzyzczeć — wreszcie zjawia się człowiek, który nas zbawi od tego nieszczęścia...!”

Przy głównym wejściu do szpitala stoi SS-Hauptscharführer Konrad Mühlhaus i nadzoruje wydalenie chorych i otumaniałych pacjentów, których ludzie Rozenblata wypędzają teraz z budynku szpitala. SS-Hauptscharführer Mühlhaus jest typem mężczyzny, któremu zdaje się, że wciąż musi być w ruchu po to, by inni nie zdążyli spostrzec, jaki jest niski.

Bez przerwy biega dookoła, w tę i we w tę, wykrzykując komendy w rodzaju:

„*Rauf auf die Wagen! Schnell, schnell, nicht stehenbleiben!*”

Ponieważ czuje, że oczekuje się od niego jakichś czynów, on ściska mocniej swoją laskę i rusza prosto do przysadzistego Mühlhausa:

Prezes: Co się tutaj dzieje?

Mühlhaus: Mam rozkaz nikogo nie przepuszczać.

Prezes: Jestem Rumkowski.

Mühlhaus: Dla mnie to pan możesz być sam Hermann Göring. Ja i tak nie przepuszczę.

Potem Mühlhaus gdzieś się ulatnia; nie ma cierpliwości, żeby wystawać tu i dyskutować z jakimś Żydem, nieważne, kim on jest i jak się nazywa.

I Prezes zostaje sam. Przez moment wygląda, jakby był tak samo zagubiony i bezsilny jak ci nieszczęśli, przygnębieni mężczyźni i kobiety, których prowadzą lub przenoszą od wejścia szpitala do platform ciężarówek i przyczep. A jednak do nich nie należy. Widać to wyraźnie: dokoła niego tworzy się jakby pusta przestrzeń. Nie tylko niemieccy żołnierze, lecz także ludzie Rozenblata unikają go, jakby był zadzumiony.

Na platformie przyczepy najbliżej głównego budynku stoi niespełna setka stłoczonych starych kobiet; niektóre z nich półnagie albo w spranych szpitalnych łachmanach.

Wydaje mu się, że poznaje jedną z ciotek Reginy, tych, które odwiedzali tu w niedziele. Nie ma pewności, która to z tych starych panien, ale niejasno przypomina sobie, jak chwalił jej się, że razem wybiorą się tramwajem do Paryża, i że się śmiała zachwycona za swoimi kościstymi palcami: „Ach, Chaim, nie myśl sobie, że mnie nabierzesz...!”. Teraz ta kobieta jest obnażona ze wszystkiego poza siwymi włosami na głowie i białymi złęknionymi oczami. Przez zgiełk i tłok, który ich dzieli, kobieta woła coś do niego i macha swoimi cienkimi jak zapałki ramionami, czy też usiłuje dotrzeć tym wołaniem do kogoś innego. Nie jest pewien ani nie zdąży się upewnić. Żołnierz, który właśnie wepchnął na przyczepę ostatnią grupkę pacjentów, słyszy, jak ona wydziera się tuż obok, i zamachuje się szeroko kolbą karabinu, celując w jej twarz.

Cios trafia kobietę prosto w szczękę i coś dużego, mazistego wypada jej z ust z bryzgiem krwi.

Prezes odwraca głowę z obrzydzeniem.

Właśnie wtedy spostrzega, że wejście do szpitala jest niepilnowane. Wachmani, którzy stali tu przedtem, wszyscy pobiegli odciąć drogę ucieczki pacjentowi próbującemu wyjść przez okno na drugim piętrze. Uciekający ma na sobie o wiele za dużą koszulę nocną w białe i niebieskie pasy, która zwisa nad jego tułowiem i twarzą jak firanka, kiedy on spada głową w dół i rozpaczliwie macha rękami na wszystkie strony. (Jedynie co sprawia, że ten człowiek nie spada bezwładnie na ziemię, to że ktoś z wewnątrz pokoju wychylił się i chwycił go za nogi w kostkach).

On sam korzysta z okazji i wślizguje się przez półotwarte drzwi, które nagle odcinają go od krzyków i donośnie wywrzaskiwanych rozkazów. Jakby znajdował się w innym świecie.

Pod podeszwami butów chrzęści potłuczone szkło.

Idzie powoli w górę szerokich, kręconych schodów; echo kroków rozbrzmiewa pod wysokim, kamiennym sklepieniem; idzie dalej, ciemnymi korytarzami, tu i tam zaglądnąjąc do wyludnionych teraz sal po obu stronach.

Kiedy ostatnio on i Regina byli tu z wizytą, w każdej sali leżało co najmniej po dwustu ludzi; po dwóch pacjentów w każdym łóżku, na waleta, jak karciane figury: jeden z głową na dole, drugi z głową na górze. Przypomina sobie, jak oni wszyscy razem uśmiechali się swoimi bieżębnymi podwójnymi uśmiechami, pozdrawiając go jednogłośnie:

„DZIEŃ DOBRY, PANIE PREZESIE”.

Jedynie Benio wolał milczeć. Stał przy oknie, z brodą opartą na dłoni, w wystudiowanej pozie myśliciela. Teraz próbuje rozpaczliwie przypomnieć sobie numer sali, na której leżał Benio. Ale przez całe to spustoszenie szpital zmienił się jakby w obce miejsce. Nieznane, nie do rozpoznania.

Właściwie przypadkiem na końcu jednego z korytarzy spostrzega gabinet lekarski i wchodzi tam, prawie z uczuciem ulgi. Na półce koło drzwi stoją skoroszyty z listami zakupów i książkami chorych, a na biurku telefon ze słuchawką na widelkach.

Gdy patrzy na niego, telefon zaczyna zupełnie absurdalnie dzwonić.

Przez moment czuje zamęt w głowie. Czy ma podnieść słuchawkę i odpowiedzieć? Czy może ten sygnał zwabi tu jakichś Niemców, którzy mu każą opuścić budynek, skoro tylko go tu zobaczą?

Ostatecznie cofa się na korytarz. Wtedy stoi tam Benio.

Majaczy mu na skraju pola widzenia dłuższą chwilę, zanim pojmuje, że to on. Drzwi do wszystkich sal są otwarte i światło wpada w korytarze w postaci długich, zakurzonych smug albo tuneli. Ale to światło, które obrysowuje mu Benia, nie pada z boku, tylko z góry — znad sufitu — co oczywiście jest niemożliwe: nie ma tam żadnych okien. Benio ma na sobie nocną koszulę w białe i niebieskie pasy, jak wszyscy inni pacjenci, i stoi pochylony nieco do przodu, z dłońmi zaciśniętymi na oparciu krzesła, którego cztery nogi trzyma skierowane w jego stronę, jakby się chciał przed czymś bronić.

Przed kim? Przed nim? Prezes robi parę kroków w to niemożliwe światło:

— Benio, to ja — mówi tylko, próbując się uśmiechać.

Benio cofa się. Z jego skrzywionych ust dobiega osobliwy zaśpiew czy zawodzenie.

— Benio...? — mówi tylko. Chce, żeby jego głos wyrażał niepokój i troskę, lecz kiedy głos wybiega na usta, słychać w nim tylko fałsz i zakłamanie:

— Bee-nioo, przyszedłem cię stąd zabrać, Bee-nioo...

Wtedy Benio rzuca się do przodu. Te cztery nogi krzesła trafiają Prezesa prosto w pierś i Benio

puszcza krzesło błyskawicznie, jakby go sparzyło, i odbiega. Lecz potem równie nagle staje.

Jakby wpadł prosto na ścianę.

Wtedy Prezes także je słyszy. Wysokie, hałaśliwe głosy — *n i e m i e c k i e g ł o s y!* — dobywają się z klatki schodowej przed nimi, a zaraz potem trzaskające echo szparkich wojskowych kroków. Benio nie wie nagle, co ma z sobą zrobić: biec dalej przed siebie, ku zbliżającym się nieubłaganie niemieckim żołnierzom, czy z powrotem, w stronę Prezesa getta, kórego boi się być może jeszcze bardziej.

Ale teraz Przewodniczący też się wycofuje i pospiesznie chowa się za drzwiami lekarskiego gabinetu.

SS-Hauptscharführer Mühlhaus i jego dwaj podwładni przechodzą szybko korytarzem obok i w następnej chwili mechaniczne skrzywienie ich butów i chrzęst skórzanych koalicijek już utonęły w echu na sąsiednich schodach. Gdy tylko cichnie odgłos kroków, Prezes podchodzi do regału w gabinecie, bierze z najniższej półki emaliowany dzbanek i napełnia go wodą z kranu nad zlewem. Następnie sięga po jedną z tych białych tabletek, które ma zawsze w kieszeni marynarki, wrzuca ją do szklanki i zalewa wodą z dzbanka.

Kiedy wygląda znowu na korytarz, Benia tam nie ma. Znajduje go ponownie w dużej sali tuż przy klatce schodowej, skulonego pod pobieloną ścianą za górą poprzewracanych szpitalnych parawanów i porozpruwanych materaców. Benio drży od ramion aż po kostki, lecz nie podnosi głowy. Prezes musi powtórzyć parokrotnie jego imię, w różnych intonacjach, nim ciężka, zwisająca grzywka w końcu się uniesie:

— Masz, Benio, wypij...!

Benio patrzy na niego tym samym wycieńczonym ze strachu spojrzeniem jak wtedy, kiedy przechodzili niemieccy oficerowie. Prezes musi przyklęknąć, żeby przytknąć mu szklankę do ust. Benio przysysa się do szklanki i pije dużymi łykami, łapczywie jak dziecko. Prezes kładzie ostrożnie dłoń na jego karku, żeby podtrzymać i pomóc.

I to jest łatwe. Przychodzi mu na myśl jego żona. Gdyby tak wszystko z nią związane było równie łatwe.

Benio podnosi wzrok ku niemu, nieomal z wdzięcznością. Potem trucizna działa i spojrzenie robi się szkliste. Przez ciało przebiega długi, spazmatyczny wstrząs, zaczynający się gdzieś koło głowy a kończący w nogach, gdzie pięty drgają kurczowo przez chwilę, a potem zastygają jakby wewnątrz własnego ruchu. Właściwie nie wiedząc kiedy i jak do tego doszło, siedzi z martwym ciałem szwagra w objęciach.

Z sześciu szpitali w getcie Szpital nr 1 na Łagiewnickiej był największy. Gmach był zbudowany na planie czworokąta, z dwoma skrzydłami otaczającymi otwarty dziedziniec. Można więc było dostać się do budynku z różnych stron.

W rozpaczliwej próbie skontaktowania się z ojcem Věra szła tam od tyłu, przez gęste krzaki między paroma barakami i szopami, do tego, co służyło jako osobne wejście na Oddział Położniczy. Kilka pojazdów już podjechało i parkowały tu ze swymi traktorowymi przyczepami. Przy kabinach kierowców albo na platformach stali lub siedzieli beczynni niemieccy żandarmi w mundurowych płaszczach do ziemi. Ich bierność była jednak pozorna. Zdażyła prawie dojść do rampy rozładunkowej na tyłach szpitala, kiedy powietrze rozdarł ostry gwizd. Gdy spojrzała do góry, zobaczyła mężczyznę w mundurze przy otwartym oknie na drugim piętrze. Sekundę potem wyleciało stamtąd nagie niemowlę i spadło bezwładnie prosto na oczekującą platformę.

Jeden z Niemców na wozie — młody człowiek o bujnej płowej czuprynie, w mundurze, który zdawał się o kilka numerów za duży — wstał i pomachał karabinem do kolegi na drugim piętrze. Rękawy jego kurtki były tak szerokie, że musiał je podwinąć, żeby zamocować bagnet. Potem stał tam w rozkroku i śmiał się, kiedy następne krzyczące ciała noworodków spadały zrzucane z parapetu okna. Skoro tylko udało mu się nabić któreś dziecko na bagnet, podnosił w triumfie karabin do góry, podczas gdy krew spływała za podwinęte rękawy.

Na górnych piętrach ktoś musiał zobaczyć, co się dzieje, bo dookoła pootwierały się teraz inne okna i z samego budynku dobiegły nagle krzyki po żydowsku i po polsku:

— Mordercy, mordercy...!

Věra nie wiedziała, co robić. Jakby ten zgiełk podniecił ich jeszcze bardziej, w oknach na drugim piętrze zaroilo się nagle od Niemców. Stali tam wszyscy jak matki, przytulając do piersi swoich mundurów noworodki.

Wtedy Věrce puściły nerwy i sama podniosła krzyk.

Twarz śmiejącego się żandarma na platformie zmieniła się w zdumione wielkie O. W następnej chwili niecierpliwym ruchem zrzucił z ostrza bagnetu krwawy tłumok i wycelował karabin w jej stronę.

Nagła karabinowa salwa eksplodowała strzępami liści i drzazgami z dachu baraku tuż ponad jej głową. Skulona zaczęła biec, a z krzaków dookoła wypadli inni ludzie, rzucając się do ucieczki. Niektórzy w szlafrokach pacjentów, inni prawie całkiem bez ubrań: głównie kobiety i starsi mężczyźni. Jej nagły krzyk, i zaraz potem strzelanina, wyгнаły ich z prowizorycznych miejsc ukrycia i teraz biegli wszyscy — podnosząc wysoko złężnione, szczudłowate nogi — podczas gdy salwy z niemieckich karabinów wciąż wrywały żwir i trawę z ziemi przed ciałami, które do tej pory nie padły.

*

W czasie przerwy na posiłek, w porze obiadowej, stała w kolejce do garkuchni na Jakuba ze swym blaszanym kubkiem, a słoneczny żar grzał i przypiekał jej odkryte ciemię, tak jakby miała tam pod skórą wielką, otwartą ranę.

Niemal wszyscy w garkuchni mieli krewnych i bliskich w różnych szpitalach getta i niemal wszyscy mogli opowiedzieć podobne historie: o dzieciach wyrzucanych z porodówki prosto na czekające samochody; o niedołączonych starcach, którzy ostatkiem sił wywlekli się ze swych oddziałów, a których potem zakłuto bagnetami albo zastrzelono. Tylko nielicznym z tych, którzy

wrócili ze szpitali, udało się zabrać swych krewnych do domu.

Krażyły słuchy, że Prezes po długich negocjacjach uzyskał od władz zwolnienie dla kilku szczególnie wysoko postawionych osób, które znalazły się wśród chorych, ale wyłącznie pod warunkiem, że w ich miejsce deportowani będą inni. Powołano nową Komisję Wyszukiwania, aby przejrzeć rejestry pacjentów w poszukiwaniu osób, które wcześniej leżały w szpitalu, ale zostały wypisane, albo pacjentów, którzy kiedyś składali podanie o przyjęcie do szpitala, lecz otrzymali odmowę, ponieważ nie mieli właściwych kontaktów, wszystko się nadawało i każdy był dobry: byle tylko mogli zastąpić tych nielicznych, niezastąpionych, bez których rządzący, jak twierdzili, nie mogli się obyć.

— To hańba, to po prostu hańba...! — mówił do siebie pan Moszkowski, chodząc owiany drobnym pyłem między krosnami. Jakby go ktoś bez przerwy dźgał w bok kołkiem. Ledwie przysiadł, znowu podrywał się na nogi.

Tego wieczoru rozeszła się wiadomość, że teść Prezesa oraz paru krewnych i bliskich przyjaciół Jakubowicza i komendanta policji Rozenblata zostali „wykupieni” w ten sposób, że na ich miejsce weszły „osoby zastępcze”. Jedyna osoba, której Prezesowi nie udało się ściągnąć z przyczepy, to jego szwagier, młody Benjamin Wajnberger, a to z tej przyczyny, że nikt najwyraźniej nie umiał powiedzieć, gdzie on się znajduje. W szpitalu nie było po nim ani śladu; nie widziano go także w żadnym z prowizorycznych obozów zbiorczych. Czyżby więc usiłował uciec i napatoczył się na jakiś niemiecki patrol? Regina Rumkowska była załamana i, jak mówiła, obawiała się najgorszego.

Już pierwszego wieczoru rodzinę Schulzów odwiedził niejaki pan Tausendgeld. To on przeprowadzał samo wykupywanie.

Dużo później, kiedy opowiadano o jego gwałtownej śmierci z rąk niemieckich katów, Věra miała próbować przypomnieć sobie jego twarz. Ale obraz pana Tausendgelda pozostał równie niewyraźny, jak był wtedy, gdy siedział z nimi w niszy kuchennej koło komórki Maman. Pamiętała twarz pełną guzów i bulw, wśród których były usta pełne małych, spiczastych, ostrych zębów, które obnażał przy każdym uśmiechu. Swymi długimi i szczupłymi dłońmi, dziwnie łądogowatymi, rozłożył na stole coś, co wyglądało na długie listy nazwisk, i podczas kiedy mówił, stwarzał pozory, że odhacza parę nazwisk.

Z wnętrza komórki dobiegło wołanie Maman, która ochryłym głosem poprosiła Věre, żeby zbiegła na róg do Rohánków i kupiła nici. Postanowiła znowu zacząć szyć. Kiedyś szyła dla nich, kiedy Martin i Josel byli mali. Wtedy także były „niespokojne czasy”.

Pan Tausendgeld przy stole zamienił się we wzrok i słuch.

„Wydaje jej się najwyraźniej, że jest z powrotem w Pradze” — powiedział i uśmiechnął się, niemal z podziwem, między bulwami swojej twarzy.

Niebawem okazało się, że wie już „wszystko to, co warto wiedzieć” o Maman i jej chorobie. „Frau Schulz — powiedział — jest osobą pierwszorzędnej rangi, którą za wszelką cenę należy ratować”. I jakby była to rzecz, którą można zdradzić tylko w największym zaufaniu, pochylił się do przodu i wyszeptał do profesora Schulza, że w Sekretariacie organizuje się specjalny obóz dla tych wszystkich, którzy cieszą się protekcją władz. Na Łagiewnickiej, obóz miałby leżeć naprzeciwko opróżnionego obecnie szpitala. Przenosiny w to miejsce miałyby się odbywać pod ochroną własnych służb wartowniczych getta pod dowództwem samego Dawida Gertlera, którego zasługą było wynegocjowanie z niemieckimi władzami tej zupełnie wyjątkowej umowy.

— Ile to ma kosztować? — spytał tylko profesor Schulz; a pan Tausendgeld — bez wahania, nawet nie podnosząc wzroku znad swoich papierów, gdzie na marginesie już zapisał sumę:

— Trzydzieści tysięcy! Oni żądają jeszcze więcej za bardziej, że się tak wyrażę, prominentne osoby, ale w waszym przypadku myślę, że wystarczy trzydzieści tysięcy marek.

Věra widziała wielokrotnie, jak jej ojciec blednie z wściekłości, jak węzły żył na grzbiecie jego dłoni nabrzmiewają tak, jakby za chwilę miały pęknąć. Jednak tym razem profesorowi udało się powściągnąć gniew. Może pod wpływem stłumionego głosu Maman, która uparcie nawoływała Věre z sąsiedniej alkowy. Jej choroba wisiała nad nimi, w gęstym, dusznym powietrzu, jak niepojęty hieroglif. A może ta sytuacja była, jak Věra miała później zapisać w swoim dzienniku, tak absurdalna, że nie dało się jej pojąć w inny sposób, jak tylko „akceptując cały świat jako szalony”?

W istocie rzeczy, Věra to zrozumiała dopiero później, profesor Schulz już się zdecydował. Powinni zamaskować ścianę do komórki Maman. Martin miał pomysł z czymś, co nazywał fałszywą tapetą; zwykłą tapetą oklejało się drewnianą płytę, a potem zasłaniało się tym panelową ścianką tuż przy zlewie. Krawędź tej fałszywej ścianki można było potem podważyć ostrzem noża i odchylić, a potem znów domknąć. Nie pociągało to za sobą żadnego ryzyka dla Maman: wywietrznik przecież miała na górze, a skoro tata jest lekarzem, to załatwi sobie jakiś *Passierschein* i będzie mógł tu przychodzić, kiedy zechce, bez względu na to, co się będzie działo.

— Zobaczysz, Věra, wszystko będzie grało — powiedział.

Zastanawiała się, skąd on to ma: całe to niezłomne przekonanie?

Ale czas naglił. Nowa Komisja Wyszukiwania skończyła już sporządzać listę osób, które miano wydać w zamian za „wykupionych”, i Sonder już chodziło i szukało ich po domach i fabrykach.

Po południu trzeciego dnia od rozpoczęcia akcji Prezes kazał nakleić nowe obwieszczenie przed Biurem Ewidencji Ludności na Kirchplatzu. Od tej chwili, głosiło obwieszczenie, Biuro Zaciągu w Centralnym Biurze Resortów Pracy przyjmuje także podania o pracę dzieci „od lat dziewięciu wzwyż”.

Mogło to oznaczać tylko jedno: wszystkie dzieci poniżej lat dziewięciu też miały być deportowane!

Ludzie od nowa zaczęli biegać jak szaleni. Ale nie do gettowych szpitali i klinik, tylko do Centralnego Biura Resortów Pracy na Bałuckim Rynku, gdzie ludzie godzinami wystawali w kolejkach, żeby zdążyć zarejestrować swoje dzieci do pracy, nim będzie za późno.

Wszyscy pytali o Prezesa.

Gdzie znajduje się Prezes w tej czarnej godzinie, kiedy jest nam najbardziej potrzebny? Jutro, słyszeli w odpowiedzi, jutro, na dziedzińcu straży pożarnej na Lutomiarskiej, wygłosi mowę do mieszkańców getta, w której zawarte będą odpowiedzi na wszystkie pytania.

*

Wczesnym wieczorem Věra weszła do komórki Maman po raz ostatni. Maman mówiła o Hoffmanach, którzy przez wszystkie lata mieszkali z nimi po sąsiedzku na Mánesovej. „Jesteśmy w Łodzi, mamo, a nie w Pradze”, powiedziała Věra. Lecz matka wciąż się upierała. Noc w noc słyszała, jak najmłodsza córka Hoffmanów chodzi po sieni przed zaplombowanym mieszkaniem i nawołuje swoich wysiedlonych rodziców.

Věra przyniosła basen i nakarmiła Maman rozpuszczonymi w wodzie kawałkami chleba. Po chwili do komórki weszli też Martin i Josel. Wówczas nawet Maman pojęła, że nic nie jest takie

jak zawsze.

Wodziła niepewnym i błyszczącym wzrokiem od jednego dziecka do drugiego. Arnošt zrobił jej w ramię zastrzyk i jej głowa opadła mu w ręce jak szmata. Potem Martin i Josel zamaskowali ścianę. Arnošt już wcześniej kazał wystawić jej świadectwo zgonu. Powiedział, że najlepiej będzie, jak spróbują nie myśleć o Maman jak o osobie, która jeszcze żyje, przynajmniej przez parę najbliższych krytycznych dni.

Mimo to Věra przez domkniętą ściankę ciągle słyszała bicie matczynego serca. Tej nocy i przez wszystkie te następne było tak, jakby nie tylko ta ściana, ale i cała izba, w której leżeli wszyscy czworo, ugiwała się i dudniła od niewidzialnych uderzeń serca Maman.

Po południu dnia 3 września 1942 władze ponownie wezwały do siebie Prezesa getta. Stał przed nimi, jak miał w zwyczaju, z głową spuszczoną, rękami po bokach.

Byli to Biebow, Czarnulla, Fuchs i Ribbe.

Biebow powiedział, że dokładnie rozważył postulat Prezesa, aby pozwolić odejść starcom i chorym, oszczędzić zaś dzieci.

— Ta wasza propozycja, Rumkowski, nie jest oczywiście pozbawiona logiki, tylko że rozkazy, jakie dostaliśmy z Berlina, nie zostawiają miejsca na takie ustępstwa. Wszyscy mieszkańcy getta, którzy nie mogą zapracować na swoje utrzymanie, muszą bezwarunkowo opuścić getto. Tak brzmi rozkaz, i on dotyczy także dzieci.

Potem Biebow przedstawił pewne kalkulacje, które sam kazał sporządzić, i stwierdził, że w getcie powinno być w sumie co najmniej dwadzieścia tysięcy niezdolnych do pracy, w większości starców i dzieci. Gdyby tylko udało się uwolnić od tych *Unbrauchbare*, Berlin nie miałby więcej powodów, żeby się mieszać w „wewnętrzne” sprawy getta.

Rumkowski odpowiedział, że tego rozkazu nikt nie będzie w stanie wykonać. „Żaden człowiek nie odda dobrowolnie swoich własnych dzieci”.

Biebow odparł na to, że Rumkowski już miał swoją szansę, ale ją przegapił.

— Mieliście dla siebie tygodnie, miesiące, Rumkowski, i coście zrobili? Nie przepuściliście żadnej okazji, żeby spróbować się wymigać. Posłaliście do pracy dzieci, które nie wiedzą, czym się różni prawa strona haftu od lewej. Szpitale przerobiliście na domy wypoczynkowe...! A nasz zarząd tymczasem robi wszystko, co tylko w jego mocy, żeby wam zabezpieczyć aprowizację.

Potem Fuchs powiedział:

— Musi pan sobie uświadomić, co oznacza nasz heroiczny wysiłek wojenny, panie Rumkowski. Wszyscy muszą ponosić ofiary.

Potem Ribbe powiedział:

— Co pan w ogóle sobie wyobraża? Że my będziemy tracić czas i środki na ratowanie jakichś Żydów, podczas gdy Niemcy są zmuszani porzucać cały swój dobytek na skutek tchórzliwych alianckich bombardowań. Naprawdę jest pan tak naiwny, panie Rumkowski? Myślał pan, że w nieskończoność będziemy się tu bawić w filantropię?

Rumkowski spytał wtedy, czy dadzą mu czas do namysłu i na naradę z jego współpracownikami. Odpowiedzieli, że już nie ma czasu. Że jeżeli w ciągu dwunastu godzin nie dostarczy im kompletnych list z nazwiskami wszystkich mieszkańców getta powyżej sześćdziesięciu pięciu lat i poniżej dziesięciu, to rozpoczną akcję na własną rękę.

Czarnulla powiedział:

— Getto to dom zadżumionych, to ropiejący wrzód, który trzeba oczyścić.

Jeżeli to zrobicie teraz, raz na zawsze, to będziecie mieli szansę przeżyć.

Jeżeli tego nie zrobicie, to nie będziecie mieli żadnej szansy.

Wiec na wielkim, otwartym placu strażackim na Lutomierskiej ma się zacząć o wpół do czwartej po południu, ale ludzie zaczęli się gromadzić już o drugiej. O tej porze słońce stoi na niebie najwyżej i cała ta ogromna, kamienna przestrzeń między dwiema oficynami jest zamieniona w studnię palącego białego światła. Dopiero później po południu z długiego rzędu szop i przybudówek, biegnącego wzdłuż wietrzejącej murowanej ściany, wypelza wąski cień. To właśnie do tej wąskiej strefy cienia ściągają nowo przybyli. W końcu wzdłuż muru tłoczy się taki tłum, że szef straży ogniowej, pan Kaufmann, opuszcza dobrowolnie swoje chłodne biuro i popychaniem lub ciągnięciem za rękawy próbuje skłonić zgromadzonych, żeby się trochę rozproszyli.

Ale nikt nie chce z własnej woli stanąć na spiekocie.

Kiedy Prezes w końcu przybywa, jest już wpół do piątej i smuga cienia zagarnęła połowę dziedzińca. Lecz zeszła się już taka ciżba ludzi, że tylko mała część ma miejsce w cieniu. Pozostali albo stanęli pod ścianami z tyłu placu, albo powdrapywali się na dachy szop i przybudówek. To ci na dachach pierwsi dają znać o przybyciu Prezesa i jego ochrony.

Na widok starego tłum rozstępuje się jak woda. Prezes nie kroczy, jak to ma w zwyczaju, z głową i laską hardo podniesioną, tylko ze skulonymi ramionami, wzrokiem wbitym w ziemię. W mgnieniu oka zapada na dziedzińcu głucha cisza. Jest tak cicho, że można nawet słyszeć świergot ptaków po drugiej stronie muru.

Za podium służy tym razem chwiejny stolik. Na tym stoliku ktoś postawił krzesło, tak aby mówca choć o głowę przewyższał resztę tłum. Dawid Warszawski wchodzi pierwszy na tę prowizoryczną trybunę. Ponieważ mikrofony zamontowano nieco dalej, musi wychylać się, by ich dosięgnąć, przez co wygląda cały czas, jakby miał zaraz upaść. Jednak za bardzo zbliża się do mikrofonów i z każdym słowem, jakie wypowiada, echo przetacza się między głośnikami, tak jakby ciągle próbowało wpaść mu w słowo.

Warszawski mówi o ironii losu, która sprawia, że to właśnie Prezes musi podjąć tę ciężką decyzję. Wszak tyle lat przewodniczący getta poświęcił wychowaniu żydowskich dzieci. (DZIECI! — odbija się echo od ścian). W końcu próbuje apelować do zebranych o zrozumienie:

— Trwa wojna. Nad głowami codziennie wyje nam alarm lotniczy. Wszyscy musimy biec, szukać schronienia. W tej sytuacji dzieci i starcy są tylko zawadą. Dlatego lepiej będzie ich stąd zabrać.

Po tych słowach, które wśród zgromadzonych wywołują tylko niepokój i zdenerwowanie, na stół wchodzi Prezes i nachyla się do mikrofonu. Także po głosie ludzie teraz słyszą, że się zmienił. To już nie ten krzykliwy, lekko histeryczny ton komendy. Zdanie pada po zdaniu powoli, z upartą, głuchą, metaliczną nutą; tak jakby każde słowo sprawiało mu mękę:

— Na getto spadł ogromny smutek. Żądają od nas, byśmy oddali, co mamy najdroższego — dzieci i ludzi starych. Ja nie miałem tego szczęścia, aby mieć własne dzieci, dlatego poświęciłem najlepsze lata mego życia dzieciom cudzym. Nigdy nie przypuszczałem, że to moje ręce będą składały taką ofiarę na ołtarzu. Przypadło mi w losie, że muszę dziś wyciągnąć do was ramiona i błagać: bracia i siostry, ojcowie i matki — wydajcie mi swoje dzieci...!

[...]

Miałem przecucie, że nam coś zagraża, oczekiwałem jakiegoś ciosu i stałem dzień i noc na straży, by mu zapobiec. Nie udało mi się to, nie wiedziałem, z której strony on padnie, nie wiedziałem, co nas czeka.

Nie przewidywałem tego, że wyniosą naszych chorych ze szpitali, macie najlepszy dowód, że moi najbliżsi i najdrożsi byli pośród nich i nic dla nich zrobić nie mogłem. Myślałem, że na tym będzie koniec, że nas potem zostawią w spokoju. Okazuje się, że wyłoniła się nowa groźba. Taki jest żydowski los — coraz to nowe i sroższe cierpienia.

Wczoraj po południu dostaliśmy rozkaz, aby deportować 20 000 ludzi z getta. Jeśli nie — powiedziano nam — „zrobimy to sami”. Stanęliśmy przed dylematem: czy zrobimy to my, czy zostawimy to im. Z myślą o tym — nie ilu zginie, ale ilu potrafimy uratować, ja i moi najbliżsi współpracownicy doszliśmy do wniosku, że jakkolwiek jest to dla nas

straszne, musimy wziąć na siebie odpowiedzialność za wypełnienie tego dekretu. Ja muszę przeprowadzać tę krwawą operację. Ja muszę amputować członki, aby ratować ciało. Ja muszę odebrać wam dzieci, bo inaczej inni zginą wraz z nimi.

Nie przyszedłem, by was pocieszać, nie przyszedłem, by wam ulżyć na sercu — jestem tu, by dzielić ogrom waszej żałoby. Przyszedłem jak złodziej, by ukraść, co macie najdroższego. Nie szczędziłem sił, by ten dekret unieważnić. Gdy to okazało się niemożliwe, starałem się go złagodzić. Kazałem zrobić rejestr dzieci dziewięcioletnich i starszych, który je wyjmie spod dekretu.

Nie chcieli na to przystać. Jedyne rzecz tylko mi się udało — dzieci od lat dziesięciu wzwyż nie podlegają dekretowi. Niech to nam będzie jakąś pociechą.

Mamy w getcie wielką ilość chorych na gruźlicę, którym pozostaje tylko parę dni, może tygodni życia. Nie wiem, może ten plan jest diabelski, muszę zwrócić się do was z zawołaniem: wydajcie tych chorych, aby na ich miejsce ratować zdrowych. Ja wiem, jak każda rodzina troszczy się o swych chorych. Ale w obliczu takiej groźby musimy rozważyć i zadecydować: kto może, kto winien być uratowany? Zdrowy rozsądek dyktuje, aby ratować tych, których się da, którzy mają szansę przeżycia, a nie tych, którzy umrą tak czy owak...

Żyjemy w warunkach, gdzie nie ma dosyć środków żywności dla zdrowych, nie mówiąc już o chorych. Każdy z nas utrzymuje chorego przy życiu kosztem własnego zdrowia. Dajemy choremu naszą rację chleba, naszą kostkę cukru, nasz kęs mięsa — w rezultacie jego to nie ratuje, a my sami zapadamy na zdrowiu. Rozumiem, takie ofiary są szlachetne. Ale gdy stoi przede mną wybór, czy ratować chorych, czy zdrowych, nie mogę się długo wahać. Nakazałem lekarzom, aby wydali wszystkich nieuleczalnie chorych, aby w ich miejsce uratować tych, którzy chcą i mogą żyć...

Ja was rozumiem, matki. Widzę wasze łzy. Czuję smutek waszego serca, ojcowie, którzy jutro, gdy wam wasze dzieci zabiorą, pójdziecie jak codziennie do pracy. Wiem to wszystko i serce mi pęka. Od godziny czwartej wczoraj po południu, gdy mi obwieszczono ten dekret, jestem złamany, dzielę wasz ból, nie wiem, skąd wziąć resztki sił, by to przeżyć. Jedną rzecz wam powiem — żądanie było na 24 000 ofiar, 3000 dziennie przez osiem dni, ale udało mi się wytargować tę cyfrę do 20 000, a może i nieco mniej, ale tylko pod warunkiem, że pójdą wszystkie dzieci do dziesiątego roku życia. Dzieci powyżej lat dziesięciu pozostają. Ponieważ dzieci i starców jest tylko 13 000, musimy dopełnić kwoty, wydając ludzi chorych.

Trudno mi mówić, siły mnie opuszczają. Zwracam się do was z apelem: pomóżcie mi wykonać tę akcję. Drzę na myśl, że broń Boże, inne ręce tę akcję przeprowadzą...

Widzicie przed sobą ruinę człowieka. To jest najtrudniejszy moment mojego życia. Wyciągam do was ramiona i błagam was: oddajcie w me ręce te ofiary, chroniąc nas od większych ofiar, chroniąc społeczność stu tysięcy Żydów...

Mam obiecane, jeśli sami dostarczymy nasze ofiary, będzie spokój.

(Okrzyki z tłumu:

„Lepiej idźmy wszyscy”; i:

„Panie Prezesie, nie bierzcie wszystkich dzieci; weźcie po jednym z tych rodzin, co mają więcej!”)

To puste słowa. Nie mam sił z wami dyskutować. Jak przyjdzie tu ktoś z władz, to nikt z was nawet nie piśnie.

Wiem, jak to jest, kiedy się żywcem wrywa członki z ciała. Wczoraj błagałem na kolanach, ale to się na nic nie zdało. Z miasteczek, gdzie mieszkało siedem, osiem tysięcy Żydów, tutaj przybyło żywych ledwie tysiąc. To co jest lepsze? Co wolicie, żeby przeżyło 80–90 tysięcy Żydów czy żeby wszyscy, nie daj Boże, zostali unicestwieni?... Myślcie, co chcecie. Moim obowiązkiem jest uratować tylu, ilu się da.

Nie mówię teraz do zapalczywych głów — przemawiam do waszego rozsądku i sumienia. Zrobiłem wszystko i nadal będę robić wszystko, żeby nie dopuścić do wyprowadzenia broni na ulicę i rozlewu krwi... Nie byłem w stanie zapobiec temu nieszczęściu, mogłem je tylko złagodzić.

Trzeba mieć serce złodzieja, żeby żądać tego, czego od was chcę. Ale postawcie się na moim miejscu i myślcie logicznie, a zrozumiecie, że nie mogę postąpić inaczej, bo liczba tych, którzy zostaną ocaleni, jest dużo większa od liczby tych, których trzeba poświęcić...

Pomiędzy domem na Gnieźnieńskiej 22 a tym pod numerem 24 jest luka czy też rozstęp szerokości paru metrów. Tak jakby oba te budynki, stojące tu przez wszystkie lata, wciąż coraz bliżej się ku sobie pochyłały, ale pod koniec zabrakło im siły. Pośrodku tego kurczącego się rozstępu między domami stoi na pół zwalony ceglany mur, a na nim Adam Rzepin, wystawiony jako czujka.

Jest dzień szabasu. Święto. Fabryczne bramy są zamknięte.

Drewniane mosty łączące różne części getta, zwykle czarne od tłumy przechodzących na drugą stronę, stoją puste jak szubienice. Nigdzie żadnego ruchu. Jedyne, co Adam słyszy, to metaliczne brzęczenie much na wysypisku śmieci za nim. Dźwięk unoszących się, potem cichnących rojów much; poza tym nic oprócz łomotu własnego serca.

Ze szczytu muru ma swobodny widok na całą południowo-zachodnią część getta. I w stronę Lutomiarskiej, i w stronę płotu z desek i drutów kolczastych na Wrześnieńskiej, gdzie leży dom starców i *gericht* sędziego Jakobsona.

Wszędzie w strategicznych punktach getta stoją inne czujki, jak on, i wysyłają między sobą „gońców”, żeby zdać sprawę z tego, co widzieli.

To od nich Adam dowiaduje się, że akcja się zaczęła.

*

Mimo że od początku musieli zdawać sobie sprawę, że sami nigdy sobie nie poradzą, żydowska Służba Porządkowa usiłowała najpierw samodzielnie przeprowadzić całą akcję.

Wczesnym rankiem, kiedy opuchłe jeszcze słońce wisiało nisko nad zdeptanym brukiem, ludzie z Sonderabteilung Gertlera zablokowali parę kwartałów przy Rybnej. Następnie rozkazano dozorcóm domów iść przodem z kluczami i otwierać drzwi do wszystkich strychów i komórek, a także mieszkań, których jeszcze nie otworzono dobrowolnie.

Większość najwyraźniej usiłowała barykadować się w swoich izbach.

Żydowski *policajtn* wynosili z mieszkań krzyczące i wierzgające kobiety i dzieci, podczas gdy starzy chwyтали się kurczowo framug drzwi z jakąś milczącą zawziętością, jakby próbowali wrosnąć w same ściany. Widziano starców, jak niezdarnie wpełzają pod łóżka, wlokąc za sobą pajęczo chude nogi; inni siedzieli z głowami okrytymi kołdrą lub tałasem, kiwając się rytmicznie w przód i w tył.

Z mieszkań na Rybnej wychodzących na podwórze gromadka kobiet próbowała uciekać przez okna, z dziećmi uwieszonymi u szyi i na ramionach. Krzyczące histerycznie, rozszalałe, groziły, że wyskoczą razem z dziećmi, jeżeli policjanci czekający w środku zrobią choć jeszcze jeden krok w ich stronę. Dwaj mężczyźni — jeden na samej górze, w mieszkaniu na trzecim piętrze, a drugi na dole, na dachu wychodka w podwórzu — którym udało się związać z koców i prześcieradeł długi sznur, namawiali uciekające kobiety, żeby się po nim zsunęły. Spuściły najpierw swoje dzieci. Kilkoro z nich zdążyło umknąć, pobiegły nieporadnym truchtem i zeskoczyły z dachu wychodka. Ale już parę minut później na podwórze wpadli ludzie Gertlera i brutalnie ściągnęli z dachu pozostałe dzieci, wszystko na oczach zrozpaczonych ojców i matek, którzy bezradnie wychylali się z okien na górze.

Tego ranka wysłano na ulice nie tylko policję, lecz także strażaków Kaufmanna i ludzi, którzy rozwozili worki z mąką z magazynów do gettowych piekarni: tak zwaną białą gwardię.

Wedle pogłoski, która dotarła także do Adama, kiedy stał na widocie na murze, wszystkim

strażakom, ładowaczom i pracownikom transportowym, którzy zgodzili się wesprzeć policję w tych krawawych poczynaniach władz, dano gwarancję, że ich własnym dzieciom nic nie grozi. Czasami nawet ofiary i sprawcy znali się nawzajem:

— A co zrobiłeś z własnym synem, Szlomo? — dało się słyszeć pytanie mężczyzny, którego dziecko właśnie zdjęli z dachu wychodka obcy ludzie w mundurach. — Ile ci zapłacili, hyclu, zdrajco...? — Po takich słowach zwykle wybuchały bójki. Kilka kwartałów dalej na Rybnej gromada mężczyzn zaczęła wznosić barykady. Gdy tylko pokazali się tam żydowscy policjanci i strażacy, zostali obrzuceni kamieniami.

— *Git awek ajere kinder, mir weln undzere niszt opgeb...*

[Oddajcie swoje własne dzieci, my naszych nie oddamy...]

Na tym etapie władze zdecydowały wziąć sprawę we własne ręce.

Siły bezpieczeństwa użyły tych samych jednostek, które wcześniej opróżniały gettowe szpitale. Żołnierze nadbiegli ulicami w zwartym szyku, tak jakby chcieli posiać strach samym pojawieniem się; za nimi nadszedły budy i traktory, zgrzytając skrzyniami biegów i wyjąc silnikami na wolnych obrotach. Niebawem barykady były rozrzucone; taranowano albo wysadzano podwójne drzwi w bramach i żołnierze wpadali do środka z podniesionymi karabinami.

Za bramą przerażony cieć w najlepszym razie zdążył już skłonić tamtejsze rodziny, aby powychodziły z mieszkań i zeszły na podwórze.

Podczas gdy dowódcy chodzili wkoło, wykrzykując swoje rozkazy, mężczyźni i kobiety próbowali doprowadzić do porządku swoje dzieci i bliskich, i podsuwali esesmanom do kontroli świadectwa zdrowia i książeczki pracy. W niektórych przypadkach z Niemcami szli, jako cicha eskorta, policjanci żydowscy. Chodziły słuchy, że widywano samego Dawida Gertlera, jak wchodzi czy też wychodzi z kamienic, w których mieszkali różni prominenci.

Jednakże niewielu z dowódców SS biorących udział w akcji dbało o wręczane im książeczki pracy czy też listy z nazwiskami. Zwracali tylko uwagę na wygląd stojących przed nimi Żydów: młodzi czy starzy, dobrze czy źle odżywieni. Dzieci i wychudzonych niedołączonych starców spychano bezlitośnie na bok i ładowano na czekające platformy. W tym czasie *policajtn* Gertlera mieli pełne ręce roboty: powstrzymywali zrozpaczone matki i ojców, którzy próbowali rzucić się na przyczepy traktorów, aby uwolnić zabrane im dzieci. Przy każdej z przyczep postawiono co najmniej po dwóch esesmanów; strzelali bez pardonu, gdy ktoś tylko próbował się zbliżyć.

*

Około piątej po południu niemieckie jednostki specjalne ze swoimi traktorami i ciężarówkami dotarły także na Gnieźnieńską. Dokładnie tak jak Adam to przewidział, stanęli najpierw przed domem starców. Ze swego punktu obserwacyjnego Adam widzi, jak biała gwardia pomaga starym mężczyznom i kobietom dostać się na przyczepy. Większość z nich ledwie może chodzić o własnych siłach, więc wyciągają bezradnie ramiona do swoich katów, a ci biorą ich sobie na plecy lub przerzucają między sobą jak worki z mąką.

Lecz w tym momencie Adam już podjął decyzję, że ukryje Lidę.

Na podwórzu są dwie piwnice na węgiel. Do jednej z nich zrzucano węgiel przez szeroki otwór zsypowy na poziomie gruntu. Adam zakłada, że jeżeli Niemcy będą gdzieś szukać uciekinierów, to tu. Drugiej piwnicy używano niegdyś jako komórki na narzędzia. Trzymano w niej szufle do węgla; a także miotły i łopaty do śniegu, i starą taczkę, którą Adam często woził

Lidę.

Na samym końcu tej dziś pustej komórki wykopał wcześniej w ziemi dziurę, głęboką dostatecznie, aby ten, kto się w niej znajdzie, był niewidoczny w smudze światła padającej z otwartych drzwi.

W tej dziurze umieszcza Lidę.

Ona z początku stawia opór. Nie rozumie, czemu ma stać zupełnie nieruchomo w tej lodowatej ziemi, wśród pajaków, wdychając stary pył węglowy. Ale on stoi chwilę razem z nią. Śpiewa dla niej, i to pomaga.

Nadchodzą dużo wcześniej, niż Adam się spodziewał.

Słyszy, jak żona dozorczy, pani Herszkowicz, szczebiocze podniecona na podwórzu:

— Niemcy idą, Niemcy idą...

Zbiórka na podwórzu, wszyscy, wszyscy mają zejść...

Dzisiaj jest wielki dzień pani Herszkowicz. Ubrała się w ciemnobrązową aksamitną sukienkę z kremowymi falbankami wokół głębokiego dekoltu; do tego ma kapelusz, wielki jak koło młyńskie, ze skomplikowanym zestawem piórek, wetkniętych za wstążkę opasującą denko. Kiedy tak biega rozćwierkana tam i z powrotem przez podwórze, zdaniem Adama wygląda jak bażant pomalowany w pstre kolory.

A on trzyma twarz Lidy między dłońmi. Chce zmusić do milczenia rosnącą w niej pieśń. Po chwili stoją razem w dziurze tak jak zwykle: on przytulając ją do siebie, ona z głową na jego ramieniu. Brat i siostra. Ponieważ ona jest wyższa od Adama, musi ugiąć kolana, by się do niego zniżyć; i w chwili, kiedy to robi, wyciągając przy tym szyję, by wtulić głowę w zagłębienie jego szyi, on wie, że ją kocha i zawsze będzie ją kochać miłością, która przypuszczalnie przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie.

Niemcami dowodzi ten sam niski Mühlhaus, który przeprowadzał czystkę w szpitalu na Wesolej. Z powodu upału zdjął czapkę z daszkiem i rękawiczki i trzyma je w dłoni, przechodząc szybko wzdłuż szeregu lokatorów ustawionych przez panią Herszkowicz. Kiedy Adam wychodzi na podwórze, SS-Hauptscharführer Mühlhaus wysłał już na górę dwóch swoich ludzi, żeby pościgali tych, którzy jeszcze nie ustawili się w szeregu. A pani Herszkowicz poszła na górę razem z tymi dwoma. Uważa za swój obowiązek służyć informacją o wszystkich swoich lokatorach.

Ojciec Adama, Szaja Rzepin, jest wśród ostatnich, którzy dołączają do szeregu.

Obok niego stoją Mosze i Róża Pinczewscy z córką Marią.

Maria Pinczewska wygląda na przerażoną. Chociaż papiery ma w porządku. Od trzech miesięcy pracuje w szwalni, robiącej emblematy i naszywki mundurowe dla Wehrmachtu. Gdyby miała w sobie choć trochę tego lizusostwa i tupetu, jakie demonstruje pani Herszkowicz, oprowadzając właśnie po mieszkaniach niemieckich żołnierzy, może by mogła wykazać swoją przydatność i dzięki temu uniknąć wywózki. Panna Pinczewska wszak poza tym jest jeszcze młoda i piękna; jasnowłosa i niebieskooka, prawie jak czystej krwi Aryjka.

Gorzej z Samuelem Wajsbergiem oraz z Frydmanami mieszkającymi w oficynie. Pani Frydman obwiązała głowę córki chustą, dzięki czemu mała wygląda znacznie poważniej. Obok niej stoją państwo Mendlowie z córeczką. Skrupulatny zazwyczaj Mühlhaus nawet nie zagląda do książeczki pracy pana Mendla, a tylko niecierpliwie macha ręką w stronę miejsca na prawo od pniaka po wielkim kasztanie Fabiana Zajtmana. Dzieci Frydmanów też się tam zabiera. W tej

samej chwili pani Frydman osuwa się w ramiona męża.

Samuel Wajsberg woła swoją żonę, Halę, która jeszcze się nie pokazała.

Brzmi to bardziej jak wołanie o pomoc.

— Hala! — krzyczy.

Echo bije długimi falami o wysokie popękane fasady oficyn.

Adam podchodzi i staje przy ojcu.

Szaja Rzepin wciąż patrzy przed siebie.

— Gdzie Lida? — mówi w końcu, nie odrywając spojrzenia od ziemi.

Adam nie odpowiada. Szaja nie pyta ponownie.

— HA-A-A-LAAA! — woła znowu Samuel.

Żadnej odpowiedzi; tylko echo spada z powrotem w dół.

Pani Herszkowicz uśmiecha się nazbyt szerokim uśmiechem i nerwowo skubie girlandy falbanek na biuście.

Wtedy, nareszcie, na podwórze wychodzi Hala Wajsberg. Prowadzi przed sobą swojego najmłodszego, Chaimka, lekko go popychając. O krok za nimi idzie Kuba. Ubrała obu synów w białe, świeżo wyprasowane koszule, ciemne spodnie z podwiniętymi mankietami i porządnie wyglansowane czarne buty. Także Hala ubrana jest z surową elegancją, w prostą suknię z długimi rękawami. Wysoki kok sprawia, że mocne zwykle kark i szyja wyglądają dziwnie filigranowo.

Wysokie kości policzkowe błyszczą, prawie tak, jakby natarła twarz brylantyną.

Nie upłynęło więcej niż parę minut, odkąd Adam dołączył do ojca. — Zadanie wykonane, może teraz z dumą zameldować pani Herszkowicz szykownemu esesmanowi w wysokich czarnych oficerkach i ze lśniącymi galonami.

Mühlhaus stoi naprzeciwko Samuela Wajsberga, który wyprostowany przewyższa Niemca niemal o głowę. Mühlhaus nawet nie próbuje spojrzeć mu w twarz, wyciąga tylko dłoń i czeka, aż Samuel wręczy mu książeczki pracy swojej rodziny.

Lecz pani Herszkowicz czuje się nagle urażona tym, że ów oficer, dla którego zadała sobie tyle trudu, kompletnie ją ignoruje. A przecież ona, w odróżnieniu od większości lokatorów tego domu, pochodzi z dobrej rodziny i — mimo swoich żydowskich korzeni — odebrała solidne polskie wykształcenie. Poza tym wszak z powierzonego jej zadania wywiązała się na piątkę. Dzięki niej wszyscy lokatorzy opuścili mieszkania na czas. Stoją tu teraz jak należy z książeczkami pracy w ręku. Mimo to ten niemiecki oficer nawet nie spojrział w jej kierunku.

Dlatego mówi głośno, po niemiecku, wskazując Szaję i Adama: — A tutaj jeszcze brak jednego członka rodziny.

SS-Hauptscharführer Mühlhaus podnosi wzrok znad dokumentów, które trzyma w ręce. Po raz pierwszy wydaje się rozumieć całkowicie, co ten dziwacznie wystrojony babsztyl usiłuje mu powiedzieć, a to sprawia, że pani Herszkowicz się peszy: — *Fräulein Rzepin hat sich vielleicht versteckt* — dorzuca, by nie było wątpliwości, i wykonuje coś, co wyglądałoby na dworski dyg, gdyby nie przeszkadzały jej falbanki na sukience.

Mühlhaus kiwa głową. Rozkojarzonym gestem dłoni daje znać dwóm żydowskim *policajtn*, którzy mu towarzyszą, by poszukali dziewczyny; wraca potem do wertowania dokumentów Samuela Wajsberga. Po paru minutach na podwórzu jest też Lida Rzepin. Dwa razy wyższa od policjantów, którzy ją niosą; jej nogi dyndają bezwładnie, a całą twarz ma czarną od sadzy

i gliny.

— *Guten Tag, meine Herren* — rzuca nonszalancko, kołysząc przy tym ramionami w tę i w tę.

Mühlhaus gapi się na nią.

— *Wo hattest du dich versteckt...!?* — ryczy, porwany nagle gniewem.

Lida kołysze dalej ramionami. Tak jakby brała rozpęd, żeby stamtąd ulecieć.

Mühlhaus podchodzi bliżej. Szybkim ruchem chwyta ją za włosy, szarpiąc, przyciąga jej głowę do swojej i wrzeszczy prosto w jej rozmytą twarz:

— *WO HATTEST DU DICH VERSTECKT!?*

Lecz Lida ciągle tylko się uśmiecha i kołysze ramionami wzdłuż tułowia.

Mühlhaus odpina po omacku kaburę ze służbowym pistoletem, potem z grymasem bezbrzeżnego obrzydzenia dwukrotnie strzela dziewczynie przez głowę.

Pospiesznie robi krok do tyłu.

A Lida pada. To jej ostatni lot.

Krew i mózg tryskające z jej potylicy.

Po strzałach wybucha kompletna panika. Kobiety krzyczą przenikliwie, mężczyźni usiłują je przekrzyczeć. Dwie skrupulatnie rozdzielone grupy — ci, których miano wywieźć na przyczepach, i ci drudzy — mogą za chwilę znowu się pomieszać, więc dwaj żydowscy policjanci interweniują z własnej inicjatywy i trochę nieporadnie zaczynają bić i popychać ludzi, by trzymać jednych z daleka od drugich.

Tak jakby nagle stracił do tego wszystkiego cierpliwość, Mühlhaus cofa się o parę kroków; a potem prawą, spryskaną krwią ręką szybko wskazuje jeszcze kilka osób, które należy odprowadzić na bok. Celuje palcem w starą panią Krumholz, a po szybkim, lekkim uśmiešku także w jasnowłosą, niebieskooką Marysię Pinczewską.

Po niej w Chaimka Wajsberga.

Rozstrzyga czysty przypadek. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zajrzeć do list, które dostał od pani Herszkowicz.

Dwaj *policajtn* Gertlera chwytają Chaimka Wajsberga i pędzą go tą samą drogą co innych wybrakowanych. Hala już biegnie za synem. Lecz Samuel jest szybszy. Z krzykiem — a nikt nie podejrzewał, że z tym zniszczonym płucem może wydać z siebie taki krzyk — rzuca się na swoją żonę i przewraca ją na ziemię.

Tylko Kuba Wajsberg dalej stoi. Patrzy oszołomiony, jak jego ojciec wpełza na ciało matki, jakby chciał przykryć każdy jego cal swoim własnym. Kilka metrów dalej siedzi Adam Rzepin, kołysząc na kolanach krwawiącą głowę swojej siostry Lidy.

Ostatniego ranka w Zielonym Domu Róża Smoleńska wstała, jak zwykle, już o czwartej, by zdążyć nanieść wody, którą Chaja Meyer wlała potem do dużych kadzi w kuchni; i Józef Feldman przyjechał, jak zwykle, na rowerze, żeby uzupełnić zapas węgla i napalić w piecach. Jak zwykle; przez wzgląd na dzieci zrobili wszystko, aby także ten ostatni dzień zaczął się tak samo jak wszystkie inne. Słońce nie wzeszło jeszcze nad horyzont, ale niebo już lśniło przejrzystością, błękitnie i samotne jaskółki zaczynały wirować w powietrzu, co oznaczało, że ten wrześnieowy dzień też będzie ciepły i słoneczny.

Poprzedniego wieczoru dyrektor Rubin i lekarz dziecięcy Zysman zwołali wszystkich do świetlicy. Dyrektor Rubin wyjaśnił, że decyzją władz ich pobyt w getcie dobiegł końca i że niektóre dzieci będą mogły powrócić do domów, inne zaś trafią do „zwyčajnych” domów dziecka, poza gettem. Powiedział, że te, które mają być przeniesione, nie powinny smuć się z tego powodu. Poza murami też istnieje świat, powiedział, i to świat większy, nieskończenie większy niż jakiegokolwiek getto.

Znowu się roześmiał. Chyba jeszcze nigdy nie śmiano się w Zielonym Domu tyle, co tego wieczoru. Ale dzieci stały poważne i ciche wewnątrz swoich uśmiechów. Potem Nataniel spytał, kto ich ma wywieźć z getta i czym mają jechać, pociągami czy może tramwajem (wszystkie dzieci widziały tramwaj, który już na początku roku zaczął wozić wysiedlanych na Radogoszcz), i dyrektor Rubin uśmiechnął się, o ile to możliwe, jeszcze szerzej i odpowiedział, że nazajutrz wszystkiego się dowiedzą, a teraz mają tylko spakować swoje rzeczy i zabrać tylko to, co może przydać im się w podróży, i pamiętać, żeby się ubrać w najlepsze ubranka, i nie zapomnieć grzecznie się uklonić i dygnąć przed niemieckimi żołnierzami, kiedy przyjdą wskazać im drogę.

Pewnej kobiecie z biura Zarządu Getta na Dworskiej, niejkiej pani Goldberg, powierzono zadanie doprowadzenia dzieci na wyznaczony punkt zborny. Wargi pani Goldberg były umalowane krzykliwą czerwoną szminką. Miała na sobie obcisły, skrojony do figury kostium, który sprawiał, że mogła stawiać tylko drobne kroczki. Bez przerwy patrzyła przed siebie, jakby się obawiała, że jej spojrzenie o coś się zaczepi, a gdy mówiła, to cały czas lękliwie, kątem ust.

Podczas gdy pani Goldberg i dwaj strażnicy, którzy ich mieli eskortować, czekali na zewnątrz, Róża Smoleńska przeszła korytarzami Zielonego Domu, klaszcząc w dłonie, i dzieci stanęły, tak jak były nauczone, w tym samym szyku co wtedy, gdy odwiedzał ich Prezes: najmłodsze na samym przedzie, starsze w formacji schodkowej za nimi. Z wybiciem siódmej, zgodnie z poleceniem, wszystkie dzieci wraz z opiekunkami pomaszerowały na plac zbiórki koło Wielkiego Pola: Róża szła przodem z najmłodszymi: Libą, Zosią, Dawidkiem i bliźniakami Abramkiem i Leonkiem, których trzymała za ręce; natomiast Chaja Meyer i Malwina Kempel zamykały pochód ze starszymi.

Rzadko rozsiane po gliniastym zboczu stoją już dzieci z innych sierocińców Marysina; a następne są w drodze. Głębokie ślady opon w miękkiej, gliniastej ziemi pokazują, któredy przejechały budy. Stoją zaparkowane tak, że przyciągnięte przez nie przyczepy traktorowe tworzą jakby klin zwrócony w stronę miejsca, gdzie się zebrały dzieci wraz z opiekunami. Kilkanaście metrów dalej podjechały dwa wojskowe łaziki, jeden z napisem GETTOVERWALTUNG z jednej strony.

Róża widzi, że idzie stamtąd sam Hans Biebow. Ubrany jakby był na polowaniu, w bufiastych *Stiefelhosen* i z karabinem na ramieniu.

Zdaje się czymś zirytowany. Raz po raz odwraca się do tyłu, coś woła i gestykuluje. — Za dużo dzieci jednocześnie, za szybko to idzie.

Kilku żydowskich policjantów, którzy tam stali w swoich czapkach z daszkiem i wysokich, lśniących butach, nie wiedząc, co ze sobą mają zrobić, rzuca się nagle do roboty i zaczyna odpychać i ścieśniać gęstniejący tłumek.

Dzieci będą liczone.

Więc znowu wszyscy mają stanąć w szyku. Każdy dom dziecka osobno. Sześć grup.

Ale teraz niepokój zaczyna udzielać się także dzieciom. Niektóre z nich uczestniczyły już w podobnych spędach. Przełazą załęcznione między nogami innych; niektóre próbują się wymknąć, lecz są łapane przez żydowskich policjantów, którzy nawet puszczają się biegiem, żeby je dopaść. Jakaś dziewczynka w zniszczonym szarym kaftaniku zaczyna nagle głośno łkać. Róża spogląda niespokojnie na swoją grupę. Staszek wygląda na przerażonego. Tymczasem zbliża się Biebow z dwoma esesmanami w długich do ziemi czarnych oficerskich płaszczach.

Jeden z oficerów, w okrągłych okularach w stalowych oprawkach, jak Himmler, trzyma w ręku plik papierów. Z końca szeregu ustawionych dzieci słychać gniewne niemieckie komendy, że liczenie ma odbyć się jeszcze raz.

Słońce już stoi wysoko na niebie, kark piecze od kropel potu.

Przed Różą stoi pani Goldberg z Sekretariatu Wołkówny w swojej obcisłej spódnicy z rozcięciem i usiłuje uspokoić kogoś w dalszym szeregu. Biebow i jego ludzie podchodzą bliżej.

Nagle jakiś chłopiec w krótkich spodenkach i berecie rzuca się pędem przez murawę. Z tego miejsca, gdzie stoi Róża, widać wyraźnie, dokąd chłopiec chce dobiec. W słonecznej mgiełce po drugiej stronie Wielkiego Pola majaczą jak pokusa rozedrgane blaszane dachy szop w ogródkach za Bracką. Byle tylko tam zdążył.

Obok niej jakiś żołnierz wydaje dziki wrzask. Róża słyszy szczęknięcie, kiedy Niemiec zdejmuje i podrzuca swój automat. Widzi plecak podskakujący na ramionach chłopca, parę nóg pędzących jak szalone. Sekundę później pada strzał. Lecz to nie strzela żołnierz z automatem. Ponad niepewnie teraz rozhuśtaną lufą automatu Róża widzi także Biebowa celującego w plecy zbiega; nowy strzał z karabinu Biebowa — i tam w oddali chłopiec pada, niknąc w trawie.

Nagle wszystko dokoła niej jest gąszczem biegnących nóg i wykręcających się ciał. Trzyma mocno Staszka jedną ręką; krzyżącą Zosię drugą. W obawie przed stratowaniem nie waży się spojrzeć za siebie, tylko prosta i sztywna w karku i w ramionach idzie wprost przed siebie, tak jak wszyscy, pędzeni teraz całym tłumem. Z dzieci, których jej samej nie udało się przytrzymać, widzi tylko Libę i Nataniela. Nie widzi nigdzie bliźniaków. Potem ich nagle spostrzega: kilku policjantów z żydowskimi opaskami podsadza najpierw Abramka, a potem Leonka na przepelnioną już platformę. Twarzyczki dzieci toną we łzach. Udaje jej się oswobodzić jedną rękę, by dać im znać przynajmniej, że znajduje się w pobliżu. W tej samej chwili otrzymuje mocny cios w plecy. Jeden z niemieckich żołnierzy gna ją brutalnie, poszturchując kolbą karabinu, i wrzeszczy na nią spod swojego hełmu — *Vorwärts, vorwärts, nicht stehenbleiben!* — i zanim się spostrzega, jak do tego doszło, dwaj policjanci chwytają także ją za kibić i już stoi sama na skrzyni ciężarówki. Kiedy samochód nagle rusza, Róża pada bezwładnie, głową do przodu, w morze dzieci i twardych plecaków.

Jeszcze nigdy, w ciągu swoich trzydziestu lat pracy opiekunki do dzieci, nie znalazła się w takiej sytuacji jak ta. Jak się powinna zachować? Dla tego, co teraz się dzieje, nie ma żadnych

słów, żadnych instrukcji. Silniki ciężarówek huczą i dudnią wokół trzęsącej się platformy, na której siedzi. Ulice, które pamięta jako pełne ludzi, przesuwiają się jedna za drugą nierealnie puste. Konwój mija od czasu do czasu jakiś niemiecki posterunek; żandarmów stojących nieruchomo w swoich strażniczych budkach albo palących papierosy w grupkach przy szlabanie.

Potem platforma mocno szarpie i ciężarówka znów stoi bez ruchu. Czyjeś ręce otwierają zaczepy na rogach burt skrzyni i nad krawędzią platformy pojawiają się twarze żołnierzy krzyczących, żeby schodzić. Po drugiej stronie zwirowego placu, gdzie przystanąły także inne ciężarówki, widać kamienne schody do wejścia szpitala na Drewnowskiej.

Szpital leży dokładnie na granicy getta — lecz tam, gdzie kiedyś przebiegała granica drutu kolczastego, teraz została tylko wieża wartownicza. Wszystkie zapory i zasieki usunięto i niemieckie pojazdy wojskowe mają swobodny dostęp na teren wcześniej zamknięty. Szpital też nie jest już więcej szpitalem. Przypomina raczej jakiś magazyn czy koszary. Żołnierze zapędzają ich do jakiejś ciasnej, pustej klatki schodowej, gdzie na podłodze leży tłuczone szkło; na schodach wiodących na piętro walają się brudne ubrania i resztki pościeli. Prowadzą stąd ciemne tunele korytarzy. Nie ma prądu. Po chwili błędzenia w mroku po omacku wpędzają ich do przestronnego pomieszczenia, które musiało być salą szpitalną. Lecz w pomieszczeniu nie ma żadnych łóżek, tylko brudna podłoga pod oknem, przez które sączy się resztką słonecznego światła, gęsta, nasycona.

Róża robi, co może, żeby dopilnować dzieci oddane jej w opiekę.

Staszek tu jest; Liba i bliźniaki także. Wychodzi na korytarz i woła za Zosią i Natanielem, którzy zawieruszyli się w jakiejś innej salce.

Niebawem słońce znika z okna i ten sam czarny jak smoła mrok, który wypełniał przedtem korytarze, teraz wypełnia także z wolna rozbrzmiewające echem sale.

Robi się zimno. Najmłodsze dzieci są zeszywniałe; mają zbielełe z pragnienia usta. Lecz nikt im nie przynosi chleba ani wody. Róża ma w torbie pół bochenka suchego chleba; wyjmuje go i dzieli tak, żeby każdy dostał po kawałeczku. Potem siedzą w milczeniu w narastającym zmierzchu. Na zewnątrz słychać warkot nadjeżdżających znowu przeładowanych wojskowych ciężarówek. Ten dźwięk nasila się, aż tworzy ścianę huku; potem stopnio się przycisza. Słysząc, jak paru niemieckich oficerów wykrzykuje swoje przeraźliwe komendy w opustoszałych korytarzach, które następnie zasklepiają się wokół tego dźwięku jak wokół czegoś obscenicznego. Róża słyszy kroki wlokące się wewnątrz własnego echa; głosy krzyczących i płaczących dzieci, gdzieś całkiem blisko, ale niewidzialnych.

Ale są tu nie tylko dzieci; są także dorośli. Z miejsca do spania, które sobie zajęła, tuż pod oknem, widzi przez moment, jak jej się zdaje, bliskiego powiernika Rumkowskiego, rabiego Fajnera, z jego wielką białą brodą. Obok stoi inny rabin zatopiony w modlitwie, twarz wyżłobiona, biała, bez zarostu, jak ptasi szkielet pod zwisającymi frędzlami tałesu. I wszędzie dookoła Róża słyszy, jak na salę wchodzi inni dorośli wlokący swoje ciężkie ciała, a potem cichną jak nożem uciał (albo napominają dzieci, aby zachowały ciszę) — trochę tak, jakby wkraczali do sanktuarium.

I nagle resztką światła gaśnie. I zimno: od nagiej kamiennej posadzki ciągnie chłód jak mocno naprężona struna na wskroś ciała.

Ale przez całą noc, do późnych godzin rannych, słychać huk ciężarówek, które przystają i znowu gdzieś jadą, ani na moment nie wyłączając silników; i wkrótce sala jest tak zatłoczona,

że Róża mieści się pod oknem, tylko siedząc z podwiniętymi pod siebie nogami. Z Zosią na kolanach i główką Liby w objęciach, udaje jej się mimo wszystko skraść krótką chwilę snu.

*

W zgiełku i tłoku, jakie panowały wczoraj na przyczepach i skrzyniach ładunkowych ciężarówek, pani Goldberg jakby zapadła się pod ziemię. Ale teraz, rano, pojawia się znowu. Ubrana w ten sam kostium co przedtem i umalowana tą samą jaskrawą szminką, stoi w szpitalnej sali w bladym świetle poranka i daje znak Róży, żeby wstała i wyszła wraz z dziećmi.

Róża trzyma Staszka i Libę jedną ręką, Zosię i Natana drugą. Idą korytarzami wypełnionymi teraz cichym, nagim, rozdygotanym jakby światłem. W drzwiach do sal siedzą dzieci i czekają, z nogami po turecku lub przyciśniętymi do piersi i brody. Inne kołyszą się powoli z boku na bok, z główkami wciśniętymi między podciągnięte kolana.

W rozproszonym rtęciowym świetle na dziedzińcu stoją już ciężarówki i czekają. Dziś jest więcej pojazdów; jakieś dziesięć, piętnaście. Od szerokich kamiennych schodów przy wejściu szpitala, i dalej prosto, żołnierze tworzą jakby długi mur z pistoletów maszynowych.

To właśnie wtedy, kiedy idzie z dziećmi wzdłuż tego muru żołnierzy, Róża spostrzega Rumkowskiego. Swoją dorożkę kazał zatrzymać tuż przy schodach, więc wszystkie dzieci muszą najpierw przedelfilować przed nim, zanim zostaną podsadzone na którąś z czekających platform. I im bardziej Róża do niego się zbliża, tym bardziej uprzytomnia sobie jego skrupulatny badawczy wzrok, którym szacuje każde z nich. Chude, chrome, ułomne: te Prezes omija spojrzeniem. On szuka tego jedyne go d o s k o n a ł e g o dziecka, tego, które by mogło zadośćuczynić mu za te tysiące, które musiał złożyć w ofierze. I Róża widzi teraz, jak na jego twarzy wykwita ten uśmiech, który tak często widywała, chociaż nigdy nie mogła go rozszyfrować.

Uśmiecha się, ale to nie jest żaden uśmiech.

Ktoś z tyłu wrywa jej z ręki dłoń Staszka i Róża nagle nie wie, gdzie ma iść. Za Staszkiem, którego rozpaczliwy krzyk przeszywa ją jak prąd, czy za innymi dziećmi, które stoją kawałek dalej, przed nią, i wołają do niej. Niektóre z nich są już wsadzone na platformy; a żeby dostać się z powrotem do Rumkowskiego, jest już za późno.

Widzi, jak stary wychyla się do przodu i daje znać woźnicy, żeby pomógł Staszкови wsiąść do dorożki. „To jestem ja — słyszy, jak stary zwraca się do dziecka, parodiując jakby ten głos, którego słuchała przez te wszystkie lata — pan Śmierć”. Woźnica zdążył już zawrócić konia i cały ekwipaż rusza powoli w drogę, jak najdalej od załadowanych po brzegi niemieckich ciężarówek, które w tym samym czasie wyjeżdżają, mijając odsunięte zapory z drutu kolczastego: z powrotem do bezpiecznego getta.

II

Dziecko

(wrzesień 1942 – styczeń 1944)

Bądź wola Twoja, Ty, który słuchasz teraz, jak my, biedni, zwracamy się do Ciebie, Ty, który słuchasz wszystkich skarg i westchnień, jakie wydają nasze serca każdego ranka, każdego wieczora, w każde południe. Dłużej już nie wytrzymamy. Nie mamy nikogo, kto by nas prowadził, nikogo, kto by nas wsparł, ani nikogo, kto by nas wysłuchał, nikogo oprócz Ciebie, Panie, który co dnia spuszczasz na nasze głowy ciężki deszcz zemsty, głodu, pomoru, miecza, lęku i przerażenia. Rankiem mówimy „oby już był wieczór”. A wieczorem mówimy „oby już był ranek”. Nikt już nie wie, kto z Twojej trzody przeżyje, a kto padnie ofiarą zbójców i rabusi. Prosimy Cię, Ojcze nasz w niebie, abys przywrócił ludowi Izraela jego kraj, jego synów objęciom matek i ojców ich synom. Obdarz świat pokojem i oddal zły wiatr, który wieje nad nami. Zdejmij kajdany z naszych nóg i wyzwól nas z naszych brudnych łańcuchów. Pozwól tym, którzy zostali porwani, zesłani albo uwięzieni, aby wrócili do swych domów. Chroń ich, gdziekolwiek są, od zła wszelkiego, wszelkiej szkody, wszelkiej choroby, wszelkiej zemsty, i uśmierz wreszcie nasz ból, wyprowadź nas z mroku do światła, abyśmy mogli z całego serca służyć Ci i z radością święcić Twój święty szabas i Twoje święta. Oświeć nas i prowadź nas Twoją ręką i niechaj znaki Twoje będą widzialne, byśmy wyraźnie mogli widzieć, jak Pan wyprowadza swój lud z niewoli. Tego dnia Jakub będzie się weselić, cały Izrael będzie się radować, i nikt, kto szuka u Ciebie pociechy, nie zazna więcej hańby i poniżenia. Oby Pan bez wahania i bez zwłoki zadośćuczynił sprawiedliwym ich cierpienia, teraz powiedzmy wszyscy: Amen...

Z modlitwy napisanej po hebrajsku na jednej ze ścian w bożnicy
na ul. Podrzecznej 8 (przed Rosz ha-Szana i Jom Kipur 1941).

Z Kroniki Getta

Getto Litzmannstadt, sobota 1 stycznia 1944

Dziś o godz. 10 przed południem, w dawnym prewentorium na Hanseatenstrasse 55, Prezes wydał uroczyste przyjęcie z okazji bar micwy swojego przybranego syna, Stanisława Steina. Na uroczystość zaproszono około trzydziestu osób związanych blisko z Prezesem. Chłopiec czytał haftarę w wersji sefardyjskiej. W ciągu roku, jaki upłynął od adopcji, Prezes zapewnił chłopcu tradycyjne żydowskie wychowanie.

Przemówienie przy skromnym stole wygłosił Mosze Karo.

Z kobiet obecne były pani Regina Rumkowska, pani Helena Rumkowska, pani [Aron] Jakubowicz i panna [Dora] Fuchs.

Prezes, jak zawsze czarujący, potrafił mimo skromnego poczęstunku stworzyć wśród gości familijną, intymną atmosferę.

Oto fotografia:

Na środku zdjęcia stoi dwunasto- czy trzynastoletni chłopiec w jarmułce na głowie i ze świeczką w ręce. Ma na sobie nowy garnitur, najwyraźniej prosto spod igły, który wydaje się co najmniej o numer lub parę numerów za duży, za luźny w ramionach, z długimi rękawami opadającymi na jego obie dłonie. Po prawej stronie chłopca stoi starszy człowiek z gęstą, siwą, zaczesaną do góry czupryną i poorly zmarszczkami twarzą w okularach w okrągłych „amerykańskich” oprawkach. Te okulary musiał niechętnie strącić, albo tylko zjechały mu na czubek nosa na skutek niezręcznego ruchu, jaki wykonuje, próbując podnieść rękę nad głowę syna w geście błogosławieństwa. Na lewo od chłopca stoi młoda kobieta, niewysoka, lecz prosta jak struna, ramiona ściągnięte do tyłu, jakby chciała urosnąć na zdjęciu o jakichś parę centymetów. Mimo uśmiechu, jakim próbuje olśnić fotografa, twarz jest wychudła i sterana, skóra pomiędzy nasadą nosa a wystającą kością policzkową pokryta jakimś osadem albo opuchlizną, jeśli to nie jest tylko efekt cienia powstały wskutek intensywnego oświetlenia, które zalewa całą scenę w momencie wykonania zdjęcia.

Tylko chłopiec wygląda jakby nigdy nic. Obojętny na niezdarne gesty ojca i na sztywne upozowanie matki, na wszystko, co się wydarzyło i co jeszcze się z nim zdarzy, patrzy tylko ciekawie prosto w obiektyw. Jakby jedyne, co go w tej chwili interesuje, to j a k t o w ł a ś c i w i e s i ę d z i e j e — jak zdarzenia i rzeczy, których w przeciwnym razie prawie by nie było, stają się nagle rzeczywiste, zatrzymane na wieczny czas.

Jest także inna fotografia. Kopia zdjęcia rentgenowskiego, które Prezes kazał wykonać, aby upewnić się, że dziecko, które zamierza adoptować, jest „zupełnie zdrowe”.

„To jest jedyne twoje prawdziwe zdjęcie, jakie w życiu zobaczysz” — powiedział chłopcu profesor Weisskopf w chwili, gdy zgasło światło u sufitu.

W gabinecie lekarskim zapadły egipskie ciemności, a osobliwy pudłowaty przedmiot, który przymocowali mu do piersi, tak jakby tylko na to czekał: zaczął powoli przesuwając się do góry, pod brodę, a potem znów w dół. Towarzyszyło temu słabe chrobotanie.

Potem zapadła cisza, a w chwilę później zza zasłony znowu wynurzył się profesor Weisskopf. Trzymał w ręku płytę fotograficzną, koniecznie chciał mu ją pokazać.

Chłopiec nie widział jeszcze czegoś podobnego. Z dużego błyszczącego mroku wylaniały się jasne, wygięte ku górze półki w rytmicznym układzie. To było jak jakaś świątynia z wysokimi kolumnami unoszącymi się wysoko na jasnych, zwiewnych obłokach pod ciemnym sklepieniem nieba. Czy wszyscy noszą w sobie taką świetlistą świątynię? Czy tylko w nim to tak wygląda, ponieważ on (jak często mawiał Prezes) należy do specjalnej kategorii?

To była kwestia, która go wówczas nurtowała.

Co różni człowieka od innych? Jak człowiek staje się w y b r a n i e m?

Oto czego on i inne dzieci w owym czasie uczyli się w szkołach:

Kiedy Wilhelm Röntgen jesienią 1895 przeprowadzał swoje pierwsze eksperymenty z tym, co nazywano promieniami katodowymi, odbywało się to w ten sposób, że lampę próżniową z aparatem wytwarzającym promienie umieszczał pod czarnym kartonem; potem dokładnie uszczelniał tę osłonę. Mimo że lampa była całkiem odizolowana, gdy tylko ją włączał, na stole parę metrów dalej pojawiała się silna migocząca poświata.

Chociaż odsuwał stolik coraz dalej, światło nie zniknęło. Nie zaczynało także stopniowo przygasać, jak gąsły światła pochodzące z innych źródeł.

Z tego eksperymentu wywnioskował, że nowe światło, które odkrył, potrafi też przenikać przez twarde przedmioty. Im mniejsza gęstość przedmiotu, tym łatwiej promienie mogły go przeniknąć. Przechodziły na przykład z łatwością przez tysiącstronicową książkę, talię kart, drewno i twardą gumę; nie przenikały jednak przez twardsze substancje jak ołów czy kość.

„Samej duszy nie widać — pisał Röntgen — ale kiedy się trzyma przed ekranem dłoni, na cieniu widać wyraźnie każdą kostkę palców z tkanką dokoła jako słabym konturem”. W charakterze dowodu przedstawił szereg płyt fotograficznych. Jedną z nich przedstawiała kości upierścienionej lewej dłoni jego żony.

W czerwcu 1945, pół roku po tym, jak Armia Czerwona wyzwoliła Litzmannstadt, w piwnicy dawnego prewentorium przeciwgruźliczego na Łagiewnickiej 55 znaleziono tysiące zdjęć klatek piersiowych tych dzieci, które podczas szpery we wrześniu 1942 zostały wywiezione i zamordowane przez nazistów.

Klische zdjęć rentgenowskich ułożone były w stosy, każdy stos po dwadzieścia centymetrów wysokości, skrupulatnie przewiązany sznurkiem. Na niektórych zdjęciach widać wyraźnie ciemne, wypełnione płynem partie, takie które u dziecka powodują kurczowo przygarbiony chód z wyraźnie wysuniętymi do przodu lub podniesionymi ramionami. Na innych zdjęciach wewnątrz szklących się białe kości można dostrzec ciemniejsze pola, pewne oznaki zaawansowanej gruźlicy. Ale wszystkie zdjęcia są anonimowe. Jeżeli były jakieś nazwiska, daty urodzin albo numery rejestru, które by mogły pomóc rozeznaczyć te zdjęcia, to dawno temu zaginęły.

Jedyne, co teraz nadaje im tożsamość — daje im jakieś ciało, jakieś nazwisko, jakąś twarz — to sam defekt.

Oprócz samego Mosze Karo to Fide Szajn miał za zadanie dbać o wykształcenie młodego panicza Rumkowskiego. Mówiono, że Prezes życzliwym okiem patrzy na chasydów w getcie, a o Fide Szajnie wiadomo było powszechnie, że głowę ma nie od parady. A w każdym razie w niczym nie zaszkodzi.

To właśnie Fide Szajn dźwigał przednią część noszy, kiedy reb Gutesfeld nosił po getcie tę porażoną kobietę, Marę. Staszewski, który jeszcze nie widział za wiele getta, Szajn opowiadał w nieskończoność, z detalami, jak to we troje uciekali z domu do domu. I w deszcz czy wiatr i niezależnie od pory dnia czy nocy zawsze musieli być gotowi iść dalej. Nocami znajdowali przystań w dawnym kinie Bajka, które obecnie było domem modlitw, albo w bożnicy na Jakuba, gdzie się kiedyś mieściła szkoła Talmud Tora i gdzie w największej tajemnicy przechowywano te nieliczne rodłały Tory i modlitewniki, które uratowano z synagog podpalonych przez nazistów. Mogli także znaleźć schronienie w piwnicznym magazynie pod fabryką butów na rogu Towiańskiego i Brzezińskiej, ponieważ tamtejszy *lajter* był głęboko wierzącym Żydem. Kilka dni i nocy spędzili w ruinach zapuszczonej czynszówki na Smugowej. Zgodnie z rozporządzeniem władz ten kwartał zabudowy miał być włączony do aryjskiej części Litzmannstadtu, mieszkańców już wyeksmitowano i komando rozbiórkowe zaczęło robotę. Ale dom ciągle stał, choć pozostały tylko belki nośne i części fasady, i bez przerwy siąpił na nich deszcz, tam, gdzie wpełzli pod jakiś szczyt łóżka i kupę starych wyściełanych mebli, które nie padły jeszcze łupem szabrowników drewna; kobieta leżała przed nimi pod brudnym kocem na podłodze, mamrocząc jakieś niepojęte hebrajskie zaklęcia.

Istniały wtedy jeszcze, nie wiedzieć jakim cudem, miejsca w getcie, gdzie mogli pozostawać niezauważeni. Później przyszła ta straszna wrześnieowa akcja i żydowska Służba Porządkowa wyrzuciła siłą reb Gutesfelda ze skromnej izby, którą wynajmował pospołu z żoną. Fide Szajn także musiał poszukać schronienia. Być może jego także by deportowano, gdyby Mosze Karo w ostatniej chwili nie wystarał się o *cehl* z jego nazwiskiem, dzięki któremu przeniesiono go w specjalne miejsce, do tak zwanego *optgesamt*, gdzie przebywało blisko tysiąc Żydów, których władze chciały oszczędzić. Lecz kiedy już tam trafił, i wielokrotnie później, nie było dnia, aby nie myślał o kobiecie, którą zostali zmuszeni pozostawić. Wspomnienie o niej wciąż było dla niego udręką. Być może, mówił młodemu paniczowi Rumkowskiemu, odleciała z powrotem przez druty, tą samą drogą, którą kiedyś tu przybyła, i może któregoś dnia wróci, gdy Żydzi znowu będą trąbić w szofar. To byłby ostateczny dowód, że Pan, chociaż tak wiele zdaje się świadczyć przeciw temu, nie odjął swojej ręki od ludu Izraela.

Fide Szajn był rogatą duszą. Prawda, że dał się ostrzyć i ogolić, ponieważ kripo zagroziło aresztowaniem wszystkich, którzy by mieli czelność chodzić w tradycyjnym stroju. Jednak upierał się, by nosić swój długi chałat i czarny kapelusz. Kapelusz wyglądał zabawnie na jego długiej, wymizerowanej i wygolonej głowie. Ciało też wyglądało zabawnie, jakby o parę numerów za duże na to ubranie, które nosił. Spodnie kończyły się na łydkach, a spod rękawów ciasnej marynarki wyzierały gołe wychudłe przedramiona.

Twarz miał kościstą i białą, a spojrzenie błędziło stale tu i tam, jakby nie mogło dostatecznie szybko dostać się tam, gdzie chce. W odróżnieniu od wszystkich innych spojrzeń zdawało się nie chcieć spoczywać na młodym paniczu Rumkowskim ani chwili dłużej, niż to konieczne. Własny egzemplarz Tory Fide Szajna miał z jednej strony tekst polski, a z drugiej hebrajski. Fide

zmuszał Staszka, aby zakrywał lewą stronę jedną ręką, a potem czytał i objaśniał to, co jest po prawej. Gdy Staszek mylił się przy jakimś, choćby najmniejszym hebrajskim słówku lub zapominał słowa dopiero co przeczytane, Fide Szajn trzepał go dłonią w kark.

Nie obchodziło go, że jego *talmid* to syn samego Rumkowskiego. Co było i co pozostało ważne, to te słowa.

Fide Szajn zjawiał się codziennie, oprócz szabasów, i swoje lekcje zaczynał zawsze od jedzenia. Niewykluczone jest, że większą częścią niż stare księgi, które uparcie z sobą nosił, Fide Szajn otaczał jedzenie, które stawiała przed nim gospoia Prezesa; jadł zawsze w absolutnej ciszy, jakby każdy okrucuch wymagał jego niepodzielnej uwagi.

Po zakończonym posiłku zaczynała się nauka.

Fide Szajn omówił dokładnie przebieg nabożeństwa, jak się odbywa czytanie Tory i jak najłatwiej nauczyć się wybranych fragmentów tekstu na pamięć, po to, by można było pozwolić świętemu tekstowi płynąć ze swoich ust samemu, dzięki jego własnej bożej mocy. Szczególnych starań dołożył Fide Szajn, aby nauczyć Staszka hebrajskiego. Dokładnie omówił każdą literę alfabetu i wyjaśnił, dlaczego właśnie tak wygląda, wyjaśnił także boskie pochodzenie każdego słowa. Jedno jedyne słowo mogło być tematem wykładu trwającego całe długie popołudnie. „Pomóż mi znaleźć wyjaśnienie — mówił na przykład Fide Szajn (często wyrażał się w ten sposób, jakby to on, a nie Staszek, potrzebował pomocy w rozwiązaniu jakiegoś problemu) — pomóż mi znaleźć wyjaśnienie, czemu słowa oznaczające bojaźń i wiarę mają ten sam rdzeń?” Kiedy Staszek nie umiał na to odpowiedzieć, Fide Szajn opowiedział mu przypowieść. Kiedy Jakub, zbudziwszy się z długiego snu, znajduje w Beer Szewie drabinę niebieską, tę która sięga ponad święte miejsce, zdejmuje go strach, gdyż to miejsce, gdzie się ułożył na spoczynek, nagle jest całkiem odmienione.

„Prawdziwie Pan jest na tym miejscu — o, jakże miejsce to przejmuje grozą...”

I nazwał to miejsce Bet El, miejscem Bożym.

Tak oto mówi Rabbi Israel za Rabbim Ben Zimra:

„Nauczyć się odczuwać bojaźń, znaczy poznać prawdziwe oblicze Boga. Bóg nas nappełnił bojaźnią po to, abyśmy nie dociekali jego istoty, jego imienia ani jego pochodzenia”.

Był to jeden z ulubionych tematów Fide Szajna. Istnieli fałszywi prorocy, którzy rozdzielali słowa *w i a r a i b o j a ż ń* i mienili się wysłannikami Pana, uważali bowiem, że tylko oni potrafią na powrót połączyć te słowa. Grzeszyli tym samym bluźnierstwem, bo tylko Bóg może zasypać szczelinę biegnącą między słowami a ludźmi.

Fide Szajn opowiedział potem historię o Sabbataju Cwi ze Smyrny, który w XVII wieku kazał ogłosić się Mesjaszem. Po tym jak wypędzono go ze Smyrny, z Salonik i Jerozolimy, udał się do Konstantynopola, aby zdetronizować sułtana. Sułtan mu dał do wyboru: albo nawróci się na islam, albo zostanie stracony. Sabbataj Cwi wybrał to pierwsze i swoim odstępstwem od wiary objawił się jako fałszywy *szofet*. W jego kazaniach to słowo ciągle było rozszczepione, więc kiedy mówił o wierze, mówił właściwie tylko o swej bojaźni. Tacy ludzie aż nazbyt chętnie wysługują się sułtanom.

Fide Szajn nie musiał mówić tego głośno, lecz było całkiem oczywiste, że uważa Chaima Rumkowskiego za samozwańczego mesjasza właśnie tego typu.

Za człowieka, który nauczył się przedkładać swoją bojaźń ponad swoją wiarę.

Grojse szpere, jak nazywano teraz wrześnieową akcję, zmusiła Prezesa do wyprowadzki ze szpitala. W zamian za tamto kazał urządzić swoje prywatne mieszkanie w zwykłym domu czynszowym. Poza dwoma małymi, przyległymi do siebie pokojami, w skład nowego mieszkania na Łagiewnickiej 61 wchodziło wąskie pomieszczenie tworzące niejako korytarz między oboma pokojami a kuchnią. W dłuższej ścianie tego pomieszczenia było wysokie okno wychodzące na zamknięty dziedziniec, zagracony wszelkimi możliwymi rupieciami, siedlisko wszystkich chyba gettowych gołębi.

Choć o pokojach Prezesa nie zwykło się mówić pokoje: mówiło się „miejski apartament”.

Do apartamentu należał także lamus położony po drugiej stronie klatki schodowej. Prezes miał do niego osobny klucz i nazywał go swoim biurem, chociaż nieczęsto tam bywał. Większość swoich godzin i dni Prezes spędzał, tak samo jak dawniej, w gabinecie Sekretariatu przy Bałuckim Rynku albo w rezydencji na Marysinie.

Dwa pokoje. W jednym z nich sypiał Prezes i tu powinna była sypiać też pani Regina. Ale pani Regina rzadko tam sypiała. Odkąd zaginął jej ukochany brat, przebywała albo w swoim „własnym” mieszkaniu na Zgierskiej, gdzie nikt poza nią nie miał wstępu, albo siedziała blada i niemrawa przy biurku pod oknem w tamtym drugim pokoju, tym, o którym wszyscy mówili, że to pokój pani Reginy, chociaż ona nie chciała tam przenieść żadnych swoich rzeczy, ani nawet położyć się w łóżku, które Prezes w końcu niechętnie zgodził się tam wstawić. Drzwi do tego pokoju najczęściej były zamknięte na klucz. Kiedy pani Regina czasem wychodziła, wyglądało to, jakby wkraczała na scenę. Z szerokim uśmiechem, w roztargnieniu dotykała przedmiotów. Gdy ktoś do niej przemówił — najczęściej gosposia, pani Koszmar — patrzyła na daną osobę z miną jak najmniej udręczoną albo się tylko trochę sztucznie śmiała.

Ale był wreszcie także tamten trzeci pokój, położony gdzieś między pokojami Prezesa i Reginy. Chociaż Staszek nigdy do końca nie był pewien, czy ten pokój naprawdę jest pokojem, czy jakby tylko staje się nim, gdy Prezes sobie tego życzy.

Czasami Prezes zabierał go tu ze sobą. Staszek zrozumiał wtedy, że to, co z zewnątrz wygląda na ciasny korytarz, w istocie jest całkiem dużym pomieszczeniem.

Duże i ciasne jednocześnie: zastawione mnóstwem starych, popsutych mebli, nie używanych nigdy do niczego. No i to okno, którym wpadało coś, co mogłoby być światłem, gdyby nie to, że szyba była tak zalepiona brudem i gliną. Nie było też tu w środku prawdziwego powietrza. Staszek próbował oddychać, ale każdy wdech to było tak, jakby ktoś wpychał mu do gardła grubą, cuchnącą skarpetę. Zamykał oczy i jedyne, co zostawało, poza smrodem, to gruchanie i delikatny chrzęst skrzydeł gołębi, które spadały i wzbijały się do lotu na oszklonym dziedzińcu; i jeszcze ten agresywny i przymilny ojcowski głos, który nachylał się, mówiąc do niego, z tym samym złym oddechem, jaki miały meble: dziwną mieszanką gołębiego łajna, butwiejącego drewna, starego dymu z papierosów i tej specjalnej pasty, którą pani Koszmar polerowała regularnie drzwiczki szafek i poręcze krzesel:

— To jest miejsce tylko dla ciebie i dla mnie, Staszku; to święte miejsce: więc gdzież jak nie tu możemy poczuć się swobodnie!

Wszyscy mówili, że jest teraz jednym z Rumkowskich. Księżna Helena tak mówiła i pan Tausendgeld; i panna Fuchs; i dozorca, i Fide Szajn, który punktualnie, dzień w dzień meldował się ze wzrokiem błyszczącym od głodu. Tak samo jak człowiek, którego wszyscy nazywali jego dobroczyńcą, pan Mosze Karo.

Lecz nic nie mogło sprawić, by on sam myślał o sobie jako o Rumkowskim. Sam dla siebie zawsze nazywał się tak samo — Stanisław Stein — mimo że już zbyt dobrze nie pamiętał, jak wyglądała jego prawdziwa matka. Jedynie to, że zaplatała włosy w dwa długie warkocze, a te warkocze były tak mocno skręcone, że z góry widać było białą skórę u nasady włosów. Zobaczył to, gdy mu kazała stać obok siebie prosto i bez ruchu, podczas gdy przyszywała mu na piersi kurtki żółtą Gwiazdę Dawida. Potem musiał stanąć zwrócony do niej plecami, gdy przyszywała taką samą gwiazdę z tyłu. Pamiętał, jak pachniały jej włosy. Świeżo i miękko, z ciepłym, korzennym aromatem, właściwym tylko dla niej. Nikt inny nie pachniał tak jak ona.

W rodzinie było ich siedmioro dzieci i wszystkie musiały mieć gwiazdy.

W Zielonym Domu ciągle go pytali, co sobie przypomina z czasów, nim przybył do getta, lecz nie potrafił odpowiedzieć. Tak jakby sam wysiłek przypomnienia zmazywał wszystko to, co przecież jeszcze było tam do pamiętania.

Niemców. T y c h przecież pamiętał. I wstyd; to jak biegał jak łaszący się psiak wzdłuż pierwszych pojazdów w kolumnie, śmiał się z cudnych pobłysków na stali pancernych pojazdów i na hełmach żołnierzy; i jak Krzysztof Kohlman, który był kantorem w synagodze, chwycił go za kark, trzepnął go w tyłek i wysłał do domu.

Później niemieccy żołnierze wciągnęli kantora wysoko na wielki kasztan przed kościołem, ten, którego kora tak poniszczyła się i pozdzierała z biegiem lat, że został tylko nagi biały pień, i najpierw myślał, że to kara za to, że pan Kohlman tak go brutalnie potraktował. Gdy pani Kohlman wyszła i prosiła, i błagała, żeby jej męża zdjęli z drzewa, weszli do jego sklepu i wrócili z młotkiem i gwoździami. Przystawili do drzewa drabinę; jeden z żołnierzy wspiął się po niej, przywiązał ręce pana Kohlmana do pnia i rozgiął jego palce tak, żeby dłonie dało się przebić gwoździem. Potem go zostawili, by tak wisiał.

Cały czas słyszał wołanie swojej matki, czasami głośnie, a czasami ochryplym szeptem:

„Moje dzieci są chrześcijanami, moje dzieci są chrześcijanami, moje dzieci są chrześcijanami”.

Dlaczego tak mówiła? Wszystkich Żydów z miasteczka spędzono wtedy na duży trawnik przed kościołem, ale drzwi kościoła były zaryglowane, tak samo bramka w murze cmentarza; a na dworze siąpił zimny deszcz zamieniający wszystko, co wcześniej było twardym gruntem, w grząskie błoto. Wszędzie chodzili żołnierze. Mieli na sobie szerokie czarne płaszcze mundurowe i można było widzieć deszcz jako małe błyszczące kropelki na połach płaszczy i na hełmach, i na karabinach przewieszonych przez ramię. Co jakiś czas któryś z nich robił szybki krok do przodu i wywlekał z tłumu jednego lub dwóch mężczyzn, i zaczęli tłuc ich kolbami karabinów, pałkami albo gołymi rękami.

Już leżących na ziemi dalej bili.

A gdy pobici nie mogli się już ruszać, żołnierze odciągali ich za załom cmentarnego muru, skąd dobiegały odgłosy wystrzałów, godzina za godziną.

Dopiero koło północy tłum kobiet dostał rozkaz wymarszu.

Lśniące stalowe hełmy i skórzane płaszcze krzyczące *schnell* i *raus*, i lamentujący chór kobiet znowu zaczął zawodzić, i on potykał się między ciałami, które tak teraz rozpływały się w wilgoci, że jedyne, co widział, to grube, ciężkie stopy w pończochach człapiące ciągle w błocie i stąpające zawsze źle, w którą bądź stronę szły; i kobiety mówiące w podnieceniu, wszystkie naraz, o dzieciach, które miano kazać im zostawić. I o jedzeniu. I o tym, jak sobie poradzą, gdy nie będzie nic do jedzenia. Bardzo się bał, a ponieważ strach panował wszędzie, wszystko, co widział i czego dotykał, także stawało się strachem. Czekał na nich autobusy zmieniły się w nerwowe, złe zwierzęta, drżące od powstrzymanego gniewu pod szczękającą pokrywą komory silnika. Próbował patrzeć wprost przed siebie, żeby nie mieć mdłości, tak jak kazała matka, ale przed nim i w nim było zupełnie czarno. Posikał się. Siedzieli w autobusie, innym, czy może to ten sam, a autobus trząsał się tak mocno w otulinie pomruku silnika, że ciało chłopca masowały jakby niewidzialne ręce. I wtedy nie mógł się powstrzymać. I mokra zasikana odzież przymarzła mu do siedzenia. Szczękał zębami, choć matka mocno go do siebie przytulała. I pamiętał, że jego matka powiedziała, że „bardzo przydałby się jakiś koc, żeby go rozgrzać...”

Ale gdzieś między tym gorącym życzeniem otrzymania koca i tyleż nagłym co niespodziewanym zjawieniem się koca (szybkie, nerwowe ręce, które go nim owijały, grubo, warstwa za warstwą) matka zwyczajnie zniknęła.

Nigdy jej więcej nie zobaczył.

*

Pośród tych, którzy otulali kocem jego zziębnięte ciało tego ranka, gdy autobusy dojechały, były Malwina Kempel i siostra Róża Smoleńska z Zielonego Domu. Choć wtedy o tym nie wiedział. I tak naprawdę miało jeszcze upłynąć kilka miesięcy, zanim zrozumie, że już nie jest w Aleksandrowie tylko w Litzmannstadt Getto. (Skrobał zaokrąglonym miękko charakterem pisma, którego panna Smoleńska uczyła wszystkie dzieci:

Litz-mann-stadt Get-to)

Na początku zebrano deportowane kobiety w budynku, który nazywano kino Marysin, choć to nie było żadne kino, a raczej duży magazyn, po którym hulały przeciągi; drewniane ściany pachniały ziemią i starymi kartoflami. Siedział tutaj z tabliczką z numerem transportu, którą mu powiesili na szyi, i z kocem, w który go zawinęli, i jedyne, co miał do jedzenia, to parę kawałków suchego chleba i zupa przywożona tu codziennie w wielkich, brzęczących kotłach, kwaśna i wtrętna jak stare pomyje. A po tygodniu zjawił się jego *d o b r o c z y n i c a* Mosze Karo wraz z kobietą w świeżo wyprasowanym niebieskim stroju opiekunki dziecięcej i odczytali całą listę nazwisk, a te dzieci, których nazwiska wyczytano, miały wstać i iść z nimi.

A więc znajdował się już w getcie, kiedy Róża przyszła, żeby go zabrać?

Get-to Litz-mann-stadt.

Panna Smoleńska kiwnęła głową.

— Ale co to takiego, to getto?

Panna Smoleńska nie umiała na to odpowiedzieć. Getto to było to *n a z e w n ą t r z*. On sam był teraz w *ś r o d k u*. „Uratowany”, jak się wyraziła.

Czy w getcie też są stalowe hełmy?

Wcześniej jej opowiedział, jak to wszyscy Żydzi musieli iść i stanąć w tłumie na placu przed kościołem, o deszczu, który sprawiał, że nie dało się zobaczyć, ilu ich tam jest; i jak stalowe hełmy chodziły potem i biły tych wszystkich, których najpierw spędziły, żeby potem znów ich

porozdzielać. Powiedział jej, że boi się tych hełmów; a gdy to powiedział, panna Smoleńska wyglądała tak jak zwykle, kiedy pytania dzieci były nazbyt trafne lub kiedy nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Jej wzrok stał się pusty, a małe, mocne dłonie nagle znalazły sobie mnóstwo do roboty.

Niemcy tu są, ale przeważnie zostają na zewnątrz. Jeżeli nikt nie zrobi nic złego, to więcej nie przyjdą.

— Już n i g d y nie przyjdą?

— Jak wojna niedługo się skończy, to więcej nie przyjdą.

— To kiedy ta wojna się skończy?

Ale na to pytanie nawet Róża nie знаła odpowiedzi.

Istniało jednak pewne „na zewnątrz” i wyglądało tak, jak pan Prezes postanowił, żeby wyglądało. Wódz Armii wstawał w swoim królewskim rydwanie i wskazywał, a to, co wskazał, s t a w a ł o s i ę. To, co w ten sposób wyrastało przed nimi dwoma, w trakcie królewskiego inauguracyjnego przejazdu przez getto, to szpital zamieniony na szwalnię mundurów; szpital dziecięcy przerobiony na lokal wystawowy; obecnie zamknięty (i pilnie strzeżony) skład węgla drzewnego; jakiś targ warzywny; no i resorty, oczywiście, mnóstwo różnych resortów. — T u t a j! — powiedział Wódz Armii i wskazał, a przed nimi stał się wielki rynek, ze szlabanami i bramkami i budkami strażniczymi i policjantami w wyglancowanych oficerkach i czapkach i żółto-białych opaskach z Gwiazdami Dawida. — Tutaj — powiedział Prezes — pracuje codziennie trzysta tysięcy ludzi, i to tylko zajmując się moimi — i getta — interesami!

Staszek pragnąłby, aby Prezes zapytał go o jego braci, jego matkę, ba, choćby o Różę Smoleńską i dyrektora Rubina z Zielonego Domu; chciałby rozmawiać o kimkolwiek lub czymkolwiek, byle nie właśnie o tym, co Prezes wskazywał, wywołując z niebytu.

— A co się dzieje z tymi wszystkimi w getcie, co mają umrzeć? — spytał w końcu, w zasadzie żeby tylko coś powiedzieć. Lecz Prezes na to nic nie odrzekł. Swoją laską wydobył z długiego szeregu rozwalających się budynków kolejną baterię fabryk i powiedział: — Któregoś dnia to wszystko będzie twoje.

Staszek zdobył się w końcu na odwagę.

— Czy to ty decydujesz, kto ma umrzeć? Panna Smoleńska mówi, że to władze decydują, kto ma umrzeć!

Ale Prezes uparcie nie odpowiadał. Zapadł się tak głęboko w siedzenie dorożki, że kolanami sięgał brody. Wzdłuż ulicy, którą przejeżdżali, potworzyły się grupy ludzi, na przemian policjantów i zwyczajnych robotników. Niektórzy uśmiechali się i machali rękami; inni usiłowali wdrapać się na dorożkę, jeszcze inni, zupełnie bez sensu, biegli obok, żeby go prześcignąć. Nie wyglądało na to, by Prezesa irytowały względy tłumu, przeciwnie, wydawało się, że go rozweselają. Nachylił się ku woźnicy i krzyknął: „Szybciej, szybciej”; a potem zawołał do Staszka:

— Chcesz potrzymać lejce?

Ale te lejce, które Prezes mu zaoferował, nie były prawdziwe; to był tylko pretekst, by go posadzić sobie na kolana; i siedział tam teraz na twardych i niewygodnych kolanach Prezesa i szarpał, i ciągnął, i mówił „wišta” i „hetta”, i co tam pamiętał, żeby tylko czymś zmylić uwagę królewskiego Wodza, aż pan Prezes przycisnął do niego swoje wielkie ciało i wydyszał mu, ciężko jak parowóz, prosto w kark:

— *Du bist majn zun, majn balibter zun...*

[Jesteś moim synem, ukochanym synem...]

*

Kończyło się zawsze tak, że szli do tamtego pokoju z brudnym światłem i gołębiami, gdzie powietrze było tak gęste, że drapało w gardle jak wełniana skarpeta; ale nie wcześniej, aż gdy wszyscy inni w mieszkaniu już poszli spać.

Prezes już przedtem kazał pani Koszmar wszystko przygotować. Na półmiskach leżały plastry sera i tłustej szynki, zwinięte tak, aby można je było napełnić ćwiartkami rzodkiewek i pęczkami pietruszki i kopru. Między parą lśniących plasterków cytryny leżały cienkie płatki marynowanej polędwicy, które Prezes nabijał na nóż i podawał potem Synowi, by zobaczyć, jak ten je chwyta

rybim ruchem warg. Prezes lubił patrzeć, jak Staszek je, a kiedy Staszek jadł, sam Prezes jakby nie mógł się powstrzymać i wpychał własne palce do słoika ze słodkim, czarnym śliwkowym powidłem i kazał mu zlizywać je ze swoich palców i ssać je jak koza („*cig*” — mówił Prezes i sam siorbał i mlaskał językiem jak koza — „*cig, cig, cigele...!*”); a gęsty smak dojrzałych śliwek był tak nieodparty, że prawie go mdlił, z tymi obcymi palcami Prezesa, które wciskały się głęboko, coraz głębiej, tak głęboko, że niemal się dławił i musiał chwycić mocno Prezesa za rękę, żeby przestał. Na co pan Prezes chyba całkiem nie zwracał uwagi. Uśmiechał się tylko, uśmiechem pełnym satysfakcji i niesmaku, jak chirurg, który właśnie zaczął trudną i uciążliwą operację.

Lecz zdarzało się także, że Prezes znów wchodził, zaraz po tym, jak obaj właśnie byli w Pokoju, i był wtedy zmieniony nie do poznania. Wyrывał mu wtedy sprzed nosa wszystkie półmiski i talerze i krzyczał, że Staszek jest ZAKAŁĄ DLA CAŁEGO DOMU i że musi nauczyć się zasad higieny i nie świnić tak dookoła, i często kończyło się na tym, że wołał Reginę albo panią Koszmar, żeby przyszła i posprzątała, żeby tu znowu wyglądało PRYZWOICIE.

Najgorsze było, że się nigdy nie wiedziało, kim Prezes będzie z momentu na moment. Albo raczej: w jakiej postaci się objawi.

Co Staszka zastanawiało, to nie to, jak różne części ciała Prezesa mogły się złożyć w jedną i tę samą postać, tylko to, co w tym czasie działo się z resztą tych części. Gdzie się podziewał na przykład *w e s o ł y i r o z b a w i o n y P r e z e s*, ten który klepał się po udach i śmiał się głośno i piskliwie jak mechaniczna zabawka? I co się w tym czasie działo z *z a f r a s o w a n y m*

P r e z e s e m, tym który mówił do Staszka jak do dorosłego o wojnie i o interesach getta? Lub z *p r z e b i e g ł y m P r e z e s e m*, tym o zimnych, patrzących z ukosa, wyrachowanych oczach drapieżnika? I gdzie się podziewały jego dłonie? Te dłonie, które były najaktywniejszymi elementami ciała Prezesa i które kierowały się wyłącznie własną wolą, chociaż Staszek prostował i usztywniał plecy i wciągał głowę w ramiona, aby uniknąć swego losu. Jednak te dłonie zawsze w jakiś sposób umiały dostać się do środka. Prezes uśmiechał się czarnymi zębami, spojrzenie było puste, i Staszek nie miał odwagi nic zrobić, z obawy żeby *P r e z e s g n i e w n y* nie porwał go z kanapy i nie zaczął bić ręką po głowie i ramionach tak, że aż ciemniało przed oczami i Staszek wymiotował, żeby potem siedzieć jak zwierzę unurzany w swoich wymiocinach, szarych i bezbarwnych jak gołębie łajno piętrzące się za oknem od strony dziedzińca.

„Ty mały wstręciuchu” — mówił Prezes i uśmiechał się najcieplejszym ze swoich uśmiechów.

W końcu Staszek wymyślił inną strategię. Postarał się schwycić rękę, jeszcze *z a n i m* zaczęła bić: złapał ją i przytrzymał tak, jak się trzyma na kolanach skaczącą żabę. Potem ją zbliżył czule do swej twarzy i gładził szorstkimi kłykciami swoją szyję, policzki i brodę. Prezes wydawał się z początku rozbrojony tym wybuchem psiego oddania i jeśli w dłoni czekał gotowy do zadania cios, to teraz zamarł.

Podobnie Prezes, który siedział tam z zapłakaną głową syna trzymaną w obu swoich dłoniach, jakby z przedmiotem, z którym nagle nie wie, co ma począć.

To też była metoda.

Drzwi do moich pokojów zawsze stoją otworem, mawiał Prezes.

Ja żyję życiem społeczności. W głębi duszy nie jestem nikim innym jak zwyczajnym, prostym Żydem.

Nie mam nic do ukrycia.

W pokojach Prezesa stały pełne przysmaków talerze poustawiane obok siebie i na sobie, z półmiskami w paru kondygnacjach, pięknie wykrojone trójkątne kanapki z wędliną i chrzanem w śmietanie w tak dużych porcjach, że oczy łzawiły; i ciasta, p r a w d z i w e ciasta upieczone z p r a w d z i w e j mąki, cukru i jajek. Na skraju każdego stołu stały butelki wina, jak na bacność, z lejkami i pięknymi białymi chustami zawiązanymi wokół szyjek.

Wokół stołów kręcili się zawsze ci sami ludzie. Kierownicy zarządów i resortów, dyrektorzy wszystkich sekretariatów i kancelarii Prezesa; panna Fuchs i pan Cygielman, i panna Renia Wołk. Były też czapki mundurowe z różnymi otokami. Widział w tłumie czapki Rozenblata i innych policjantów — z czerwonym otokiem, komisarz Kaufmann, który był strażakiem, miał niebieski otok, a szef urzędu pocztowego miał zielony. A radosny śmiech księżnej Heleny rozwieszał się jak migocąca girlanda nad jednolicie szarym męskim gwarem. Wzdychano i posapywano nad talerzami i szklankami ustawionymi na stole. Dla Staszka, który musiał siedzieć na samym końcu pokoju, razem z dziećmi Gertlera i Jakubowicza, to było jak widowisko. Wódz Armii w centrum, hałaśliwy i sinoczerwony od alkoholu i afektu; a wokół niego ten dwór zaproszonych dygnitarzy, którzy nie tyle rozmawiali, co przerzucali się replikami. Wielkimi, kwiecistymi tyradami lub małymi, ciętymi słówkami, które toczyły się przed nimi jak monety lub zawisały w powietrzu, albo ginęły rozbijane przez jakiś nagły krok, protekcyjnalne klepanie po plecach i zbyt hałaśliwy śmiech.

Ponieważ drzwi stale były otwarte, Staszek skorzystał z okazji — pochwycił pełną garść mazystych kanapeczek, przeszedł spacerem przez wysoki pokój przyjęć, a stamtąd dalej, w dół schodami, gdzie dyżurował dozorca. Staszek widywał go zazwyczaj tylko z tyłu, jak siedzi tam w swojej klitce: plecy munduru i trzy wałki tłuszczu na karku hipopotama, a nad tym p r a w d z i w a policyjna czapka z czerwonym otokiem. Zatem ten dozorca był nie tylko dozorcą — był także policjantem! Na ramieniu nosił żółto-białą opaskę z niebieską sześcioramienną gwiazdą, a wewnątrz gwiazdy było białe kółko obramowane znaczkiem v. (Staszek wiedział, że ten emblemat znaczy *Oberwachtmeister*).

Jedyny sposób, by ominąć tego olbrzyma, to przemknąć się za jego klitką w dół, wąskimi schodami do piwnicy. Staszek wyszedł przedtem drogę, którą można się stamtąd wydostać: ciasnym piwnicznym korytarzem do pomieszczenia, które kiedyś musiało być pralnią. Oparte o ścianę stały tam balie i kadzie do płukania, niektóre z nich z dużymi rdzawymi zaciekami tam, gdzie woda musiała kiedyś łać się z dawno podkręcanych kranów. Stając na krawędzi jednej z pustych kadzi, dosięgnął okna tuż pod sufitem, gdzie między szybą a ramą pozostawała wąska szpara. Jedną ręką odbił skobelek podtrzymujący okienko, chwycił się mocno za futrynę i jak najdalej precisnął głowę i ramiona. I stał się cud: nim kadź się pod nim przewróciła, ktoś z z e w n ą t r z chwycił go pod pachy i zaczął ciągnąć i tarmosić, aż pomógł mu precisnąć całe ciało.

Na zewnątrz stała najdziwniejsza postać, jaką zdarzyło mu się w życiu widzieć.

Chłopiec, w wieku mniej więcej tym samym co on, z pochyloną do przodu twarzą,

wykrzywioną jakby grymasem wiecznego bólu.

Na plecach niósł krzyż ze zbitych drewnianych belek. Z belek zwisały flaszki, słoiki i probówki, które brzęknęły, objając się o siebie, kiedy przestraszony próbował się wyprostować. Ale spojrzenie spod drewnianych belek nie spoczywało już na Staszku, tylko na kanapeczkach, które zgubił, wyczołgując się przez okno, i które leżały teraz rozsypane w brudnym żwirze. Chłopiec rzucił się na nie od razu i pożerał, co wpadło mu w ręce, żwir czy chleb, bez różnicy, podczas gdy flaszki, buteleczki i słoiki dzwoniły i brzęczały nad nim jak roztańczona dzwonnica.

Kiedy już pożarł wszystko, wygiął się do tyłu pod swymi obiema belkami, pogłaskał się po brzuchu i oznajmił pompatycznym tonem:

— Jestem synem Prezesa!

Staszek gapił się tylko na niego. Para poranionych, zsiniałych z zimna nóg wetkniętych w zabłocone trepki — to miałby być syn Prezesa? Lecz okazało się, że chłopiec z butelkami nie miał na myśli tego tak dosłownie:

— Wszyscy w getcie są dziećmi Prezesa.

Tak mówi Bronek.

Więc ja też muszę być synem Prezesa.

Potem zaczął zawodzić wysokim, lamentującym głosem straganiarza:

— EL-LIIIK-SIIR, EL-LIIIK-SIR

Kup sobie nowe wspaniałe życie.

Dopiero teraz Staszek pojął, że chłopiec z butelkami jest obnośną apteką. Z drewnianego krzyża zwisały nie tylko flaszki i słoiki, lecz także szmaciane zawiniątka, fragmenty lusterka, nożyczki i małe kawałki mydła przywiązane do linek i sznurków. Nad całym tym asortymentem twarz chłopca zdawała się mała i blada, i jakby śmiertelnie przerażona tym wszystkim, co wisi i dynda dokoła.

— Apteki już tutaj nie ma — stwierdził p r a w d z i w y syn Prezesa, głosem, który miał brzmieć jak głos Prezesa, autorytarnie i antypatycznie.

Lecz chłopiec z butelkami nie dał się zbić z tropu.

— Nieważne — odpowiedział. — Lepiej stać tam, gdzie ludzie myślą, że znajdą aptekę, niż gdzieś indziej. Przynajmniej tak mówi Bronek!

Staszek podejrzewał, że coś z tym chłopcem jest nie całkiem jak trzeba. Było coś we wzroku, który nie docierał do tego, na co patrzy.

— Chcesz jeszcze jeść? — zapytał Staszek, wyciągając z kieszeni kawałek chleba. (Nauczył się zawsze z sobą coś mieć — żeby móc włożyć coś do ust także w te dni, gdy nie odbywa się przyjęcie).

Zbieracz butelek wyrwał mu chleb i odgryzł spory kęs. Dopiero, kiedy zmiotł cały kawałek, wyraźnie go zastanowiło, skąd jakiś obcy dzieciak wziął się w jego rewirze, do tego jeszcze z kieszeniami pełnymi jedzenia.

Ale Staszek już wtedy odchodził.

— Te, zaczekaj...! — zawołał chłopiec z butelkami i puścił się biegiem za swym dobroczyńcą; ale z dwiema ciężkimi belkami na plecach nie dało się tak łatwo biec i kiedy Staszek obejrzał się następnym razem, całe to wielkie butelkowe rusztowanie znikło mu z widoku, tylko gdzieś z dala dobiegał łagodny brzęk szkła.

Staszek szedł dalej, spokojniejszym krokiem, w dół wyboistej, dziurawej ulicy otoczonej

niskimi domami i rozwalającymi się szopami z desek. Wzdłuż ulicy stali ludzie i oferowali przechodniom towary. Parapet okna albo wnęka drzwi starczały jako półka sklepu z paroma tylko wyłożonymi na sprzedaż szmatkami lub kawałkami metalu. Oknom w tych domach brakowało framug i ram; niektóre były pozabijane dyktą albo zasłonięte jakimś luźno zwisającym gałganem. W jednej z bram siedział starzec z kikutami po amputowanych nogach zawiniętymi w grube, workowe płótno. Między swoimi drewnianymi kulami rozłożył całe królestwo żelaznych przedmiotów, garnków i rondli, z pokrywką lub bez. Dla ochrony przed ostrym, jesiennym chłodem miał na sobie kamizelkę z baranicy i wiązaną pod brodą czapkę z nausznikami. Na nosie parę dużych czarnych okularów, spoza których toczył bezradnie oczami.

Staszek stanął przed ślepcem i między jego kulami upuścił jeszcze jeden kawałek chleba, a ślepiec musiał widzieć spadający chleb tak wyraźnie, jakby to była manna z nieba, bo jego ręce natychmiast tam były i macały niepewnie wśród pokrywek i uchwytów do rondli, a przez tłumek, który już zdążył się zgromadzić wokół nich, przebiegło jakby ciche, zdumione ooo-ch. Chłopiec był nie tylko schludnie ubrany i na oko cały i zdrowy; rozdawał też jałmużny najbiedniejszym.

Samo dziecko kompletnie zapomniało o wcześniejszej ostrożności.

— Chciałbym zapytać, jak mam dojść do domu dziecka na Okopowej — powiedział najgrzeczniejszą polszczyzną, na jaką było go stać.

— Ok-pwa?

Mężczyzna wskazywał we wszystkie możliwe strony, aż Staszek pojął, że to nadmierne pokazywanie miało wyłącznie ukryć fakt, że za swoimi ciemnymi okularami wciąż usiłował dociec, kto go pyta. Tymczasem ciekawscy podeszli i już nie byli grupą gapiącą się z dala, lecz poirytowanym tłumem, który zadaje pytania.

— A kto ty jesteś? — Co tu robisz? — Skąd przyszedłeś?

Staszek prześlizgnął się pod hołoblami wózka ze starym złomem metalowym i pobiegł szybko w dół ulicy; zwolnił dopiero, kiedy poczuł się bezpieczny.

Gdy się obejrzał, ludzie ciągle stali wokół ślepca, lecz do człowieka z wózkiem podeszła para policjantów i Staszek widział, jak tamten podniósł rękę i pokazał, i jak wszyscy, z policjantami włącznie, zwracają głowy w jego stronę.

Chociaż nikt nic nie zrobił, by go gonić.

Powoli spływał z nieba cały kolor. Domy stały rozsiane coraz rzadziej; drzewa i mury z kamienia cofnęły się o krok od skraju drogi. Nigdzie się nie świeciło elektryczne światło. Z zapadającym zmrokiem przyszedł także chłód. To, co Staszek brał początkowo za kłęby własnego oddechu, okazało się coraz bardziej gęstniejącą mgłą. Powoli zaczynało mu zamierać czucie w stopach i koniuszkach palców.

Myślał, że Prezes przypuszczalnie już wyjechał, by go szukać. Razem z ludźmi ze swojej ochrony będzie chodził od domu do domu i pytał, czy ktoś nie widział *w y b r a n c a*, i niebawem trafi na tamtego człowieka z wózkiem i ludzie będą się bali i pewnie powiedzą, jak było, że go *w i d z i e l i*. Może mają nadzieję, że w ten sposób zasłużą na jakąś nagrodę, lub powiedzą, że nic nie widzieli, by nie napytać sobie biedy. Panna Smoleńska zawsze powtarzała, że im mniej się wie, tym lepiej. Przynajmniej w stosunkach z władzami.

Czasami w mroku pojawiali się też inni ludzie. Niektórzy mieli opaski i czapki mundurowe. Co by się stało, gdyby ich zatrzymał i wytłumaczył, że to on jest tym, kogo szukają? Ale może by mu nie uwierzyli, bo sporo było takich, co chodzili i opowiadali, że są dziećmi Prezesa. Więc

może lepiej by powiedział prawdę. Że sam nie wie, czym ani kim, ani gdzie jest. Ostatnia rzecz, jaką pamięta, to że jechali z matką autobusem i że tam byli także inni ludzie, i że ktoś przyszedł i okrył go kocem, bo on był mokry i marzł. Ale to byli obcy, wszyscy ci, których spotkał w getcie, byli o b c y.

Razem z nimi przyszło mu przeżyć wiele rzeczy, ale teraz ktoś musi pomóc mu wrócić do domu lub przynajmniej do Zielonego Domu, gdzie panna Smoleńska na pewno by mu powiedziała, kim on jest, i przecież musi mieć gdzie przenocować.

Ale był w dalszym ciągu nikim; a mrok, który przedtem panował poza nim, narastał teraz w nim w środku. Kiedy dosięgnie jego oczu, stanie się jak woda. Ciemna woda, ale głęboka dostatecznie, żeby w niej utonąć. Bał się tego mroku w sobie samym. To było tak jak wieczorami, kiedy nie mógł zasnąć. Nie miał odwagi się poruszyć, nie wiedział bowiem, czy to on porusza się w mroku, czy może mrok porusza się w nim.

Gdy się odwrócił, zobaczył, jak z mgły za nim wyłania się twarz. Nie było ciała, tylko błydy owal pozbawiony rozpoznawalnych cech wisiał w powietrzu jak balonik albo odbicie światła w jakimś oknie. Do twarzy przynależał także głos, całkiem spokojny, jasny, pewny głos, który zapytał, co taki ktoś jak on robi na dworze po godzinie policyjnej. Więc znowu, to, co mówił wcześniej, że szuka domu dziecka na ulicy Oko-powej.

— To tutaj jest, zaraz za rogiem — odpowiedziała twarz.

Przystanęli przed jakąś furtką. Za furtką majaczył we mgle dom. Ale czy to naprawdę jest Zielony Dom?

Nie rozpoznawał go. Próbował sobie przypomnieć. Tamten raz, kiedy wszystkie dzieci musiały ustawić się na schodach na piętro, a dyrektor Rubin i panna Smoleńska liczyli ich wszystkich, dziesięć, dwanaście, czternaście (to on był czternasty?), by potem wyprowadzić ich na Wielkie Pole, gdzie wokół swoich zabłoconych ciężarówek stali niemieccy żołnierze z podniesionymi karabinami. To odbywało się tak samo jak tamtym razem, gdy musieli stanąć pod cmentarnym murem i przyszli naziści, i zabrali wszystkich jego braci. Nie pamiętał. Tak jakby to, co teraz się działo, zdarzyło się już kilka razy.

— A kogo szukasz? — zapytała twarz.

Staszek kręci głową i daje miną do zrozumienia, że sam chce udać się do furtki. Lecz twarz go zatrzymuje. Głos brzmi jeszcze łagodniej, kiedy znowu pyta:

— Mam zapytać o kogoś konkretnego?

Staszek przez moment nie wie, co ma odpowiedzieć. Nie przemyślał tego.

— Panna Róża — odzywa się w końcu. — Panna Róża Smoleńska.

— Róża — mówi twarz i rozpuszcza się sama we mgle. Po chwili słychać łomot pięści w drzwi:

— Chciałem zapytać o niejaką pannę R-r-r-ózę — głos twarzy brzmi przesadnie energicznie, a z wnętrza domu dobiega co najmniej równie głośny i piskliwy głos, który nie odpowiada na pytanie twarzy, tylko zwraca się do kogoś innego:

— Panno Róóó-zoo? Panno Róóó-zoo? Jest tutaj jakaś panna Róó-za?

Z głębi domu dobiega teraz wybuch hałaśliwego, chóralnego śmiechu. Męskiego śmiechu.

Gdy śmiech zamiera, robi się całkiem cicho. Mija jakiś czas. Jest tak, jakby wszystko wokół niego — ta biała twarz i ten głos, i ten dom — rozpląnęło się we mgle i zniknęło. Z tej pustki zbliża się powoli odgłos stuku kopyt. Przez długą chwilę widzi tylko białego konia. Powóz zwleka. Dopiero gdy są całkiem blisko, pojawiają się zgarbione plecy pana Kupra i sylwetka Prezesa,

kułącego się pod podniesioną budą.

Kuper już zdążył opuścić schodek i gdy pomaga chłopcu wsiąść do wozu, Staszek doznaje niebywalej ulgi. Znow ktoś otula kocem jego ciało. Przez cały ten czas Prezes nie spojrział w jego stronę ani go nie dotknął i nie odezwał się do niego ani słowem. Z cichym zgrzytem dorożka znow zaczyna się toczyć.

Po „małej wycieczce” Staszka, jak ją nazywano, stosunek Prezesa do chłopca się zmienił. Przestał jak gdyby zwracać się do niego bezpośrednio, a zaczął mówić do kogoś stojącego obok, i n n e g o Staszka, który wyglądał tak samo, robił i mówił to samo, ale mimo to był kimś innym.

Zdawało się, że Prezes trochę boi się tego i n n e g o Staszka.

Czasem ten strach tak narastał, że w oczach Prezesa pojawiała się coś gorączkowego i mrocznego. Jakby ten inny Staszek wciąż go ścigał i dręczył, choć on nie umiałby wyjaśnić jak ani w ogóle nic o tym powiedzieć.

Także teraz Prezes i on bywali w tym drugim pokoju, gdzie oddychało się jedynie kurzem i gołębim łajnem.

Przedtem, gdy tu bywali, Prezes nalegał zawsze, aby „czuli się swobodnie”. Przysuwał fotele spod ścian, przynosił popielniczkę i zapalał papierosy. Czasem zaczynał także opowiadać różne rzeczy. Zdarzało się, że tak był przejęty historią, którą opowiadał, że zapominał nawet robić użytek z dłoni, które leżały tam, gotowe, na kolanach. Teraz jednak na ogół siedział tylko i patrzył na Staszka z niemym i wodnistym wyrazem oczu i czymś, co wyglądało jak uśmiech bez ust.

— Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, byłeś taki duży i silny, i dzielny — mówił Prezes, a obok niego siedział Staszek i czekał.

Było tak, jakby ich dzieliły pręty kratki. Prezes znajdował się po jednej stronie krat, Staszek po drugiej. W tym momencie nikt z nich nie wiedział, kto jest panem, a kto niewolnikiem, jak by wyraził to sam pan Prezes.

Lub raczej: Staszek wiedział.

Prezes był tym, który siedział za kratami.

Ale to wcale nie oznaczało żadnej ulgi. To właśnie chwil, gdy Prezes tkwił w swojej klatce, Staszek bał się najbardziej. Wtedy już nie chodziło o Prezesa i Staszka, lecz tylko o Prezesa i jego klatkę. Prezes chodził i chodził. Całymi nocami chodził i mierzył odległość od jednego końca klatki do drugiego. Albo samotnie stał w klatce i się modlił. Rumkowski modlił się każdego ranka i wieczora; albo w dawnym prewentorium, o dwa kwartały dalej przy ulicy, na której mieszkali, albo w starej szkole Talmud Tora na Jakuba, której używano jako bożnicy. Kiedy Rumkowski modlił się, robił to głośno, piskliwym, natarczywym głosem, tak jakby żądał czegoś także od Najwyższego. I podobnie przemawiał do niego:

— Dlaczego, Stasiulku? Przyjąłem cię do siebie, żebyś mógł znaleźć się wśród czystych. Dlatego pozwoliłem przyjść do mnie tobie, a nie tym wszystkim innym *ganowim*, co tylko się buntują i szydzą i poniżają mnie. Dlaczego zatem się upierasz, żeby mnie ranić?

Lecz były także chwile, gdy pan Prezes zahaczał palce o pręty kratki, jeden po drugim, i zaklinał: „Staszku! — wołał — Stasiu, Stasiulku, Stasinku...” I wyciągał ręce przez pręty kratki i chwycił głowę Syna i przyciskał ją do siebie.

Potem go całował.

Potem go koronował.

A Syn był podczas koronacji ubrany w obszerne czerwone szaty, które Prezes sam nakazał uszyć, a jako obuwiu dostał wysokie lśniące buty uszyte z prawdziwej skóry, wewnątrz których, pod osłoną przyszew, każdy palec u nogi trzeba zginać pieczołowicie i ostrożnie, jak to tylko potrafi najnobliwszy szlachcic. (Prezes sam pokazywał: „Nie za prędko i nie za wolno; to ma być

miętko i płynnie”). A kiedy koronacja już się dokonała, Król, wielki Wódz Armii, stał osamotniony w swojej klatce, przyglądając się stworzeniu po drugiej stronie i łzy toczyły mu się po policzkach. (Czemuż to płaczesz, ojcze?) Może płakał dlatego, że choćby nie wiadomo jak ubierał i stroił swego syna, nie mógł dotknąć jego Istoty, tej która sprawiała, że palce jego drobnych stóp z taką lekkością poruszały się w tych pięknych skórzanych butach, wprawiała w drżenie jego ramiona pod ciężarem lśniącego czerwonego płaszcza, kazała jego sercu bić i kołatać wewnątrz swojego kirysu.

I Prezes patrzył na swojego kochanego, doskonałego Syna i mówił:

— Staszku, Stasiu, Stasiulku — Syneczku kochany: co się z tobą stało, i co się stało ze wszystkimi tymi innymi kochanymi dziećmi?

Jednak Staszek nadal widywał się z tym drugim chłopcem, tym, co obnosił krzyż i szkło apteczne. Spotykali się teraz w bezpieczniejszych miejscach, gdzie dozorca nie mógł ich zobaczyć. Jedno miejsce leżało nieco w głąb podwórza, gdzie była garbarnia zaopatrująca warsztaty szewskie w getcie w skóry. Za każdym razem, gdy się spotykali, Staszek karmił chłopca z butelkami kawałkami chleba, które najpierw rozmiękczał sobie w ustach, a potem robił z nich kulki i rzucał, a chłopiec chwycił je w powietrzu i łykał jak żółw i opowiadał różne historie o tym, co się zdarzyło w innych miejscach w getcie.

Jedna historia była o tym, jak Prezes zjawił się z wizytą w prostej izbie z żelaznym piecykiem, którą chłopiec z butelkami i jego stryj Broniek dzielili ze starszym kuzynem imieniem Oskar, który był ślepy, a więc nie mógł radzić sobie sam ani w ogóle troszczyć się o utrzymanie rodziny.

Działo się to pamiętnej srogiej zimy 1941.

Broniek, który, żeby zarobić na czynsz, podjął się dodatkowej pracy jako cieć w tym domu, zdecydował, że chłopiec z butelkami, zamiast siedzieć i grzać się przy piecu, ma iść na dwór i rąbać lód przed bramą. Broniek miewał czasem takie pomysły. Nie żeby coś koniecznie trzeba było zrobić, tylko dlatego, że chciał się upewnić, iż bratanek nie jest darmożjadem. A zatem chłopiec stał przed bramą z kilofem i szpadlem, kiedy nagle w ulicę wjechała cała armia powozów ciągniętych przez parskające konie, i cała ta armia stanęła jak wryta przed brankiem Bronka, a z pierwszego wozu wysiadł Wódz Armii i — o d z i w o — podszedł i podał rękę temu niepozornemu chłopcu, i oznajmił, że gdyby to o n miał takiego sumiennego i robotnego syna, to byłby dumny, mogąc się nazywać jego ojcem, i ofiarował chłopcu pełną garść talonów na jedzenie i cukierków.

Od tej pory Broniek już wiedział, że jego bratanek to prawdziwy *glik*, dziecko szczęścia, kura znosząca złote jaja, jak tłumaczył ślepemu Oskarowi.

Dlatego Broniek przywiązał do ramion bratanka dwa długie kawałki deski i wysłał go na ulicę, obciążonego czym tylko się dało z czarnej apteki pana Winawera; i od tamtego dnia bratanek krążył po getcie jako chodzący kram obwieszony Vigantolem, Azetyniem i Betabionem oraz zwykłymi tabletkami z cukru (kto pozna różnicę, jeśli tylko ufa swym nadziejom?); i tabletkami przeciw kwaśnej cuchnącej zgadze, której się dostawało od fabrycznej zupy, tudzież ekstraktem z kory z dodatkiem *Kaffeemischung*, który to specyfik nie tylko, jak utrzymywano, dostarczał „ważnych substancji odżywczych”, lecz także robił dobrze na potencję, a który ludzie w getcie nazywali „mieszką Biebową”; Biebow bowiem ponoć handlował kiedyś kawą.

(Stryj Broniek miał w związku z tym pewną teorię, tę mianowicie, że w tych ciężkich czasach normalni ludzie chcą tylko jednego, to jest wydostać się z getta — a jeśli nie da się wyjść „naturalną drogą”, to trzeba poprobować z medykamentami!)

— Patrz...! — wrzasnął chłopiec z butelkami. Wetknął sobie między zęby jakąś butelkę i wyciągnął korek; i zanim Staszek pojął, o co chodzi, z ust chłopca buchnął cudny kłęb płomieni, które iskrzyły się i migotały w innych flaszkiach jak rozgwieżdżone niebo. Chłopiec zdławił płomienie, zatykając sobie obiema dłońmi usta i kiedy Staszek znowu spojrział, te małe, rozdziawione żółwie szczęki wyglądały jak wielki czarny krater, sponad którego wyzierała para białych strwożonych oczu.

To było tak:

Pewnego razu, gdy Róża Smoleńska uczyła dzieci z Zielonego Domu historii i arytmetyki,

poszła do małej salki koło gabinetu dyrektora Rubina i wróciła z piórnikiem z zasuwany­m wieczkiem i girlandą kwiatów po bokach, który dała Stasz­kowi. — Narysuj mi mapę Palestyny — powiedzia­ła — i wpisz później nazwy wszystkich miast i rzek, i jezior w Judei i Samarii, jakie tylko pamiętasz. — Staszek zaczął od Palestyny, bo przecież wiedział, jak ten kraj wygląda — Erec Israel — ale już wewnątrz jego granic nie rysował jezior i miast, tylko szakale i skorpiony, i myszokoczki, i inne zwierzęta z rogami i ogonami, i ostrymi zębami.

Potem rysował Niemców — w i e l u Niemców, ponieważ było ich tak wielu.

Zewnętrzne atrybuty były proste: żandarmi w płaszczach koloru *feldgrau* i stalowych hełmach opadających aż na kark; no i ci i n n i żołnierze, ci, którzy przyjechali w lśniących czarnych autach i stali, śmiejąc się, gdy przybijali kantora Kohlmana do drzewa — ci z trupimi główkami na czapkach i z kropkami na patkach kołnierzy zamiast pasków.

Z ulicy Zagajnikowej, szerokiej, zakurzonej wyjazdówki poniżej Zielonego Domu, codziennie można było widzieć, jak Niemcy chodzą i pilnują bramy na Radogoszcz. Rysował druty kolczaste, wysoką wieżę wartowniczą i co najmniej po dwóch wachmanów, którzy sprawdzali papiery i podnosili i opuszczali szlaban za każdym razem, gdy przejeżdżał transport towarów. Próbował przypomnieć sobie, jak to było tamtym razem, kiedy deszcz wisiał na tych paru ulicznych latarniach, które jeszcze się świeciły, i wszystkich Żydów w miasteczku wyciągnięto z domów i spędzono na plac przed kościołem. Ale jedyne, co naprawdę pamiętał, to człowiek, o którym żołnierze mówili, że próbował uciec, i którego wywlekli na sam środek placu, i pamiętał twarz tego żołnierza, który go bił i kopał, i nie przestawał bić i kopać, choć mężczyzna leżał już bez ruchu. I twarz żołnierza, który bił i kopał, wyglądała zupełnie tak samo jak twarz tego, co leżał na ziemi, bity i kopany. Obie tak samo błyszczały od deszczu, tak samo skrzywione grymasem i pocięte cieniem. Dlatego jedynym naprawdę wyraźnym motywem na jego rysunku były nagie białe podeszwy stóp sterczące z kupy zabłoconych szmat, w jaką zamienił się mężczyzna: nagie białe podeszwy stóp i ciało zmasakrowane kopniakami i rozmazana wściekłością twarz żołnierza, która też wyglądała, jakby ktoś ją skopał.

Po tym, jak spotkał chłopca z butelkami i usłyszał od niego te wszystkie jego cudowne historie, Staszek zaczął rysować już nie tylko Niemców. Rysował wojska anielskie lecące nad miastem — nad zasiekami z drutu kolczastego i wysokimi murami. Anioły były niewidzialne dla niemieckich wachmanów na ich wieżach, mimo że niebo nad nimi płonęło ogniem zemsty. Kilka aniołów na niebie trzymało nawet baranie rogi — szofary, w które trąbiły tak, że mury i zasieki waliły się i rozpadały, ale wachmani i tak nic nie widzieli.

Czasami, kiedy siedział i rysował, przechodząca panna Smoleńska gładziła go dłonią po karku. Pani Regina nigdy czegoś takiego nie robiła, chociaż śledziła to, co on rysuje, równie pilnie jak panna Smoleńska, i także ona miała wielki, obrzmiały uśmiech, z którym przez cały czas się obnosiła. Lecz nigdy nie zdarzyło się, żeby dotknęła Staszka albo w ogóle powiedziała coś do niego poza tym, co konieczne i co należało do jej obowiązków — na przykład, czego się nauczył w szkole albo czy był grzeczny, tak aby jego ojciec czy też Mosze Karo, czy choćby gospodyni, pani Koszmar (*Madame Cauchemar*, jak mawiała pani Regina), nie musieli za niego się wstydzić. Wszystko to, co mówiła, dotyczyło wstydu.

Pośrodku pokoju, w którym Prezes urządzał zwykle swoje przyjęcia, stał teraz duży, bezgłowy manekin, a do owego manekina przynależał prywatny krawiec nazwiskiem mistrz Hincel, zasuszony, nieduży człowieczek z woskiem w uszach i ustami pełnymi szpilek, który się zjawił,

żeby uszyć Staszewi garnitur na bar micwę. Mistrz Hincel przyczepiał szpilkami do menekina różne kawałki tkaniny, a pani Regina i księżna Helena oceniały, krążąc dokoła. Czasami Staszek sam musiał stawać do miary, a wtedy tak go przyszpilały, jakby sam był tkaniną.

Pani Regina i księżna Helena nie znosiły się nawzajem. Pani Regina nazywała księżną Helenę „stukniętą histeryczką”; księżna Helena mówiła, że pani Regina to „fanatyczna parweniuszka”, która starcowi zawróciła w głowie. W obecności innych wymieniały sztywne uśmiechy, mierząc się szyderczymi spojrzeniami. Gdy były same, bez przerwy darły koty. „No, przecież ty masz smak jak jakaś bufetowa”, potrafiła powiedzieć księżna Helena o jakimś słówku rzuconym przez panią Reginę i uśmiech gościł na twarzy Reginy, z miejsca rzucała wszystko i uciekała do swego pokoju z zasłonami zaciemniającymi. Księżna Helena, która nie chciała być gorsza, padała bliska apopleksji na kanapę, akurat kiedy wchodził pan Tausendgeld z filiżanką herbaty. „*Mein Gott, ich halte es mit dieser einfältigen Person nicht mehr aus*”, mówiła pani Helena niemiecką, która była przeznaczona dla salonowej publiczności, lecz która brzmiała ciężko i kanciasto w pokoju, gdzie nikt inny jej nie słyszał oprócz pana Tausendgelda, który wszak znał wyłącznie jidysz.

Kiedy ostatni raz spotkał chłopca z butelkami, miał po raz pierwszy na sobie garnitur mistrza Hincła, i resztki chleba poupychał po kieszeniach, które zdawały się o wiele za duże i za szerokie na tę odrobinę chleba, jaką mu pozwoliła zabrać pani Koszmar.

To było tego dnia, kiedy w fabryce wyrobów drewnianych na Wolborskiej wybuchł pożar, przez który prawie całe getto o mało nie poszło z dymem; a Staszek sam mówił mistrzowi Hincłowi, że musi mieć kieszenie poszerzone, żeby móc w nich zmieścić swój *Chanuke-geld*.

(Czasami mówił takie rzeczy, ponieważ wiedział, że to ludziom sprawia frajdę).

Umówił się z chłopcem z butelkami, tak jak zwykle, na podwórzu za garbarnią. Była tam w ścianie z cegieł mała dziura, do której Staszek wkładał jedzenie, jeżeli chłopiec jakimś trafem nie mógł przyjść. Kiedy się zjawił na miejscu tego dnia, chłopca z butelkami tam nie było, ale ktoś wyjął cegłę, którą zwykle zasłaniał dziurę, i położył ją na ziemi. Czy chłopiec z butelkami już tu był, zobaczył, że schowek jest pusty i powędrował dalej? Czy może był to jakiś z n a k?

Chociaż zrozumiał, że zagraża mu jakieś niebezpieczeństwo, Staszek nie oparł się pokusie i podszedł do muru. W tej samej chwili, kiedy schylił się po cegłę, jakieś ramię przygniotło mu gardło i jakaś pięść zmusiła go, żeby uklęknął. Sapanie za jego plecami należało do człowieka o złych czarnych zębach, w czapce z daszkiem ściągniętej na czoło tak nisko, że oczy ledwie było widać. Zza niego wyskoczyli inni ludzie, którzy go darli i szarpali za ubranie i opróżnili mu kieszenie spodni i marynarki z wszystkiego, co tylko dało się zjeść. Mimo że ręce trzymał w górze, żeby ochronić twarz, między palcami widział chłopca z butelkami, jak stoi tam przerażony pod niebem, które tymczasem zdążyło zrobić się wielkie i nienaturalnie czerwone.

W ten sposób także zdrada przyjęła wyraźny kształt.

Ale najgorsze było wrócić w nowo uszytym garniturze w strzępach i z wszystkimi szerokimi kieszeniami wydartymi: koronowany król wrzucony do rynsztoka.

Pani Regina przygotowała już cały materiał dowodowy. Szkice i obrazki, które tak skrzętnie starał się ukrywać, leżały teraz rozłożone przed Prezesem. Pani Regina oddała także Prezesowi jego ołówki i szkicownik i tłumaczyła, że ten, kto wolne chwile spędza na rysowaniu Niemców, na pewno byłby także zdolny przyjmować o d n i c h tajne zlecenia. Nie tylko za pośrednictwem Gertlera, który już okazywał, w jej przekonaniu, c h o r o b l i w e

zainteresowanie chłopcem, lecz także przez wszystkich na żołdzie Gertlera: Millera, Kligiera i Reingolda. Oni już odkryli, że chłopiec jest s ł a b y m p u n k t e m Prezesa i deprawując chłopca, próbują dobrać się d o n i e g o.

Wszystko to wyrzuciła z siebie tak prędko, że ledwie zdążyła między zdaniami zaczerpnąć oddechu, a Prezes przerzucał pospiesznie kartki szkicownika; pewien rysunek go zatrzymał, pokazał go Staszкови:

— Co to jest? — zapytał.

Na obrazku był chłopiec z drewnianym krzyżem na ramionach. Ten wyglądał jak krzyżak, którym się animuje marionetki, z tą różnicą, że leżał mu bezpośrednio na ramionach i że linki zwieszały się obciążone setkami buteleczek, probówek i słoików. Był to chłopiec z butelkami. Ale tego nie mógł przecież powiedzieć Prezesowi. Ani tego, co chłopiec jemu powiedział: że on też jest synem Prezesa. Przez moment zastanawiał się, czy nie powiedzieć, że to jest i n n y Staszek, ale w końcu powiedział tylko, że chciał narysować swego własnego manekina. Prezes, oczywiście, od razu przejrzał to kłamstwo:

— Ty beczelny hultaju — powiedział tylko i zapędził go do drugiego pokoju, nawet nie zadał sobie trudu, żeby zamknąć za sobą drzwi, tylko wyciągnął pas ze spodni i zaczął bić, jeszcze nim Staszek zdążył się pochylić nad oparciem fotela.

I Prezes bił i bił, tak jak zwykle; a Staszek krzyczał i stawiał mu opór. Potem pochwycił także karzącą dłoń Prezesa i gładził nią po swojej zapłakanej twarzy, tak jak wiedział, że Prezes chce. Ponieważ już nie było pasa, który by je podtrzymywał, spodnie Prezesa opadły i Staszek widział, jak staremu w kalesonach członek nabrzmiewa i sztywnieje i kiedy Prezes skierował tam jego rękę, podniósł teraz do twarzy tę nabrzmiewającą czerwoną żołądz i zaczął ją pocierać dłonią w górę i w dół, jak Prezes go nauczył.

Kiedy odwrócił się, spostrzegł w półotwartych drzwiach panią Reginę, jak stoi tam i patrzy na nich. W brązowym mętnym świetle od szybu dziedzińca jej twarz była blada i obrzękła, i nie dało się w niej rozpoznać żadnych rysów. Lecz nic nie powiedziała (stała tylko i pocierała dłonią jakieś miejsce z boku twarzy, jakby tam było coś lepkiego albo swędzącego, czego w żaden sposób nie mogła zetrzeć). W chwilę potem już jej nie było.

Przez cały tydzień trzymano go zamkniętego i związanego w pokoju, co było jak jedno olbrzymie duszenie.

Nocami nadlatywały te ptaki z dziedzińca i przeciągały swoje suche, rozłożone wachlarze piór po jego twarzy. Nad ranem wchodziła tam pani Regina, żeby sprawdzić, czy jego ręce i nogi wciąż są porządnie przywiązane. Wołał i krzyczał, że usta ma pełne krwi i piór, lecz ona nie słyszała, schylała się tylko nad nim lekko i mówiła, że to wszystko to dla jego dobra. Wychodziła potem i zamykała na klucz, i zostawały tylko te straszne ptaki, których cienie pełzały jak insekty po ołowianoszarych ścianach.

Dopiero pod wieczór światło z szybu dziedzińca przygasało do tego stopnia, że blask łuny pożaru w fabryce wyrobów drewnianych znów wydobywał pokój z jego dusznych cieni. Pani Koszmar zjawiała się wtedy, przynosząc tacę z jedzeniem, jęczała głośno nad „stanem młodego panicza” i luzowała nieco sznury wokół jego rąk, żeby przynajmniej mógł coś zjeść.

To był „zdradliwy” ogień, mówiło się potem.

Dwaj strażacy, którzy tej nocy robili obchód, nic nie zauważyli, chociaż mijali parokrotnie teraz już całkiem ogarnięty ogniem budynek dawnego szpitala. Dopiero w godzinach rannych jeden z nich powziął podejrzenie. W parku leżała cienka warstwa zlodowaciałego śniegu; także na stosach drewna przed budynkiem leżał śnieg. Strażacy spostrzegli, jak śnieżna pokrywa na drewnie cofa się i kurczy, i usłyszeli kapiącą i ściekającą wodę, „jakby nastąpiła wiosna w środku siarczystej zimy”. Dopiero wtedy spojrzeli do góry i zobaczyli dym, który „w znacznych ilościach” wydobywał się ze szczelin w zamurowanych teraz szpitalnych oknach. Jednemu ze strażaków udało się zdobyć siekiere, którą rozbili zamek i wybili oba żelazne drągi wzmacniające bramę, po czym skrzydła bramy niejako same wyłamały się i runęło na nich oswobodzone morze ognia.

Pożar szalał w fabryce przez dwadzieścia cztery godziny. W tym czasie ludzie bez przerwy wbiegali i wybiegali z mieszkania Prezesa; składali raporty i otrzymywali nowe dyspozycje.

Staszek leżał z uchem przy ścianie i słuchał, jak komendant Kaufmann wydawał rozkazy swoim. Kaufmann rozmawiał także przez telefon ze swoimi „polskimi” kolegami z Litzmannstadtu. Donosił im, że także sąsiednie budynki i przybudówki zajęły się ogniem, między innymi skład drewna, i że nie mają szans na ugaszenie tej pożogi, jeśli nie dostaną dostępu do hydrantu, który znajduje się dwadzieścia pięć metrów za murem getta, „po aryjskiej stronie”. Czy by nie mogli dostać stosownego zezwolenia?

Pół godziny później nadeszła odpowiedź. Zgodzono się na żądanie Kaufmanna.

Kolejne pół godziny później: drewniany płot i zasieki z drutu kolczastego wzdłuż Wolborskiej usunięto i w chwilę potem przez tę setkę *sziszkes*, którzy zebrali się w mieszkaniu Prezesa, przebiegł jakby potężny wstrząs:

— Także Niemcy włączyli się do gaszenia...!

Staszek widział przed sobą, jak niemieccy strażacy rzucają się z łomami i toporami na płonące drzwi, a za nimi wbiegają do środka całe armie strażaków, pod belki, które spadają na nich w deszczu iskier. Po raz pierwszy od prawie czterech lat granice getta były otwarte i niemieccy, polscy i żydowscy strażacy walczyli ramię w ramię.

Przyczynę pożaru z czasem ustalono:

W związku z tym, że po wrześniowej akcji przekształcono szpital w fabrykę mebli i wyrobów drewnianych, nikt nie pomyślał o tym, że aby móc wykorzystywać szpitalną windę dla pacjentów

jako windę towarową, należy wzmocnić system elektryczny. Z powodu przeciążenia windy jeden z kabli zaczął iskrzyć i od tego zapaliła się cała fabryka.

Z fabryki pożar przerzucił się na budynek magazynu, w którym czekało na transport do Rzeszy 3500 nowo wyprodukowanych kojców dziecięcych. Komendant straży pożarnej Litzmannstadtu przyznał później, że gdyby nie zdecydowana interwencja żydowskich strażaków, poszłaby z dymem nie tylko nędzna drewniana zabudowa getta, ale także obiekty cywilne i wojskowe o pierwszorzędym znaczeniu dla miasta, a zatem warte miliony marek. Podczas ceremonii w Domu Kultury, dwa miesiące później, tym strażakom, którzy przeżyli, wręczono specjalnie wybite medale z wizerunkiem Prezesa (jego twarz z profilu na tle stylizowanego, najwyższego drewnianego mostu), a w swojej mowie, którą potem wygłosił, Prezes postarał się wyeksponować zasługi każdego poszczególnego strażaka dla ocalenia i zachowania getta:

— Pan, Bóg Izraela, ciągle wystawia swój lud na nowe próby. Są tacy, którzy przetrwają te próby, i są tacy, których czeka zagłada... W ten sposób będą wypróbowani wszyscy Żydzi w getcie; i tylko ci, co zostaną uznani za godnych, doczekają tego dnia, kiedy Świątynia Jeruzalem znowu powstanie z gruzów...!

Staszek lubił przebywać w towarzystwie mężczyzn, którzy w święta zbierali się w domu Prezesa. Ludzi jak Jakubowicz, Reingold, Kligier i Miller. Lubił ich zdecydowaną powagę, ich stłumione chrząknięcia i niespieszne, zawieszane zdania zza odwróconych pleców. Przede wszystkim zaś lubił Mosze Karo, człowieka, o którym mówiono, że go uratował tamtym razem, kiedy przyszły transporty z Brzezin i Pabianic, z dziećmi i „szalonymi” matkami, i Niemcy grozili, że wywiozą i rozstrzelają ich wszystkich.

Któregoś dnia, gdy do jego bar micwy pozostawało tylko parę miesięcy, Mosze Karo wziął go ze sobą do dawnej szkoły talmudycznej na Jakuba, gdzie przechowywano święte księgi. Pan Karo dostał pęk kluczy od ludzi Rozenblata, którzy tu sprawowali wartę przez okrągłą dobę, i poprowadził Staszka wąskim, bocznym przejściem na galerię na piętrze, której ściany były całkiem pokryte drewnem. Za kotarą z czarnego aksamitu kryły się wysokie, okute żelazem drzwi. Karo odsunął zasłonę i wypróbował w zamku kilka kluczy, aż wreszcie drzwi się otworzyły. W blasku nagiej żarówki rysowały się na półkach i na ścianach tej salki rudały Tory i długie rzędy modlitewników. Niektóre zwoje Tory były tak bardzo nadpalone, że ledwie dało się je otworzyć. Dwa z nich, wyjaśnił Karo, pochodziły z synagogi Altsztot na Wolborskiej; inne z tak zwanej Wilker Szul na Zachodniej, jednej z najstarszych łódzkich bożnic i centrum nauczania, gdzie się zjeżdżali młodzi z całej Polski, żeby studiować Talmud. Na dzień przed przyjściem najemnych podpalaczy, Niemcy zdemontowali i wywieźli prawie wszystko, co w synagodze miało jakąś wartość — od menor i żyrandoli po pulpity do czytania. Opróżnili także szafy ołtarzowe. Lecz kantor synagogi w porę wyczuł pismo nosem i ukrył kilka najcenniejszych rudałów Tory pod kamienną płytą przed świątynią. Księgi w największej tajemnicy przeniesiono później do getta.

Mosze Karo był cichym, spokojnym człowiekiem, który poruszał się powoli i z godnością. Także na twarzy nosił zawsze swój zastygły, niezmienny wyraz dobrej woli, który kierował do każdego, z kim rozmawiał, i który, wyobrażał sobie Staszek, nie zmieniał się nawet, kiedy Mosze spał. Ale czasami wydawało się, że nawet w nim rozpała się płomień wewnętrznego niepokoju. Oczy robiły się błyszczące, zwrócone do wewnątrz, a jego głos, zwykle łagodny i kojący, stawał się nagle twardy i lęklonie napominający:

„W mojej niedoli i nędzy rozmyślam często o naszym pobycie tu w getcie.

Myślę o wszystkich świętych miejscach, które nam zniszczyli, jak nas zmuszają, żebyśmy jedli *trejf*, i że nie wolno nam więcej przestrzegać zasad szabasu. Ale jednego nie mogą nam zabrać — wiedzy Talmudu i świętej mądrości proroków.

Jeśli nie trwacie mocno w wierze, nie przetrwacie...

Tak mówi Pan, i raz za razem okazywał tę samą twardość swojemu ludowi, karmił go za nieprzestrzeganie jego przykazań, niszczył miasta i wypędzał lud na pustynię.

Lecz choćby nie wiem na jak straszne wystawiał nas próby, to zawsze była pewna reszta, która przeżyła, i od nowa mogła wznosić mury Jeruzalem, a ta reszta to wiara. Prorok Izajasz o tym wiedział. To dlatego nadał swemu synowi imię Szear Jaszub, ten, który powraca. Także nasz ukochany pan Przewodniczący o tym wie. On, najpokorniejszy ze wszystkich, wie, jak to jest otrzymać powołanie i być narzędziem.

Dlatego właśnie postanowił, by wszystko to, co pozostaje z potęgi, przekazać tobie, i ty będziesz tą resztą.

Więc imię twoje będzie Szub, ten, który powraca, ten, którego nikt i nic nie może zniszczyć, ten, który przeżyje nas wszystkich —”.

Staszek sporo później rozmyślał o tym, co Mosze Karo mu powiedział. Ale najwięcej myślał o tym, co Mosze Karo powiedział o panu Prezesie jako jedynie narzędziu, i nie mając pod ręką papieru ani ołówka, rysował sam siebie siedzącego na wysokim tronie z ojcem bezradnie pełzającym u jego stóp. A widok potężnego ojca w tej poddańczej pozycji sprawiał mu tak głęboką satysfakcję, że się nie ocknął dopóty, dopóki Mosze Karo — znowu całkiem zwyczajny, dobrotliwy człowiek, który zamknął i zaryglował te okute żelazem drzwi i zaciągnął kotarę za świętymi księgami, które miał za zadanie mu pokazać — swoim zupełnie zwykłym głosem nie powiedział, że musi oddać klucze wartownikom.

*

No i zdarzyło się, rzecz jasna, to, o czym wszyscy wiedzieli, że się zdarzy — każdy mógł to przewidzieć. Także Prezesa władze zabrały do Litzmannstadtu.

Kiedy Regina otrzymała tę wiadomość, zamarła w kompletnym bezruchu, tak jakby wszystko dookoła niej, włącznie z powietrzem, którym oddychała, nagle stało się szkłem.

— Pan Prezes prosił zwłaszcza przekazać, że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo — powiedział doktor Miller, który pofatygował się z Sekretariatu aż do ich nowego mieszkania na Łagiewnickiej, aby ją o tym powiadomić. To nie tak jak z Gertlerem. Rozmowy z władzami będą wyłącznie dotyczyły dystrybucji żywności.

Ale Staszek wyraźnie widział, jak Regina wzdrygnęła się na słowa:

„To nie tak jak z Gertlerem”.

*

Większość z rozlicznych głów Prezesa miała związek z jego sprawowaniem władzy. Te głowy miały wytrzeszczone oczy, a skóra pod policzkami i brodą była sztywna i nieruchoma, jakby z gipsu. Ale istniały także głowy, które były okrągłe jak księżycy z wąskimi chińskimi szparkami na oczy i ustami rozchylonymi w podstępny uśmiech, tak jakby wewnątrz tych ust ktoś się czał, gotów wyskoczyć i trzasnąć w twarz mówiącego, skoro tylko dany osobnik powie coś, czego Prezes nie chce słyszeć.

Z uśmiechami Prezesa było tak jak z jego rękami: uśmiechy były narzędziami, którymi rozkazywał, co ma być zrobione.

O ile nie śmiał się wyłącznie po to, by o k a z a ć zadowolenie. Wtedy bił się ostentacyjnie po udach i skręcał się całym tułowiem. W takich chwilach zawsze miał tamto s p o j r z e n i e — pojednawcze spojrzenie przymilnej, dobrotliwej głowy, którego Staszek bał się bardziej niż czegokolwiek innego.

Całkiem bez głowy Staszek widział Prezesa jedynie dwa razy.

Pierwszy raz, kiedy Prezes siedział w swojej klatce i patrzył na Staszka, tak jakby chciał, żeby ten przyszedł i odryglował drzwi. Za drugim razem wtedy, kiedy Niemcy przyszli po Gertlera. Tego dnia Staszek przeszedł przez pomyłkę na drugą stronę korytarza, do pokoju, którego Prezes używał jako domowego biura. Tam zobaczył, jak Prezes leży na wznak na kanapie, z otwartymi ustami, podciągając kolana do piersi, jak dziecko. Twarz miał tak sztywną i znieruchomiałą, że Staszek był przekonany, iż to ciało i twarz nie należą już więcej do żywego człowieka. Nie żeby Prezes rzeczywiście miał być trupem, tylko że tak miałby wyglądać, gdy już umrze.

To dlatego Staszek chodził teraz wśród zaaferowanych mężczyzn, którzy natychmiast po zatrzymaniu Prezesa zebrali się w jego mieszkaniu, i krzyczał:

— Mój ojciec, Przewodniczący, on nie żyje?

Mój ojciec, Przewodniczący, nie żyje?

We wszystkich pokojach Prezesa stały grupki ludzi i cichymi, szepczącymi głosami powtarzały te uspokajające słowa, które doktor Miller zdążył im przekazać. Że władze chciały tylko wiedzieć, jak wygląda zaopatrzenie w żywność; że w żadnym razie nie chodziło o następne wysiedlenia. Zatem potrwało to dość długo, zanim zebrani dygniarze zwrócili uwagę na dziecko, które chodziło wśród dorosłych, wykrzykując niestosowne rzeczy.

Pani Regina chwyciła go szybko za ramię i zawlokła do Pokoju.

Staszek opierał się jej z całych sił.

— Ja chcę z powrotem mego ojca, Przewodniczącego — krzyczał.

Nie był więcej „sobą”. Jedyne, co z niego zostało, to zupełnie rozkielznana wola:

— Ja chcę z powrotem mego ojca, Przewodniczącego — krzyczał raz za razem.

Jednocześnie w jasnym, otwartym pokoju trwały negocjacje. Mówiło się już o tym, kogo by ewentualnie można wybrać na Następcę starego.

Z pomocą pani Koszmar Regina oddała kawał prześcieradła, który skręciła w mocny, twardy knebel, który wspólnie wepchnęły mu w usta, żeby nareszcie przestał krzyczeć. Staszek został związany po raz drugi. Ale tym razem nie mógł poruszyć żadną częścią ciała. Nawet ustami. Język siedział mu w gardle jak dusząca kula, przed którą bronił się, by jej nie połknąć, i którą raz za razem wymiotował.

Ale ten krzyk i tak w nim ciągle był.

Krzyk, który brał się z grozy bycia kimś, kogo już więcej nie ma.

Widział sam siebie, jak leży na dnie jakiejś szafy razem z głową, która nie była jego, chociaż w jakiś sposób do niego należała. A gdzieś w pobliżu Prezes zbierał swoje porozrzucane części ciała i wolno sunął ku niemu przez mrok, a kowalski fartuch, którym był przepasany, ociekał krwią tych wszystkich kończyn, które zmuszony był oderżnąć, aby dotrzeć aż tu: do swego jedyne, najukochańszego Syna.

Prezesa nie było przez cały ten dzień i pół następnego. Dopiero dzień późnej, około wpół do jedenastej, zadzwoniła panna Estera Daum z Sekretariatu i powiedziała, że Najwyższego już widziano po powrocie i jest cały i zdrow. Przybył z miasta „aryjskim” tramwajem, który codziennie przejeżdżał przez Bałuty; ubrany był w ten sam garnitur i płaszcz, które miał na sobie, kiedy zabrało go gestapo. Pierwsze, co zrobił, gdy na powrót objął swoją funkcję, to zamknął się na klucz w swoim biurze i siedzi tam do tej pory, donosiła panna Daum, po tym jak kazał zawezwać do siebie swoich najbliższych współpracowników, jednego po drugim.

Wewnątrz swojego mroku Staszek wyobrażał sobie, że leży zwrócony plecami do muru.

Mur przypominał tę ścianę z cegieł na podwórzu za garbarnią, choć bez fragmentów cegły, które można by wyjmować. Leżał przywarty plecami do twardego, zimnego muru, a przed nim w ciemności stał chłopiec z krzyżem z desek, z którego na długich sznurach i sznureczkach zwisały te wszystkie butelki i puszkę z tynkturami i medykamentami.

Jak marionetka, której sznurki splątały się z sobą, zaczęły teraz melancholijnie pobrzękiwać, stukać i dzwonić o siebie. Przypominało to szemranie wody, gdyby tu mogła ciec jakaś woda; albo dźwięk podków i kół powozu gdzieś daleko na brukowanej ulicy. Te kobiety, o których opowiadał chłopiec z butelkami, leżały na skraju jezdni albo na podwórzach: niektóre ciągle osłaniając ramionami swoje dzieci; inne z nogami szeroko rozkraczonymi, jak padłe zwierzęta, i nikogo nie obchodziło to, jak leżą czy jak wyglądają, tylko brali te martwe ciała i rzucali je na platformy jak worki z mąką.

W cienkim głosie chłopca z butelkami był taki smutek, kiedy o tym opowiadał, że Staszek też zaczyna płakać. Nie ze względu na chłopca z butelkami ani na jego nieżyjącą matkę czy wszystkich tych innych umarłych, tylko nad samym sobą. Płacze dlatego, że leży twarzą do ściany. Dlatego, że ta ściana oddziela tego, kim jest teraz, od tego, czym był kiedyś, i że ta ściana jest taka wysoka, że po tej stronie niczego nie widać, niczego nie słyhać; tylko puste butelki, które brzęczą i dzwonią za każdym razem, kiedy to mizerne ciało, które ma za zadanie je nosić, podnosi się albo upada, podnosi się i upada; i głos cichego Mosze Karo jednostajnie czytający o obietnicy Pana danej żyjącym w rozproszeniu, tak jak przedstawia ją prorok Ezechiel, ten sam tekst, który on sam ma czytać na swojej bar micwie:

Nie splugawię się więcej plugawymi bałwanami swemi, i obrzydliwościami swemi, ani jakimi przestępstwami swemi; i wybawię ich z każdego mieszkania ich, gdzie zgrzeszyli, i oczyszczę ich, i będą ludem moim, a Ja będę Bogiem ich.

Musiał chyba zasnąć, bo w następnej chwili brzęk butelek gdzieś się ulotnił i w powietrzu unosi się gęsty zapach dymu tytoniowego. Do pokoju wdarła się mglista smuga światła. Nie potrzebuje się odwracać, żeby wiedzieć, że w pokoju jest Prezes i przypuszczalnie jest tu już dość długo. Jak tyle razy przedtem ma na sobie głowę chytrze obserwującą — i Staszek to zauważa i znów zaczyna płakać. W swojej chytrości Prezes postanawia opacznie to zinterpretować. Dno łóżka ugina się pod nim, kiedy Prezes siada i chwyta brodę Staszka tak ostrożnie, iż mogłoby się zdawać, że podnosi najkosztowniejszy klejnot.

— Nie smuć się, chłopcze. Przyniosłem dla ciebie jedzenie. Spójrz, ile pyszności.

Papier szeleści przy rozpakowywaniu paczki. Niebawem drobne cyckowate palce Prezesa wtargną do jego ust z pierwszymi kawałkami chleba. Połyka szybko, żeby stłumić wzbierającą w nim falę mdłości.

— Rozmawiałem z Mosze Karo. Mówi, że zrobiłeś spore postępy. Jestem z ciebie dumny.

Prezes rozmazuje duże grudki zjełczałego odrobiny masła po jego wargach, potem idzie chleb, kandyzowane brzoskwinie, marmolada. Łzy kapią mu ze wstrętu i obrzydzenia, ale posłusznie ssie, liże i połyka. Także tłustą, bitą śmietaną. Prezes ma całą dłoń pełną i przyciska mu ją teraz do ust, żeby wszystko porządnie wylizał.

— W pierwszy szabas po Chanuce będziemy obchodzić twoją bar micwę.

Prezes wyciągnął się teraz na łóżku i jego umazane ręce obejmują Staszka, dotykają piersi i brzucha. Suną w dół kręgosłupa i długimi pociągnięciami mażą i wsmarowują gęste masło między uda, cały czas tłusty, sapiący oddech, jakby dyszała za nim wielka, ciężka maszyna; i oto ma dwa palce z masłem wbite w odbył i dwa jeszcze bardziej oślizgłe palce głaszczące i pieszczące dokoła moszny i nasady prącia, i mimo bólu i wstydu wbrew woli sztywnieje, a ten nagły ból sprawia, że całe ciało skręca się, chcąc uciec, ale —

— Nie bój się — mówi mdły i wilgotny głos w jego kark — Staszek spowity nagle w tłusty, alkoholowy wyziew, śmierdzący starym dymem z papierosów —

— Nigdy nie pozwolę, żeby mi cię zabrali. Jesteś moim wszystkim.

Dobiega stłumiony, chrząkający odgłos: jakby Prezes chlipał cichutko lub tylko się śmiał. A może to tylko jest odgłos starego powietrza wypychanego raz po raz z jego ciała. Albo to ich ciała zderzają się z sobą, i w jakimś radosnym ferworze Prezes przywala go swym ciałem i wczepia się w niego kurczowo, podczas gdy swoją wielką, ciężką, pełną wdzięczności głowę schyla nad szyją i karkiem, i łopatkami Staszka, i swymi obrzmiałymi wargami i wielkim mokrym językiem zaczyna ssać i wylizywać wszystko to ściekające, zapaćkane, co przedtem wcierał mu w skórę. I po trochu, pchnięcie za pchnięciem, ciało Staszka wbija się coraz głębiej w ścianę. Chłopiec tkwi tam bez ruchu jak zgnieciony insekt: zupełnie nie do odróżnienia od tego niemego odcisku, który zostawiło jego martwe ciało. I teraz nie ma już ściany — płaczu ani bólu. Jest tylko ciało bez głowy. A kto się może bać ciała bez głowy?

I Prezes pochyła się, klepie się po udach i zaczyna opowiadać:

— Był pewien chłopiec o imieniu Kindl, który miał klucze do wszystkich domów w całym mieście. Nie było takiej bramy, której nie można by otworzyć za pomocą kluczy Kindla. Te jego klucze pasowały do domu burmistrza, stojącego koło zamku, jak i do skromnego mieszkanka rabina, za synagogą. Miał też dostęp do składu, gdzie młynarze przechowywali worki z mąką, i do mieszkań wszystkich bogatych kupców w mieście. Mógł sobie wejść i wziąć, co tylko chciał, ale to nie był taki chłopiec, który by chciał cudzego.

I miał też dostęp do ludzkich serc. Często był przerażony tym, co widział, kiedy otwierał drzwi do ludzkich serc. Tyle tam było zła, zawiści, zdrady. (Ale kiedy przekreślił kluczyk do serca swojej matki, to widział tylko, jak ona bardzo go kocha...!)

I Kindl chodził, jak miał w zwyczaju, po mieście i otwierał swoimi kluczami różne drzwi. Ludzie przywykli do tego, że przychodzi i często wystawiali dla niego jedzenie. Dla wielu w mieście to był dobry omen, że Kindl ich odwiedza. Drzwi nie powinny stać zamknięte i zaryglowane. Drzwi są do tego, żeby ludzie nimi wchodzili i wychodzili. Do czego miałyby inaczej służyć?

Wielu ludzi w mieście bardzo lubiło Kindla.

No i pewnego razu natrafił na taki dom, którego wcześniej nie widział. Duży, wspaniały dom o wielu piętrach, z blankami i wieżyczkami. Brama musiała mieć co najmniej ze trzy metry wysokości, i Kindl, który był niskiej postury, jedynie z trudem sięgał swoim kluczem do dziurki w zamku.

Ale klucz pasował i Kindl, choć z mozolem, otworzył te drzwi.

Jednak za drzwiami był tylko wielki, pusty mrok i jakiś potężny głos, który powiedział: „Nie bój się, Kindl, wejdź!”.

Ale Kindl się bał. Nigdy nie widział czegoś podobnego do mroku za tą wielką bramą. Ten mrok był jak nocne niebo bez gwiazd. Wielki i zimny. Nie było nawet wiatru, który by przewiewał te ciemności, wszystko, co tam wpadało, znikало bez śladu, tak jakby nigdy nie istniało.

Pierwszy raz w życiu Kindl nie odważył się wejść. Zamknął drzwi, które dopiero co otworzył, i poszedł do domu, położył się w łóżku i leżał tam chory wiele dni i nocy, a jego matka czuwała przy nim i modliła się do Pana, aby oszczędził jego młode życie.

Kiedy Kindl wreszcie po wielu tygodniach wyzdrowiał, odkrył coś osobliwego. Żaden z jego kluczy nie pasował już więcej do domów. Ani do domu burmistrza, ani do izby rabina; ani do domu młynarzy, ani do gildii kupieckiej; jego kluczom nigdzie się nie udało otworzyć wielkich zamków. Zrozumiał, że mu pozostało tylko jedno. Musi wrócić do tego wielkiego domu i nie bać się, tylko posłuchać wezwania tego głosu i wejść.

Znów stanął przed tą wielką bramą — i tutaj jeszcze klucz pasował. Jakby nie minął długi czas.

Znów stanął przed tym wielkim mrokiem, a w mroku rozległ się ten sam potężny głos: „Nie bój się, Kindl, wejdź!”.

I Kindl zebrał się na odwagę i wszedł w ten wielki czarny mrok.

I nie został wcale oślepiony, jak się obawiał. Nie został też pochłonięty przez tę wielką czarną ciemność, tak jak się bał. Nawet nie upadł, tylko unosił się w mroku, jakby spoczywał w wielkiej pewnej dłoni. I zrozumiał, że ten potężny głos, który przemawiał do niego z mroku, to był głos Pana Boga, i że Bóg chciał go tylko wystawić na próbę. Od tego dnia Kindl był u siebie w domu, gdziekolwiek by na świecie był. I nikogo nie musiał się obawiać, niczego się bać, nawet mroku, wiedział już bowiem, że dokądkolwiek by w tym mroku poszedł, tam będzie Bóg i poprowadzi go właściwą drogą.

Pięć dni po ósmym i ostatnim dniu Chanuki Prezes getta, Mordechaj Chaim Rumkowski, wyprawił bar micwę swojego adoptowanego syna, Staszka Rumkowskiego. Ceremonie odbyły się w dawnym prewentorium na Łagiewnickiej 55, gdzie Mosze Karo zwykle zbierał swoje *minjany* i gdzie Prezes, jak fama głosiła, spotykał się z chasydami. Mosze Karo szedł na czele niewielkiej procesji, która niosła przez getto Sefer Torę, całą drogę z zamkniętej galerii w szkole Talmud Tora na Jakuba; i niósł rodął Tory otwarcie, nie bojąc się donosicieli czy nieprzekupnych szpicli z kripo.

Był ścięty mrozem zimowy dzień. Dym wędrował z kominów prosto w niebo, które niczego nie przyjmowało ani nie odrzucało.

Poza członkami najbliższej rodziny zebrało się około trzydziestu zaproszonych gettowych *honorarioses*, oprócz bliskich ludzi Prezesa, jak szefowa Centralnego Sekretariatu, panna Dora Fuchs, i jej brat Bernard, pośród gości znaleźli się także szef Centralnego Biura Resortów Pracy, pan Arek-Aron Jakubowicz, sędzia Stanisław-Szaja Jakobson, pan Izrael Tabaksblat i oczywiście także Mosze Karo, który ongiś swoją zdecydowaną interwencją ocalił chłopcu życie i który może był dla niego bardziej ojcem niż sam Prezes, choć tego oczywiście nie dało się głośno powiedzieć w taki dzień jak ten. To jednak Mosze Karo, na znak szczególnej wspólnoty między nimi, podarował chłopcu tałas, który ten po raz pierwszy założył teraz, siedząc na podium i czekając.

Potem wniesiono rodął, a ponieważ nie było rabina, który by mógł odprawić ceremonię, to znowu Mosze Karo przypadł obowiązek przejścia wśród zebranych, tak aby każdy, kto chce, mógł ucałować *cicit* przy swoim tałasie i dotknąć Tory. Wśród zgromadzonych, w zimnej salce, wytworzył się intymny, ciepły nastrój, który pan Tabaksblat jeszcze podkreślił swoim czytaniem Tory. Z Ksiąg Prorockich na ten dzień przypadł według kalendarza fragment z Ezechiela i młody Rumkowski wyrecytował jasnym, dźwięcznym głosem tekst, którego został nauczony.

Tak bowiem mówi Pan:

Oto Ja wezmę synów Izraelskich z pośrodku tych narodów, do których byli zaszli, i zgromadzę ich zewsząd, a przywiodę ich do ziemi ich.

I uczynię ich narodem jednym w ziemi, na górach Izraelskich, i będzie król jeden nad onymi wszystkimi za króla; a nie będą więcej dwa narody, nie rozdziela się nigdy więcej na dwoje królestw.

Nie splugawią się więcej plugawymi bałwanami swemi, i obrzydliwościami swemi, ani jakimi przestępstwami swemi; i wybawię ich z każdego mieszkania ich, gdzie zgrzeszyli, i oczyszczę ich, i będą ludem moim, a Ja będę Bogiem ich.

Tylko raz Staszek się zająknął. To było wtedy, kiedy według ceremoniału miał zwrócić się ku swym rodzicom i podziękować im, że mu umożliwili zdobycie wiedzy, dzięki której on może teraz zostać członkiem zgromadzenia. Prezes siedział z małżonką, bratem i bratową na samym przedzie, najbliższym prowizorycznego pulpitu do czytania, z głową pochyloną i z nogą założoną na nogę, tak jakby niecierpliwość, którą czuł, sprawiała tylko, że zapadał się sam w siebie jeszcze głębiej.

Staszek patrzył na niego, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Wtedy wystąpił naprzód Mosze Karo i zaczął mu podpowiadać. Szeptał pierwszy, a chłopiec za nim powtarzał, i odbyło się to tak szybko, że chyba nikt tego nie zauważył. Regina siedziała ze swoim wielkim uśmiechem na twarzy, który nosiła teraz dzień i noc, a obok niej siedziała księżna Helena, która teraz podniosła się szczęśliwie ze swojego „łóża boleści”, aby — jak jednocześnie donosiła Kronika — na powrót objąć kierownictwo wszystkich garkuchni w getcie. Jej zastępczyni na tym stanowisku, której nazwiska nie podano, zmuszona była się wycofać, jak to wyrażono, „z

przyczyn politycznych”.

Z przodu, przy pulpicie, wybrzmiały już święte słowa i zgromadzeni podnieśli się, aby opuścić święte pomieszczenie i wyjść pod wysokie białe niebo, które było jak olbrzymia dziura, w którą wlewało się wartkim strumieniem wszelkie światło. Tylko paręset metrów dzieliło prewentorium od nowego mieszkania Prezesa, gdzie wydano „spartański” poczęstunek z chlebem i winem i mnóstwem podarunków.

*

To zdjęcie zrobił Mendel Grossman. Grossman należał do grupy pięciu, sześciu fotografów zatrudnionych w Biurze Ewidencji Ludności i Archiwum getta. Między innymi to on robił zdjęcia do tych książeczek pracy, które mieszkańcy getta od lata 1943 musieli wszędzie z sobą nosić. Ta fotografia nie różni się bynajmniej od tamtych wszystkich pod względem sposobu aranżacji, oświetlenia, wykonania, ze specyficznym przedłużeniem ekspozycji sprawiającym, że ludzie na zdjęciu wyglądają tak, jakby wychodzili ze swych ruchów, tak jak inni wychodzą ze swoich ubrań.

Regina Rumkowska: wyprężona wewnątrz swojego szerokiego, lecz łękiego uśmiechu, tak jakby stała za pękniętą albo stłuczoną szybą i rozpaczliwie próbowała zademonstrować swoją dobrą wolę komuś po drugiej stronie;

Chaim Rumkowski: poruszający się do przodu albo w stronę środka zdjęcia, z jedną ręką niezdarnie wyciągniętą w czymś w rodzaju błogosławieństwa czy gestu pokoju;

i Staszek Rumkowski, ich syn: ubrany w jarmułkę i tałas, który otrzymał od pana Mosze Karo, i ze świecą w ręku.

Tylko że to nie świeca (jak to widać teraz), ale jakiś ptak, który wzbija się do lotu z jego palców i znika gdzieś w górze ze zdjęcia, tak szybko, że aparat nie nadąza. A za nimi trojgiem, w tle, gdzie w pracowni fotografa byłaby jakaś kulisa albo kawałek efektownie udrapowanej kotary, wyłania się jakby klatka piersiowa czy też kolumnada w ruinach pałacu, szereg za szeregiem, jakby pręty klatki, w której oni wszyscy są więźniami.

III

Ostatnie miasto

(wrzesień 1942 – sierpień 1944)

Była scena. Na scenie getto. Był nawet dookoła sceny drut kolczasty pokazujący, gdzie się getto zaczyna, a gdzie kończy. Aktor przechadzał się wśród dekoracji, podnosił drut, pokazywał i wyjaśniał. „Tu mamy drut. I nie próbujcie lepiej przez niego przełazić, bo to się dla was źle skończy. Ani zabierać go z sobą do domu, bo to się dla was skończy jeszcze gorzej...!” A publiczność w Domu Kultury zarykiwała się ze śmiechu. Regina Rumkowska nigdy nie widziała tak rozbawionej publiczności jak ta, której paru tandetnych aktorów rewiowych pokazywało jej własny, mały świat. Potem spuszczone na sznurkach spod sufitu tekturowe postacie; zwykle sylwetki z plecami z kartonu. Rozpoznała je wszystkie, chociaż twarze naszkicowano tak niedbale, że trudno je było rozróżnić. Tu jechał Prezes w swoim powozie; tu szedł na patrol szef policji Rozenblat z wysoko uniesioną pałąką, a tu szedł Wiktor Miller, *der Gerechter*, w białym lekarskim kitlu trzepoczącym wokół drewnianej protezy, a tu siedział sędzia Jakobson w swojej sali sądowej, jako marionetka, i machał młotkiem sędziowskim w górę i w dół, podczas gdy złodzieje i inni złoczyńcy paradowali jeden za drugim, długim rzędem, przed jego wysokim stołem.

Ale ponad nimi wszystkimi wisiała jedna jedyna Twarz. Twarz była gładko wygolona, miała gładkie, ciemne wypomadowane włosy i szczery, otwarty uśmiech jak u dziecka. A pod nią na scenie zgromadził się chór, aktorzy jeden po drugim wybiegli, wzięli się pod ręce i zaintonowali:

Gertler der najer kejser

Er iz a jid a hejser

Er zogt undz cu cugebn

Men zol es nor derlejbn

Er wet pojln baj dem jeke

Men zol efenen di geto

[Gertler to nasz nowy cesarz

Żyd i facet pierwsza klasa

Obiecuje większy przydział

(Oby tylko człowiek dożył)

Ma wystarać się u Niemca

Żeby getto nam otworzył]

„Gertler...?!” W tej piosence wcale nie chodzi przecież o Gertlera! Regina sama nie wiedziała, jak mogła przemknąć jej przez głowę taka bluźniercza myśl. Wszak to jej małżonek jest Prezesem getta i to oczywiście pod jego adresem był skierowany ten aktorski, satyryczny hołd. Jednak zdawała sobie sprawę, że wśród publiczności jest dużo więcej takich, którzy w myślach zamieniali starą, zwiotczałą twarz Prezesa, zwieszającą się na sznurku spod sufitu, na dużo bardziej atrakcyjny portret młodego szefa policji, majaczący na kartonowej planszy w tle.

Chaim Rumkowski był administratorem, dawał ludziom poczucie pewności przy całym tym głodzie i poniżeniu. Lecz Dawid Gertler to zupełnie co innego. To jakby graniczyło z magią. Umiał się ruszać tak swobodnie, tak łatwo przychodziło mu rozmawiać z ludźmi. Do tego dochodziły oczywiście jego nadzwyczaj dobre stosunki z niemieckimi władzami. Biebow, jak mówiono, dosłownie jadł mu z ręki! Już samo to przekonywało wielu, że Gertler należy całkowicie do innego świata.

Na przyjęciu po tym przedstawieniu widziała Gertlera, jak stoi, tak jak zawsze, w gromadzie

mężczyzn wpatrzonych w niego z podziwem, i tłumaczy, że Niemcy to przecież też ludzie:

— Jestem głęboko przekonany, że gdyby Żydzi kiedyś serio spróbowali traktować Niemców jak ludzi, to de facto wiele by na tym zyskali — powiedział, wywołując tym huragan śmiechu. Ludzi skręcało wół; bili się dłońmi po udach; dusili się: aż tak się zaśmiewali.

I pamięta, że pomyślała wtedy: „Tak mówi tylko człowiek, który nie wie, co to strach”.

A strach był przecież wszystkim w owe dni. Strach sprawiał, że martwiały stawy, oddechy więzły w gardłach. Strach kazał ludziom co rano starannie układać swoje rysy twarzy i lękliwie baczyć na wszystko, co dzieje się za ich plecami. Strach kazał tym mężczyznom i kobietom, którzy siedzieli na widowni, śmiać się tak nieprzytomnie z karykatur prezentowanych przez aktorów rewii, że ten śmiech zbliżał się niemal do ekstazy. Nareszcie mieli szansę, aby wyjść ze swoich nieszczęsnych ciał i twarzy. A potem wszyscy rozmawiali z sobą tak głośno i z taką afektacją, że słyhać było same głosy i ani słowa z tego, co mówiono, o ile w ogóle coś wtedy powiedziano.

Mówili wszyscy. Z wyjątkiem Gertlera.

On stał cicho, poza kręgiem światła, i był jedynym, który wie, gdzie są sekretne wyjścia z getta, a jej tęsknota, aby razem z nim wyjść przez nie, była tak silna, że aż ją bolała w piersi.

*

O stosunku Chaima do Dawida Gertlera właściwie niewiele jest do powiedzenia:

Początkowo nie miał do niego zaufania. Następnie się od niego uzależnił. A w końcu zaczął się go bać i nienawidzić go.

Jednakże zanim nieufność przekształciła się w nienawiść, Gertler bywał w ich domu częstym gościem. Miał w zwyczaju pojawiać się o najróżniejszych porach dnia i nocy, aby prowadzić długie, poufale rozmowy ze swoim Prezesem. Zdarzało się także, że zjawiał się po to, by porozmawiać tylko z nią. „Doszły mnie słuchy, że ostatnio nie czuje się pani najlepiej, pani Rumkowska”, potrafił na przykład powiedzieć, aby tylko usiąść, by trzymać w ręku jej dłoń i z głęboką powagą zaglądać jej w oczy.

Wiedziała oczywiście, że to aktorstwo:

Jeżeli Gertler przychodził z wizytą pod nieobecność Prezesa, chciał się dowiedzieć czegoś, o czym sam Prezes nie mógł albo nie chciał mu powiedzieć.

Jednak Regina nie umiała oprzeć się pokusie, aby mu się zwierzać. Pewnego razu wygadała się nawet z tym n a j g o r s z y m. Na wiele sposobów dała mu do zrozumienia, że Chaim jest z niej niezadowolony, ponieważ do tej pory jeszcze nie zaszła w ciążę. Gertler popatrzył wtedy na nią swoimi wielkimi oczami, a potem spytał, skąd ma pewność, że akurat dziecko miałyby być dla niej jedynym właściwym rozwiązaniem. „W takich czasach jak te dzieci mogą być raczej obciążeniem”, powiedział, a potem, jakby mimochodem, zaczął mówić o paru swoich zaufanych w niemieckim zarządzie getta.

Często mówił w ten sposób o osobach z niemieckich władz, najchętniej z jakimś określnikiem sugerującym charakter jego z nimi stosunków, na przykład „stary” Joseph Hämmerle albo „mój przyjaciel” Hauptsturmführer SS Fuchs, i pytał ją, co każe jej sądzić, że ci wysoko postawieni ludzie mierzą wszystkich Żydów jedną miarką? Wszak oni też nie są ślepi. Nie dalej jak teraz, w tygodniu, odwiedził go ten smarkacz Schwind, prawa ręka Biebowa, bo chciał wywiedzieć się o inżynierów Dawidowicza i Wertheima, którzy tak skutecznie zreperowali w getcie aparaturę rentgenowską. — Schwind twierdzi, że w Hamburgu mają właśnie teraz pilne zapotrzebowanie

na zdolnych techników rentgenowskich, i może nawet dałoby się załatwić jakiś bilet. — Do Hamburga? — spytała Regina. A Gertler:

— Nawet *Herrenvolk* nie jest w stanie opanować w s z y s t k i e g o; i żeby zdobyć kompetencje, których potrzebują, zapewne nawet niejeden nazista gotów jest zrobić wyjątek od reguły. — Istnieje pewna lista — zwierzył jej przy pewnej późniejszej okazji — nieoficjalna lista, która krąży wśród władz Litzmannstadtu, z nazwiskami bardzo nielicznej garstki Żydów, których personel niemieckiego zarządu uważa za a b s o l u t n i e n i e z b ę d n y c h. Ale żeby zostać wpisanym na tę listę, musi się najpierw zadeklarować władzom swoją dostępność; że w każdej chwili człowiek jest gotowy stawić się do dyspozycji. — Czy Chaim jest na tej liście? — nie mogła się powstrzymać, by nie spytać, i zobaczyła tylko, jak on kręci głową ze smutnym uśmiechem. — Niestety, nie; Chaima nie ma na tej liście, uważa się go, szczerze mówiąc, trochę za prostaka, a poza tym jest zbyt związany z gettem. Lecz z drugiej strony — przecież inni ludzie, ludzie tacy jak ona na przykład, mieli szansę trafić na listę, jeśli spełniają konieczne warunki; pani Regina jest przecież, w odróżnieniu od niektórych — nie miał w tej kwestii wątpliwości — kobietą z klasą i o pewnej ugruntowanej pozycji.

Dopiero dużo później miała pojąć, że w ten sposób i pod tą postacią mówił do niej Diabeł. W getcie śmierdzącym fekaliami i zgnilizną Diabeł był dobrze ubrany, jego ciało pachniało przyjemnie. Zwierzyła mu się, że getto to dla niej nie mury, które ją otaczają, i nie druty, getto to nie godzina policyjna, nie głód czy choroby, tylko coś, co w niej tkwi jak ość uwięzła w gardle: powolna śmierć przez uduszenie; i że musi wydostać się z tego, co jej zabiera każdy łyk powietrza, w przeciwnym razie najzwyczajniej umrze. A Diabeł schylił się, wziął ją za rękę i powiedział:

— Nie martw się, Regina, cierpliwości.

Jak nie da się innym sposobem, to cię wykupię.

Zatem we wrześniu 1942 władze ogłosiły swój całkowity zakaz poruszania się po getcie, *di gejszperre* albo po prostu szperę, jak potem mówiono. Ten zakaz wychodzenia z domu obowiązywał siedem dni i na ten okres rozkazano najwyższej warstwie elity rządzącej gettem, by pozostała w swoich letnich rezydencjach i w żadnym razie nie wybierała się do getta.

Przez okno w kuchni na Karola Miarki, pod przekwitłymi teraz krzakami bzu, Regina mogła widzieć długie kolumny niemieckich wojskowych samochodów nadjeżdżające od stacji na Radogoszczu. Pod plandekami siedzieli żołnierze w pełnym rynsztunku, z karabinami wetkniętymi między nogi. Spod hełmów wyglądały znudzone twarze albo tylko szczeniackie blond uśmiechy.

Szupo zamknęło wjazd na Miarki zasiekami. Nie wiedziała właściwie, czy po to, żeby ich tutaj zatrzymać na miejscu, czy żeby nie dopuścić tu nikogo stamtąd. Czasem się rozlegała intensywna strzelanina od strony wielkiego, otwartego pola na drugim końcu Próżnej. Cały czas nadjeżdżały nowe konwoje z oddziałami SS. Jednak tych dzieci, o których tyle się mówiło, nigdy nie widziała.

Dni, które nadeszły, były chaotyczne.

Wszyscy chcieli widzieć się z Prezesem, ale Prezes ogłosił, że jest niedysponowany, zamknął się w sypialni na piętrze i odmawiał spotkania z kimkolwiek.

Łomotano do drzwi. Wołano przez dziurkę od klucza. Panna Dora Fuchs padła nawet przed progiem na kolana i donośnym głosem wyliczała nazwiska wszystkich zrozpaczonych ludzi, którzy go szukali. — To sprawa życia i śmierci, chodzi o całe getto, nie może pan teraz po prostu nas zostawić! — Wysłano tam także Reginę. Bądź co bądź była jego żoną. — Proszę, ze względu na Benia — powiedziała. O ile wcześniej jednak imię jej brata sprowokowałoby wiązanek przekleństw płynących zza drzwi, o tyle teraz odpowiedzią była głucha cisza. — Czy Prezes w ogóle tam jest? — spytała z głupia frant Helena Rumkowska. Józef Rumkowski zaproponował, aby zwyczajnie wyważyć drzwi. Lecz wszyscy zaoponowali. Pan Abramowicz stwierdził, że muszą zachować umiar. Pan Prezes potrzebuje samotności, aby pozbierać myśli w tej krytycznej chwili. Wyjdzie, gdy przyjdzie na to czas.

W końcu zjawił się nawet Gertler, jak zwykle schludnie ubrany, w krawacie i garniturze, choć z powalaną czymś twarzą (czy to krew, czy brud?) i grzbietem ręki, i z zapachem wczepionym w ubranie, kwaśno-mdłym, jakby od chemikaliów albo spalonego oleju.

Wraz z nim przybyli Szlomo Frysk, odpowiedzialny za ochotniczą straż pożarną Marysina, oraz komendant IV rewiru Służby Porządkowej, pan Isaja Dawidowicz. Za nimi szli dwaj policjanci z wielkim półmiskiem spowitym w białe lniane płótno i z tym półmiskiem między sobą całą piątką poszli schodami na górę, aż pod drzwi Prezesa, i pan Gertler zapukał, a następnie obwieścił uroczystym głosem:

— Nawet nie wiesz, Chaim, jakie masz szczęście; moja żona właśnie wyjęła z piekarnika blachę z pieczonymi jabłkami dla ciebie, z cukrem i cynamonem!

Potem zeszli na dół, do kuchni, i usiedli sami, żeby zjeść. Wśród ludzi Gertlera w ogóle panował osobliwy nastrój. Śmiali się i hałasowali cały czas, jakby po to, żeby nie musieć patrzeć na siebie lub z sobą rozmawiać. Lecz na najmniejszy gest Gertlera wszyscy milkli i odwracali się ku niemu, jakby oczekując dokładnych rozkazów.

Sam Gertler zdawał się uosobieniem spokoju. Powtarzał zapewnienia władz o tym, że celem

akcji jest wyłącznie oczyszczenie getta z elementów nieproduktywnych. — Jak ktoś ma swoje papiery w porządku, nie musi się niczego bać.

— Ale mój brat...! — zaproponowała Regina.

Także inni pragnęli się dowiedzieć, co się stało z krewnymi, których musieli zostawić w centrum getta. Wtedy Gertler kategorycznym gestem nakazał ciszę przy stole. — Władze — rzekł — oczywiście same ubolewają nad tym, że parę razy użyto przemocy. Stało się tak tylko dlatego, że naszym własnym siłom porządkowym nie udało się na czas wywiązać z poruczonego im zadania. To, czego byśmy teraz potrzebowali, to ktoś, kto by potrafił wziąć to wszystko w g a r ś ć; ktoś typu Przewodniczącego — dorzucił, uśmiechając się przelotnie, ledwie dostrzegalnie. Jednak dopóki Prezes raczy uchylać się od tej odpowiedzialności, on osobiście, wraz z panami Jakubowiczem i Warszawskim, stworzył prowizoryczny „komitet kryzysowy”, który gromadzi środki na wykup e l i t y i n t e l i g e n c k i e j mającej kluczowe znaczenie dla przetrwania getta, a nie dysponującej może nieodzownym kapitałem. Komitetowi udało się także, z cichym poparciem Biebowa i Fuchsa, stworzyć chroniony teren, nazwany przez nich z a g r o d ą, dokąd przeniesie się dla bezpieczeństwa mężczyzn i kobiety, których obejmie ta amnestia. I to dotyczy oczywiście także ich starców i dzieci — dorzucił.

— Gdzie się znajduje ta zagroda? — spytał ktoś.

— Naprzeciwko szpitala na Łagiewnickiej.

— Czy to prawda, co mówią, że wszystkie szpitale opróżniono z pacjentów?

Ale na to Gertler nie odpowiedział. Położył swoje zbrukane krwią ręce na stole i powoli powstał. — Ja stanowczo domagam się widzenia z moim ojcem i moim bratem Benjaminem — powiedziała Regina. — Wiem, że oni jeszcze tam są.

— Możesz pojechać ze mną — rzucił tylko Gertler.

Okazało się, że już załatwił środek transportu. Jakaś półciężarówka z Litzmannstadtu z wysokimi białymi błotnikami stała zaparkowana z jednym z przednich kół w rowie. Szofer nosił czapkę z błyszczącym lakierowanym daszkiem, jak pierwszy lepszy miejski goniec, i wzrok mu się rozbiegał, kiedy spostrzegł Gwiazdy Dawida na ich piersiach. „Przy wjeździe mnie spytali, czy jestem folksdojcz, no to im mówię, że tak, ale właściwie jestem Polak”, mówił, zezując na Gertlera, który powiedział mu, żeby się przymknął.

Regina nigdy nie słyszała, żeby Żyd zwracał się w ten sposób do Polaka albo w ogóle Aryjczyka; lecz przypuszczalnie szofer był jeszcze jednym z tych „kupionych” przez Gertlera.

Usiadła obok niechętnego szofera z Gertlerem po swojej prawej stronie. Dwaj ludzie z Sonder pomogli doktorowi Eliasbergowi wdrapać się na platformę. Eliasberg jechał z nimi, ponieważ Gertler stwierdził, że wewnątrz zony bardzo brakuje lekarzy. Następnie szofer wrzucił wściekle zgrzytający bieg i wyprowadził tyłem wóz na rozjeżdżoną drogę.

Nie była w getcie od momentu, gdy wprowadzono zakaz wychodzenia. Na wszystkich ulicach panował wtedy rozpaczliwy tłok, gdy ludzie próbowali zdobyć prowiant, który by wystarczył na dłużej niż parę dni. Teraz wyglądało, jakby przeszła tędy wojna. Drzwi do klatek schodowych i bramy na podwórza stały pootwierane, a bruk zaściełały porozrzucane książki i tałesy, i krwawe materace, i wybebeszone ze sprężyn kanapy. Żadnych niemieckich posterunków nie widziała; tylko resztki ulicznych zapór i zasieków, najwyraźniej odciągnięte pośpiesznie na boki.

Dopiero na Łagiewnickiej zostali zatrzymani przez jakiegoś oficera szupo, który, gdy tylko samochód się zbliżył, kazał jednemu ze swoich wachmanów wyjść na ulicę z podniesioną dłońią.

Spojrzawszy szybko na Gertlera, którego żółta gwiazda oczywiście rzuciła się w oczy, zwrócił się do szofera i zażądał dokumentów. Szofer, którego rola dopiero teraz stała się jasna, wysuwał nerwowo przez otwarte okno papier za papierem. Żandarm odsunął się o krok, by przejrzeć dokumenty, potem wrócił i zadał pytanie Gertlerowi, który odpowiedział szybko jak seria z automatu i zaskakująco stanowczą niemczyzną:

— *Der Passierschein ist vom Herrn Amtsleiter persönlich unterschrieben.*

— Zobaczysz jeszcze, że z Bożą pomocą uda nam się większość uratować, powiedział po żydowsku do Reginy, podczas gdy szofer brał z powrotem dokumenty od policjanta, który zaszalutował im, ku jej zdumieniu, zanim ich przepuścił.

Powoli wjechali na teren nazywany przez Gertlera *optgesamt* — zagroda. Teren składał się z zamkniętego dziedzińca otoczonego przez czynszowe kamienice, niektóre tak zdewastowane, że fragmenty ścian się zawaliły; tam, gdzie dla ochrony przed skwarem i muchami nie rozpostarto koców i prześcieradeł, można było zajrzeć do środka przepelnionych mieszkań, jak do ula. Wzdłuż wysokiego płotu z desek, postawionego od ulicy, szwendali się dawni gettowi *Funktionsträger*: personel administracyjny Wydziału Socjalnego i gettowego *Arbeistamtu*; *resort lajterzy*; kierownicy; urzędnicy policji i straży pożarnej oraz ich żony i dzieci: osobliwie cisi i milczący tłoczyli się teraz wszyscy pod bramami ze wzrokiem wlepionym w spustoszenie na zewnątrz.

Naprzeciwko znajdował się szpital — lub to, co kiedyś było szpitalem — gdzie ciągle jeszcze trwało plądrowanie, na oczach zamkniętych żydowskich funkcjonariuszy.

Stojaki na kroplówkę, stoły do badania, leżanki, szafki medyczne — co tylko dało się wynieść — wynoszono drzwiami głównego wejścia.

Wyraźnie pijani dowódcy chodzili dokoła i komenderowali żołnierzami. Na podjeździe stało kilka wysokich wozów w kształcie balii, używanych zwykle przez białą gwardię do przewozu mąki i ziemniaków, i przy asyście resztek szpitalnego personelu specjalnie w tym celu zebrana kompania żydowskich tragarzy ładowała meble na platformy. „*Vorsicht bitte, vorsicht...!*”, krzyczał jeden z oficerów usiłujący pokierować pracą, chociaż sam nie był bynajmniej ostrożny, gdy się zataczał wśród masy potłuczonego szkła.

W powietrzu unosił się teraz ten sam błyszczący, mdlący oleisty smród, który Regina przedtem wyczuła w ubraniu Gertlera; swąd spaleniźny: jakby chemikaliów, które podgrzane wyparowały. Może ten smród dobiegał z rabowanego szpitala naprzeciwko, a może była to jakaś substancja w tym ogniu, który ktoś rozpałił tu po wewnętrznej stronie ogrodzenia, w dołku przy jednym z zejść do piwnicy. Wokół czarnego słupa dymu — który się wznosił w bezlitosny, prawie przejrzysty błękit nieba — włóczyła się wygłodzona, beczynna dzieciarnia, chłopcy w marynarkach i spodenkach do kolan i dziewczynki w nieskazitelnie pewnie kiedyś białych sukienkach z gorsetem, a we włosach kokardki jak śmigła. Wszędzie, gdzie tylko było miejsce, wyrosły obok siebie wieże i stopy kufków i walizek, a w cieniu tych gór bagażowych siedziały albo leżały gromady dorosłych. Także jej ojciec siedział, a raczej półleżał, na starym, składanym krzeselku, z twarzą zwróconą w stronę kłębow czarnego dymu. Ktoś litościwy rozpostarł mu na ciemieniu chusteczkę do nosa, aby osłonić łysą głowę od słońca. Lecz jego twarz była już oparzona, a jedna ręka — ta leżąca na oparciu krzeselka — spuchnięta do podwójnej grubości.

„Tę rękę musiałem gdzieś przygnieść”, opowiadał ojciec, „albo ktoś ją przydepnął”, kiedy tamtego ranka ładowali ich na platformy, już sam nie pamiętał. Tylko to, że na salę wpadło nagle

z pół tuzina wrzeszczących niemieckich żołnierzy. To było o świcie, dużo wcześniej, nim siostry zaczynały chodzić i opróżniać baseny. Byli tacy, co próbowali uciec — ci, którzy mogli sami chodzić — ale tych żołnierze zgarnęli od razu, czy może ci żydowscy *policajtn* rozstawieni po korytarzach jako wartownicy. Potem tych wszystkich, którzy zostali w salach, czy mogli chodzić albo stać na własnych nogach, czy nie, wypędzono i wywleczono głównym wyjściem i powrzucono na wysokie przyczepy.

Więcej nie pamiętał. Poza tym, że w końcu przyszedł Chaim. To była chwila wielkiej ulgi, gdy Aron Wajnberger wreszcie zobaczył swego zięcia. „Chaim, Chaim...!”, wołał do niego z wysokiej przyczepy traktorowej.

Ale Chaim Runkowski niczego nie widział albo nie dosłyszał. Po krótkich pertraktacjach na miejscu z dowódcami SS Prezes obrócił się na pięcie i zniknął w budynku szpitala.

— A Benio? — Regina chwyciła ojca za ramiona, prawie nim potrząsnęła.

Lecz pod swoją białą chusteczką Aron Wajnberger widział ciągle wyłącznie swojego zięcia: — To wyglądało, jakby Chaim stał się dla nas kimś zupełnie obcym. Jakby nas więcej nie widział. Możesz mi to wytłumaczyć, Regina? Jak to możliwe, żeby nas tak nagle przestał widzieć...?

Gertler przez cały czas zostawał przy szlabanie zamykającym wjazd na ogrodzony teren; stał w towarzystwie żydowskich strażników, z którymi sobie żartowali, ale teraz podeszło tam dwóch cywilów, Niemców z Zarządu Getta, i Gertler został ponownie zmuszony „odejść na stronę”, aby negocjować. Podczas gdy Gertler rozmawiał z Niemcami, Regina usiłowała podnieść ojca, trzymając go pod ramiona. Poprosiła szofera o pomoc, ojciec bowiem nie mógł sam chodzić, jednak szofer cofnął się bojaźliwie. Nie miał odwagi zrobić czegokolwiek, dopóki byli tam ci Niemcy.

Potem Gertler wrócił. Kiedy z powrotem usiedli w samochodzie, spytała go, czy mogą jechać dalej, do szpitala na Wesolej. Gertler pokręcił głową; to było niemożliwe. Tam wszystko dookoła było zagrodzone.

— Ale Benio — zaklinała go.

Powiedział, że się rozpyta. Na pewno jest ktoś, kto wie, dokąd go zabrali. Zrobi, co tylko będzie mógł.

Kiedy wjechali z powrotem na Miarki, zobaczyła, że drabina, którą pan Tausendgeld przystawił do ściany, żeby zajrzeć przez okno Chaima, jest zdjęta; sam pan Tausendgeld wrócił na *działkę* Józefa i Heleny i stał wewnątrz awiarium, podczas gdy setki uskrzydłych istot krążyły wokół jego wyciągniętej prawej ręki. I nagle dostrzegła, jak mały i pozbawiony znaczenia jest świat, który zamieszkiwali tu, na Marysinie: świat z domu lalek na krawędzi przepaści. Chaim zszedł na dół, przerywając swoją izolację, i siedział przy kuchennym stole z oboma łokciami na blacie. A naprzeciwko siedział jakiś *ganew*, może dziesięcio- czy jedenastoletni, o małych, wąskich i bezczelnych oczach. Te oczka przywarły do niej, skoro tylko przestąpiła próg, i w tej samej chwili chłopiec otworzył usta, pozwalając Prezesowi włożyć tam jeszcze jeden kawałek jabłka, które upiekła pani Gertlerowa, posypany cynamonem i cukrem pudrem i dla pewności jeszcze umoczony przez Chaima w świeżej bitej śmietanie.

Regina nienawidziła tego dziecka od pierwszej chwili, cichą, mroczną, irracjonalną nienawiścią, do której nigdy nie była w stanie się przyznać, ani tym bardziej ją zrozumieć albo wytłumaczyć.

Rzecz nie w tym, co to dziecko powiedziało czy zrobiło. Wystarczało już to, że w ogóle istniało. Coś, co p o w i n n o było istnieć wewnątrz niej, było teraz na zewnątrz, i to nie był jej owoc, i od pierwszej chwili, kiedy wzrok dziecka przywarł do jej twarzy, nie opuszczał jej ani na sekundę. Nie mogła ścierpieć, że ktoś na nią w ten sposób patrzy. Parawan uśmiechu, którym zawsze odgradzała się od innych, by nie dopuszczać intruzów, nagle nie dawał jej żadnej ochrony.

Ale k o g o on widział?

C o takiego widział?

*

Po odwołaniu stanu wyjątkowego władze zleciły im przeprowadzkę z dawnego budynku administracji Szpitala nr 1 do paru dość skromnych pokoiów parę kwartałów dalej, także na Łagiewnickiej. Naprzeciwko ich nowych pokoiów mieściła się jedna z niewielu aptek w getcie, która ciągle była otwarta i z której Prezes korzystał jak z *dietki*, by zdobyć mleko i jajka, które mógł tutaj dostać bez recepty. Apteka miała też w asortymencie tabletki nitrogliceryny, które brał „na serce”.

Przez pierwsze miesiące po przybyciu dziecka bez przerwy skarżył się na bóle w piersi i deklarował, że jedyne, co mu przynosi pewną ulgę, to te chwile, kiedy może trochę poleżeć u dziecka; i potrafiła potem leżeć bezsennie godzinami i nasłuchiwać ich zduszonych szepczących głosów i sztucznie radosnych śmiechów Chaima.

Ludzie ich tłumnie odwiedzali w tym nowym apartamencie, tak jak w ich dawnym mieszkaniu, w zrujnowanym teraz budynku szpitala. Także Dawid Gertler wciąż przychodził w gości z dzieckiem i małżonką. Wyraźnie było jednak widać, że stosunki pomiędzy Prezesem a jego dawnym ulubieńcem nie są takie jak przedtem. Gertler przy każdej okazji napomynał, że utworzenie *optgesamt* to tylko i wyłącznie jego zasługa; że podczas owej niefortunnej nieobecności Prezesa nie tylko był zmuszony pertraktować z gestapo całkiem sam, ale też musiał zapłacić z własnej kieszeni za wykup tych, których do tej pory nie odpisano z listy: „Nie znalazła się ani złotówka ze środków publicznych”.

Chaim próbował początkowo bronić się, przybierając żartobliwy ton: „Uważajcie na tego człowieka!”, mówił na przykład, przygarniając do siebie Gertlera ojcowskim, protekcyjnym gestem.

I mogłoby się zdawać, że Gertler akceptuje bez szemrania te docinki, ale wszyscy wiedzieli, że nawet gdyby Prezes nie postanowił zniknąć na okres tych dni, gdy getto przechodziło swój najcięższy kryzys, i tak by nigdy nie był w stanie z władzami negocjować. To mógł jedynie Gertler. Zawsze tak było. Bo czym naprawdę Prezes getta dysponował poza swoimi pyszałkowatymi, niekończącymi się przemówieniami?

Ale już po audiencji Regina zobaczyła także, że młody szef policji zostawił przed bramą do ich nowego mieszkania dwóch ludzi ze swojej ochrony. Dwóch dodatkowych ochroniarzy, poza tymi sześcioma, których Prezes już miał. Od tej pory, jak rozumiała, raporty o wszystkim, co ona czy Chaim robili, szły bezpośrednio do sztabu Gertlera, a stamtąd z kolei do komendy gestapo na Limanowskiego. Chociaż niechętnie tak myślała, to właśnie dlatego Gertler tak często ją

odwiedzał.

Prezes był pod kuratelą. Oto jedyna konsekwencja wszystkich wysiłków, jakie podjął, aby za wszelką cenę „ratować dzieci”.

*

— Tylko wariaci jeszcze wierzą, że są w stanie dogadać się z tymi władzami! — ogłaszał Benio na placach targowych tym, którzy chcieli go słuchać.

— Śmierć nie przestaje być śmiercią tylko dlatego, że chodzi w mundurze!

Dałaby wszystko, żeby dostać z powrotem Benia, choćby tylko na parę krótkich godzin.

Czasem zdarzało się, że po południu Gertler urządzał sobie przerwę w nawale pilnych obowiązków i przychodził do niej na herbatkę, którą pili w pokoju uznanym przez nią i Chaima za jej pokój w tym nowym mieszkaniu. A pani Koszmar podawała herbatę w prawdziwym serwisie, tak jak za starych dobrych czasów, kiedy mieli „prawdziwe” przyjęcia.

I wszystko mogłoby istotnie być prawdziwe. Gdyby nie to dziecko.

Przez cały czas, kiedy konwersowała z panem Gertlerem, ono się snuło pod ścianami.

Prosiła panią Koszmar, żeby ta zajęła czymś dziecko, lecz nie minęło parę minut, a chłopiec znów pojawiał się z powrotem. Słyszała za fotelem jego głośny, posapujący oddech i widziała go, jak skulony siedzi w ciasnej przestrzeni między siedziskiem fotela a podłogą. Właśnie tam, pod jej fotelem, za pomocą paru kawałków sznurka przywiązał buty ich obojga — pana Gertlera i jej — do nóg mebla.

— Królowa nie może się ruszyć!

Królowa nie może się ruszyć!

— wykrzyczał głosem, który w jej uszach zabrzmiał jak kopia głosu Benia. Właśnie tak Benio krzyczał na nią, kiedy byli mali: głosem tak ostrym, że nieomal przechodzącym w falset.

Przez sekundę zrobiło jej się całkiem czarno przed oczami.

Nie pamiętała, czy to ona przywołała panią Koszmar, czy pani Koszmar sama wpadła do pokoju. Tak czy inaczej, w chwilę później dziecko już było zabrane, a Gertler stał zażenowany w przedpokoju, lękliwie bębniąc koniuszkami palców w rondo kapelusza:

— A jeśli chodzi o pani brata, pani Rumkowska, to zapewniam panią, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby wydobyć od władz informację, dokąd mogli go zabrać!

*

Oczywiście było dla niej jasne, że Chaim kochał to dziecko miłością inną od tej, jaką ojciec zwykle żywi do dziecka.

Lecz w takim razie co to była za miłość?

Czasami spędzał całe godziny w tym pokoju, który wybrał dla nich obu i gdzie przesiadywał lub leżał, pieszcząc i karmiąc dziecko. Ale zdarzały się też sytuacje, kiedy zdawało się, że dziecko budzi w nim tylko odrazę i kiedy tylko je beształ i bił. Osobliwe było to, że dziecko bez oporów przystosowało się nawet do ciosów Prezesa. Także ponure usposobienie Prezesa i jego wieczną nieufność wobec wszystkich i wszystkiego dziecko włączyło do własnego charakteru.

W ten sposób dziecko stało się we wszystkim odbiciem ojca. Kiedy Prezesa nie było na miejscu, żeby je rozpieszczać, dziecko leżało nadaśane, z rysunkami, na których uwieczniło kochanego ojca, udrapowanymi na piersi i brzuchu, i jęczało „gdzie jest mój Przewodniczący, gdzie jest mój Przewodniczący”, tak, że aż nie wytrzymała i marzyła tylko, by móc tam wejść i zamordować je raz na zawsze.

Ale w końcu trzaskały drzwi do mieszkania i Prezes był z powrotem; i ci dwaj mogli tam znowu leżeć w objęciach swojej perwersyjnej miłości.

Oni dwaj.

Ona zaś — odtrącona i wykluczona — tęskniła tylko za kimś, kto by mógł ją stąd zabrać.

*

Jednakże dziecko miało pewne własne życie.

Jakkolwiek by to wydawało się odstręczające, była tam wewnątrz pewna wola.

Owe rysunki stanowiły tego dowód.

Kiedy nie leżał z rysunkami rozrzuconymi dokoła siebie na łóżku, przechowywał je w dużym skrzynkowatym pudle, które otrzymał od Chaima i z którym skrzętnie się ukrywał.

Któregoś dnia, kiedy miał lekcje z Mosze Karo, ona wyjęła skrzynkę z kryjówki pod łóżkiem i wyłamała zamek śrubokrętem.

Uważała, że ma do tego prawo.

W pudle znalazła nie tylko papiery, ołówki i kredki, lecz także zbiór aptecznych słoiczków z nieokreśloną zawartością i kilka zawiniątek z płótna lub z papieru przewiązanych grubym sznurkiem. Rozwinęła te paczuszki. W środku leżały pokruszone miodowe ciasteczka, które pani Koszmar podała na ostatnim przyjęciu.

Zapomniała na chwilę o aptecznym szkle i zapatrzyła się na rysunki. Jeden z nich przedstawiał Chaima z trzema owłosionymi naroślami zamiast rąk i nóg. Sama twarz była nabrzmiałą czerwoną dynią, która nabrała dziwnie kobiecego charakteru z powodu włosów sięgających mu aż do pasa. Obok ciała Prezesa był też wizerunek jej samej, w królewskiej koronie na głowie, lecz obramowanej morzem strzelających czerwonych płomieni.

W tym momencie uderzyła ją myśl, że apteczne słoiczki muszą zawierać truciznę i że te miodowe ciasteczka są zatrute, a dziecko zamierza znowu wyłożyć je na stół, gdy nikt nie będzie widział. Rysunek jej głowy otoczonej wieńcem płomieni przedstawiał, rzecz jasna, ją samą płonącą w Gehennie.

To oczywiste. Oto i cała tajemnica:

Dziecko chciało ich wszystkich zamordować.

Tylko skąd on wytrzasnął truciznę?

Przedłożyła dowody Chaimowi. Ale Chaim patrzył to na słoiczki, to na rysunki, nie dostrzegając żadnego związku.

— No przecież zawsze ci mówiłem. Zdolne dziecko.

Może w naszym synu kryje się duch prawdziwego artysty?

To było przy szabasie. Wcześniej zapaliła świece i pobłogosławiła obie chałki, a dziecko siedziało przy ich stole, nie spuszczać z niej spojrzenia, tak jak zwykle.

Chaim odmówił dziękczynienie i pochwałę dzielnej niewiasty, a potem ze szczególnym żarem *Jesimcha Elohim keEfraim wechiMenasze*, i dodał tym podniosłym, mentorskim tonem, którego zawsze używał wobec Dziecka: „...podobnie jak niegdyś Jakub leżący na łożu śmierci powiedział swym synom, Efraimowi i Manassemu, że mają świecić przykładem wszystkim Żydom, tak i ty masz rosnać, świecąc przykładem wszystkim Żydom tu w getcie...”

Uderzyło ją, że Chaim nigdy nie zwracał się do niej inaczej jak tylko w ten dostojny, górnolotny sposób, ponury jak trąby dnia ostatecznego. Także szabas — jedyny prawdziwy, jedyny żywy moment, jaki mieli razem — zamienił się w teatr sztuczności i śmierci.

Siedzieli tu teraz ukryci za swymi Twarzami i Chaim był Prezesem, mówiącym swojej Małżonce, że okrężną drogą doszły do niego słuchy, iż Niemcy ponieśli szereg klęsk na froncie wschodnim i że jeżeli taka będzie wola Najwyższego, to może już na wiosnę da im Pokój; a Dziecko było Złem wcielonym: siedziało tam i spoglądało Wyrachowanym Wzrokiem to na Małżonkę, to na Ojca; a Ojciec uśmiechnął się i rzekł, że przypomina sobie, jak leżał tam w pokoju na Karola Miarki i zadreślał się z powodu tych wszystkich dzieci, które był zmuszony wysiedlić z getta, lecz że w tej samej chwili w jego izbie zjawił się Anioł, zesłany przez Samego Najwyższego, i powiedział Prezesowi — „albo raczej Mordechajowi Chaimowi Rumkowskiemu PERSÖNLICH powiedział Anioł Pański, że to tu w getcie ma być budowany dom, i choćby ostał się z nich tylko jeden, to i tak mieli dalej wznosić swój Dom”; a kiedy potem, tymi słowami utulony w żalu, na powrót wyszedł z tej swojej Świątyni Cierpienia, odebrał telefon, właśnie on, Rumkowski, odebrał telefon od ni mniej, ni więcej tylko od samego Gauleitera Greisera, PERSÖNLICH, który oznajmił mu, że „tak samo jak przykładowo Wolne Miasto Danzig istniało niegdyś pod ochroną ościennych mocarstw, nie ma powodów, aby to żydowskie państwo nie mogło sobie istnieć wewnątrz obecnych granic Trzeciej Rzeszy”; a tak, Gauleiter Greiser użył wyrażenia samego Herzla, „państwo żydowskie”, tak powiedział, i po co zadawać sobie trud budowania tego państwa gdzieś hen w Palestynie, skoro cały „materiał ludzki” jest już tu, na miejscu, w getcie, wszelkie maszyny i cały sprzęt? Wszystko i tak przecież zależy od tej pracy, jaką jesteśmy gotowi w to włożyć. „Tak, tak powiedział Gauleiter Greiser Rumkowskiemu” (powiedział Chaim), i mrugnął do dziecka (a dziecko odpowiedziało mu mrugnięciem); a wtedy Chaim powstał od stołu i powiedział, że ma zamiar położyć się na chwilę i odpocząć przy szabasie, i czy dziecko nie chce iść z nim; tak więc wstali we dwójkę i udali się do swojego Pokoju. I całkiem jak w gangsterskim filmie w kinie Bajka, zza kulis wychynęła szczupła sylwetka Gertlera i jego ironiczny głos zapytał: „Czemu planujesz uciec z getta, Ruchla, nie wiesz, że nigdzie ci nie będzie tak dobrze, jak masz teraz...?”. Widzi, jak Gertler z nonszalanckim gestem wydmuchuje dym przez obie dziurki nosa, potem pochyła się i gasi papierosa w popielniczce, którą ona wystawiła, i dodaje rzeczowym i konkretnym tonem, tak jak Benio (a ich stopy są wciąż przywiązane do nóg fotela):

— On nikogo z was nie oszczędzi, pani Regino, nikogo; on was wszystkich wykończy...

I to o Dziecku teraz mówi. Bez dwóch zdań. To o Dziecku.

Jako pierwszy znak nowych wspaniałych czasów, które miały nadejść, niespełna trzy miesiące po zakończeniu wrześniowej szpery, władze zezwoliły na otwarcie wielkiej Wystawy Przemysłowej, na której 112 już w owym czasie resortów prezentowało swoje fantastyczne wyniki produkcji.

Teraz, po „akcji sanacyjnej”, szpital dziecięcy na Łagiewnickiej 37 zamieniono w halę wystawową. W salach pacjentów i gabinetach zabiegowych na parterze stały witryny i gablotki z przykładami różnych gettowych produktów, a na ścianie ktoś zawiesił wielki transparent ze słynną dewizą Prezesa: **UNSER EINZIGER WEG IST ARBEIT!** wydrukowaną dużymi czarnymi szablonowymi literami po niemiecku i w jidysz.

Naokoło: montaż ze zdjęć z różnych manufaktur:

Młode kobiety przy długim stole roboczym, każda z żelazkiem do prasowania i sztuką materiału w ręku. Zdjęcia kobiet były wklejone w słupki statystyk pokazujące stały wzrost tempa produkcji w gettowych resortach krawieckich. Im wyżej wznosiły się słupki, tym więcej było widać na wmontowanym zdjęciu kobiet, stół za stołem i głowy kobiet pochylone nad żelazkami albo maszynami Singera w nieskończonej wiecznej perspektywie:

Trikotagenabteilung: — Militärssektor: 42 880 Stück.

— Zivilssektor: 71 028 Stück.

Korsett- und Büstenhalterfabrik: 34 057 Stück.

Trzy lata niewolnictwa, trzy lata poddania opresji nie mającej na celu niczego innego jak tylko totalne wyniszczenie getta: to oczywiście trzeba uczcić.

Inauguracja wystawy była dwuczęściowa. Na pierwszą, oficjalną, składały się „przemówienia szefów różnych wydziałów”, następnie obejrzano sale wystawowe. Po tej prezentacji całą imprezę przeniesiono do Domu Kultury, gdzie na program złożyły się: 1. muzyczne potpourri; 2. przemówienie i rozdanie medali przez Prezesa getta; 3. bankiet z odświętnym menu, skomponowanym specjalnie na tę okazję przez *Frau Helena Rumkowski*. Bankiet i przedstawienie w Domu Kultury należały do nieoficjalnej części programu. Przygotowania do niej trwały tygodniami. Ponieważ bankiet został pomyślany jako impreza „mieszana” — to jest: spodziewano się obecności wysoko postawionych osób z niemieckiego zarządu lub sił porządkowych — wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik.

Podobnie jak *Kinderhospital* Prezesa, i zresztą wszystkie inne szpitale na terenie getta, także Dom Kultury poddany był ostatnio gruntownej sanacji. Zburzono i wyniesiono kulisy gettovej rewii pana Puławera, a na to miejsce ustawiono wysokie sztandary; po jednym z każdego resortu. Na ścianie za sztandarami wisiał teraz wielki portret samego Prezesa. To było to klasyczne zdjęcie, na którym uśmiechnięty Rumkowski stoi z naręczem kwiatów i przyjmuje wszystkie szczęśliwe, dobrze odżywione dzieci z getta. Foyer następnie udekorowano girlandami i wiązkami kwiatów zrobionymi ze skrawków tkanin i ścinków papierowych z gettowego *Altmaterialressort*, po czym to wszystko ukoronowano rozwinięciem jeszcze jednego szerokiego transparentu:

UNSER EINZIGER WEG...!

W ten mroźny dzień wiał silny porywisty wiatr.

Niebo było szare jak cement ze śniegiem, który wiatr ciskał kłębami w dachy. Pod siecią drutów tramwajowych nad Łagiewnicką przejeżdża długi szereg *droszkes*, których budy otwierają

się i zamykają jak usta, w takt porywów wiatru.

To przybywają kierownicy różnych oddziałów resortowych:

Szefowie biur i szefowie produkcji, administracji i intendentury. A za nimi z kolei różni przedstawiciele tej trudno definiowalnej klasy, którą Encyklopedia Getta określa tylko jako gettowych inżynierów: szefowie szopów, brygadziści, inspektorzy. Z jedną ręką na rondzie kapelusza, a drugą ściskającą poły palta, aby się pod nie nie wdarł wiatr, wartkim strumieniem napływają do przerobionego, już odartego z wszelkich kulturalnych aspiracji Domu Kultury, gdzie w foyer, pod girlandami i proporczykami, witają ich prominentni, wyniesieni przez okoliczności dygnitarze, tacy jak Aron Jakubowicz i Dawid Warszawski, ludzie, którzy się nauczyli, że najlepszy sposób potraktowania wyzwań, jakie niesie z sobą ten nowy czas, to nie stawać do walki o władzę w getcie (walki, której i tak nie mieli szansy wygrać), lecz zachowywać się tak, jakby getto było zwyczajnym miastem przemysłowym, takim jak każde inne, gdzie się handluje towarami i gdzie wszelkie środki są dozwolone, byle tylko zadowolić mocodawców. Wśród tych prawdziwych architektów Wystawy Getta jest także szef policji Dawid Gertler, ubrany po cywilnemu, ale z dużą literą **W** (od **Wirtschaftspolizei**) na opasce na ramieniu, żeby zaznaczyć swoją, optymalną w tym dniu przynależność.

Teraz rozlega się grzmiąca fanfara orkiestry dętej przy wejściu; panowie w komitecie powitalnym stukają obcasami i prostują plecy:

Prezes, niesie się szept od frontu, właśnie przybył, i to z całą rodziną.

A zatem tu go mamy. Jest Rumkowski. Milczący, zasepiony, kroczy ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby w pierwszym rzędzie skupiał się na pilnowaniu własnych nóg. Jego małżonka, pani Regina Rumkowska, idzie, jak zawsze, desperacko uśmiechnięta, razem z nim pod ramię. I syn też jest! Nagle przejście w tłumie pozostawione dla orszaku poszerza się na tyle, że wszyscy mogą widzieć Adoptowane Dziecko, jak tam stoi blade i naburmuszone wśród wszystkich panów w garniturach, ubrane w jakiś monstrialny dziecięcy kostium z szerokimi klapami z pikowanego jedwabiu i jakąś koszulę z brokatu z szerokim osiemnastowiecznym żabotem pod szyją. Z całego towarzystwa tylko on zdaje się czuć w miarę swobodnie. Gapi się obojętnie na girlandy pod sufitem, a jednocześnie zajada cukierki z tutki, którą Prezes lub jakiś urzędnik-lizus wetknął mu do ręki.

Większość już się zorientowała, że coś jest nie tak: że pan Prezes nie całkiem prosto trzyma się na nogach, szukając ręką jakiejś ściany, której nie ma. Ktoś nawet mówi to na głos:

— Czy on nie jest przypadkiem wstawiony?

Ale wtedy już jest za późno. Orkiestra dęta zakończyła swoją fanfarę, a Rumkowski wkroczył na podium i rozpoczął rozdawanie medali, choć jeszcze nie ma żadnych medali do rozdawania, nie mówiąc już o dekorowanych. Jednak teraz para mocnych dziewczęcych rąk podsuwa mu przygotowaną tacę. Medale leżą jak ryby, ułożone wszystkie wstęgami w jedną stronę. A panna Fuchs, wyraźnie zaniepokojona kapryśnym zachowaniem swojego Prezesa, wetknęła mu do ręki jakąś kartkę i teraz wskazuje napierw na tekst, a potem na szereg mężczyzn w garniturach lub mundurach — wszyscy w opaskach z literą **W** na rękawach — którzy stoją wyprężeni, wyczekująco uśmiechnięci, na schodach do foyer. To są odznaczeni.

Prezes kiwa głową, jakby ich ujrzał po raz pierwszy.

— Moi panowie — mówi niewyraźnie.

(Fuchsówna gestem ręki ucisza publiczność.)

— Moi panowie, moje panie — moi bracia i siostry!

Wszystkim wam wiadomo, jakie są DOBRE nowiny:

Z 87 615 pozostałych w getcie Żydów, na dzień dzisiejszy pełne zatrudnienie w produkcji ma nie mniej niż 75 650. TO JEST OLBRZYZZY- MIE OSIĄGNIĘCIE!

Jest nas dziś w getcie mniej, niż było kiedyś.

ALE SPEŁNILIŚMY NASZE ZADANIE!

Ci, którzy przyjdą po nas — nasze dzieci i wnuki (te, które przeżyły!) — będą słusznie dumne z tych mężczyzn i kobiet, którzy swoją ciężką i ofiarną pracą dali im — dali nam wszystkim! — prawo do dalszej egzystencji.

Ba, powiedziałbym nawet, że właśnie tym ludziom zawdzięczają, że żyją!

Moi panowie — mówi jeszcze raz i ponownie zwraca się w stronę wyczekujących na schodach mężczyzn. Jednak z takim wyrazem twarzy, jakby ku swemu niemiłemu zaskoczeniu właśnie zapomniał, co ma im powiedzieć. Dziewczynka z medalami tłumaczy sobie tę dezorientację jako znak, że ponownie ma wyjść z tacą. Wśród publiczności narasta niecierpliwy szmer, przerywany przez jednego z trębaczy, który nie mogąc się doczekać, wygrywa nad głowami publiczności długi, wolno opadający ton. Tak jakby to zadęcie trąbki pobudziło w nim rezonans, Prezes nagle zaczyna skandować:

— PRACA, PRACA, PRACA!

Raz po raz wam to powtarzałem:

To praca jest SKAŁĄ SYJONU!

Praca jest OPOKĄ DLA MOJEGO PAŃSTWA!

PRACA — CIĘŻKA, WYCHOWUJĄCA PRACA!

I z dołu, z widowni, widać nagle, jak wszystko wzbija się w powietrze: kartka papieru, taca i medale — w postaci wielkiego wachlarza, którego trzpień znajduje się przy wyrzuconej w retorycznym geście prawicy Prezesa. Kartka tańczy niespiesznie w powietrzu, wyprzedzona przez tacę, która zakreśla elegancki łuk i z głuchym stukiem uderza w podłogę; za nią medale ze wstęgami, jak małe rakiety pikujące w dół dookoła.

W gradzie medali Prezes na czworakach, w pogoni za swoimi papierami. Parę osób gdzieś z tyłu sali parska śmiechem. Najpierw dyskretnie: zasłaniając sobie dłońmi usta. Potem (gdy słychać też śmiech innych) coraz bardziej otwarcie.

Dwaj ludzie ze Służby Porządkowej podeszli do podium, żeby spróbować jakoś pomóc, lecz zatrzymuje ich pan Gertler, który raptownie wstaje ze swego miejsca w pierwszym rzędzie, mówiąc:

— No proszę, przecież każdy widzi;

ten człowiek jest całkiem skończony!

W tym momencie otwierają się z trzaskiem drzwi do foyer i środkowym przejściem na widownię wkracza Amtsleiter Biebow ze swą swoją ordynansów i ochrony. Komendy brzmiące jak trzask z bata i stukające obcasy oficerskich butów każą wszystkim funkcjonariuszom z pierwszego rzędu pospiesznie usiąść z powrotem na ławkach, i kulą się tam teraz, podczas gdy Biebow — postawszy chwilę z rękami po bokach i oceniwszy sytuację — zdecydowanie wkracza na scenę, chwyta Prezesa, który ciągle pełza dokoła na czworakach, stawia go na nogi, a potem urękawiczoną dłonią dwa razy szybko praska go w twarz.

Rumkowski, który ciągle jakby nie rozumiał do końca, z kim ma do czynienia, gapi się tylko

przed siebie, a z kącika ust cieknie mu ślina.

Biebow zbiera rozrzucone po scenie dyplomy i medale i wpycha je w ręce Prezesa; potem przygarnia go oburącz, jakby chcąc utrzymać wszystko w kupie (te dyplomy, medale i samego Prezesa): „Jesteście już starym człowiekiem, Rumkowski”, słychać, jak mówi, a w uszach tych siedzących w pierwszym rzędzie i lękliwie podsłuchujących jego słowa, to mamrotanie brzmi nieomal czule:

— Jesteście starym człowiekiem, należącym do minionych czasów, Rumkowski.

Zdawało wam się, że możecie kupić sobie władzę i wpływy, że możecie sobie więc swoje brudne, perwersyjne gniazdko w murach Silniejszej Władzy, a potem dalej kraść i defraudować, tak jak ludzie waszego pokroju tyle razy to robili na przestrzeni dziejów, bo to leży w waszej naturze.

Ale powiem wam coś, Rumkowski: otóż te czasy się skończyły. Te czasy są *aufewig vorbei*.

Teraz się liczy co innego: *Entschlossenheit, Mut und Kompetenz*.

Tych ostatnich słów nie mówi już do Rumkowskiego, tylko zwrócony do publiczności. A przy tym się uśmiecha: uśmiechem, który ma zarazem być przyzwalający i pobłażliwy.

I to mu się najwyraźniej udaje, bo nagle wszyscy (oprócz panny Fuchs, która jest chyba nazbyt roztrzęsiona, i pani Reginy Rumkowskiej, która grzebie w swojej torebce, jakby szukała tam miejsca, gdzie mogłaby się ukryć) zaczynają się śmiać. Cała sala, poczynając od dygnitarzy w pierwszym rzędzie aż po brygadzystów i konserwatorów maszyn na szarym końcu. Niektórzy nawet wznoszą ręce do góry i zaczynają klaskać i robić owacje, jakby byli na jakimś prostackim spektaklu *variétés*, a gdy napięcie już odpływa z rąk i nóg, to inni zaczynają, w przypiływie ulgi lub brawury, tupać w podłogę i gwizdać, i krzyczeć.

Ale to nie jest *variétés*. Może upłynie chwila, zanim dotrze do ludzi, że to w końcu sam *Herr Amtsleiter* stoi tam z przewodniczącym Judenratu w ramionach, jak z dzieckiem, i zbiera owacje publiczności. Któryś z członków orkiestry zreflektował się w każdym razie na tyle, żeby pojąć, że pozostało tylko jedno wyjście z tej potencjalnie śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji, i na własną rękę zaintonował pierwsze takty marsza *Badenweiler*:

Vaterland, hör' deiner Söhne Schwur:

Nimmer zurück! Vorwärts den Blick!

Co się zdarzyło potem, nie jest jasne. Później mówiono w każdym razie o pożalowania godnym incydencie, do którego doszło tuż po tym, jak zaserwowano gościom Wspaniały Bufet.

Wspaniały Bufet był tematem plotek, jeszcze zanim ujrział światło dzienne. Niewykluczone, że Wspaniały Bufet został gruntowniej przedyskutowany, przywoływany z większym pietyzmem dla szczegółów, już w pewnym sensie wypróbowany i zakosztowany niż — póki co — sama Wystawa.

Powodem, dla którego władze w ogóle zgodziły się, aby księżna Helena urządziła Bufet, była chęć pokazania także gettowych produktów spożywczych. Znalazła się tu zatem kielbasa i solone mięso z własnych masarni getta, niestety nie koszerne, ale z takich marzeń i tak już dawno byli zmuszeni zrezygnować; znalazł się chleb z własnych piekarni; znalazły się nawet cukierki i słodkie ciastka z marmoladą, produkowane w dawnej wytwórni konserw owocowych Szlomo Hercberga na Marysinie. Do tego podano czerwone wino w wysokich kieliszkach. Wino przybyło z Litzmannstadtu, jako *Geschenk* od Biebowa, kieliszki były z prawdziwego kryształu, ustawione na lustrzanych tacach w tak finezyjny sposób, że przedsiębiorcy, którzy łapczywie sięgali do

półmisków, chcąc nie chcąc powracali myślą do tych złotych dni, gdy *szejne jidn* mogli sobie siedzieć w kawiarni na Piotrkowskiej i jeść szarlotkę, popijając przy tym herbatę lub dobre reńskie wino z wysokich kieliszków, tak jak wszyscy inni.

Sam Prezes, jak się zdaje, doszedł już do siebie po wszystkich płomiennych przemowach i chodził teraz wśród gości bufetu, wspierając się resztką swego dawnego dostojęstwa.

Większość osób zebranych wokół Jakubowicza i Gertlera dyskretnie odwracała się plecami, gdy tylko się zbliżał. Inni się tak nie krygowali. Niebawem także Prezes zebrał wokół siebie małą grupkę, podrzędnych kancelistów i księgowych, którzy czekali, aż uрони jakieś przychylne słowo, które następnie można by zamienić na jakąś lepszą pozycję; i może to z powodu konkurencji — ludzie, jak Jakubowicz, Gertler, Warszawski czy Reingold przyciągnęli do siebie wielokrotnie liczniejsze gromady — tego wieczoru Prezes nader hojnie szafował zobowiązaniami i obietnicami:

— No proszę, oto i pan Schulz! — zawołał, kiedy na końcu Wspaniałego Bufetu spostrzegł doktora Arnošta Schulza z córką.

— To jest, moi panowie... — wyjaśnił reszcie swojej Świty, która nerwowo i lękliwie szła za nim krok w krok. (Po zejściu przy rozdaniu medali nikt się nie odważył spuścić go z oka ani na sekundę).

— To jest profesor Schulz — *aus Prag, nicht wahr?!* — jedyny z moich lekarzy, którzy miał odwagę szczerze powiedzieć mi, co myśli.

Pan jest prawdziwym człowiekiem Oświecenia, nieprawdaż, profesorze Schulz?

Věra Schulz miała wyraźnie zapamiętać ten pierwszy i jedyny raz, kiedy stanęła twarzą w twarz z udzielnym władcą getta, samozwańczym szafarzem losów stu tysięcy tutejszych i zesłanych tu Żydów.

„Automat — zapisała później w swym dzienniku — człowiek zupełnie pozbawiony zewnętrznego życia, którego energiczny chód, głośny sposób mówienia i raptowne, na pozór niczym nie umotywowane ruchy rąk zdają się napędzane jakimś wewnętrznym ukrytym gdzieś w ciele mechanizmem. Twarz martwa, blada, obrzękła; głos przenikliwy jak syrena fabryczna”.

Przez kilka długich minut Prezes stoi z dłonią Věry Schulz w swojej dłoni, jak gdyby posiadał jakiś drogocenny przedmiot, tylko że nie wie, co z nim zrobić. Věra dostrzega krople potu zalegające u nasady szczesanej na bok siwej grzywy.

— Ale jakim cudem... — zaczyna Prezes, przerywa i zaczyna od początku (z niekłamanym, wydaje się, zdumieniem).

— Jak pani może pracować taką ręką?

Być może właśnie w tym momencie dała o sobie znać szeroko potem relacjonowana Przypadłość Żołądkowa.

Co do przyczyn owego „incydentu” zdania były podzielone:

Albo masarnie w getcie wyczerpały swój, mimo wszystko dość ograniczony, limit surowca mięsnego i żeby móc wyprodukować Wymaganą Ilość Kielbas, zaczęły korzystać z surowca drugiego sortu, który zazwyczaj natychmiast po przybyciu takiej partii na Radogoszcz zakopywano. Albo też owa „ekstra dostawa” (*gut gehacktes Fleisch*), którą obiecał Zarząd Getta, okazała się zawierać to samo końskie ściervo, które Niemcy zawsze dostarczali i które śmierdziało na kilometr już, gdy przyjeżdżało: bladozielone i tak przeżarte zgnilizną, że przy rozładunku niemal ściekało z wagonów do kadzi. Ale tym razem kierownictwo Oddziału

Dystrybucji Mięsa nie odważyło się donieść w raporcie o surowcu „drugiego sortu”, z obawy, żeby (jak mówiono potem) „nie zawalić całej imprezy”. I tym sposobem gotowa kielbasa trafiła jednak na Bufet, tłusta i kwaśna i nabrzmiała sodą i produktami fermentacji w swoich oślizgłych osłonkach z jelit...!

A może było i tak — jak uważała większość — że tłuszcz zwierzęcy na tym przyjęciu pojawił się w tak niespodzianych ilościach, że nawet trzewia dyrektorów, którzy wszak sobie i na co dzień nie żałują, nie okazały się dosyć odporne; zwłaszcza że wszyscy zaproszeni na ten wystawny Bufet zdawali sobie sprawę, że wydarzenie tej rangi to w historii getta rzecz przypuszczalnie wyjątkowa i trzeba jeść teraz, dopóki jest szansa, a wszak kielbasa tam leżała taka kusząca i czerwona, i rada z siebie w tym błyszczącym, lśniącym tłuszczu...!

Już koło północy pierwsi odświętnie wystrojeni dygnitarze zaczęli chwiejnie wymykać się na dwór, gdzie opierając się o usmolone sadzą cegły ścian, wymiotowali z głowami wciągniętymi w ramiona. W foyer ludzie miotali się bezradnie. Niektórzy kryli się za wielkim stołem bufetowym lub za krzesłami i stołami, które wciąż tam stały, podczas gdy kuchnię i korytarz dla obsługi okupowali ludzie z ochrony Gertlera, którzy rzygali żywiolowo do wszystkiego, co dało się zdobyć, w rodzaju wiader albo pudeł, a nawet rondli i półmisek, gdzie wciąż leżała ta kielbasa, której nikt jeszcze nie skosztował.

Najpierw szklanym wzrokiem Prezes przyglądał się, jak cała jego Świta zalega pokotem, a potem dumnym, żurawim krokiem wymaszerował na dziedziniec, gdzie sam także zaległ. Panna Dora Fuchs, która przez cały wieczór chodziła wkoło, nawilżając sobie kąciki ust chusteczką, teraz bezsilnie powiewała tą chusteczką, wołając o pomoc lekarza. W ten sposób doktor Schulz został zmuszony także w ten dzień jubileuszu robić to, czym się zajmował dzień w dzień, odkąd przybył do getta. Chwycił za swoją torbę lekarską, którą zawsze z sobą nosił, poprosił Věre, by włożyła pod głowę Prezesa zwinięty pokrowiec na fotel, i ukląkł, żeby zbadać puls starzejącego się człowieka:

Prezes (wycieńczony, ze wzrokiem utkwionym w dalekie niebo getta): Kto pan jest?

Schulz: Schulz.

Prezes: Schulz?

Schulz: Schulz. Poznaliśmy się.

Prezes (do Věry): — A ta przecudna dama obok pana?

Schulz: To moja córka Věra. Rozmawiał pan z nią zaledwie parę minut temu.

Prezes: Ale co pani zrobiła ze swymi pięknymi, młodymi rękami, panno Věro?

Schulz: Pan Prezes sam powiedział, że już się nie nadają do żadnej pracy.

Prezes: No coś takiego, słyszał to kto? Każdemu, kto ma jeszcze parę rąk, należy się, rzecz jasna, miejsce pracy, a ja widzę, że pani ma piękne, czyste ręce, panno Schulz.

Schulz: Czyste czy nie! A panu nic do tych rąk...!

W tym momencie Herr Amtsleiter rozkazał policjantom ze swojej eskorty rozproszyć całe zgromadzenie. Tych, którzy jeszcze byli w stanie utrzymać się na własnych nogach, razami pałek i kolbami karabinów zmuszono, by wstali, i wypędzono na dziedziniec. Tam sobie mogli potem leżeć, przemieszani, urzędnicy, funkcjonariusze Służby Porządkowej i zwyczajni szaraczkowie, póki nie doszli do siebie i nie mogli zabrać się stamtąd o własnych siłach. W drodze powrotnej do Czerwonego Domku dyżurny niemiecki oficer burczał coś o żydowskich świniach, które nie mają nawet dość oleju w głowie, żeby zatrzymać tę odrobinę żarcia, którą im dano.

Lecz do jedzenia oczywiście nic nie było. Mogli udawać lub sami się łudzić, że żywności jest pod dostatkiem albo że mają dość pieniędzy czy wartościowych przedmiotów, żeby coś kupić albo dostać na zamianę, i że wystarczy tylko liczyć grosze i porządnie zacisnąć pasa.

Ale fakt pozostawał: nie było nic do jedzenia.

Czarnorynkowa cena bochenka chleba wynosiła trzysta marek, lecz ponieważ nawet sprzedawcy nie odważali się wychodzić na ten straszny mróz, który panował tej zimy, chleba i tak nie można było kupić. Na najniższej półce w spiżarni leżało parę zmarzniętych ziemniaków zaskorupiałą stroną do góry. To wszystko, co mieli. Sama Věra każdego ranka rozmajała garść mąki ziemniaczanej w letniej wodzie i na to sypała otręby. To była „zupa”, którą co rano karmili Maman. Gdyby ojcu nie udało się załatwić dla Maman łóżka w klinice na Mickiewicza, to pewnie żadne z nich by nie przeżyło. Dopóki Maman leżała w klinice, przynajmniej dostawała darmową zupę i chleb, a jeśli coś zostało, to Věra także mogła z tego dostać miskę. Żeby odwdziżyć się za to jedzenie, siedziała cały dzień ze swoją olympią na kolanie i pomagała ojcu pisać książki chorych i wypełniać karty rejestracyjne. Doktor Schulz, na wyraźny rozkaz Rumkowskiego, przejął nie tylko odpowiedzialność za dawną klinikę gruźliczą, lecz także za dawne polikliniki na Dworskiej; na przestrzeni mieszczącej kiedyś co najwyżej dziesięć łóżek teraz tłoczyły się setki pacjentów. Nawet w piwnicy i w wilgotych pomieszczeniach pralni pod samym budynkiem kliniki leżeli teraz pacjenci, a korytarze były pełne tak zwanych pacjentów dziennych (choć leżeli tam przez całą dobę), ludzi uznanych za na tyle zdrowych, że obejdą się bez łóżka: na przykład z zakażeniem krwi albo z chroniczną biegunką; z nogami spuchniętymi z głodu lub dotkniętymi ostrym porażeniem; albo po prostu z odmrożeniami. Věra rejestrowała około stu takich przypadków tygodniowo, z czego większość szła do amputacji, czy było to konieczne, czy nie, ponieważ doktor Schulz uważał, że sepsa byłaby o wiele gorszym złem, któremu w tych warunkach nie mógłby stawić czoła.

W łóżku obok Maman, na oddziale doktora Schulza, leżał starszy mężczyzna, łysy jak kolano, lecz o szerokich, czarnych jeszcze brwiach, które zbiegały mu się jak u zwierzęcia zawsze, gdy kogoś obserwował.

Pielęgniarki mówiły o nim rabbi Einhorn lub po prostu pan rabin i poruszały się przy jego łóżku z największym uszanowaniem. Kilka razy dziennie rabbi Einhorn wyciągał taśmę i rzemienie modlitewne, które przechowywał wraz z książkami w małej, wytartej walizeczce. Ponieważ był tak osłabiony, że ledwie mógł porządnie usiąść, Věra musiała mu pomagać obwiązać ramię rzemieniami i umocować *tefilin* na czole, ale książki upierał się wyjmować sam, a potem nie chciał, aby ona czy ktoś inny ich dotykał, i leżał w łóżku, przyciskając je do wychudzonej piersi.

Często zauważała, że leżąc, przygląda jej się, gdy wyjmowała lub wkręcała nową kartkę w wałek maszyny do pisania albo wystukiwała jakąś notatkę lekarską czy adres.

Chciał wiedzieć, gdzie opanowała ten pożyteczny kunszt.

Odpowiedziała, że w praskim gimnazjum handlowym były też kursy stenografii i maszynopisania. Chciał wiedzieć, jakie zna języki, i odpowiedziała, że nie najgorzej zna angielski i francuski, chociaż niestety nie hebrajski ani jidysz; wtedy powiedział jej, że jej pomoże, i wyjął książkę i przeczytał parę modlitw, najpierw po hebrajsku, a potem po polsku, i jednocześnie tłumaczył jej, co czyta. W ciągu następnych dni przeczytali wspólnie kilka

modlitw. On czytał pierwszy, po czym ona miała powtarzać za nim. Potem on długo i namiętnie użalał się nad jej ignorancją. „To jest tak, jakbyście wy, młodzi, wchodzili do izby i biadolili, że tu wszędzie jest tak ciemno, że nic nie widzicie, a wszak światło przenika tutaj każdy najmniejszy kąt i zakamarek”.

Lecz wtedy już nauczył ją pewnej liczby słów w nowym języku. Nauczył ją, jak wyglądają i jak się wymawia sylaby; jak składać je ze sobą i jak je rozdzielać, by powstawały nowe sensy. Trzy proste, dźwięczne zgłoski wystarczały, aby stworzyć cały świat słów. Jednym z wielu hebrajskich słów, których ją nauczył, było *panim*. Słowo pierwotnie oznaczające „twarz”, które zależnie od tego, jak się je rozdzieli i na powrót złoży, mogło oznaczać mnóstwo rzeczy, na przykład: „stanać wobec”, „narazić się na” albo „zostać prześwieconym” przez Wszechmogącego.

— A zatem może rozumie pani, *Fräulein Schulz*, że modlitwa to nie znaczy wyklepać jakieś słowa z książki, tylko skierować swoją twarz ku Panu, tak aby mógł od wewnątrz rozświetlić każde swoje święte słowo...

Któregoś razu po wspólnym czytaniu chwycił ją za rękę i spytał, czy zechce mu pomóc, kiedy przyjdzie na to czas. W prostocie ducha sądziła, że chce, by mu pomogła umrzeć. Lecz kiedy o tym napomknęła, tylko potrząsnął energicznie tą swoją łysą głową. To, czego chciał, było o wiele bardziej konkretne. Powiedział, że na jego nazwisko przyjdzie list. A gdy nadejdzie, czy *Fräulein Schulz* zechce wyświadczyć mu przysługę i przynajmniej poważnie wziąć pod rozwagę zawartą w nim propozycję?

*

W maju 1940, kiedy tworzone getto, jego żydowska administracja liczyła co najwyżej paręset pracowników. Trzy lata później, w czerwcu 1943, ponad 13 000 mieszkańców getta zarabiała na życie w którymś z tych wszystkich biur i referatów, wydziałów i podsekretariatów, w którejś z tych central i komisji, i jednostek inspekcyjnych podlegających Rumkowskiemu.

Ponieważ administracja Rumkowskiego w ciągu trzech lat rozrosła się tak oszalamiająco, mówiono o niej tylko: kancelarie.

Albo: kancelarie Prezesa.

Albo: Pałac.

A w takim razie był to pałac bez widocznych wieżyczek i balustrad, a za to z mnóstwem podziemnych korytarzy, gdzie ludzie siedzieli wciąż i rachowali, nie wiedząc nawet, co rachują, albo tylko siedzieli i spali za nocnymi okienkami. Pałac był budowlą o niepewnych fundamentach, jego granice wciąż kwestionowano. Kancelarie i biura mogły pojawiać się niespodziewanie w zwykłych domach czynszowych, a potem lokal opróżniano i jakby nigdy ich nie było. Ów pałac posiadał jednak wyraźną bramę. Brama mieściła się przy sekretariacie Prezesa na Bałuckim Rynku. Tu musieli udawać się wszyscy pragnący wejść do środka albo pójść wyżej czy gdzieś dalej w gettowych hierarchiach.

Od chwili założenia getta Prezes przyjął tysiące petentów, którzy uciekali się pod jego opiekę.

W owym czasie petentom przychodzącym spoza bałuckiego biura wydawano specjalne przepustki — zezwolenia na krótki pobyt w odgradzonej przez Niemców zonie. Jednak po Wielkiej Szperze Biebow postanowił położyć kres „tej bieganinie” i dlatego zakazał wstępu na to aryjskie terytorium wszystkim, którzy nie byli zatrudnieni w administracji. Co w żaden sposób nie przeszkadzało Prezesowi w dalszym przyjmowaniu ludzi. Przystosowano do tej funkcji jedną z wartowni na Łągiewnickiej. Jakimś cudem wepchnięto tam biurko, za którym zasiadał Prezes

ze stertami akt personalnych przed sobą, a panna Fuchs ustaliła prymitywny system kolejkowy, wedle którego interesanci dostawali numerki, czekali w kolejce na zewnątrz, a potem pojedynczo ich wzywano.

Ludzie przychodzili w przeróżnych sprawach.

Wielu, jak Věra, starało się o miejsce w szpitalu dla kogoś ze swych bliskich. Inni prosili o przydział mleka dla dzieci. Albo o działki ogrodowe pod uprawę, teraz, gdy zaczął się sezon.

Wielu starało się o zezwolenie na ślub. Zawarcie małżeństwa stało się obecnie jednym z niewielu legalnych sposobów na załatwienie sobie dodatkowych racji żywnościowych. To Prezes przydzielał te racje z własnej rezerwowej puli żywności. Prezes udzielał także samych ślubów, jako że wszelkie religijne ceremonie były w getcie zakazane, a wszyscy rabini formalnie deportowani. Słyszało się czasem opinię, że to skandal, na co stary sobie teraz pozwala, bawiąc się w uczonego w prawie i świętego męża, a przecież ciąży na nim nawet podejrzenie, że ma na rękach ludzką krew! Inni mówili jednak, że ich to nie dziwi, że stary podjął się tej roli. Bo jak inaczej mógłby okazywać swoją władzę, kiedy Amtsleiter Biebow nie tylko go publicznie wydrwił i ośmieszył, lecz pozbawił go także wszelkiego wpływu na produkcję i dystrybucję żywności w getcie, nie mówiąc już o „sprawach policyjnych”?

Podczas jednej z ceremonii ślubnych, które regularnie odbywały się w dawnym prewentorium na Łagiewnickiej, Prezes, jak opowiada Kronika Getta, połączył węzłem małżeńskim jednocześnie aż trzynaście par; a na tacy stało trzynaście osobnych kieliszków z winem nalewanym z butelki wyposażonej w specjalny, „higieniczny” lejek. To doktor Miller uparł się, żeby przestrzegać tej praktyki i ograniczyć tym sposobem ryzyko rozprzestrzeniania chorób zakaźnych. Sam doktor Miller stał ze swoją białą laską ukryty za ślubnym baldachimem, aby upewnić się, że każdy pije z w ł a s n e g o kieliszka, a każdy kieliszek jest potem wytarty i odstawiony z powrotem na tacę, bez tradycyjnego tłuczenia.

Później mówiono wiele o profanacji aktu żydowskich zaślubin, której dokonano w Pałacu, na przykład że baldachim ślubny to był zwykły karnisz z kawałkiem udrapowanego tiulu, który po ceremonii na rozkaz doktora Millera zabrano na punkt sanitarny na Bałuckim Rynku, aby natychmiast go zdezynfekować. Zdawało się prawie, że znowu słychać głos Benia, jak chodzi po ulicach i klnie i wyrzeka:

— Pan Rumkowski dał się zredukować do króla kuglarzy, i tyle; z tą swoją świętą komediantów i tymi wszystkimi żalonymi ceremoniami!

Ale te kartki żywnościowe, które panna Ejbuszyc z Wydziału Apropowizacji wypisała dla tych trzynastu par, były w każdym razie prawdziwe i dało się je wymienić na prawdziwy chleb i dostatecznie dużo prawdziwej skrobi w zupie, żeby starczyła i ukoїła głód przynajmniej na parę dni.

*

To miał być „szczęśliwy” dzień, ten dzień, gdy Josel obluzował tapetową ściankę i wreszcie oswobodził Maman z jej zamknięcia. Věra nigdy nie miała zapomnieć widoku obcej kobiety, którą spotkali po drugiej stronie: o ciele chudym jak ta igła, po którą wysyłała Věre do sklepu za rogiem, lecz uśmiechnięta i prosta jak struna ze swym *Ausweisem* wyciągniętym w dłoni, jakby siedziała tygodniami i czekała na tę okazję. Ale Věra spostrzegła od razu, że wokół ust Maman jest coś rozmazanego i że ściany dokoła jej łóżka są czarne od krwi i zaschłego kału.

Arnošt, który zdejmował maskującą ściankę parę razy w ciągu tych trudnych dni, stwierdził,

że stan zdrowia Maman mimo wszystko nie jest gorszy, niż można się było spodziewać. Wyjął jej cewnik z nadgarstka i przez kilka dni siedziała nawet przy stole, gdy jedli. Věra moczyła w zupie kostki chleba i wtykała je do jej ust, a matka wsysała swoje szczupłe policzki i kierowała wzrok do wewnątrz, tak jakby chciała zbadać, co to za osobliwe znalezisko wylądowało pod jej językiem. Lecz połykała wszystko, a nawet przez moment zdawała się zadowolona z tego, co dostała, i z całego tego ruchu i zamieszania wokół niej.

Choć pozory myliły. Może wszystkich zwiodło to, że w ogóle tam „za tapetą” wyżyła. Po pewnym czasie było jasne, że nerki Maman nie tolerują jedzenia, które jej dawali. Prymitywna dializa, którą próbował przeprowadzić Arnošt, nie działała; rana jamy brzusznej, gdzie wprowadzał płyn dializacyjny, opuchła, wdało się zapalenie otrzewnej, matka dostała gorączki.

Věra czuwała całą noc, czekała, aż nadejdzie „kryzys”, z nadzieją, że gorączka po nim spadnie. Ale żaden „kryzys” nie nadszedł. Wprawdzie gorączka nieco spadła, ale Maman się nie oknęła. Puls miała słaby, oddech zaczynał się rwać, rytm serca był nieregularny.

Siedzieli przy niej wszyscy, kiedy umierała. Věra opowiadała matce o ich ostatniej wspólnej przechadzce po Riegrovych Sadach, o ptakach, które o zmierzchu zrywały się z drzew i tworzyły jak gdyby drugie niebo ponad wszystkimi sterczącymi dachami i miedzianymi wieżyczkami Pragi; i wydawało się przez chwilę, że Maman uśmiecha się słabo i że palce, które Věra ścisnęła, oddały ten uścisk. Potem jej oddech powoli zamierał. Maman wyslizgiwała się ze swego ciała tak, jak się zrzuca jakieś stare, przybrudzone palto, którego najchętniej już się nie dotyka, a kiedy w końcu je zrzuciła, jej twarz leżała tam całkiem spokojna, nieruchoma, tak jakby nikt nigdy jej nie dotknął.

Pochowali Maman osiemnastego dnia nowego kalendarzowego roku 1943, w jasny, mroźny poranek z błyszczącym słońcem wiszącym nisko jak dym nad gzymsami murów Marysina. Główne wejście na ten wielki cmentarz leżało przedtem na Brackiej, na wschodnim krańcu getta, ale ponieważ znalazło się teraz na terytorium aryjskim, Bractwo Pogrzebowe wykorzystało mniejszą bramę w ceglany murze od zachodniej strony, przy Zagajnikowej, i właśnie tą bramą wjechali wozem wynajętym przez doktora Schulza.

Za ciasnymi murami rozciągało się miasto umarłych. Po lewej stronie od drogi prowadzącej od małej kostnicy ciągnęły się długie szeregi ziemnych kopców pobłyskujących teraz bielą szronu w nabrzmiałym, białoniebieskim świetle słońca.

Za każdym kopcem kryły się rzędy grobów, część z nich zasypana, inne wciąż czekające na swych zmarłych. Żeby nadażyć, musieli zacząć kopać już w listopadzie, mówił im Józef Feldman, kiedy przekładali obmyte i obleczone w płótno ciało z wozu na niski wózek, którym tutaj wożono umarłych. Wszyscy pamiętali, jak to było rok wcześniej, w styczniu i lutym, kiedy właśnie zaczęły się deportacje i ludzie spędzeni do nieogrzewanych baraków na punktach zbornych zamierzali, czekając na transporty, które nigdy nie nadjeżdżały. Ziemia już była tak głęboko zamarznięta, że nawet łom nic nie pomógł, i nie mieli innego wyboru, jak tylko składać trupy w stos i czekać, aż zacznie się odwilż.

Józef Feldman opowiadał to tym beztroskim, a jednak w pewien sposób czułym tonem, właściwym ludziom, którzy na co dzień obcuja z umarłymi, ale Věra ledwie słuchała, co stary im mówi. Idąc za okutym, rytmicznie poskrzypującym kołem wózka, za rabinem, który odprawił ceremonię, i ojcem, i oboma braćmi, widziała w oddali jeszcze jedną grupkę grabarzy z taczka, oskardem i szpadlem. Kontury ciał tych grabarzy rozpuszczały się prawie w białej mroźnej

mgiełce, tak że zdawali się szybować parę metrów nad powierzchnią ziemi, i nagle jakby wszystko przed jej oczami stopiło się w jedno: rytmiczny turkot koła wózka, niekończące się rzędy nieoznaczonych grobów, mroźny wiatr, który szczypał w policzki i wyciskał z jej oczu bolesne łzy.

Przypuszczalnie odwykła od tej całej otwartej przestrzeni. Mieszkała już w getcie tak długo, że wszystko, co tu było, wydawało jej się tak samo ciemne i ciasne, że gdziekolwiek człowiek pójdzie, wszędzie musi się kulić albo ustępować miejsca innym. W kontraście do tego te odległości tutaj na cmentarzu zdawały jej się prawie niepojęte; a w każdym razie niepojęte, że umarłych było tu już tak wielu.

*

Kiedy Věra wróciła po odsiedzeniu żałoby, maszyna do pisania wciąż stała na bocznym stoliku, ale w tym łóżku, gdzie przedtem leżał rabbi Einhorn, leżał teraz inny mężczyzna, patrząc na nią wzrokiem bez wyrazu. Obok jej olympii stała okuta blachą walizeczka z tałosem i książkami rabina. Nieraz miała potem rozmyślać, co by się stało, gdyby tego dnia nie otworzyła tej walizki. Wszak tyle ludzi umierało i każdy zostawiał po sobie jakieś bezużyteczne przedmioty. W końcu zostało tylko puste, wyprane z treści pojęcie: jak można mówić o pozostawionych rzeczach osobistych, skoro sama śmierć stała się już bezosobowa?

Lecz otworzyła tę walizkę — może z szacunku dla starego. W środku leżała karteczka, z tekstem po niemiecku napisanym czcionkami jej własnej maszyny:

„Spotkajmy się przy kładce na rogu Kirchplatz/Hohensteinerstrasse, w piątek g. 9.00. Proszę zabrać ze sobą maszynę!

A. Gl.”

Od tego listu, napisanego przez jakąś obcą osobę na jej własnej maszynie do pisania, zaczęło się to, co później w swym dzienniku miała nazywać swoim *Unterirdisches Leben*, swoim podziemnym życiem.

Wilgotny, szary od mgły ranek z początku lutego 1943; to właśnie wtedy po raz pierwszy przekroczyła próg Pałacu. Gdzie się kończyło getto, a zaczynały druty, miał piętrzyć się, pięć potężnych metrów nad ulicą, wysoki czarny most, ale jedyne, co było z niego widać w tej mgłę, to ludzie zbierający się u stóp schodów i znikający potem w górze, jakby wspinali się prosto do nieba. Teraz tylko słyszało się z góry niekończący się stukot butów o mokre, drewniane stopnie, ciężki oddech tysięcy ludzi, którzy niewidziani — i niewidzący — podążali do swoich bezimiennych zajęć.

— *Fräulein Schulz?* — Mężczyzna za nią musiał od razu ją rozpoznać, mimo marnego światła; lub zorientował się po wzmiankowanej olympii w firmowym pokrowcu, którą trzymała pod pachą.

— *Sind Sie dann für den heutigen Arbeitseinsatz bereit, Fräulein Schulz?*

Odwróciła się tak, jakby ją zagadnął jakiś prawdziwy Niemiec.

Lecz nie wyglądał wrednie. Twarz się uśmiechała. Oczy pod mokrym rondem kapelusza były wielkie i powiększały się jeszcze, im dłużej na nią się gapił. Bez najmniejszego pojęcia, o jakiej pracy mówił, poszła wraz z nim przez mgłę, najpierw na jakiś ciasny dziedziniec, potem w dół, piwnicznymi schodkami, wąskimi jak w studni. Na samym dole tego szybu czekały masywne, drewniane drzwi z szeroką kłódką. Mężczyzna zdjął kłódkę i otworzył przed nią skrzypiące drzwi.

Gdyby nie półki, albo raczej podpórki trzymające je przy ścianach, wszystkie te książki przywalałyby ją już tam i wtedy:

Książki leżały i stały wszędzie — na szerokich, uginających się półkach, opartych ciężko o ściany, lub na kawałkach dykty czy kartonu rozłożonych na gołej, kamiennej posadzce, gdzie spoczywały ułożone na sobie i obok siebie w wysokie stosy, z grubszymi i szerszymi tomami wciśniętymi pod cieńsze, jak nierówne, kamienne bloki w murze.

— Wszystko to dzieło rabiego Einhorna — wyjaśnił. — Jego własne książki to tylko drobna tego część. Reszta pochodzi z żydowskich domów tu w getcie. Zaczęliśmy je zbierać już od pierwszego dnia wywózek. Na samą myśl, że mogłyby wpaść w niewłaściwe ręce, mecenas Neftalin wystarał się w Wydziale Mieszkaniowym o nakaz rekwizycji. Zgodnie z nim każdy gospodarz domu jest zobowiązany przejrzeć wszystkie mieszkania, piwnice i strychy pozostawione przez deportowanych Żydów i przetransportować wszystko to, co zostało z książek i pism, tutaj do archiwum, a gdy mówimy wszystko, to naprawdę ma być w s z y s t k o, powiedział i uśmiechnął się. — Mamy tu nie tylko książki, ale i wszelkiego rodzaju czasopisma i publikacje. Tylko nikomu jeszcze nie udało się tego policzyć, nikt tego nie skatalogował i nie ustalono nazwisk byłych właścicieli. Wszystko to pozostaje do zrobienia.

Gdzieś między te chwiejne stosy książek udało im się wcisnąć stolik dla niej. Pan Gliksman zniósł na dół parę ciepłych koców. Potem zszedł z żarówką, którą wydobył z ust jak klaun w cyrku, i wkręcił ją w oprawkę zawieszoną wysoko na jednej ze ścian. Najwyraźniej lubił popisywać się takimi sztuczkami. Gdy go spytała o ołówek, wyciągnął go zza ucha, a potem z rękawa koszuli wyciągnął dwie kalki, którymi mogła przełożyć arkusze wkręczone w wałek jej olympii. Wszystkie tytuły miały być spisane co najmniej dwukrotnie: najpierw na zwykłych kartach w kartotece, potem na długich listach, gdzie miały też być nazwiska byłych właścicieli.

W ukośnym snopie światła, pełnym kurzu i suchych cieni, dokonywała pierwszej próby

uporządkowania stosów książek. Na niektórych półkach książki już były uporządkowane — albo tematycznie, albo w paczkach lub stosach, wedle posesji, z których zostały zabrane: zdarte, zaczytane egzemplarze Tanachu; stare modlitewniki, niektóre tak małe, że łatwo było zaszyć je w rąbek koszuli lub fałdę kaftana; albumy ze zdjęciami odświętnie ubranych mężczyzn i kobiet przy długich, zastawionych stołach albo młodzież szkolna na wycieczkach, w krótkich spodenkach i podkolanówkach; podręczniki szkolne z zadaniami z algebry, gramatyki polskie i hebrajskie; almanachy sięgające parędziesiąt lat wstecz; zeszyty z rozkładem jazdy pociągów; przekłady powieści Liona Feuchtwangera, Theodora Fontane lub P. G. Wodehouse'a.

Starannie wprowadzała wszystkie nazwiska i tytuły do kart katalogowych, które otrzymała.

Problem w tym, że nie wszystkie tytuły dały się zaklasyfikować jako książki. Co miała na przykład zrobić z wszystkimi prywatnymi książeczkami rachunkowymi — a były ich setki — zwykłymi zeszytami, gdzie gospodynie domowe wpisywały i sumowały wydatki przy każdym zakupie?

Aleksander Gliksman zjawiał się i znikał, ale tak cicho i dyskretnie, że prawie nie zwracała na niego uwagi. Podnosiła głowę znad swojej roboty, a wtedy w piwnicy nie było nikogo; potem znów podnosiła głowę, a wtedy znowu stał obok i patrzył na nią tymi swymi wielkimi oczami, które robiły się jakby coraz większe, im dłużej patrzył. Czasem przynosił coś do jedzenia, poza codzienną zupą obiadową kromkę chleba posmarowaną cienko margaryną albo cienkie plasterki rzodkiewki. Czasami jedli razem i pewnego razu spytała go, dlaczego tak istotne było, żeby zawsze używać osobnego wejścia, przychodzić i wychodzić bez zwracania na siebie uwagi?

Spodziewała się, że odpowie jej wymijająco, ale on był zaskakująco szczery.

— To archiwum to serce getta — powiedział.

Zatrudnia się tu tylko tych, którym przysługuje najwyższy stopień ochrony. Věra się do nich nie zalicza i gdyby wyszło na jaw, że nie została zatrudniona „w zwykłym trybie”, istniało zawsze ryzyko, że ktoś inny zechce zająć jej miejsce (mimo że szef archiwum, pan Neftalin, wyraził oczywiście zgodę na to, żeby tu pracowała). Poza tym w jej przypadku w grę wchodzi jeszcze pewne specjalne okoliczności, powiedział i wykonał trochę niezręczny gest, jakby chciał podnieść z jej kolan obie jej chore, obolałe dłonie. Ale nie musiał tego mówić. Wszyscy już teraz wiedzieli, jakie ryzyko wiąże się z przechowywaniem czy zatrudnianiem osób uznanych za nieproduktywne.

Jednak pomimo to pan Gliksman wziął ją ze sobą kilka razy na górę, „na powietrze”. Po długich dniach spędzanych w ciasnej, ciemnej piwnicy, duża sala archiwum na drugim piętrze zdawała się krynicą światła i przestrzeni. Na środku tego pomieszczenia stał duży piec na drewno z rurą piecową, która przebiegając pod sufitem, wychodziła na zewnątrz przez jedno z szerokich okien. Przy piecu musiało być ciepło, bo archiwiści wszyscy stali i pracowali w samych bluzkach albo koszulach. Bębnow kartotek obrotowych było pięć. Stały przy sobie w rzędzie jak wielkie ośmiokątne koła loteryjne, z klapami z boku, otwieranymi na zewnątrz, jak drzwi szafki. W środku były karty rejestracyjne wszystkich mieszkańców getta, posortowane alfabetycznie oraz według adresu zamieszkania. Te bębny co noc zamykano i plombowano, i mówiło się, że jedyną osobą poza samym Prezesem, która miała do nich klucz patentowy, był mecenas Neftalin, szef Wydziału Statystycznego i Archiwum. I to właśnie mecenas Neftalin każdego ranka uroczyście otwierał bębny. Przy długich stołach wokół bez przerwy szczękających bębnow obrotowych siedziała reszta personelu archiwum, sortując protokoły i odpisy listów

w kopertach i brązowych teczkach.

Cztery okna sali archiwum wychodziły na kościół Maryi Panny i most nad Zgierską, Hohensteinerstrasse. Z każdym kolejnym dniem światło słońca wschodzącego za mostem i obiema wieżami kościoła sięgało coraz to dalej, sunąc po podłodze sali, i markizy w oknach opuszczano coraz to niżej, aż wreszcie cała sala archiwum leżała pogrążona w dziwnym ciemnoszarym, niemal nierzeczywistym półcieniu. Ale każdego ranka i wieczora markizy znowu były podniesione i znowu nie było granicy między tą dużą salą z jej kartoteką w bębnach obrotowych a placem z jego wysokim, drewnianym mostem. Ludzie idący w górę lub schodzący z mostu przemykali czasami tak blisko, że wyglądało to, jakby przechodzili przez samą salę archiwum.

*

Nr 1: Robotnik FRIEDLÄNDER, DAWID (lat szesnaście) zostaje skazany na cztery miesiące CIĘŻKIEGO WIĘZIENIA za kradzież ziemniaków. Dowodem kradzieży są trzy szt. ziemniaków przeznaczonych dla Küche Nr 9 (Marysińska), które znalazły się bezprawnie w kieszeni spodni oskarżonego.

Nr 2: Szwaczka-praktykantka KAHN, LUBA (lat dziewiętnaście) zostaje skazana na trzy miesiące CIĘŻKIEGO WIĘZIENIA za kradzież szpulek i nici do cerowania o łącznej wartości 45 marek gettowych. Nici i szpulki znaleziono podczas rewizji osobistej, bezprawnie zaszyte w butach oskarżonej.

— Pałac Prezesa jest zbudowany tak, żeby trwać wiecznie — mówi Aleks i pokazuje jej kopię protokołu sądowego, który ma właśnie włożyć do jednej z brązowych teczek.

Sentencje wyroków z całego tygodnia streszczone na dwóch stronach odbitych przez kalkę; w sumie dziewiętnaście wydanych wyroków w różnych sprawach, od kradzieży i włamania poczynając, aż po usiłowanie małwersacji. Ale Aleks jest tak wzburzony, że trzęsą mu się ręce:

— Jaki sens ma skazywanie na cztery miesiące ciężkiego więzienia albo więcej, jeśli się nie jest przekonany, że wtedy getto dalej będzie istnieć? Czy to przypadkiem nie jest tak, że tym kretyńskim orzecznictwem tylko przedłużamy wolę władz: mamy tu siedzieć, za tymi ich drutami, do samego końca świata, aż nas, Żydów, wytepią do ostatniego?

— Nie! kradnij te swoje ziemniaki, biedaku! Zaspokajając głód, przynajmniej udowodniłeś, że jesteś wolnym człowiekiem!

Aleksander Gliksman ma osobliwą manierę mówienia. Kiedy jest podekscytowany, czy choćby tylko zaangażowany, wysuwa głowę do przodu jak żółw ze skorupy i patrzy na Vëre upartym, natrętnym spojrzeniem, tak jakby pragnął, by mu zaprzeczyła.

Właściwie to cud, że on jeszcze nie został deportowany, myśli Vëra przy paru okazjach. O ile tajemnica nie tkwi w jego dłoniach. Gdy tylko Aleks założy skórzany palec, dokumenty lecą jak błyskawica między jego kartkującymi dłońmi. Jest coś chłopięcego, formalnego, prawie uroczystego w jego sposobie obliczania i oceniania faktów. Kiedy są sami w piwnicy, pokazuje jej w zaufaniu tę mapę świata, którą składa od paru lat, w postaci stosu makulatury. W archiwum, tak jak w całym getcie, obowiązuje ścisła reglamentacja papieru i każde biuro dostaje swój przydział dopiero po tym, jak mecenas Neftalin złoży formalne zapotrzebowanie w kancelarii materiałowej. Ale Gliksman znalazł gdzieś w piwnicach jakieś rejestry i wykazy przeznaczone na makulaturę, z czasów, gdy ta część Polski należała jeszcze do carskiej Rosji: dokumenty obwiązane grubym sznurkiem, które tak długo leżały w wilgoci, że całe pliki posklejały się w bale ciężkie jak cegły.

Na dokumentach gęsto zapisanych starą cyrylicą szkicuje teraz grubymi kreskami ołówka przebieg frontu wschodniego po Stalingradzie.

— Sześciu wysokich generałów wziętych do niewoli i Wehrmacht cofa się na wszystkich frontach — mówi i pokazuje na kartach swej mapy jak przebiegła bitwa o Charków; pokazuje następnie grubym rdzeniem ołówka, jak generał Żukow wysłał potem swoje dywizje na południe, w stronę Kaukazu, w manewrze oskrzydającym.

Ponieważ mapa składa się z luźnych arkuszy papieru, rozpoznawalnych tylko dzięki cyfrom kodu u góry, po naniesieniu każdej kolejnej korekty można ją z powrotem rozebrać na części składowe i schować. Gliksman używa przy tym lekko zniekształconych kryptonimów. Armię niemiecką nazywa „Paulus” albo tylko „Pl”, od feldmarszałka Friedricha Paulusa, zmuszonego do tak sromotnej kapitulacji pod Stalingradem. (Aleks ma pomysł, aby ustanowić jakieś specjalne święto, jakiś *dies Pauli*, dla uczczenia pamięci tej bitwy). „Azbuk” lub tylko „Az” nazywa się rosyjska armia, od starosłowiańskiego określenia na tekst pisany cyrylicą zalewający gęstą szarą masą stare blankiety, które są podłożem mapy. Większe miasta czy twierdze są oznaczane jako WG — skrót od „Wielikij Gorod” — często z literką „p” od słów „padat”, „paść”. Padali zawsze tylko Niemcy. Jeżeli Niemcy nie padali albo gdy Wehrmacht ruszał z kontrofensywą i ponownie zajmował utracony teren, Aleks przekreślał tylko znaczek „p”. Bowiem mapa Gliksmana była mapą tendencyjną; rosyjskie porażki zaznaczał wyłącznie jako niedoszłe lub prolongowane zwycięstwa.

— Ale skąd ty to wszystko wiesz?

Jednak na takie pytania Aleks nie ma odpowiedzi. Tylko bezradnie rozkłada ręce i wygląda jak uczeń przyłapany na kradzieży jabłek. Innym razem puka się mocno dłonią w skroń i mówi:

— Trzeba mieć wszystko w głowie...!

I jak to ma w zwyczaju, zaraz przekręca zdanie:

— Robić wszystko, żeby nie stracić głowy...!

Akurat wyrysował całe wybrzeże północnoafrykańskie na czterech czy pięciu arkuszach; tekst cyrylicą w tle płynie teraz, brudnobrazowy, przez pustynie Libii:

„Po Kasserine Rommel wzmacnia swoją armię pancerną w Afryce Północnej. Bitwa o Tunis będzie decydująca...”

Lecz oczywiście były pierwowzory. Później zrozumiała, że ta mapa to było coś w rodzaju testu, by wypróbować jej lojalność.

Teraz w piwnicy, obok wszystkich książek, zaczynają pojawiać się gazety i inne dokumenty. Każdego ranka, po tym jak otworzywszy kłódkę wpuścił ją do środka, Věra znajduje nowe arkusze gazet wetknięte pod lub między sterty książek albo pudła z kartami katalogowymi. „Litzmannstädter Zeitung”, przede wszystkim ta: egzemplarze pozostawione przez przypadek albo ukradzione niemieckim policjantom czy komisarzom zarządu, którzy odwiedzali getto. Odwrót Wehrmachtu przedstawia się w nich tylko jako taktyczną próbę „wyprostowania” pewnych odcinków frontu. Ale nawet wydana przez ministra propagandy, Goebbelsa, proklamacja „wojny totalnej”, z 19 lutego 1943, zajmująca całe dwie strony, nie jest w stanie przysłonić dramatycznej sytuacji Niemiec.

Są także inne materiały do czytania. Dokumenty, pisma, apele, wyrwane strony z nielegalnych gazetek, czasami tak rozpuszczone wilgocią i przegniłe, że ledwie dały się odcyfrować. (Przypuszczalnie tak długo leżały na dnie jakiejś skrzyni z warzywami czy pod stosem ziemniaków, że nabrały koloru i konsystencji zgniłych warzyw).

Niektóre z dokumentów były jednak nienaruszone, jak „Biuletyn Informacyjny” polskiego

ruchu oporu, w którym pokazał jej odezwę reprodukowaną w postaci ręcznie pisanej ulotki, z majuskułami i rozstrzelonym pismem:

MŁODZIEŻY ŻYDOWSKA, NIE WIERZCIE WTO, CO WAM PRÓBUJĄ WMÓWIĆ...

Zabrali naszych rodziców na naszych oczach,

zabrali naszych braci i siostry.

Gdzie są te tysiące mężczyzn, którzy dali się zwerbować na roboty?

Gdzie są ci Żydzi, których wywieziono na Jom Kipur?

Z tych, którzy opuścili bramy getta,

nie powrócił A N I J E D E N.

WSZYSTKIE DROGI GESTAPO PROWADZĄ DO PONAR,

A P O N A R Y T O Z N A C Z Y Ś M I E R Ć... !

— To jest z Wilna — oznajmił z suchą rzeczowością, która przeraża bardziej niż sama treść dokumentu. — To niedaleko od granicy, paru Żydów stamtąd już uciekło; ale nie mają czym się bronić, nie tak jak ci w Warszawie.

— Gdzie są te Ponary? — pyta tylko Věra.

On nie odpowiada. Mówi o Warszawie, jakby przemieszkał tam całe wieki.

— W Warszawie mają przecież kanalizację w całym getcie. To znaczy, że można dostarczać tam broń kanałami. Szmuglerzy zza muru biorą pięćdziesiąt tysięcy złotych za jeden niemiecki wojskowy pistolet. Najgorzej jest z amunicją. Moi informatorzy z ŻOB-u skarżą się, że AK nie chce im dać amunicji. Tak samo jak tutaj Polacy w Warszawie nie chcą zbroić Żydów. Czasami to wygląda, jakby Żydów obawiali się bardziej niż Niemców.

Poczuła nagle, jakby książki otaczające ich w tym ciasnym, chłodnym piwnicznym pomieszczeniu opierały się tylko na cienkiej kolumnie z powietrza i w każdej chwili mogły na nich runąć. Jej pierwszym odruchem był sprzeciw. Jak on miał czelność właściwie, nieproszony, obarczać ją całą tą wiedzą nie upewniwszy się uprzednio, czy ona jest na to gotowa albo, w ogóle, czy c h c e wiedzieć? Te podejrzenia, że deportacje w niektórych przypadkach skończyły się masową egzekucją niepożądanych żydowskich elementów: o tym już słyszała. Żaden pracownik żadnego resortu nie robił nic innego, jak tylko zastanawiał się i spekulował, jakie właściwie Niemcy mają plany. Ale że gdzieś w Warszawie czy w Lublinie albo w Białymstoku istnieje zorganizowany o p ó r przeciw Niemcom, o tym nie miała pojęcia.

— A jeśli istotnie tak jest — powiedziała — to jak on może tam stać, wybałuszając oczy po swojemu, i tylko o tym opowiadać? Jak mógł — albo jak oni mogli — tak najzwyczajniej n i c n i e r o b i ć?

Jedyne co zrobił, po tym jak mu to wszystko powiedziała, to dalej gapił się na nią, pewnie i spokojnie. Po raz pierwszy spostrzegła, że w jego spojrzeniu jest też coś fanatycznego; jakaś skrywana za zasłoną głodu, ale długo żywiona wściekłość:

— Kto by nie chciał? — powiedział. — Tylko że skąd mamy wziąć broń? A gdybyśmy mogli zdobyć dla nas broń: jak mielibyśmy przekonać Prezesa, żeby pozwolił nam jej użyć?

Roześmiał się z własnego żartu. Ten śmiech zdumiał ją może najbardziej. Był niski i chropawy, jakby wrywany z trzewi jakimś długim łańcuchem. Potem siedział w milczeniu, gapiąc się sam na siebie, z tym samym bladym półsensnym przestraczem w spojrzeniu co wtedy, gdy gapił się na nią.

Z tymi nielegalnymi dokumentami, które przynosił, zrobiła tak, jak sobie chyba życzył i, jak się domyślała, jak zamierzał od początku. Dwa arkusze „Trybuny Wolności” przymocowała pod okładką książki o wozach strażackich; teksty z „Biuletynu Informacyjnego”, „Dziennika

„Żołnierza” i „Głosu Warszawy” wkleiła między stronicami sprawozdań rocznych z działalności gminy żydowskiej w Łodzi. Monografia poświęcona wielkiemu synowi miasta, „królowi bawełny” Izraelowi Poznańskiemu, była dość gruba, aby zmieścić także kilka stron z doniesieniami z frontu wyciętych z „Völkischer Beobachter” i „Litzmannstädter Zeitung”. Żeby zaznaczyć, w której książce i na której półce te zakazane teksty są zarchiwizowane, wymyśliła prosty system kodowania: kombinacje liter i cyfr, które ołówkiem wpisywała w prawym górnym rogu wypełnionych maszynowo kart katalogowych.

Po kilku miesiącach pracy wewnętrzne ściany w Pałacu pełne były ponaklejanych znaków i wiadomości tego typu. Przebiegały, niewidzialne, lecz żywe, wzdłuż i wszerz ponad tymi wszystkimi stertami książek, gubiąc się i wynurzając pomiędzy okładkami i grzbietami. Ale to wszystko zamiast wyprostować tę chwiejącą się bibliotekę, tak jak miała nadzieję, że się stanie, sprawiło tylko, że ta dziwna książkowa konstrukcja zdawała się tym bardziej jeszcze krucha i niepewna. Takie chwile otwierały się na samym dole piwnicznego pomieszczenia jak osobliwy ssący prąd: jak silny wir, który powstaje w zlewie, kiedy wycieka woda. I to ssanie od dołu chwilami było tak silne, że musiała oburącz chwytać krawędź biurka, by nie pozwolić się pociągnąć w dół.

To był zwykły zawrót głowy, od głodu.

Rozpoznawała to wycieńczenie, poczucie, że wszystko dokoła, co stałe, rozpuszcza się i wymięka. Tak jak się rozpuszczały etykiety od piwa i wody sodowej, kiedy wkładała butelki do wody w wielkiej balii do prania, której Maman niechętnie pozwalała jej używać.

(Czuła, jak jasne włosy Maman łaskoczą jej kark, ciepłe matczyne ciało schylone nad nią i obejmujące ją, gdy ostrożnymi palcami pomagała ściągać te mokre etykiety ze śliskich brzuchów butelek).

Wszystko dokoła niej było wilgotne i jamiste. Światło żarówki, którą Aleks wkręcił w oprawkę pod sufitem, prószyło nabrzmiałym blaskiem. Słyszała, jak Aleks schodzi na dół z jedzeniem, słyszała głuchy szczęk starej bańki na mleko, w której przynosił zupę. (A może to kawałek suchego chleba na dnie błyszczącej jasno puszkii po herbacie?) Któregoś dnia miał z sobą słoik z kiszonymi ogórkami. „Mój ojciec jest klajngertner”, wyjaśnił jej, tym samym lekko urażonym tonem, który przybierali wszyscy miejscowi łódzcy Żydzi, kiedy mówili w jidysz.

A jednak ile by nie jadła, nie pomagało to na to głodowe ssanie, zdradliwe wiry i napady zawrotów głowy i słabości. O ile to nie samo zamknięcie powodowało te objawy? Surowa wilgoć sącząca się ze ścian, która wkradała się w jej obolały kark i stawy ramieniowe. To że nigdy nie wychodziła na górę, na jakieś prawdziwe światło; nie wychodziła też na żaden prawdziwy mrok: wszystko zredukowane do tej samej wodnistej, burej substancji, mieszanki osadów ściekowych, śmierdzącego dymu z węgla i kurzu.

Kilkakrotnie pytała Aleksa, czy by nie mogła wychodzić na górę i siedzieć w sali archiwum trochę częściej. Czasami jej pozwalał, choć niechętnie, jakby wbrew sobie. Ale któregoś ranka całkiem jej zabronił.

— Prezes tu jest — powiedział tylko i wysunął głowę tak daleko, że bardziej przypominał złego psa niż niewinnego zółwia.

Tego dnia Aleks pozostał w piwnicy wyjątkowo długo. Jakby po to, aby upewnić się, że wykrzykiwane wojskowe komendy i agresywny tupot żołnierskich butów na klatce schodowej nie dotrą na dół, aż do nich, do tego, jak je nazywał, „archiwum w archiwum”, które stworzyli we

dwoje.

Lecz także wizyty Aleksa składane u niej na dole zaczęły się stopniowo rozmazywać. Gdy przyszedł następnym razem, nie miała kompletnie pojęcia, czy co dopiero wyszedł, czy nie było go od paru dni, tylko że tego nie spostrzegła. Tak jakby w niej nastąpiło jakieś nieuchwytnie, lecz gigantyczne tąpnięcie. Całe połączenie czasu po prostu niepostrzeżenie zniknęły.

Dotarło do niej, że nigdy nie poradzi sobie z tą pracą, którą podjęła na prośbę rabiego Einhorna. Nie było po prostu dość książek, aby opisać wszystkie te katastrofy, które codziennie wydarzały się po drugiej stronie zawałonych szparami ścian jej piwnicy. Kiedy to tłumaczyła Aleksowi, próbowała o tym żartować. Powiedziała, że to „zabawne”, jak jej się dotąd wydawało, że przeżyła w getcie chyba wszystko — ciasnotę i głód, i fatalne warunki sanitarne w kolektynie, przeżyła długą chorobę Maman i próby ukrywania matki przed czystkami nazistów! — aż tu trafiła do cieplej, przytulnej piwniczki, dostała pracę, jak na warunki gettowe, luksusową, do tego „masę jedzenia” — i nagle wszystko leci jej z rąk. W istocie tylko jedna jedyna wiadomość wytrąciła ją z równowagi, jedna jedyna gazetowa strona, którą Aleks któregoś ranka położył na jej stoliku. Ton artykułu był hardy, buntowniczy; lecz to sprawiało tylko, że trudniej było ukryć stan faktyczny. Natychmiast zrozumiała, że powstanie, o którym mówił Aleks, to które wybuchło w Warszawie, upadło i że wszyscy, którzy mieszkali tam w getcie, nie żyją, o ile w ogóle jeszcze zostały jakieś resztki getta:

Rok za rokiem Niemcy mienili się synami dumnej i niezwyciężonej rasy panów, a oto przez jedną noc okazuje się, że nie są niczym innym jak gromadą zwykłych śmiertelników, którzy padają, gdy dosięgnie ich śmiertelna kula.

Nie są niezwyciężeni! I nie zwyciężą!

Teraz, kiedy na wschodzie odwróciły się losy wojny, opór przeciwko rządowi Hansa Franka i jego armii okupantów będzie rósł także tu, w Warszawie, i na terenie całej Polski. Dzięki walczącym na ulicach getta żaden z morderców nie odważył się powtórnie zejść do piwnic i tunelów getta, gdzie się ukryły ich wybrane ofiary. Nadludziom zabrakło odwagi. Nadludzie się bali.

(J. Nowak)

To był ostatni egzemplarz gazety, jaki zarchiwizowała — z datą 19 maja 1943.

Od tej chwili niczego więcej nie pamięta.

We śnie stoi razem z Alekssem w bramie do archiwum. W tej samej bramie tłoczą się setki ludzi, którzy też, tak jak oni, czekają, aż ustanie deszcz. Věra nigdy w życiu nie widziała takiego deszczu. Po lśniących kocich łbach, wzdłuż dachów i fasad, leje się i chlupocze woda. Czasami piorun wali w ziemię z głuchym hukiem i całe getto trzęsie się w posadach.

Ona i Aleks stoją tuż przy sobie, lecz jakby całkiem się nie znali, a tylko deszcz otulił ich tym samym ciepłym płaszczem. Po chwili ona w ogóle przestaje myśleć o tym, że tam stoją. Tak jej u niego ciepło.

Wtedy się przejaśnia. Otwiera się nad nimi przesmyk błękitnego nieba.

Lecz tylko nad gettem. Po drugiej stronie, za zasiekami i drutem kolczastym, ciągle grzmi i niebo jest ciężkie i błyszczące, i czarne od deszczu.

W bladym, wodnistym świetle kroczą pawie. U stóp mostu wyrosło drzewo: olbrzymi jesion, którego korzenie wybiły spod twardego bruku i splatają swoje gałęzie wysoko nad poręczą mostu. Dokoła na fasadach domów, gdzie wciąż widnieją znaki wodne deszczu, wykwita zieleń jak połyskujące skrzydła motyla. Podnosi się pasiaste markizy, wypycha się okienne szyby na powietrze. W cienistych bramach i za nimi, na podwórzach, dzieją się rzeczy, które przedtem mogły odbywać się wyłącznie po kryjomu. Zaprzęga się konie, na blatach szerokich stołów rozwija się lub rozpościera się ostrożnie nakrochmalone obrusy; stawia się na nich szklanki i talerze.

W salonie fryzjerskim Wiewiórki siedzą klienci z niezgolonymi brodami i spojrzeniami zwróconymi w jedną stronę, tak jakby wszyscy wsłuchiwali się w czyjś jeden głos. Ale z głośników rozmieszczonych wszędzie w getcie dobiega tylko wzmocniony odgłos deszczu: orkan deszczu rwący rynsztokami i rynnami.

Věra idzie po mokrym bruku, ale czuje, że już nie ma ciała. Albo jest tak, że nagle całe getto wyzbyło się wszystkiego, co przyciąga je do ziemi. Bramy i fasady przelatują, jakby to były strony książki, i właśnie tak jak mija się strony kartkowanej książki, ona także przemyka przez bramy na przestronne podwórza, na których stoją dzieci. Uświadamia sobie, że nigdy dotąd nie widziała gettowych podwórek w ten sposób. Przedtem to były dla niej raczej głębokie studnie albo wypełniacze między domami, nedorzeczne dziury pełne błota i odłamków cegieł, i wywalonych śmieci. Teraz studzienka i komórki, i szereg wychodków stoją wyraźnie oddzielone; cokol i ramię pompy są pomalowane, komórki porośnięte dzikim winem, a na dachu wychodków, który jest kryty smołowaną papą, ustawiono drewniane ścianki i nasypano ziemi, robiąc tam grządkę z długimi rzędami ogórków i pomidorów.

I te wszystkie dzieci...

Stoją w luźnych gromadkach, jakby nadeszły, brnąc przez wysoką trawę, i nagle przystanąły z pustymi białkami oczu i twarzami bladymi jak szypułka kwiatu.

W getcie zazwyczaj nie było dzieci. Starcy zazwyczaj nie siedzieli przykryci swymi tałasami, z modlitewnymi rzemieniami okręconymi wokół ramion i otwartymi modlitewnikami przysuniętymi tuż do oczu.

Nie było też zazwyczaj deszczu; ani takiej głębokiej ciszy w tym deszczu.

Za wszystkim tym, co teraz widzi, za dziećmi i deszczem, i ciszą, jest jakby jasna otchłań: jakieś wnętrze bez końca. I uzmysławia sobie całkiem jasno, i bez cienia strachu, że tak się właśnie umiera. Wystarczy tylko unieść swoje lekkie jak papier ciało wprost w niepojęcie

jaśniejące niebo. I Věra myśli, że za wszelką cenę musi się oprzeć tej pokusie; wczepić się w to, co plugawe, złe i mroczne, w ziemię i ciało, i ciężar, i getto.

Lecz rzeczy zaszły za daleko.

Już się nie trzyma siebie samej. Nawet światło nie trzyma.

Ze starej puszki Aleks wskrobywał samo powietrze, a ponieważ łyżka zawędrowała aż do jej ust, Věra wykorzystwała szansę, żeby ugryźć trzonek. Łyżka smakowała żelazem i powietrzem. Aleks namoczył skórkę chleba odrobiną zupy i zwilżał chlebem jej owrzodziałe wargi jak szmatką lub gąbką. Najpierw nie rozumiała, co on tu robi. Ale najwyraźniej żyła. Leżała w ciasnym pomieszczeniu „za tapetą” na Brzezińskiej, na tym samym poplamionym materacu, na którym leżała jej matka, a nad nią i dokoła były te same ściany, które matka wymazała kałem, a na samej górze ten zakratowany wywietrznik, który można było otwierać i zamykać z dołu za pomocą korby. Aleks kręcił nią teraz, żeby światło jej nie oślepiło, lecz chociaż wszelkie światło ją raziło, chociaż w przetyku tkwiła jakby gruda owrzodziałego bólu, a ona była taka osłabiona, że ledwie mogła unieść ręce, chciała, by światło pozostało, i siedziała w świetle jakby na dnie jakiejś bezdennej studni, podczas gdy on znów wskrobywał łyżką tę upragnioną konserwę:

— Przynajmniej jesz — powiedział z satysfakcją.

Dziwne nie było to, że przeżyła, ale że inni byli przekonani, że wytrzyma nie wiadomo ile. Kiedy ojcu udało się w końcu załatwić łóżko dla Maman na Mickiewicza, Věra zniosła ją z mieszkania na dół na plecach, przez wszystkie piętra. Dlatego może nikt nie zauważył, jakie wychudłe i sterane było własne ciało Věry, a potem w szpitalu biegła bez przerwy z powalaną pościelą i basenem z nieczystościami. Jakby próbując uciec od własnego wycieńczenia.

Josel mówił, że tę chorobę musiała złapać gdzieś w szpitalu. Jednak Arnošt stanowczo to wykluczał, twierdząc, że odkąd się przenieśli na Mickiewicza, nie miał ani jednego nowego przypadku tyfusu plamistego — „Tyfus zniknął wraz z wszami”, mówił — a winę składał za to na jej pracę z książkami, na dole, w brudnej piwnicy archiwum. Od razu ją podłączył do kroplówki i podał tlen, który udało mu się zdobyć w zniszczonym teraz szpitalu na Łagiewnickiej, i po dziesięciu dniach gorączka i skurcze mięśni zaczęły ustępować.

Ale wciąż była taka słaba, że kiedy tylko stanęła na nogi albo podniosła czy wyprostowała rękę, od razu trzęsła się na całym ciele. Aleks załatwił dla niej wózek drabiniasty, taki sam, jakim Cesarz Franz, handlarz starzyzną z Franciszkańskiej, obwoził swój towar, i tym wózkiem Josel i Martin wozili ją na Marysin.

Ojciec Aleksa Gliksmana nie był tylko *klajngertnerem*, jak skromnie przedstawił go syn, lecz także naczelnym prawnikiem gettowego *Landwirtschaft-optejl*, pałacowego wydziału rozdającego wszelką ziemię w getcie, która nie była zabudowana lub wykorzystana jako składowisko. Wczesną wiosną 1943 Prezes kazał rozparcelować całą ziemię uprawną, używaną wcześniej przez kooperatywy, na działki do rozdania osobom prywatnym. Zamierzał zwiększyć w ten sposób „miejscową” produkcję owoców i warzyw; lecz chociaż Ehud Gliksman pracował w tym wydziale, i choć to były pierwsze od paru lat nowe działki do rozdysponowania, wcale nie było oczywiste, że będzie miał coś wspólnego z samym przydzielaniem ziemi. W skomplikowanym systemie zależności i spleconych albo zaległych długów wdzięczności, który panował w Pałacu, zawsze znalazł się ktoś, komu przysługiwało pierwszeństwo. Ale Aleks przypuszczalnie się uparł. Věra słyszała w duchu jego żarliwy, nalegający głos, kiedy ujmował się za czeską rodziną Schulzów, gdzie ojciec poza tym jest przecież lekarzem; no i któregoś dnia, kiedy Věra leżała w bardzo ciężkim stanie w swojej komórce „za tapetą” — i nawet wiecznie optymistyczny Arnošt zdawał się tracić nadzieję — przyszedł pocztą mały szary formularz z gettowego *Landwirtschaft-ministerium*, który oznajmiał, że rodzina Schulzów została wybrana, aby „objąć uprawą i opieką”

einen kleinen Bodenanteil. Działka miała oficjalny adres Marysińska 11/4 (działka numer 14); tworzyło ją piętnaście metrów kwadratowych kamienistego gruntu przy samym zbiegu Marysińskiej i Przelotnej. Umowa najmu opiewała na rok, z miesięcznym terminem wypowiedzenia.

Aleks miał własne doświadczenie w pracy na roli. Przez pierwsze lata w getcie był członkiem młodzieżowego kolektywu Haszomer Hacair, który prowadził duże gospodarstwo rolne na Marysinie. Gettowi *szomrim* uprawiali ziemniaki, buraki, kapustę, marchewkę i groch. I to nie tylko do *hazany* — do zbiorowego podziału żywności — ale też dla przyszości, żeby się przyszość, bo w owym czasie, opowiadał Aleks, wszyscy sądzili, że wojna, mimo wszystko, nie potrwa długo i że wkrótce wszyscy znajdziemy się w Palestynie.

— Tam odbywały się nasze zebrania — powiedział i wskazał na kamienny dom z zapadłym dachem kawałek dalej, na Próżnej — tam zwykle leżeliśmy po nocach i słuchaliśmy nietoperzy, mieszkało ich tam pod dachem całe mnóstwo. W tamtym okresie Prezes często pojawiał się z wizytą. Nakrywaliśmy do długiego stołu, a on miał honorowe miejsce. Wtedy był inny, prawie nadskakujący, jadł z nami kolację, a potem siedzieliśmy cały wieczór i śpiewaliśmy różne piosenki, także miłosne — powiedział Aleks i zaśpiewał (miał niski i ochrypy, niezbyt ładny, lecz przenikliwy głos):

W kraju Izraela trzeba cierpieć
Więc kocham i cierpię
A ty nic nie czujesz
Pójdę nazbierać sobie kwiatów
Kwiaty ukoją mi serce
[*B'Erec Israel muchrachim lisbol*
Ani ohewet wesowelet,
We ata ejncha margisz
Prachim li liktofece
Ki baprachim et libi arape]

— Potem pan Prezes do nas wrócił, ale już jak odmieniony:

To było w związku ze strajkami w stolarniach na Drukarskiej i Urzędniczej, które doprowadziły do zamieszek i rozruchów głodowych i musiał wezwać Niemców, żeby spacyfikować demonstracje. I Prezes był przekonany, że to w kręgach socjalistycznych, od naszych *szomrim* i innych kolektywów zaczęła się ta agitacja przeciw niemu. Dlatego kazał zamknąć wszystkie kolektywne gospodarstwa na Marysinie i wszystkim, którzy się nie stawiają w Biurze Zaciągu, mieli zabierać książeczki pracy.

To było w marcu 1941. Dali nam do wyboru. Albo dołączamy do którejś brygady kopaczy Praszkiara i zaczynamy grzebać zmarłych na Brackiej, albo mieliśmy pomóc przy budowie oficyny w Centralnym Więzieniu. To Szlomo Hercberg był wtedy komendantem więzienia i robotników traktował tak samo jak więźniów, jak bydło. Nie były to szczególnie kuszące perspektywy.

— I jak to się skończyło? — zapytała Věra.

— Ja byłem za tym, żeby stawiać opór, oczywiście. Jak niektórzy chcieli. Może wtedy byśmy się go pozbyli. Tylko że nikt nie kiwnął palcem. Ale nasz Prezes wykazał przynajmniej tyle rozsądku, że dał wiarę zapewnieniom mego ojca, że jestem niewinny i pozwolił mi zacząć w archiwum. W organizacji byłem przecież protokolantem, a szczerze mówiąc: tu w getcie nie mamy znowu tak wielu piśmiennych.

*

Działka numer 14 leżała, jak się okazało, kawałek od ulicy, za szarym kamiennym murkiem. Przy murze stała rozwalona szopa z desek, gdzie więcej było wyrw i dziur niż całych ścian. Wzdłuż całej Marysińskiej stało mnóstwo takich wałających się konstrukcji, które tylko z rzadka miały jakieś okno albo dwa na jedną ścianę i jakiś murowany komin albo prymitywną blaszaną rurę wychodzącą oknem. Część działek należących do tych szop była niewielka, niektóre nie większe niż krąg zatoczony ramieniem; inne rozmiarów pola i odgraniczone wysokim płotem i bramkami.

Przez całą tę wiosnę rodzeństwo Schulz tu przychodziło, kiedy tylko było to możliwe, w niedziele, ale także po robocie, jeżeli jeszcze mieli siłę, a w domu dosyć jedzenia. Czasami Aleks także się pojawiał. Mówił, że nie może pozwolić sobie na to, by ją stracić, i chyba miał na uwadze tę pracę z książkami, bo do kopania, gracowania i pielenia specjalnie się nie przydawał, mimo swojego rzekomego doświadczenia. Josel i Martin zrobili sobie własne narzędzia. Z kawałka rynny Martin wyklepał prosty szpadel. Długa, drewniana żerdź z paroma gwoździami na końcu musiała służyć za grabie. Zasiał szpinak i rzodkiewkę, mieli ziemniaki oczywiście; ale też białą i czerwoną kapustę, i buraki ćwikłowe na botwinę. Podlewali grządki zraszaczem, który składał się z paru żelaznych rurek połączonych z blaszaną balią; Martinowi udało się ją kupić od jednego z brygadzystów w gettowym *Altmaterialressort*. Cena była przystępna, przypuszczalnie dlatego, że balia nie miała dna. Wtaszczyli ją na znaleziony w szopie kozioł, po tym jak Martin uszczelnił dno jakąś pozostawioną pokrywką do garnka. Od spodu kozła przewiercili potem dziurę i podłączyli do niej metalową rurkę. Później już można było napełniać kadź wodą, którą przynosili z koryt i beczek przy innych działkach. Kiedy przychodził czas, by uruchomić zraszacz, Martin wlaził na mur z długim, żelaznym prętem zakończonym hakiem, podnosił pokrywkę parę centymetrów i woda lała się z kadzi do rurki, skąd wytryskała każdą źle

uszczelnioną spoiną i szparką.

Z czasem zaczęły przychodzić tam dzieci, żeby popatrzeć, jak pracują. Młodsze dzieci, pięć do dziesięciu lat najwyżej; kilkoro z nich zadziwiająco czystych i dobrze ubranych. Przychodził przede wszystkim pewien chłopiec, na oko ośmiolatek, w robionym na drutach wełnianym sweterku, ledwie sięgającym mu do pasa, krótkich spodenkach po kolana i zdeptanych trepkach tego samego typu, który nosiły wszystkie dzieci w getcie niezależnie od pory roku i pogody. Zawsze miał z sobą z pół tuzina kolegów, starszych i młodszych, którzy chodzili za nim jak za naturalnym przywódcą. — To dzieci „szyszek” — powiedział Aleks, kiedy przyszedł którejś niedzieli z wizytą — dzieci *lajterów*. Ich rodzicom już raz udało się im uratować życie. Od tego czasu już nie wazą się mieć dzieci w mieście.

Pewnego dnia, kiedy dzieciaki siedziały tam jak zwykle w kręgu pod ogrodowym murem, zjawili się dwaj ludzie z Sonder i zażądali okazania książeczek pracy oraz dowodu własności i zezwoleń. Martin podał im list z Wydziału Rolnego i obaj policjanci schylili się nad nim, pochrząkiwali „mhm” i kołysali się na piętach. — Wygląda, że w porządku — powiedział starszy z nich, złożył kartkę i oddał ją z powrotem. — Ale coś mi się zdaje, że te wasze płody nie pobędą w spokoju zbyt długo. — To ostatnie powiedział, wskazując ruchem głowy w tył, w kierunku muru, gdzie chłopiec w wełnianym sweterku właśnie wstał, żeby spróbować dojrzeć, co też za tajemniczy papier policjanci tak sobie podają.

— Piąty rewir policji to jest duży teren, ciężko upilnować — odezwał się drugi policjant. — A zwłaszcza takich małych działek. Tu jest potrzebny dodatkowy dozór, inaczej się nie da.

— To ile? — zapytał Martin, który od razu zorientował się, ku czemu zmierza ta rozmowa.

Starszy policjant rzucił okiem za mur, szacując działkę, a potem zmarszczył czoło, kalkulując:

— Za działkę tej wielkości normalna stawka to jest równo pięćdziesiąt marek.

— Za sezon? — spytał Martin.

— Za tydzień — odrzekł policjant. — Nie zawieramy dłuższych umów. Bo przecież ani wy, ani ja nie mamy żadnej pewności, co się za tydzień będzie działo w getcie. Nie jest tak?

W końcu jednak zgodzili się na niższą cenę i chociaż policjanci burczeli coś, że to za mało, to przez całą jesień zjawiali się i nawet pomagali przy pieleniu i okopywaniu, a potem przy wykopywaniu pierwszych ziemniaków. Jeden z nich przedstawił się nazwiskiem Górski i opowiedział, że dał się zwerbować do Sonderkommando Gertlera przede wszystkim ze względu na pensję — dostawali po osiemset marek miesięcznie i dwa razy dziennie zupę — i dzięki tej pensji udało mu się przetrwać szperę i zachować wszystkie swoje dzieci. Miał trójkę, opowiadał z dumą; same dziewczynki.

Tego roku, przez całą długą i łagodną jesień, w każdą wolną od pracy niedzielę ciągnęły na Marysin karawany głodnych mieszkańców miasta. Większość to byli zwykli urzędnicy biur i wydziałów getta, którzy, podobnie jak rodzina Schulzów, dzięki poparciu szefów stali się odpowiedzialnymi „ziemianami”. Niektórzy pchali jakieś taczki, inni ciągnęli wozy i wózki, na których umieścili swoje łopaty, wiadra, widły i grace, najpewniej wykonane własnoręcznie, jak te Josela i Martina. To była walka z czasem. Niebawem miała nadejść zima, „*der liber winter*”, jak mówiły słowa piosenki, i wszystko, czego się nie wyjmie z ziemi, zanim przyjdą mrozy, miało tam zostać do przyszłego roku. O ile będzie jeszcze jakaś nowa wiosna.

Rodzina Gliksmanów miała własną działkę niedaleko od Schulzów. Aleks przyniósł stamtąd nasiona dyni, które zasiali pod murem, kiedy już wykopali ziemniaki.

Dopóki pracowali razem w archiwum, Věra nigdy nie zwracała specjalnej uwagi na wygląd Aleksa. Zawsze się zbliżał w ten swój dyskretny sposób, jakby obrzeżem i z boku; prawie nigdy nie widziało się go przychodzącego i odchodzącego. Teraz spostrzegła, jaki jest wąty i chudy. Miał wokół szyi długi szal, nad którym sterczały uszy jak uchwyty garnka. Tylko oczy, które na nią patrzyły, były te same. Spokojne, pewne i zaintrygowane.

Szli w górę Marysińskiej w październikowym zmierzchu i całkiem tak, jakby to był zwyczajny dzień w archiwum, zdawał jej sprawę ze wszystkich wieści, które udało mu się posłyszeć. Alianci zajęli Neapol i umocnili się na Półwyspie Apenińskim. Wojska rosyjskie podchodziły do Kijowa i wkrótce miały odbić miasto. A jeśli zajmą Kijów, zajmą Ukrainę, to będzie tylko kwestią czasu, nim Armia Czerwona stanie na brzegu Wisły. Wszyscy to wiedzieli.

— Może nasi wyzwoliciele zdążą tu jeszcze przed Chanuką!

Uśmiechał się, lecz jego uśmiech jakby nie sięgał do jego oczu. Było coś surowego, badawczego w sposobie, w jaki na nią patrzył, jakby chciał sprawdzić efekt, jaki wywierają na niej jego słowa.

Jej ojciec wielokrotnie ją przestrzegał, aby w getcie nikomu się nie zwierzała. „Nie ufaj nawet tym, których znasz. Głód robi donosicieli z nas wszystkich!”

Jednak w tej chwili, kiedy szli aleją owocowych drzew za warszatem Praszki, w tym osobliwym, jakby zasnutym dymem, październikowym zmierzchu, Věra opowiedziała Aleksowi o śnie, który śniła, kiedy leżała chora: o tym, jak zobaczyła znów w tym śnie dom na Brzezińskiej, w którym kiedyś mieszkał młody inżynier Schmied. Stał tam też stary ręczny wózek, z wymontowanym kołem, oparty dyszlami o ścianę; i tak jak wszędzie w getcie, tym jakim było kiedyś, także i w tej kamienicy było mnóstwo dzieci. Stały na podwórzu z uniesionymi ramionami, jakby brodziły przez wysoką na metr trawę, albo siedziały w mrocznych sieniach obu klatek schodowych: setki dzieci wciśniętych między ścianę a poręcz schodów, ubranych w spodnie na szelkach i zniszczone bluzki, z ogolonymi głowami i chudymi, poobcieranymi kolanami podciągniętymi aż pod brodę.

Pojęła wtedy, że to jest to m i e j s c e.

Pojęła to z tą samą absolutną, niezłomną pewnością, z jaką wiedziała dokładnie, w jaką książkę wkleiła wycinki z gazet, które Aleks dał jej do zarchiwizowania, i na moment, który przyprawił ją o zawrót głowy, całe getto zmieniło się w jedno archiwum ze sklepionymi wnętrzami klatek schodowych i ścianami podwórek zaklejonymi tekstami i tajnymi wiadomościami; a na samej górze w kamienicy, gdzie mieszkał Schmied, świeciło się jeszcze na strychu z wyjmowanymi cegłami, tam, gdzie widziała go, jak chował własnoręcznie zrobiony radioodbiornik.

Tylko te dzieci na schodach zagradzały drogę. Nie dało się ich ominąć. I nawet gdyby potrafiła przemknąć, zabrakłoby jej na to sił. Może to dlatego, pomimo ostrzeżeń ojca, zdecydowała się o wszystkim opowiedzieć Aleksowi. Sama i tak nie dałaby nigdy rady wejść na samą górę.

— Ale masz jeszcze klucz? — zapytał.

Jego oczy były tak olbrzymie, że wyglądały, jakby były do niej przyklejone.

— Tak, mam ten klucz — odpowiedziała i zacisnęła dłoń, tak samo jak w owym śnie: z palcami mocno zaciśniętymi na tym, czego, jak sobie kiedyś obiecała, nikt nigdy nie miał zobaczyć.

A zatem byli w getcie: żywi i umarli.

Tylko że żywi niekoniecznie znajdowali się wśród tych, którzy każdego dnia maszerowali w górę i w dół mostami getta. A umarli niekoniecznie wśród tych, którzy wcześniej wydeptywali te same drewniane stopnie, a którzy teraz byli wysortowani i wywiezieni gdzieś, nikt nie wie dokąd.

Pinkas Szwarc, albo Pinkas *der felszer*, jak go nazywano, był zatrudniony w dziale ewidencji ludności archiwum, gdzie zajmował się wystawianiem książeczek pracy i przepustek wszystkim Żydom, których władze niemieckie jeszcze potrzebowały. Oprócz tego to właśnie Pinkas *der felszer* kiedyś, u zarania getta, otrzymał rozkaz zaprojektowania tych bezwartościowych monet i banknotów, które miały być potem używane jako waluta getta. Zaprojektował także równie bezwartościowe znaczki pocztowe getta. Na tych znaczkach Prezes stoi łagodnie uśmiechnięty na tle wystylizowanego drewnianego mostu wpisanego w gigantyczne koło zębate. Symbolu pracy, władzy i dobrobytu w getcie.

Unser einziger Weg, et cetera.

Poza produkowaniem środków płatniczych Pinkas *der felszer* malował kulisy do rewii Mosze Puławera. Namalowane tam obrazki na pierwszy rzut oka przedstawiały się może niewinnie: tradycyjne scenki z brzózkami i pastwiskami albo gettowe plenery z zaułkami wśród starych ruder i zgarbionych, krzywych latarni. Przy bliższym jednak przyjrzeniu się tym obrazkom wpadały w oko osobliwe i niepokojące detale. Zza jakiegoś wiejskiego wychodka wychylała się głowa diabła. Przez krajobraz usiany dymiącymi kominami jechał powóz wiążący anioły trąbiące w szofary.

Także Prezes pojawiał się tu i ówdzie, pod różnymi postaciami. Przebrany za rabina stał przed łaźnią i wsadzał protestujące dzieci do wielkiej balii kąpielowej albo brodził w rzece, ciągnąc rybacką sieć pełną ludzi przebranych od biedy za ryby. Gettowa rewia dała w sumie, od maja 1940 do sierpnia 1942, sto jedenaście przedstawień i podczas wszystkich wieczorów siedzieli tam gettowi prominenci, słuchając frywolnych skeczów lub złośliwych aluzji, tak skoncentrowani na padających ze sceny replikach, że nigdy nie spostrzegli tej cichej rebelii na obrazkach za plecami aktorów.

Gdy później przyszło zlecenie przygotowania eksponatów na wielką Wystawę Przemysłową, Pinkas *der felszer* wyczuł swoją życiową szansę.

Władze zdecydowały udostępnić wielkiej Wystawie Przemysłowej dawny szpital dziecięcy na Łagiewnickiej 37, lecz by budynek mógł posłużyć jako lokal wystawowy, trzeba go było najpierw przygotować. Pinkas kazał zaprosić swoich obu młodszych braci — obaj byli stolarzami — i zaczęli razem zrywać podłogę na parterze szpitala i wykopywać stamtąd ziemię i kamienie.

Mogłoby się zdawać, że taka robota powinna wzbudzić jakieś podejrzenia; zbyt duże zwały piasku i kamienia w jednym miejscu wskazują wszak na to, że dzieje się coś, co może dziać się nie powinno. Lecz niemieccy żandarmi pilnujący budowy mimo to przyjmowali, że wszystko jest w porządku. Wszystko, co działo się za płotem budowy, było wszak postanowione i zatwierdzone przez najwyższe czynniki. Zatem gdy pierwsza delegacja oficerów z Wehrmachtu i SS odwiedziła wystawę i oglądała wypucowane na glanc witryny pełne mufek i nauszników, i śniegowców, i mudurów maskujących, Niemcy nie wiedzieli, że pod ich stopami, w trzech podziemnych komorach, które wykopał Pinkas z braćmi, kuliło się już ponad dwudziestu Żydów.

Był to początek tego, co miano w getcie określać jako bunkier — miejsce, w którym gettowi umarli mogli przebywać bez ryzyka, że ktoś pomyli ich z ludźmi jeszcze żyjącymi. Było to też miejsce, gdzie tacy jak stroiciel fortepianów, który bez przerwy krążył między krainami żywych i umarłych, mogli trochę odpocząć przed swoją kolejną podróżą.

Stroiciel fortepianów był poza tym przyzwyczajony do ciasnych przestrzeni.

Przez wszystkie lata, które upłynęły, odkąd postawił pierwsze kroki w getcie, nie urósł tak, żeby w razie potrzeby nie móc się zmieścić w pianinie. Któregoś ranka pojawił się także w gettowym Domu Kultury. Pinkas *der felszer* właśnie stał na drabinie, malując na niezmiennie błękitnym niebie getta białe chmurki „baranki”, kiedy stroiciel fortepianów wkroczył na scenę ze swymi dwiema wyświechtanymi torbami narzędziowymi i swoim już co najmniej równie wyświechtanym pytaniem i Pinkas nawet nie zadał sobie trudu wyjęcia pędzli z ust, zanim odpowie, tylko wskazał na wielki fortepian koncertowy kapelmistrza Bajgelmana, i jak zwierzątko, które wreszcie trafia do swojego leża, stroiciel fortepianów uchylił skrzydło instrumentu i wgramolił się do środka.

Później próbował okazywać się przydatny, gdzie tylko mógł. Przynosił skrzypce pannie Rotsztatównie każdego wieczoru, kiedy grała solo, i pomagał bliźniaczkom Schum zdejmować i zakładać sceniczne kostiumy. Przerywał bilety, prowadził grube ryby na ich z góry zarezerwowane miejsca tuż przy scenie, opróżniał popielniczki i zabawiał konwersacją gości pozostających w foyer.

Ale nadeszła *grojse szpere* i kiedy muzycy i aktorzy spotkali się ponownie na początku października, zabrakło prawie połowy orkiestry, nie było więcej chóru dziecięcego, a z pracowników sceny zostali tylko pan Dawidowicz i jego pomocnik, ten mały i niezdarny Herzl, z którego wszyscy inni zawsze się nabijali. Dom Kultury, jak ogłoszono, miał odtąd służyć wyłącznie do rozdawania nagród i tym podobnych poważnych imprez, a nie do wystawiania jakichś skandalicznych rewii. Bajgelman był gotów rozwiązać orkiestrę. Muzycy także byli albo zbyt zmęczeni, albo zbyt osłabieni głodem i chorobą, żeby chociaż myśleć o jakimś dalszym graniu.

Ale stroiciel fortepianów nie dał za wygraną. Jeżeli resortowi robotnicy nie mogą już przychodzić do teatru, rzekł, to chyba teatr może przychodzić do nich?

*

Mimo że w getcie nie było już domów dziecka, Róża Smoleńska dalej pracowała w gettowym Wydziale Opieki i Zdrowia. Dzień w dzień siedziała w jednym z mrocznych kątów Sekretariatu panny Wołk na Dworskiej i rejestrowała podania o substytut mleka dla ciężarnych kobiet albo o dodatkowy przydział produktów na kartki dla chorujących na gruźlicę. Lecz od czasu do czasu uczyła też dzieci wysokich gettowych urzędników w paru wybranych fabrykach języków i arytmetyki, i historii Żydów. Lekcje musiała przeprowadzać tam, gdzie akurat było miejsce, w porośniętych kurzem magazynach lub w jakiejś komórce, którą dyrektor dał do dyspozycji, przy czym zawsze musieli być gotowi, że im przerwą, gdy zawyje fabryczna syrena albo gdy nadejdzie ekstra zamówienie, wymagające zmobilizowania wszelkich dostępnych sił.

Zdarzały się jednak i weselsze przerywniki. Na przykład, kiedy w czasie przerwy obiadowej przez bramę fabryki wtaczał się wóz teatralny i przy głośnym aplauzie zatrzymywał się dokładnie naprzeciwko wartowni, gdzie siadywali fabryczni strażnicy w towarzystwie majstrów.

Rozumiało się samo przez się, że podczas takiego „tourné” nie dało się pokazać więcej niż

parę numerów z gettovej rewii; poszerzano za to swoje *plotkies* o różne piosenki.

Pani Harel śpiewała piosenkę o Berele i Brajndele przy akompaniamencie skrzypiec pana Gelbrotha. Na świeżym powietrzu dźwięk skrzypiec brzmiał zawodząco i piskliwie, jak kiedy się przejedzie paznokciem po szkle. Lepiej to brzmiało, kiedy cała trupa zaśpiewała kuplet *Cip cipele* samego pana Bajgelmana, ze świeżo napisanym tekstem poświęconym pani Wydzielaczce. Wszak ją znają wszyscy! To ta gruba, ślepawa kobieta, która stoi za ladą bufetu na piętrze i codziennie nalewa im zupę: ostrożnym zgarnięciem z powierzchni — dla wszystkich tych, którym nie ufa, i głębszym, hojnym zaczerpnięciem dla tych, którzy z jakiegoś powodu zaskarbili sobie jej względy. I cała publiczność głęboko wzruszona tym, że sama jest częścią spektaklu wystawianego przez tę obcą teatralną trupeę, śpiewała razem z aktorami; dwieście kobiet w chustkach na głowach, jednocześnie —

Pani Wydzielaczko: Ich mejn niszt kejn GELECHTER

— A bisele tifer, A bisele GEDECHTER

[Pani Wydzielaczko: posłuchaj GŁODNEGO,

Sięgnij trochę głębiej, daj trochę GĘSTEGO]

— i grzechotały, i stukały łyżkami o menażki tak, że inżynier Stech zatkał sobie uszy i kazał brygadziście włączyć fabryczną syrenę tylko po to, żeby zakończyć tę kocią muzykę.

Róża Smoleńska od razu poznała stroiciela fortepianów. Kiedy ostatnim razem go widziała, siedział na drabinie i majstrował przy dzwonku na kuchennej ścianie w Zielonym Domu. Teraz siedział w tej samej pozycji na szczycie bagażnika, na wozie trupy Bajgelmana, i balansował tam niczym mucha na brzegu słoika.

Gdy przedstawienie się skończyło i pan Gelbroth chodził dokoła z futerałem swoich skrzypiec, zebrząc o monety i skórki od chleba, stroiciel fortepianów zeskoczył z dachu wozu i szybkim krokiem podszedł do panny Smoleńskiej. Miał to i owo do opowiedzenia. Chodziło o pianino z Zielonego Domu. Które wciąż tam stoi, i to w dobrym stanie, oznajmił jej. Kłopot w tym, że jest teraz niedostępne, jako że cały dom zamieniono na *Erholungsheim*. Wszelako nie dla jakichś dzieci Prezesa, tylko dla własnych ludzi pana Gertlera, którzy przez całą noc siedzą tam w środku i śpiewają, i ryczą na całe gardło, nie mówiąc o tym, że nie umieją grać. Jak można dobrać się do pianina, gdy cały dom jest pełen Sonder? Czy panna Smoleńska może mu wyjaśnić?

Ledwo wymówił słowo „Sonder”, kiedy przez tłum widzów przebiegła jakby długa fala uderzeniowa i najmłodsze z robotnic zaczęły krzyczeć:

„Lojff, lojff! — der zonderman kumt!!!”

Dwaj majstrzy z wartowni dostrzegli zagrożenie i wybiegli stamtąd z furkotem fartuchów. „Sio, sio!”, krzyczeli, jakby kobiety były gromadą kur, które w ten sposób można zagnać z powrotem do stanowisk pracy.

Akurat tą grupką funkcjonariuszy gettowego Sonderabteilung dowodził młody, wysoki, chuderlawy chłopak ubrany w lekko poplamiony garnitur w prążki, za duży o co najmniej dwa numery. Twarz pod czapką z daszkiem była błyszcząca i blada, każdy mięsień i kość wyraźnie zarysowane, od czoła w dół, aż po długą spiczastą brodę.

— *Dokumente!* — wrzasnął do Gelbrotha, który przywarł do futerału skrzypiec, jakby to była kamizelka ratunkowa lub niemowlę, które za wszelką cenę trzeba uratować.

Niektórych z publiczności zapewne to zdziwiło, że ten żydowski *policajt* upiera się, żeby do

członków trupy teatralnej odzywać się po niemiecku. Ale Róża Smoleńska nie była zdziwiona. Od tamtego szabasowego poranka, gdy bracia Kohlman z kolońskiego kolektywu zastukali, wlokąc pomiędzy sobą młodego Samstaga, nigdy nie rozmawiała inaczej niż po niemiecku z tym najstarszym i przypuszczalnie najtrudniejszym dzieckiem Zielonego Domu. Wiedziała, że od tamtej pory Samstag nauczył się imitować zarówno polski jak i jidysz. Tyle że właśnie imitować. Tak samo było z tą niemczyzną, którą podrabiał teraz, mówiąc z panem Gelbrothem. Brzmiała całkiem tak samo jak ta bombastyczna niemczyzna komend i dyrektyw, przetykana polszczyzną i jidysz, której używali gettowi dygnitarze, gdy próbowali zadać szyku. Ale Róży na to nie nabrał.

— *Beruf? Oder hast du keine Arbeit?*

— *Ich bin Schauspieler.*

— *Was machst du dann hier — du szojte — wenn du Schauspieler bist?*

— *Ich hab hier meine gute Arbeit!*

— *Hert mal ojf cu szrajen, wir sind niszt af der scene!*

Stroiciel fortepianów, robiąc wielkie oczy, uczeplił się łokcia panny Smoleńskiej.

— Samstag — wyszeptał, prawie z nabożeństwem w głosie. Z wysokości swojej nowo nabytej policyjnej rangi Samstag patrzył na stroiciela fortepianów z uśmiechem, który przypominał pełen połyskujących zębów worek.

— *Samstag ist leider im Getto kein Ruhetag* — rzucił tylko, oddał dokumenty panu Gelbrothowi i opuścił fabryczny dziedziniec, a w ślad za nim jego ludzie.

Mimo wszystko ten patrol z Sonder podjął pewną decyzję: nie rozpędzać tłumu; choć przecież mogliby i choć przepisy to nakazywały. Nie posadzili też za kratki uciekających komedianów, lecz pozwolili, aby wóz Bajgelmana odjechał; i podobnie działo się w ciągu następnych miesięcy i lat. Niejeden resort miał się cieszyć z tych *badchonim*, którzy przyjeżdżali i przepędzali ciągłą mękę głodu paroma dysonansowymi akordami skrzypiec oraz paroma kupletami, które dawały się rozpoznać i które można było wspólnie śpiewać.

Ale stroiciel fortepianów zdawał się nagle bardzo mały, tam gdzie siedział skulony na wozie, na stercie teatralnych rekwizytów:

— I pomyśleć, że Samstag — *der szojte!* —

dał się zwerbować do Sonder!

Jednak gdy potem ściągnął wargi, żeby znaleźć melodię do piosenki mającej opowiadać o samotnym chłopcu z sierocińca, który zostaje w końcu *policajtem* w armii samego Gertlera, ciało i twarz mu drżały, lecz nie zjawił się żaden ton. Stroiciel miał jeszcze wiele razy próbować sklecić tę piosenkę, w różnych tonacjach i rejestrach; lecz nawet we własnej, gettowej, cementowoszarej tonacji — wyjałowionej, pozbawionej wszelkiego rezonansu — nie było, zdaje się, melodii, która by pasowała.

Róża Smoleńska uczyniła wszystko, co w jej mocy, żeby wywieźć się o losach dzieci z Zielonego Domu. W Sekretariacie na Dworskiej stało kilka szarych teczek, do których formalnie miała dostęp tylko panna Wołk, ale do których Róża czasem po kryjomu zaglądała. Któregoś razu złapała ją na tym sama panna Wołk. „Jeżeli jeszcze raz panią przyłapię na zaglądaniu do protokołów adopcyjnych, to osobiście dopilnuję, żeby panią deportowano”, powiedziała panna Wołk, podczas gdy Róża, zebrawszy spódnice na udach, stała tylko wyprostowana, z rękami po bokach i wzrokiem wbitym w podłogę, jak nauczyła się robić zawsze, kiedy szefostwo ją o coś oskarżało. „Nie, panie Rumkowski, nie stałam tu i nie słuchałam”, powiedziała kiedyś, tamtym razem, gdy Prezes zamknął się na klucz w sekretariacie z „nieposłusznymi” dziewczynkami w Helenówku; to samo powiedziała teraz:

— Nie, panno Wołk, to jakieś nieporozumienie, panno Wołk, ja takich teczek nie widziałam.

By później wracać, dzień po dniu, do biura panny Wołk i powoli, teczka po teczce, uczyć się wszystkich tych nazwisk na pamięć.

Były tu w pierwszym rządzie wszystkie „dzieci Prezesa”. Tak nazywano te, dla których Prezesowi, w ramach jego wielkiej kampanii „ratowania dzieci getta”, udało się stworzyć stanowiska praktykanckie: albo w nowo otwartej zawodowce na Franciszkańskiej, albo bezpośrednio w Centrali Krawieckiej. Wyrosły na młodych przodowników pracy, i właśnie „dzieci Prezesa” cieszyły się szczególnym wzięciem wśród tych, którzy po Wielkiej Szperze pisali do Sekretariatu Wołkówny z prośbą o umożliwienie im adopcji.

Było też jasne, że wielu z wysyłających te podania to są ci, którzy podczas wrześniowych wydarzeń stracili własne dzieci.

Nowi rodzice Kazika, były motorniczy Icek Topoliński i jego żona, stracili obu swoich chłopców, sześciolatka i czterolatka. Przybrani rodzice Nataniela stracili córeczkę, urodzoną w tym dniu, kiedy Niemcy wkroczyli do Polski, 1 września 1939.

— Zawsze myślałam sobie — mówiła jej matka — że ta okoliczność, że mała jest równolatką wojny, będzie ją jakoś chronić, ale już pierwszego dnia szpery przyszli Niemcy i mi ją zabrali. Może mi pani wytłumaczyć, jak to jest, panno Smoleńska? Jak można wymagać, żeby trzyletnia dziewczynka poradziła sobie zupełnie sama, bez mamy?

Krążyły także historie o ocaleniu. W getcie gadało się sporo o tak zwanych studziennych dzieciach. Było kilka wariantów tej opowieści. Jeden z nich mówił o dwuletniej dziewczynce, którą wsadzono w tobołek z prześcieradła i spuszczone do studni na łańcuchu, którym zazwyczaj spuszczano wiadro. Kiedy przyszli Niemcy, rodzice powiedzieli, że dziewczynka zmarła na tyfus, i że z powodu ryzyka zarażenia musieli spalić wszystkie jej ubranka i zakopać je na podwórku. Cały tydzień przeleżała w tym swoim zawiniątku z prześcieradła na samym dole zimnej studni. Codziennie jej spuszczało coś do jedzenia i do picia, aż odwołano zakaz wychodzenia z domów i mogli ją stamtąd wyciągnąć. Była skostniała z zimna i wycieńczona, ale żyła.

I dalej sobie teraz żyła. Bo co ciekawe z tymi studziennymi dziećmi, to że gdy szpera już się przewaliła, nikogo więcej już nie obchodziło, że były kiedyś na listach do wywózki. Biurokratyczny aparat getta wchłonął je na nowo i dziewczynka ze studni otrzymała nowy zestaw kartek na chleb i inne produkty żywnościowe.

Także Debora Żurawska, to spośród dzieci, które było może najbliższe sercu Róży, miała

otrzymać miejsce praktykantki w szkole na Franciszkańskiej, gdyby nie to, że po wizycie Prezesa w Zielonym Domu i tym, co stało się z Mirjam, dziewczynka pluła na wszystko, co miało jakikolwiek związek z Przewodniczącym getta. O jej obecnym życiu Róża wiedziała nie więcej niż to, co wyczytała w dokumentacji adopcyjnej, w teczce stojącej w biurze panny Wołk.

Herrn PLOT, Maciej, FRANZSTR. 133

In Beantwortung Ihres Gesuches vom 24.9.1942 wird Ihnen hiermit das Kind ZURAWSKA, Debora im Alter von 15 Jahren zur Aufnahme in Ihre Familie zugeteilt.

Litzmannstadt Getto, den 25.9.42

Franzstrasse/Franciszkańska 133 to był, jak się okazało, rząd drewnianych ruder leżący przy rynsztoku, w którym pływały śmieci i odchody. Żadnych drzwi tam nie było, przynajmniej od ulicy, a jedyne okno od tej strony dawno zostało już zaklajstrowane deskami i cementem. Gdy Róża spróbowała przebyć ten śmierdzący rynsztok i wejść za domy, na podwórze, spotkała gromadkę mężczyzn, którzy głośno, bijąc się w piersi, zapewniali, że nie mieszka tu żadna Debora Żurawska ani żaden Maciej Plot, cokolwiek by wynikało z jej papierów.

Kiedy Róża Smoleńska udała się do Biura Meldunkowego, jakiś zmęczony kancelista oznajmił jej, że wprawdzie była kiedyś w getcie osoba o nazwisku Maciej Plot, lecz że to nazwisko zostało wykreślone z ewidencji. Maciej Plot był zatrudniony w tartaku na Drukarskiej. W styczniu 1942 został wciągnięty przez Komisję Wysiedleńczą na listę „elementów niepożądanych w getcie” i w lutym został deportowany. Ktoś go oskarżył o kradzież odpadów drewnianych z tartaczego składu tarcicy. Oskarżenie miało może podstawy, a może było wymyślone, żeby ktoś inny uszedł cało. To przecież była ta straszna zima, kiedy w getcie kradł każdy, kto mógł, powiedział kancelista; a ci, którzy z jakiegoś powodu nie mieli możliwości, żeby kraść, zamarziali po prostu, zanim nawet zdążyli na pociąg czekający na Marysinie.

Ale jeżeli Maciej Plot został deportowany albo nie żył, kto w takim razie wypełnił za niego papiery adopcyjne? I gdzie, i u kogo, była w takim razie panienska Żurawska?

O czym Róża jeszcze nie wiedziała, to że istniały dwa sposoby, w jakie Żyd mógł opuścić getto. Albo się wybierało drogę „wewnętrzną”, albo „zewnątrzną”. W obu przypadkach pozostający krewni byli zmuszeni zwrócić książeczkę pracy i karnety z kuponami, które następnie właściwe władze kasowały, stemplując na nich **TOT** lub **AUSGESIEDELT** — w zależności od tego, która droga została wybrana.

Lecz to, że stemplowano książeczki pracy, nie oznaczało od razu, że ich dawni właściciele znikali z obiegu. Byli tacy spryciarze, którzy skupowali pozostawione kartki albo przekupywali pracowników Centralnego Biura Resortów Pracy, by nie wbijali swoich stempli w dokumentach deportowanych. Skoro tylko obwieszczano jakiś nowy przydział, chodzili z książeczkami pracy zmarłych i wybierali, co się dało, na ich kartki. Chleb, żytnie otręby, cukier. Ponieważ wywożono tyle osób, dziesiątki tysięcy mężczyzn i kobiet w ciągu paru zaledwie miesięcy, znaczna ilość żywności trafiała w ten sposób na czarny rynek, gdzie potem mogli ją kupować sobie ci, którzy mieli *genug gelt* — to znaczy ci, którzy już dorobili się na innych lewych interesach.

Jednym z tych, którzy tym sposobem dyrygowali armiami umarłych, był pewien znany w getcie złodziej i oszust o przydomku Mogn — Brzuch. Tenże Mogn był jednak jeszcze cwańszy. Z książeczkami pracy umarłych i ich kartkami na przydział żywności chodził do kierowników gettowych resortów i przekonywał ich, aby ponownie zatrudniali swoich byłych pracowników. Wprawdzie musieli potem wypłacać pensje ludziom deportowanym z getta, ale ten wydatek Brzuch zobowiązywał się szybko pokrywać. Wszak liczyło się to, że umarli mogli

w dalszym ciągu pobierać zasiłki i odnawiać ważność kartek przydziałowych w zasadzie w nieskończoność.

Imperium zbudowane z niczego, imperium cieni; ale Brzuch był bogaty.

Kiedy przyjmował gości, siedział na dwumetrowej wysokości krześle, oparty tyłkiem i plecami o miękkie, jedwabne poduszki, ze swoim wielkim brzuchem rozlanym ciężko, lecz potężnie między parą tłustych przedramion. Dobry, pobożny Żyd, który święcił szabas, przestrzegał wszelkich nakazów rytualnych i nawet uznał, że go stać na to, aby trzymać koszer. Uprawiał ponadto filantropię. Aby wykazać się bogobożnością i swoim wielkim sercem filantropa, postanowił złożyć podanie o przyznanie mu opieki nad paroma z tych nieszczęśliwych sierot, które po Wielkiej Szperze wyrzucono z ich *ochronkes*, a które Sekretariat Wołkówny wystawiał teraz na licytację. Grupa jego najbardziej zasłużonych zmarłych — a wśród nich nie kto inny jak były pracownik tartaku Maciej Plot — złożyła podpisy na formularzach podaniowych, a wszystkie one były tak akuratnie wypełnione, że nawet panna Wołkówna i jej koledzy z Komitetu Adopcyjnego nie mogli do niczego się przyczepić.

W ten właśnie sposób także panna Debora Żurawska trafiła do krainy zmarłych, chociaż nadal pozostawała wśród żywych.

Książeczkę pracy i kartki musiała oczywiście oddać, skoro tylko przekroczyła próg domu Brzucha. Za skromną część swojego własnego przydziału szorowała podłogi w drewnianych domach na Franciszkańskiej lub usługiwała którejś z wielu „żon”, jakich Brzuch z biegiem lat zdążył się dorobić. Ponieważ wciąż jeszcze dobrze wyglądała, musiała czasem odbyć służbę w którymś z tych „sanatoriów”, które pan Gertler przejął od Prezesa i które Brzuch zaludniał teraz umarłymi, aby móc coś zaoferować zmęczonym policjantom, którzy się tam zjawiali, by wypocząć. W jednym z tych domów znajdowało się pianino, a ponieważ chodziły słuchy, że Debora grywała kiedyś na pianinie, musiała także zabawiać gości Brzucha muzyką.

Róża Smoleńska ponownie skonsultowała Biuro Meldunkowe i dowiedziała się tam, że Brzuch załatwił tymczasowe zatrudnienie dla Debory w Warsztatach Czapek na Brzezińskiej. To tam produkowano nauszniki dla armii niemieckiej. Dzień w dzień Róża wyczekiwała przed bramami w nadziei, że jej przynajmniej mignie gdzieś jej dawna podopieczna. W końcu zdobyła sobie swoją cierpliwością sympatię innej pracownicy, która jej wytłumaczyła, że jeśli szuka Debory, to powinna poczekać przy innym wyjściu. Róża przeszła wtedy na tyły fabryki, gdzie była mała rampa towarowa, i właśnie tam, wieczorem następnego dnia, po zakończeniu zmiany, ujrzała, jak Debora wychodzi w towarzystwie paru młodszych dziewczynek. Pod rampą czekali, jak jakaś eskorta, ci sami dwaj mężczyźni, na których natknęła się wcześniej przy tych rudkach na Franciszkańskiej.

Debora jest odmieniona, a jednak ta sama.

Wychudzona, z brzuchem opuchniętym jak u wszystkich głodujących dzieci, chuda na twarzy jak zwierzątko. Porusza się poza tym jakoś dziwnie, jak krab, z jednym ramieniem podciągniętym ku szyi. Róża pamięta, że czasami chodziła w ten sposób, kiedy nosiły razem wodę ze studni, tylko że wtedy po to, by zrównoważyć ciałem ciężar pełnego wiadra, które niosły; w mroźne jesienne albo zimowe poranki, z mroczną ziemią jak misą ze stulonych dłoni i z jaśniejącym niebem między nimi. Debora opowiadała wtedy o tym wszystkim, co będzie robić po wojnie, będzie zdawać do Konserwatorium w Warszawie, może pojedzie do Londynu albo do Paryża; i po każdym takim zwierzeniu zmieniała chwyt dłoni na kabłąku wiadra. Teraz Debora

idzie tak samo — chociaż bez wiadra. Na nogach ma parę trepków, tak zdeptanych, że musi wyżej podnosić jedną nogę, czy może raczej tak k u l e j e.

Róża teraz widzi. Musieli ją bić.

Biegnie za nią:

— Załatwiłam ci pracę — mówi, albo raczej woła: ponieważ Debora Żurawska czyni wszystko, aby ze swoim ciężkim, wykrzywionym ciałem nadażyć za innymi robotnicami, które poszły przodem.

— Na pakowalni, w fabryce porcelany Tuska.

Będziesz pakować bezpieczniki. Tam na pakowalni potrzebują ludzi!

Cały czas!

Ale Debora nie odwraca głowy.

Za to Róża spostrzega, że jest otoczona przez tych dwóch ochroniarzy Brzucha. Daszki czapek mają głęboko zsunięte na czoło i uśmiechnięte, nieruchome twarze. Uśmiechają się ciągle, kiedy chwytają Różę w pasie i przewracają ją na ziemię.

Dziewczęta już zdążyły dojść na Franciszkańską, gdzie na zewnątrz stoi i czeka Brzuch. Jest nawet większy, niż głosi fama. Kałdun ma tak wielki, że może chodzić tylko wspierany przez innych. Dwie młodsze kobiety i mężczyznę, który wygląda jak jego młodsze wydanie — syn (jeśli to jego syn) ma nawet na głowie podobną szlafmycę jak ojciec. Cała ta grupka taszczy czy gramoli się przed siebie po wyschniętym błocie. Ten kałdun, od którego wzięło się przezwisko Brzucha, zwisa mu między udami jak flakowaty, luźny wór. Zdawałoby się, że Brzuch powinien chępić się całym tym jądłem, jakie wchłonał, lecz kałdun Brzucha zwisa pusty, co może tłumaczy jego wściekłość. Zaczął mówić, nim jeszcze podeszli. On wie, kim ona jest, powiada. — Zatrudniona w Sekretariacie Wołkówny, zgadza się? — Darmozjady — mówi. — Pasożyty jesteście, żerujące na krzywdzie przyzwoitych ludzi, bo wasz szanowny Prezes troszczy się wyłącznie o maluczkich — może nie? O t e m a l e n s t w a — dla nich ma pomarańcze i czekolady, a my, dorośli, zdadni ludzie, ciężko pracujący, zarabiający na utrzymanie swoich rodzin, co my mamy? Ano w nagrodę nasyła na nas takie jak ta Wołk, albo przychodzi taka tu — Smoleńska! — przecież to nawet nie jest przyzwoite żydowskie nazwisko!

Przez cały czas, kiedy Brzuch rzyga swoją pogardą, Róża Smoleńska słyszy wewnętrznym uchem dzwonek telefonu, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy Prezes zamknął się z Mirjam, a ten stroiciel fortepianów wspiął się po drabinie, żeby wetknąć kamerton w dzwonek w sieni. I tak samo jak tamtym razem, ten jazgot wypiera jakby wszystko, co wcześniej było przestrzenią i światłem wokół nich. Wszystko jednoczy się albo rozplywa się w tym przeraźliwym dźwięku, który im nie pozwala myśleć czy oddychać, czy w ogóle cokolwiek zrobić czy powiedzieć.

A Róża widzi, że szczupłe dawniej, „pianistyczne” palce Debory są zniszczone, spuchnięte, pokryte czerwonym liszajem, jakby moczone w ługu; i wsunięte, czy raczej owinięte w rękawiczki wyglądające jak gałgany. Odruchowo chwytając dziewczynę za rękę i Debora wykrzykuje z bólu i usiłuje się wyrwać, a ktoś (to znowu Brzuch?) zabiera głos przez ten jazgot:

— Kim pani jest właściwie, pani Smoleńska? I Róża odpowiada: — Matką tej dziewczynki. W tej samej chwili Debora mówi: — Ja nie mam matki, i nigdy nie miałam. A Brzuch: — Czy ktoś się wreszcie ruszy i wyrzuci stąd tę babę?

*

Gettowe *Sonderabteilung* miało swoją kwaterę główną po drugiej stronie Bałuckiego Rynku,

w oficynie tego samego domu na rogu Zgierskiej i Limanowskiego, gdzie mieściło się także biuro gestapo i komenda pierwszego rewiru Służby Porządkowej. Odwiedzający Sonder musiał najpierw zgłosić się przy szlabanie, u niemieckiego wachmana, a jeśli ten nie miał zastrzeżeń do dokumentów, przechodził dalej i wchodził małą bramą, na lewo od samego budynku gestapo.

Za szybami zakratowanych okien było ciemno, ale kawałek dalej stała gromadka mężczyzn, którzy się grzali przy wystawionym na podwórze piecu: wielkiej, brzuchatej beczce z dawno poczerniałej blachy, z której buchały czarne kłęby kwaśno-mdlącego dymu. Było tak, jakby całe powietrze tu w środku zasnuwał cienki welon dymu sprawiający, że ciała i twarze były blade i niewyraźne.

Samstag jej nie pozdrowił, kiedy się zbliżyła, tylko odwrócił głowę z lekkim uśmieszkiem — jakby go przyłapała na jakiejś wstydlivej czynności. Na ramieniu nosił opaskę kommanda z Gwiazdą Dawida. Czapkę z daszkiem, też od kompletu, odłożył wśród innych na parapecie okna, ale widziała wyraźny odcisk napotnika na jego czole, wąską kreskę lśniąca w blasku ognia jak rozjątrzona rana. Jedyne, co się nie zmieniło, to ten jego uśmiech: szereg równych i ostrych zębów błyszczących i mokrych od śliny, kiedy je obnażał.

— *Du bist ict zajn kurwe?* — zapytał tylko, a potem po polsku, tak żeby inni też słyszeli: — Jesteś jego kurwą?

Na słowo „kurwa” pozostali zbliżyli się do beczki z ogniem, uśmiechając się szyderczo i obmacując Różę bezwstydnymi spojrzeniami. Dym buchający z beczki wycisnął jej łzy z oczu i nagle całym ciałem wstrząsnął spazm.

Samstag podszedł i chwycił ją za ramiona.

— No już — powiedział — przestań. Nie płacz.

Dłonie, którymi ją trzymał, były mocne i zgrubiałe od pracy. Poczła zapach kwaśnego potu i dymu bijący od jego ubrania, i jeszcze coś innego, słodkiego i lepkiego, i nagle, oszołomiona, czuje, że nie jest w stanie się powstrzymać. Zredukowana do starej, marudzącej, bezsilnej kobiety opowiada o swojej wizycie na Franciszkańskiej; o Deborze, jak wyszła tylko po to, żeby ją odprawić; i o jej dłoniach, z którymi „już nigdy nie będzie mogła zdawać do Konserwatorium” (tak właśnie się wyraziła); i o tym obrzydliwym Mogn, który nie może chodzić bez pomocy, a jego brzuch, sterczący niegdyś jak bęben, wisi mu teraz jak sflaczały wór między nogami. Róża nie wie, czy Samstag słucha, czy nie. Może słucha. Jednak gdy pada imię Brzucha, gasną uśmiechy innych policjantów. Brzuch to nie byle kto i wielu ludzi w Sonder przyjmuje od niego łapówki. Róża widzi, jak odwracają się plecami, jakby stracili nagle zainteresowanie.

Lecz Samstag ciągle ją pociesza — coraz bardziej mechanicznie, uporczywie:

— Nie płacz, kochana, nie płacz...

To odwrócone role. Niepojęte, że to to samo ciało, które kiedyś, w kuchni Zielonego Domu, wyciągnęła z balii kąpielowej Chai Meyer: chudego nastolatka, który próbował się zakrywać, gdy szorstki ręcznik dotarł do jego podbrzusza. Róża myśli o tych studziennych dzieciach. Jak długo mogą stać tam w dole, w tej martwej, zimnej wodzie, zanim coś w nich nieodwracalnie się nie zmieni, tak że wychodzą na powierzchnię już jako ktoś inny?

Dwa dni po jej wizycie do przeludnionej rezydencji Brzucha na ulicy Franciszkańskiej zawitała grupa funkcjonariuszy Sonderabteilung Gertlera. Relacje z tego, co tam zaszło, nie są zgodne. Niektórzy utrzymywali, że Samstag osobiście kierował tą akcją. Inni natomiast twierdzili, jakoby Samstag trzymał się z daleka, aby zostawić swoim ludziom wolną rękę.

Wszyscy świadkowie byli jednak zgodni, że policjanci wtargnęli do domu bez ostrzeżenia. Łojąc pałkami, wypędzili kobiety i dzieci i zaczęli rewidować wszystkich mężczyzn, jakich udało im się złapać. Zarekwirowali sporą ilość noży, a także grube rulony reichsmarek i amerykańskich dolarów. Niepisana reguła kazała w takich wypadkach, aby funkcjonariusze osobiście wypychali sobie kieszenie konfiskowanymi banknotami. Właśnie w momencie, gdy zobaczył, że tak to przebiega, Brzuch ocknął się z osłupienia, w jakie wprowadziło go to niespodziane najście, i z głową wciągniętą w ramiona zaatakował policjantów.

Mówiono, niektórzy mówili, że ten olbrzymi kałdun Brzucha to zwyczajna opuchlizna. Że Mogn cierpiał głód jak wszyscy inni. Mimo to dysponował niespotykaną nigdy w getcie brutalną siłą. Potrzeba było kilku ludzi, żeby to wielkie ciało obalić na podłogę, i Brzuch parokrotnie o mało im się nie wyrwał. Według niektórych relacji, Samstag miał w trakcie tej szamotaniny przepchać się przez gromadę walczących policjantów, odchylić byczy kark Brzucha do tyłu, a potem łać go pałką po głowie, aż krew trysnęła ze zmiażdżonej kości nosowej i stawiające opór cielsko w końcu zwiotczało.

Brzuch próbował wtedy podobno ucieczki.

Lecz nie dotarł daleko, z oczami zalanymi krwią i ciałem, którego sam nie był w stanie unieść. Na podwórzu zwalili go na ziemię po raz drugi.

Na środku podwórza, tak samo jak na prawie wszystkich gettowych podwórkach, stała studnia. Na środku kranu sterczał żelazny trzpień, na którym wieszano się wiadro, kiedy się pompowało wodę. Brzuch leżał na plecach na ziemi pod studnią; twarz zamieniona we wściekłą maskę z krwi i błota. Sześciu ludzi siedziało na jego ramionach i nogach, żeby mu się nie udało znowu wstać. Według relacji niektórych świadków Samstag miał teraz podejść do obalonego. Ze swego błyszczącego od śliny uśmiechu zapytał ponoć Brzucha, czy wie, jaka jest kara dla mężczyzn gwałcących dzieci powierzone ich opiece.

Wątpliwe, czy Brzuch w ogóle zrozumiał, o czym Samstag mówi. Samstag musiał mu wcześniej złamać pałką szczękę, bo usta zwisały bezwładnie i piana ze śliny i krwi toczyła się swobodnie przez pękniętą dolną wargę.

Dwaj ludzie Samstaga wykręcili ręce Brzucha do tyłu, żeby go zmusić do wstania. Brzuch sądził przypuszczalnie, że próbują go wyprowadzić, więc zawisł całym ciałem, aby było jak najcięższe. Samstag to wykorzystał i kiedy jego ludzie trzymali Brzucha, chwycił oburącz jego głowę i przycisnął ją do pompy tak, że szeroki, wystający trzpień wraził się prosto w jego lewe oko.

Z Brzucha wyrwał się krzyk, niemal zwierzęcy.

Ludzie Samstaga wciąż trzymali złodzieja za ręce. W strumieniu krwi dyndało na swym sznurze wylupione oko, jak jajko otoczone tłustą brązową błoną. Samstag chwycił ponownie głowę Brzucha, złagodził rzuty jego ciała spokojnymi i ostrożnymi, niemal czułymi kontrami — potem znowu przycisnął mu głowę do pompy. Tym razem szło wolniej. Brzuch bronił się, jak tylko mógł: prężył ręce i nogi, ramiona i plecy. Lecz Samstag był cierpliwy. Niesłychanie wolno, z krótkimi, gwałtownymi kontrami, kiedy zdawało się, że Brzuch już, już im się wyrwie, skrwawiony już żelazny trzpień wślizgnął się także w jego prawe oko.

I teraz leżał tam, ten przedtem tak wszechmocny, jak zaszlachtowany, brocząc krwią z oślepiętej twarzy.

Kiedy to trwało, zeszli się gapie. Najpierw własni lokatorzy Brzucha, ze dwa tuziny kobiet

i dzieci; później także przechodnie z ulicy, którzy nadbiegli zwabieni rabanem. Debora zrozumiała, że jeśli ma uciekać, to powinna zrobić to teraz, zanim odejdą policjanci, a Brzuch zacznie straszliwie się mścić. Weszła z powrotem do domu, wrzuciła swoje manatki do zniszczonego plecaka i wyszła, brodząc przez błoto rynsztoka, na ulicę. Godzinami tułała się potem w okolicach Bałuckiego Rynku, wypytując wszystkich napotykanych, czy przypadkiem nie wiedzą, gdzie mieszka Róża Smoleńska.

Gettowy zegar na rogu Łagiewnickiej i Zawiszy Czarnego wskazywał za moment piątą. W zapadającej zimowej szarówce śniegową breję na chodnikach deptało mnóstwo ludzi wychodzących z warsztatów i fabryk. Któryś z przechodniów powiedział jej, że słyszał o pewnej starej nauczycielce, nazwiskiem Smoleńska, która mieszka na Brzezińskiej, w tym samym domu, co jego siostra. Łatwo go rozpoznać. Z wykuszem od frontu.

To na klatce schodowej tego domu z odrapanym wykuszem, wiele godzin później, Róża Smoleńska, wracając do domu, znalazła Deborę Żurawską. Dziewczynka siedziała na schodach przy bramie, trzęsąc się z zimna i ze strachu. Róża ją położyła we własnym łóżku, a sama spała zawinięta w parę grubych koców na brudnej podłodze pod piecem. W szarym świetle poranka Debora wstała, spakowała plecak i bez słowa wyszła do swojej pracy. Ale wieczorem znowu była w mieszkaniu Róży i miała z sobą wszystkie kartki żywnościowe, i na znak, że ma zamiar tu zostać, pozwoliła je zamknąć na kluczyk w kuchennej szufladzie, w której Róża przechowywała własne kartki i kupony.

„To miasto pracy, Herr Reichsführer, a nie getto”.

W roku 1943 i przez pierwszą połowę 1944 Hans Biebow miał u swoich stóp najlepsze miasto pracy, jakie można było stworzyć z getta. Dziewięćdziesiąt procent ludności pracowało w fabrykach i warsztatach, które na rozkaz Biebowa zbudował nieszczęsny Rumkowski. Produkcja była wydajna, dochody wysokie. Rok wcześniej (1942) Gettoverwaltung jako całość mogło na swoim koncie odnotować, po odpisach, zysk w wysokości blisko dziesięciu milionów reichsmarek, zawrotną sumę.

Lecz skoro się prowadzi *Musterlager*, musi to budzić zawiść. Jak dotąd getto zostawało pod administracją cywilną, jednak SS, które pod rządami Himmlera coraz bardziej przypominało państwo w państwie, dokonywało coraz częstszych i coraz bezczelniejszych prób przejęcia tego lukratywnego getta. Jeżeli getto Litzmannstadt to obóz pracy, to w rękach wojska taki obóz mógłby pracować dużo efektywniej, twierdzono ze strony SS. Tak zwany *Wirtschaftsverwaltungshauptamt* SS miał już konkretny projekt przeniesienia całego getta, wraz z parkiem maszynowym et cetera, do Lublina, którego getto (pod względem liczby Żydów) było prawie równie duże, lecz tylko w jednej dziesiątej tak wydajne. Gdyby połączyć przemysł gettowy Lublina i Litzmannstadt, przyniosłoby to milionowe oszczędności. SS przeprowadziło już stosowne kalkulacje.

Biebow robił, co mógł, by trzymać SS i Reichsführera Himmlera z daleka. Jeździł do Poznania, żeby zapewnić sobie dalsze poparcie administracji cywilnej. Jeździł do Berlina, gdzie spotykał Speera i przedstawiciele armijnego *Rüstungskommando*, które pomimo masowego odwrotu na Wschodzie wciąż zapełniało resortowe księgi zamówień w getcie obstalunkami na mundury i materiał wojenny. Jak długo wysiłek wojenny trwał, tak jak teraz, na wysokich obrotach, Wehrmacht nie zgodziłby się nigdy na żadne zmiany mogące grozić przerwaniem lub zmniejszeniem dostaw. Lecz Biebow zdawał sobie sprawę, że wszystko wisi na włosku, i jeśli przyjdą kolejne klęski na froncie wschodnim, Führer może nagle znów zacząć słuchać Himmlera i zlecić przeniesienie czy restrukturyzację getta.

Tak więc wojna, na której Biebow zbudował swoją fortunę, okazywała się bronią obosieczną. Zdarzały się chwile, gdy Biebowa nachodziło straszne podejrzenie, że jego zwykle tak bezpieczne i stabilne getto w istocie nie ma żadnych podwalin, lecz wszystko to, co wybudował, jest ułudą, i że wystarczy jedno słowo — jedno pociągnięcie piórem w depeszy z Berlina — żeby wszystko runęło... Na przykład kiedy nowy nadburmistrz Litzmannstadt Otto Bradfisch w rozmowie niedawno powiedział, że getto to nie żaden *Musterlager*, tylko przeciwnie, „hańba, Herr Biebow, hańba...!”. Zimny i powściągliwy zazwyczaj Bradfisch walnął pięścią w stos policyjnych raportów leżących na jego biurku. Biebow dobrze wiedział, co te raporty zawierały: opowiadały o funkcjonariuszach kripo przekupywanych, aby patrzyli przez palce na „rozkurz” w resortach, i o urzędnikach jego własnej administracji, którzy w zamian za hojną prywatną prowizję zgodzili się szyć damską bieliznę dla domu mody Neckermanna w Berlinie, zamiast wykonać terminowo czekające już zamówienia dla armii; i — Jak to możliwe, że urzędnicy pańskiej własnej administracji po dziś dzień dają się przekupywać Żydom, jak to możliwe, panie Biebow?

I na nic się nie zdają próby tłumaczenia, że ta zgnilizna tkwi w samej żydowskiej naturze, co Biebow powtarza raz po raz (zwala na Żydom, chociaż to jego własny personel kradnie).

— Więc niech pan dopilnuje, żeby raz na zawsze okiełznać im tę naturę! — przerywa mu Bradfisch. Biebow siedzi jak na szpilkach. Cokolwiek by robił lub nie robił, dostarcza tylko SS dodatkowe argumenty na rzecz przejęcia przez nich getta.

*

T u z n o w u j e s t B i e b o w. Środek lata. Wewnątrz traw świerszcze wyrzucają łuki zgrzytliwego dźwięku w wysokie, wygłodniałe niebo. Pod sklepieniem nieba roją się bezustannie tysiące zgarbionych, wysuszonych mężczyzn i kobiet. Ciągną z taczkami i wózkami ze śmierdzących gettowych zaułków lub pochyleni, z motykami i szpadlami, stoją w glinie albo przydrożnym piachu.

Jednak Biebow ich nie widzi. Jego samochód przystanął obok drewnianej rudery znanej w getcie jako warsztat Praszkiara. Jego szofer zjechał nieco na bok i otworzył oboje drzwiczek, obstawa schroniła się w cieniu drzewa. Sam spaceruje z rękami założonymi na plecach, patrząc jak kurz, który wzbija, osiada powoli na czubkach jego wyglancowanych butów.

Po drugiej stronie drogi, na rogu Próżnej i Okopowej, dwaj starsi mężczyźni koszą trawę na jakimś poletku. Pomimo lipcowej spiekoty mają na sobie grube kurtki, w których podszewka wyłazi spod szwów na plecach i piersiach, tam gdzie przyszyto żółte łaty w kształcie gwiazdy. Migają w słońcu ostrza kos. Pomiędzy nimi stoi bańka z wodą, którą ci dwaj co chwila sobie podają. Niespodziewanie jeden z nich przywołuje Biebowa.

— Że co?

— Czegoś chce.

Biebow niechętnie rusza w tamtą stronę.

Jeden z mężczyzn uśmiecha się bezzębnie między zapadłymi policzkami. Podnosi bańkę. Oferuje Biebowowi wodę. Pomyślał, że pan może na tym upale spragniony.

To oczywiście rzecz zupełnie niesłychana. Żyd oferuje coś do picia Aryjczykowi, poza tym najwyższemu rangą; nie mówiąc już o czymś tak niehigienicznym jak zwykły kanister z wodą. Biebow spogląda na jednego i drugiego — stoją pod ostrzami swoich kos; w ich uśmiechach jest jakieś oczekiwanie — musi zatem przynajmniej odkręcić korek pojemnika i z grymasem wytrzeć sobie usta (choć, Bogiem a prawdą, bardzo jest spragniony).

A wtedy, jak amen w pacierzu. Jeden z Żydów pyta, markując przy tym taktowność, czy wielmożnemu panu nie zbywa przypadkiem kawałek chleba.

— Niby co? Chleb? Chleb to towar kartkowy. Jak człowiek jest uczciwy, to dostał talony i może pobrać chleb w swoim sklepiku.

— Kartek to mi nie brakuje — upiera się tamten — tylko co z tego, skoro idę do punktu rozdzielczego, a tam mówią, że nie dostanę chleba, bo nie mają — *Es ist kein Brot da*. Uderza w ton ugrzeczniejszy i przymilny, jakiego oczekują, jak mu się wydaje, niemieckie władze od Żydów, i mówi:

— Ja od trzech dni nie mam co w usta włożyć.

Ale Biebow obstaje przy swoim: — Tu w getcie jest chleb dla każdego, kto chce pracować.

Wtedy kosiarz ośmiela się zauważyć, że on wszak pracuje, wielmożny pan przecież widzi na własne oczy, że wraz ze swoim znajomym, Jurczakiem, skosił dziś całą łąkę, na nasiona i paszę dla krów mlecznych pana Michała Gertlera, mleczarza. Ale są tacy, którzy w życiu się nie tknęli uczciwej roboty. Tylko przychodzą i odchodzą, tacy *sziszkes!* — A tak, tak. — Już on dobrze wie. — Niektórzy nawet wożą się *limuzinaaaami*.

Wymawia to słowo tak, jakby było ciepłym jajkiem, które trzymał w ustach.

Teraz Biebow nagle nastawia uszu. — Kto? — rzuca tylko.

Mężczyzna wykonuje ręką nieokreślony gest.

Biebow: I dokąd?

Kosiarz: Dokąd?

Biebow: Dokąd to jeżdżą tymi limuzynami?

Kosiarz: A do tamtego domu, co tam widać.

Biebow: A co to za dom?

Kosiarz: Kiedyś to się mówiło Zielony Dom. Teraz to nie wiem, jak tam ten interes.

Biebow: Co za interes? Mów, człowieku, tak, żebym zrozumiał!

Kosiarz: *A pensjon.*

Biebow: Hę?

Kosiarz: Pensjonat.

Biebow: No proszę, pensjonat. Dla kogóż to, jeśli łaska?

A kosiarz ze wzruszeniem ramion — jakby mówił: A skąd mam wiedzieć? Dla grubych ryb? Dla tych z plecami? Dla tych, co uważają, że zasłużyli sobie na trochę odpoczynku między oddechami? Ale nie mówi tego. Zresztą nie musi. Pan Biebow bowiem zmierza już szparkim krokiem w stronę Zielonego Domu. A obaj kosiarze w ślad za nim. Zanoszą się na coś ciekawego.

Rok po tym, jak go opróżniono w czasie szpery, niewiele pozostało z dawnego sierocińca. Ostatnie resztki farby, która niegdyś nadała budynkowi jego nazwę, dawno już się złuszczyły; od kamiennego fundamentu w górę zaczął się szerzyć jakiś liszaj, który zamieniał wszystkie belki w mokre gnijące drewno. Dach się załamał i z szeregu okien powyjmowano ramy tak, że w ścianie zostały tylko wielkie czarne dziury. Pomimo to w niektórych z tych dziur zawieszono firanki, a spoza tych firanek wygląda gromada złęcznionych lub wzburzonych twarzy.

Biebow łomocze bokiem dłoni w górną połowę drzwi, i jakby cały dom był żywą istotą, nagle gdzieś z głębi dobiega głośnie zawodzenie.

— Wariactwo — mówi stary kosiarz i mamrocze — kompletne wariactwo — lecz jeszcze bardziej zwariowane zdaje się to, co następuje potem. Ponieważ ledwie Biebow zdążył cofnąć dłoń, drzwi rozwierają się z trzaskiem i wzbijają się przed nim w powietrze jakiś tuzin rozfurkotanych dziko kur. „Prawdziwych kur — normalnych, żywych kur”, zapewnia potem kosiarz, jakich w getcie nikt już od lat nie widział. Biebow też musiał się wystraszyć. Zasłania sobie dłońmi twarz, żeby ją chronić przed tym raptownym trzepotaniem, i dlatego dopiero po chwili dostrzega olbrzymiego człowieka, który siedzi na taczce po drugiej stronie tej skrzydlatej kołomyi, z ustami rozwartymi w krzyku równie szalonym i zdeformowanym jak on sam. Niektórzy pewnie, co tu krzyć, mieliby problem z rozpoznaniem Brzucha. Choćby z powodu tego wrzasku, którym obecnie wita wszystko i wszystkich zbliżających się do niego, w tym jego ślepym poniżeniu. Skąd miałby zatem wiedzieć, że to sam Herr Amtsleiter stoi po drugiej stronie rozszalałych kur? Wszak nic nie widział. A Biebow widział jakieś groteskowe, zdeformowane monstrum, wciśnięte w jakiś drewniany, rozklekotany wózek, z którego wylewały się wszystkie części ciała, włącznie z kałdunem w środku, błyszczącym i niebiesko żyłkowanym brzuchem, od biedy zakutany w brudne szmaty, a nad nim zniekształconą twarz, zaskorupiałą, krwawo zastrupiałą tam, gdzie miały być oczy, a niżej usta — rozwarte, rozedrgane mięso — wrzeszczące na niego jak szalone.

Machinalnie cofnął się dwa kroki, wymacał broń u pasa pod połą marynarki, jak przedmiot, którego mógł się uchwycić; a kiedy już ją wyciągnął, opróżnił bez namysłu cały magazynek w tę obrzydliwą Kreaturę, którą kule porwały w tył, rzucając z płaskiem o ścianę; a kury, jakby też trafione rykoszetami, rozpierzchły się na wszystkie strony: całe niebo przez moment zasłonięte chmurą krwi i roztańczonego pierza.

I teraz zdarzyło się coś dziwnego. Powstała pewna cisza, która nagle stworzyła z nich wszystkich jedną grupę. Biebow stał na samym przedzie z opróżnionym magazynkiem, z głową i ramionami pokrytymi pierzem; a obok niego, oni też w kurzych kostiumach, stali dwaj ochroniarze Brzucha, którzy pchali taczkę z Brzuchem do drzwi, kiedy rozległo się pukanie, a to dlatego, że Brzuch, mimo ryzyka, na jakie sam się tym samym wystawiał, zawsze upierał się, żeby otwierać osobiście; z kolei obok ochroniarzy stały dwie z tych młodych prostytutek, które Brzuch uparł się zabrać z sobą do Zielonego Domu, i które właśnie szły do drzwi, żeby się pokazać, a dalej, po zewnętrznej stronie owych drzwi, ci dwaj kosiarze, którzy przyszedli spod warsztatu Praszkiara.

Przez krótką chwilę, właśnie wtedy, było ich razem wielu — a Biebow sam. Ktoś z pomocników Brzucha mógł przecież przynieść z kuchni szeroki nóż kuchenny Chai Meyer, leżący w najwyższej szufladzie. Kosiarze stali tam przecież z kosami. Właśnie tam, wtedy, ktoś mógłby z łatwością usunąć najwyższego przedstawiciela władzy, która codziennie zamieniała życie ich wszystkich w piekło.

Lecz w tym momencie najwyraźniej nikt nawet nie wpadł na ten pomysł. Tragarze i służący Brzucha stali jak sparaliżowani na widok trupa swego mistrza; podczas gdy kosiarz o nazwisku Jurczak miał w głowie tylko jedną myśl. Jeszcze nim biała szata z pierza zdążyła osiąść na ramionach pana Amtsleitara, pochwycił jedną z rozgdakanych kur, wcisnął ją za pazuchę i pomknął biegiem w dół zbocza. Miał jedzenie dla siebie i swojej rodziny co najmniej na miesiąc. W pół drogi, w dole, przy Zagajnikowej, spotkał szofera i ochroniarzy Biebowa, którzy słyszeli strzały i pędzili teraz, żeby zobaczyć, co się stało.

*

Nikt w getcie nie mógł serio utrzymywać, że to, co później nastąpiło — upadek Pałacu, aresztowanie Gertlera i próba zabójstwa Prezesa — to bezpośredni skutek tego, że jakiś pospolity alfons i drobny złodziej, któremu wylupiono oczy, został potem zastrzelony przez Niemca. Ale w salonie fryzjerskim Wiewiórki, gdzie to zdarzenie żywo dyskutowano, mówiło się, że w getcie zawsze „pycha z nieba spycha”. I dotyczyło to zarówno drobnych złodziei, jak i *sziszes*. A gdy zaczyna się toczyć lawina...

Pan Tausendgeld, który wynajął Zielony Dom jako schronienie dla uciekającego Brzucha, karmił właśnie ptaki przy wolierach księżnej Heleny, gdy z dołu, od Zagajnikowej, dobiegł go odgłos pierwszych strzałów. Tak się wystraszył, że niemal spadł z drabiny, a potem wpadł do domu, wymachując swoją długą prawą ręką:

— Anglicy przyszedli, Anglicy tu idą...

Ale nadeszło tylko kripo. Było ich z pół tuzina ludzi; dopadli go, uciekającego, w połowie schodów na piętro, gdzie księżna Helena spoczywała złożona chorobą; wywlekli go z powrotem na podwórze, gdzie oczekiwało jedno z ich aut. Pół godziny później wisiał już, powieszony za ręce, na słynnym haku rzeźniczym w piwnicy Czerwonego Domku, podczas gdy pół tuzina oprawców z aresztu podziwiała zabawny wybryk natury — to wydłużone prawe ramię

Tausendgelda. Ciało zwisało mianowicie wyraźnie krzywo, tak krzywo, że bulwiastą twarzą zwrócony był w dół, ku podłodze, zamiast tak jak inni więźniowie, zawsze z głową ku górze. Komendant Müller, żeby trafić w głowę, musiał więc zamachiwać się drewnianą, ogumowaną pałką z dołu, prawie jak kijem golfowym. Ale cios i tak trafiał; a Tausendgeld krzyczał — i ciało mu się kurczyło, choć gdy tak wisiał, nie miało wokół czego się kurczyć.

Lecz jedyne nazwisko, jakie z niego wydobył prowadzący przesłuchanie, to było nazwisko Gertlera, a akurat teraz nie to chcieli usłyszeć.

W tym czasie Biebow zdążył wrócić do swego biura na Bałuckim Rynku. Na klapach marynarki wciąż jeszcze miał pierze, kiedy przyprowadzono Rumkowskiego. Rumkowski stał, jak miał w zwyczaju, z głową spuszczoną na piersi, z rękami po bokach. Dało się niemal słyszeć, jak dokoła niego sypie się w gruzy cały olbrzymi Pałac.

Biebow: Zdawało mi się, że mieliśmy pewną umowę.

Prezes: Umowa cały czas obowiązuje, Herr Amtsleiter.

Biebow: A mimo to do getta dostarczono i zaksięgowano na waszym koncie żywność w ilości odpowiadającej potrzebom 126 263 Żydów, choć według waszych własnych obliczeń w getcie jest tylko 85 985 Żydów.

Prezes: To musi być jakieś nieporozumienie.

Biebow: Nieporozumienie? To nie jest żadne nieporozumienie. 38 278 Żydów musiało uznać sytuację w getcie za tak niezwykle atrakcyjną, że przyjechali tu bez naszej wiedzy, skuszeni obfitością stołu, żeby się tu objadać. Możecie mi powiedzieć, gdzie się ci Żydzi teraz podziewają, Rumkowski?

Prezes: Jeśli złożono lub podano jakieś fałszywe informacje, to ja natychmiast...

Biebow: I jak się dostali do środka? Może zakradli się, gdy spałem albo wykorzystali jakiś moment, gdy odwróciłem się plecami?

Prezes: Postaram się natychmiast uporządkować ten stan rzeczy.

Biebow: Otóż to nie wystarczy, Rumkowski! Niniejszym rozkazuję przeprowadzić nowy spis ludności. Policzyć mi co do jednego! I przy każdym Żydzie ma być wyraźnie podany adres i *Ressort*. Od tej pory liczy się tylko adres zamieszkania, który zarazem jest miejscem zameldowania.

Zrozumiano? Tu chodzi też o waszą głupią głowę, Rumkowski! Poza tym wprowadzicie nowe książeczki pracy. W każdej książeczce oprócz nazwiska posiadacza, daty urodzenia, adresu zamieszkania i miejsca zatrudnienia ma być też zdjęcie, które potwierdzi *Herr Jakobowitsch* w Centralnym Biurze Resortów Pracy. Te dokumenty tożsamości będą sprawdzane przy każdym odbiorze towarów kartkowych i przy każdej rewizji w mieszkaniu. *Ist das verstanden worden?*

Pierwsze przeszukanie przeprowadzono bezzwłocznie. Przez półuchylone okno w sypialni księżna Helena widziała tych samych policjantów, którzy dopiero co powlekli gdzieś biednego Tausendgelda, stojących na dole, w ogrodzie, koło jej ptasich klatek. To że zabrali pana Tausendgelda, mogłaby może przeboleć, ale co im zawiniły jej ukochane ptaszki? Rozepchnęła okno na oścież, wychyliła się w śmiertelnie niebezpieczne światło i krzyknęła:

— Zostawcie moje makolągwy!

Bierzcie, co chcecie, tylko zostawcie moje makolągwy!

Co roku była ta sama historia z wątrobą księżnej Heleny:

Jak zwykle lato przynosiło zmęczenie i mdłości, i ból głowy, przez który z rana ledwie była w stanie otworzyć oczy. Doktor Garfinkel podczas palpacji brzucha wyczuł, podobnie jak w ubiegłym roku, pewien obrzęk wątroby, zaordynował zatem ścisłą dietę z białego mięsa i łagodnego bulionu, a przede wszystkim wypoczynek w zupełnym mroku, jako że chorzy na żółtaczkę wystawieni na bezpośrednie światło słoneczne ryzykowali poważnymi urazami oczu.

Dlatego też, gdy weszło kripo i zaczęło przewracać wszystko, na co natrafili, do góry nogami, księżna Helena stała pośrodku pokoju i zasłaniała sobie oczy. Leciąły klatki z szalejącymi ze strachu ptaszkami; szuflady i pudła z butami i sukienkami; jej sekretera z wszystkimi listami, kartki zaproszeniowe i dziękczynne. Także kapelusz z pióropuszem, który miała na sobie na

Wspaniałym Bufecie, gdzie wszak byli też ludzie tacy jak Biebow i Fuchs, został ściągnięty ze swojej półki w garderobie i podeptany obcasami oficerek. Księżna Helena krzyczała wniebogłosy i próbowała kryć się za zasłonami. Gdy to się nie udało, schowała się z powrotem w łóżku, w tej samej chwili, gdy komisarz kryminalny Schnellmann wręczył jej słuchawkę telefonu i zażądał od pani Heleny Rumkowskiej, żeby zadzwoniła po swojego szwagra. Gdy odmówiła i dalej tylko krzyczała, wymachując rękami, komisarz Schnellmann sam zadzwonił, a przy tym skorzystał z okazji, aby zdać raport swoim przełożonym.

— *Wir haben noch ein paar Hühner gefunden* — zameldował, zirytowanym ruchem dłoni odpędzając przy tym parę szpaków, które oswobodzone z klatek trzepotały się zdeorientowane między łóżkiem a powiewającymi zasłonami.

W normalnych okolicznościach byłby to już najwyższy czas, aby pan Tausendgeld wkroczył i zaczął pertraktować. Może by wetknął temu nadgorliwemu komisarzowi jakiś upominek. Może powiedziałby, że mogą znaleźć z tej kłopotliwej sytuacji jakieś wyjście ku obopólnej korzyści. Ale pan Tausendgeld wisiał teraz na haku w piwnicy Czerwonego Domku i musiał odpowiadać na pytania o swoje „tajne” kontakty z gettowym Sonderabteilung, nie mając przy tym, niestety, większej szansy na jakieś kompromisy. Kiedy Prezes zrozumiał w końcu, że tym razem normalne środki nie skutkują, polecił wysłać powóz na Karola Miarki, aby uwolnić księżną Helenę z jej obłączenia.

Pech chciał, że właśnie tego dnia na Marysinie zamawiano wiele dorożek; niejeden pragnął nagle wrócić ze „wsi” do „miasta”. Prezes miał do dyspozycji tylko swoją własną, do niej zaś, po długich deliberacjach, udało mu się dołączyć zwykłą furę, taką, jakiej ci dwaj kosiarze używali do zwożenia siana.

Gdy zaprzęg dotarł na miejsce, okazało się jednak, że księżna Helena nie tyle sama chciała być ewakuowana, ile pragnęła znaleźć jakiś azyl dla swych ptaków. Stała w oknie sypialni i dyrygowała Kuprem i innymi woźnicami, aż zapełnili cały powóz, od kozła po budę, klatkami szpaków i czyżyków. Wróciła potem do swojego łoża i upierała się, że w nim zostanie, niepodatna na żadne groźby. Skończyło się na tym, że ci sami woźnicy musieli znieść łóżko wraz z Heleną na dół, po trzeszczących wąskich schodach, by potem podnieść je na drabiniasty wóz i porządnie przywiązać, tak by potężna dama stamtąd nie zjechała. Na to załadowano jeszcze kufry, skrzynie i walizki i cały zaprzęg ruszył w drogę.

To było po południu w sobotę 10 lipca 1943: duszny, wilgotny dzień z nabrzmiałym i niebiesko lśniącym jak krowie wymię niebem wiszącym nad zakurzonymi ulicami getta. Przez całą drogę z Marysina na Bałucki Rynek szły prostytutki Brzucha z chudymi jak szczapy ramionami i żołądkami wzdętymi od głodu. Wołały do zdetronizowanej księżnej spoczywającej na swym łożu, na powoli toczącej się furmance. Jednak pod chustą, którą ktoś z litości przewiązał wrażliwe na światło oczy księżnej Heleny, była nieomal równie ślepa jak swego czasu Brzuch. Usłyszeć także nic nie mogła. Zgiełk z ptasich klatek był stanowczo zbyt donośny.

Już na Dworskiej cały zaprzęg wykręcił, bez zatrzymywania, i pojechał dalej ku centrum, w stronę miejskiej rezydencji Prezesa. Gdyby tu jednak nie wiedzieć po co przystanęli, to w zawalonej śmieciami gliniance na rogu zobaczyliby pływające zmasakrowane ciało pana Tausendgelda. Leżał twarzą do dołu, z tą dłuższą ręką wyciągniętą skośnie w bok, jakby po śmierci też próbował sięgnąć po coś, czego nigdy nie dosięgnie.

Sama Regina Rumkowska miała potem zawsze pamiętać, jak ostatni raz zobaczyła na żywo rodzinę Gertlera, całą rodzinę Gertlera, wszyscy ubrani jakby ich wycięto prosto z jakiegoś kolorowego tygodnika: żona w jasnej bawełnianej sukience, płaszczu i kapeluszu z woalką; chłopcy w krótkich spodenkach i podkolanówkach oraz krótkich tweedowych marynarkach o sportowym kroju; dziewczynka w sznurowanych trzewiczkach, takich samych jak matka, i kapelusiku, też identycznym jak ten matki, włącznie z dwiema pięknymi czerwonymi wstążeczkami z tiulu, spadającymi wraz z długim warkoczem na plecy.

— Pana Prezesa nie ma w domu — to wszystko, co Regina zdołała powiedzieć tej rodzinie z innego świata, która nagle objawiła się na jej progu. Ale Gertler uchylił tylko szarmancko kapelusza i powiedział, że wpadli tylko, by zapytać, czy młody panicz Stanisław, to znaczy Syn domu, nie miałby przypadkiem ochoty wybrać się z jego małżonką i dziećmi na małą przejażdżkę powozem. On sam, powiedział, chciałby wstąpić na chwileczkę. Ma pewną dosyć pilną sprawę, o której chciałby z nią pomówić.

Przez cały dzień drzwi się nie zamykały: niekończący się strumień ludzi dyskutujących opróżnienie letnich domków na Marysinie i kogo kripo zabrało, a komu jak na razie się „upiekło”. Udało im się rozwiesić zasłony wokół łóżka księżnej Heleny, aby oszczędzić jej widoku i wysłuchiwanie najgorszego; lecz skoro tylko przez gwar innych głosów przebił się głos jej męża, znowu zaczęła wykrzykiwać i komenderować:

— Józiu, przyniesiesz mi herbatę, tę przepisaną przez doktora Garfinkla? Nie zapomniałeś chyba zabrać z Miarki moreli i tej miski ze śmietaną od żony Michała?

(A zasłony dokoła łoża Heleny nie uciszały wcale kakofonii szpaków i szczygłów, i czyżyków, które śpiewały, świergoliły i wrzeszczały w swoich klatkach: całe zoo, które wkroczyło jakby nagle w miejsce żywych gości).

— Nie zatrzymamy się, jak była mowa, w Hamburgu, tylko w Sosnowcu. Ale może stamtąd da się równie dobrze wywiadywać o losy pani brata. Pani Rumkowska, niewykluczone, że trafiłem na pewien ślad.

Dawid Gertler pochylił się, żeby ją poczęstować papierosem z cienkiego srebrnego etui, którego wieczko otworzył małym palcem. Ona się tylko w niego wpatrywała. Zrozumiała nagle, dlaczego Gertler tak wystroił siebie i żonę, i dzieci. Wszyscy razem mieli lada moment opuścić getto.

— Musi pani uzbroić się w cierpliwość i czekać, pani Rumkowska.

To był ostatni raz, gdy go widziała. To był 13 lipca 1943.

Chwilkę potem spakowała swoją walizkę, wkładając do niej resztkę rzeczy, jakie jej zostały, włącznie z paszportem i świadectwem z egzaminu, i nastawiła się na oczekiwanie.

Nazajutrz, 14 lipca około piątej po południu, dwa samochody na poznańskich rejestracjach podjechały do wachy przed główną kwaterą gestapo na Limanowskiego, tam gdzie miało także siedzibę gettowe Sonderabteilung. Samochody czekały bez wyłączenia silników, po wewnętrznej stronie szlabanu. Zaraz potem dwaj policjanci w cywilu wyprowadzili Gertlera. Za nimi jeszcze kilku funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa niosło pełne naręczka kartonów, pudeł i teczek i innego, wyraźnie skonfiskowanego materiału. Kiloro pracowników sekretariatu Prezesa, którzy byli świadkami tego incydentu, słyszało, jak Gertler, w momencie kiedy miał wsiadać do auta, spytał jednego z tych policjantów w cywilu, czy są pewni, że mają dość materiału, czy może wolą zrobić przeszukanie także w jego prywatnym mieszkaniu, na co

niemiecki funkcjonariusz odpowiedział, głośno i wyraźnie, że on i jego ludzie mają na razie wszystko, czego im potrzeba. Zaraz potem obydwa auta wyjechały bramą na Bałuty, gdzie żandarmi i wacha służbiście im zasalutowali; a potem dalej, w dół Limanowskiego i z getta.

Przez następne dni ludzie zbierali się koło Bałuckiego Rynku, co wieczór bowiem krążyły po getcie pogłoski, że Gertler niebawem ma wrócić. Co wieczór, przez dwa tygodnie, schodzili się, by go powitać. I czekających zbierało się coraz więcej; w niektóre dni do pięciuset ludzi, którzy z twarzami pełnymi nadziei wystawiali pod gettowym zegarem na rogu Łagiewnickiej i Zawiszy Czarnego. Fama głosiła, że Gertler ma przybyć tym samym autem na poznańskiej rejestracji, które go wywiozło, i że gdy tylko „minie bramy getta”, Gertler ma dać wtajemniczonym specjalny „znak” przez tylną szybę samochodu.

Fama o rychłym powrocie Gertlera była chwilami bardziej uporczywa i bogatsza w szczegóły niż wszystko to, czym teraz tłumaczono jego nagły wyjazd.

Także Reginie Rumkowskiej śniło się parokrotnie, że Dawid Gertler powrócił. W większości z tych snów Gertler już nie żył. Nie potrafiłaby wyjaśnić, skąd wie, że on nie żyje, ale od razu była przekonana, że to trup siedzi za lśniącą szybą limuzyny SS, która nocą, na zgaszonych światłach, wtacza się pod drewniane mosty, trup, który potem wysiada i salutuje przed gwardią honorową z jego własnego Sonderkommanda, przybyłą, aby go powitać. Także ci ludzie z gwardii honorowej byli martwi. W gruncie rzeczy wszyscy w getcie byli martwi. Na placu Bazarowym ciągle wisiały trupy tych czternastu złodziei i buntowników, których Niemcy kazali stracić (każdy z plakatem na szyi głoszącym: „Jestem Żydem i zdrajcą własnego narodu”), i martwy Gertler odsunął owe trupy na bok, tak jak odsuwa się schnące na sznurze prześcieradło, a potem poszedł konferować ze swoimi najbliższymi ludźmi w lokalach biura na Limanowskiego: światła w oknach biura na pierwszym piętrze, w oficynie budynku gestapo, paliły się przez całą noc, jako jedyne w getcie. (I już w trakcie owego snu o sobie samej i o ćwierci miliona innych trupów miała myśleć, że może to właśnie jest przyczyną, że Gertler tak łatwo może przekraczać granice getta, w dzień i w nocy. Że jego rodzina sprawia wrażenie tak eleganckiej i szykownej. Ba, może nawet wyjaśnia, dlaczego w końcu powiedział, że znalazł ślad jej zaginionego brata.

Gertler nie żyje. Może nie żył już od samego początku).

Lecz Regina Rumkowska wciąż jeszcze siedziała i czekała.

Siedziała w sieni mieszkania na Łagiewnickiej 61 z walizką, w której zgodnie z instrukcją Gertlera miała tylko to, co niezbędne, i oczekiwała, aż jakieś auto albo jakiś powóz, czy cokolwiek, przyjedzie i ją zabierze. Dokoła niej walił się Pałac. Zarządzona przez Biebową lustracja wszystkich urzędników już się rozpoczęła i z mnóstwa wydziałów przychodzili ludzie, prosząc o audiencję u Prezesa, żeby go błagać, by „oszczędził” tego czy tego, syna lub kuzyna, teścia lub siostrzenicę. Wśród tych wielu petentów znalazł się także szef finansów gettowego *Landwirtschaft-optejl*, pan doktor Ehud Gliksman, który przyszedł w sprawie syna. W registraturze i archiwum getta z młodych i zdrowych pracowników utworzono teraz brygady pracy, które zgodnie z rozkazem Biebową miano posłać do jakiejś „pożytecznej” roboty na Radogoszczu lub gdzie by ich potrzebowano. Pinkas Szwarc, *der felszer*, został wezwany, aby szybko sprokurować nowe książeczki pracy ze zdjęciami, ponieważ Biebow żądał, aby każdy z tych nowych robotników taką miał, i skoro tylko otrzymali te nowe dokumenty, pognano ich w długich kolumnach na Marysin pod eskortą żydowskich *policajtn*, którzy ich z dużą satysfakcją

wyzywali:

Ir parazitn, vos hobn gelebt fun undz ale teg,

ict iz cajt cu grobn in dem szajs!

Rirt di polkes, chazejrim!

[No, pasożyty, dosyć już życia naszym kosztem,
teraz wasza kolej grzebać się w gównie!

Ruszajcie giczołami, patałachy!]

(Pan Gliksman: Ale mój syn to inteligent, on nie jest stworzony do ciężkiej pracy fizycznej.
Prezes: Niech mi pan wierzy, panie Gliksman; nawet ja nic nie poradzę na decyzje władz;
n a w e t j a, panie Gliksman!)

*

Po ledwie paru godzinach dziecko powróciło z pozorowanej dla zmylenia tropów przejażdżki z panią Gertler, ale nikt nie miał czasu się nim zająć. Panna Dora Fuchs prowizorycznie zorganizowała dwie niezależne od siebie kolejki dla petentów, którzy przywędrowali całą drogę z Sekretariatu do „prywatnego” biura Prezesa. W saloniku, za rozpiętymi wokół łóżka zasłonami, leżała księżna Helena. Doktor Garfinkel zaaplikował jej dozę morfiny, ale zdawało się, że to niewiele pomogło. Leżała na plecach, wymachując rękami, żeby opędzić się od rzeczywistych czy urojonych ptaków, podczas gdy pani Koszmar stała na taborecie i za pomocą zmiotki i szufelki próbowała uwolnić te, którym udało się zaplątać w firanki.

W końcu księżna Helena usnęła. Staszek uchylił zasłonę i zobaczył jej głowę spoczywającą na poduszce, z wysokim szpiczastym nosem wystrzelającym spomiędzy nabrzmiałych policzków, wydętych jak pełne żagle. Miał ochotę je przekłuć jak balony, tylko zabrakło mu odwagi. Wybrał się za to na przechadzkę po pokoju. Wśród ptaków panowała teraz dziwna cisza — jakby dopiero teraz dotarło do nich, że zostały przeniesione.

W kącie pokoju stał manekin w gotowym niemal garniturze opinającym bezgłowe ramiona; Staszek wyciągnął jedną z długich szpilek podtrzymujących kawałki tkaniny. Usiadł przy jednej z klatek. W klatce siedziała biała papuga, kakadu, z nastroszonymi piórami. Próbował coś do niej powiedzieć.

Ale ptak gapił się tylko na niego spod białej grzywki, kołysząc się z nogi na nogę i pogardliwie odwrócił się do niego tyłem. Wyraźnie tępe, bezczelne ptaszysko. Staszek wbił długą szpilkę i zdziwiony ujrzał, jak ostrze wnika tuż pod łebkiem. Ptak wzdrygnął się i zatrzepotał skrzydłami, aby uciec. Gdy Staszek wyciągnął szpilkę, cieniutka strużka krwi namalowała piękną czerwoną kreskę na białym nastroszonym upierzeniu. Sam ptak jakby się zatoczył; chciał unieść skrzydła jak do lotu, ale prawego nie rozwinął. Wytrzeszczał na niego przestraszone oczy, bez wyrzutu, a dziób rozwierał się szeroko, jakby miał zacząć mówić.

Staszek rzucił lękliwe spojrzenie na zasłony, ale za zasłonami było cicho. Księżna Helena jeszcze spała. Otworzył drzwiczki z boku klatki, nagle niepewny, co ma począć z tym ptakiem, który był przecież całkiem bezsensowny, kiedy tak leżał na podłodze klatki z rozwartym dziobem i wciągniętymi pod siebie skrzydłami. Po chwili wetknął rękę do środka i wyjął go. Nie wiedzieć czemu to ciepłe jeszcze, obłe ptasie ciało przejęło go intensywną odrazą. Wypuścił je natychmiast i spróbował zrobić coś z ciągliwą, lepką krwią na dłoni, do której przykleiło się też pierze i coś żółtego. Powinien wyjść do kuchni i oplukać rękę w wiadrze, lecz nie miał odwagi; pani Koszmar stała ciągle w sieni i przy pomocy panny Fuchs próbowała kierować petentów do

biura Prezesa; a co powie księżna Helena, kiedy się obudzi? Jak ma jej wytłumaczyć tego martwego ptaka?

Zaczął więc chodzić nerwowo od klatki do klatki, szukając miejsca, gdzie mógłby wetknąć tę martwą kakadu. Nic nie znalazł. Za to inne ptaki zbudziły się teraz i miały się frenetycznie po swoich klatkach, jakby czuły niesiony przez niego zapach śmierci.

Czasami robił wypad w stronę jakiejś szczególnie hałaśliwej klatki, siadał na niej okrakiem i wciskał z góry długą szpilkę, dla samej frajdy zobaczenia, jak ptak tam w środku podskakuje i wściekle czepia się prętów, niepewny, skąd nadejdzie ostrze szpilki.

Spoza łóżkowych zasłon dobiegł nagle głos:

— Stasiu, Stasiulku...? — powiedział, niespodziewanie miękki i łagodny.

To obudziła się księżna Helena. Nic jeszcze nie wiedziała o panu Tausendgeldzie, lecz zaczynała niepokoić się i niecierpliwić i chciała porozmawiać ze swym ukochanym, uroczym bratankiem. — Staaa-siuuu?

Przysiadł okrakiem na kolejnej klatce. Siedział w niej drozd z żółtym dziobkiem. Staszek zacisnął uda tak mocno, aż poczuł w kroczu miłe łaskotanie, a potem zaczął wbijać szpilkę, długimi gmerającymi ruchami, między nogi. Spojrzał w dół i zobaczył, że drozd powłóczy uszkodzonym skrzydłem. Kręcił wkoło tym skrzydłem, raz po raz, jak wskazówka sekundnika w zegarku. Jazgot z innych klatek był teraz okropny: ściana dźwięku w jego uszach.

Księżną Helenę coś tknęło. Zaczęła wołać przez ten ptasi zgiełk:

— Stasiu? Przyjdź tutaj, proszę! Co ty robisz? Chodź tutaj, chodź tu, pro-szę cię...!

Przechodził szybko od klatki do klatki, gdzie nie mógł sięgnąć, strącał je na podłogę i kłuł, i dźgał w nich ptaki próbujące zawisnąć w powietrzu na trzepoczących bezradnie skrzydełkach. Szpilka mu się wyslizgiwała ze spoczonej dłoni. Wciąż musiał zmieniać uchwyt. W końcu wypuścił całkiem szpilkę, otworzył drzwi klatki i wepchnął tam całą rękę.

Dwa gołębie grzywacze mu umknęły, ich szeleszczące pióra musnęły przegub jego dłoni; inny dziobał go między kłykciami.

Wyciągnął rękę z powrotem, podniósł wzrok i zobaczył stojącą w drzwiach panią Reginę. Stała tam całkiem ubrana, z walizką w dłoni, ale z takim wyrazem twarzy, jakby stała tam długo, oczekując, aż on spojrzy w jej stronę.

— Ty jesteś zły, zły, zły — powiedziała tylko, i uśmiechnęła się, jakby w ten sposób potwierdziło się coś, o czym już dawno wiedziała.

Wszędzie leżały martwe ptaki. W fałdach dywanu pod krzesłami i stołem w salonie, wzdłuż podłogowych listw na korytarzu, na progu do kuchni. Tuż za tym progiem stało dziecko, patrząc na swoją przybraną matkę. Dłonie, które trzymały martwą papugę, były usmarowane krwią. Także na szyi i na policzkach, i przy ustach chłopiec miał krew i maska z krwi zniekształcała jego rysy, nadając twarzy wyraz łagodnej konsternacji, wyglądającej prawie jak niewinność.

Jednak w spojrzeniu nie było niewinności. Dziecko obserwowało ją z tym samym wyrazem upartej, prawie namiętnej nienawiści, co przedtem. Regina chwyciła za dłoń chłopca, nim zdążył znowu podnieść ją do ust — patrzyła przez chwilę na zakrwawione ptasie ciało z żalonymi łapkami wciśniętymi w puch na brzuszku, potem rzuciła je w kierunku pani Koszmar, która wyszła z pokoju, gdzie leżała Helena. Pani Koszmar ciągle trzymała w pogotowiu szufelkę na śmieci:

— Przyszło jeszcze więcej interesantów, pani Rumkowska! Co mam robić?

Regina nie odpowiedziała. Chwyciła chłopca za ramię i wepchnęła go do pokoju, gdzie zwykle go zabierał Prezes i gdzie przechowywał swoje pudełko z tymi wszystkimi okropnymi obrazkami. Drzwi dokładnie zamknęła za sobą na klucz, który włożyła do kieszeni. Kiedy znów wyszła na korytarz, w przedpokoju stał Chaim z twarzą bladą jak prześcieradło; za jego plecami stał Abramowicz z resztą sztabu. To Abramowicz musiał wyrazić to, co Chaim, z otwartymi szeroko ustami, bezskutecznie próbował powiedzieć:

— Oni wzięli Gertlera; Boże Izraela, zlituj się nad nami. — Zabrali Gertlera!

Przywieźli też z sobą trupa pana Tausendgelda; i doktor Garfinkel rozsunał natychmiast zasłony, aby krzyczącej przeraźliwie księżnej Helenie zrobić następny zastrzyk z morfiny. Ale Regina myślała tylko o Gertlerze. Siedziała w sieni z walizką, oczekując na człowieka, który miał nigdy już nie wrócić, lecz był jedynym, który mógł połączyć ją z jej nieżyjącym bratem.

W swoim biurze siedział Prezes i płakał:

— On był dla mnie jak syn, jego najprędzej uznałbym za prawdziwego syna...

A w swoim pokoju siedziało dziecko, śmiejąc się wśród tych wszystkich groteskowych obrazków, na których umieściło martwe i okaleczone ptaki.

Przemówienie Hansa Biebowa do kierownictwa fabryk i administracji getta, ogłoszone w Domu Kultury 7 grudnia 1943 (rekonstrukcja):

[Z Kroniki Getta:

„Komendant Leon Rozenblat wprowadził tylnym wejściem na scenę Domu Kultury Amtisleitera Hansa Biebowa, a ten, gdy tylko znalazł się na scenie, wezwał obecnych na sali przedstawicieli kripo, aby zajęli swoje miejsca za nim. Policjanci zasiedli zatem na scenie za jego plecami, a następnie, w trakcie całego przemówienia, bacznie obserwowali audytorium. Ponieważ Biebow wyraźnie zakazał robienia jakichkolwiek stenogramów z jego mowy, w tej sytuacji nic nie dało się na to poradzić; dlatego też następujący <poniżej> tekst jest rekonstrukcją sporządzoną na podstawie zapisów zrobionych z pamięci przez kilka z obecnych tam osób”.]

Kierownicy wydziałów, *Ressort-Leiter*, robotnicy:

(Panie Auerbach! Niechże pan siądzie, bardzo proszę.)

Od dawna miałem zamiar z wami porozmawiać, ale z powodu różnorodnych nastroczających się trudności do dziś nie miałem ku temu okazji. Będę mówił powoli i wyraźnie, tak aby ci, którzy nie znają niemieckiego, też mogli zrozumieć, lub aby inni im przetłumaczyli, to co mówię.

Dotarły do mnie słuchy o nurtujących getto niepokojach. Te niepokoje, jak rozumiem, powstały głównie w rezultacie pewnych wypaczeń, do jakich doszło przy dystrybucji żywności. Z aprowizacją rzecz ma się oczywiście tak, że najważniejsze są potrzeby narodu niemieckiego, potem reszty Europy, a na końcu Żydów.

Od chwili kiedy trzy i pół roku temu przejąłem zarząd i administrację tego getta, do moich głównych zadań należy zaopatrywanie getta w żywność. Nie macie pojęcia, ile poświęceń i wysiłku kosztowało mnie, żeby co dzień załatwić gettu pracę.

Wyłącznie praca gwarantuje gettu nieprzerwane dostawy żywności.

Przyznaję bez ogródek, że niektóre formy dystrybucji wprowadzone przez moich żydowskich pełnomocników sprzyjają tym, którzy już mają co jeść, kosztem tych, którzy nie mają. Doszło do przypadków rażących nadużyć, gdy ludzie chciwie przywłaszczali sobie lub, w skrajnych przypadkach, czerpali zyski z odsprzedaży tych ograniczonych dostaw żywnościowych. Po to, by raz na zawsze położyć kres tym kryminalnym procederom, unieważniłem wcześniejszy system kartkowy i wprowadziłem całościowy system rozdziału dodatkowych racji. Od dzisiaj ci, którzy pracują co najmniej 55 godzin tygodniowo, będą mieli książeczki pracy ostemplowane znakiem L (to znaczy *Langarbeiter*), i niniejszym ogłaszam wam, że obowiązkiem każdego *Ressort-Leitera* jest dopilnować, żeby tych nowych reguł przestrzegano. I zapewniam, że każda próba szachrowania tymi zaświadczeniami lub wystawiania ich na nazwiska osób, których już w getcie nie ma, skończy się na tym, że takiego kierownika spotka los, o jakim mu się nie śniło — a mianowicie będzie musiał zejść ze sceny życia.

[Dosłownie: *Ein solcher Leiter würde etwade erleben, woran er nicht im Traume denkt: er würde nämlich von der Bühne des Leben abtreten müssen...*]

Dotyczy to *Ressort-Leiterów*, ale dotyczy to także każdego, kto jest uprawniony do przyznawania kategorii *Langarbeiter* albo do przedłużania ważności świadectw pracy.

Robotnicy, kierownicy wydziałów i sekretariatów:

Wkrótce upłyną cztery lata, odkąd żyjecie za drutami. W ciągu tych lat niejeden z was bawił się w spekulacje, czy ta sytuacja nie ulegnie zmianie. Otóż zapewniam was, że nie. Kierownictwo [*die Führung*] w Berlinie jest zdeterminowane, i zwyciężymy w tej wojnie, którą nam narzucili wrogowie narodu niemieckiego.

W związku z tym pragnę z całą mocą podkreślić, że nadzór nad gettem to sprawa policji, przy czym odpowiedzialność w pierwszym rzędzie spoczywa na Kripo i na panu Auerbachu. Natomiast on, razem z SD, może przekazać pewne uprawnienia żydowskiej Służbie Porządkowej. Mieliśmy dobrą współpracę z Dawidem Gertlerem. Niestety Dawid Gertler musiał opuścić getto. Jego następcą będzie Marek Kligier. Kligier pozostaje w stałym kontakcie z nami i ze służbą bezpieczeństwa. Warto przy tej okazji wspomnieć, że kiedy oddział specjalny [*Sonderabteilung*] dokonuje rewizji mieszkania — co w przyszłości będzie się działo coraz częściej — to ta rewizja jest zlecona, a w każdym razie zaakceptowana przez nas, i obowiązkiem Sonder jest bezwzględne konfiskowanie i aresztowanie zarówno rzeczy, jak i ludzi, jeżeli nie stosują się do reguł, które od tej chwili obowiązują wobec wszelkiej produkcji w getcie.

Co się tyczy produkcji, to chcę powiedzieć o dodatkowych wymaganiach i zobowiązaniach, jakie na nas nałożono. Tak zwane sprawdziany [*die Prüfungen*] — a więc rekrutacja byłych pracowników biurowych i wydziałowych do brygad pracy na terenie getta i poza gettem — już się rozpoczęły i będą kontynuowane w miarę potrzeb. W najbliższym czasie będziemy potrzebować pięciu tysięcy robotników w związku z projektem zleconym nam przez wydział w ministerstwie Speera [Ministerstwo Zbrojeń] odpowiedzialny za budowę domów zastępczych na terenach Rzeszy dotkniętych szkodami wojennymi. Nasze fabryki mają odlewać płyty heraklitowe do tych prowizorycznych domów.

Tym, którzy mieliby ochotę protestować przeciwko tym zobowiązaniom — albo traktują te roboty jako tymczasowe czy w każdym razie krótkotrwałe — chcę powiedzieć wyraźnie, że rekrutacja będzie kontynuowana.

W dalszym ciągu będziemy potrzebować robotników.

Będziemy potrzebować robotników w nieskończoność, dopóty, dopóki będzie trwała wojna.

Upadek Prezesa z wyżyn władzy wydawał się po Wielkiej Szperze nie mieć końca. Tak jak z szaleńca zwleka się ubranie, sztuka za sztuką, tak jemu odbierano nieograniczone uprawnienia, jedno po drugim. Nie miał już więcej wpływu na produkcję ani stosunki produkcyjne w getcie. Nie decydował już o dystrybucji środków żywnościowych — z wyjątkiem skromnych dwóch procent, których rozdział pozostał w jego osobistej gestii i z których uparł się robić dary łaski, na przykład dając wszystkim robotnikom w getcie talony odpowiadające misce czulentu na Jom Kipur. Po czyszkach latem 1943 nie rządził już nawet własnymi nominacjami. Wszelkie nazwiska, jakie pragnął awansować, czy odwrotnie — wysłać na bruk, musiały najpierw zyskać aprobatę administracji niemieckiej. W ostatecznej instancji to Biebow pociągał za wszystkie sznurki. Przewodniczący getta był postacią jak „z chłopą król”, komicznym obdartusem, którego cała władza polegała na przywłaszczonych manierach, którego świat można było zredukować do garści teatralnych ceremonii, jak udzielanie ślubów lub rozwodów czy bezsensowne „inspekcje” w fabrykach albo garkuchniach. Nawet ci ochroniarze, którzy zawsze byli u jego boku, zdawali się już nie tak liczni.

Jednak dokładnie w tym momencie, kiedy upadek zdawał się ostateczny, a poniżenie totalne, stało się coś, co nagle dało Prezesowi jeśli nie władzę i przywrócony autorytet, to przynajmniej rodzaj rehabilitacji.

Mówiło się, że zdradził getto. Ale ze zdradą może jest tak samo jak z bohaterstwem, że wymaga trwających długo przygotowań, nim zostanie zwieńczona sukcesem. W takim razie zdrada tam była już wtedy, kiedy Rumkowski pierwszego dnia Wielkiej Szpery wykazał się najwyższym bohaterstwem, odmawiając spełnienia czynności, jakie władze kazały mu spełnić. Lecz bohater czy zdrajca? Zbawiciel czy kat? Może na dłuższą metę nie miało to znaczenia. Rumkowski b y ł gettem. Cokolwiek by uczynił, jakich Żydów, czy ilu, uratowałby albo i nie, jedyną sceną, jaką dla niego przygotowano, była scena zdrady. Jego jedynym zadaniem było wejść na tę scenę, gdy przyszła odpowiednia pora i władze tak rozkazały.

Z Kroniki Getta

Litzmannstadt Getto, wtorek 14 grudnia 1943

Dziś rano, około 11.30, obiegła getto lotem błyskawicy wieść: G e s t a p o z a b r a ł o P r e z e s a . Zdarzenie to przebiegło według świadków następująco: O godzinie 9.30 na Baluter Ring zajechało auto z Geheimen Staatspolizei w Poznaniu. W Sekretariacie, przed gabinetem Prezesa, zameldowali się dwaj panowie, jeden w mundurze, drugi po cywilnemu.

„To wy jesteście starszym getta...? Jak wasze nazwisko?” Prezes przedstawił się, po czym ci policjanci powiedzieli: „Porozmawiajmy na osobności”, i wkroczyli do jego gabinetu. Dwaj ludzie, którzy w tym momencie przebywali w towarzystwie Prezesa, Mosze Karo i Eliaszy Tabaksblat, natychmiast opuścili pokój.

Spotkanie tych dwóch oficerów z Prezesem potrwało około dwóch godzin. Następnie, o godzinie 11.30, pan Prezes w towarzystwie tych dwóch ludzi z gestapo odjechał w stronę miasta.

Najpierw nikt w getcie nie orientował się za bardzo, co się stało. Dopiero wieczorem, koło godziny 19, gdy Prezes ciągle nie wracał, serce getta zaczęło bić mocno. Wszędzie się gromadziły grupy ludzi rozważających, co zaszło.

Dorożka Prezesa stała, jak zwykle, przed jego kancelarią i czekała do późnych godzin nocnych, ale żadna wiadomość nie nadeszła. Wiele osób jest przekonanych, że wywieziono Prezesa do Poznania.

W ostatniej chwili, nim opuścił Baluter Ring, Prezes zdążył powiedzieć do Dr. [Wiktora] Millera, który akurat był na miejscu: „Gdyby coś się stało, to proszę pamiętać, że chodzi tylko o dystrybucję żywności. O nic innego”. Prezes wydawał się całkiem spokojny i opanowany.

Podczas tych trudnych godzin wielu wspominało aferę Gertlera. Lecz wiele różni te przypadki. Gertler cieszył się w getcie sporą popularnością, jednak ten incydent — w tej sprawie wszyscy byli zgodni — dotyczy samego ojca getta. Strach zmroził krew w żyłach wszystkich. Ludzie nigdy nie umyślali sobie tak jasno tej oczywistości, że R u m k o w s k i t o g e t t o ! — tej nocy chyba nikt nie zmrużył oka. Dodatkowym powodem do obaw była okoliczność, że także Amtsleiter Biebow został wezwany do miasta i że on także nie dawał o sobie znaku. W okolicznościach takich jak

te, jedyne, co można zrobić, to tylko czekać.

Tylko wąskiemu kręgowi wtajemniczonych Prezes miał później opowiedzieć, co się zdarzyło w ciągu tych dwóch dni, gdy zniknął z getta. Początkowo sądził, że ci dwaj ludzie z bezpieczeństwa zawieźli go do biura Zarządu Getta na Moltkestrasse, lecz później, zdając relację z tych zdarzeń, nie był już tego taki pewien. Jedyne, co wyraźnie zapamiętał, to że drzwi, przez które go prowadzono, były takie wysokie, że nie było widać, jak daleko są od sufitu, i że sztukaterie na samej górze zdawały się poślaczane. Wprowadzono go do dużego pokoju, gdzie przy długim stole siedziało pięciu dostojników; zielone klosze lamp stołowych wisiały tak nisko nad blatem, że dym kłębiący się pod nimi zupełnie zamazywał twarze. Nie udało mu się rozpoznać żadnej z nich, chociaż w tej chwili (mówił) wszyscy patrzyli na niego.

Jakiś adiutant trzasnął obcasami i wykrzyczał swoje: „*Heil Hitler!*”. On sam stał tak, jak miał w zwyczaju, z rękami po bokach i pochyloną głową:

Rumkowski!

Ich melde mich gehorsamst!

Kątem oka zobaczył jednak, że jeden z funkcjonariuszy przyniósł jego księgi rachunkowe, które kazano mu zabrać ze sobą, i księgi te krążyły teraz z rąk do rąk wśród tych niemieckich panów siedzących przy stole. Rozległ się dźwięk, jakby któryś z nich odchrząkiwał czy może cicho się śmiał:

— Wiemy, kim jesteście.

Starszym Żydów, najmajętniejszym Żydem w Łodzi.

W całej Rzeszy się o was mówi.

Księgi dotarły wreszcie do mężczyzny siedzącego na końcu, po lewej. Ten przekartkował z roztargnieniem kilka stron, a potem znów mu się przyglądał przez swoje grube okulary, przy czym bez przerwy zwilżał sobie czubkiem języka dolną wargę. — To był, jak później miałem się dowiedzieć — mówił Rumkowski — Obersturmbannführer SS Adolf Eichmann; a mężczyzna na prawo od niego, w okularach w rogowej oprawie, to był Hauptsturmführer SS doktor Max Horn z Urzędu Administracji Gospodarczej SS, to on był inicjatorem całego tego komitetu; a koło niego z kolei siedział Oberführer SS doktor Herbert Mehlhorn, szef referatu żydowskiego w Urzędzie Namiestnika Rzeszy w Poznaniu. Jednak żaden z tych dostojników nie przedstawił się, oczywiście; żaden z nich w ogóle nic nie zrobił, pomijając jakieś brzęknięcie szklanką i karafką czy chrząknięcie, czy mlaśnięcie językiem o podniebienie. („Zdawało się — miał później mówić Rumkowski — jakby im wszystkim w zupełności wystarczało, że sobie na mnie popatrzą”). Zaraz potem znów otworzyły się wysokie drzwi, wszedł adiutant, wykonał hitlerowskie pozdrowienie i zameldował Amtsleiterra Biebowa. Tylko że wtedy Rumkowskiego już wyproszono z pokoju i jedyne, co zdołał usłyszeć, nim zamknęły się za nim drzwi, to kilka szybkich pytań zza stołu, na które Biebow odpowiedział, że produkcja płyt heraklitowych idzie pełną parą. „*Genau, Herr Hauptsturmführer*”; w „gettowych laboratoriach” wynaleziono nawet specjalną mieszankę cementu i wełny drzewnej wykazującą całkiem u n i k a l n e właściwości we wszystkich testach wytrzymałościowych. Nigdzie poza tym w Gouvernement czy Warthegau nie udało się wyprodukować tak solidnego fabrykatu.

Und immer so weiter. Przez szczelinę między drzwiami a futryną — czy raczej jeszcze wyżej: przez szparę pod zwieńczeniem drzwi — dobiegał uniżony głos Biebowa, który wciąż chwalił się roboczym potencjałem i nadzwyczajną wydajnością getta.

Rumkowskiemu kazano czekać w przedpokoju. Wzdłuż ściany, pod wielkim portretem Führera, stał rząd drewnianych, niskich ławek. Rumkowski przysiadł na skraju jednej z nich. Ponieważ pobył tam w środku tak krótko, przez dłuższy czas był przekonany, że wyproszono go tylko na chwilę i zaraz znowu zostanie wezwany. Ale czas mijał i nic się nie działo, poza tym że głosy za drzwiami rozbrzmiewały głośniejsz. Wkrótce usłyszał też brzęk szkła i powściągliwy, lecz zdecydowany odgłos wyglancowanych oficerek na parkiecie. Także esesman trzymający wartę błędził spojrzeniem od niego ku drzwiom, jakby nie wiedział, co począć z tym Żydem, którego ci panowie w środku pozostawili u niego. Do tego był bez papierosów, miał potem powiedzieć Rumkowski; jedyne, co ze sobą miał, to dwa sucharki, które w pośpiechu zabrał z puszki na biurku panny Dory Fuchs, lecz nie odważył się ich teraz wyjąć w obawie, że to sprawi złe wrażenie: „biedny Żyd coś zajada”.

Potem dobiegła z wewnątrz nagła salwa śmiechu, drzwi się rozwarły i wyjrzała twarz Biebowa — wpięrw zdezorientowana, potem przestraszona:

— To wy tu jeszcze jesteście, Rumkowski?

Biebow przymknął szybko, oburącz, drzwi za swymi plecami i położył palec na ustach. Następnie poprowadził Rumkowskiego klatką schodową w dół, a potem długim, ciemnym korytarzem do małej, oświetlonej salki, której drzwi znowu, z konspiratorskim błyskiem w oku, zamknął za sobą.

Tego, co nastąpiło teraz, Rumkowski nie był potem w stanie jasno wytłumaczyć nawet swoim najbliższemu. Być może brakowało mu po prostu słów na opisanie uczucia poufałości, które zaraz jakby zrodziło się pomiędzy Biebowem a nim. Prawie tak jak parę lat wcześniej, zanim jeszcze był jakiś „proces produkcyjny”, czy zanim w ogóle były jakieś większe resorty, a oni obaj siedzieli zwykle w biurze Rumkowskiego i Biebow czytał długie listy ofert, lecz nigdzie nie mógł znaleźć fabrykatu, którego potrzebował, a wtedy Rumkowski rzucał nagle jakieś nazwisko albo nazwę firmy i Biebow wykrzykiwał:

— Ależ to genialne, Rumkowski!

Tyle że tym razem te nowiny, o których konferowali, nie były może tak radosne, powiedział Rumkowski, i spróbował, najlepiej jak mógł, zdać sprawę z tego, co zwierzył mu Biebow. A mianowicie, że w Berlinie zdecydowano, iż z powodu sytuacji na froncie nie da się zarządu getta utrzymać w jego dotychczasowej formie, konieczna jest reorganizacja i że „niezastąpione” dotąd osoby jak Ribbe i Czarnulla będą musiały opuścić Litzmannstadt, by w zamian za to podjąć służbę w armii.

— Ale to jeszcze nie najgorsze, Rumkowski; najgorsze, że całe getto, cała ta część produkcji getta, która zasila przemysł zbrojeniowy, ma przejść spod administracji cywilnej do Ostindustrie-Gesellschaft SS — krótko mówiąc: getto przechodzi z Gau do SS!

Znajdowali się teraz w lokalu, który Rumkowski nazywał „miejskim biurem” Biebowa. Pokój był zdominowany przez wielkie, szerokie biurko z podkładką i przybornikiem z imitacji marmuru. Na skraju biurka stały telefony ustawione w schodkowe formacje. Biebow wyjął z szafki na ścianie kieliszek i nalał sobie, wyjął też papierosa z papierośnicy na biurku; nie częstując jednakże Rumkowskiego:

— Teraz jest przerwa w negocjacjach, ale jest jasne, że jeżeli doktor Horn przeforsuje swoją wolę, to ja też będę musiał ustąpić ze stanowiska w zarządzie, a co to oznacza dla autonomii, którą wam, Żydom, zapewniałem przez te wszystkie lata, to chyba sami sobie możecie łatwo

wyobrazić, Rumkowski.

W tym momencie jak gdyby objawiła mu się scena, która wcześniej leżała całkiem pogrążona w mroku, opowiadał Rumkowski. Wyciągając do niego z góry swoją rękę i uśmiechając się życzliwie, Biebow wprowadzał teraz Rumkowskiego, ostrożnie, prawie jak kolegę, na tę scenę:

— Lecz oczywiście nie zostawię zarządu nie pochwalwszy przedtem dobrej współpracy, jaką zawsze mieliśmy, wy i ja, Rumkowski.

I może nawet będą miał możliwość zabrać ze sobą paru z waszych najzdolniejszych pracowników. A w takim razie to muszą być naprawdę zdolni pracownicy, tacy jakich wy tylko umiecie wychować.

Ja mam wielkie plany, Rumkowski. Kuszą mnie propozycją przejęcia pewnej dużej firmy eksportowej, w branży tekstylnej, z hurtowniami w Hamburgu i Kilonii, a poza tym mam oczywiście moje dawne kontakty w branży kawowo-herbacianej.

A co do was i waszej rodziny, Rumkowski, to tak czy owak dopilnuję, żeby wam zaoferowano jakąś bezpieczną, godną ewakuację stąd.

Gute Geschäftsbeziehungen vergisst man doch nicht so schnell.

Tylko teraz musicie już iść, Rumkowski; doktor Horn to wcielenie punktualności, nie daruje nikomu ani minuty spóźnienia.

To ostatnie powiedział, chwytając Rumkowskiego za ramię; Rumkowski, który sądził, że ma nastąpić teraz jakiś uścisk — pijana próba lojalności, w rodzaju tych, na jakie kiedyś bywał wystawiany — wyrównał swój tułów z tułowiem Biebowa. Ale Biebow chciał tylko sięgnąć po monety w kieszeni marynarki. Teraz wcisnął w garść Rumkowskiego kilka fenigów i poufałym gestem poklepał go w plecy:

— Macie tu tyle, że starczy na tramwaj, Rumkowski!

Tak zatem doszło do osobliwej sytuacji, że „bogaty” Żyd Rumkowski, który z wyjątkiem tego razu, kiedy z konwojem gestapowskich ciężarówek wybrał się do Warszawy, nigdy nie wychylił nosa poza wyznaczony dla niego *Gebiet*, stał całkiem sam i bez nadzoru w aryjskiej części Litzmannstadtu i czekał, aż nadjedzie tramwaj, który go zawiezie z powrotem do getta.

Szary świt. Na przystanku przy Podolskiej zeszła się gromada całkiem zwyczajnych Polaków i folksdojczów. Wszyscy gapili się na żółtą gwiazdę, którą miał na palcu, na piersi i na plecach, z prawej strony. Żyd miał jechać tramwajem razem z n i m i? I co w ogóle robił Żyd poza murami i drutami getta? Ale Herr Amtsleiter przecież nie tylko kazał mu jechać tramwajem, lecz dał mu nawet pieniądze na bilet, więc gdy nadszedł tramwaj, Rumkowski złamał święty zakaz. Wsiadł — z w y k ł y Ż y d! — i nikt go nie powstrzymał. Do polskiego wagonu, rzecz jasna, nie do niemieckiego. Siedział na samym końcu, gapiąc się na drzwi, które w cudowny niemal sposób otwierały się i zamykały, po to by wpuścić lub wypuścić innych Polaków. Wagon wkrótce się zappełnił. Tylko na samym końcu, tam gdzie siedział, było pusto. Poczul głód. W kieszeni pałta ciągle miał te dwa sucharki, które wziął z puszkii po herbacie Dory Fuchs. Ale nie ważył się ich tknąć. Nie ważył się w ogóle ruszyć.

Potem płot z desek i drutów kolczastych zbliżył się do nich z obu stron, a tramwaj zaczął się wspinać i wjechał w „martwy” aryjski korytarz wzdłuż Zgierskiej. Ktoś z pasażerów jednak musiał już powiedzieć coś motorniczemu, ponieważ tramwaj, wbrew wszelkim zasadom, przystanął przy Bałuckim Rynku i Prezes mógł wysiąść. A tramwaj brzęknął dzwonkiem i znów ruszył w drogę z wylękłymi twarzami przy oświetlonych oknach, a Prezes ruszył do swojego

getta, myśląc o Biebowie i obietnicy, jaką ten mu złożył:

Aber gute Arbeiter — Musterarbeiter müssen es sein.

Później dyskutowano często o tym, kiedy właściwie rozpoczęły się ostatnie deportacje z getta. Czy w czerwcu 1944, kiedy nadburmistrz Otto Bradfish wydał rozkaz ostatecznego opróżnienia getta, czy już na początku lutego, kiedy władze nagle zażądały, by 1500 pełnosprawnych mężczyzn zgłosiło się do rejestracji na „roboty poza gettem”. (Gdy ten kontyngent nie stawiał się natychmiast na żądanie, zwiększono go do 1600 ludzi, a potem do 1700.) Czy może deportacje w gruncie rzeczy zaczęły się już w ten zmarznięty, szary, mglisty poranek w grudniu 1943, kiedy pan Prezes zameldował się niemieckiej warcie przy Bałuckim Rynku po tym, jak bez śladu zniknął z getta na całe dwie doby?

Zjawił się wtedy z pustymi rękami, lecz jednak miał ze sobą coś, czego nie miał, wyjeżdżając. Niektórzy w każdym razie tak twierdzili.

Wszak Rumkowskiemu nigdy nikt nie mógł zarzucić, że się leni, gdy trzeba było coś załatwić. Za ledwie dwie godziny po tym, jak przyjechał na Rynek tramwajem, odwiedził *Betrieb Sonnabend* pod adresem Jakuba 12. Szewcy akurat rozpoczęli strajk protestacyjny przeciwko panującym tam fatalnym warunkom pracy i odmówili zjedzenia zupy, chociaż dyrektor Sonnabend sam ich do tego namawiał. Ledwie Rumkowski zdążył przekroczyć bramę fabryki, od razu skoczył z pięściami do jednego ze strajkujących i powalił go na ziemię. Pozostałych szewców ukarał, przedłużając im czas pracy o dwie godziny każdego wieczoru, a przewodzącego całej akcji zawiózł do Centralnego Więzienia, gdzie go kazał wychłostać na oczach innych więźniów.

Ten schemat miał powtarzać się przez całą wiosnę. Jeśli ukradłeś choćby jakiś kawałek sznurka albo parę marnych śrubek czy nakrętek, lądowałeś niechybnie w więzieniu. Kiedyś to by znaczyło katastrofę, że tyle zdolnych do pracy ludzi siedzi w getcie za kratkami. Ale teraz już nie. Podczas inspekcji więzienia, zaraz na początku nowego roku kalendarzowego, Prezes określił „swoich” więźniów jako „użyteczny skład materiału ludzkiego”, który może służyć jako *r e z e r w a* na czarną godzinę. W getcie długo spekulowano nad tym, co Prezes chciał przez to powiedzieć, a przede wszystkim co oznacza ta „czarna godzina”. Wkrótce potem ogłoszono nowinę, której w gruncie rzeczy właściwie wszyscy się spodziewali:

Obwieszczenie:

1500 mężczyzn do pracy poza gettem

Zgodnie z poleceniem pana Amtisleitera Biebowa 1500 robotników ma zostać wysłanych poza teren getta. Pod względem fizycznym i psychicznym mają oni być w stanie pozwalającym na odbycie przeszkolenia i wdrożenia do szczególnych zadań. Nie należy zabierać dużego bagażu, robotnicy mają posiadać jedynie całe buty i zimową odzież.

Od niniejszego wezwania zwolnieni są robotnicy z fabryk i warsztatów uznanych przez Urząd Pracy za niezbędne dla produkcji towarowej w getcie, oraz z następujących wydziałów:

1. Czystczenie Chemiczne i Pralnia,
2. Wydział Gazowniczy,
3. Wydział Opakowań.

Robotnicy z wszystkich innych wydziałów mają od jutra, od godz. 08.00, zgłaszać się w dawnej poliklinice na Hamburgerstrasse 40 w celu badania i kontroli, które przeprowadzi specjalna komisja lekarska.

Litzmannstadt Getto, wtorek 8 lutego 1944

Ch. Rumkowski, Przełożony Starszeństwa Żydów

Każdy, kto czytał to obwieszczenie, musiał pomyśleć o szperze sprzed półtora roku. Wprawdzie Prezes jeździł po getcie i zaklinał się, że tym razem wszystko jest inaczej i że chodzi *w y ł ą c z n i e* o pracę (a zatem o co tam wcześniej chodziło?), że wszyscy, którzy wyjeżdżają, są *c a ł k i e m b e z p i e c z n i*. Ale jeżeli nie mówił prawdy tamtym razem, to jak mu można wierzyć teraz? Uporczywe pogłoski twierdziły ponadto, że getto ma utracić swój cywilny zarząd,

że cały przemysł getta ma być wykupiony przez nowe przedsiębiorstwo, zarządzane przez SS, pod nazwą Ostindustrie-Gesellschaft, które planuje wysiedlić z getta wszystkich Żydów niezdolnych do pracy, bez względu na wiek, i tym samym praktycznie zamienić getto w obóz koncentracyjny. Przewodniczący Getta miał poza tym być wprowadzony w te plany; ba, miał je nawet popierać, umożliwiało mu to bowiem radykalne pozbycie się wrogów i odzyskanie władzy w getcie.

Dlatego też nikt nie usłuchał tego wezwania, gdy się pojawiło.

Dwa dni później, rankiem 10 lutego 1944, z 1500 poszukiwanych robotników na badania w ambulatorium na Hamburgerstrasse stawilo się tylko trzynastu.

Dwa dni później ta liczba wzrosła do pięćdziesięciu jeden.

Reszta się nie zgłosiła.

Poszukiwani robotnicy nie pojawili się też w swoich miejscach pracy, nie przyszli nawet po odbiór swojej codziennej zupy. Prezes zagroził, że odbierze im książeczki pracy i zablokuje ich karty żywnościowe. Ale to także nie pomogło. Rankiem 18 lutego 1944 doniesiono, że w Centralnym Więzieniu przebywa łącznie 653 ludzi. Nawet gdyby policzyć razem z tymi, którzy siedzieli tam z innych powodów, i tak by nie starczyło, żeby wysłać pierwszy transport — 750, jak żądały władze.

Tego samego dnia Prezes wydał całemu gettu zakaz wychodzenia z miejsca zamieszkania.

W ciągu nocy zamknięto wszystkie fabryki, wszystkie punkty dystrybucji, i ludzie z Sonderabteilung chodzili od domu do domu. Przeszukiwano mieszkania, piwnice i strychy, i wszystkich tych, których nie było na listach zwolnionych albo którzy nie mogli okazać ważnej książeczki pracy, odstawiano natychmiast do Centralnego Więzienia. Ludzie mówili, że to całkiem tak samo jak *di grojse szpere*. Tyle że tym razem całą tę brudną robotę Żydzi wykonali własnymi rękami. Jak okiem sięgnąć, nie było tam żadnego niemieckiego żołnierza ani żadnej niemieckiej broni.

*

Był taki czas, że Jakub Wajsberg nie mógł inaczej zarabiać na życie, jak tylko grzebiąc w ziemi za węglem koło dawnej cegielni na rogu Dworskiej i Łagiewnickiej, i konkurując przy tym nie tylko z setkami innych dzieci, ale także z wygłodniałymi dorosłymi, którzy kręcili się wokół cegielni z nadzieją, że ukradną jakiś worek z węglem tym ciężko pracującym dzieciom. (Czasami miał tam Adama Rzepina, który go pilnował z dachu cegielni, a czasami nie.)

Ale od tego czasu wszystko się zmieniło.

Od paru miesięcy Jakub był mianowicie szczęśliwym posiadaczem niedużego wózka: prymitywnej dwukółki, którą ciągnęło się za pomocą dyszla albo sznurów. Na wózku przechowywał te narzędzia, których używał jego wuj Fabian Zajtmann, kiedy przed wojną robił swoje lalki w atelier na Gnieźnieńskiej. Szydła i młotki, i dłuta; wszystko, czego potrzeba do naostrzenia noża albo wygięcia łomu. Jakub Wajsberg chodził po podwórkach, oferując takie usługi. Miał też z sobą kilka pacynek i marionetek zrobionych przez wuja. Z początku nosił się z zamiarem sprzedania tych lalek albo przynajmniej materiału, z którego były wykonane — tkanina, drewno, heblowiny albo drut na pewno jakoś można wykorzystać. Jednak później nie wydawało się to już konieczne, ponieważ jego ojciec, za pomocą wózka, przekonał swojego *resort lajtera*, żeby pozwolił czasem Jakubowi pomóc przy jakichś transportach stolarni.

Wszystko to dzięki wózkowi.

Właśnie w tym czasie, z końcem zimy i wczesną wiosną 1944, zaczęto w getcie produkować *Behelfshäuser* zamówione przez Ministerstwo Zbrojeń w Berlinie. W tych domach miały zamieszkać niemieckie rodziny, które straciły dach nad głową wskutek alianckich bombardowań. Wszystkie niezbędne komponenty do tych zastępczych mieszkań miały powstawać w getcie. Nie tylko słynne płyty heraklitowe (z mieszanki wełny drzewnej i cementu, której cudowne właściwości wychwalał Biebow), lecz także drzwi, ścianki szczytowe i dźwigary. Jeszcze nigdy w trakcie już czteroletniej historii getta tempo pracy nie było takie intensywne, a produkcja tak duża. W odnośnych resortach wprowadzono system trójzmianowy; piły tarczowe i heblarki nie stały bezczynnie nawet przez godzinę dziennie; a gdy do twojej książeczki pracy wbito pieczętkę Centralnego Biura Resortów Pracy, nikt nie pytał, kim jesteś ani skąd przyszedłeś, tylko rzucano cię od razu na produkcję. Ponieważ Jakub miał wózek, mógł zacząć pracować w składzie drewna na Bazarnej, skąd codziennie transportowano setki kubików drewna, najpierw do stolarni na Drukarskiej, a potem do różnych warsztatów na Puckiej i na Urzędniczej.

Nastaly w getcie osobliwe dni.

To getto, w którym Jakub dorósł, było miejscem pełnym zgiełku i tłoku. Teraz jakby nad całą dzielnicą zaległy płyty złowrogiej ciszy. Jakub mógł stanąć ze swym wózkiem pośrodku zatłoczonej zwykle ulicy i jedyne, co słyszał, to głucho bębnienie kropel deszczu o rozpięty kawałek plandeki, a potem sam deszcz, powstający jak szept z mokrej ziemi. Czy kiedykolwiek w życiu otaczała go taka cisza, że mógł posłyszeć niesłyszalny prawie szmer deszczu?

W takie dni na ulicach byli tylko ludzie z Sonder. Na każdym rogu posterunki z rękami na plecach i z wysokimi butami w rozkroku. Czasami pojedynczo, a czasami w grupach po czterech lub sześciu — jakby się szykowali do ataku na cały kwartał. Czasami wychodzili, wlokąc kogoś, jakiegoś mężczyznę czy coś, co kiedyś było mężczyzną, lecz teraz wyglądało raczej jak jakaś lalka Zajtmana z nogami luźno dyndającymi pod tułowiem: jeszcze jednego z tych wielu tysięcy, które wołały kryć się po drewnutniach i piwnicach, niż stawić się w brygadach pracy na rozkaz Prezesa.

A jeśli Jakub przystanął z wózkiem gdzieś, gdzie akurat kogoś wywlekali, Sonder rzucało się także ku niemu. Ich twarze były zniszczone przez przemoc, którą codziennie stosowali wobec innych, skażone butną i bezkarną drwiną i jakimś niejasnym wstydem:

— *Awek fun danen!*

Uciekaj stąd! Do domu!

Dla niego, jedenastolatka, było to niepojęte. Jak to możliwe, że takie nierealnie ciche miejsca mogły znajdować się w tej samej strefie, gdzie godzina za godziną bez przerwy trwał rozdierający i nużący jazgot pił i heblarek, a ludzie uganiali się bez tchu, żeby nadażyć z jednego stanowiska do drugiego. Jak dwaj robotnicy mogli się schylać jednocześnie, żeby podnieść, chwytając z dwóch stron, paczkę desek, podczas gdy między nimi para silnych mundurowych ramion wynosiła trzeciego mężczyznę, z rozbitą, zakrwawioną głową. I nikt nie widział, nikt nawet nie zwrócił uwagi.

Z tego niepojętego krajobrazu jazgotu i ciszy wyłonił się teraz wóz Bajgelmana, jadący na opornie zgrzytających osiach.

Stroiciel fortepianów, który swoim zwyczajem siedział i balansował na górze rekwizytów z tyłu wozu, zeskoczył na fabryczny dziedziniec i odsunął na bok plandekę gestem tak

afektowanym, jakby właśnie rozsuwał kurtynę. Za czerwoną zasłoną stało pianino, a na nim i dokoła niego stały i leżały tuby i puzony z rurami wygłuszonymi za pomocą materaców albo starej kanapowej tapicerki i błyszczącymi klapkami i wentylami okutanyymi w brudne szmaty jak przeziębione dzieci. Kontrabas w całunie z ceraty. Skrzypce złożone w swoich futerałach, jedne na drugich, jak trumienki.

Twarz stroiciela fortepianów miała w sobie coś drapieżnego, gdy opowiadał o niemieckiej orkiestrze młodzieżowej, złożonej wyłącznie z Hitlerjugend, która powstała kilka tygodni wcześniej w Litzmannstademie, a której szef zażądał, aby to bogaty miejski *Judengebiet* wyposażył ich w instrumenty. A skoro tylko Biebow dostał tę „ofertę”, rozkazał Prezesowi wydać rozporządzenie, zgodnie z którym wszystkie instrumenty muzyczne w getcie mają bezzwłocznie zostać dostarczone do punktu skupu na Ciesielskiej. Potem przysłano z Litzmannstadt niemieckiego rzeczoznawcę. Ten podzielił instrumenty na trzy grupy — bezwartościowe, niezdatne do użytku i akceptowalne — i zgodził się zapłacić parę symbolicznych marek tylko za te ostatnie, i chyba nigdy kapelmistrz Bajgelman nie płakał tak rzewnie jak wtedy, gdy musiał oddać skrzypce, osiemnastowieczne, z warsztatu ucznia Guarneriego, warte co najmniej kilka tysięcy marek, za dwadzieścia nędznych „chaimek”.

To że ludzie głodują i umierają, czy że się ich wywozi, to może jeszcze i da się wytrzymać.

Ale co zrobić z ciszą, co zrobić z tą całą straszliwą ciszą?

*

9 marca jest Purim. To także urodziny Chaima Rumkowskiego. Ale Przewodniczący getta tego dnia leży w łóżku i każe ogłosić, że nie przyjmuje wizyt, ale że można składać mu życzenia drogą pocztową. Te gratulacje należy opatrzyć specjalnym znaczkiem pocztowym, który na tę podwójną okazję zaprojektował Pinkas *der felszer*.

Wygląda na to, jakby Prezes zaczął znowu nabierać swoich dawnych manier.

Trupa teatralna Bajgelmana musi w tym roku zrezygnować z instrumentalnych hołdów na cześć solenizanta, jako że w getcie nie ma już żadnych instrumentów. Pani Grosz musi wykonać urodzinową pieśń przy akompaniamencie tego, co jest pod ręką: drewnianych młotków, wibrującej piły, menażek i kijów do miotły. Następnie Jakub Wajsberg, za pomocą paru lalek Fabiana Zajtmana, improwizuje przedstawienie purimowe. Używa skraju wozu jako sceny i jaskrawoczerwonej plandeki wokół pianina Bajgelmana jako podnoszonej i spuszczonej kurtyny.

Rabbi Głodomór z Włodawy jest *lojferem* prezentującym całe przedstawienie. Rabbi Głodomór z Włodawy był jedną z ulubionych lalek Fabiana Zajtmana. Wszędzie, gdzie Zajtman jeździł ze swoim teatrykiem, zabierał z sobą Rabbiego Głodomora i czasami Rabbi Głodomór prezentował całe przedstawienie, a czasami był tylko jedną z postaci.

Rabbi Głodomór z Włodawy mieszka na strychu miejskiej synagogi, w izdebce pod stromym dachem, gdzie stoi łóżko, stoliczek i piecyk na drewno. Z tego swojego wysokiego miejsca — na scenie widać teraz, jak staje w oknie na poddaszu — oznajmia, że jest rabinem we Włodawie już dwadzieścia lat i przez ten czas nie dostał ani kawałka chleba do zjedzenia. Kiedy pyta starszego gminy, dlaczego nigdy nie dostaje chleba, starszy mu odpowiada, że członkom *kehili* nie podobają się jego kazania. Ale Rabbi Głodomór z Włodawy nosi worek. To ten sam worek, z którym chodzi Jakub i w którym przechowuje lalki Fabiana Zajtmana. I teraz Rabbi Głodomór pyta publiczność, czy chcą, żeby otworzył worek, to zobaczą, co jest w środku. A publiczność

śmieje się, woła i krzyczy: „Tak, tak...!” (rozpoznają Jakuba i jego worek); i Rabbi Głodomór z Włodawy wyciąga z worka pewne rzadkie, orientalne zioło, które przy spalaniu wydziela osobliwy dym mający właściwości *wundermitl*. (Tymczasem Jakub rozpałił pokazowy ogień i spod wozu dobywa się dym). Kiedy ludzie włożą głowę w ten dym, tracą jakby tę głowę i wierzą we wszystko, co tylko im się opowiada, że król Persów Ahaswer chce dobrze dla ludu żydowskiego i że zły Haman w niczym im nie grozi.

A ludzie wśród publiczności, którzy rozpoznają klasyczną purimową opowieść, krzyczą teraz wzburzeni: — Co to za rabin? Precz z tym fałszywym rabinem!

I rabbi musi się wynieść, trując dym się rozwiewa, ustawia się kulisy i może się zacząć p r a w d z i w e Przedstawienie Purimowe:

Król Persów Ahaswer wziął za żonę Esterę, a królewski sługa Haman kręci się między kulisami i knuje spiski przeciwko ludowi żydowskiemu. Jako ministra Hamana Jakub używa jednej ze starych pacynek Zajtmana, którą ubrał jak *policajta* w czapkę z daszkiem i oficerki i specjalną opaskę na ramię, jaką nosi Sonder. A gdy publiczność widzi Hamana w stroju policjanta, przez tłum przebiega jakby dreszcz i tu i ówdzie ludzie zaczynają gniewnie krzyczeć i tłuc łyżkami w menażki.

Lecz oto na scenę wychodzi zbawienny Mordechaj, i to jest oczywiście znowu Rabbi Głodomór z Włodawy: tylko w nowej postaci. I znowu rabin ma z sobą swój worek. I znowu worek jest pełen *wundermitl*. „I chodźcie, chodźcie...! — mówi Mordechaj. — Jak włożycie głowę do worka, to dostaniecie mnóstwo chleba. Poza tym zaprowadzę was do kraju Izraela...!” I żeby pokazać, kim jest naprawdę, pod wszystkimi swoimi przebraniami, Mordechaj trzyma dłoń wzniesioną w tym samym błogosławiącym geście, którego Prezes zwykle używa, udzielając gettowym parom ślubów.

I „Chaim, Chaim!”, krzyczy publiczność, która od pierwszej chwili rozpoznała swojego Prezesa. A powietrze jest pełne kłębiącego się *wundermitl*.

I wielki Haman upada na plecy, uduszony tym strasznym dymem.

I z oczu króla Persów Ahaswera spadają łuski. Rozpoznaje wtedy w Hamanie narzędzie Zła, chwali Mordechaja za jego przebiegłość i obiecuje odtąd ludowi żydowskiemu wieczną wierność. Jednak publiczność chce dalej tylko patrzeć na przebranego Prezesa z jego workiem i jego *wundermitl*. Tupią, szczękają swoimi naczyniami i wykrzykują na przemian:

Chaim, Chaim!

Daj nam chleba!

Chaim, Chaim!

Daj nam chleba!

*

Dzień później: piątek.

Niebawem przypadałby szabas, gdyby nie to, że władze zabroniły świętowania szabasu w getcie.

Za to mgła otuliła getto i jedyne, co widać z domów, to rozpuszczane błotem fundamenty. Samuel Wajsberg zdążył podejść do samej bramy stolarni, nim spostrzegł policjantów, którzy utworzyli kordon przed wejściem do fabryki. Na przedzie stał jakiś oficer i przeglądał dowody tożsamości wszystkich nowo przybyłych robotników.

Po sprawdzeniu dokumentów robotnicy mają ustawić się na dziedzińcu, po czym zaczyna się

jakaś inwentaryzacja.

Ludzie z Sonderabteilung chodzą w tę i we w tę między piłą a strugarkami i liczą ładunki drewna, i zapisują. Samuel stoi przy Jakubie. Jakub wierci się trochę niespokojnie, lecz poza tym nie okazuje, że coś jest nie tak.

Teraz mgła trochę rzednie. Blade, wodniste światło leje się przez chmury i fabryczny parkan lśni sztywno i matowo jak rtęć. Jest tak cicho, że słyhać topniejącą wodę, która kapie i ścieka z pokrycia dachu na błoto dziedzińca.

Nagle w biurze stolarni terkocze szybka wymiana zdań i dwaj surowi policjanci wyprowadzają niejakiego pana Kutnera. Samuel Wajsberg będzie potem mówić, że o tym Kutnerze prawie nic nie wiedział — poza tym, że pracował w tej części warsztatów meblarskich Serwańskiego, która produkowała framugi i ramy okienne. Kordon policji ruszył parę kroków do przodu, jakby chciał zdusić w załączku wszelkie próby protestów przeciw temu uprowadzeniu. Lecz nikt nie protestuje, a po chwili wzywa się wszystkich pracowników do powrotu na swoje stanowiska.

Niedaleko od stołu roboczego, gdzie Samuel podaje drewno do szerokiej strugarki, zebrała się grupka robotników. Rozmawiają z sobą, wskazując w jego kierunku. Sądząc z tych zdań, które do niego dobiegają, mówią nie o nim, tylko o Jakubie i o wczorajszym przedstawieniu trupy teatralnej.

Słyszy, jak dziwi się, skąd Jakub wziął te wszystkie szmatki i drewno na lalki, kiedy w getcie tak trudno o ścinki i skrawki.

Samuel prosi wtedy dyżurnego o pozwolenie na chwilowe zejście ze stanowiska; potem wychodzi na dziedziniec i szuka Jakuba. Mgła już została wypalona. Słońce praży pocięte nagie drewno w stosach, broczące żywicą ze świeżo otwartych ran.

Ale Jakuba nie ma.

Samuel myśli więc, że znowu gdzieś pojechał ze swym wózkiem, i serce ściska mu się w piersi. Czeka jeszcze daremnie pięć minut, po czym wraca na swoje miejsce przy strugarce.

Idą do domu razem, ojciec z synem.

Samuel pyta Jakuba, czy po tej porannej historii ktoś go nie wypytywał o kradzież ścinek. Jakub kręci głową. Lecz idzie w milczeniu, z pochyloną głową. A worek z lalkami niesie nie tak jak zwykle, przerzucony niedbale przez ramię, tylko wciśnięty między nogi, prawie tak, jakby się go wstydził.

Nazajutrz rano wzywają Samuela do szefa fabryki.

Kiedy ostatnio Samuel odważył się przekroczyć próg gabinetu Serwańskiego, zrobił to po to, żeby prosić o jakąś pracę dla Jakuba. Powiedział tamtym razem, że jest dumny z Jakuba; chłopak ma dryg do pracy z młotkiem i dłutem. Niewątpliwie ma to po swoim wuju, znanym lalkarzu, Fabianie Zajtmanie.

Teraz żaden z nich nie wspomina o tamtej rozmowie.

Serwański odchrząkuje i mówi Samuelowi, że nie będzie owijać w bawełnę. Że Kutner, którego Sonder wczoraj osadziło w areszcie, to jeden z jego najlepszych pracowników, bardzo zdolny inżynier, z którego on w żadnym wypadku nie może zrezygnować.

Pozostaje więc problem z młodym panem Jakubem i tą „żenadą”, jaką wywołało to jego przedstawienie purimowe wśród pozostałych robotników na stolarni, i czy pan Wajsberg nie zgodziłby się na wymianę? Czy jego syn Jakub nie mógłby iść w zamian za inżyniera Kutnera?

— Niech pan postara się zrozumieć, panie Wajsberg — mówi i patrzy na Samuela tak, jakby

rzeczywiście oczekiwał, że ten wykaże zrozumienie — że władze żądają ode mnie, żebym dostarczył im czterdziestu silnych i zdrowych robotników, jako rezerwę pracy, do Centralnego Więzienia. A jak ja mogę zrezygnować z czterdziestu ludzi przy takich wymaganiach produkcyjnych, jakie mamy teraz? Sam już nie wiem, co zrobić.

W płucu Samuela Wajsberga, wokół odcisku wojskowego buta, którym został kiedyś kopnięty, śmi ból. Nie wie, co ma powiedzieć.

— Ale ja już straciłem jedno dziecko, panie Serwański.

(Takich rzeczy po prostu się nie mówi).

Jednak Serwański ma odpowiedź także na to, co niewypowiedziane:

— Jeśli pan nie chce wysłać syna, panie Wajsberg, to sam pan musi iść zamiast Kutnera. Poza tym przecież już od dawna ma pan ten problem z płucem.

Pan Serwański się teraz uśmiecha; najtrudniejsze już za nim. Wyjaśnia, że wyślą mu to na papierze. Nie będzie trzeba żadnych „kłopotliwych pożegnań” ze strony pana Wajsberga. Poza tym, mówi się, że warunki pracy w Częstochowie, dokąd podobno mają wysłać tych 1500 robotników, są całkiem znośne. A tak czy owak przecież już niedługo wojna się skończy. I wtedy będą mogli znowu się połączyć, cała rodzina. Pan Wajsberg może zresztą się pocieszyć, że nie jest sam. Takie wymiany pracowników robi się cały czas.

*

Odkąd tamtego koszmarnego dnia podczas szpery zabrali im Chaimka, w Hali coś jakby nieodwracalnie się zmieniło.

Chaimek, brat Jakuba, był kochany i hołubiony jak mało które dziecko i Hala zawsze czuła się związana z nim w szczególny sposób. Ona jedna umiała przebić się do owej cichej, nieokiełznanej woli, która skrywała się za jego szarym, na pozór gnuśnym spojrzeniem; i ten związek między matką a synem nie został przerwany tego dnia, kiedy Chaimka im zabrano. Przeciwnie, stawał się coraz silniejszy. Hala codziennie była przekonana, że wie dokładnie, gdzie przebywa jej młodszy syn, co robi i co myśli. Umiała uformować własne ciało i duszę wokół niego w sposób równie prosty i oczywisty, jak kiedy inni zakładają parę skarpet albo rękawiczkę.

A jednocześnie Hala była praktyczną kobietą.

Trzeba wykarmić także pozostałe dzieci, mimo że ledwie dało się coś zdobyć do jedzenia.

Hala chodziła co dzień do swojej pracy w Pralni Centralnej, jadła swoją *resortkę* wraz z innymi ubranymi surowo, na biało, praczkami. Kiedy ogłaszano nowe przydziały, tłoczyła się godzinami w kolejkach, żeby dostać, co dali, cokolwiek było do dostania; może worek brukwi lub pół kilo botwinki, z której mogli ugotować zupę.

Ale cały czas istniał tamten drugi świat, w którym żyła z Chaimkiem:

Zdarzało się, że płakała, myśląc o nim, a gdy ten płacz się pogłębiał, zamieniał się w trawiący ból w jej piersi. Wtedy znowu się przed nią pojawiał. Najpierw oczy, to stanowcze spojrzenie. Ze spojrzenia występowało potem całe jego zjawiskowe ciało. Szeroki, sztywny kark; ramiona też już po męsku szerokie, jak na zaledwie sześciolatka; łopatki proste i ostre jak noże. Hala dotykała tego szczupłego i silnego chłopięcego ciała, i te wilgotne, miękkie fałdy pod pachami i w kroczu, i za kolanami były jak części jej własnego ciała.

J e g o ciało, pojęła to wkrótce, nie opuściło właściwie nigdy jej ciała.

Pomiędzy światem zewnętrznym a wewnętrznym, pomiędzy życiem w getcie a snami o Chaimku, otwierała się w Hali cała przepaść. Po drugiej stronie tej przepaści byli Samuel

i Jakub. Z tej strony, po której znajdowała się z Chaimkiem, Hala wołała do Jakuba i zabraniała mu wychodzić z wózkiem, chociaż ten wózek to jedyne, co Jakub miał, i z twarzy Hali nigdy nie schodził ten wyraz, który sprawiał, że wyglądała, jakby stała po drugiej stronie przepaści i wołała. Co wieczór ścisnęła Jakuba jak w imadle, szorując spierzchnięte chłopięce paznokcie, by z nich usunąć cały brud.

Po wytrzymaniu czterech długich lat głodu i nędzy w getcie Hala Wajsberg jedno wiedziała na pewno:

Chodzi o to, żeby się nie wychylać.

Gdyby Samuel nie zwrócił na siebie uwagi wachmana, tamtym razem, na przejściu przez Zgierską, to nikt by go nie kopnął w płuco, a wtedy nie byłby kaleką na całe życie.

Gdyby Adam Rzepin się nie uparł, że podczas szpery ukryje swoją chorą siostrę, to ten niemiecki oficer nie byłby taki wściekły i jej ukochany Chaimek ciągle byłby z nimi.

A co się tyczy tych lalek, to ona, jeszcze za życia Fabiana Zajtmana, zawsze twierdziła, że to nie dla Żyda — struganie bałwanów. Dobry Żyd święci szabas, trzyma koszer (jeżeli się da) i przede wszystkim nie zajmuje się kuglarstwem. Z bluźnierstwa i bałwochwalstwa może się zrodzić tylko zło.

Siedziała teraz i nalewała z garnka cienki barszcz, a jedyne, co przyciągało jej wzrok, odbiegało od normy. Po obu stronach talerza na obrusie spoczywały dłonie syna, brudne i podrapane po całym dniu w getcie; a przy dłoniach męża leżał ten list z Komisji Wyszędleńczej adresowany do: Herrn Samuel Wajsberg, Gnesenerstrasse 28, Litzmannstadt Getto. Widziała adres wyraźnie zapisany w nagłówku. Jak to możliwe, że tak nienawistny dokument mógł zakraść się w progi ich domu?

— Nie stawisz się przed żadną Komisją Wyszędleńczą — powiedziała tylko.

Bez żadnych gestów, za to z czymś w rodzaju zimnej furii za każdą sylabą, jakby te słowa były pierwszymi, jakie wymawiała od dziesięcioleci:

— Nie stawisz się, żeby tam nie wiem co, nie pójdziesz tam...

... musimy cię schować!

Samuelowi nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby się schować, mimo że setki mężczyzn w tej samej, co on sytuacji, już się ukrywały. Prezes groził represjami. Kobietom, które chroniły swoich mężów, cofano zezwolenia na pracę. A wszyscy w getcie wiedzieli, co to znaczy. Bez pracy nie ma jedzenia.

Mimo to Hala nie zawahała się ani przez sekundę. Zabrali jej najukochańsze dziecko. Teraz już nie zamierzała oddać nikogo więcej. Już lepiej niech zabiorą ją.

Żaden z nich teraz nie jadł. Żaden nie miał odwagi spojrzeć Hali w oczy. (Gdyby to zrobili, spostrzegliby, że od jej wysokich kości policzkowych aż po kąciki ust biegną jak gdyby blade pręgi; równie surowo wystrugana maska jak u którejś ze starych lalek Fabiana Zajtmana).

Przy pralni na Łagiewnickiej był stary lokal magazynowy używany wcześniej jako skład węgla. Teraz dostawy węgla jeżeli w ogóle przychodziły, to tak sporadycznie, że niepotrzebny był żaden magazyn. Ale Hala ciągle miała klucz. Wyciągnęła go z kieszeni fartucha, upuściła go na blat stołu i wstała.

To Jakub miał tam ojca zaprowadzić. Sama miała spakować jego rzeczy. Miała spakować też jedzenie, tak żeby mu wystarczyło. Nie powiedziała ani słowa, jakie jedzenie ani skąd je niby weźmie; lecz żaden z nich nie śmiał zapytać.

Jedna z ulubionych historii Fabiana Zajtmana opowiadała o pewnym niedźwiedniku, który chodził z jarmarku na jarmark ze swoim tańczącym niedźwiedziem. Niedźwiednik nie miał imienia, ale niedźwiedź nazywał się Mikrut. „A z tym niedźwiedziem było tak — opowiadał Fabian Zajtman — że nawet kiedy wędrowali z miasteczka do miasteczka, to Mikrut nie zdejmował łap z ramion swojego właściciela”.

Chodzili tak z miasteczka do miasteczka, nierozłączni jak rower tandemem.

Jak taki rower tandem Jakub czuł się, idąc z ojcem przez getto. Szli w górę i w dół; znajomymi ulicami, które przez zakaz wychodzenia z domów stały się całkiem obce. Dopiero co tysiące ludzi tłoczyły się tu pośród bud i straganów. Teraz nikt się nie tłoczył. Żadne światła nie przenikały także spoza zasłon zaciemniających. Od ósmej wieczorem panowały w getcie egipskie ciemności.

Żeby robotnicy nie ukrywali się w swoich miejscach pracy, Prezes rozkazał, że wszystkie fabryki po ostatniej zmianie mają zostać całkowicie zamknięte. Ale magazyn węgla pralni na Łagiewnickiej nie mieścił się w tym samym budynku co pralnia, tylko w piwnicy domu naprzeciwko. Jakub otworzył drzwi kluczem, który dostał od Hali. Drzwi były zardzewiałe i niepokojąco zgrzytały.

— Potrzeba ci czegoś?

— Nie. Niczego.

— Przyjdę znów jutro.

— Przyjdź, kiedy będziesz mógł. Ja sobie poradzę.

Jakub stoi, trzymając drzwi w jednej ręce, a klucz w drugiej. Twarz ojca w półświatle, ciało pochylone, wzrok wbity w podłogę. Jakub czuje, że czas już zamknąć i przekręcić klucz, inaczej zaraz nie wytrzyma. Ale niełatwo mu zamknąć te drzwi. Syn nie powinien zatrzaskiwać drzwi przed nosem ojca. Poza tym, jak on ma się ruszać po tej wstrętnej norze? Po omacku? Czy chociaż starczy mu powietrza? Gdzie ma się położyć?

Samuel się nie rusza, syn też nie. Stoją tam, każdy w swoim niezdecydowaniu, aż z ulicy dobiega jakiś brzęk. Przedmiot z metalu potrącony przechodzącym butem. Następnie ostry głos wołający coś w jidysz. Sonderabteilung.

— Zamknij już — mówi ojciec.

I wtedy Jakub zamyka drzwi. Tak trudno przekręcić klucz w zamku, że musi przycisnąć drzwi całym ciałem. Ale zamyka jednak ojca, czeka, aż zdaje mu się, że patrol Sonder już przeszedł, a potem znów wymyka się na ulicę.

Jakub idzie ze swoim niedźwiedziem przez las. Las jest gęsty i zarośnięty. Niedźwiednik ledwie widzi przed sobą drogę. Lecz na ramionach ma przynajmniej spolegliwe łapy swego misia.

Potem coś się wydarza. Niedźwiednik się odwraca, lecz chociaż wciąż czuje na plecach jego łapy, niedźwiedzia nie ma.

Wie, że musi iść dalej mimo to.

Idzie i idzie, a idąc, czuje, jak on sam zamienia się w niedźwiedzia. Ale jeżeli jest niedźwiedziem — kto w takim razie jest jego niedźwiednikiem?

Jakub stoi, podnosząc do góry swoje niewinne łapy, i nie potrafi na to odpowiedzieć.

„Gdzie masz swojego niedźwiednika?” Raz po raz go o to pytają.

To czterej ludzie z Sonder i wszyscy stoją w określonych odstępach od siebie, tak jakby chcieli

się rzucić na niego ze wszystkich czterech stron naraz. I oczywiście nie pytają go o niedźwiednika.

— Gdzie masz ojca? — pytają go.

Jest zwłaszcza jeden policjant. Blondyn, niebieskooki, z pociągłą twarzą i ustami, które składają się z samych zębów. Raz po raz ten uśmiechający się policjant schodzi na bok, jakby chciał schronić się za jego plecami; i za każdym razem, gdy to robi, ktoś inny występuje naprzód i mocno bije w twarz Jakuba pałką albo otwartą dłonią.

— To gdzieżeś swego ojca schował? — pyta ten blondyn z błyszczącymi zębami i stoi teraz za Jakubem, tak blisko, że ten na karku może wyczuć jego gorący oddech. Jest coś dziwnego z tą jego polszczyzną, ale nim Jakub uświadamia sobie, co to jest, mężczyzna znowu puszcza jego plecy i ci trzej inni wychodzą naprzód i biją.

Puszczają go po czterech godzinach.

Jakimś cudem udaje mu się dotrzeć na Gnieźnieńską.

Jest w każdym razie cały. Niczego mu nie złamali. Lecz z ciała jakby uszły wszelkie siły. Udało mu się dowlec do bramy, ale po schodach wejść już nie da rady. Hala znajduje go u stóp schodów, gdy koło siódmej wraca z pralni. Zarzuca go sobie na plecy i wnosi go po wszystkich schodach, jakby był zwykłym workiem kartofli.

W mieszkaniu rozpala w piecu, podgrzewa w garnku wodę i obmywa mu twarz mokrą szmatką. Gdy to zrobiła, wsypuje do wody coś, co wygląda na sól, i znów przemywa. Piecze także jak sól i Jakub krzyczy i usiłuje się odwrócić. Lecz Hala ściska mocno jego głowę między nogami i nie przestaje zmywać i szorować jego twarzy. Kiedy go w końcu puszcza, twarz mu płonie, jakby cała skóra była wyżarta. Wyrzywa jej się, potem nic więcej nie pamięta. Musiał zasnąć.

Nocą ci czterej znów przychodzą i zrywają ich z łóżek.

Czy spał w ogóle w jakimś łóżku?

Nie pamięta. Tylko tyle, że obcy ludzie łapią go i stawiają pod ścianą. Znowu mają ze sobą swoje pałki i razy trafiają w bok ciała, w to zagłębienie między lędźwiami a pachwiną, gdzie najbardziej boli. Ból jest taki gwałtowny, że krzyk nie mieści się w gardle. W zamian za to Jakub wymiotuje: bladą, wodnistą breją. Ale to ich nie obchodzi. Wpychają mu twarz w tę breję i kolanami czy łokciami przyciskają mu kark i łopatkę tak, że już więcej nie może oddychać.

— Zabijecie go!

To Hala krzyczy.

Pomimo bólu udaje mu się obrócić na bok. Jednocześnie widzi, jak matka zatacza się do tyłu, tryskając krwią z nosa. Jeden z mężczyzn przyciska jej ciało do ściany.

Długo stoją na pozór całkiem nieruchomo, ciało policjanta przywarte do ciała matki niemal jak w delikatnym objęciu. Potem mężczyzna z wolna zaczyna ruszać tyłkiem; krótkie, dzgające pchnięcia w podbrzusze matki. Dopiero teraz widzi twarz Hali. Jedyne, co widać znad dłoni zaciśniętej mocno na jej ustach i nosie, to para bezradnie wytrzeszczonych oczu.

Jakub czyni wysiłek, aby w jakiś sposób wydostać się z tego paraliżu bólu, który go poraził, i podejść do matki skulonej pod ścianą.

Ale jakkolwiek by próbował, nie jest w stanie wydostać się z siebie. A potem ból zamienia się w straszliwe, mdlące odrętwienie — znowu wymiotuje.

*

Jakub otwiera drzwi do ojca.

Piwniczny, węglowy mrok osiada teraz na ojcowskiej twarzy. Dokoła nich i między nimi wisi kwaskowaty smród świeżych, płynnych odchodów, tak silny, że przebija nawet przez kwaśny smród wilgoci i pleśni.

Woń totalnego poniżenia.

Pierwszy raz w życiu Jakub Wajsberg boi się swego ojca. Boi się, co z nim zrobi ten mrok i odosobnienie. Może już zrobiły.

Dlatego Jakub chwilę zwleka, nim wyjmie to, co z sobą przyniósł.

Małą świeczkę, którą umieszcza na podłodze między nimi.

Na pytanie ojca, ile dał za świeczkę, odpowiada, że tylko parę fenigów. Naprawdę kosztowała półtorej marki na targowisku na Pieprzowej. Sprzedawane przez dzieci świece stearynowe stały się, w związku z obowiązkiem zaciemnienia, pożądanym towarem. Potem miskę z zupą, którą Hala przykryła pokrywką, żeby nie wystygła. I chleb.

Ojciec siorbie zupę żarłocznie i drżącymi rękami wpycha chleb do ust, chociaż wie, że nie powinien. Jedzenie jest nic niewarte, gdy przecieka przez ciało zbyt szybko. Lecz w tym poniżeniu Samuel nie widzi własnej czarnej twarzy, nie widzi już, co robią jego własne ręce i wargi.

Wreszcie mogą zacząć rozmawiać.

— Zwiększyli teraz kontyngent, ma być tysiąc sześćset ludzi — mówi Jakub.

Samuel milczy. Jakub musi wypełnić tę lukę.

— A ilu się zgłosiło?

Jeszcze nie mają tyłu, ilu trzeba — odpowiada na własne pytanie.

Następnego wieczoru czy kilka dni później Jakub mówi:

— Podnieśli znowu, ma być tysiąc siedemset.

— A ilu już mają w tej rezerwie pracy?

Jakub przyciska palce do zimnej kamiennej posadzki.

A ilu się zgłosiło? Ojciec nie pyta, ale Jakub mówi:

— Teraz i kobiety mogą się zgłaszać do rezerwy pracy.

Samuelowi nawet nie drgnęła powieka, kiedy to usłyszał. A potem jego twarz z tym mrokiem jakby rozwija się i ściąga.

I Jakub nie może się powstrzymać:

— Tato, nie daj im zabrać mamy.

— Idź już — mówi Samuel Wajsberg i odwraca twarz od światła.

Nazajutrz, gdy Jakub przekręca klucz w zamku, ojciec stoi za drzwiami gotowy. Już spakował tych parę rzeczy, jakie ma i nie wpuszcza syna za próg; pcha się tylko na zewnątrz, tak niezdarnie, że Jakub mało nie traci równowagi.

— A ty gdzie?

— Dostyc już tego.

— Ale mama przysyła ci jedzenie.

— Nie potrzebuję już jedzenia.

Jednak ojciec nie jest bynajmniej taki wściekły i silny, jak przez chwilę się wydawał. Idą paręset metrów, potem ojciec zatacza się i musi oprzeć się o ścianę domu. Po następnych paruset metrach całkiem pada. Jakub chwyta go za rękaw palta i próbuje go podnieść na nogi. Nic z tego. Dopiero kiedy staje na czworakach i obejmuje ojca w pól, ten jakby daje się wytrącić ze

swego strasznego skamienia.

Rower tandem powoli znowu rusza.

Od pralni na Łagiewnickiej do głównego wejścia Centralnego Więzienia jest niecałe osiemset metrów. Dotarcie tam zajmuje im ponad godzinę. I kiedy Jakub podtrzymuje ojca, nie może się nadziwić, jakim cudem ten osłabł aż tak. Jedzenie wszak przynosił mu codziennie; matka była nawet dla ojca hojniejsza niż wtedy, kiedy żył Chaimek. Kromki ze skrzętnie zaoszczędzonego bochenka chleba były z dnia na dzień coraz grubsze.

Głód osłabia. Lecz gorzej jest z ciemnością. Kiedy mrok wczepi się w kogoś, powoli wydrąży najsilniejsze ciało. Jakub myśli, że może to nawet już nie ojciec idzie tam obok niego, tylko jakaś straszliwa ślepa kukła.

Przy bramie do Centralnego Więzienia stoją na posterunku dwaj niemieccy żandarmi, a przy nich dwaj ludzie z żydowskiej Służby Porządkowej. Jeden z wartowników zbliża się nieufnie, kiedy Jakub przychodzi tam z ojcem.

Jakub próbuje znaleźć parę odpowiednich słów, ale ojciec go wyprzedza:

— Nazywam się Samuel Wajsberg. Przyszedłem zgłosić się do rezerwy pracy.

Nieufny strażnik rozpromienia się. Podnosi rękę i daje znać koledze, który podchodzi z drugiej strony. — A wcześniej to nie łaska było się zameldować... — mówi kolega, najwyraźniej po to, żeby popisać się przed niemieckimi żandarmami, i by pokazać tym wszechmocnym, na co i jego stać, bierze solidny zamach pałą i wali ojca prosto w kark. Ojciec pada jak marionetka, której odcięto sznurki. Niemcy stoją zupełnie obojętni. Ten nieufny strażnik więzienny szturcha ciało czubkiem swojego wysokiego buta. Jakby wciąż jeszcze nie wierzył w skuteczność kolegi. Następnie cofa się o krok.

Zrobiłeś swoje, mówi do Jakuba. Teraz zjeżdżaj do domu.

Adam Rzepin wprowadził się już rok wcześniej, w marcu albo w kwietniu, do Józefa Feldmana w jego starej budylni na Marysinie. Żaden z nich nie mógł potem dokładnie powiedzieć kiedy, jak, ani nawet czemu tak się stało. Uzgodnili tylko, że w ten sposób będzie najpraktyczniej dla nich obu. Józef mu zrobił kąt do spania wśród wiader i koryt na samym końcu szklanej ściany. To tu przed laty chodzili klienci i przebierali wśród cienkich drzewek jabłoni i gruszy, których korzenie z ziemią były obwiązane woreczkami. Na kamiennej podłodze położył kilka worków z juty i końską derkę na wyświechtany materac, i tutaj leżał Adam Rzepin, patrząc jak światło jutrzienki wstaje nad niskim ogrodowym murem i wybucha kaskadą ognistych odprysków z popękanych naczyń na półkach. Robiło się coraz jaśniej.

Na papierze Adam Rzepin był wciąż zameldowany u swego ojca w getcie, ale Szaja miał teraz tylko kuchnię, bo dokwaterowano mu inną rodzinę, która zajęła pokój. Zdarzało się jednak czasami, że Adam odwiedzał ojca na Gnieźnieńskiej. Kiedy wracał od niego, miał ze sobą tylko książeczkę pracy. Kartki na chleb zostawiał Szai w szufladzie. To Szaja podjął się pobierać te niezbędne racje, które jeszcze przydzielano. Za każdym razem, gdy Adam przychodził, ojciec upierał się, by wszystko zważyć, i pilnował, by każdy bochenek podzielić dokładnie po równo, mimo że Adam często miał z sobą własne jedzenie: ziemniaki podkradane z wozów, brukiew, kapustę i buraki wybierane w miesiącach zimowych. Nowi lokatorzy popatrywali z pokoju z zawiścią.

Syn Rzepina musi mieć niezłe chody gdzieś u *sziszkes*, bo skąd inaczej miałby te wszystkie cymesy?

Adam nauczył się ostrożności. Cała droga na Marysin roiała się od ludzi z Sonder. Także gdy chodził niedaleko, od Feldmana do bramy na Radogoszcz, starał się dla pewności chodzić w towarzystwie paru innych ze swojej brygady, zwykle z Jankielem Moskowiczem i Markiem Szajnwaldem, i dwoma młodszymi braćmi tego ostatniego, którzy też pracowali na rampie stacji towarowej.

Jankiel miał lat czternaście, najwyżej piętnaście; z włosami jak szczotka ryżowa i biegnącym przez nos szerokim pasem jasnych piegów, które sprawiały, że wyglądał jeszcze młodziej. Jankiel się jeszcze nie nauczył, jak nie zwracać na siebie uwagi i jak oszczędzać siły, zachowując przy pracy milczenie. Miał teorie na temat wszystkiego i nie przepuścił najmniejszej okazji, żeby je zaprezentować. „To wszystko z frontu wschodniego”, mówił na przykład o konwoju z materiałem wojskowym, który się toczył, podrygując na kocich łbach Jagiellońskiej; także całe czołgi z gliną między gąsienicami i przytwierdzone do platform działa. „Mają szczęście, że zwiali jeszcze z artylerią, ale jak im się zdaje, że tu utworzą nowy front, to się mylą. Stalin ich porozjeżdża swoimi czołgami”.

Ale przez Radogoszcz wywożono nie tylko cofającą się niemiecką artylerię, lecz także większość materiału, który gettowy przemysł produkował przez całą zimę i wiosnę w niepojętych ilościach. Drzwi, okna i segmenty ścian, czasem całe dźwigary leżały w stosach na platformach ciężarówek, które toczyły się wartkim potokiem w kierunku stacji towarowej. Całe miasto w ruchu.

I wciąż żądano nowych robotników.

Nieliczni uprzywilejowani robotnicy przyjeżdżali tramwajem; każdego ranka wzdłuż długich, płaskich, gliniastych pól sunęły dwa połączone wagony.

Ale większość z nowo rekrutowanych szła piechotą, niektórzy w dalszym ciągu w koszulach i zarękawkach, tak jakby jeszcze tego samego dnia mieli na powrót zasiąść przy swoich biurkach i pulpitach.

(Niektórzy z tych przymusowo zwerbowanych opowiadali dzikie historie o tym, jak Biebow osobiście zjawił się, żeby dopilnować, aby personel biur opuścił swoje miejsca pracy. Przyszedł do Wydziału Talonów. Zjawił się także w założonym przez niego samego Wydziale Fachowym i Kontrolnym, gdzie przed gromadą wystraszonych rewizorów zadeklarował, że albo ich szef, Józef Rumkowski, dostarczy mu natychmiast trzydziestu pięciu zdrowych i sprawnych robotników, albo też pan Rumkowski będzie zmuszony osobiście udać się na Marysin i tłuc cegły).

„Robią tam płyty cementowe”, oznajmił Jankiel któregoś dnia z dumą. „Hera-klit!”

Jankiel usiłował dogadać się z paroma pracownikami Pałacu — a d w o k a t a m i, jak ich nazywał; chciał za ich pośrednictwem nawiązać kontakt z przyjaciółmi komunistami, którzy wciąż jeszcze pracowali w samym getcie. Lecz grupa, która tej zimy przyszła na Radogoszcz, była zmęczona, wynędzniała i sponiewierana; niewielu z nich nadawało się na kurierów. Ledwie pan Olszer zdążył wciągnąć ich na swoje listy, a już padali z głodu i wycieńczenia i trzeba było ich odsyłać do tymczasowej izby chorych, którą Prezes za zgodą władz urządził na miejscu.

Nawet Harry Olszer nie miał własnego biura. Nie miał nawet biurka, zanim Oberwachtmeister Sonnenfarb, na rozkaz samego naczelnika stacji, nie wypożyczył mu „stolika radiowego” ze swojej budki stojącej koło rampy towarowej. Przy tym stoliku siedział teraz inżynier Olszer i rejestrował nowo przybyłych, jedną ręką osłaniając oczy od deszczu i śnieżnej zawiei.

Z czasem udało się paru doświadczonym cieślom z resortu na Drewnowskiej wznieść coś w rodzaju hangaru z desek, kawałek za samym torowiskiem.

Hangar był długi na dziewięćdziesiąt metrów, wysoki na trzy, z dachem wystającym na pięć metrów. Niektórych z pałacowych pracowników odkomenderowano do tego magazynu, gdzie musieli sypać piach i znosić tłuczoną cegłę do dołu, gdzie stały betoniarki. Betoniarki obsługiwali polscy robotnicy dowożeni co rano pociągiem. Adam rozpoznał paru z tych, którzy przedtem pracowali przy rozładunku; niektórzy z nich przemycali nawet do getta lekarstwa i papierosy. Ale teraz żaden z Polaków nie dał po sobie poznać, że go zna. I dalej opróżniali tylko bębny betoniarek; nie podnosili nawet wzroku, gdy mieszankę miano wylewać do gotowych ram.

Hangar wzniesiono jako odlewnię płyt heraklitowych. Mieszankę cementu, tłuczonej cegły i wiórów wylewano do drewnianych form. Potem długimi zgarniakami rozprowadzano ją i wygładzano. Po paru godzinach zjawiali się majstrowie i inżynierowie i drewnianymi kijkami sprawdzali, czy mieszanka już zastygła.

To było ważne dla Niemców, bez dwóch zdań! Tylko w ciągu dwóch pierwszych tygodni marca, podczas gdy budowano hangar, zjawiły się nie mniej jak cztery delegacje z samego Litzmannstadtu. Biebow i jego ludzie przybyli na inspekcję. Potem także specjalna komisja, złożona z *Fachleute*, którą powołał Biebow, pod przewodnictwem Arona Jakubowicza. Także żydowską kadrę inżynierską przywieziono, o dziwo, w samochodach. Adam mógł widzieć ich złęknięte twarze przez tylne i boczne szyby, kiedy orszak przejeżdżał. Tak jakby Niemcy wzięli ich jako zakładników.

Pod koniec marca przyszła także kolej na Prezesa.

Adam miał potem istotne powody, aby pamiętać ten dzień; nie tylko ze względu na wpływ, jaki miał wywrzeć na jego osobiste losy, ale też dlatego, że dopiero wtedy naprawdę zrozumiał, że wojna zmierza ku końcowi. Nic innego poza tym, co się zdarzyło Prezesowi, nie było w stanie go o tym przekonać. Nie panikarskie budowanie tych *Behelfshäuser*; nie dźwięk syren przeciwlotniczych, które co noc wyły pod pustym niebem; nie rowy kopane za murami na Brackiej; nawet nie wieści nadchodzące teraz niemal codziennie, a rozsiewane przez Jankiela i jego towarzyszy o tym, że rosyjscy oficerowie łącznikowi nocami przekradali się do getta i naradzali się z komunistycznym ruchem oporu. Ale gdy oni odwrócili się i zaatakowali n a j w y ż s z e g o, samego Prezesa; kiedy to zaszło t a k d a l e k o, wtedy do niego dotarło...

Tymczasem Polakom i niemieckim inżynierom udało się wybudować prototyp gotowego domu. Prototyp, jak gotowy domek, miał rozmiary trzy metry na pięć; zbudowany z pomalowanych na niebiesko cegieł heraklitowych, z oknami wmontowanymi tak łatwo, jakby ktoś przeszedł i wetknął je w ścianę. Sonnenfarb pokochał go od pierwszego wejrzenia. Natychmiast przeniósł wszystkie swoje stare kłamoty z budki strażniczej koło torowiska, rozkazał przynieść z powrotem „stolik radiowy” Olszera, a na zewnątrz zawiesił dzwon sygnalizacyjny. Nazywał to swoim „paradnym domem”, pewnie z powodu tego jaskrawego błękitu.

Przez wszystkie lata na Radogoszczu pracowali ci sami strażnicy — przynajmniej odkąd Adam się tu znalazł. Dwaj wachmani, Schalz i Henze; trzech, jeżeli liczyć z Oberwachtmeisterem Dietrichem Sonnenfarbem, który jednak za punkt honoru stawiał sobie jak najmniej pokazywać się wśród plebsu. Tylko kiedy przyjeżdżał wóz z zupą — lub kiedy przychodziła nowa zmiana — Sonnenfarb mógł łaskawie wyciągnąć rękę przez okno, aby uderzyć w dzwon. Poza tym ruszał się jedynie, gdy szedł do wychodka, co rutynowo czynił za każdym razem, kiedy zjadł swój przynoszony z domu obiad. Adam i inni robotnicy snuli fantazje o tym, co też za smakołyki ma ze sobą każdego ranka, w swych szczękających puszkach i naczyniach, i zawsze przerywali na moment pracę, żeby popatrzeć, jak Sonnenfarb po posiłku toczy swoją olbrzymią cielesną powłokę w kierunku „aryjskiego” klozetu, zawsze zdumieni tym, jak to możliwe, by człowiek w trakcie jednego posiłku mógł zjeść tyle, że zaraz musiał się wypróżnić, aby zrobić miejsce na więcej.

W drodze powrotnej Sonnenfarb zawsze kopał jakiegoś robotnika, który mu się napatoczył, albo wypinał tylko w jego stronę wielki, świeżo podarty zad, udając, że pierdzi z pogardą.

Adam już dawno nauczył się znosić te rutynowo rozdawane razy i obelgi. Ledwie je zauważał. Nie słyszał już także wrzaskliwych niemieckich rozkazów, tego historycznego germańskiego k o m e n d e r o w a n i a, które bez przerwy trwało ponad głowami ich wszystkich: ponad piskliwym zgrzytem przetaczanych wagonów; szczękami otwieranych luk; stukiem żelaza o żelazo. Jedyne, co było warte nadstawiania uszu, to gdy wołali, że czas na obiadową zupę. Gdy Sonnenfarb wyciągał z okna swojej niebieskiej rezydencji grubą, szorstką łapę i zaczynał szarpać za serce dzwonu (który był przytwierdzony do ściany w dokładnie tym samym miejscu, co w poprzedniej wartowni), wtedy Adam też reagował.

Jedna z teorii Jankiela głosiła, że transporty żywności, które rozładowywali, są przeznaczone wyłącznie dla bogaczy i potentatów w getcie; że nawet ta cienka zupka, którą codziennie jedzą, jest tak rozcieńczona, że koncentrat trafia do rąk tamtych. „To zobaczymy, czy zupka spotkała dziś jakąś kapustkę”, mawiał zwykle, gdy Sonnenfarb szarpał za dzwon.

Potem przechodził Schalz i tak go trzasnął w łeb, że zupa się rozlała na oczach setek przestraszonych robotników. Ale Jankiel nigdy nie okazywał strachu. Ukłonił się tylko lekko. Jakby wachmani, wytrącając mu z rąk zupeę, dali mu szansę okazania im j e g o pogardy jeszcze jedną cyrkową sztuczką.

Postanowiono, że owego dnia Prezes sam przeprowadzi lustrację: „*eine Musterung des nach Radegast zugeteilten Menschenmaterials*”, jak napisano w Kronice.

Teraz członkowie tej tak zwanej rezerwy pracy stali w kinie Marysin i chowali głowy w ramionach przed śniegiem z deszczem wpadającym między chwiejne ściany z desek.

W gromadzie panował niepokój. Reprezentant pracowników biurowych, których Biebow odkomenderował na Radogoszcz, żądał, by wszystkie kobiety mogły wrócić do swojej „normalnej pracy”; albo przynajmniej żeby mogły pracować pod dachem, osłonięte od wiatru. Jeden z robotników poskarżył się, że przy pracy kaleczą sobie dłonie i palce o odłamki cegieł; że nie mają właściwych narzędzi; że zupa, którą im serwują, jest tak cienka, iż widać przez nią monetę na dnie (jeśli ktoś miał jakąś monetę, którą mógł wrzucić do menażki).

— Drodzy Żydzi, bracia i siostry w cierpieniu — zaczął Prezes, ale wtedy już paru robotników miało dosyć i zaczęli pchać się ku wyjściu z zatłoczonej stodoły. Chociaż wysłany Sonder próbował bez większego przekonania zagrozić im drogę, za tymi pierwszymi wkrótce ruszyli inni. Ludzie wracali do swoich miejsc pracy i urzędnicy z Centralnego Biura Resortów Pracy, którzy mieli protokołować lustrację, stali bezradnie ze swoimi długimi listami nazwisk.

— Strajk — mruknął któryś — to jest równoznaczne z odmową pracy...!

Ale co to pomogło?

Od paru dni panowała kapryśna pogoda. Chwilami niebo przechodziło od szarości do jasnego błękitu tak prędko, że aż prawie bolały oczy, i świeciło słońce. A chwilę potem znad szerokiej równiny dokoła nadciągały gwałtowne fale deszczu albo śniegu. Po minucie pola po drugiej stronie drutów i wieże wartownicze białą jak ocynkowane, i nagle nic nie było widać poza śniegiem, który w tym momencie — gdy robotnicy znowu schylili się nad swoimi skrzyniami z cegłą i taczkami — zdawał się wzbijać kłębami wprost z ziemi.

Zważywszy na pogodę, spodziewano się, że Prezes zaraz po tej nieudanej lustracji powróci do swego ogrzewanego elektrycznie zacisza w biurze na Bałuckim Rynku. Jednak na przekór tym oczekiwaniom zmusił Kupra, żeby zawrócił dorożkę i ruszył w śnieżnej zawiei na Radogoszcz.

„Uparł się, żeby zwizytować tę fabrykę cementu — że on też” — jak to wyraził potem Jankiel. „Chociaż z tym nie miał nic wspólnego. Przecież to wszystko przedsięwzięcie Biebowa i Olszera!”

Śnieg, który spadł dopiero co, w takich ilościach, teraz zamienił się w wodnistą, ciężką, gęstą breję, którą rozchłapywały coraz bardziej wszystkie koła wozów, kamasze i trepki przemierzające bezustannie plac budowy. Dwaj ludzie dźwigający skrzynię z piaskiem poślizgnęli się i upadli; jeden pociągnął za sobą drugiego. W tej samej chwili dorożka Prezesa utknęła jednym kołem w glinie i woźnica, Kuper, zsiadł z kozła.

To wtedy Adam zobaczył, że coś jest nie tak.

Ochroniarzy, którzy zazwyczaj otaczali Prezesa, tym razem nigdzie nie było widać. Prezes stanął w dorożce, ale zaraz usiadł z powrotem, gdy uświadomił sobie, jak bardzo jest sam.

Z rusztowania pod dachem hangaru rozległo się nagle wołanie:

— Chaim, Chaim!

Daj nam chleba, Chaim!

Wołanie nie było agresywne, wręcz przeciwnie: brzmiało niemal życzliwie. Adam zobaczył, jak Prezes podnosi głowę ze spojrzeniem, które przez moment zdaje się wyrażać jakąś nadzieję.

Wtedy nadleciał pierwszy kamień.

Rzecz niepojęta. I robotnicy w krąg zamarli.

Choć tym kamieniem musiał rzucić któryś z nich, wszyscy zdawali się tym zaskoczeni. Przestrach wśród nich był równie wielki jak lęk Prezesa, który teraz zrobił to, co zamierzał przed sekundą: wstał, żeby wysiąść z powozu.

Wtedy nadleciał drugi kamień.

Adam widział go, jak zakreśla wyraźny łuk na tle tego, co pozostało z nieba, zanim spadł gdzieś za dorożką; i nagle powietrze przed nim zaroilo się od kamieni, i nie tylko kamieni — lecz także kawałków cegły; żelaznego złomu; oderwanych kawałków desek z odlewni, jeszcze z plamami od cementu. Śnieg gnał poziomo, prawie równoległe z ziemią, i nagle wszędzie było pełno wrzasku i krzyku, ale najgłośniej krzyczał Prezes, twardym, cienkim, niemal piszczącym głosem, jak jakieś zwierzątko, które ktoś niechcący czymś przygniółł i miażdży.

Wtedy to się stało: mocny cios zwałił go na ziemię.

Nie widział skąd i kto go zadał, skurczył się tylko wokół gwałtownego bólu i daremnie szukał ręką oparcia w błotnistej brei. Czuł, jak coś cieknie mu z nogawek i zdążył pomyśleć „żebym się tylko nie wykrwawił”, kiedy kopniak z tej samej nicości trafił go prosto w bok. Dwie silne ręce chwyciły go pod ramiona i przez moment nie dało się odróżnić błota płynącego w śniegu od pary oczu ślepiących prosto w jego oczy; poniżej rząd białych, błyszczących od śliny zębów w ustach rozwartych wokół głosu wrzeszczącego ciągle:

— *Du SZOJTE* — myślałeś może, że mi się wywiniesz?

Według wersji paru wysoko postawionych osób, które były świadkami zdarzenia, podczas inspekcji na Radogoszczu Prezes, na skutek „niepogody”, poślizgnął się i upadł, uderzając głową o szaflik z cementem, i okazjonalnie zmuszony był skorzystać z pomocy medycznej. Inni twierdzili, że Biebow zlitował się nad chorym Przełożonym Starszeństwa Żydów i dopilnował, by ten trafił do „aryjskiego szpitala” w Litzmannstadcie.

Nic z tego nie jest prawdą.

Nie jest prawdą, jakoby Prezes się poślizgnął ani jakoby udzielono mu pomocy poza gettem. Leżał w sypialni, we wspólnej letniej rezydencji jego i jego brata, na Marysinie, na ulicy Karola Miarki; głowę miał owiniętą zakrwawionym bandażem i śniło mu się, że jest wiosna i że woda podnosi się i rwie, jak zawsze o tej porze roku w Rosji, a w tej wodzie dokoła stoją jego dzieci i patrzą, jak on tonie. Wtedy, brodząc, podszedł do niego jego młody wybawca, wziął go na ręce i zdecydowanie poniósł z powrotem na brzeg.

Prezes: Kim pan jest?

Samstag: *Ich bin Werner Samstag, Leiter von der Sonderabteilung, VI:e Revier.* Przyszedłem, żeby powiedzieć panu, że wyzwolenie jest blisko. Przyszedłem także, żeby powiedzieć, że dopiero co uratowałem panu życie.

Prezes: Za ten wyczyn jestem panu, rzecz jasna, dozgonnie wdzięczny!

Samstag: *Ssschooo, mein Herr,* wie pan, że to prawda, co mówią o Ruskich? Widziałem wczoraj jednego. Stał w ogonku do sklepu rozdzielczego i odwrócił się do mnie i powiedział: „*Nie bojsja, oswobodzienije blisko...* Wyzwolenie blisko! (Tak powiedział. Dokładnie tymi słowami!)”.

Prezes: Gdybym miał się przejmować tymi ciągłymi pogłoskami, tobym nie był w stanie nic zrobić! Co za defetyzm!

Samstag: No tak, zaczyna pan nareszcie znów być sobą, *Balejdik niszt dem ejbersztn, er wet dir szlogn cu der erd!*

Prezes: Kim ty jesteś?

Samstag: Kim jestem? — Tobą nie!

A mimo to: tym w getcie, kogo najbardziej przypominasz!

Prezes: To brzmi jak jakiś wierszyk! Ja go wymyśliłem...?

Samstag: Pańskiej postaci mają w każdym razie dosyć. *Nider mit dem altn,* mówią. Przejeżdża pan swoim szykownym ekwipażem i pański w ł a s n y n a r ó d odwraca się plecami, ludzie udają, że coś robią, byle tylko pana nie widzieć. A tak naprawdę, całe getto to jedno wielkie sprzysiężenie przeciw panu. Pan jeden tego nie dostrzega.

Prezes: Co jeszcze ludzie o mnie mówią?

Samstag: Ludzie mówią, że jest pan dla nich jedyną osłoną przed mrokiem — szczęściem w nieszczęściu.

Prezes: To prawda. Bo jestem.

Samstag: Mówią, że wydał pan dzieci, chorych i starców —

Mówią, żeś pierwszych poświęcił bezbronnych —

Na śmierć z pragnienia skazał najbardziej spragnionych!

Prezes: Ty może jesteś jednym z nich? *Bist du ein Praeseskind...?*

Dzieckiem Prezesa?

Samstag: Prawym czy lewym? *Freund oder Feind?*

Samstag oder Sonntag?

Ich bin der S o n s t w a s t a g — ein sonniges — ein glückliches K i n d!

Ober hot niszt kejn mojre. S'z gut!

Nie było mnie na tej liście. To wszystko.

Prezes: Na jakiej liście?

Samstag: Liście pańskich dzieci — pańskich prawych dzieci!

Ich bin ein eheliches Kind, ein echtes Ghettokind!

(Przecież widzisz: nie mam już skóry, nie mam nosa i policzków — Jestem podobny do was! Nikt, kto mnie widzi, nie mógłby jasno powiedzieć —

Czy jestem wrogiem, czy przyjacielem?

Gut oder böse?

Ob man von einer guten Familie stammt oder nicht.

Ob man ein Jude ist — o d e r n i c h t!)

Pan także, panie Przewodniczący, musi nauczyć się odróżniać Wroga od Przyjaciela — Nie może pan zwracać się do wszystkich bez różnicy.

Dlatego konieczna jest LISTA. Komu dany będzie przywilej pójścia z panem, a kto będzie zostawiony?

Prezes: A jeśli umrę? Jeśli po drodze ktoś mnie zamorduje?

Samstag: Nie może pan umrzeć — przecież pan jest moim ojcem! (Poza tym osobiście dołożyłem starań, by aresztować i uwięzić odpowiedzialnych za ten obrzydliwy spisek).

Poza tym, martwy czy nie — jakie to ma znaczenie?

Ci, którzy życzą panu jak najgorzej, mówią, że był pan martwy już od pierwszej chwili, kiedy pan wkroczył do tego getta —

Her Tojt? Czy to nie pan?

W takim razie wszyscy tu w getcie jesteśmy dziećmi Śmierci.

Stoimy teraz tutaj i czekamy, aż nas pan wyprowadzi.

Wołamy: Ojczy! Daj nam dowód na twoją nieśmiertelność!

Zbaw twoje dzieci — a zbawisz także sam siebie!

Adam Rzepin przypuszczał, że oskarżą go o usiłowanie zabójstwa, a w każdym razie podburzanie, i jeśli nie zatłukli go na miejscu, zabiorą go do „kinematografu” w Centralnym Więzieniu, żeby potem, kawałek po kawałku wyciągać z niego prawdę, jak zwykle robił Szlomo Hercberg. Ale nowy komendant więzienia nie preferował metod stosowanych przez Hercberga. Werner Samstag potrafił czasem osobiście schodzić do Kopalni, lub nawet obcować na dość poufalej stopie ze swymi więźniami. Podczas swoich wizyt miał z sobą zawsze chmarę *policajtn*, którym tak bardzo zależało, żeby wywrzeć na swoim przełożonym dobre wrażenie, że nawet nie czekali na rozkazy dowódcy, tylko od razu przyciskali Zabójcę Przewodniczącego do ściany, bili go i kopali go kolanem w brzuch i podbrzusze, aż leżał na ziemi i krztusił się, łapiąc oddech.

To od tych *p o m o c n i k ó w*, jak ich nazywał Samstag, Adam dowiedział się, że polscy i żydowscy lekarze walczyli teraz, żeby uratować życie Prezesa. Że Biebow nawet naradzał się z Bradfischem, czy nie wysłać specjalnych oddziałów SS, tak jak zrobili w sierpniu 1940, żeby zdławić ten bunt w zarodku, i że młody Rzepin, gdyby do tego doszło, miałby na sumieniu nie tylko życie samego Prezesa, lecz ponosiłby także odpowiedzialność za grożącą wówczas deportację z getta pozostałych 80 000 Żydów.

Wszystko to było wysrane z palca, lecz oczywiście Adam Rzepin o tym nie wiedział.

Dopiero kiedy pomocnicy przedstawili wszystkie te oskarżenia, do celi wkroczył Werner Samstag. Z przesłuchania, jakie nastąpiło, Adam pamiętał później tylko te lśniąco uśmiechy, którymi darzył go nowy komendant więzienia.

Same zęby, bez ust. Tak, jakby go przesłuchiwała sama Śmierć:

Samstag: Ty jesteś duży czy mały, Rzepin?

Adam: Że co?

Samstag: Jesteś Rzepin duży czy mały?

Pomocnicy: Na imię masz Adam czy Lajb?

Adam: Nazywam się Adam...

Pomocnicy: Wiemy, jak się nazywasz. Jesteś duży czy mały?

Adam: ... Rzepin.

Pomocnicy: To już mówiłeś.

Jak się nazywa twój stryj?

Adam: Lajb. Stryj ma na imię Lajb...

Samstag: Kiedy ostatni raz się z nim widziałeś?

Chcemy wiedzieć, gdzie jest, kogo ma na swojej liście.

Pomocnicy: Daj nam nazwiska tych bolszewików — tych niemieckich pacholków-morderców — jak nam je podasz, to stąd wyjdiesz!

Samstag: My już o tobie wszystko wiemy —

Jaką cenę gotów byłeś zapłacić poprzednim razem, jak wyszedłeś.

Pamiętasz, Rzepin?

Stryjek Lajb przyszedł i wykupił cię tamtym razem.

A ceną była twoja siostra.

Pomocnicy: Kiedy ostatnio widziałeś twego stryja Lajba?

Samstag: Jesteś w to uwikłany po uszy, Adam.

Na wszystko są papiery: list z Komisji Wyszłuchawczej; zwolnienie wystawione przez Szlomo Hercberga — na twoje nazwisko; podpis twojego stryja na pokwitowaniu, kiedy cię przyszedł zabrać...

Pomocnicy: Wiemy, co byłeś gotów oddać tamtym razem, żeby wyjść. Swoją własną siostrę.

Samstag: Powiedz nam, gdzie on jest, twój stryjek Lajb. Daj nam nazwiska podżegaczy i wywrotowców z listy twojego stryja Lajba, a ja ci wtedy zwrócę wolność.

*

Leżał z głową zwróconą ku ziemi, tuż przy kracie, gdzie zaczynał się długi rząd cel, a wokół

niósł się odgłos kroków i ciężkich policyjnych butów szurających i chroboczących o żwir. Także nocą ludzie Samstaga sprowadzali nowych ochotników do Prezesowej rezerwy robotniczej w Centralnym Więzieniu.

Nigdy nie nazywano ich inaczej niż „ochotnicy” — bez względu na to, jak długo potrwało, nim usłuchali wezwania, bez względu na okoliczność, że zostali doprowadzeni siłą przez Sonder.

Mężczyzna, który leżał przy nim na pryczy, powiedział, że w rezerwie jest ich już trzy tysiące: sami zdolni do pracy mężczyźni. Powiedział to z wyraźną satysfakcją, czy wręcz dumą; i dorzucił, że bardzo chciałby trafić do fabryki amunicji w Częstochowie, dokąd podobno brano tylko n a j l e p s z y c h robotników. Potem pochylił się do przodu i rzekł do Adama, niejako poufnie, że wprawdzie dni Hitlera już są policzone, ale że Niemcy nigdy nie dopuszczą do wyzwolenia getta w Litzmannstadcie. Żydzi musieli najpierw być deportowani z getta. Dopiero wtedy przyjdą im na ratunek Rosjanie albo Anglicy.

Ogólnie rzecz biorąc, pośród „ochotników” optymizm zdawał się dość duży. Adam zrozumiał wkrótce, że to w znacznym stopniu zasługa Samstaga. Odkąd nastał Samstag, wszystkie drzwi do cel w Centralnym Więzieniu stały otworem, więźniowie z tak zwanej zewnętrznej rezerwy mogli chodzić sobie, gdzie chcieli (niektórzy z nich leżeli na prowizorycznych posłaniach czy pryczach wzdłuż ścian korytarza, tak jakby byli w drodze zupełnie gdzie indziej i rozbili się tutaj obozem tylko na krótko); a wcześniej rano, gdy wjeżdżał wózek z zupą, z wesoło szczękającymi kotłami i naczyniami, kto maszerował na przedzie, jak nie sam Samstag, jak prawdziwa pani Wydzielaczka, i wołał swoim dziwnym, obcym dialektem:

— Tu mamy żarcie dla wszystkich, którzy chcą pracować!

ŻARCIE DLA WSZYSTKICH! ŻARCIE DLA WSZYSTKICH!

Adam spostrzegł, że przenoszono go do coraz głębiej położonych korytarzy, im więcej przybywało „ochotników” i im ciaśniej robiło się na górze, na kondygnacji cel. To tam, na dole, przebywali ci odrzuceni z rezerwy, ci, którzy mieli jakąś ułomność albo defekt, z którym niechętnie się afiszowali.

Kiedy poprzednim razem był na dole w Kopalni, było tutaj cieplej. A poza tym rozbrzmiewał tu wysoki, zawodzący ton, do którego on garnał się instynktownie, chociaż nigdy nie umiał wyjaśnić dlaczego. Jakby gdzieś niżej istniała jakaś dziura albo otwór, przez który wchodziło powietrze, jak jakiś szyber czy wywietrznik. Chociaż to było oczywiście wykluczone. Skalne podłoże, na którym spoczywało getto, miałoby całkiem wydrążone dno?

Ten dziwny ton wciąż tutaj był, choć teraz niższy i bardziej otwarty — wcale nie tak nieznośnie ostry i przeszywający. I tak samo jak przedtem było tu jakieś akustyczne podciśnienie, które wsysało go i ciągnęło w głowie jak wir.

Niżej w Kopalni Adam odkrył także, że korytarze nie prowadzą p o z a budynek z celami, jak kiedyś mu się wydawało, lecz pogrążają się coraz głębiej w ziemi, tworząc wielką spiralę: w ten sposób, że gdy zszedł na poziom pięciu lub dziesięciu metrów poniżej miejsca, gdzie był wcześniej, ciągle mógł słyszeć te same dźwięki z góry, które słyszał przed minutami albo dniami — tylko słabiej: szcęk kluczy przekręcanych w bezsensownych zamkach; drzwi, które otwierano lub zatraskiwano; radosny śmiech mężczyzn z rezerwy, tak ośmielonych tym, że wreszcie dostali coś do jedzenia, kiedy nikt inny w getcie nic nie dostał, że całkiem zapomnieli, iż czekają na deportację.

— Kamień na kamieniu, w wyraźnie odgraniczonych warstwach

(a pomiędzy i pod wszystkimi tymi warstwami kamieni:

te korytarze, które płątały się i wiły dalej, coraz głębiej) —

Kiedy zrozumiał, że przekroczył pewien próg i nie znajduje się już dłużej w królestwie żywych? Może to był sposób, w jaki ci odrzuceni siedzieli. Skuleni i odwrócen, jakby nie mieli już nawet żadnych twarzy do pokazania.

Ale pieśń pozostała ta sama. Długi, przeciągły ton, który tu, tak daleko pod ziemią, przypominał głuchy pomruk, wprawiający w drżenie nie tylko czoło i skroń, ale całą zatokę szczękową i podstawę czaszki. I dalej lało się i ciekło w rynnie kibla przebiegającej wzdłuż skalnego korytarza, teraz z dopływem wody, która sączyła się z sufitu i ścian groty, a nawet wydawała się dobywać z nierównej, kamiennej podłogi. W niektórych miejscach tunelu musiał brodzić przez głębokie kałuże mętnej, śmierdzącej wody ściekowej.

Jednak teraz mógł już iść, nie zginając karku, a kiedy podniósł wzrok, to ciemność groty stała się jakby bardziej porowata albo przynajmniej łatwiej przenikalna. Roztaczał się przed nim mroczny krajobraz. Sufit kopalnianego korytarza stał się kamiennym niebem, a kloaka rozlała się przed nim w coś, co w przemoknięciu i wilgoci rozrosło się i poszerzyło w podziemne morze z falami i d a c y m i ku krzywym ścianom groty w powolnym, ciężkim rytmie.

Teraz umarli otaczali go ze wszystkich stron —

Niektórzy mieli walizki i tłumoki, tak jakby nawet tutaj nie mogli rozstać się ze swoimi rzeczami. Ale większość siedziała tylko samotnie albo w parach z rękami odsuniętymi od ciała, tak jakby także własne członki nagle zmieniły się w obce przedmioty.

Naturalnie była wśród nich także Lida. Siedziała na skalnym występie, ubrana w tę jasną bawełnianą sukienkę, którą każdego ranka zakładał jej przez głowę, i parę skrzydeł anielskich na plecach, o których zawsze tak marzyła. A obok niej siedział Werner Samstag, z jedną nogą w kloace i w ciemnych okularach na nosie, jakby dla ochrony przed wszechobecnym tu potężnym, podziemnym światłem.

Samstag nie musiał nic mówić. Może nigdy nie wyrażał się jaśniej niż teraz. „Prawdziwy ojciec”, zadeklamował, obejmując teatralnym gestem szczupłe ramiona Lidy, „nigdy nie porzuca swoich własnych dzieci”.

Lecz nawet Werner Samstag nie mógł powstrzymać Adama, gdy ten po raz ostatni zechciał dotknąć Lidy. Pochwycił jej dłonie tuż przy koniuszkach palców i tak trzymając, ruszył, brodząc w brunatnej brei, pod tym martwym, białym światłem. Jej ciało, za nią, unosiło się na wodzie, jakby nic nagle nie ważyło, a jej sukienka bez rękawów wybrzuszyła się jak balon albo błyszczący biały żagiel; tylko przez krótką chwilę, zanim tkanina nie nasiąkła czarną wodą ścieku i ciała nie wessały osobliwe podwodne prądy. Lecz przez króciutkie mgnienie oka leżała tam, unosząc się na wodzie — i najbardziej przelotny z uśmiechów zdążył rozjaśnić jej twarz. Prawie tak jak wtedy, kiedy ją woził na taczce: uśmiech ze szczęścia, że porusza się swobodnie, zamiast bez przerwy spadać.

I wtedy wreszcie wypuszcza ją z rąk — pozwala jej wyslizgnąć się na to otwarte morze, które jest niczym.

Zdradę nosisz zawsze jak nóż tuż przy sercu.

Kiedy Adam Rzepin po trzech tygodniach powrócił z rezerwy, Olszer najpierw go nie chciał ponownie zarejestrować. „Co nam z wybrakowanych robotników? Nie rozumiem, dlaczego oni wciąż nam przysyłają tych wszystkich wybrakowanych!”

Kierownik Olszer był kiedyś Przełożonym Starszeństwa Żydów w Wieluniu; od tego czasu (mawiał) wie, jak należy postępować z ludźmi. Szef niemieckiego posterunku na Radogoszczu, Oberwachtmeister Dietrich Sonnenfarb, także był przekonany, iż wie, jak należy postępować z ludźmi. Z okna swojej niebieskiej rezydencji musiał długo śledzić poczynania Olszera i Rzepina, bo skoro tylko Adam pokuśtykał z powrotem do swej pracy w piaskarni pod hangarem, zaraz wyszedł i przywarł do niego jak rzep. Szedł potem krok w krok za Adamem, parodiując jego chód, powłócząc nogą tak samo jak on — sztywny, toczący biodrem chód, nie do odróżnienia od typowego w getcie głodowego chodu.

Wachmani i niemieccy pracownicy stacji śmiali się — tak jak tego od nich oczekiwano.

Wszyscy inni odwracali wzrok.

Adam stał się nagle takim, z którym się nie rozmawia. Chodziło o to, że wrócił z rezerwy. Jeżeli było się w rezerwie, to było się już w pewien sposób poza gettem, nawet jeżeli transport jeszcze nie odjechał. Ktoś, kto powrócił z rezerwy, musiał zostać tak czy inaczej odrzucony. A może zwerbowany jako kapuś?

Ponieważ wciąż nadchodził materiał wojskowy do przeładowania, ściągano Adama raz po raz z powrotem na rampę towarową. Nagle przybyły też do getta duże ilości kapusty. Zwykłej białej kapusty z zewnętrznymi liśćmi tak bladymi i niedojrzałymi, że wyglądało to, jakby kapuściane kule poowijano bandażem. Ponieważ spora część starej składnicy warzyw była zalana wodą, Adam i jego brygada mogli wyfasować narzędzia — łomy i młotki, i małe, nieporęczne pobijaki, których używali, by pod nadzorem Schalza i innych wachmanów budować pojemniki z desek, wielkości trzy na cztery metry, gdzie można było składować kapustę w oczekiwaniu na dalszy transport do getta. To było jakąś miarą tej konfuzji władzy — lub w każdym razie tego bałaganu, który zaczynał się szerzyć — że wydawali takie potencjalnie groźne narzędzia w ręce swoich żydowskich robotników. Wcześniej to było nie do pomyślenia.

Ale też były to dziwne roztopy. Musieli brodzić w śmierdzącej, mętnej wodzie ściekowej, żeby w ogóle dotrzeć do hangaru; i codziennie po zakończeniu zmiany Olszer polecał im układać odlane płyty heraklitowe w stosy tak, żeby nie niszczały, gdyby w nocy poziom wody jeszcze się podniósł. Z całej brygady chyba tylko Adam nie przejmował się wodą. Wszak wiedział, skąd ona się brała. Wiedział także, skąd wzięły się te narzędzia. Gdy tylko poczuł w dłoni ciężar noża i dłuta, zrozumiał, że to siła wyższa włożyła mu je w ręce.

Jankiela, Gabriela, braci Szajnwaldów i innych ze swojej dawnej brygady zobaczył dopiero, kiedy nadszedł wóz z zupą. Wszyscy mu umykali wzrokiem, oprócz Jankiela, który nigdy nie cofał się przed niczym. Gdy tylko Jankiel usiadł przy nim, Adam wiedział, że będzie musiał spytać go o stryja Lajba. Lecz nie wymienił go z nazwiska, opisał tylko, jak wygląda: pociągła, szczupła twarz, uformowana jak siodło roweru z małymi, wąskimi szczelinami oczu; opisał potem spojrzenie z tych nacięć, oczy patrzące wprost na ciebie, lecz jakby trochę nie widzące tego, na co patrzą.

Jankiel od razu pojął, o kogo Adam pyta. Z kolei on mógłby zapytać, co Samstag i jego ludzie

robili z Adamem w więzieniu, zapytać, jakim cudem Adama nagle wypuścili, zapytać, czemu nie wcielili go do rezerwy robotniczej jak wszystkich innych, którzy „wpadli w oko” Sonder. Lecz Jankiel o to nie zapytał. Powiedział za to:

— To prawda, co mówią, że Lajb to twój stryj i że to dzięki niemu dostałeś tu pracę?

A gdy Adam odwrócił głowę:

— A to, że przyjęli cię tutaj z powrotem, to też jego zasługa?

*

Na Radogoszczu było wielu takich, którzy pamiętali, jak poprzednim razem wybuchnął w getcie strajk zupowy. To było we wrześniu 1943, także na Marysinie: w zakładzie szewskim nazywanym *Betrieb Izbicki*, gdzie produkowano drewniaki i proste drewniane sandały, które składały się właściwie tylko z drewnianej podeszwy i skórzanego paska, lecz których można było produkować setki tysięcy, praktycznie za bezcen.

Szef zakładu, Berek Izbicki, słynął w getcie jako prawdziwy *Träger*. Robił wszystko, by w oczach władz przedstawiać wzór efektywności, ale gdy tylko inspektorzy z Centralnego Biura Resortów Pracy odwracali się plecami, zaczynał kraść, oszczędzając na wszystkim, a do tego traktował swoich robotników gorzej niż zwierzęta. *Resortka* Izbickiego była codziennie odcedzana. Podczas gdy majstrzy i brygadziści, włącznie z samym Izbickim, codziennie dostawali zawieszistą, pożywną zupę z warzywami i kawałkami kapusty, które dało się wyłowić chochlą, zwykli robotnicy musieli zadowalać się cienkim wywarem smakującym gorzej niż pomyje.

Po paru miesiącach takiej sytuacji jeden z robotników nie wytrzymał, rzucił talerzem z zupą o podłogę i wykrzyknął:

— Tego się, kurwa, nie da pić, nie będę pić tego świństwa...

Zryw nie był wcale planowany. Mimo to słowa tego robotnika powędrowały z ust do ust jak tajny komunikat, aż dotarły w końcu do Izbickiego, który akurat siedział, jedząc obiad: zupę ze skórką od słoniny, konserwowe czerwone buraczki i ziemniaki. Pieniąc się ze złości, gnał teraz wzdłuż kolejki do lady, gdzie nalewano zupę, i wołał:

— Komu tu nie smakuje moja zupa?

Kiedy szewc, który rzucił talerzem o podłogę, trochę nieśmiało podniósł rękę do góry, Izbicki chwycił go za ramiona, a potem trzasnął go na odlew w twarz.

Lecz wtedy stała się rzecz niesłychana:

Zamiast z pokorą przyjąć karę, oporny szewc podniósł rękę i rąbnął Izbickiego z taką mocą, że ten się nakrył nogami.

W ogólnej konsternacji, jaka nastąpiła, nadbiegło kilku żydowskich policjantów z podniesionymi pałkami; lecz zamiast się rozproszyć, jak mieli w zwyczaju, robotnicy stali bez ruchu, jak przyklejeni do podłogi, a gdy Izbicki wreszcie podniósł się na nogi i za pomocą popchnięć i szturchańców próbował zagnać swoich robotników do lady, gdzie czekały panie Wydzielaczki, to najpierw jeden, potem drugi odeszli po prostu z kolejki i powrócili z pustymi rękami na swoje stanowiska.

Pierwszy strajk zupowy był faktem.

Kryzys zdawał się tak poważny, że musiano wezwać Prezesa, a ten z miejsca zarządził szereg kroków dyscyplinarnych, które mogły wydawać się „sprawiedliwe”, ponieważ dotknęły wszystkich. Najpierw Izbicki dostał ostrą reprimendę za to, że użył fizycznej przemocy wobec

jednego z zatrudnionych. Następnie postraszonego opornego szewca, że jeśli nie zaniecha podburzania robotników, to mu odbiorą książeczkę pracy i kartki żywnościowe. Dalszych obstrukcji już nie było. Szewc siorbał zupę posłusznie, więc zachował książeczkę pracy i w ten sposób udało mu się jeszcze jakiś czas zapewnić byt sobie i swojej rodzinie.

Ale w getcie już pozostało określenie „strajk zupowy”.

A robotnicy mieli co wspominać.

Bo nawet jeżeli jest tak, że robotnik nie ma żadnych atutów, bo nie liczy się nawet jego życie, i nie ma możliwości pertraktacji, bo jego pracodawca i tak mu nie może nic dać, to jednak zawsze może znaleźć odrobinę władzy w takim geście: po prostu usiąść i odmówić zjedzenia zupy... Ostatnia furtka możliwości, otwierająca się niespodziewanie, gdy nie starczało już nawet najwyższe poświęcenie. I nawet młody Jankiel powtarzał dzień w dzień:

— Pomyślcie, jakbyśmy tak siedli i powiedzieli „nie”...!

Po strajku zupowym u Izbickiego w lecie 1943 nastąpiła długa, ciężka zima i na Marysinie czy na Radogoszczu nikt się nie troszczył o warunki pracy: ledwie starczało siły, żeby dźwigać i harować, i wykonywać rozkazy nadzorców. Lecz potem znowu przyszła wiosna, kolejna wojenna wiosna. I jakby z drugiej strony kolczastego drutu siedział jakiś demon, który wymyślał wszystko wyłącznie po to, aby jeszcze bardziej udreńczyć mieszkańców getta, nagle na stację towarową zaczęła przychodzić żywność.

Przez całe cztery lata getto wołało o ziemniaki; nie te przegniłe, przemarznięte i śmierdzące, rozpaćkane bulwy, które czasami przychodziły, lecz o prawdziwe ziemniaki. Mogły być popękane i plamiste, byle tylko jędrne i twarde, najchętniej z resztkami p r a w d z i w e j ziemi na łupinach, tak żeby przynajmniej móc sobie wyobrazić tę tłustą, pulchną i zarazem lekko wilgotną ziemię, z której je wykopano.

Przez cztery lata nikt nie widział takich ziemniaków. Ale teraz przyszły. Najpierw ta cała kapusta, co najmniej parę ton; każdy wagon pełen po brzegi bladezielonych kul wyglądających jak „dziecięce łepetyny, którym aż chce się wyszorować uszy”. A potem właśnie ziemniaki, prawdziwe ziemniaki; dosyć wagonów, by wypełnić stare bunkry na Jagiellońskiej. I całe mnóstwo innych warzyw: szpinak, zielona fasolka, kalarepa.

Wołanie z rampy towarowej: „Niemcy znów wynaleźli cebulę!”.

I czerwone buraki w konserwach. Niepojęte ilości konserwowych buraków.

W brygadzie rozładunkowej już wywiązała się walka o to, kto ma przewieźć pierwszy ładunek do składu. Dopiero bowiem przy rozładunku wewnątrz magazynu, poza zasięgiem wzroku pilnujących stalowych hełmów, można było „spijać śmietankę”.

Także przy fasowaniu zupy panował ostrożny, lecz uzasadniony optymizm, a spowszedniałe już żarty jakby nabrały wigoru:

— No, ciekawe, czy zupka zahaczyła dzisiaj o jakąś kapustkę, czy może kapustka wpadła gdzieś do zupki po drodze stąd,

jeżeli tak, to przez pomyłkę —

to jest kapustka Prezesówka, czuć po smaku:

gówniany, ale za to potem pierdzi się szlachetnie, jak złoto —

Lecz w zupie nie było kapusty. I ani śladu ziemniaków. Tylko ta sama ciepława, tak samo stęchła jak zwykle krochmalna breja. Jankiel stał za Adamem, a za nim ciągnęła się w nieskończoność kolejka do wozów z zupą. Tu i tam wychylała się jakaś optymistyczna głowa,

by po reakcjach tych stojących z przodu ocenić smak dzisiejszej zupy.

Wtedy Jankiel odwrócił się, podniósł miskę nad głową i z całej siły rąbnął nią o ziemię:

— Nie będę jeść tego gówna...

S t r a j k: wszyscy gapili się jak urzeczeni na tego podrostka, piegusa z włosami jak szczotka ryżowa. Oczywiście miał dzikie, ale na ich dnię przezierało coś innego. Co? — Upór? Nadzieja? — Sonnenfarb wygramolił się natychmiast ze swej błękitnej paradnej klatki. Za nim, krok w krok, w tradycyjnym ordynku, szli Schalz i Henze.

— Komuś tu nie smakuje zupa...?

Sonnenfarb nie musiał czekać na odpowiedź, aby zrozumieć, kto jest winny buntu. Miska Jankiela ciągle leżała tam, gdzie ją rzucił — pod jego nogami.

Tak jak zawodnik rzucający młotem Sonnenfarb targnął swym cielskiem do tyłu; potem jego ręka wróciła i Jankiel padł jak zdzielony obuchem. Schalz był następny, z lufą karabinu zwróconą prosto w głowę leżącego: „*Sieh zu, dass du deinen Arsch hochkriegst und deine Suppe verputzt sonst mache ich dir Beine...!*”.

Gdyby Adam mógł w tym momencie wcisnąć swoje chude ciało pomiędzy lufę karabinu a nagą głowę Jankiela, w miejsce, gdzie skóra drżała jak lustro wody w misce, toby to zrobił. Powolnym ruchem Schalz zarepetował broń. Jankiel wykrzywił twarz w grymasie, obnażając zęby w dolnej szczęce. Jednak żaden strzał nie padł. Nagle wszyscy w kolejce, ci przed i ci za Jankielem, rzucili na ziemię swoje naczynia. Szczęk setek menażek, które jednocześnie stuknęły o ziemię, był tak ogłuszający, że nawet Schalz się przeraził i odwrócił się z podniesionym karabinem.

Miał w oczach panikę.

— *Keine Mittagspause mehr, keine Mittagspause* — zaryczał — wymachując karabinem. — *Los zur Arbeit...*

Tłum rozszedł się do swojej pracy. Lecz teraz wszystko szło opornie. Nowe pociągi przybyły na stację, ale pomimo wściekłych krzyków niemieckich wachmanów rozładowawcze ruszali się jak muchy w smole i parę godzin później Sonnenfarb uderzył w dzwon, żeby ogłosić koniec zmiany.

Już wtedy zaczęła się rozchodzić fama, że także w samym getcie wybuchły strajki zupowe. W Resorcie Metalowym nr I i nr II na Łagiewnickiej doszło do przerw w pracy, tak samo w Resorcie Skórzano-Rymarskim na Jakuba 8.

A woda w getcie podnosiła się bez przerwy —

Noc w noc płynęły z martwej ziemi wody roztopowe.

Adam dbał o narzędzia, które przez przypadek wpadły mu w ręce. Miał teraz nóż, dłuto, pobijak i młotek, i nosił je schowane za paskiem u spodni, tak samo jak kiedyś prznosił lekarstwa i wiadomości dla Feldmana. Nikt nic nie podejrzewał, bo od pobytu w Kopalni i tak miał ten toczący biodrem chód. Jeden z tych niezdatnych, nie nadających się do dalszej pracy, który z jakiejś niepojętej przyczyny znalazł łaskę w oczach władz i mógł tu zostać. Ten, co przeżył? Czy może tylko żywy trup? Któregoś dnia postanowił, że dość już tego kuśtykania i odbił od kolumny marszowej idącej z powrotem do getta.

— A ty gdzie...? — zawołał za nim Jankiel.

(Ten zawsze wszystko zauważył).

— Zastrzelą cię, jak pójdziesz w tę stronę!

On jednak poszedł.

Wieża wartownicza przy bramie na Radogoszcz stała po pas w wodzie ze stopniałego śniegu, a żołnierz na wieży pochylał się nad swoim odbiciem w tej topieli. Graniczny płot oddzielający getto od miasta nie był już płotem, lecz kawałkiem drutu nanizanym na nic.

Zdarzało się, że nocą włączano reflektory: zimne światło lało się z ziemi do zalanego wodą nieba, podczas gdy samotny wartownik na wieży szył ze swojego automatu do wszystkiego, co tylko gdzieś się ruszyło:

trata tatt-ta trata-taa trata tatt-taa...

Mówiło się, że pod osłoną nocy Żydzi próbowali przedostać się przez druty tam, gdzie je zalała woda. A tak naprawdę, wartownicy strzelali do szczurów. Ci z wartowników, którym dopisywał humor, mówili, że musi być niedobrze, skoro nawet szczury próbują uciec z Litzmannstadtu przed „bolszewicką inwazją”.

W świetle ze zwierciadeł wody i nieba Marysin przypominał jakąś prastarą twarz, której rysy na przemian to ukazywały się, to znowu wygładzały. Słupy telefoniczne wzdłuż Jagiellońskiej i Zagajnikowej przebiegały zwierciadło wody jak długie szprychy. Rozsiane wokół tych szprych leżały blaszane dachy domów i warsztatów, płynąc pomiędzy marszczonymi podmuchem wiatru powierzchniami.

To, co zostało z Zielonego Domu, stało jeszcze w niezgorszym stanie na swym zboczu, podobnie jak cmentarz za swymi murami i budylnia Józefa Feldmana nieco niżej, ze swoimi szopami na narzędzia i fasadami szklarni.

Lecz stara wierzba koło warsztatu Praszkiara, na skrzyżowaniu Okopowej z Marysińską, leżała jak głowa Meduzy z długimi zielonopastelowymi witkami unoszącymi się na lustrze wody. Gdyby się dało ujrzyć całe getto z góry, można by przeciągnąć kreskę od przewróconej rosochatej wierzby aż po te doły na odpadki, w których gównowozy opróżniali swoje beczki.

Wszystko pomiędzy było rozpuszczone w wodzie.

Adamowi zdawało się najpierw, że to śmierdzą kłoki, lecz ten odór nie przypominał ostrego, kwaśnego odoru saletry ze złoża fekaliów: bardziej tłusty i z domieszką jakiejś stęchlizny i czegoś mdlącego.

Idąc podwórzem, wyszedł na twardszy grunt. Tu stało to, co kiedyś było samym „warszatem”. Szereg niskich, drewnianych zabudowań ze stajnią i przybudówkami kończył się większym,

wolno stojącym bydynkiem, który kiedyś służył jako wozownia. Wrota do jednej z tych drewnianych, zaniedbanych szop były odryglowane i trzaskały na wietrze.

Zbliżając się, Adam pomyślał, że ktoś powinien by naoliwić zawiasy.

Potem zrozumiał nagle, że ten wysoki, przenikliwy dźwięk nie brał się z zawiasów. Ten smród też nie. To były szczury.

Lajb zdążył się postarzyć przez tych parę lat. Z daleka można go było wziąć za jednego z tych polskich chłopów, którzy całymi dniami chodzili po polu, aż słońce spaliło im skórę na czarno. Lecz to nie była opalenizna. Z bliska skóra wyglądała jak spuchnięta, jakby nabiegła cieczą gotową się wylać. Oczy, które kiedyś były nagie i bladoszare, leżały teraz wtulone w nabrzmiałe fałdy skóry, a ciemię błyszczało czerwone i mokre prawie jak toczydło.

Lajb siedział przy długim stole, który wyciągnął na środek wozowni, a pod ścianami, wzdłuż ścian i na ścianach, w kłatkach dookoła biegały szczury, albo ostrymi zębami i pazurami z piskiem wczepiały się w stalowe pręty.

— *Trejf...!* — rzucił Lajb tylko, nie wiadomo, czy pod adresem szczurów, czy Adama, który zatrzymał się na progu, porażony monstrualnym smrodem.

W ciemnym, mulistym, brązowoszarym półświecie zobaczył, jak Lajb podnosi się od stołu i wkłada dużą czarną rękawicę. Drugą ręką chwycił drewniany drąg z pazurzastym hakiem na końcu i odbił nim rygiel u drzwi jednej z klatek. Szczur w środku przywarł instynktownie do drąga. Lajb chwycił zwierzę błyskawicznie tą drugą — urękawiczoną — ręką; wykręcił szczurze ciało i jednym szybkim ruchem noża rozciął mu brzuch.

Zawartość brzucha wypatroszył nad brudnym wiadrem, które jednocześnie przysunął sobie nogą. Inne zwierzęta niemal oszalały, kiedy poczuły zapach krwi i wnętrzości; i przez moment nie dało się nic zobaczyć, ani tym bardziej niczego usłyszeć, przez cały ten wizg i harmider, jaki zwierzęta podniosły w swoich kłatkach. Szerokim, zamaszystym ruchem obu rąk Lajb chlusnął zawartością wiadra tak, że krew i wnętrzości oblepiły pręty klatek; potem wbił nóż w drgające jeszcze szczurze ciało i wprawnym ruchem zdarł z niego całą skórę.

Obrócił swoją nagą, ogorzałą twarz ku Adamowi:

— Wiem, że przyszedłeś po listę tych, co próbowali zabić Prezesa. Weź ją teraz, bo potem będzie nie za wiele czasu...!

Adam już spostrzegł pieniądze, które Lajb miał na stole, w starannie posegregowanych stosach i plikach: monety osobno, banknoty osobno; jak w jakimś banku albo kantorze wymiany. Poza tym w prawdziwych walutach: złotówki, reichsmarki i zielone amerykańskie dolary. Niektóre banknoty tak wymięte, że wyglądały, jakby leżały zgniecione w kieszeniach lub podszewkach ubrań przez dziesiątki lat, zanim je wygrzebały i rozprostowały czyjeś troskliwe palce.

Lajb wytarł zakrwawione ręce szmatą, leżącą pod krzesłem, która zdawała się służyć właśnie do tego, przeciągnął grzbietem zakrwawionej dłoni po ustach i wyjął plik zeszytów, które rozłożył i wyprostował na stole w taki sam sposób, w jaki wcześniej musiał obchodzić się z pieniędzmi. Albo z częściami do swego roweru, który także zazwyczaj rozbierał i rozkładał tak, że każda najmniejsza niklowana śrubka i część ramy leżała osobno: dokładnie, spokojnymi i precyzyjnie odmierzonymi ruchami, jak rabin, gdy nakrywa sederowy stół, lub rytualny rzezak, gdy ćwiartuje i dzieli swoje mięso.

(A kiedy władze wydały nakaz rekwizycji wszystkich rowerów w getcie, Lajb stał pierwszy

w kolejce do punktu zbiorczego na Lutomińskiej, żeby oddać swój. To było w tym samym miesiącu, w którym wybuchł pierwszy strajk żupowy, i Lajb oczywiście był krótko przedtem także u Izbickiego i zanotował w swoich czarnych zeszytach nazwiska wszystkich wichrzycieli. Adam pamiętał, jak wyglądała twarz Lajba tego dnia, kiedy oddał swój rower. Jakby przepraszająca, unizona; lecz przede wszystkim dumna. Jakby sprawiało mu to satysfakcję, że oto jeszcze raz, i mimo że uderza to w niego samego, widzi, jak siły prawa i porządku triumfują nad nieokiełznaną i chaotyczną dezintegracją.

No i wszak była nagroda; p i e n i ą d z e do odebrania, nieważne jak małe i śmieszne, i że nie było czego za nie kupić...).

Ale Adam nie patrzył na stół i pieniądze. Patrzył na ścianę z klatek, za każdą kratą kłęb powykęcanych, udręczonych szczurzych ciał; i przez krótką chwilę zastanowiło go, co by się stało, gdyby mógł odsunąć rygle wszystkich klatek jednocześnie? Co by się stało, gdyby — choć tylko na moment — cały ten z trudem okiełznany chaos oswobodzić?

Lecz podniecone szczury ruszają się tak prędko, że nie da się utrzymać żadnej myśli; smród jest tak ohydny, że nie da się nawet wyobrazić sobie czegoś p o z a nim — jakkolwiek by to było zwiewne i przelotne.

Adam nie widzi już klatek ani prętów. To, co widzi, to fala rozedrganych zwierzęcych ciał przewalająca się z jednego końca pomieszczenia na drugi.

Także twarz Lajba, pochylona nad plikami banknotów na stole, jest jakby przedłużeniem tego mdlącego rozkołysu. Głowa Lajba na szczurzym ciele. Raz po raz traci swój kształt, to się rozlewa w przymilnym uśmiechu, to znowu kurczy się w krwawym wyrazie wścieklej nienawiści. Sam Lajb — albo to, co zostało z jego głosu ponad wizgiem wszystkich tych zwierząt — mówi jednak spokojnym, niemal śpiewnym, ojcowskim tonem. Jakby w tym wszystkim chodziło tylko o coś czysto praktycznego. I zmęczonym — cóż, nawet wiecznie czuwający nadzorca Lajb jest zmęczony, teraz gdy nadszedł czas, aby przekazać rezultaty swojej pracy komuś, kto może go zastąpić:

— Adam, posłuchaj teraz uważnie — kiedy twoje nazwisko pojawi się na liście tych, co mają być deportowani z getta, to się nie stawisz na wezwanie, tylko weźmiesz te pieniądze i poszukasz dla siebie jakiejś pewnej kryjówki.

Poproś Feldmana — on ci pomoże.

Oni będą mówić, że wszystkich mieszkańców getta trzeba przenieść w jakieś pewniejsze miejsce. Będą mówić, że getto leży za blisko frontu. Że tutaj nie jest bezpiecznie. Ale nie ma żadnego innego pewniejszego miejsca niż tutaj. I nigdy nie było.

W ogóle nie ma żadnego innego miejsca niż to.

Adam chce odłożyć te pliki banknotów i zapisane zeszyty, które Lajb mu wręczył. Ale dokoła nie ma skrawka wolnego miejsca, gdzie by można cokolwiek odłożyć. A kiedy zdaje sobie z tego sprawę, jego wahanie trwa już zbyt długo.

Kiedy Adam wreszcie wybiega za stryjem, Lajb jest już w pół drogi, schodząc ku Zagajnikowej. Dopiero teraz Adam dostrzega to, co widział cały czas, chociaż nie zdążył sobie tego uświadomić. Lajb idzie przez wodę boso. Już nie ma tych butów, z których kiedyś był taki dumny.

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy Józef Feldman okutał się już w swoje skóry na pryczy w kantorku, Adam wyjmując lampę i czyta nazwiska na liście Lajba.

Zeszytów jest w sumie dwanaście i tworzą przegląd kilkunastu fabryk i warsztatów w getcie, posortowanych wedle nazw ulic i numerów domów. Centralna szwalnia na Łagiewnickiej to „Centrala”. Resorty krawieckie na Jakuba to „Jakuba 18” i „Jakuba 15”, podobnie jak fabryka pończoch na Drewnowskiej to Drewnowska 75. Lajb księgował swoje informacje tęym ołówkiem na grubych, liniowanych kartkach. Na marginesie notował czasami nazwiska osób kontaktowych, udzielających informacji. Literki są drobne i zwarte: tak jakby próbował pisać jak najwyraźniej na możliwie najmniejszej powierzchni.

Po każdym resorcie następuje, w porządku alfabetycznym, spora lista nazwisk robotników. W niektórych przypadkach są przy nich domowe adresy, dane o rodzinie i przynależności politycznej i religijnej. „Bolszewik” jest najczęściej używanym epitetem; skrót „PS” oznacza „Poalej Syjon”, „O” znaczy ortodoks („Ag I” — Agudat Israel), natomiast bundowcy są tylko oznaczeni literką „B” z szeroką poprzeczną kreską w środku.

Adam przerzuca zapisane ręcznie kartki: resort rymarski, gdzie Lajb musiał pracować, po tym jak skończył w meblarni na Drukarskiej; fabryka gwoździ i ćwieków i fabryka butów Izbickiego na Marysinie; dociera w końcu do Oddziału Rozładunkowo-Załadunkowego na Radogoszczu. Ale pod jakim nazwiskiem Lajb tu był zatrudniony? I jakim cudem mógł tu pracować miesiąc za miesiącem, może rok za rokiem, nierozpoznany przez Adama czy kogoś innego?

Na stronie poświęconej radogoskiej brygadzie jest zapisanych ponad pięćdziesiąt nazwisk, z których większość to dobrzy znajomi Adama:

Marek Szajnwald — 21 lat — Marysińska 25; przezwisko „M kuternoga”; inne przezwisko „Tatar” (Adam nie słyszał nigdy, by ktokolwiek mówił do niego inaczej niż Marek)

Gabriel Gelibter — 34 lata — przezwisko „Doktor” (ponieważ kiedyś pomógł opatrzeć człowieka, któremu ręka uwięzła w prasie śrubowej), dawniej członek PS

Pinkus Kleiman — 27 lat — znany bolszewik; wcześniej w komandzie rozbiórkowym; poznał tam Sefardka

No i Jankiel, oczywiście:

Jankiel Moskowicz — 17 lat — były działacz Gordonii, teraz komunista, Marysińska 19. Mieszka z matką i ojcem

Znany jako prawa ręka Niutka R. Nie ma rodzeństwa. (Ojciec: Adam M., majster na Brzezińskiej 56 — Wydział Prądu Słabego)

Adam stał przy rampie rozładunkowej i widział, jak strzeżony orszak z Gettoverwaltung przejechał obok wszystkich magazynów i przystanął przed tą połową budynku stacyjnego, gdzie urzędowali naczelnik stacji i główni kierownicy. To był drugi dzień strajku i pierwsze, co Adam pomyślał, to że już po nas, przyjechali, żeby nas wszystkich deportować. Lecz w odróżnieniu od wcześniejszych wizyt, kiedy Biebow „oprowadzał” ludzi z SS i delegacje przybyłych kupców, teraz w orszaku było tylko jedno sztabowe auto; reszta to byli żandarmi na motorach albo osoby z osobistej ochrony Biebowa. Poza tym ta wizyta najwyraźniej nie była wcześniej zaanonsowana. Dopiero pół godziny po tym, jak orszak nadjechał, wypadł przejęty Dietrich Sonnenfarb i wymachując rękami, wykrzykiwał, że wszyscy mają się zgromadzić na terenie stacji, gdzie Biebow wygłosi przemówienie do robotników z getta.

Panu Amtsleiterowi zabrakło jednak cierpliwości, żeby czekać, aż naczelnik stacji wskaże mu jakieś odpowiednie miejsce. Przed „rezydencją” Sonnenfarba stała przyczepa na kółkach. Platforma była trochę krzywa, ale Biebow wdrapał się na nią i przy pomocy dwóch swoich ochroniarzy stał tam w miarę prosto.

Robotnicy getta!

Przybyłem tu, żeby przemówić do was bezpośrednio, żebyście w pełni zdali sobie sprawę z powagi zaistniałej sytuacji.

Wielu z was widzi mnie po raz pierwszy — dlatego proszę, żebyście przyjrzeni mi się uważnie, bo tego, co powiem, nie będę powtarzał.

Sytuacja w Litzmannstadcie uległa zmianie. Wrogowie Rzeszy zrzucają już bomby na peryferiach miasta. Gdyby kilka z tych bomb spadło na getto, nikt z nas by tutaj dzisiaj nie stał. Zapewniam was, że uczynimy wszystko, co tylko w naszej mocy, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo i żeby w dalszym ciągu zabezpieczyć wam możliwość zarobkowania.

Dotyczy to także was, pracowników stacji.

Ale wy też jesteście odpowiedzialni za wasze bezpieczeństwo.

Wysłałam dzisiaj dwie dodatkowe brygady robotników do budowy okopów. Jedną linię należy jak najprędzej przeprowadzić od Ewaldstrasse do Bernhardstrasse, druga ma być wykopana przy Bertholdstrasse, od kina Marysin i dalej, za getto.

Otrzymacie zaraz instrukcje, gdzie te bataliony kopaczy mają się zebrać. Tym, którzy może noszą się z zamiarem niestawienia się na wezwanie, chcę przypomnieć, że Häftlingskommando, które powstało w Centralnym Więzieniu, w dalszym ciągu przyjmuje robotników. Nie dalej jak dziś słyszałem, że potrzebują robotników w zakładach Siemens, w AG Union, u Schuckerta, wszędzie, gdzie produkują amunicję, trzeba robotników. Także w Tschenstochau, dokąd, jak rozumiem, wielu z was już wywieziono.

Słyszałem także, że niekórzy skarżą się na jedzenie, a nawet odmawiają jedzenia, bo nagle stwierdziliście, że zupa, którą dostajecie, jest marnej jakości. Że chcecie jeść i żyć, to ja rozumiem, i to wam będzie zapewnione. Ale żywność ma w pierwszym rzędzie trafiać do tych, którzy jej potrzebują. Dlaczego wam się zdaje, że gdzie indziej ludzie mają lepiej? Codziennie na niemieckie miasta lecą bomby. Ludzie głodują także w Litzmannstadcie. Głodują także folksdojcz. Nasz święty obowiązek to zadbać przede wszystkim o nasze własne plemię.

Lecz oczywiście dbamy też o naszych Żydów. Przez te lata, kiedy pełniłem funkcję Amtsleitara, nie było dnia, żebym nie robił wszystkiego, co tylko się dało, aby zapewnić warunki bytowe moim żydowskim robotnikom. Mimo że czasem to było politycznie niekorzystne, to zapewniając gettu duże i ważne zamówienia, zapewniłem miejsca pracy Żydom, których inaczej musiałbym deportować. I włos wam nie spadł z głowy. Sami możecie poświadczyć.

Dlatego chcę wam przypomnieć, jak niezwykle ważne jest, żeby każde zamówienie wykonywać co do joty, w zgodzie z wytycznymi, i żeby każdy transport z materiałem opuszczający Radegast odchodził punktualnie, bez opóźnień, i żeby każdy rozkaz był natychmiast wykonany. Tych, którzy wypełniają polecenia, będę traktował z najwyższą życzliwością.

ALE NIE MAM ZAMIARU TRACIĆ CZASU I MÓWIĆ DO WAS JAK DO ŚCIANY!

Jeśli będziecie w dalszym ciągu zachowywać się opornie, ze szkodą dla wszystkich, jeżeli dalej macie zamiar tylko objąć się i sabotować pracę, którą wam zlecono, to ja nie mogę dłużej wam zagwarantować bezpieczeństwa. Więc bierzcie się do wypełniania obowiązków — pakujcie rzeczy i ruszajcie na wyznaczone miejsca.

Nie czekając na żadne reakcje — jakby celem tego nagłego wypadu było tylko wypowiedzenie tych słów i nic więcej — Biebow zszedł szybko, korzystając z czyjś ramienia, z przyczepy

i adiutanci odprowadzili go z powrotem do samochodu. Na rampie towarowej i wokół hangaru ciągle stali spędzeni tutaj robotnicy, w przekonaniu, że się wydarzy jeszcze coś — że ich podzielą na te poszukiwane brygady kopaczy; że się otworzą drzwi do magazynu sprzętu i zaczną im wydawać łomy i łopaty.

Lecz nic takiego się nie wydarzyło.

Sonnenfarb stał jakiś czas bezradnie w środku tłumu. Czy Biebow wydał mu właśnie rozkaz, czy nie? Ale powrócił potem, na pozór bezsilny, do swojej „rezydencji”. Z szeroko otwartego okna domku w chwilę potem rozległo się skrzeczenie radia. Najpierw to brzmiało jak muzyka marszowa.

Ci, którzy pracowali blisko torowiska, wiedzieli już, że Sonnenfarb czasami słucha radia, ale dźwięk zwykle sączył się zza zamkniętego okna, a skoro tylko drzwi się otwierały, Sonnenfarb zaraz go konspiracyjnie ściszał. Teraz głośność wciąż rosła. Podekscytowany męski głos wyrzucał swoje metalicznie brzmiące apele prosto w martwe światło:

Wojna o tak olbrzymim historycznym znaczeniu jak ta, w którą teraz jesteśmy wciągnięci, pociąga za sobą, rzecz jasna, niesłychane ofiary i wyrzeczenia. Są tacy, którzy nie potrafią widzieć tych ofiar w szerszej, historycznej perspektywie. Im więcej jest takich, którzy tego nie potrafią, tym bardziej jest prawdopodobne, że także przyszłe walczące pokolenia nie zrozumieją tych ofiar, jakie musieliśmy ponieść, lub nawet zacząć je bagatelizować.

Lecz z perspektywy czasu i wieczności nasze rozumienie i ocena pewnych historycznych zdarzeń będą inne.

Można przywołać szereg przykładów z historii.

Dzisiaj na przykład jest dla nas niepojęte, dlaczego współcześni Aleksandra Wielkiego czy Juliusza Cezara nie umieli docenić prawdziwego znaczenia tych mężów. Jednakże my widzimy ich w całej ich wielkości.

— Znam ludzi, którzy słuchają — dobiegł Adama szept Marka Szajnwalda — ale nie tego szczekacza...!

Adam odwrócił się. Henze i Schalz podeszli obaj do domku Sonnenfarba; ale ponieważ drzwi były zamknięte, a ich przełożony nie raczył się pokazać, nie wiedzieli, co mają począć. To że radio grało na głos, było wszak oczywistym pogwałceniem zasad. Naczelnik stacji wydał ponadto rozporządzenie mówiące, że Żydzi nie pracujący przy rozładunku nie mają prawa pod żadnym pozorem przebywać koło radioodbiornika ani jakichkolwiek urządzeń komunikacyjnych. Ale czy można ukarać własnego dowódcę? Poza tym przecież to nie byle kto przemawiał, tylko sam Goebbels; i to w sam dzień urodzin Hitlera! W tej sytuacji usiłowanie wyłączenia aparatu byłoby wszak równoznaczne z próbą uciszenia samego Führera.

W tej samej chwili drzwi domku otworzyły się gwałtownie, Sonnenfarb stanął na progu i oznajmił, że z szóstego rewiru policji zadzwonił pan Biebow i kazał ogłosić, iż „z okazji tego wielkiego dnia” wszystkim robotnikom zostanie wydzielona dodatkowa porcja zupy.

Nie wiedzieć skąd wytoczył się wóz z zupą. Nagle było co robić. Schalz i Henze wybiegli zaraz, by spróbować ustawić ludzi w porządną kolejce. Ale kolejka do zupy była rzadka, rozciągnięta na wiele apatycznych metrów. Wyglądało na to, że ludzie nie chcą w ogóle się zbliżyć.

Sonnenfarb wszedł z powrotem do siebie i przez otwarte okna znowu rozbrzmiały bombastyczne wypady Goebbelsa, przerywane burzliwymi owacjami. Żaden ze strażników nie poczuł się w obowiązku położyć kres tej głośnikowej niesubordynacji.

HEIL HITLER!, dobiegł z domku triumfalny okrzyk, najwyraźniej w odzewie na odpowiednie pozdrowienie z radia. Wtedy znowu trzasnęła o ziemię jakiś garnek — gromada rozproszyła się — robotnicy zdecydowanie odstąpili od kuchni polowej, która teraz stała samotnie na rampie, lśniąca i prawie nierealna.

Sonnenfarb jeszcze raz stanął w drzwiach:

— Co, prowokacje? Znowu?

I nagle naokoło zaroilo się od uzbrojonych niemieckich żandarmów. Skąd się tu wzięli? Ten nierealny letarg, który wcześniej panował na torowisku, nagle zamienił się w tupot biegnących buciorów, chrzęst koaliczyjek, ochryple niemieckie głosy wołające: *Halt!*

Ktoś w grupie robotników odwrócił się i zawołał:

— To ON, to był ON...!

Adam zobaczył, jak Jankiel odwraca się w stronę Schalza, który już podniósł karabin do ramienia. Jankiel uniósł w jednej ręce swoją miskę — tak jakby chciał pokazać, że naczynie jest po brzegi pełne pysznej zupy z okazji urodzin Hitlera. A może był to tylko nowy drwiący gest?

Adam odwrócił głowę, a w tej samej chwili Schalz pociągnął palcem za spust i wystrzelił. Echo strzału wybrzmiało już w ciszy, która była jak wielka wyrwa.

Wszyscy stali jak zamroczeni wokół tej wyrwy. Twarzą do ziemi leżał przed nimi Jankiel. Krew tryskała rytmicznie z rany w szyi i rozlewała się w wielką kałużę wokół niego, podczas gdy oczy patrzyły puste, niemal ze zdziwieniem, w stronę miejsca, gdzie leżała jego miska — trudno powiedzieć, czy odrzucił ją tak daleko, jak tylko potrafił, czy raczej teraz, już po śmierci, robił wszystko, żeby po nią sięgnąć.

Lecz miska była pusta. Nie trafiła do niej ani kropla zupy.

*

Adam wracał do domu pustymi drogami. Słońce paliło znikąd. Zobaczył, że w cienistych odpryskach światła ze szklarni stoją przed badyłarnią te same auta, które wcześniej przywiozły Biebowa na Radogoszcz, tyle że bez Biebowa w środku. Jedyłą osobą, która wysiadła z orszaku samochodów, był Werner Samstag. Pierwszy raz Adam widział go ubranego w nowy mundur obstalowany przez Sonder: w szarozielonej kurtce z biało-czerwonymi emblematami na klapach i pagonach, czapce z otokiem w tych samych kolorach i wysokich czarnych oficerkach.

Samstag uśmiechał się, jak miał w zwyczaju, lecz kiedy Adam podszedł, z uśmiechu został tylko grymas: szarobiały rząd zębów wetknięty w twarz, wyglądający jakby zaraz miał od niej odpaść.

— Gdzie jest lista? — zapytał tylko Samstag

Adam nie był w stanie zapanować nad ciałem. Wiecznie dręczący głód, wycieńczenie i strach sprawiły, że skurcze długimi falami przebiegały od nóg aż do piersi i ramion. Spróbował potrząsnąć przecząco głową, ale tylko zadzwonił zębami, co wprawilo „nowego” Samstaga we wściekłość.

Adam stał nagle przyciśnięty do ściany:

— Gdzie? — wrzasnął Samstag, prychając śliną przez wargi. Wiemy, że się spotkałeś z Lajbem, gdzie ta lista...?

I jeszcze zanim Adam w ogóle zdążył odpowiedzieć:

— Łżesz! Czemu łżesz?

W pierwszym odruchu Adam chciał najzwyczajniej zgiąć kolana. Jankiel i tak już przecież nie żył. Więc co za różnica, czy jego nazwisko, czy też któregoś z innych robotników, znajduje się na jakiejś liście? Dlaczego nie dać Samstagowi tej listy, której się domaga?

Lecz wściekłość Samstaga nie pozostawała w żadnej proporcji do tego, czego chciał. A poza tym — czy to nie podejrzane, że władze towarzyszą komisarzowi swojej służby porządkowej w charakterze eskorty? Jeżeli władze już nie mają zaufania do swych ujarzmionych poddanych,

to komu w takim razie mogą ufać? I komu Adam, z kolei, może ufać?

Wewnątrz, w kantorku badyłarni, Feldman rozpałił w kozie. Między szczelinami w zardzewiałej blasze buzowały blade płomienie, na pozór pozbawione życia w słabym słonecznym blasku.

Samstag się schylił i zaczął rozgrzewać pogrzebacz wśród rozżarzonych polan. Adam stał pod ścianą, patrząc na zgięte, ciągle jeszcze chłopięce ciało młodego policjanta. Zarazem widział sam siebie stojącego obok, czekającego na karę, która go teraz czekała. A ściana szklarni za nim była murem, a ten mur (tak sobie myślał) zawsze będzie stał, i wszędzie będzie taki sam i, cokolwiek by się wydarzyło, władcy zawsze będą mogli czymś grozić. Wysiedleniem, pobiciem rozżarzonym żelazem w twarz.

Lecz jednocześnie była w nim inna myśl, która zrodziła się w tej samej chwili, kiedy zobaczył sznur samochodów zaparkowanych przed badyłarnią i Wenera Samstaga koło auta z przodu, zwykownego jak szofer w staroświeckiej liberii.

Który *resort lajter* (tak sobie myślał) zgodziłby się uszyć mundury dla żydowskiej jednostki specjalnej, której już może w ogóle nie będzie, kiedy mundury już będą gotowe? I dlaczego władze miałyby w ogóle myśleć o mundurach, gdyby nie pozostali ludzie, których trzeba nadzorować?

Bo ją się.

(Tak właśnie pomyślał. Nic innego jak tylko to, najzwyczajniej:)

Coś się dzieje, ale nie wiedzą co — tylko tyle, że cała władza, jaką niedawno jeszcze posiadali, teraz powoli wymyka im się z rąk. I gdy tak stał, z tą niezłomną pewnością, że oni się boją, Adam powiedział sobie: „Nic im więcej nie dam. Niech mnie zatłuką, ale od tej chwili nic już ode mnie nie dostaną”.

Samstag stał przed nim z podniesionym żarzącym się pogrzebaczem.

Wtedy ze swych śmierdzących ziemią mrocznych czeluści wyszedł Józef Feldman i położył rękę na ramieniu Samstaga:

— Nie warto, Werner; on nic nie ma...

Samstag i Feldman spotkali się wzrokiem przelotnie, lecz dostatecznie długo, aby żar w pogrzebaczu, który Samstag trzymał w ręce, zdążył zgasnąć. Potem grymas uśmiechu na twarzy Samstaga przeszedł w wyraz niewysłowionej nudy i obrzydzenia, i rutynowym podrzuceniem głowy Werner rozkazał swoim ludziom puścić Adama.

To, co nastąpiło potem, było orgią bezplanowej destrukcji:

Ludzie Samstaga zrzucili najpierw z półek wszystkie szklane pojemniki; potem ruszyli na ściany cieplarni, zamachiwali się pałkami, wznosząc je wysoko nad głowy, i tłukli pojedyncze szyby, jedną po drugiej. Potem byli w kantorze Feldmana i wyrwali szafki i półki ze ścian, i tłukli miski i talerze w drobny mak. Nie oszczędzili nawet kuchenki na propan, którą Feldman zainstalował, choć nie miał prawie nic do gotowania; wyrwali ją i rzucili na podłogę.

Z tego chaosu bezimiennej destrukcji wyłonił się Samstag, jakby w niebieskiej chmurze potrzaskanego światła. W dłoniach trzymał kilka paczek banknotów, z tych, które Lajb dał Adamowi.

— To twoja zapłata za zdradę? — zapytał — nie wiadomo: jego czy Feldmana — ale nie czekał na odpowiedź, tylko usiadł na skraju materaca Adama i przeliczył te wszystkie pieniądze, które znalazł. Gdy suma go zadowoliła, wetknął pliki banknotów do kieszeni nowego munduru

i wyszedł, a za nim wyszli jego ludzie.

Minęło parę minut; potem z zewnątrz dobiegł głos zapuszczanych silników, jednego po drugim; a potem odjechały, cały orszak, w stronę Zagajnikowej.

Adam i Feldman stali nadal wśród zniszczenia. Szklane gabloty, z których każda wcześniej zawierała osobny świat, leżały teraz potłuczone wokół nich.

— Przykro mi — powiedział tylko Adam.

— To nie twoja wina — odrzekł Feldman.

W piecyku ciągle się paliło, te same blade płomienie. Adam wyciągnął zeszyty Lajba z materaca, w którym je schował, a potem wziął pogrzebacz, którym Samstag mu groził, wrywał stronę po stronie, nabijał je na koniec pręta i wpychał je przez otworzone drzwiczki w ogień.

W ten sposób spłonęli wszyscy: Marek kuternoga, pan Geliebter, Pinkus Kleiman; i Jankiel, oczywiście. Adam zamknął z powrotem drzwiczki piecyka, niepewny, czy ich przez to uratował, czy tylko skazał na jeszcze gorszy los.

Widziała go, jak wyrasta z drżącej smugi między zalaną wodą ziemią a oślepiająco jasnym niebem — gruda gliny, rozciągająca się i pęczniejąca, aż stała się człowiekiem z krwi i kości, który wolno zmierzał w jej kierunku.

Věra nie widziała Aleksa od blisko dziesięciu miesięcy, od tego dnia, gdy Biebow wydał rozkaz zniszczenia Pałacu. Jednak Aleks niewiele się zmienił. Zawsze był chudy, teraz jeszcze bardziej, twarz jakby wyżłobiona wokół czoła i kości jarzmowych. Ale oczy były te same. Gapiły się na nią z rosnącym zdumieniem, jakby to on w tym momencie był bardziej zaskoczony, że znów się spotkali.

Przez dziesięć miesięcy siedziała właściwie zamknięta w piwnicy pod archiwum i układała puzzle z wiadomości, których jej albo innym z grupy udało się wysłuchać. Nawet wtedy, kiedy nie dowiedziała się niczego, zmuszała się do zapisania czegoś w swoim dzienniku. Notowała deszcz albo śnieg, albo kolor nieba. Zapisywała liczbę alarmów lotniczych, które budziły ich po nocach. Syreny wyjące przez getto i światło z wahadeł wielkich reflektorów obrony przeciwlotniczej, które spadało z nieba i wycinało nagle z mroku getta, który wciąż ich otaczał, jakiś dach, jakąś ścianę domu czy wyludnioną ulicę.

Lecz przede wszystkim spisywała słowa spikerów czytających wiadomości. Głosy dobiegające z radia były cienkie i ostre jak igły i stale zalewane przez statyczny szum: wysokie, zawodzące, dziwnie ondulowane falowanie dźwięku, które jej przywodziło na myśl wielkie wibrujące, lecące w powietrzu obręcze.

W końcu jednak zawsze coś wyławiała z tego zalewu informacji i utrzymywała słowa na papierze. Używała przy tym kodu z cytatów, który wcześniej uzgodniła z Alekssem. W dniu, kiedy alianci wylądowali po raz pierwszy na Półwyspie Apenińskim — we wrześniu 1943 — wyjęła stary przewodnik Baedekera i zaznaczyła miejscowości, gdzie potem miały rozgrywać się bitwy, włącznie z tymi o Monte Cassino. W pewnym tomie znanych cytatów z łacińskich wierszy w polskim tłumaczeniu tak dobierała wersy z Owidiusza, Seneki i Petroniusza, aby z daleka można było śledzić dalszy przebieg kampanii:

„*Omnia iam fient fieri, quae posse negabam*”.

„Wszystko się będzie teraz działo, czemu przeczyłem, iż zdarzyć się może”.

Kto by chciał się dowiedzieć tego, co wiedziała, musiałby wyrwać każdą książkę z każdej półki i porozczepiać strony lub kartonowe arkusze w każdym zeszycie albo skoroszycie w całej tej piwnicznej bibliotece. Ale i tego byłoby za mało, słowa i zdania bowiem były wszystkie zaszyfrowane, a mapy rysowane przez Aleksa były podzielone na tak wiele małych fragmentów i powklejane w tak wiele różnych woluminów, że nie dało się złożyć ich z powrotem, nawet gdyby się z góry znało całość. Była to nader misterna konstrukcja. Wykonując ją jak najdokładniej, Věra miała nadzieję, że jej dzieło tak bardzo upodobni się do rzeczywistości, że granice między światem zewnętrznym a gettem, w którym przebywała, jeśli nie znikną całkiem, to przynajmniej nie będą już takie wyraźne.

Projekt utopijny, oczywiście.

Ale ściany stawały się coraz cieńsze.

Pewnego ranka znowu usłyszała, jak Maman gra na pianinie. Grała na starym pianinie Pleyela. Tym, które mieli w mieszkaniu przy Riegrovych Sadach w Pradze, zanim sprawili sobie fortepian. Věra rozpoznawała jego suche brzmienie z równą oczywistością, z jaką rozpoznawała

lekki szelest sukni, gdy matka pochylała się nad klawiaturą i wewnętrzną stroną rękawów muskała o talię. To były proste etiudki — *Papillons* i *Kinderszenen*.

*

W grupie, do której należała Věra, było ich czworo słuchaczy. Znała nazwiska pozostałych, lecz nie wiedziała wiele więcej. Na ogół nie wiedziała, gdzie i kiedy mają słuchać, nim nie została wezwana. Słuchacze mieli niewiele ustalonych zasad, lecz tej surowo przestrzegali: jeśli słuchało się grupowo, to do spotkania dochodziło wyłącznie na wezwanie szefa grupy.

Byli też słuchający w pojedynkę — zwani „odludkami”.

Odludki to byli tacy, którzy mieli radio u siebie w domu już przed wojną albo przywieźli z sobą jakieś małe radio, kiedy ich tu zesłano, a potem nie oddali go na rozkaz władz, choć takie zatrzymanie odbiornika było śmiertelnie niebezpieczne. Věra była pewna, że w archiwum, gdzie pracowała, było paru takich odludków. Zdawało jej się, że w ich twarzach widzi błysk tej samej radości, jaka ją samą rozpierała za każdym razem, gdy alianci posuwali się do przodu albo zdobyli jakąś strategicznie ważną twierdzę. Wielu z odludków nie zdradzało się z tym, co wiedzieli. Ale byli też tacy, którzy zawsze się z czymś wygadali. To tym sposobem nowiny o wojnie przedostawały się do getta. Jeśli Chaim Widawski i inni „prawdziwi” słuchacze czegoś się obawiali, to nie kapusiów donoszących do Sonderabteilung — których teraz było pełno na każdym kroku — lecz, że ta cała paplanina o wojnie, o Rosjanach i o tym, gdzie są i co robią, wcześniej czy później ściągnie kripo na kark tym, którzy wiedzą więcej, chociaż nic nie mówią.

Chaim Widawski i Aron Altszuler wchodzili w skład jednej grupy z Izaakiem Lublińskim i trzema braćmi Wekslerami. Na Marysinie Aleks Gliksman należał do innej grupy; a wokół odbiornika na Brzezińskiej zbierała się trzecia grupa, do której należała Věra, dwaj polscy Żydzi o nazwiskach Krzepicki i Bronowicz, i jeden „Niemiec” o nazwisku Hahn.

I był tam chłopak, mały Szem, który był łącznikiem, i biegał, żeby zawiadomić kogo trzeba, gdy ktoś z nich zachorował albo nie mógł przyjść, lub gdy musieli zmienić czas, czy nawet miejsce, gdzie się mieli spotkać, ponieważ „stacja”, gdzie słuchali, znalazła się pod obserwacją.

Każda grupa miała do dyspozycji takich gońców, którzy poza tym niekoniecznie musieli wiedzieć, czym słuchacze właściwie się zajmują. Im mniej wiedzieli, tym lepiej.

O czym Szem wiedział czy nie wiedział, Věra nie miała nigdy się dowiedzieć. Mały Szem miał usztywnioną jedną nogę, czy może krzywo mu wyrosła. Poruszał się, wysuwając przed siebie zdrowe biodro i powłócząc tą chromą nogą, dlatego chodził często przygarbiony, z głową wciśniętą w ramiona, zastygły w służalczej pozie. Ale cały czas się uśmiechał, mrużąc oczy: tak jakby na coś chytrze, czy może z porozumiewawczym błyskiem w oku, wyczekiwał. (O Krzepickim i Bronowiczu Věra wiedziała niewiele więcej — ledwie ich rozumiała, bo mówili wyłącznie po żydowsku lub po polsku. O Hahnzie właściwie też nie, chociaż przyjechał w jednym z berlińskich transportów, więc powinien być „jej pokroju”).

Łapali przede wszystkim polskie audycje z Londynu, czasami z Moskwy. Wtedy Krzepicki siedział ze słuchawkami. Ale niełatwo było znaleźć właściwą częstotliwość. Niemieckie radiostacje z Poznania i Litzmannstadt wdzierały się z „koncertem symfonicznym” albo ich spikerzy, wysokim, skandującym głosem, opowiadali o nowych sukcesach na froncie rosyjskim, gdzie dumnej armii niemieckiej udało się po ciężkich walkach — to zawsze były „ciężkie walki” — odeprzeć bolszewicką nawałnicę.

Věra usiłowała zapamiętywać nazwy wymienianych miejscowości, żeby móc nanieść je na

rozproszoną na kartkach mapę Aleksa, lecz udawało jej się wryć sobie w pamięć tylko kilka, zanim spiker przechodził do czegoś, co nazywało się *Aussenpolitische Berichte* i dotyczyło zawsze dyplomatów i ministrów, którzy spotkali się w Berlinie, i nieodmiennie kończyło się długimi agresywnymi tyradami przeciwko *Totengräber des britischen Imperiums* lub *dem gemeinen englischen Gauner*, jak określano Winstona Churchilla, i Věra wsłuchiwała się z nadzieją, że ktoś napomknie choćby mimochodem, na czym konkretnie polegają Churchillowskie *Lügen und Betrügereien*. Ale nigdy. Spiker zaczynał mówić o manewrach floty na Bałtyku, lub wiadomości przechodziły w część programu, gdzie doświadczona pielęgniarka udzielała porad sanitarnych, jak najlepiej obmywać i przewiązywać rany.

Później nie rozmawiali nigdy o tym, co słyszeli. Ten, kto akurat tego dnia miał słuchawki, tłumaczył dla innych. Żaden ze słuchaczy nigdy niczego nie notował. Wedle cichej umowy ich działalność miała się odbywać bez pisemnych śladów — wszelkie wiadomości miały przechodzić z ust do ust. Lecz gdy Krzepicki czasem złapał BBC albo Amerykanów i Věra miała słuchawki, wszyscy widzieli, jak Werner Hahn kiwa głową i przygryza sobie wargi, jakby próbował wryć w pamięć każde najmniejsze padające słówko.

Może Hahn także, po kryjomu, budował jakieś wewnętrzne archiwum na temat najważniejszych zdarzeń na frontach.

Tak samo jak ona. Albo legendarny Chaim Widawski.

W i d a w s k i. Z początkiem 1944 dopiero co skończył czterdziestkę, kawaler; mieszkał ze swymi rodzicami w ciasnym mieszkanku na Podrzecznej, które dzielili z jego dwoma kuzynami.

Widawski miał etat inspektora w gettowym Wydziale Kartkowym (*Karten-Abteilung*). To stąd rozprawiano gettowe kartki żywnościowe. Po cichu i skromnie piastował zatem jedną z najważniejszych posad w całym getcie. Kartki na chleb, mleko, mięso i warzywa, warte tysiące marek, przechodziły codziennie przez ręce Widawskiego, lecz o dziwo, zdaje się, że nigdy nie przyszło mu do głowy, by wykorzystać tę pozycję do zdobycia osobistych wpływów i władzy.

Prowadził za to pewną księgę. Na marginesie wielkiego journala, gdzie zapisywał numery kontrolne sprawdzanych kart żywnościowych, od wiosny 1943 zjawiają się zakodowane w postaci cyfr i liter pozycje wojsk niemieckich i rosyjskich: jak daleko niektóre armie czy korpusy znajdują się od różnych strategicznych miejsc; oraz zapiski o każdorazowym stosunku sił — na przykład, ile czołgów i artylerii wysłali Niemcy po klęsce pod Stalingradem, aby zatrzymać kontrofensywę generała Żukowa.

Tu się objawił szczególny paradoks. Mimo że ten zakodowany dziennik wojenny Widawski prowadził w ścisłej tajemnicy, wszyscy w getcie wiedzieli, że jeśli chciało się uzyskać informacje o sytuacji na różnych frontach, to należało zwrócić się do Widawskiego. Jeśli ktoś znał nowiny z frontu, to właśnie on. Nikt jednak, zdaje się, nie podejrzewał, że Widawski należy do słuchaczy. Wszystkich to z a s k o c z y ł o, kiedy sprawa wyszła na jaw.

Tak jakby w getcie istniały dwa całkiem osobne rodzaje wiedzy; dwa światy istniejące obok siebie, które się jednak nigdy nie stykały.

Lecz także tu, między tymi światami, ściany robiły się już coraz cieńsze.

*

Es geht alles vorüber

Es geht alles vorbei

Nach jedem Dezember

Kommt wieder der Mai

Tak napisał, mocno ścieśnionymi literkami, tak żeby wszystkie się zmieściły na zatłuszczonym, brązowym papierze pakowym, jedynym, jaki przypuszczalnie miał pod ręką; ale wciąż jeszcze tym charakterystycznym lekko do przodu pochylonym stylem. Ten strzęp papieru leżał na jej biurku któregoś ranka pod koniec miesiąca i był jednym z niezliczonych dowodów na to, że Aleks, jak prawdziwy Houdini, umie sforsować każde zaryglowane i zamknięte na trzy spusty drzwi, aby dostarczyć swoje listy. Ponieważ odkąd zaczęła słuchać, nikt nie przekroczył progu tej obłożonej książkami piwnicznej salki pod archiwum. Wiedziała to, gdyż pan Szobek, ortodoksyjny Żyd, który przez wiele lat pracował w archiwum jako portier i był jedynym, poza nią, człowiekiem, który miał klucze tu na dół, padł w końcu ofiarą gruźlicy i leżał teraz w klinice na Dworskiej.

Ale też w tym szlagierze, który słyszała parokrotnie, zapewne tak samo jak on, w niemieckich audycjach, było coś szczególnego:

Nawet po paru latach okupacji (opowiadał jej kiedyś Aleks) gettowi *szomrim* ciągle jeszcze śpiewali wieczorami w kolektynie niemieckie pieśni; i to p o n i e m i e c k u, jakby chcieli przez to powiedzieć, że upragnione wyzwolenie dotyczy wszystkich ludów, wszystkich nacji. Jeżeli Aleks chciał skierować do niej apel, żeby przyszła i odwiedziła go gdzieś tam w diasporze, to nie mógł sformułować go wyraźniej ani lepiej.

M a r y s i n w m a j u. Trudno o większy kontrast niż ten między hukiem i wrzawą w getcie, gdzie teraz każdy resort uczestniczył w produkcji domów Speera, a tym starym ogrodowym przedmieściem, które po nocnych deszczach budziło się znowu do życia pod kwitnącymi wiśniami i jabłonkami. Ledwie kilkaset metrów od bajora na Dworskiej, gdzie „miasto” formalnie się kończyło, zaczynały się proste jak drut rzędy pieczołowicie odmierzonych i wytyczonych działek pod uprawę. Cały szlak od Marysińskiej i dalej Bracką albo Jagiellońską przypominał jeden zieleniejący ogród, gdzie każda działka prezentowała schludne rzędy cienkich patyczków podpierających delikatne pędy roślin. Niektóre działki były tak nieduże, że prawie całą przestrzeń zajmowały tam małe inspekty umieszczone jeden na drugim albo obok siebie w jakiś misterny i przemyślny sposób, tak aby każda skrzynka dostawała jak najwięcej słońca.

Później miała wspominać ten dzień, który miał się okazać jednym z ostatnich, jakie ona i Aleks spędzili w getcie razem.

Aleks zlustrował jej parcelę, jak żartobliwie określał działkę jej i jej braci, wraz z sytemem nawadniającym skonstruowanym przez Martina i Josela, który teraz nawadniał nie tylko ich własną działkę, lecz także parę sąsiednich. A potem przeszli się na spacer, tylko oni dwoje, wąskimi uliczkami Marysina.

Żagiel nieba oślepił błękitem. Skowronki biły powietrze, jakby zwieszały się na drżących, niewidzialnych nitkach.

Trawa była ciepła.

(Pisząc o tej „wycieczce” w swym dzienniku, miała pomyśleć, że jeszcze nigdy, nawet w Pradze, kiedy wraz z braćmi wałęsali się po wzgórzach pod Zbrasławiem, nie wyczuwała w przyrodzie nic ludzkiego. Jak w ludzkich włosach czy skórze, czy pozostawionym ubraniu. Ale tak było z resztkami trawy w getcie tego dnia. Była ciepła; ciepłotą ciała, prawie letnia).

Aleks opowiadał, jak mu się pracuje w fabryce płyt heraklitowych na Radogoszczu; jak jego

i resztę brygady codziennie doprowadza i odprowadza po pracy Służba Porządkowa. Tak się przypadkiem złożyło, że cała jego brygada kwaterowała w tym samym budynku na Próżnej, który był kiedyś schroniskiem gettowych *szomrim*. To tutaj Aleks teraz ją zaprowadził. Była niedziela, jedyny dzień wolny od pracy. Wśród robotników, którzy tu mieszkali, Věra rozpoznała paru zatrudnionych wcześniej w archiwum i urzędników z poczty, których czasem mijiała na schodach lub spotykała w ogonkach do punktów rozdzielczych wokół Baluter Ring; jeszcze bardziej teraz wychudzeni, w porwanych, na wpół zniszczonych ubraniach i butach poobwiązywanych brudnymi gałganami. Bynajmniej nie wszyscy zaliczali się do przekonanych syjonistów, nie omieszkał powiedzieć jej Aleks, gdy już wychodzili. Jakby to miało jakieś znaczenie! Siedzieli tutaj tak czy owak ludzie ze wszystkich ugrupowań getta, spędzeni pod ten sam przeciekający dach. Věra wyjęła trochę tego, co jej i braciom udało się wyhodować na działce: parę bulw ziemniaczanych, ogórków, rzodkiewek; trochę przetworów, które zrobili z Martinem i odstawili na tak zwany zimowy użytek — z buraków i białej kapusty. Inni z brygady też powyjmowali, co mieli. Był chleb; i coś, o czym mówiono „babka” albo „lofix”, a co składało się z mieszanki erzacu kawy i krochmalu, zastygłej i pokrojonej na małe ciasteczka.

Siedzieli potem w blasku pieca, który stał w środku tego wielkiego pomieszczenia, i rozmawiali o akcji rozpoczętej przez pracujących na stacji komunistów. Ta akcja miała swoje hasło powtarzane z ust do ust za każdym razem, gdy przybywał nowy skład wagonów: „PP”, czyli „Pracuj powoli...!” Chodziło o to, aby przebrnąć przez każdą spóźnioną albo przedłużoną zmianę kosztem jak najmniejszego wysiłku.

Wyszedł też rozkaz, żeby nie stawać w kolejce po obiadową zupę.

Wśród niemieckiego kierownictwa zapanowała konsternacja. Naczelnik stacji poszedł do Biebowa i skarżył się, że Żydzi się rozleniwili i że cenny ładunek pozostał na lorach. Dyskutowano wręcz, czy nie należy zwiększyć wartości odżywczej zupy — to znaczy przestać ją odcedzać. Sam Biebow wybrał się nawet któregoś dnia na Radogoszcz, żeby przemówić robotnikom do rozumu. Ze strony władz podobno nawet rozważano, czy praca nie szłaby szybciej w takt marszowej muzyki z głośników!

Wszyscy śmiali się z tego, gdy Aleks nagle oznajmił, że postanowił jednak przyłączyć się do komunistów; Niutek Radzyner i ludzie wokół niego to jedyna grupa w getcie, której udało się choć trochę stawić opór Przewodniczącemu. Ktoś inny wpadł mu w słowo, że to bzdura, i wywiązała się ostra dyskusja, która ciągnęła się tak długo, aż zmierzch opróżnił wiosenne, rozwibrowane od owadów niebo z resztek światła, a iskry z paleniska wzbijały się z prądem powietrza wysoko, hen, do niknącego w mroku słupa dymu. I nagle, całkiem spontanicznie, ktoś zaintonował pieśń, a ktoś inny, trochę wahając się, podchwycił ton; i naraz wszyscy zaśpiewali, najpierw cicho, ale stopniowo coraz głośniejsze, z coraz większym zacięciem:

Men darf cu kemfn

Sztark cu kemfn

Oj az der arbajter zol niszt lajdn nojt!

Men tor niszt szwajgn,

Nor hahn szojbn;

Oj wet es erszt gringer

Krign a sztikl brojt

[Musimy walczyć

Twardo walczyć
Żeby robotnik miał co jeść!
Nie trzeba milczeć,
Tylko tłuc szyby;
A wtedy łatwiej będzie
Zdobyć chleb]

Tej nocy, otulona ciężkim szarym paltem Aleksa, cuchnącym potem i węglowym miałem, przyciskając się do jego ciała, aby nie tracić ciepła, szeptała do niego i szukała jego spojrzenia, tych „Alkowych oczu”, które czasami były tak zmęczone, ale zarazem takie czujne i uważne.

Gdy zauważył, że na niego patrzy, uśmiechnął się lekko i wypowiedział jej imię, tylko raz, całkiem cicho. „Věra”, powiedział tylko, jakby te dwie sylaby jej imienia były czymś, co dało się ostrożnie rozmontować, a potem równie delikatnie złożyć z powrotem. Zamiast odpowiedzieć, nachyliła się ku niemu i objęła palcami jego twarz. Oto nareszcie — pomyślała — znowu ma go w zasięgu swoich ramion: dotykającego.

I intensywnie poczuła w tym momencie, że tęskniła nie tylko za tym wszystkim, co Aleks ma jej do powiedzenia, wszystkimi tymi zakazanymi liścikami, które wtykał między arkusze papieru i w książki, które znosił po kryjomu do jej piwnicznej salki. Lecz za nim całym, tym wszystkim, czym jest — tą jego bladą twarzą i niepojęcie wąskimi ramionami — objęła je — i jego plecy też objęła, przygarniając go w pasie, i biodra. Nie mogła się powstrzymać. Chciała go posiadać. Jeżeli bolszewicy kiedyś przyjdą i ich wyzwolą, to pragnęła jedynie tego. Chciała pożądać go tak mocno, jak nigdy w życiu nikogo innego, mocniej, niż wydawało się możliwe na tej ziemi głodu i zesłania.

*

Mówili o nim „mały Szem”; był ich ochroniarzem i szczurołapem, i tym — Věra była tego później całkiem pewna — który w ostatniej chwili ich wszystkich ocalił.

Na pierwszym piętrze domu na Brzezińskiej, w którym na strychu wciąż przechowywali radio Schmieda, mieszkał niejaki Szmul Borowicz.

Swego czasu, przechwalał się Borowicz, był on wysoko postawionym urzędnikiem w Wydziale Apropozycji, miał trzypokojowe mieszkanie, a nawet mógł sobie pozwolić na służącą. Ale potem nastąpił upadek Pałacu i Borowicz musiał pożegnać się ze swoją ciepłą posadką i, tak jak wielu innych w te niespokojne dni, dał się zwerbować do Sonder, gdzie bardzo szybko awansował i obecnie kazał się tytułować „kapitanem”.

Od czasu do czasu zjawiało się kripo, aby przesłuchać Borowicza. W owe dni było wiele trzaskania drzwiami, Niemcy żądali, by Borowicz biegał z kluczami i otwierał i prezentował im zawartość różnych piwnicznych boksów i komórek. Lecz sam Borowicz nigdy przy tym nie został aresztowany, ani nawet zabrany na dalsze rozmowy. Wszyscy w kamienicy wywnioskowali z tego, że Borowicz jest kapusiem.

I stąd się wzięła rola małego Szema w tej historii. Chłopak mieszkał z ojcem na drugim piętrze tego domu, a więc w mieszkaniu nad Borowiczem. Kiedy kripo składało swoje wizyty, mały Szem obserwował poczynania Borowicza za pomocą kieszonkowego lusterka, które przytwierdzał za oknem, albo udawał, że rozstawia pod drzwiami dozorczy własnoręcznie zrobione pułapki na szczury, i nasłuchiwał pod progiem. W lusterku zobaczył kiedyś, jak tajniacy z kripo zebrali się wokół paru papierów, które Borowicz wyłożył dla nich na stół. Zobaczył także,

jak jeden z tajniaków bije Borowicza po twarzy. Potem jednak Niemiec pogrzebał w kieszeni płaszcz i poczęstował Borowicza papierosem.

Ciekawski z natury Szem zakradł się także ze swoimi łapkami na szczury do suszarni na strychu i zrobił tam wielkie oczy na widok Věry i jej słuchaczy pochyłonych nad starym radioodbiornikiem Schmieda; i Krzepicki powiedział: „Albo powiemy chłopakowi co i jak, albo możemy od razu zwijać interes”. Tym sposobem mały Szem od początku został ich gońcem. Podczas gdy słuchali, on siedział na straży ze swymi łapkami na szczury, pod drzwiami lub na dole klatki schodowej.

Za radą Krzepickiego umieścili radio Schmieda w starym kufrze, który wynieśli na poddasze. Był to ten kufer, który Werner Hahn miał z sobą w transporcie z Berlina: kufer podróżny ze staroświeckimi okuciami, który można było ustawić na płask i na sztorc. Krzepicki uważał, że to nawet atut mieć Sonder w tym samym domu, gdzie się słucha, ale w takim razie trzeba być gotowym na nagłą ewakuację i z tego względu lepiej mieć radio w kufrze niż pod cegłami w kominku, gdzie zawsze się traciło parę cennych minut, żeby je wyjąć czy ukryć z powrotem.

Okazało się, że to trafne spostrzeżenie. Zaledwie parę tygodni po tym, jak umieścili radio w kufrze, mały Szem dał im znać, że Borowicz idzie po schodach na górę z dwoma niemieckimi policjantami. Natychmiast zatrzasnęli wieko kufra, zmusili małego Szema, żeby położył się na wierzchu, i znieśli to wszystko po schodach, podczas gdy chłopak trzymał się ich kurczowo i darł się i płakał; a pan Borowicz odwrócił się za nimi i zawołał:

— Ja wiedziałem, że ten chłopak ma padaczkę, cały czas wiedziałem — Niemcy stali pod ścianą z surowymi minami.

Lecz który z nich odważyłby się z własnej woli dotknąć zarażonego wścieklizną Żyda?

Tym sposobem udało im się ocalić siebie i odbiornik. Chociaż wszystko „wisiało na włosku”, jak się wyraził potem Szmul Krzepicki.

Przenieśli się za to do pustego składziku na węgiel w pewnym domu na Marynarskiej, naprzeciw domu Borowicza, ale w podwórzu odgrodzonym od niego parkanem, który, chociaż zbyt wiele nie zasłaniał, to przynajmniej dawał złudzenie bezpieczeństwa.

To tam siedzieli tego ranka, kiedy nadeszła wiadomość o inwazji. Na dworze padał wielki, ciepły deszcz bębniący mocno w deski dachu i ścian. Věra miała później często wspominać ten dźwięk, jak trudno było zrozumieć głos w słuchawkach z powodu tego grzechotania deszczu. Co jakiś czas przez szczeliny między deskami ścian migał jej szybko przemoczony do suchej nitki Szem i myślała, że niechże on usiedzi nieruchomo jeszcze przez minutę, żeby to zrozumiała, podczas gdy głos na drugim końcu mówił: *This is the BBC home service, here is a special bulletin read by John Snagge:*

Early this morning began the assault on the northwestern face of Hitler's European fortress... The first official news came just after half past nine when supreme headquarters of the allied expeditary force... (usually called SHAPE from its initials...) issued COMMUNIQUE NUMBER ONE, this said: under the command of General Eisenhower allied naval forces supported by strong air forces began landing allied armies this morning on the northern coast of France...

W tej samej chwili, naturalnie, mały Szem wstał.

Było tak, jakby każdy szczegół wrył się w jej pamięć: jak siedzieli, skuleni na kufrze, Krzepicki i Bronowicz obok niej, z tym samym sztywnym pochyleniem pleców i ramion, jakie widuje się u dzieci, które sądzą, że mogą stać się dla dorosłych niewidzialne; i jak w czasce Wernera Hahna rosły oczy, kiedy powoli docierał do niego sens słów, które Věra przetłumaczyła właśnie z angielskiego na niemiecki.

Ale co z tego rozumiał Szem? Věra nigdy nie miała się dowiedzieć, czy ta dziwnie gapiąca się, jakby stale wzburzona chłopięca twarz wyrażała lęk czy napięte oczekiwanie? Czy skurcz w zdeformowanym ciele nie powstrzymywał tylko przed erupcją tego ciśnienia, które go wyginało i rozsadzało od środka? Czy też przeciwnie, właśnie strach spętał go tymi kajdanami? Tak czy inaczej, zobaczyła jego sylwetkę, napiętą jak stalowa sprężyna, za deskami ścianki.

W następnej sekundzie już go nie widziała. A w twarzy Krzepickiego teraz był prawdziwy strach:

Szszsz! Mir muzn awek! Zej kumen szojn!

Lecz wtedy już było za późno:

Mały Szem powłókł za sobą swoją chromą nogę (widzieli ślad po tym w na wpeł rozpuszczonej deszczem glinie na podwórzu, ciągnący się po wyjście na ulicę), i teraz, właśnie tam, gdzie Marynarska zbiegała się z Brzezińską, stał i krzyczał, prosto przed siebie. Z bram i domów dokoła wybiegali ludzie z rozłożonymi ramionami. W nagłym rozbłysku jasności Věra uświadomiła sobie, że oni wszyscy oczywiście są słuchaczami — odludkami, którzy usłyszeli tę samą wiadomość i teraz wybiegli, żeby podzielić się nią z innymi. Na samym dole tej gromady ludzi, którzy krzyczeli, ściskali się i całowali, leżał mały Szem, wciśnięty w błoto przez swój własny, nieforemny ciężar i ten śmiejący się tłum nad nim.

Tym razem Krzepicki i Bronowicz nie spróbowali nawet wepchnąć radia z powrotem do kufra. Po prostu uciekli. Werner Hahn pomógł im przeleźć przez niewysoki płot, co przypuszczalnie ich uratowało. W chwilę potem nadbiegli pędem ludzie z Sonder, żeby rozproszyć to radosne zbiegowisko na Marynarskiej, a w pierwszym szeregu policjantów był kapitan Borowicz i oczywiście od razu rozpoznał małego Szema.

Jeżeli w ogóle kogoś rozpoznał, to był to mały Szem.

*

A jednak to nie mały Szem ich zadenuncjował.

W celach tortur w Czerwonym Domku nie pisnął ani słowa. Ani też podczas konfrontacji, gdy postawili przed nim kilku Bogu ducha winnych ludzi i powiedzieli, że ich wszystkich pozabijają, jeżeli on nie powie, kim są „zdrajcy”. Nawet wtedy, gdy go z rękami związanymi z tyłu wyprowadzili na podwórze i zmusili, żeby uklęknął przed trupami innych, dopiero co zastrzelonych słuchaczy, nic nie zdradził.

— Masz ostatnią szansę! — powiedział mu komisarz kripo i odbezpieczył pistolet przy jego skroni. Podasz nam nazwiska swoich kompanów, to cię wypuścimy.

Lecz mały Szem, pod tą swoją nerwowo żującą twarzą, dalej uparcie milczał.

Tym, który zadenuncjował Widawskiego, był niejaki Sankiewicz. Przez parę lat Widawski i Sankiewicz mieszkali po sąsiedzku w domu na Podrzecznej. Nie przyjaźnili się zbyt blisko, ale zawsze kłaniali się sobie i zamieniali parę życzliwych słów. Sankiewicz był na przykład jednym z tych, którzy zwracali się do Widawskiego, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja „na świecie”. Ze swego okna uważnie obserwował, o jakich porach Widawski wychodzi i wraca, i z kim wychodzi albo wraca. Lecz chociaż wszyscy w okolicy wiedzieli, że Sankiewicz to szpicel i donosi na kripo, to nikt jednak nie sądził, że to on zakapuje Widawskiego.

To znowu były te dwa światy.

Około szóstej rano, nazajutrz po wylądowaniu aliantów w Normandii, kripo zaatakowało. Gdy z hukiem wpadła policja, Mojsze Altszuler właśnie jadł śniadanie ze swym szesnastoletnim

synem i oczywiście wyparł się wszelkich związków ze słuchaczami. Kripo zabrało wtedy jego syna Arona do przyległego pokoju i zaczęło, aż ojciec nie wytrzymał dłużej jego krzyków i ze starego futerału maszyny do szycia wyciągnął części radiodbiornika marki Kosmos. Mojsze Altszuler, który był z wykształcenia elektrykiem, sam zrobił słuchawki z drutu miedzianego, ukradzionego, jak się później okazało w Wydziale Prądu Słabego, gdzie pracował.

Od Altszulerów na Wolborskiej policja pojechała dalej, na Młynarską, gdzie przy pomocy dozorczy domu dostali się do mieszkania należącego do człowieka nazwiskiem Mojsze Tafel, którego przyłapali niejako *in flagrante delicto*. Tafel siedział ze słuchawkami na uszach, a gdy go otoczyli policjanci, tylko przelotnie obrzucił ich wzrokiem, zasłuchany.

Po Mojsze Tafelu aresztowali niejakiego Lublińskiego na Niecałej; później trzech braci Wekslerów — Jakuba, Szymona i Henocha — na Łagiewnickiej. Potem jest jeszcze ten Chaim Widawski, którego nazwisko uparcie pojawia się na każdym przesłuchaniu.

Rankiem 8 czerwca komisarz kryminalny Gerlow i dwaj jego asystenci udają się do domu Widawskiego na Podrzecznej, gdzie przerażeni rodzice młodego człowieka wyjaśniają, że ich syn wprawdzie od paru dni nie nocował w domu, ale że jest uczciwym i przyzwoitym człowiekiem, który z całą pewnością nie miał nic wspólnego z żadnymi słuchaczami. Także współpracownicy Widawskiego w Wydziale Kartkowym zmuszeni są przyznać, że od paru dni nie widzieli młodego pana inspektora, lecz że zapewne jest to tylko tymczasowa absencja z powodu choroby. Policjanci proszą wtedy kolegów Widawskiego, by rozpowszechnili wiadomość, że jeśli ukrywający się zdrajca natychmiast się nie ujawni, to oni aresztują nie tylko jego matkę i ojca, lecz także wszystkich pracowników Wydziału, i będą ich zabijać, jednego po drugim, tak długo, aż nielegalni słuchacze będą wyłapani co do jednego.

Następnie jadą po kolejne nazwisko na liście.

*

Věra pisze. Cały dzień siedzi na dole wśród stosów książek, teczek i albumów i pisze. Pisze bez przerw na odpoczynek i tak prędko, jak tylko nadążą jej obolałe palce; na czystych kartkach i na odwrocie już zapisanych arkuszy, na kartach z kartoteki, na pustych stronach tytułowych książek albo na marginesie starych zeszytów. Zapisuje to wszystko, co kiedykolwiek usłyszała, lub tylko jej się tak zdawało, z ust czytających wiadomości spikerów.

Za każdym razem, gdy słyszy chroboczący dźwięk kroków na schodach na zewnątrz lub zamajaczy jej jakiś cień ciała w ruchu nad schodami, kurczy się cała, jakby chciała stać się niewidzialna. Kiedy słyszy szcęk wózka z zupą, udaje się na górę do archiwum i staje w kolejce, i stoi tam i czeka na swoją chochlę, nie rozglądając się na lewo i prawo, z obawy, że najmniejsze spojrzenie w jakimś kierunku, czy to na przyjaciela, czy na wroga, może wystarczyć, by ją zdradzić.

Myśli o Aleksie. Czy oni tam na Marysinie też usłyszeli o aresztowaniach u Altszulerów i Wekslerów i czy zdążyli może, jak Widawski, ukryć się w jakimś pewnym miejscu. Lecz dokąd Aleks w takim razie by się wybrał? Przecież mieszkają w getcie. Jak tutaj można znaleźć jakąś pewną kryjówkę?

Kiedy o piątej kończy pracę, a kripo jeszcze się nie pojawiło, Věra pakuje swoje rzeczy. Lecz zamiast skręcić na swoje podwórko, idzie dalej Brzezińską.

Na skrzyżowaniu, gdzie ostatnio widziała, jak małego Szema opadli wiwatujący słuchacze, stoi gromadka ludzi odwróconych do niej plecami. Věra czeka przez chwilę trochę z boku, żeby

upewnić się, że żadne z tych pleców nie należą do kogoś z lokatorów tego domu, kto mógłby ją rozpoznać i zadenuncjować. W końcu bierze ostrożnie za ramię jakiegoś mężczyznę, wyciąga go z gromady i pyta, co się dzieje. Mężczyzna ją lustruje podejrzliwie, z góry na dół. Potem, jakby się nagle zdecydował, zwierza jej głosem na zewnątrz rozedrganym z oburzenia, lecz od wewnątrz pękającym z dumy, że może to opowiedzieć, iż jeden z tych poszukiwanych słuchaczy — sam ich szef! — popełnił dzisiaj rano samobójstwo. Niejaki Chaim Widawski, może nazwisko obilo jej się o uszy. Mieszkający dokoła ludzie widzieli go, jak stoi całą noc pod mieszkaniem rodziców, jakby się nie mógł zdecydować, czy ma się ujawnić, czy nie. Nad ranem widziano go, jak grzebie w kieszeni płaszczu i coś z niej wyjmuje, i ludzie pomyśleli: „No, w końcu się poddał, teraz wreszcie wejdzie do domu i na górę do mieszkania”, ale już w pół drogi do bramy trucizna zadziałała i on upadł; — Cyjankali — mówi mężczyzna i kiwa głową z przemądrzałą miną — cały czas nosił truciznę przy sobie. Umarł na oczach obojga swoich rodziców, tak było; oboje widzieli go z okna.

Věra pyta, czy nie aresztowali także kogoś w tej kamienicy, pod którą teraz stoją, i mężczyzna opowiada, że kripo było także tutaj i że w domu po drugiej stronie podwórza, w składziku na węgiel, znaleźli radio, bardzo chytrze schowane w jakimś starym kufrze. Jak dotąd złapali dwóch ludzi — jednego szczupłego, z sylwetką akrobata, a drugi to niemiecki Żyd, o którym już wiadomo, że to właściciel tego podróżnego kufra. Jego nazwisko i dawny berliński adres były na etykietce przyklejonej na spodzie wieka.

Lecz od Aleksa ani słowa.

Jeśli go nie aresztowali, to jest teraz tylko jedno miejsce, gdzie może przebywać; stary budynek kolektywu Haszomer na Próżnej. W połowie drogi na Marysin znowu dopada ją głodowy zawrót głowy. Świat zaczyna obsuwać się w znajomy sposób, robi jej się miękko w kolanach, sucho w ustach; słabnie. Siada na przydrożnym kamieniu i rozsuptuje chusteczkę z kawałkiem chleba, który zawsze nosi przy sobie na okazje takie jak ta. Lecz to nie tylko wycieńczenie ją ogarnia, lecz poczucie, że utraciła nagle wszelką orientację i kontrolę. Przedtem istniało pewne w e w n ą t r z i pewne n a z e w n ą t r z, i tyleż mocna i niezłomna co niewyraźalna wola sprawienia, żeby ten zewnętrzny świat wtargnął t u t a j, do getta, aby tym samym w jakiś sposób (może tak jak się nicuje jakąś część garderoby) samemu się stąd wydostać. Teraz nie ma tu nic — żadnego wewnątrz, żadnego na zewnątrz. Jedyne, co jest, to słońce za powłokami z jasnych chmur, blade słońce, które powoli wtapia się w tę białość, i nagle wszystko wokół niej rozplywa się tak samo, w bezkształtną i gorącą biel.

Kiedy dociera do kolektywu na Próżnej, jest już mlecznobiały zmierzch i wycieńczeni robotnicy kulą się w swoich legowiskach pod zawalonym dachem. Kiedy w końcu dopelza do miejsca, na którym spała z Alekssem, materac i koce są chłodne i nienaruszone. Całą noc leży, nie śpiąc i nasłuchując nietoperzy, które krążą na niewidzialnych, szybkich skrzydłach w przepastnym mroku pod dachem; ale on się nie zjawia.

Z Kroniki Getta

Getto Litzmannstadt, czwartek/piątek 15–16 czerwca 1944:

Komisja w getcie: Getto znajduje się ponownie w stanie najwyższej ekscytacji. Niedługo przed południem przybyła do getta komisja, a mianowicie: nadburmistrz dr Bradfish, poprzedni burmistrz Ventzki, prezydent rejencji dr Albert i jakiś wyższy oficer (kawaler Krzyża Rycerskiego), przypuszczalnie inspektor obrony przeciwlotniczej.

Komisja udała się do biura Przełożonego Starszeństwa Żydów, gdzie dr Bradfish rozmawiał przez kilka minut z Prezesem Rumkowskim. Zaraz po tym u panny Fuchs zjawili się komisarze gestapo Fuchs i Stromberg. [...] Zaraz po tych wizytach getto zatrzęsło się od dzikich plotek. Wszystkie zmierzały w jedną stronę: wysiedlenie [*Aussiedlung*]! Getto nic jeszcze nie wiedziało, co się faktycznie wydarzyło w biurze Prezesa, ale przypuszcza się, że ma nastąpić większe wysiedlenie. O ile jeszcze przed południem mówiło się, że potrzebują 500-600 osób, to już po południu twierdzono, że chodzi o wysiedlenie paru tysięcy osób, a może nawet większości mieszkańców getta. Ba, przypuszczano nawet, że chodzi tu o likwidację całego getta.

[...] W istocie chodzi o wysyłkę z getta kilku dużych transportów z robotnikami. Mówi się, że pierwsza grupa około 500 osób jest przeznaczona do Monachium, do prac porządkowych po ostatnich bombardowaniach. Kolejna grupa około 900 osób ma odjechać jeszcze w tym samym tygodniu, prawdopodobnie w piątek, 23 bm. Następnie ma odjeżdżać przez trzy tygodnie po 3000 osób, w transportach po 1000 osób. Do każdego transportu należy wyznaczyć kierownika transportu, dwóch lekarzy, personel sanitarny i Służbę Porządkową. Ta ostatnia ma się rekrutować nie ze zwyczajnej gettovej SP, lecz spośród osób, które same są w transportach. [...] Dokąd te duże grupy mają jechać, nie wiadomo.

*

Obwieszczenie nr 416

UWAGA!

Dotyczy: Dobrowolnej rejestracji do pracy poza gettem

Niniejszym zawiadamiam, że mężczyźni i kobiety (także małżeństwa) mogą się rejestrować do pracy poza gettem.

Jeżeli chodzi o rodziny z dziećmi w wieku produkcyjnym, także te dzieci mogą razem z rodzicami być zarejestrowane do pracy poza gettem.

Osoby te otrzymają pełne wyposażenie, jak: ubrania, buty, bieliznę i skarpetki. Na osobę można zabrać 15 kg bagażu.

Chciałbym przy tym szczególnie podkreślić, że tym robotnikom zezwala się na korzystanie z poczty, a zatem będzie można pisać. Ponadto zaznacza się wyraźnie, że osoby rejestrujące się do pracy poza gettem będą mogły odebrać przysługujące im racje bez kolejki, w trybie natychmiastowym. Wyżej wspomniane rejestracje odbywać się będą w Urzędzie Pracy Getta, Hamburgerstrasse 13, od piątku 16 czerwca 1944, codziennie w godzinach: od 8 rano do 21.

Litzmannstadt-Getto, 16 czerwca 1944

Ch. Rumkowski, Przełożony Starszeństwa Żydów

*

Notatka służbowa

(zapis ustnego polecenia)

[Zanotowane przez D. Fuchs w journalu Prezesa, w niedzielę 18 czerwca 1944]

W każdy poniedziałek, środę i piątek ma odchodzić transport do pracy poza gettem. W skład każdego transportu ma wchodzić 1000 osób. Pierwszy transport odjedzie teraz w środę 21 czerwca 1944 (około 600). Transporty mają być numerowane rzymskimi cyframi (Transport I itd.). Każdy jadący robotnik ma być opatrzony numerem transportu. Dany człowiek ma nosić ten numer na sobie i ten sam numer ma być przytwierdzony do jego bagażu. Można zabrać 15 do 20 kilo bagażu; w bagażu musi także być mała poduszka i koc. Należy zabrać ze sobą prowiant na dwa do trzech dni. Dla każdego transportu należy wyznaczyć kierownika, a dla niego dziesięciu pomocników; w sumie jednaście osób na transport.

Transporty mają odchodzić o godzinie 7.00, a więc załadunek musi się zacząć punktualnie o 6.00. Z każdą grupą 1000 osób ma jechać jeden lekarz albo felczer, a oprócz tego dwaj, trzej pielęgniarze. Rodziny personelu medycznego mogą jechać wraz z nimi.

Bagaż nie może być zawiązywany w prześcieradła czy koc, tylko zapakowany jak najciaśniej, żeby go łatwo można było umieścić w pociągu.

Odnośnie do tych jedenastu towarzyszących osób: muszą mieć czapki i opaski personelu porządkowego.

Tak opowiadano o tym w Kronice:

Koło godziny siedemnastej w piątek 16 czerwca 1944, tego samego dnia, kiedy nadburmistrz Otto Bradfish zjawił się u Rumkowskiego, by mu oznajmić, że getto ma być teraz ostatecznie wyludnione, także Hans Biebow przybył na Bałucki Rynek. W stanie silnego upojenia alkoholowego wpadł do biura Prezesa, rozkazał wszystkim pracownikom opuścić lokal; następnie rzucił się na Prezesa i zaczął okładać go laską.

Już po raz drugi, w niedługim odstępie czasu, Prezes padł ofiarą czyjś napadu i nosił teraz na ciele i twarzy wyraźne ślady uderzeń. Jego tak pewna niegdyś i krzepka sylwetka stała się niezdecydowana i zgarbiona, a jego twarz, kiedyś tak czysta i dumna pod grzywą siwych włosów, która zdobiła swego czasu ściany wszystkich urzędów i biur w getcie, była spuchniętą, poranioną maską.

Także towarzyszący Biebowowi jego dwaj współpracownicy, panowie Czarnulla i Schwind, zrozumieli, że jeśli natychmiast nie pohamują Biebowa, może się zdarzyć jakieś wielkie nieszczęście. Spośród żydowskich urzędników także pan Jakubowicz i panna Fuchs usiłowali przemówić Biebowowi do rozsądku. Ale bezskutecznie.

— Precz do jasnej cholery z łapami od moich Żydów! — krzyczał Biebow z baraku. Potem okno sygnęło gradem stłuczonego szkła i głos Biebowa rozniósł się głośnym echem po całym rynku:

— Ty zasrany, śmierdzący tchórze — dobrze wiesz, że potrzebuję każdego człowieka, ale jak tylko zjawia się pan Oberbürgermeister i mówi ci, że teraz masz wysyłać po trzy tysiące ludzi tygodniowo, to ty od razu — *jawohl*, Herr Oberbürgermeister — co pan rozkaże, panie Oberbürgermeister — bo to jedyna rzecz, jaką wy, Żydzi, potraficie, obłudnie i po lizusowsku przytakiwać i tylko zgadzać się na wszystko, kiedy oni kradną mi getto dosłownie sprzed nosa!

Powiedz mi: jak ja mam wywiązać się z dostaw, kiedy już nie mam robotników, na których można polegać? Jak ja mam tutaj wyżyć w getcie, jak już nie będzie Żydów?

Po wyciągnięciu odłamków szkła z twarzy Prezesa i jako takim zaszyciu i opatrzeniu jego ran, odwieziono go, na jego własne życzenie, „do domu”, do starego pokoiku na piętrze w letniej rezydencji na Karola Miarki. W tej sytuacji wszyscy byli przekonani, iż oto wybiła ostatnia godzina Prezesa. Pan Abramowicz pochylił się przy łożu starego i zapytał, czy ten ma jakieś ostatnie życzenie, a wtedy stary wyszeptał, że chce, aby posłali po jego starą wierną pracownicę, była opiekunką dziecięcą, Różę Smoleńską.

Później zrobiono z tego nawet pewną aferę. Mimo wszelkich wyrzeczeń ponoszonych od lat przez licznych wiernych poddanych i bliskich współpracowników Prezesa, jedyną osobą, którą Prezes chce widzieć, gdy leży na łożu śmierci, jest jakaś zwykła opiekunka do dzieci. Jednak pan Abramowicz pojechał z Kuprem dorożką do mieszkania z wykuszem na Brzezińskiej, gdzie mieszkała panna Smoleńska wraz z jednym z oddanych do adopcji dzieci Przewodniczącego; i panna Smoleńska założyła znowu swój stary strój opiekunki dziecięcej, i pojechali razem na Marysin; i pan Abramowicz wpuścił ją do pokoju, w którym leżał umierający Prezes, a potem dyskretnie przymknął za sobą drzwi; a pan Prezes obrzucił ją baczny spojrzeniem, a potem zrobił niejasny gest ręką, żeby pokazać, że ma przy nim usiąść, i powiedział, że „o co teraz przede wszystkim chodzi, to dzieci”; i od tego momentu wszystko było tak samo jak kiedyś i jak było zawsze.

Prezes: O co teraz przede wszystkim chodzi, to dzieci! Panna Smoleńska musi je zebrać wszystkie w jednym specjalnym punkcie zbornym, gdzie konkretnie, poinstruję w późniejszym terminie. ŻADNEGO DZIECKA NIE MOŻE ZABRAKNAĆ. Czy panna Smoleńska rozumiała? Dla dzieci zamówiony jest specjalny transport. Dwoje

lekarzy pojedzie w transporcie i dwie pielęgniarki, które specjalnie wybiorę. Co panna Smoleńska na to?

Chce pani jechać tym transportem jako pielęgniarka?

Róża Smoleńska już dawno straciła rachubę, ile to razy z biegiem lat była wzywana do biura czy pokoju, gdzie Prezes leżał „złożony chorobą” albo tylko „niezdrów”. (Jak to nie było „serce”, które wówczas zawsze mu dokuczało, to było to coś innego).

Teraz naprawdę wyglądał na chorego, z twarzą spuchniętą i czerwoną i z czarnymi supłami krwi, gdzie zszyto rany na skroni i obu policzkach, i oku. Lecz straszne było to, że pod tą zniszczoną twarzą ciągle leżała stara twarz. I ta twarz uśmiechała się teraz i mrugała do niej znacząco, przebiegle, bezwstydnie, zupełnie tak samo jak zawsze; a ten głos mówiący z bandażu był tym samym głosem, który zawsze jej rozkazywał albo udawał, że spełnia jej wolę, o ile tylko ona (ze swej strony) poszła mu na rękę:

Prezes: Bo chyba panna Smoleńska nie chce opuścić swoich? To w takim razie ja chcę, żeby zrobiła, co do niej należy, i sprowadziła wszystkie dzieci do tego punktu zbornego, który zostanie jej wyznaczony i wskazany.

Może obiecać to Rumkowskiemu?

Ujął jej dłoń w swoje obie. Owinięte bandażem aż ponad przeguby, co sprawiało, że jego małe palce wyglądały jak sterczące spod gipsu białe tłuste kluski. **A l e t o b y ł a t a s a m a r ę k a!** I tak samo jak tyle razy przedtem, kiedy udało mu się skłonić ją, żeby go dotykała, ta ręka próbowała teraz wtargnąć tam, gdzie absolutnie nie powinna.

I jakże mogła mu wtedy powiedzieć, że tych dzieci, które miała dla niego pozbierać, już nie ma?

Że już nie ma żadnych dzieci do uratowania!

Przecież sam się przyczynił do ich wysiedlenia!

Jednak nie mogła. Spoza swojej zniszczonej twarzy znowu wzywał ją ten kamienny wzrok i nie mogła sprawić mu zawodu. I powiedziała: „Tak, panie Prezesie, zrobię, co będę mogła, panie Prezesie”. A pod jej świeżo wyprasowanym strojem opiekunki dziecięcej, po jej udach i podbrzuszu ruszały się niezdarnie zabandażowane tłuste kluski palców. I co mogła zrobić? Uśmiechała się, roniąc łzy wdzięczności, oczywiście. Tak jak zawsze.

Ostatnie wysiedlenia z getta przeprowadzono w dwóch etapach. Pierwsze, bardziej systematyczne wysiedlanie trwało od 16 czerwca do połowy następnego miesiąca. Potem nastąpiła dwutygodniowa przerwa, podczas której wszystko zdawało się powracać do normy. Potem podjęto deportacje na nowo i teraz już nie było mowy o transportach do jakichś miejsc poza gettem, tylko o totalnym *Verlagerung*.

Całe getto, wraz z ludźmi, maszynami i wszystkim, miało być przeniesione gdzie indziej.

Front był już bardzo blisko. Obrona przeciwlotnicza wyła regularnie po parę godzin co noc, i tam, gdzie leżała bezsenna, za swoją zasłoną w mieszkaniu pani Grabowskiej, Róża Smoleńska czuła, jak detonacje zrzuconych gdzieś daleko bomb przebiegają stłumionym drżeniem w górę, na wskroś ścian domu i przez jej własne ciało.

Przez ten ostatni czas Debora Żurawska pracowała w resorcie porcelanowym Tuska na rogu Lwowskiej i Zielnej. Fabryka produkowała ceramiczne obudowy bezpieczników i izolatory i była jedną z nielicznych wytwórni, które Biebow zaklasyfikował jako *kriegswichtig* i które dzięki temu mogły pozostać w getcie nawet wtedy, gdy już zaczęły się ewakuacje. Debora miała swoje miejsce pracy na samym końcu ciasnego, wyziębionego baraku, gdzie z kilkoma innymi dziewczynkami stała i pakowała gotowe bezpieczniki do małych prostokątnych pudełek z kartonu. Dwanaście bezpieczników do pudełka, które później należało zamknąć, wsuwając rogi pokrywki i dna w skośne nacięcia w obu bocznych ściankach. Pudełka pakowano potem do dużych tekturowych pudeł, po dwadzieścia pudełek w każdym.

Dzień za dniem Debora wykonywała te proste ruchy.

Aż któregoś dnia nie wróciła już więcej do domu. Róża musiała potem przyznać, że nie umie powiedzieć dokładnie, kiedy Debora zniknęła: czy to się stało tego samego ranka, kiedy szła do Tuska, czy w nocy, czy w ogóle już może poprzedniego wieczoru. Zdarzało się bowiem dość często ostatnimi czasy, że Debora zniknęła albo „zapominała się”, jak mówiono w fabryce. Wychodziła z pakowni w resorcie i zapuszczała się w któryś z tych dobrze znanych, a zarazem kompletnie obcych zaułków otwierających się tuż za fabryką. Mogła tak błędzić w biały dzień albo wieczorem, już po wybrzmieniu fabrycznych syren. Jeśli ruszała w środku dnia, to zazwyczaj już parę przecznic dalej zatrzymywał ją patrol Sonder, żądając okazania książeczki pracy. Lecz gdy ruszała już po końcu zmiany, mogła czasami długo błąkać się, nim jakiś sąsiad czy znajomy zwrócił uwagę Róży, że „jej dziewczynka” chodzi po dzielnicy. Raz przeszła nawet dwa drewniane mosty i wałęsała się wśród robotników na terenie warsztatu stolarskiego na Drukarskiej, i tylko dzięki przypadkowi Róża znalazła ją, zanim zajęło się nią Sonder.

Ale czasami Róża była po prostu zbyt zmęczona. Dziesięć godzin dziennie w szwalni mundurowej, gdzie jej zadaniem było wszywanie podszewek w rękawiczki i zimowe kaptury; potem trzy godziny w kolejce, co wieczór, żeby odebrać jakiś nędzny przydział, a potem jeszcze przynieść z kuchni gazowej zagrzaną wodę i zrobić pranie albo wyszorować schody na klatce lub podłogę. Czasami była taka wykończona, że zwyczajnie waliła się z nóg. Gdy się budziła następnego ranka, mogła na przykład znaleźć Deborę kompletnie ubraną, siedzącą na podłodze pod alkwą i wpatrującą się jak urzeczona w muchy latające za podświetloną słońcem tkaniną, którą Róża rozpięła przed oknem: jak cienie much rosną gwałtownie na moment, nim osiadną na tkaninie, a potem kurczą się, kiedy się odczepiają i odlatują. Była wtedy zazwyczaj po całej nocy wałęsania się po getcie i Róża drżała na myśl, co by było, gdyby Debora w swoim pomieszczeniu

podeszła zbyt blisko drutów i któremuś z udręczonych nudą wachmanów przyszło do głowy strzelać.

Ale Debora „zapominała się” nie tylko w getcie; próbowała też zniknąć za życzliwością innych lub za własnymi albo cudzymi słowami.

„Pomogę pani”, mówiła na przykład z wylewną serdecznością, gdy pani Grabowska wchodziła, taszcząc wiadro węgla, i przyklękała zaraz, by rozpaść w piecu. Debora t e r a z była tak samo skora nieść pomoc i ratunek innym jak ta dziewczynka, którą Róża poznała w Zielonym Domu; Debora t e r a z jednak zapominała o wiadrze węgla albo wody w sekundę po tym, jak wyszła, by je przynieść albo patrzyła tylko nieufnie na Różę, kiedy ta próbowała jej opisać najlepszą drogę z fabryki do domu. Słowa odpadały od niej tak, jak muchy i inne owady odpadały od tej tkaniny, którą rozpięły przed oknem. Były tylko cieniami i równie niewiele znaczyły.

Tak naprawdę to dopiero wtedy, gdy pani Grabowska przyszła z wiadrem w kolejny poranek, żeby napalić w piecu, i stała tam z szufelką i wygarniaczem do popiołu, i nagle przypomniała sobie — „ktoś tu był parę dni temu i pytał się o panienkę Deborę” — Róża zaczęła coś podejrzewać. Usiłowała się dopytać kto, lecz pani Grabowska oczywiście nie miała pojęcia. Skąd niby miałyby wiedzieć? Teraz wszak tylu pojawia się i znika. Jakiś młodszy człowiek — Sonder albo coś — to wszystko, co pamiętała.

*

Wciąż jeszcze krążyła po getcie opowieść o tej niemej, porażonej kobiecie imieniem Mara, którą pewnego dnia znaleziono za drutami getta i którą wziął pod opiekę rebe chasydów, niejaki Gutesfeld, jako że ortodoksyjni rabinowie nie chcieli nic o niej wiedzieć. Dzień za dniem widywano, jak reb Gutesfeld i jego *hilfer* wędrują po getcie z tą kaleką kobietą na noszach, i ludzie po kryjomu odwiedzali ją, w domu modlitw na Lutomierskiej albo w synagodze w dawnym kinie Bajka, ponieważ wieść niosła, że to święta *cadika* i posiada moc uzdrawiania.

Chociaż zawsze milczała i nigdy nie ruszyła nawet palcem.

Aż naziści zarządzili swoją *Gehsperre* i ludzie siedzieli w domach przerażeni, i czekali, aż przyjdzie Sonder i esesmani, żeby im zabrać ich starców i dzieci. Wysiedlono z getta ostatnich starych gettowych rabinów i ludzie byli przekonani, że także *cadika* została deportowana, o ile jej nie zastrzelono już na miejscu.

Ale oto rozeszła się wieść, że ktoś w getcie ją widział. Było to trzeciego czy może czwartego dnia po wprowadzeniu zakazu opuszczania domów i policjanci z Sonderabteilung Gertlera, którzy donieśli o tym, co widzieli, byli kompletnie porażeni strachem. Bo kaleka kobieta szła teraz ulicami sama, na własnych nogach, chociaż nie prosto, a raczej zataczając się od ściany do ściany; czasem padała, ale zaraz stawała znowu na nogi. A gdy rozeszła się ta fama, to wkrótce okazało się, że inni także widzieli ze swych okien tę kobietę. I teraz ponoć widziano ją także, jak wchodzi do kamienic przez zamknięte bramy, i na każdym piętrze, gdzie się pojawiała, dotykała mezuz na futrynach, a niektórzy podobno wpuszczali ją nawet do siebie i ona miała im powiedzieć, że Bóg Izraela wraz ze swoim ludem czeka na wielki wymarsz, choćby do Babilonu czy Micraim. I że jeżeli choćby jedno jedyne plemię Izraela zginie po drodze, to wedle słów proroka zginą wszystkie. Ale to jedno jedyne, które zginie, nie może wszak zniweczyć wszystkich. Jeśli ze skałą bowiem jest tak, że nie da się odłupać od niej ani kamienia, nie uszkadzając przy tym całej skały, to jest też tak, że choćby odłupano każdy kamień, to skała jednak przetrwa. Bo plemię Izraela jest niezniszczalne. Tak miała powiedzieć.

Także przed tym wymarszem, który miał nastąpić teraz, byli tacy, którzy nocami chodzili od domu do domu. Ale nie byli to bynajmniej żadni święci mężowie i nie głosili krzepiących słów o niezniszczalnej skale Syjonu i Erec Israel, jak to ponoć czyniła Mara, lecz mówili o możliwości najedzenia się do syta dla tego, kto chciał, choćby przez jeden dzień, zanim odjedzie ostatni transport. Róża sama słyszała ich szepczące jedwabne głosy, dobiegające z dołu, przez czerwoną tkaninę, którą rozpięła w oknie.

„Draj...!”, mogły powiedzieć.

Albo:

„Draj un a halb...!”

Im dłużej Debora nie wracała, tym bardziej Róża nabierała przekonania, że dziewczynka musiała paść ofiarą któregoś z tych szepczących handlarzy dusz.

Rzecz bowiem przedstawiała się następująco:

Ponieważ Biebow upierał się, aby możliwie jak najwięcej fabryk nie przerywało produkcji, każdy *resort lajter* miał za zadanie sporządzenie list tych robotników, których uważa za niezbędnych, oraz tych, bez których mógłby od biedy się obejść. Na podstawie tych list specjalny Inter-Ressort Komitee wybierał potem, którzy robotnicy mają pojechać następnym transportem, a którzy będą mogli pracować dalej. Resort mógł także „kupić” sobie robotników od komitetu, jeżeli zaistniała szczególna potrzeba lub jeśli Biebow postanowił, że produkcja tego właśnie resortu jest szczególnie ważna.

W ten sposób cały czas trwał handel ludźmi.

Niektórzy kierownicy fabryk mogli zaoferować nawet dziesięciu „nieistotnych” w zamian za jednego zdolnego mechanika.

Stąd zapotrzebowanie na te wszystkie „dusze”. Chodziło najczęściej o całkiem młodych mężczyzn i kobiety, którzy za zapłatę w postaci chleba albo talonów żywnościowych dawali się wysiedlić w zamian za pożądaną osobę, tak by kontyngent deportowanych pozostawał liczebnie bez zmian.

To było jak maszyna; gigantyczny mechanizm sortujący:

Ci, którzy mieli dość pieniędzy, żeby płacić, kupowali sobie jeszcze jakiś czas w getcie. Ci, którzy nie mieli pieniędzy, mieli przynajmniej swoje „dusze” i mogli je sprzedać.

Już o wczesnym świcie ulica Brzezińska jest wypełniona wrzawą tak intensywną, że zdaje się ona tworzyć ciało, samowładne, dźwiękowe ciało unoszące się wysoko nad tłumem ludzi, który wolno porusza się w górę i w dół ulicy, na jej całej długości.

Przez tłum biegną dwa strumienie. Jeden w górę, od strony placu Kościelnego. Tu idą wykupieni, zwolnieni, ci, którzy w dalszym ciągu mają gdzie pracować, z plecakami na plecach i menażkami pobrzękującymi rażno u pasa. Drugi strumień zmierza w dół ulicy, w stronę placu. Tu idą wszyscy pozostali: ci, którzy otrzymali nakaz wysiedlenia albo musieli sprzedać się jako dusze.

Okolo południa chaos przybrał nieledwie nierzeczywiste proporcje:

Na środku ulicy stoją ludzie ze swym ładunkiem mebli i sprzętów kuchennych; po prostu stoją: w niekończącej się na pozór karawanie wozów i wózków, które się przewróciły lub tylko utknęły i które ludzie próbują teraz podnieść i postawić prosto, pchając z tyłu lub usiłując ciągnąć za sznury lub pasy uprząży.

Zmierzając w stronę Bałuckiego Rynku, Róża mija tak zwaną tandetę: duży grodzony teren,

który zaczyna się już przy aptece Krona u podnóża drewnianego mostu i ciągnie się aż do placu Jojne Pilcera. Wszystko, co tylko da się sprzedać, trafiło tutaj: stoliki, meble jadalniane, szafy, drzwi; zużyte, nawet zdarte do imentu, ale może jednak mogące się do czegoś przydać torby i walizki; także ubrania, przede wszystkim ciepłe płaszcze i palta, i zimowe trzewiki i kamasze. Część sprzętu gospodarstwa domowego getto odkupuje: ale niewielu z tych, którzy tu przyszedli, żeby się pozbyć swoich ostatnich rzeczy, chce za nie zapłaty. I nie w pieniądzech. Gettowe rumki są już nic niewarte. Ci, którzy mają jechać, chcą jedzenia — chleba, mąki, cukru albo konserw, czegokolwiek, co można z sobą wziąć i zjeść.

I wszędzie stoją ludzie i wyklócają się, bo uważają, że nie dostali tego, co im obiecano albo właściwej ceny. Bójkom przygląda się około czterdziestu policjantów tworzących luźny łańcuch rozciągnięty od drewnianego mostu. Lecz żaden z nich nie interweniuje, lub reagują tylko symbolicznie, rozdzielając z rzadka paru nazbyt zżarcie walczących. Może dostali taki rozkaz, a może nie mają odwagi. Albo tam stoją tylko po to, by pilnować własnego majątku, a może nawet mają krewnych w jakimś budynku czy kwartale po sąsiedzku.

Tu i ówdzie w owym chaosie miga czasami Róży, lub jej się zwiduje, dorożka Prezesa i jego zniszczona twarz pod rondem kapelusza czy pod szybko przelatującą budą wozu. Przewodniczący getta jest w te ostatnie dni niezmordowanie aktywny. Wydaje obwieszczenia. Wygłasza mowy. Apeluje do tych mieszkańców getta, którzy się ciągle ukrywają, żeby poddali się i wyszli.

Jidn fun geto, bazint zych!

Czasami on i Biebow występują razem. Wygląda to dziwnie — bijący i bity stoją ramię w ramię. Poza tym Biebow ma wszak ciągle tę rękę, którą bił Prezesa, owiniętą w bandaż, na temblaku, a Prezes nosi swoje krwawe cięte rany i zapuchnięte całkiem oko jak maskę na tym, co powinno być jego prawdziwą twarzą. Nawet suflują sobie wzajem po bratersku, jak para komików w gettovej rewii Mosze Puławera. Najpierw Prezes wygłasza parę słów, tytułem wstępu. Potem przemawia Biebow.

„Moi Żydzi”, mówi Biebow.

Nigdy tak wcześniej nie mówił.

Któregoś dnia rozchodzi się pogłoska, że na dawnym placu warzywnym są artykuły do rozdzielenia. Biała kapusta. Po trzy kilo na rację. Nieomal niewyobrażalna ilość jak na getto od lat żyjące zgniłą brukwią i zepsutą kiszoną kapustą.

Na środku placu stoi już waga z ciężarkami i ludzie wychylają się do przodu, gotowi napełniać swoje otwarte worki. Wtedy nagle rozlega się warkot traktorów na wysokich obrotach; potem ostry szcęk doczepianych przyczep, stuk metalu o metal. Dźwięk grozy dla wszystkich, którzy pamiętają dni szpery sprzed półtora roku. Ludzie rzucają z miejsca wszystko i ruszają biegiem, próbując się stamtąd wydostać, lecz nie udaje im się przebiec dalej niż parę kwartałów, a już ze wszystkich stron wpadają na plac żołnierze w stalowych hełmach. Od strony Łagiewnickiej nadjeżdżają budy pełne niemieckich żandarmów; ci poruszają się tak szybko, że wyglądają prawie, jakby w y l e w a l i s i ę spod plandek na ulicę, łapią uciekających i bez ceregieli wrzucają ich na przyczepy.

Wtedy nagle stają tam znowu Prezes z Biebowem — bijący i bity; Niemiec i Żyd — podsadzeni na skrzynię którejś z ciężarówek. Biebow unosi nawet tę zabandażowaną rękę, w geście pod publikę, wołając: „*Nein, nein, nein...!*”. A obok niego stoi pan Przewodniczący ze

swoją zmasakrowaną twarzą i on także wyciąga rękę do góry i woła: „Nie, nie, nie!”, nieledwie jak echo; a Biebow mówi:

„Moi Żydzi”.

— W ten sposób mogli byśmy zrobić.

Moglibyśmy was załadować na platformy i deportować was wszystkich.

Aber so machen wir es nicht! Nein, nein, nein...!

Nie chcemy stosować przemocy. Nie ma ku temu powodu.

Wszyscy Żydzi w getcie są w naszych rękach pewni i bezpieczni.

W Niemczech jest pracy pod dostatkiem, i wciąż jeszcze jest pod dostatkiem wolnych miejsc w pociągach...

Idźcie teraz do domu i przemyślcie to sobie w spokoju, a potem zgłóście się jutro rano, razem z dziećmi i małżonkami, na stację na Radogoszczu.

Obiecujemy zrobić, co możemy, aby zapewnić wam jak najznośniejsze warunki.

Róża Smoleńska stoi w tłumie innych, którzy zebrali się wokół platformy ciężarówki, aby wysłuchać tych dwóch. W jednej ręce trzyma listę wszystkich dzieci Przewodniczącego, którą udało jej się sporządzić, zaglądając do zakazanych teczek adopcyjnych w biurze panny Wołk. Na liście znajdowały się nie tylko nazwiska samych dzieci, lecz także ich „nowych” rodziców, lub ich krewnych; i nazwy tych fabryk, w których Wołkównie albo Rumkowskiemu udało się załatwić dla nich pracę, oraz nazwiska tych *resort lajterów*, którzy jak pan Tusk mieli zlecenie pełnić funkcje opiekunów dzieci.

Chodzi z tą listą od resortu do resortu. Lecz kierownicy fabryk dawno już nie panują nad tym, kogo zatrudniają, a kogo nie. Ci robotnicy, których mieli kiedyś, już dawno są powymieniani; albo sprzedani jako dusze; lub zostali sprzedani, ale powrócili pod innym nazwiskiem czy w innej postaci, ponieważ ich wykupił ktoś dysponujący władzą i wpływami; albo po prostu nie stawili się na wezwanie. Teraz codziennie opuszcza getto jeden transport. Ludzie myślą, że jeśli uda im się wytrzymać jeszcze jakiś czas w ukryciu, to może doczekają wyzwolenia. Ale też różnica między żywymi a martwymi zaciera się w te ostateczne dni. Są tacy, którzy twierdzą, że widzieli, jak żywe *neszomes* chodzą po ulicach getta, sąsiedzi czy koledzy z pracy, którzy się sprzedali i zostali deportowani z getta, i którzy, jak wszyscy sądzili, nie żyją i zniknęli na zawsze, lecz którzy teraz powrócili, aby żądać tego, co im się słusznie należy.

Jest 8 sierpnia. Róża Smoleńska wraca z oddziału rękawiczek i pończoch na Młynarskiej, gdy tuż w pobliżu rozpoczyna się strzelanina. Nie pierwszy raz, lecz po raz pierwszy słyszy ją z tak bliska.

I początkowo nie brzmi aż tak groźnie. Małe, z rzadka rozsiane trzaski.

Potem widzi, że ulica przed nią jest pełna ludzi. Zdaje się jakby nadciągali zewsząd: gęsta, narastająca z wolna ludzka masa. Przez chwilę zdaje się, jakby ta masa zamarła przed nią bez ruchu. Lecz nie dlatego, żeby ludzie nie poruszali się dość szybko, tylko dlatego, że wszyscy usiłują ruszać się jednocześnie, więc nie udaje się nikomu. Ludzie tłoczą się, biją, próbują się przepchać. Niektórzy mają z sobą swój dobytek. Kosz z ubraniami i obuwaniem; miednica ze sprzętem kuchennym; bańka na mleko dyndająca na lewo i prawo, jak krowi dzwonek. Gdzieś wśród tych wszystkich cichych lub krzyjących, łagodnych lub zawziętych twarzy Róża widzi panią Grabowską, która przebywa z trudem metr, dwa metry, taszcząc olbrzymią walizkę.

To na widok pani Grabowskiej pojmuje, że Niemcy ostatecznie wkroczyli do getta.

Lecz nie od strony skraju getta, jak wszyscy bali się i rozważali od tygodni, lecz prosto w samo serce getta: na Łagiewnicką, Zawiszy, Brzezińską i Młynarską: wszystkie cztery ulice w centrum getta są zablokowane przez niemieckie wozy bojowe. Żandarmeria ustawiła już prowizoryczne *Schutzpunkte* i pociągnęła drut kolczasty od Bałuckiego Rynku na południe, a specjalne jednostki SS zaczęły już wchodzić do kamienic czynszowych na Zawiszy i Berka Joselewicza.

— Nie da się już zawrócić — mówi pani Grabowska.

I kto wtedy wkracza jako pierwszy na ten zamknięty teren jak nie prawa ręka Biebow, pan Przewodniczący? Żołnierze, którzy teraz pilnują terenu, przepuszczają go tak, jak kompania saperów przepuściłaby wyszkolonego psa. Idzie tam sam, i tym razem bez eskorty ochroniarzy, jakby pragnął w ten sposób podkreślić powagę swoich intencji. Pani Grabowska sama go widziała, jak tam stoi na progu domu, apelując do jego mieszkańców. Jak w parodii historii o kalekiej Marze — prosty jak świeca, amoralny, dumny — tłumaczy czekającym tam rodzinom, że to ostatnia szansa, by wyjechać. Mówi, że sam, o s o b i ś c i e może im zaręczyć, że włos im nie spadnie z głowy.

*

Tej nocy Róża nocuje u znajomej pani Grabowskiej, na najwyższym piętrze jednej ze starych czynszówek na Młynarskiej. Z okna mieszkania Róża widzi, jak z Litzmannstadtu nadjeżdżają niemieckie wojskowe samochody, żeby wzmocnić ogrodzenie getta. Szereg ciężkich pojazdów wtacza się do getta ze zwojami łańcucha i drutu kolczastego na platformach.

Dwadzieścia osób, które jeszcze nie zgłosiły się do wyjazdu, siedzi w jednym pokoju, wszystkie z twarzami schowanymi w podciągnięte ramiona i kolana. Żadne z nich nie ma nic do jedzenia czy do picia. Niektórzy nie zdążyli nawet zabrać z sobą jakiegoś garnka.

Róża ma tylko listę dzieci Przewodniczącego. Dołączyła do niej kilka zdjęć, które zachowała. Jedno ze zdjęć jest zrobione w kuchni Zielonego Domu. Na samym przedzie, obok rzędu błyszczących rondli i kotłów na zupę, stoi kucharka Chaja Meyer w kucharskiej czapce i białym fartuchu, a za nią siedzą w rzędzie wszystkie dzieci, one także ubrane na białą, najmłodsze ze śliniakami; ale wszystkie schylone do przodu nad swoimi miseczkami z zupą, co było celem tej zdjęciowej sesji — aby pokazać ich odwszone głowy. Na innym zdjęciu te same dzieci stoją w szeregu przed płotem koło Wielkiego Pola. Stoją wszystkie profilem, trzymając wyciągnięte ręce na ramionach tych przed nimi, jak trupa baletowa albo jak przed wymarszem.

Ale to tylko fotografie. Chłopcy z ogolonymi głowami; dziewczynki z warkoczami.

To mogłyby być jakiegokolwiek dzieci.

Rankiem Rumkowski kazał wydrukować nowe obwieszczenie. Jest rozklejone na ścianach wszystkich domów od Młynarskiej aż po bajoro ze śmieciami na Dworskiej:

Obwieszczenie w sprawie przeniesienia getta

Wszystkie fabryki mają być zamknięte:

Od czwartku 10 sierpnia 1944 wszystkie fabryki w getcie mają być zamknięte. Na terenie każdej fabryki może przebywać maksymalnie dziesięć osób, których zadaniem jest pakować i ekspediować towary.

Opróżnienie zachodniej części getta:

Od czwartku 10 sierpnia 1944 zachodnie części getta (po drugiej stronie mostu) mają zostać wyludnione. Wszyscy mieszkańcy i robotnicy z tych dzielnic mają ewakuować się do wschodniej części getta.

Od czwartku 10 sierpnia 1944 w zachodnich częściach getta nie będą dystrybuowane żadne artykuły żywnościowe.

Litzmannstadt-Getto, 9 sierpnia 1944

Mordechaj Ch. Rumkowski

Przełożony Starszeństwa Żydów

Nazajutrz Róża widzi z okna długie kolumny ludzi zmierzające w stronę Radogoszcza. Ludzie wyglądają spokojnie, mimo że dźwigają olbrzymie ciężary. Spod tego lasu plecaków z przytroczonymi kocami, materacami i tobołkami ze sprzętem kuchennym wychodzi jakaś kobieta i z mijanej ogrodowej działki wrywa pęczek pietruszki i podaje go przyjaciółce idącej w dalszym szeregu. Róża się zastanawia, skąd idą ci wszyscy ludzie; czy władze zaczęły teraz opróżniać całe fabryki. Zastanawia się także, czy się odważy zbiec na dół i pokazywać przechodzącym listę nazwisk i zdjęcia dzieci Przewodniczącego, w nadziei, że przynajmniej znajdzie kogoś, kto rozpozna jakieś imię lub jakieś nazwisko.

Ale się nie odważa. Obok każdej kolumny marszowej idą żydowscy policjanci i pilnie baczą na wszystko. Nie przeszkadzili tej kobiecie narwać trochę pietruszki, lecz niewątpliwie interweniowaliby, gdyby ktoś z zewnątrz zakłócił porządek marszu.

Musi przeczekać cały dzień, nim się odważy wyjść. Teraz, letnią porą, zmierzch zapada późno. A kiedy światło dzienne wyblakło na tyle, że ulicę na dole widać już tylko jako cienką wstążkę w niebieskawym mroku, na niebo wschodzi tarcza księżycy i znów robi się jasno, prawie tak jak w dzień. Róża próbuje trzymać się jak najbliżej ścian i cieni, aby się nie dać złapać światłu; lecz przy Zgierskiej nie ma już mroku, w którym można się skryć. Szeroki księżyc w pełni wisi nad przesmykiem pomiędzy połówkami getta i pod olbrzymią srebrną tarczą drewniany most jest czarny od ludzi, którzy pchają się, żeby przejść. Kiedy podchodzi bliżej, słyszy także dźwięk — stukot tysięcy trepek łomoczących o nagie drewno kładki mostu.

Róża już wie, że w tym momencie nie ma sensu nawet próbować szukać dzieci. Przy zachodnim przyczółku mostu, od Lutomierskiej, stoi Służba Porządkowa wyłapująca i odpędzająca na bok wszystkich, którzy próbują wepchnąć się na most przed innymi. Ci jej na pewno nie przepuszczą. A do tych, którzy schodzą po wschodniej stronie, ze swymi walizkami i torbami, już nie ma sensu się zwracać.

Przysiada na wytartych kamiennych schodach przy jakiejś bramie na Zgierskiej i usiłuje zebrać myśli. Co robić, skoro już nie może swobodnie chodzić po getcie?

I co powie staremu, skoro nie może przyjść do niego z dziećmi?

Były tam, wszystkie tam były, lecz zniknęły.

Czy: Były tam wszystkie, ale do nich nie dotarłam.

Tak nie może po prostu powiedzieć.

*

Nowy dzień, nowy świt. Ona wybiera się ponownie na Marysin. Idąc Marysińską, mija traktory z długimi przyczepami, ustawione w wojskowym porządku, w dwudziestometrowych odstępach. W połowie drogi do rezydencji Prezesa Niemcy ustawili zasieki i stoi przy nich garstka bezczynnych esesmanów, żartujących sobie z wachmanem.

Spóźnialscy ciągną ulicą, niosąc bagaż, w pojedynkę albo grupkami, głównie starsi mężczyźni i kobiety. Wydają jej się teraz dużo bardziej bezbronni i bezradni niż wtedy, kiedy szli w konwoju, i esesmani to zauważają. Jeden z nich skacze raptownie przed siebie (długi czarny płaszcz rozpina się jak parasol nad jego oficerkami), aby dogonić pędem jednego z Żydów na drodze. — Czym zawinił? Miał z sobą za dużo bagażu? Idzie za blisko skraju drogi? — I nagle cała piątka Niemców skupia się wokół przewróconego. Przez ich śmiechy i wrzaski słychać głuchy łomot, gdy szpice butów wbijają się w miękkie ciało, i rozpaczliwe wołanie tego człowieka

o pomoc.

W tej samej chwili rozlega się osobliwy świst i z jej piersi wyrывa całe powietrze. Widzi, jak wachman przy zaporze na drodze robi dwa kroki w przód i obiema rękami wykonuje jakiś gest zakazu; tamten świszczący dźwięk narasta w huk i pod jej biegnącymi stopami ziemia nagle ugina się, jakby stanęła na sprężystej desce.

Widzi samą siebie, leżącą w rowie na tym pobitym mężczyźnie; widzi, jak dym eksplozji przeciska się ponad miękkie rzemienie jego plecaka. Jednocześnie ktoś się nachyla ku niej z góry, chwytając ją pod ramiona i wyciąga z powrotem na drogę. To Samstag. (Poznałaby go, choćby nawet wyszedł z jej najgłębszego snu). „Co on tu robi?” Czasu starczyło tylko na tę myśl.

— Uciekaj — mówi Samstag tylko i wskazuje domy w dole Marysińskiej.

Jakimś cudem udaje jej się znów podnieść na nogi. Wciąż czuje się, jakby stała na pokładzie statku, który bez przerwy się pod nią przewraca. Także budynki tuż przy drodze zsuwają się raz w przód, raz w tył; w jednej chwili spowite w chmurę kłębiącego się gęstego dymu, a zaraz potem znów całkiem widoczne. Dopiero gdy udało jej się przejść przez bramę, dociera do niej, że wróciła do tego samego domu, gdzie spędziła przedostatnią noc.

Klatka schodowa i mieszkania były wtedy przepelnione do niemożliwości uciekinierami. Teraz nie widać żywej duszy; tylko pozostawione resztki pakunków: kołdry i materace, i garnki. Wchodzi po schodach do pokoju na trzecim piętrze. Okna w mieszkaniu są otwarte na oścież. Kiedy przez nie wygląda, widzi ten długi szereg traktorowych przyczep, obok którego wcześniej przechodziła, lecz teraz rozumie, że te ciągniki nie stoją tam, czekając na przeprowadzenie akcji, tylko że akcja „już jest przeprowadzona”. W nocy, gdy jej nie było, komanda SS przeszukała i oczyściła całą tę okolicę. To dlatego nie ma tu już żadnych ludzi. To dlatego ustawili zasieki na końcu ulicy.

Znowu w drzwiach za nią staje Werner Samstag.

Ze współczuciem tak podniosłym i zdystansowanym, że nieomal przypomina sarkazm, stoi, patrząc na krew, którą nasiąknął przód jej sukienki.

Potem schyla się nad nią. Przez moment jest przekonana, że Samstag chce ją zabić, ale on tylko chwytając ją za ramiona jeszcze raz i z zaskakującą zręcznością zarzuca ją sobie na plecy. Dopiero teraz, kiedy zwisa głową z jego ramienia, spostrzega, że wciąż w jednej ręce trzyma listę dzieci Przewodniczącego. Równie kurczowo ściska w drugiej ręce węzełek z chusteczki do nosa, z resztkami chleba, które zaoszczędziła na wypadek, gdyby znowu natknęła się na któreś z dzieci. W ten sposób schodzą po wszystkich zagraconych schodach na dół i wychodzą z powrotem do getta.

Ale teraz jest to miasto widmo.

Wszędzie otwarte, trzaskające drzwi. Czeluście pustych okien.

Tak jakby przewiał wszystko wielki wiatr, ale wiatr bez zasięgu czy kierunku, wiatr, który jedynie formuje pustkę dookoła, niczego nie dotykając.

Chociaż już pojaśniało, poranne niebo jest zupełnie czarne.

Wczepiając się w plecy Samstaga, postrzega kątem oka domy, podwórza, płoty, mury, przesuwane się w miarowym rytmie. Idą okreśną drogą przez to wszystko. Samstag porusza się zwinnie jak zwierzę, wbiega pomiędzy rzędy komórek i wychodków, skąd bucha ku niej przeraźliwy smród, splukany zaraz słodko-mdłącą wonią nieprzekwitłego jeszcze ostatecznie krzaku bzu. Przez chwilę zdaje jej się, że widzi zwieńczone drutem kolczastym mury

Centralnego Więzienia i bloki poza murami. Potem nagle dociera do niej, gdzie są. Stoją na dziedzińcu, przed tym, co niegdyś było gettowym szpitalem dziecięcym, i napis na zwietrzałej fasadzie budynku to potwierdza:

KINDERHOSPITAL DES ÄLTESTEN DER JUDEN

Wciąż jeszcze widać ślady wielkiej Wystawy Przemysłowej Centralnego Biura Resortów Pracy. W hallu wejściowym na swoich plintach stoją jeszcze gablotki wystawowe, a na podłodze, wśród odłamków szkła i rozrzuconych skrawków tkaniny zasłonowej, leżą sterty plansz z masą wykresów i słupków statystyk: teraz żalosne, z wyraźnymi śladami brudnych butów na równych, pedantycznych słupkach cyfr.

Z oficyny, parterowej budowli o oknach zabitych grubymi deskami, strome, kamienne, niemurowane schody prowadzą jakby prosto w dół; tam się zaczyna wąskie piwniczne przejście, które wydaje się tunelem biegnącym pod samym budynkiem. Róża czuje zbutwiały, zimny cug od wyłożonych kamieniami ziemnych ścian i instynktownie zgina kark, by nie uderzyć głową w sufit. Lecz Samstag jest ostrożny. Tak jakby była tylko nazbyt dużą lalką, przekłada ją na jedną rękę. W drugiej trzyma szeroką lampę łukową. Musiał sięgnąć, niepostrzeżenie dla niej, do jakiegoś włącznika, bowiem ściany, podłoga i sufit piwnicznego korytarza pokazują się dokoła niej w oślepiającym, ostrym świetle. Kubły po farbie, puszkami z rozpuszczalnikiem na półkach; narzędzia wyłożone i posortowane według form i rozmiarów. Na środku podłogi zalegają resztki wielkiej prasy drukarskiej Pinkasa Szwarca. Jakim cudem udało im się przywlec tu całe to ustrojstwo? A za prasą z kolei, na półce pod niskim sufitem, leżą wszelkie możliwe instrumenty muzyczne: tuba, puzon oraz (na hakach wkręconych w samą deskę) skrzypce z gryfami w pętłach z najcieńszych strun fortepianowych.

Lecz teraz spostrzegła już dzieci z Zielonego Domu.

Ich twarze, jedna tuż przy drugiej, jak korale liczydła, zdają się blade, oślepione tym ostrym światłem. Najpierw widzi zmarszczoną głowę stroiciela fortepianów. Za nią, jak kopia fotografii z kuchni Zielonego Domu: Nataniel; Kazik; Esterka; Adam.

Są tutaj wszystkie dzieci z listy. Także Debora Żurawska.

Róża widzi, jak dziewczynka podnosi szybko wzrok, potem go spuszcza, jakby zawstydzona. I Róża chce coś powiedzieć, lecz te słowa, których niepewnie szuka, są już nieosiągalne. Zamiast tego przeciska się między niskimi półkami, grzbietami puzonów, ostrym kantem szlifierki. Ostatni kawałek musi przejść na czworakach, z głową wciągniętą w ramiona, podczas gdy luźny piasek i kamyki sypią się jej na kark. Aż wreszcie dociera do celu i może rozwiązać chusteczkę z wszystkimi tymi kawałkami chleba, które zaoszczędziła. Podaje jedną z piątek Deborze siedzącej tuż z brzegu; łamie potem drżącymi rękami to, co zostało z chleba, i rozdaje równe kawałki każdemu z nich, tak jak siedzą — Natanielowi, Kazikowi, Esterce — ciągle jeszcze nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

Za dziećmi biegnie niska kamienna ścianka, której sterczące głązy ktoś kiedyś pokrył cementem. Jednak zaprawa dawno już odpadła. Także cegły pod spodem już wietrzeją. Niebawem cała ścianka za nimi się zawali.

— Samstag przyszedł — mówi Nataniel, głosem ochryplym i szorstkim jak cement.

— Samstag teraz pracuje w policji porządkowej — uzupełnia Esterka, nieco nadgorliwie (jak zwykle): jakby słowo „policja” wciąż jeszcze mogło cokolwiek wyjaśniać.

A może mimo wszystko mogło — i m.

Róża pamięta pewną zabawę, w którą dzieci bawiły się, kiedy mieszkały w Zielonym Domu, zakazaną zabawę, jak mówiła o niej Natasza. W tej zabawie wszystkie dzieci udawały, że robią to, co zwykle. Natasza pochylała się nad swoim pudełkiem z przyborami do szycia, Debora grała na pianinie. Wybrane dziecko wychodziło wtedy na korytarz i wołało, że ktoś idzie. Jeśli wybrany był Kazik, to wracał i krzyczał: „Churchill idzie!”. Jeśli wybranym był Adam, to wracał i krzyczał: „Roosevelt idzie!”.

I wszyscy musieli się chować. Pamięta taką sytuację, jeszcze nim doktor Rubin, rozwścieczony, zakazał wszystkich takich hec: Kazik zawinał się w dywan pod pianinem w Różowym Pokoju, a zaraz potem wpadł, potykając się, Werner Samstag z rondlem na głowie i z łopatką kuchenną w rękę:

— A tu Prezes idzie...!

A dzieciaki siedziały dokoła wyprężone jak struny.

Tym sposobem to zawsze on w ostatniej chwili zjawiał się i je ratował. Kiedy skończyła rozdawanie chleba i znów podniosła wzrok, zobaczyła, że snop reflektora wciąż wisi u góry przy drzwiach, lecz że za światłem nie ma już żadnego ciała. Dzieci musiały widzieć, jak Samstag odchodzi, ale żadne z nich nie zareagowało. Samstag przychodził i odchodził, kiedy chciał, tak jak zawsze.

Debora wyjęła spod stanika sukienki chusteczkę, skręciła ją w cienki sznurek, którego koniuszek nawilżyła śliną; wcisnęła potem bezceremonialnie głowę Róży pomiędzy swoje podciągnięte uda i mocnymi, lecz powściągliwymi ruchami zaczęła ścierać z jej twarzy krew i brud. Róża niepewnie spróbowała się odsunąć. Czuła, że musi wytłumaczyć. Dzieciaki nie wiedziały, jak wygląda getto poza tą ciasną piwniczką; nie wiedziały, że cała dzielnica jest zablokowana i że niebawem przyjdzie tu gestapo z psami. Usiłowała to powiedzieć, ale dała za wygraną na widok Debory, która zmywała jej twarz z taką samą miną, bez wyrazu, z jaką zmywa się garnek czy rondel. Zmęczona zmęczeniem pozwoliła głowie bezwładnie opaść na kolana dziewczynki.

— Musisz mi ufać, Debora — powiedziała. — Czemu mi nie ufasz?

Debora jednak nie odpowiedziała. Debora nigdy nie odpowie. Debora wyjmuje łopatę do węgla z rąk pani Grabowskiej lub schyla się po kabłak wiadra z wodą, które niosą ze studni przed Zielonym Domem. Ale nigdy nie odpowie.

— Ja mogę — mówi tylko. — Już przecież jestem na nogach.

Słowa, które wystawia tak, jak można wystawić jakiś przedmiot, byle jaki, tylko po to, by łatwiej móc za nim zniknąć. Tak jak Debora zostawiła swój plecak z grzebieniem i lusterkiem przed oknem na Brzezińskiej; albo jak zostawiła zeszyt z nutami do rewii muzycznej Zielonego Domu. Tak jak zostało zostawione wszystko, co kiedykolwiek było czyjąś własnością w getcie, teraz i na zawsze. Albo jak Werner Samstag odszedł i zostawił — no, co? Wielką, białą oślepiającą lampę, wciąż płonąca przed piwnicznymi drzwiami, które za nimi zawarto.

Aż w końcu pozostała tylko Róża Smoleńska, podczas gdy Debora, pochylona, ścierała krew i ból z jej twarzy.

I w końcu także Róża zamknęła swoje obolałe oczy.

I w końcu pozostała tylko twarz Róży Smoleńskiej.

Umowa była, że władze przyślą samochód, który zawiezie ich na stację, ale wciąż jeszcze żaden samochód nie przyjechał. Podczas gdy wszyscy na Karola Miarki, z panną Fuchs i jej bratem włącznie, siedzieli na meblach wystawionych na dwór, Staszek wspiał się na drzewo wiśni, w którego olbrzymiej koronie, na dzień przed upadkiem Pałacu, pan Tausendgeld schował pieniądze księżnej Heleny. Teraz pani Helena upiera się, żeby zdjąć stamtąd te pieniądze. Stryj Józef przystawił drabinę do pnia, ale nawet najwyższy szczebel nie wystarczy, aby Józef mógł sięgnąć do samej korony. Tak daleko w głąb tego olbrzymiego drzewa umiał sięgnąć tylko pan Tausendgeld swoim słynnym już wówczas prawym ramieniem; i zbesztany za swoją indolencję Józef Rumkowski wrócił do getta, by poszukać jakiegoś drąga albo podbieraka, albo innego długiego przedmiotu, którym by można zdjąć pieniądze, zanim opuszczą getto. Lecz podczas kiedy tak czekają, któż szybko i zdecydowanie wspina się na wiśnię jak nie *libling* księżnej Heleny, jej Staś, jej Stasiulek? Wspina się jak dziecko, z rozchylonymi, czerwonymi od otarć kolanami i udami ściskającymi mocno pień wiśni, i już czuje to cudne swędzenie, gdy szoruje podbrzuszem o chropawą korę.

Na samym szczycie korony, w gęstwinie ząbkowanych liści, wiszą woreczki z reichsmarkami, powieszony przez pana Tausendgelda. Woreczki wyglądają tak, jak kiedyś wyglądała jego twarz, jakby pocerowane wzdłuż i wszerz. Gdy Staszek ściska jeden z woreczków, czuje, jak wewnątrz coś się rusza, jakby żująca szczeka. Daleko w dole, pod ząbkowanymi liśćmi, gdzie wisiały słodkie wiśnie, stoi to wszystko, co wzięli z sobą z domów na Miarki i na Okopowej, w oczekiwaniu na transport. Łóżka i stoły jadalniane, szezlongi i komody; „prywatna” sekretera Prezesa i kredens księżnej Heleny (ale bez szkieł i serwisów — pan Józef musiał je spakować), i jej ptasie klatki, te które zostały, pełne rozświergotanych, uskrzydłych istot, trzepoczących się i uczepionych plecionych ścianek i sufitów klatek.

Po drugiej stronie gęstwiny liści rozciąga się getto. Mnóstwo drewnianych szop i niskich domów, ponad które wyrasta kilka wyższych budynków, niczym krzywo wyrosnięte kły. Jeżeli Staszek wyciągnie rękę, będzie mógł jednym ruchem schwycić i wywrócić całe getto. Rozczapierza palce, i w samym środku getta — na środku jego własnej dłoni — stoi jego ojciec i czeka.

Także ojciec czeka na obiecany transport.

Był obiecany na Bałucki Rynek o trzeciej, a godzina już dawno jest trzecia i w i ę c e j, i Rumkowski już dawno stracił cierpliwość i wyszedł, i stanął na rynku, by wypatrywać samochodu. Tak samo jak w domu na Miarki meble i szafki biurowe, o których wcześniej powiedział, że koniecznie musi je zabrać, są wyniesione na dwór. To już ostatni transport. Prezes pozostał sam jeden w szeregu biurowych baraków. Nie ma nawet nikogo z ekspozytury niemieckiego zarządu getta.

Jest sam, ale ponad nim niebo jest takie szerokie i puste, że czuje, iż mógłby runąć w jego głąb, tak jak w studnię.

Kilka razy podczas ostatnich nocy śniło mu się, że spada w ten sposób do nieba i za każdym razem leżał potem na otwartej przestrzeni jak ta. Było ciemno, a w mroku dookoła leżały resztki poćwiartowanych ludzi. Z tego mroku nadlatywały czarne ptaki i siadały na trupach. Czasem były tak blisko, że czuł chrzęst ich miękkich skrzydeł zawadzających o ciągle bolesne szwy na twarzy. I gdy tak leży, przykuty do ziemi na tym świętym miejscu, jego także poćwiartują

i rozbiorą. I w tym momencie uświadamia sobie, że jeśli jest więźniem, to nie dlatego przecież, że został zamknięty, człowiek z natury jest zamknięty; ani nawet dlatego, że wokół jest ciemno, dokoła nas jest zawsze ciemno; tylko dlatego, że w ten sposób był bezustannie oddzielany od tego, co właściwie było jego.

To odkrycie oznaczało pewną ulgę, moment narastającej jasności w mroku, który jeszcze szumiał od uderzeń skrzydeł wielkich ptaków.

„Z czegoś mnie złożył, Panie —

że się nie rozpoznaję nawet we własnym wizerunku?”

W tej samej chwili, gdy to myśli, przybywa transport. Nadjeżdża wielki wóz, trupiarka, którą kiedyś zbudowano, aby usprawnić transport zmarłych, mieszcząca nie mniej jak trzydzieści sześć ciał w różnych komorach i przegródkach na jednym podwoziu (poza tym, większość wysuwana, tak jak szuflady w biurku albo blachy w piekarniku). Lecz to nie Meir Klamm siedzi na koźle, tylko Amtsleiter Biebow; i Prezes widzi w tym momencie, jak wielka jest ta trupiarka, sufit tam w środku jest wyższy od każdego z wałających się domów przy rynku.

— Jedziecie czy nie jedziecie? Bo to odchodzi już ostatni transport...! — woła Biebow z wysokości koźła, a ludzie z komanda do oczyszczenia getta, którzy mu towarzyszą, zaczęli już ładować na wóz krzesła i biurka, i szafki. A wysoko na drzewie, na tej wielkiej wiśni, gdzie jak czarne owoce wiszą pieniądze datki dla Przewodniczącego getta, Dziecko wywija ramionami, by dać znać wszystkim czekającym na ziemi pod drzewem:

— TRANSPORT...! TRANSPORT JEDZIE...!

Regina jest zrozpaczona. — Ja nie pojedę takim wozem — mówi, z oczami szeroko rozwartymi i policzkami czerwonymi ze wstydu.

Lecz oczywiście jedzie, mimo to. Jaki mają wybór?

Staszek siedzi na samym tyle, oparty plecami o wszystkie kufry i torby ułożone w sterty za kozłem, i widzi, jak getto znika za suchymi i gorącymi chmurami kurzu wzbijanymi przez koła wozu. Puste domy na tle bezsensownego nieba. Ulice, które już nie są ulicami, a tylko uprzątniętymi przejściami, aby wygodniej móc się dostać do leżących na uboczu szop czy budynków gospodarczych. Jakiś skład węgla, wokół którego płot rozebrano i spalono; rzędy klatek na kury z powyginanymi prętami; jakaś pompa, ale bez dźwigni do pompowania.

Wszędzie wzdłuż rowu na poboczu, pełnego nieczystości, leżą zgubione lub porzucone rzeczy. Od sprzętów domowych, kołder, materaców po walizki, których wieka otwarły się przy upadku, wysypując ich zawartość: zniszczone ubrania i zdeptane buty.

Czasami natykają się także na grupy ludzi w kolumnach albo mniejszych grupkach. Większość z nich idzie z punktu zbornego przy więzieniu; maszerują w szyku piątkowym, z funkcjonariuszem Służby Porządkowej o dziesięć metrów od każdej grupy. Czasami porządkowy wykrzykuje wysokim głosem jakiś rozkaz, ale grupa jakby nic nie słyszała. Dopiero gdy przejeżdża wielki wóz, powoli, poskrzypując, na swych krzywych kołach, maszerujący zatrzymują się i patrzą. Ze swojego punktu widokowego na górze Staszek widzi, jak wychudzone twarze przesuwiają się bez cienia uśmiechu; i żadna ręka nie unosi się w pozdrowieniu.

Na Radogoszczu panuje ścisk i tłok. Przy magazynie stacji towarowej stoją lub siedzą ludzie wokół stert bagażu. Niemieccy wachmani chodzą nerwowo, z irytacją, wśród oczekujących i zmuszają kolbami karabinów tych, którzy usiedli, aby z powrotem wstali.

Jakiś oficer spostrzega ich wóz i wykrzykuje agresywnie jakiś rozkaz. To ostre polecenie sprawia, że także Niemcy z personelu stacji i robotnicy kolejowi przy stosach drewna i przy składzie metalowym, paręset metrów dalej, podnoszą głowy. Nagle przez tłum przebiega jakby szept, najpierw stłumiony, potem coraz głośniejszy:

— Pan Prezes jedzie...! Prezes...! Prezes...!

Staszek widzi twarze, obok których przejeżdża trupiarka, szeroko rozwarte ze zdumienia. Tak jakby nikt się nie spodziewał, że Prezes getta też tu będzie, do tego w takim ekwipażu! A mimo to j e s t tutaj. Staszek myśli o dokumencie, który ojciec kiedyś wyjął ostrożnie, żeby mu pokazać, a który, jak powiedział, nosił podpis samego Bradficha, *persönlich*. Wskazał uroczyście na wszystkie pieczętki. Ten dokument, wyjaśnił, ma być dla nich przepustką, dokądkolwiek by zechcieli jechać.

„Więc nic się nie bój, Stasiu...!”

Tylko że Staszek się nie boi. To Prezes się boi. Ze swojej góry bagażu Staszek widzi wyraźnie, jak raz za razem gładzi się po kieszeni marynarki, jakby się chciał upewnić, że dokument ciągle tam jest.

Wóz się zatrzymał przy dalekim końcu toru, w miejscu, gdzie kończyłby się peron, gdyby tu był jakiś peron. Teraz znajduje się tu tylko niewielka szopa z wystającym dachem, gdzie urzędują dyżurni ruchu, kiedy przyjeżdżają wielkie transporty towarowe. Pociąg już jest podstawiony na tor i Dora Fuchs ze swoim bratem, Bernhardem, czekają przy otwartych drzwiach wagonu, jakby wahali się, czy mają wsiadać. Pod wagon podjechała ciężarówka

z brezentową budą i na ziemi pod nią leżą bagaże całego towarzystwa, włącznie ze stertą klatek z trzciny i wikliny, w których księżna Helena trzyma swoje ptaszki.

Teraz, wraz z przybyciem Prezesa, księżna Helena budzi się jakby z odrętwienia.

— Obiecali nam osobny transport — mówi oskarżycielskim tonem — a teraz chcą, żebyśmy wsiedli do czegoś takiego...!

Jej mąż stoi przy niej. Na twarzy ma wyraz konsternacji, jakby akurat nie był w stanie skupić się na tyle, żeby wydobyć z siebie choćby słowo. Ale nie musi nic mówić. Wachmani nagle stukają obcasami, z towarzyszącym niegłośnym *Heil Hitler*, i przez tłum przepycha się w ich stronę Biebow.

Ma z sobą obu swoich współpracowników, Ribbego i Schwinda; wszyscy trzej wyglądają, jakby się oddawali jakiejś wstydlivej zabawie, jakby nie znajdowali się na stacji, tylko pod jakąś obsceniczną jarmarczną budą.

Jednak Biebow porusza się i mówi ze zdecydowaniem.

Biebow: No, to przyszła pora na odjazd.

Prezes: Ale była umowa, że dostaniemy transport.

Biebow: To jest ten transport.

Prezes (gmera w wewnętrznej kieszeni marynarki): Ale przecież to było uzgodnione...!

Biebow: Nie wiem, o jakiej umowie mówicie. Z Litzmannstadtu odchodzi teraz jeden transport, i to jest ten.

Prezes stoi z wyciągniętym przed siebie listem i w tym momencie wygląda niemal jak niewinny uczeń. Jednak gdy Biebow w dalszym ciągu nie chce nawet spojrzeć na papier, zdumienie na twarzy Prezesa ustępuje z wolna osłupieniu. Dzieje się coś sprzecznego ze wszystkim, co umiał sobie wyobrazić. Na swój niezdarny i bezradny sposób robi, co może, aby uratować sytuację.

— Gdybyśmy mogli przynajmniej dostać wagon tylko dla nas... — mówi i pieczołowicie składa dokument z powrotem; a Biebow zmienia nagle ton, jak na komendę:

— Ależ to całkiem oczywiste, naturalnie! — mówi i daje znak towarzyszącym mu ludziom, którzy z kolei dają znak wachmanom, by razem z nimi weszli do wagonu.

Po chwili dobiegają z wewnątrz podniesione głosy i z wagonu wychodzi grupka starszych mężczyzn, którzy najwyraźniej przez cały czas przebywali w wagonie. Patrzą na Rumkowskiego nieomal z pretensją, potem zaczynają wlec swoje kufry i toboły wzdłuż składu pociągu, zmierzając ku wagonom z przodu, przy których tłoczą się już setki wysiedleńców.

Dora Fuchs znika w wagonie, by przeprowadzić inspekcję. Wraca z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy, lecz wzrusza tylko ramionami. Na rozkaz niemieckich żandarmów paru robotników zaczyna wnosić do wagonu bagaż towarzystwa. Przechodzi kilku oficerów SS. Także im błąka się na ustach ten sam ukradkowy, lekko zażenowany uśmiech, jakby byli świadkami występu jakiejś trupy kuglarzy.

Staszek wchodzi do środka jako jeden z pierwszych. To zwykły wagon towarowy przedzielony w środku szeroką ścianką działową. Na podłodze leżą trociny.

— Przepraszam państwa za to, że warunki są może nieco prymitywne, ale niebawem znajdzie się okazja, żeby zamienić to na coś wygodniejszego — mówi Biebow. Lecz mówiąc, nie podnosi wzroku, żeby na nich spojrzeć. Teraz już także Prezes pojął, że obietnica, którą dostał, jest nic niewarta. Wychodzi stamtąd za Biebowem i jeszcze raz próbuje pokazać list podpisany przez Bradfische. Lecz i tym razem Biebow nie chce nawet spojrzeć na dokument.

Przez wagonowy lufcik, przy którym stoi Staszek, widać gromadę robotników w zniszczonych

i o wiele za szerokich spodniach, jak się prędko zbliżają, poganiani pałkami przez żydowską Służbę Porządkową. Na czele pędzonej gromady widać kilku z tych mężczyzn, których dopiero co wyrzucono z ich wagonu. Kilku Niemców, wachmanów, dołącza do grupy i za pomocą głośnych krzyków i zamaszystych gestów wpędzają całą gromadę przez drzwi wagonu Rumkowskiego.

Tam wewnątrz Rumkowski i jego brat wstają, żeby zaprotestować, ale nim zdążą zrobić parę kroków, ta ludzka masa wypycha ich z powrotem. Ostatni czepiają się pleców ludzi, których mają przed sobą, byle tylko nie spaść na ziemię, gdzie żydowska policja włacza ich, czym tylko może, rękami, łokciami i gumowymi pałkami. Wewnątrz wagonu rozlega się twardy łoskot, kiedy ktoś kopie i przewraca kibel w rogu. A potem cienki głos krzyczący:

— Wypuście mnie, wypuście mnie...!

To Prezes chce za wszelką cenę przedostać się do drzwi. Lecz setki wygłodzonych i zdesperowanych, krzyczących i płaczących mężczyzn i kobiet tarasują drogę; nie mogliby go przepuścić, nawet gdyby chcieli.

Staszek wciąż stoi przy lufciku. Widzi na zewnątrz paru robotników kolejowych idących wzdłuż toru. Jeden z nich trzyma łopatę i wzrok ma wbity w ziemię pod nogami, tak jakby szukał czegoś, co zgubił. Potem za tym człowiekiem z łopatą pejzaż zaczyna z wolna sunąć w tył, tak jakby właśnie on — ten pejzaż — a nie wagon ruszył w drogę. Chłopiec odwraca się do środka, w stronę mroku i ścisku w wagonie.

IV

Widzenie w mroku

(sierpień 1944 – styczeń 1945)

Wąskie pasemko światła: to wszystko, co mu służy za wskazówkę.

Gdy to pasemko światła znika, jest noc. Kiedy się znów pojawia, jest dzień.

To pasemko jest ostatnim schodkiem — ze światła — niepochwytne unoszącym się nad kanciastymi, zniszczonymi mocno schodkami, które wiodą z ziemianki na górę.

Ziemianka to chyba niewłaściwe słowo. W czasach gdy Feldman prowadził badylarnię, używał tego pomieszczenia do przechowywania cebulek i nasion, wszystkiego tego, co nie lubi światła i ciepła. Lecz jest tu tak ciasno, że ma wrażenie, jakby go wepchnięto do jakiejś studni. W tej dziurze ledwie mieszczą się jego ramiona. Nie da się usiąść ani położyć. Musi stać albo pójść z biodrem lub krzyżem wpartym w ziemną ścianę. Na samym dole — są cztery schodki, każdy mniej więcej po pół metra wysokości — ta piwniczna studnia przechodzi w wąską komorę: metr albo dwa długości i z pół tego wysokości. To tu załatwia swoje potrzeby. Sufit jest tak niski, że musi robić to, leżąc na boku, z twarzą w kierunku piwnicznego szybu i dolną częścią ciała wciśniętą w tę dziurę najgłębiej, jak tylko się da. Odchody są ciepłe i miękkie, ściekają po wewnętrznej stronie ud, a on nie ma niczego, żeby się podetrzeć prócz paru garści suchej trawy, którą zabrał z góry.

Lecz chociaż to nie do zniesienia, musi się z tym pogodzić.

„Od tej chwili nie żyjesz”, powiedział Feldman, zanim zaciągnął ciężką drewnianą pokrywę tworzącą sufit tej ziemianki.

Feldman obiecał, że spróbuje przychodzić z jedzeniem, kiedy tylko będzie mógł. To znaczy: kiedy komando, w którego skład wchodził, do oczyszczania getta, będzie wysłane na Marysin. Wtedy łatwiej będzie się urwać. Może się da, a może nie. Nikt nie wiedział. Ale jeżeli uda mu się, pod jakimś pozorem, dotrzeć tu do ziemianki, to zastuka trzy razy w pokrywę. To miał być sygnał dla Adama, że na zewnątrz zostawia coś do jedzenia.

Zanim odszedł, zostawił mu to, co mógł:

Kawałek chleba, dwie pomarszczone cebule, główkę kapusty, która już zaczęła gnić od środka.

Tak czy inaczej, Adam nie marzył. Jakaś resztkę skwaru późnego lata spłynęła także do tego ciemnego szybu i zdawał sobie sprawę, że nawet jeżeli minie dłuższy czas, ziemia go nadal będzie ogrzewała.

Światło zjawiało się — i gasło.

Próbował liczyć doby, ale wkrótce odkrył, że już po paru dniach traci rachubę i nie wie, czy to trzecia, czy piąta doba, którą siedzi tu na dole, czy może jeszcze dłużej.

Przeważnie stał, albo pólśniał, zgięty (by nie uderzyć w sufit) na którymś z tych wyciętych schodków.

Jeśli zasypiał, to na bardzo krótko, i głęboko: jakby tracił przytomność. Sen i czuwanie przenikały się nawzajem i niebawem przestało mieć znaczenie, czy panuje światło, czy mrok. Był za to głód. Głód złościł go od środka tak samo, jak by złościło światło. Rozświecił mu usta i gardło, i żołądek. Głodowe światło było wytrawne i białe, bez substancji, lecz ostre i oślepiające, jak rana w oczach.

Zastanawiało go, ile czasu upłynie, zanim przyjdzie Feldman.

Liczył pasemka światła, tak teraz wycieńczony, że zwielokrotniały mu się w oczach. Jedno pasemko stawało się tysiącami pasemek, jeden dzień tu na dole — tysiącami dni. Pojął, że jeżeli przesiedzi wewnątrz swojej ziemnej powłoki jeszcze jeden dzień, to całkiem straci rozeznanie, co jest co. Co tu jest wewnątrz, co na zewnątrz. Przestrzeń, czas.

Mimo to siedział dalej.

Myślał o psach.

Wcześniej czy później gestapo trafi także tu, do bacylarni Feldmana, w poszukiwaniu zbiegów. Mieli swoje listy, wiedzieli, kto posłuchał nakazu wysiedlenia, a kto próbował się ukrywać. Zaczną przeszukiwanie w getcie, a potem przejdą na Marysin.

Gdzie w takim razie będą szukać?

Feldman był święcie przekonany, że zadowolą się kantorkiem i piwnicą. To znaczy: właściwą piwnicą. Tą w domu. Kiedy nie znajdą ludzi w domu, to prawdopodobnie nie będą już szukać w ogrodzie, więc może być spokojny. Uważał Feldman.

Adam też uważał, że policjanci go nie znajdą. Tylko nie wiedział jak z psami. Właśnie ta myśl go absorbowowała, dzień za dniem.

Jeżeli mieli z sobą psy:

Czy dałoby się w jakiś sposób uszczelnić to pasemko światła pełniące także funkcję wywietrznika? Czy to by w ogóle pomogło? I czy wytrzymałby psychicznie totalną ciemność, dzień za dniem? Doszło do tego, że już wydawało mu się, że słyszy, jak dyszące psy rwą się ze swoich smyczy, słyszy, jak grzebią i drapią pazurami o kant drewnianej pokrywy. Ile to potrwa, zanim mu się wyda, że słyszy także trzy magiczne stuknięcia Feldmana?

Zdecydował, że póki co zachowa tę szczelinę światła.

Feldman nie przychodził; Adam w końcu pojął, że musi wyjść.

Był półprzytomny z głodu i pragnienia. Jeśli zostanie tu jeszcze godzinę albo dobę, to może nawet zabraknie mu siły, by unieść pokrywę, a wtedy będzie zmuszony tu siedzieć, aż ściśnie i powoli zacznie gnić.

Uważnie obserwował pasemko światła. Gdy światło z wolna zaczęło matowieć, wspiął się na najwyższy schodek i wyętzając ręce i kark, podniósł pokrywę.

Na zewnątrz: cichy, wilgotny wrześnieowy wieczór.

Powietrze, pierwsze hausty: szorstkie i ostre w płucach przywykłych do zbutwiałej ziemi i kurzu. Ledwie był w stanie powłóczyć nogami. Trzął się na całym ciele jak węgorz, a kiedy dreszcze nie ustępowały, zmuszony był wypuścić z rąk siebie samego.

Pozwolił sobie upaść w mokrą, zimną trawę i leżał chwilę bez ruchu i oddychał, patrząc w górę, na ciemniejące niebo.

Było tak mokro, że gwiazdy ledwie było widać; tylko rozmyta szara mgielka na nocnym niebie, tak delikatna, że długo nie był pewien, czy w ogóle coś widzi. Może to tylko świetlne zwidy od zbyt długiego przebywania w mroku.

Po chwili zdało mu się, że słyszy głosy.

Także z głosami było coś osobliwego. Przychodziły i odchodziły falami. Czasami blisko, a czasem się oddalały. Ale chociaż chwilami zdawały się bardzo bliskie, nie rozpoznał żadnego. Nie słyszał nawet, w jakim mówią języku.

Komando sprzątające getto skoszarowano w dawnej szwalni na Jakuba 16. Według Feldmana mieszkało tam trzystu ludzi. Oprócz tego był jeszcze kolektyw na Łagiewnickiej, gdzie według plotek rezydował Aron Jakubowicz, pod protekcją Biebowa. A zatem jeszcze dwieście, trzysta osób. Ponadto w getcie nie było już nikogo. Jeśli nie przyszedł jakiś rozkaz, by kopać okopy, to było nieprawdopodobne, aby o tej porze kogoś z komanda wysłano aż tu, na Marysin.

Do kogo więc mogły należeć te głosy?

Niemcy?

Feldman ostrzegał przed ryzykiem, że mogą postanowić zająć jego zakład jako jakąś kwaterę, choć nie uważał, że to zbyt prawdopodobne. Kuchnia i kantor nie nadawały się właściwie do niczego, a cieplarnia to niezbyt odpowiednie miejsce, by kwaterować policjantów. Już lepiej było trzymać oddziały zgrupowane w getcie i zadowolić się chodzeniem na Marysin za dnia, z konkretnymi zadaniami.

Czy może głosy dobiegały ze stacji na Radogoszczu? Wciąż trwał tam jakiś rozładunek? W jakim celu?

Adam obszedł cieplarnię wkoło parokrotnie, ciągle nie mogąc zrozumieć, co słyszy. Zapadał zmierzch. Nie było widać tam żywego ducha. Pomimo to te głosy rozmawiały. Ba, i nie tylko rozmawiały. Pozostawały jakby w stanie jakiejś ekscytacji, każącej im bez przerwy przerywać sobie i przekrzykiwać się nawzajem. I wciąż nie dało się zrozumieć z tego ani słówka.

Otworzył drzwi do głównego budynku. Drzwi ustąpiły pod jego dotknięciem, jakby wisiały luźno na zawiasach albo tylko powoli gniły. Pod nim kruchy trzask tłuczonego szkła. Te odłamki leżały tu od dnia, gdy Samstag ze swoimi ludźmi w przypiływie szału potłukł wszystkie prywatne eksponaty Feldmana.

Tu wewnątrz światło było osobliwe, łagodnie zielonkawe, jakby wciąż filtrowane przez

zbutwiały osad kurzu i pleśni na ściankach szklanych pojemników.

W kuchni, w kantorze Feldmana znalazł czajnik, który napełnił po same brzegi wodą z pompy koło szop gospodarczych. Gdy już ugasił pragnienie, obmył się resztką wody. Najpierw krocze i uda; potem także tułów i pod pachami, i twarz.

Ale powstrzymał się przed wycieraniem. Gdyby przyszli z psami — a była to chyba tylko kwestia czasu — to te ręczniki czy gałgany, którymi się wytarł, byłyby nieomylnym śladem.

Wrócił nagi, zmarznięty do kantoru i przejrzał wszystkie ciuchy zostawione przez Feldmana. Zwykle jesienią, gdy zaczynało być zimno i mokro, Feldman wkładał parę workowatych, szerokich kozuchowych spodni. Byłyby za krótkie na Adama, ale ponieważ były tak obszerne w kroku, z pewnością by się w nich zmieścił. Znalazł też jakiś płaszcz i derkę, która mogła się przydać jako podkładka pod plecy i kark, kiedy opierał się głową i plecami o nagi kamień.

Swoje własne łachy zwinął w wypchany tobół. Musiał je zabrać z sobą z powrotem do piwnicznej dziury. Wszystko, czego używał tu na górze, musiał zabrać z sobą na dół. Jednak nie zdobył się na to, by natychmiast zleźć z powrotem do tego śmierdzącego, ciasnego szybu. Skoro już jest na górze, musi spróbować zdobyć sobie coś do jedzenia. Siedział okutany w Feldmanową derkę i usiłował wyobrazić sobie tak pilnie wcześniej strzeżone sady owocowe. Który płot otaczał którą działkę. Wyludnienie getta poszło wszak tak prędko. Gdzieś na drzewach musiały pozostać niezebrane owoce.

Jeszcze odczekał. Teraz nie było żadnych głosów. Wydało mu się, że ta cała wilgotna przestrzeń w górze wstrzymała oddech tylko po to, by się na niego rzucić, skoro tylko wyjdzie. Próbował unikać żwiru i kamieni pod stopami. Jednak świszczący dźwięk mokrej trawy, kiedy przez nią kroczył, rozbrzmiewał mu w uszach jak krzyk.

Wzdłuż niskiego wzniesienia, gdzie była ziemianka, przebiegał niski, kamienny mur. Po drugiej stronie muru wytyczono teren pod uprawę buraków. Pamiętał, że na wąskim skrawku kamienistej ziemi biegnącym między zaoranym polem buraczanym a drogą przechodzącą obok warsztatu Praszkiara rosło parę jabłonek. Zuchwale przelazł przez mur, następnie przez żelazny parkan, którego wprawdzie nie pamiętał, lecz który teraz tam stał: rząd zardzewiałych prętów wyrastający jak klatka z wysokiej do pasa trawy i gąszczu dzikich malin.

Teraz stał pod drzewami. Ich korony znikwały w nocnej mgłę ponad nim. Widział, gdzie zaczynają się gałęzie, ale nie widział, gdzie się kończą.

Dokoła niego panowała śmiertelna cisza. Żaden ptak nie zerwał się, wystraszony, z trzepotem skrzydeł. Zdawało mu się, że widzi wiszące owoce jako bryłki głębszego mroku w mroku nocy. Albo roily mu się tylko, ponieważ myśl, że na drzewie mogły być jeszcze owoce, była tak mocna i upajająca, że wypierała wszystko inne.

Obiema dłońmi ściskając gruby pień, spróbował strząsnąć jabłka. Gałęzie tuż nad jego głową ledwie drgnęły. Wtedy oplótł pień nogami, pochwycił zwisającą nisko gałąź i podciągnął się. Ale to, co brał za owoce, okazało się tylko formacjami liści, owoce wisiały głębiej i były jeszcze niedojrzałe. Guguły miały kwaśny, cierpki smak; wkrótce paliło go podniebienie i bolały szczęki. Ale mimo to jadł, potem w pasie tych grubych kozuchowych spodni Feldmana zrobił fałdę i napełnił ją wszystkimi owocami, jakie tylko był w stanie pozrywać.

Stał potem na ziemi pod drzewem, z pękniętą ciszą dookoła. Ale ani dźwięku po tym, jak wykołysała się po nim ostatnia gałąź. Żadnego ruchu poza jego własnym oddechem i szumem krwi za oczami.

Gdzie się podziały te wszystkie głosy?

Tej nocy śniło mu się, że razem z Lidą są zamknięci w jednym z licznych błyszczących, szklanych pojemników Feldmana. Między szklanymi ściankami było tak ciasno, że żadne z nich nie mogło się poruszyć. Kiedy udało mu się w końcu podważyć głowę i przygiąć brodę do dołu, spostrzegł, że jego własne ramię i piersi Lidy, i jej broda też są ze szkła i że ich ciała poniżej szyi stopiły się z sobą w jedno szklane ciało. Piersi i brzuch, i tułów sklezione najciaśniej, ich półprzezroczyste ramiona i głowy rozdzielone tylko tak, że od biedy mogli widzieć nawzajem swoje rysy.

I żadne z nich nie mogło się poruszyć.

Z ust Lidy ciekła flegma, czy może tylko lepka ślina, a gdy tak ciekła, ona także zastygała i zamarzała w szkło. Chciał się wychylić ku niej, żeby zlizać ten zimny śluz z jej warg, ale udało mu się tylko przekręcić twarz w bok, a wtedy jego krucha głowa stuknęła w ściankę pojemnika.

Zlizywał więc tylko zielony osad po wewnętrznej stronie pojemnika.

Osad był nieoczekiwanie gruby i szorstki, lecz chociaż pozostawiał na języku słodkawą, tłusto-
mdłący posmak, nie mógł powstrzymać się przed zlizywaniem całej tej zieleni.

Głód rwał go teraz i uciskał w jamie brzusznej, tak jakby jego ciało, po tym jak zrosło się z ciałem Lidy, rozděło się w olbrzymi szklany guz: głodową kulę tkwiącą w nim i kaleczącą go ostrymi krawędziami.

Ocknął się w mroku ze strasznymi skurczami żołądka i ledwie zdążył zwlec się do komory, gdzie załatwiał swoje potrzeby, zanim trysnął z niego kał.

W skurczu za skurczem, niemal do omdlenia.

Wytarł się potem od biedy łachami, które miał, lecz pojął jednocześnie, że nie może pozostać tutaj na dole.

Jakkolwiek wielkie byłoby ryzyko, że ktoś go zobaczy.

Od tej pory przebywał „na górze” co najmniej parę godzin dziennie.

Dni były łagodne. Ta wilgoć, która wieczorami i nocami spowijała niebo i pejzaż w kokon nieprzeniknionej mgły, za dnia powodowała tylko, że słoneczne światło stawało się pastelowe. Domy i szopy ze ścianami z niemalowanymi desek i krzywymi narożami, parkany i kamienne ogrodzenia, drzewa z ciężkimi i mokrymi jesiennymi koronami: wszystko było zmiękczone. Trawa bladła mu pod stopami. Znużenie i głód prawdopodobnie potęgowały jeszcze to uczucie, że wszystko mięknie. Ale miał też wrażenie, że sam się rozpuszcza. Albo raczej ulatnia: w jakiejś wolnej przestworza.

Któregoś dnia zdawało mu się, że słyszy z daleka strzelaninę. Najpierw pojedyncze wystrzały, potem serie z broni maszynowej.

Strzelanie trwało może z dwadzieścia minut z krótkimi i dłuższymi przerwami. Wsłuchiwał się intensywnie, żeby sprawdzić, czy echo się nie skraca i strzelanina nie zbliża. Ale nic się takiego nie stało. Po pewnej chwili znowu zapadła cisza i wkrótce o wszystkim zapomniał.

Innego dnia zdawało mu się, że widzi jakieś postacie poruszające się na wielkim polu przy cmentarzu. Koło dwudziestu ludzi: szli jakby w szyku, gęsiego. W bladej słonecznej mgle zlewały się kontury ciał, w końcu zniknęli.

Myślał o Feldmanie.

Dlaczego nie przyszedł? Czy Niemcy go trzymali cały czas pod kluczem, czy pod takim ścisłym nadzorem, że nie miał żadnej możliwości, by się wymknąć? Albo jeszcze gorzej: nakryli go, kiedy próbował wrócić na Marysin i zastrzelili go?

Wiedział, że musi liczyć się z tą możliwością.

Jeśli Feldman nie przyjdzie, musi spróbować radzić sobie na własną rękę.

Dzień po dniu, na ile siły pozwalały, poszerzał teren swoich eksploracji.

Kwartał po drugiej stronie jego ziemianki, gdzie nocą zrywał tamte pomarszczone, kwaśne jabłka, zajmowały nieduże drewniane domki i szopy, zapadające się w swe zarośnięte zapomnienie. Wiele z nich należało wcześniej do bogatych „mieszczuchów”, którzy mieli dobre *plejces*. Jeśli tu nie mieszkali sami, to „wynajmowali” ludziom z jeszcze lepszymi kontaktami. Niejaki Tausendgeld był przy tym pośrednikiem.

W niektórych domkach drzwi i okna stały teraz szeroko otwarte na jesienne światło.

Opuszczone pokoje: sypialnie z przewróconymi łózkami o sterczących sprężynach, otwarte drzwi szaf z zawartością na wpeł wywleczoną; wszędzie na podłogach zdeptane ubrania i pościel. W kuchniach jednak nic ciekawego lub bardzo niewiele.

Ciekawe było to, co nadawało się do zjedzenia. W jakimś otwartym kredensie znalazł zeschnięty kawałek chleba, tak spleśniały i twardy, że nie dało się nawet wbić w niego zębów. Spróbował trzymać cały kawałek w ustach, lecz nawet to go nie zmiękczyło.

W innym domu znalazł puszkę z fasolą konserwową. Po paru godzinach roboty kamieniem i grubym dłutem udało mu się ją otworzyć, lecz zepsuta zawartość oblała mu rękę jak sycząca, trująca piana. Smród był tak przeraźliwy, że nie zniknął, nawet gdy umył ręce w zimnej studziennej wodzie i wyszorował je piaskiem.

W jeszcze innym domu na dnie jakiejś szafy znalazł pieniądze. Rumki. Wszystkie trzy szuflady w szafie miały dno wymoszczone ceratą, a pod warstwą ceraty leżały banknoty, setki banknotów, wygładzone pieczołowicie, żeby nie było widać najmniejszego wybrzuszenia. Stał

z pełną garścią nic niewartych gettowych banknotów, i gdy pomyślał sobie, jak ktoś rok za rokiem oszczędzał i ściubił te śmieszne papierki, w przeświadczeniu, że kiedyś będzie mógł sobie coś za nie kupić, zaczął się śmiać. Przez parę minut zataczał się, chodząc po domu w tę i w tę z nic niewartymi banknotami w ręku, i tylko wył i zachłystywał się ze śmiechu. W końcu się opanował. Jeśli będzie w ten sposób marnować energię na histeryczne wybuchy, to wkrótce zabraknie mu sił.

Dotarł do Marynarskiej, na róg Zbożowej. Po drugiej stronie kwartału leżało Centralne Więzienie, w którym niegdyś rządził potężny Szlomo Hercberg i gdzie później trzymano ludzi przeznaczonych do tak zwanej rezerwy robotniczej. Stał, rozmyślając, czy więzienie wciąż jeszcze może być zamieszkane, na przykład jako koszary, gdy nagle niebo pękło, rozdarte okropnym hukiem.

Trzy samoloty w zwartym szyku, na bardzo niskiej wysokości.

Padł plackiem na ziemię i przykrył rękami głowę.

Sekundę później, jakby po namyśle, rozwyły się syreny obrony przeciwlotniczej w Litzmannstadcie. I na to wściekłe wycie, które nagle wypełniło ocean powietrza ponad nim, nie pomagało przyciskanie przedramion do uszu. Alarm wrzynał się ciągle jak piła. Potem niebo rozerwał nowy huk, i te trzy samoloty wzbiły się znowu z dachów zabudowań wprost do nieba; tym razem ścigane ciężkim, jakby leniwym grzechotem baterii przeciwlotniczych dobiegającym gdzieś z daleka.

Ciągle leżał na środku drogi, tam gdzie go przewróciła fala dźwięku. Nigdy przedtem nie widział obcych myśliwców z tak bliska. Jakaś euforia rozlała się ciepłem z żołądka aż po koniuszki palców. Więc ich wyzwoliciele musieli być całkiem blisko, może nie dalej jak parę kilometrów.

Gdy tylko syreny ucichły, tak jakby dźwięk zaplątał się nie wiedzieć jak sam w siebie, rozległy się dokoła podniecone krzyki po polsku i niemiecku. Przekreślił szyję i zobaczył, jak z narożnego domu dwieście metrów dalej wybiega dwóch żołnierzy Wehrmachtu. Sekundę potem wytoczył się za nimi wielki czołg, który przypuszczalnie chował się na dziedzińcu Centralnego Więzienia. Przez moment stał, celując swoją długą lufą prosto w niego. Później znów jakiś ruch żołnierskich ciał przed czołgiem i za czołgiem, i lufa godnie i powoli zwróciła się w bok.

Zrozumiał, że ci niemieccy żołnierze zobaczyliby go, gdyby tak bardzo im się nie spieszyło i gdyby sami nie byli tak wystraszeni. I gdyby Adam nie leżał. Skoro tylko zniknęli z pola widzenia, zaryzykował: wstał i skulony wbiegł do najbliższego domu.

Powinien był wiedzieć, na co się naraża.

Ta cisza w getcie — te wyludnione ulice, puste domy — wszystko było tylko pozorne.

W każdym z tych na pozór pustych budynków, które mijał, mógł leżeć jakiś niemiecki żołnierz, wodząc za nim lornetką lub celownikiem karabinu.

Nie wolno było mu o tym zapominać.

Kiedy ostatni raz był w dawnym domu dziecka na Okopowej, pomagał Feldmanowi znosić węgiel do kotłowni w piwnicy. W tym okresie Zielony Dom już przestał być ochronką i przeszedł pod administrację zarządzającą także *hejmami* dla gettowych dygnitarzy. Jeśli na Marysinie jest jakiś budynek, gdzie można by znaleźć schowane jedzenie, myślał Adam, to jest właśnie ten.

Pomimo to Zielony Dom zdawał się otoczony jakimś niewidzialnym płotem albo murem.

Przechodził obok niego parokrotnie, ale nie zdobył się na to, by tam wejść.

Lidy z pewnością nigdy nie trzymano tutaj. A jednak coś, co miał w pamięci, w obrazie jej nagiego, zsiniałego z zimna ciała na progu tamtego „sanatorium”, zmieniało także obraz tego domu. A może myśl o wszystkich dzieciach, które tu mieszkały. Pamiętał je, jak czasem stały nieruchomo wczepione palcami w stalową siatkę, która otaczała boisko na tyłach domu. Błede twarzyczki, jak widma. Chociaż to był pogodny dom. Pamiętał te niosące się daleko rozkrzyczane i śmiejące się dziecięce głosy.

W końcu zebrał się na odwagę i wszedł.

Trupi zaduch był niemal obezwładniający.

Właściwie cały czas tego się spodziewał. W którymś z domów musieli być zmarli.

Ludzie zbyt słabi na to, by na własną rękę dotrzeć do punktów zbornych. Ludzie, którzy w ostatniej chwili próbowali się ukryć. Ludzie, którym tak samo jak jemu brakowało jedzenia i wody, aby utrzymać się przy życiu. Chyba że to Niemcy zdążyli przeszukać te domy i pozabijać tych, których znaleźli, a potem zapomnieli sprzątnąć trupy. Bo jaki był sens zajmować się tymi ciałami, skoro ostatni transport już opuścił getto.

O ile inne domy nosiły wyraźne ślady pospiesznej ewakuacji, Zielony Dom sprawiał wrażenie totalnie zdewastowanego. Wszystkie stoły w kuchni były poprzewracane, to, co zostało ze sprzętów kuchennych — garnki, pokrywy, talerze — powywlekane z wszystkich szaf. W wąskim korytarzu między sienią a salką, którą Feldman nazywał Różowym Pokojem, ktoś zerwał podłogę tak, że na samym środku ziała duża, szeroka jama. Po pianinie, które tu zwykle stało, nie było ani śladu. Przypuszczalnie uległo kofiskacie, kiedy Biebow podjął decyzję, że wszystkie instrumenty w getcie mają zostać oddane do punktu skupu; o ile go nie porąbano o wiele wcześniej na opał.

Lecz tutaj też wdzierał się smród.

Oddarł kawałek zasłony leżącej na przewróconej sofie w kącie salki i obwiązał nim sobie nos i usta, jak maską.

Potem ruszył schodami na górę.

Szedł powoli, przystając na każdym stopniu i nasłuchując.

Ludzie, którzy ostatnio tu gościli, musieli korzystać z samych schodów do załatwiania swoich potrzeb, bo tu i tam walały się zaschnięte resztki ludzkich ekskrementów. Obok szmat, kartek wyrwanych z książek i dziecięcych zeszytów; tu szczątki jakiegoś buta męskiego, z którego zdarto i obcas, i przyszwę.

Na piętrze już nie było wątpliwości, skąd dochodzi ten trupi odór.

Jedną ręką przyciskając do twarzy prowizoryczną maskę, a drugą podpierając się o ścianę, przeszedł korytarzem aż do pokoju kierownika i pchnięciem łokcia otworzył drzwi.

Werner Samstag leżał na wznak na wąskiej sofie koło biurka doktora Rubina. Nie było wątpliwości, że to on. Miał na sobie ten sam, przypuszczalnie nowo uszyty, lecz teraz mocno

przybrudzony policyjny mundur, który miał tamtym razem, gdy pojawił się w domu u Feldmana, żeby spróbować wyciągnąć od Adama listę Lajba z potencjalnymi zamachowcami i wywrotowcami.

Głowa musiała uprzednio spoczywać na poręczu sofy, ale po tym, jak padł strzał (czy raczej wskutek tego wystrzału), zsunęła się i teraz zwisała w pół drogi ku podłodze. Właśnie ta okoliczność, że głowa i pół tułowia zwisały, podczas gdy reszta ciała spoczywała wyprostowana na sofie, nadawała twarzy osobliwy wygląd. Lewa strona głowy, tam gdzie wtargnęła kula, była czarna od zakrzepłej krwi. Reszta twarzy obrzmiała i prawie niebieska, język wyłaził mu spomiędzy warg tak, że to wyglądało, jakby martwa głowa szydziła z niego tym grymasem.

Zrobił na próbę krok do środka — i chmary much natychmiast poderwały się z tego opuchłego, śmierdzącego ciała. Widział robactwo kłębiące się w otwartej, brunatnej ranie w głowie, tuż przy szyi. Lecz tym, co go najbardziej interesowało, był pistolet, wciąż tkwiący w prawej dłoni Samstaga.

Skąd on wytrzasnął tę broń?

Było zupełnie niewyobrażalne, by Samstag miał tyle władzy, żeby móc paradować po getcie uzbrojony jak Niemiec.

Ktoś musiał załatwić mu tę broń — albo użył jej przeciw niemu.

Adam był teraz całkiem blisko trupa. Krew z rany postrzałowej w głowie spłynęła, z powodu ułożenia ciała, po ramieniu i po wewnętrznej stronie ręki, pod rękawem marynarki, aby potem rozgałęzić się nad przegubem, spoczywającym ciężko na podłodze. Także palce zaciśnięte na rękojeści pistoletu zaskorupiały w gęstej, zastygłej krwi. Oderwał szmatę od ust, zrobił z niej coś w rodzaju rękawiczki, a potem spróbował rozchylić trupowi palce, jeden po drugim, aby móc wyjąć z nich pistolet.

Przez ciało przebiegło westchnienie, jakby nawet po śmierci broniło się przed zadawanym mu gwałtem. Ale po chwili udało mu się odgiąć wszystkie palce i oderwać zakrwawioną broń.

Troskliwie zawiązał pistolet w szmatę i zniósł go na dół do kuchni, gdzie poustawiał stoły i krzesła mniej więcej tak, jak kiedyś zwykle stały. W ten sposób miał już przynajmniej gdzie usiąść.

Wodą ze studni na dziedzińcu i jeszcze jednym kawałkiem zasłony udało mu się oczyścić lufę i rękojeść. Sądząc po wyglądzie, było to zwykłe niemieckie parabellum, jakie każdy niemiecki oficer nosił w kaburze. Adam Rzepin wiedział o broni tylko, jak wygląda i jak się zachowują ludzie, którzy ją noszą.

W magazynku nie został jednak ani jeden nabój.

Kula, która zabiła Wenera Samstaga, musiała być ostatnia.

Pistolet był więc jako broń bezużyteczny, jeśli nie znajdzie innych magazynków schowanych gdzieś na górze, w pokoju Rubina.

Siedział i ważył broń w dłoni, próbował wyobrazić sobie, ile by mógł za nią dostać, gdyby udało mu się opchnąć ją na Pieprzowej, na pewno z parę tysięcy marek, jeżeli ktoś w ogóle ważyłby się mieć z nią do czynienia albo odsprzedać ją dalej. Gdyby gestapo zwęszyło, że na czarnej giełdzie można załatwić sobie prawdziwą broń, to pewnie wysadziłoby całe getto w powietrze.

Ale czy Samstag dostał broń, czy kupił ją, czy może ukradł, nie miało właściwie znaczenia. Ważne było, że on — Adam — miał ją teraz w posiadaniu.

Wenera Samstaga także miał w swoim posiadaniu.

Adam pojął natychmiast dwie rzeczy:

Jeśli ten trup mógł tutaj leżeć nie odkryty, istniała szansa, że on sam ujdzie cało. Psy — jak tu przyjdą — od razu wykryją i wskażą martwe ciało. A wtedy Niemcy szybko postarają się usunąć i pochować albo spalić zwłoki. Miał nadzieję, że później zostawią już Zielony Dom w spokoju.

Siedząc w kuchni, w blaknącym świetle z okien dookoła, zdecydował, że się wprowadzi do Samstaga, który ostatecznie postanowił wrócić do domu. Samstag mógł sobie leżeć tam, w pokoju dyrektora. On sam mógł zamieszkać w piwnicy.

Zaledwie parę dni po tym, jak rozgościł się w Zielonym Domu, rzeczywiście przyszli. Mieli ze sobą psy, dokładnie tak jak przewidywał. Jedyne, co go zaskoczyło, to że przyszli tak wcześnie, jeszcze nim zdążył się obudzić, a budził się zawsze na długo przed świtem. Słyszał nad głową chrzęst i szuranie wojskowych butów o deski podłogi. Wołające głosy. Ciężki łomot lub stuk, jakby wywlekanych czy przewracanych przedmiotów. Kogoś klnącego, półgłosem i wytrwale, po niemiecku.

Błagał Lidę, opanuj się, proszę.

Skoro tylko znowu przekroczył próg Zielonego Domu, od razu pojął, że Lidzie to się nie spodoba. Znalezienie ciała Samstaga nie poprawiło bynajmniej sytuacji.

Przez cały dzień wierciła się niespokojne, a wieczorem znów się ku niemu rzuciła. Akurat klęczał w pomieszczeniu będącym niegdyś kuchnią Zielonego Domu i przeszukiwał jakiś kredens. Zapadł zmierzch i mrok sięgał aż po lśniące blaty stołów, i jedyne, co widział, to jej rozczapierzone ręce sunące w ciemności z przygiętymi do środka palcami, jakby chciała wydrapać mu oczy. Twarz była znowu szklana, z wargami i policzkami zastygłymi w wyrazie, który już nie był wyrazem, lecz nieznośną maską lub grymasem. Szybko udało mu się wpełznąć pod jeden ze stołów i schronić się za jego błyszczącym blatem jak za tarczą.

Nie rozumiał, skąd bierze się jej gniew. Nigdy nie zaznał tej jej nienawiści, dopóki jeszcze żyła. Co się z nią stało z chwilą przejścia do świata umarłych, jeśli to nie jest tylko to, że ciągle jeszcze istnieje granica między żywymi a martwymi?

Teraz modli się do niej i świadomie powściąga i łagodzi swoje ruchy, żeby nie wzbudzić ponownie jej gniewu.

Ale teraz Niemcy są tuż nad jego głową.

Psy szczekają i skomlą, i skrobią pazurami o drewno klapy do piwnicy.

Słyszysz żołnierskie buty chodzące w koło na górze.

Prawdopodobnie szukają skobla klapy, żeby móc ją podnieść.

Pod swoją szklaną twarzą siedzi Lida, wstrzymując oddech tak samo jak on.

Kłapa unosi się ze skrzypem prosto nad nim. Błądzący snop światła latarki obmacuje nagie mury, których powierzchnię pokrytą siatką pęknięć widzi w tej chwili po raz pierwszy.

Potem nagle zza ostrej plamy światła dobiega głos:

— *Franz! Komm zu mir hoch!* — i astmatycznie dyszące psie pyski, które dopiero co schylały się nad krawędzią otworu, cofają się, szarpnięte smyczą, i kłapa spada z głośnym trzaskiem, który wzbija duszące kłęby węglowego i drewnianego pyłu. Wewnątrz mroku Lida i on są znów nieważkimi ciałami bez kresu.

Jeszcze przez jakiś czas Niemcy szwendają się tam na górze. Słyszysz, jak drewno podłogi trzeszczy i skrzypi pod ciężarem powolnych, wydłużonych kroków. Przypuszczalnie schodzą po

schodach, znosząc trupa. Potem nagle znajdują się już na zewnątrz. Ich głosy mają inne brzmienie, zamazywane szybko przez wiatr lub odległość. Niejasno zdaje mu się, jakby słyszał ostry odgłos szpadli. Chcą pogrzebać Samstaga na miejscu? I co to oznacza dla niego? Czy będzie mógł tu pozostać? Czy umarli słyszą?

Od tej pory nigdzie nie rusza się bez broni, nosi ją za pasem Feldmanowych spodni. Te spodnie są tak szerokie, że gdy tylko wykona jakiś nagły ruch, pistolet zsuwa mu się w krocze. Nigdy by nie był w stanie z pistoletem przebiec dłuższego dystansu. Ale podoba mu się, że go ma, i lubi go czasami wyjąć tylko po to, by go potrzymać i bliżej mu się przyjrzeć.

Pomyśleć tylko. Uzbrojony Żyd.

Czasem udaje, że przystawia lufę do głowy któregoś z tych Niemców, dla których Lida tańczyła. „A teraz twoja kolej, spróbuj, czym to pachnie!”, mówi i wwierca nieszkodliwą lufę pistoletu w jakąś ścianę czy jakiś pień drzewa, czy co tam trafi mu pod rękę. Jednak właściwe słowa nie chcą przyjść i jeśli w wyobraźni przytyka lufę do niemieckiej skroni, to ta też nie chce eksplodować jak należy, wśród prochu, dymu i krwi, kiedy wreszcie szarpie za spust i oddaje ten urojony strzał. Czegoś brakuje.

Wyraźnie teraz pochłodziło.

Od ziemi ciągnie wilgocią.

W kwartałach za Karola Miarki, gdzie Prezes miał swoją letnią rezydencję i gdzie krążyły niegdyś patrole ochroniarzy z Sonder, dęby i klony stanęły w płomieniach. Klony płoną jaśniejszym płomieniem, dęby mroczniejszym, rdzawobrazowo; liście lśniące wilgocią po dniach słoty czy mgły, obramowane cienką nitką srebra po jasnych nocach z przymrozkami.

Tak, nadciągają mrozy. Adam wie, że wcześniej czy później będzie musiał zacząć opalać. O ile tylko znajdzie coś do spalenia.

Na razie jeszcze sypia na podkładzie z desek, które wylał z kuchennej podłogi i rozłożył w piwnicy Zielonego Domu; zawinięty w starą końską derkę znalezioną jeszcze u Feldmana. Ale wkrótce to już nie wystarczy. Z dnia na dzień wilgoć w ścianach sięga coraz wyżej. Wzera się we wszystko, czego dotknie: w zakamarki pachwin i pach, pod samą skórę. Adam czuje, jak obejmuje mu kręgosłup; jak chwyta w twarde uścisk nawet samą czaszkę.

Kłęb pary z ust świecący przed nim jak śmiertelna mgła.

Nie ma pojęcia, jaki to dzień tygodnia ani jaka data. Lecz ze sposobu, w jaki światło kładzie się na polach, rozmazując kontury tego, co jeszcze zostało z zieleni między drzewami i murami, wnioskuje, że to schyłek października albo początek listopada.

Mróz nadchodzi nocami coraz częściej, podobnie jak rozwlekła, biała, zimna mgła nad ranem, która zalega czasem nawet do południa, gęsta jak syrop.

Patrzy na słońce stojące nad horyzontem, jak zawieszony w gigantycznym prześcieradle, nabrzmiałe i zasznurowane. Ptaki wzbijają się z kupy kamieni przy drodze i krążą wrzaskliwą chmarą w powietrzu; wyglądają jak wielkie, krzywe koła wozu toczącego się po niebie.

Siedząc tam, na kamiennej cembrowinie studni przed Zielonym Domem, widzi któregoś dnia człowieka idącego w górę Zagajnikowej.

Mimo że mężczyzna jest wciąż tak daleko, że widać tylko zarys jego sylwetki, Adam poznaje Feldmana. To coś w jego sposobie przykucania przed każdym krokiem, jakby nastawiał całe ciało na długi i uparty, mechaniczny marsz. Nikt inny nie chodzi w ten sposób.

Adam odsuwa bezpiecznik pistoletu i wspiera prawe przedramię na lewej dłoni, podczas gdy celuje. Trzyma ramię wyprostowane tak długo, aż Feldman podchodzi dość blisko, by zobaczyć, co Adam ma rękę.

Feldman przystaje, patrzy prosto w wylot lufy. Niemy, zdezorientowany.

Adam też się nie rusza.

Feldman zaczyna z wolna odsuwać się na bok, jakby chciał zejść z linii strzału. Adam mu towarzyszy pistoletem. Feldman ma taką zszokowaną minę, że Adam parska w końcu śmiechem. Upuszcza broń na kolana.

— Skądżeś u licha to wytrzasnął? — mówi Feldman, gdy wreszcie podchodzi. Zdaje się jeszcze bardziej pomarszczony pod swoim kożuchem i czapką niż zwykle; ale to ten sam Feldman.

— Czemu tak długo cię nie było? — mówi tylko Adam.

Feldman tłumaczy, że przez cały czas trzymali ich skoszarowanych na Jakuba. Czasami z rana dzielili ich na brygady i prowadzili do roboty w różnych miejscach getta. Najczęściej chodziło o uprzążanie biur i wydziałów. Codziennie wywalali masę dokumentów z biurek i szaf kartotekowych, by potem spalić wszystko w wielkich beczkach. Przez myśl mu nie przeszło, powiada, że getto produkowało aż tyle papieru.

Następnie przyszła kolej na resorty. Wywozili frezarki i szlifierki z fabryk wyrobów drzewnych na Drukarskiej i Bazarowej. Niektórzy nawet demontowali i rozkręcali na części wielkie kotły parowe i magle, i prasownice w pralniach. Wszystko to wywożono na Radogoszcz i ładowano do pociągów jadących na zachód, gdzieś dalej od frontu.

Taki zatem był sens tych nocnych odgłosów. Konwój idących mężczyzn, który widział na horyzoncie, zmierzał zatem na stację towarową.

— Ktoś jeszcze tam został? — pyta.

— Gdzie?

— Na Radogoszczu?

Feldman kręci głową.

— Tylko my, z komanda. Najwyżej paręset ludzi.

— Jankiel?

— Nie wiem. Jankiel nie żyje. Większość już nie żyje.

Lecz Adam nie jest przekonany. Zauważa, że coraz trudniej mu spamiętać, kto nie żyje, a kto wciąż jeszcze trzyma się przy życiu. Szaja, jego ojciec — majaczy mu w pamięci błądy obraz ojca, jak maszeruje w kolumnie mężczyzn konwojowanych z Centralnego Więzienia na stację. A Lajb? Zamiast twarzy widzi teraz jedynie szczury w zardzewiałej klatce. Nawet Lida wyglądała na żywszą od Lajba.

— Przyniosłem ci coś niecoś do jedzenia — mówi Feldman.

Rozsupłuje węzełek, który miał przywiązany pod kozuchem, brudną chustkę do nosa z paroma kawałkami suchego chleba; dwadzieścia deka kiełbasy, dwa zeschnięte ziemniaki. Adam widzi sam siebie, jak dotyka wszystkich tych cennych rzeczy, nie pośpiesznie i łapczywie, tylko jak insekt badający kawałek owocu, wolno i ostrożnie. Zebranie takiego skarbu musiało potrwać kilka tygodni, po kawałeczku oszczędzanym codziennie z własnej skąpej racji.

— Skąd wiedziałeś, że jestem tutaj? — pyta Adam.

— Nie wiedziałem. Mam polecenie przynieść szpadle.

Adam zapomina najprostsze rzeczy. Teraz zapomniał przełknąć. Ślina ścieka mu z boku brody. Feldman pochyla się ku niemu i ściera strużkę wierzchem dłoni.

— Tu nie ma żadnych szpadli — mówi Adam. — Już szukałem.

Siedzą chwilę w milczeniu.

Potem Feldman pyta, jak mu idzie. Adam mówi, że ma tyle, że mu starczy. Chodzi od domu do domu. Bierze, co jest. W wielu sadach są jeszcze owoce: zmarznięte i robaczywe jabłka, smakujące jak stare gugudy. Na dawnych ogródkach działkowych też da się wygrzebać z ziemi buraki. Trafił nawet na grządkę ze świeżą cebulą. Masz pojęcie, Feldman? Prawdziwa cebula. W jednym z domów znalazł kuchenkę naftową. Tylko nie ma nafty.

Rozmyślał, czy by nie spróbować palić w niej olejem. Kanister z olejem opałowym, doprowadzony na stacji, wciąż przecież stoi w budylni, ale się nie odważył, z obawy, że dym kogoś ściągnie. Poza Niemcami, mówi, przez ten cały czas nikt tu się nie pojawił.

Gdy tak opowiada, Feldman siedzi i patrzy na pistolet na kolanach Adama. Więc Adam musi jednak opowiedzieć o Samstagu. Właściwie nie chce, lecz rozumie, że nie ma wyboru.

Feldman siedzi długo w milczeniu, tak długo, że Adamowi wydaje się, że zamilczy o tej sprawie. Ale po chwili mówi, że na Jakuba rozmawiali o Samstagu. Są tacy, którzy utrzymują, że wyjechał ostatnim transportem, tym samym, co Rumkowski i jego rodzina. Niektórzy z jego własnych ludzi mówią, że otrzymali rozkaz, by go szukać. Że nawet Niemcy szukali go po getcie. Że się go boją. A najbardziej Biebow. Biebow podobno wyznaczył nawet nagrodę dla tego czy dla tych, którzy złapią żywego Samstaga.

Adam podnosi pistolet do góry.

Feldman potrząsa tylko głową.

— A Biebow...?

Głównie łązi pijany w sztok po getcie. Uprawia wyrafinowany sport. Strzela do celu w ludzi. Z gołą głową, z zakasnymi rękawami, z butelką w jednej ręce i służbową bronią w drugiej. Mówi się: „Biebow idzie”. Trzeba się chować, skoro tylko wyjdzie zza rogu. Ze starych dygnitarzy getta pozostał tylko Jakubowicz. Był odpowiedzialny za to, co zostało z Centrali Krawieckiej, zdegradowany teraz do zwykłego kierownika, ale nie został w każdym razie deportowany tak jak inne „szyszki”. Ale Centrala teraz też już jest zamknięta i rozebrana — maszyny miały jechać do

Königs Wusterhausen; cały ubiegły tydzień poświęcili na tę przeprowadzkę — i Biebow stracił ostatniego zausznika, jedyne go Żyda w getcie, z którym prawdopodobnie czuł, że może całkiem szczerze rozmawiać.

W końcu Feldman podnosi się z miejsca.

— A kiedy przyjdą Ruscy? — mówi Adam.

Pyta z dziecięcą naiwnością. Słowami wielkimi jak plakatowe litery i z wyciągniętą dłonią, jakby oczekiwał, że Feldman włoży w nią odpowiedź.

Lecz Feldman wzrusza tylko ramionami w swoim wielkim kozuchu. Jakby to pytanie było zadawane tak często i od tak dawna, że już przestało mieć znaczenie. — Może się rozmyślili, kiedy już tu przyszli. Może najpierw wezmą Bałkany. Bułgaria już wypowiedziała Niemcom wojnę. Alianci zajęli Belgię i Holandię, w marszu na Paryż. Teraz to tylko kwestia czasu. Ale ten czas, ten czas: co on przyniesie?

— Ja tu zdążę zamarznąć na śmierć, nim oni przyjdą — mówi Adam.

Nie umie tego wyrazić inaczej.

— Nie zamarzniesz, Adam — mówi Feldman. — Tacy jak ty nie zamarzają.

Potem wstaje i rusza dalej, w dół, do swojej starej badyłarni, żeby przynieść szpadle.

Leży sam jeden na posłaniu z kawałków desek w piwnicy Zielonego Domu.

Myśli o czasach, gdy pracował na stacji towarowej. O wszystkim, co się ładowało i rozładowywało. Najpierw zwieźli tu ludzi, potem ich wywieźli. Przywieźli maszyny, potem je wywieźli. Myśli o długich składach towarowych z częściami maszyn, które przyjeżdżały nocą; jak przenosili skrzynie w sztywnym świetle reflektorów: znosili je na własnych plecach do czekających ciężarówek. Najcięższe części wymagały specjalnych „koszy”, które dźwig przerosił na samochody.

A teraz wszystko to znów wywożono z getta.

Ilu ich mogło jeszcze tam być, na Jakuba, w komandzie do sprzątania getta? Feldman przypuszczał, że nie więcej jak pięćset osób; kobiety osobno, mężczyźni osobno.

Starczyło pięćset osób, żeby wymazać pamięć miasta, w którym mieszkało nawet paręset tysięcy?

Myśli o głowie Jankiela leżącej jak brudne jabłko na żwirze, w żwirze i miale węglowym, który utkwiał w rozmazanej krwi. Lida usiadła w kucki tuż przy leżącym ciele; jej długie, chude ramiona zwisają martwo między kolanami.

Wpatruje się uparcie w swego brata.

Za nią nadchodzą wszyscy inni — Gelibter i Roszek, i Szajnwald kuternoga — plecy, ramiona, które widział tyle razy, jak podsadzają się pod ciężkie skrzynie, drobnymi, precyzyjnymi ruchami. Rozpoznałby te plecy we śnie, gdyby je znów zobaczył, jedno za drugimi, schylone czy zgarbione, czy dumnie wygięte, jak plecy Jankiela, kiedy się prostował, z wypiętym brzuchem, jakby bez przerwy ochoczo prezentował, co mu tam z przodu wisi. I zawsze uśmiechnięty. To dlatego Schalz musiał raz po raz podchodzić i bić. Żeby mu zgasić ten bezczelny piegowaty uśmiech.

„Dokąd ich teraz zabierają? I czemu nie jest razem nimi?”

Leżąc w mroku piwnicy, myśli, że musi istnieć jakiś punkt graniczny, jak ten, gdy się kładzie ciężarki na szalę, aż ta w końcu przeważa.

Kiedy zesłanych i umarłych jest więcej niż żywych, wtedy umarli zaczynają mówić zamiast żywych. Po prostu zbyt mało pozostało żywych, żeby zdołali unieść całą rzeczywistość.

Teraz już rozumie. To stamtąd dochodzą te głosy.

Kiedy jest ciemno i zimno i wilgoć zamazuje wszelkie granice, punkt równowagi się przesuwa i to niebo na górze nie jest już więcej jego niebem, lecz i c h niebem. Niebem, pod którym o n i idą, maszerując z więzienia na Czarnieckiego przez całą drogę na Marysin, po trzy lub pięć osób w szeregu, z funkcjonariuszem Służby Porządkowej obok kolumny, z lewej; i dzieci z Zielonego Domu, które stoją i patrzą zza płotu ochronki, ich zapomniane ręce zwisające z prętów klatki.

W t e d y z kolumny marszowej nie dobiegał żaden dźwięk. Teraz nagle Adam słyszy, jak wszyscy mężczyźni śpiewają. Wszystkie plecy śpiewają. Bezgłośnie i potężną, huczącą pieśń ziemi, narastającą i poszerzającą się w nim samym. Bo także w nim jest ta pieśń. Cały świat grzmi i drży od niej. Adam zatyka sobie uszy ramionami, żeby się od niej odciąć, lecz to nie pomaga. Gdy śpiewają umarli, pieśń nie zna żadnych więzów ani kajdan i nie da się jej niczym ukryć ani stłumić.

Kiedy się w końcu budzi, po jego krzyku zostało tylko echo. Ale to echo niesie się daleko: hen daleko i poza niego samego, tak jakby sam, mimochcąc, nakreślił kontury wszystkich tych

nieobecnych i umarłych w promieniu wielu tysięcy kilometrów.

Co więc zostanie z niego? Samotnego i niespełnionego pośród tych jeszcze żywych?

Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek w życiu płakał. Ani razu. Nawet wtedy, kiedy zabrali mu Lidę. Teraz płakał, najbardziej może dlatego, że już nie było po kim płakać.

Idzie zima. Odroczyć już tego się nie da.

Rok jest jak stare młyńskie koło z ciężkimi łopatkami, wciąż się toczy. Czasami szybko, czasem wolniej. Lecz nigdy się nie zatrzymuje.

Pewnego ranka po opadającym lekko zboczu pod Zielonym Domem hula śnieg. To pierwszy śnieg tego roku. Wiatr rozwleka go w cienkich białych woalach lub skręca z niego energiczne śnieżne miotły, którymi zdaje się zamiatać zieleniejące jeszcze pola.

Adam wie, że zostało mało czasu, jeśli ma znaleźć pożywienie i opał, który mógłby starczyć na całą zimę.

Feldman zjawił się jeszcze parę razy.

Już i tak słaba dyscyplina w kolektywie na Jakuba jeszcze się jakby dodatkowo rozluźniła. Komando do sprząwania getta coraz rzadziej wychodzi do pracy. Niemieckie kierownictwo głównie pije i gra w karty. Coraz trudniej jest zdobyć jedzenie, a większej ilości węgla albo drewna Feldman nie może z sobą zabrać, nie zwracając na siebie uwagi.

Adam przeszperał już dokładnie dawną szopę na narzędzia i znalazł dwa puste worki po drewnie opałowym. Ani kawałka deski, ale na samym dole jest trochę mokrych strużyn. Musiały to być odpady z jakiegoś tartaku; może jakiś dawny dar Feldmana. Wpycha sobie dwa puste worki za pazuchę i wychodzi na śnieżną kurzawę.

Gdzieś w głębi duszy liczył na to, że ta śnieżycyca szybko przejdzie. Wskazywał na to wiatr. Szybki i porywisty, ostry i bezlitosny dla twarzy i dłoni.

Jednak wiatr ustaje, ale śnieg nie przestaje przez to padać. Przeciwnie, cały czas gęstnieje. Zapada całkowita cisza. Adam wędruje salą kolumnową z gęsto sypiącego śniegu.

Przebiega mu przez myśl, że śnieg może go zdradzić, ale już zaszedł Marysińską za daleko, żeby się opłacało wracać.

Nie może wracać z pustymi rękami. Znaczyłoby to, że tylko zmarnował energię.

Myśli o dawnych zimach w getcie. Gdy spadał pierwszy śnieg, natychmiast robił się brudny i brzydki. Od starego popiołu, fekaliów i śmieci. No i te długie szlaki w nieuprzątanym śniegu wydeptywane tysiącami nóg: jak wąskie czarne korytarze.

Tu, za zasłoną śnieżnych kurtyn, jest teraz prawie nierealnie biało i cicho, i spokojnie. Żadnych śladów.

Idzie, ale tak jakby wcale nie szedł. Idzie tak, jakby był niesiony, czy raczej wznoszony, przez gęstniejące roje wolno sypiącego śniegu.

Centralny plac węglowy leży przy Spacerowej, prawie na rogu Łagiewnickiej, z dwieście metrów od Bałuckiego Rynku.

Tak blisko serca getta jeszcze nigdy nie ważył się podejść.

Plac węglowy należał zawsze do najpilniej strzeżonych miejsc w getcie. Przed wejściem dzień i noc czuwała żydowska Służba Porządkowa. Także wzdłuż wysokiego parkanu, który otaczał plac; podobnie z tyłu, na wypadek, gdyby ktoś próbował zakraść się tamtędy. Wysoki parkan ciągle grodzi plac, ale brama jest otwarta i nie widać żadnych wart.

Kiedy przechodzi przez ulicę, zostawia w śniegu głębokie ślady. Zastanawia się, czy nie powinien ich za sobą zatrzeć, ale przypuszczalnie tylko pogorszyłby sprawę. Śnieg jest teraz mokry, Adam widzi, jak ślady butów podbiegają zaraz wodą. To tylko kwestia czasu, nim ten padający śnieg zmieni się w deszcz, a wtedy to i tak nie będzie miało znaczenia.

Zapuszcza się dalej, w głąb placu. Kiedy ogłaszano nowe przydziały opału, tysiące ludzi stały tu w kolejce po odbiór swoich pięcio- albo dziesięciokilowych przydziałów brykietów. Pamięta, że te długie węzowe kolejki zaczynały się już wewnątrz, koło wąskiego magazynu, baraku niemal identycznego jak ten, w którym mieściła się administracja getta na Bałuckim Rynku, a potem się ciągnęły hen daleko na Łagiewnickiej. Szczególnym sportem były próby przechytrzenia kolejki, opowieści o jakiejś urojonej ciotce czy stryjence, która rzekomo miała „zaklepane” miejsce na samym przedzie, tuż przy ladzie. Przy każdej takiej próbie wdarcia się do kolejki, z tyłu podnosił się raban. Ludzie wrzeszczeli, protestując, po czym nadbiegał dyżurny policjant, który zaczynał łoić pałką wszystkich wyglądających na to, że za plecami ukrywają jakiegoś intruza.

Teraz nikt tu nie stoi. Dziedziniec leży otwarty i pusty pod padającym z nieba śniegiem.

Właściwie nie ma większej nadziei, że coś znajdzie. Gdyby tu jeszcze, po odejściu z getta ostatniej kolumny marszowej, znajdował się jakiś węgiel, to na pewno już dawno został zabrany.

Poza tym drzwi do magazynu stoją półotwarte i nie da się ich zamknąć, gdyż (widzi to teraz) cylinder zamka i klamka są wymontowane. Wkracza w półmrok, jego niepewne kroki odbijają się suchym, zmarzniętym echem od sufitu i nagich ścian. Ledwie się może rozeznac w ciemności. Niska ława na przedzie, a za nią: drzwi prowadzące przypuszczalnie do samego składu. Te także nie zamknięte na klucz, ale za nimi jest niestety jeszcze ciemniej. Ledwie rozróżnia przed sobą własną rękę, stawia na oślep parę kroków, zderza się z jakąś ścianą, potem wyczuwa nagle pod stopami próżnię schodów. Na dole schodów znowu jednak jakieś drzwi, które da się uchylić.

Znajduje się pod gołym niebem, na zamkniętym dziedzińcu, jakieś dwadzieścia metrów na dwadzieścia, pokrytym grubą warstwą nietkniętego śniegu, kończącym się wysokim murem. To tutaj musieli składować brykiety. Pod samym murem dzielącym dziedziniec od czynszówki po drugiej stronie stoi nieduża szopa, jakaś komórka na narzędzia. Zbliża się do niej i, w zasadzie machinalnie, pociąga za drzwi.

Wewnątrz nie ma narzędzi — jeżeli tego się spodziewał — ale pod ścianą stoją ułożone odpady drzewne. Dwa porządne stosy, ponad metrowej wysokości, do tego w paczkach powiązanych sznurem, jakby czekały tylko, aż ktoś taki jak on pojawi się i je zabierze. Zwykle kawałki desek, różnej długości, przypuszczalnie z jakiejś budowy; większość z nich połamana w poprzek. Lecz on natychmiast zaczął kalkulować. Dwie albo trzy wiązki mógłby poupychać do każdego ze swoich dwóch worków; kolejne dwie albo trzy mógłby ponieść pod pachą. W najgorszym razie, jak będzie za ciężko, jedną czy drugą wiązkę desek może schować po drodze, a potem jeszcze po nie wrócić.

Nie waha się, tylko otwiera worek i zaczyna go ładować. Akurat zaczął napełniać drugi worek, gdy słyszy z tyłu jakiś dźwięk.

Subtelny, nikły, szurający odgłos. Nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie ta kompletna cisza wśród lecącego z nieba śniegu.

Kroki po zimnej kamiennej posadzce; ten sam dźwięk, który się wzmocnił wokół niego, kiedy on sam wszedł do budynku magazynu.

Ktoś za nim idzie, przypuszczalnie zobaczył jego ślady w śniegu.

Adam wpycha ostatnią kupkę desek do drugiego worka, potem wlecze za sobą oba worki z powrotem przez pokryty śniegiem dziedziniec i po drugiej stronie przywiera plecami do ściany.

W budynku jest niemiecki żołnierz. To słycać po twardych, skrzypiących, choć trochę niepewnych stąpanięciach wojskowych butów. Po metalicznym, szczękliwym odgłosie zdejmowanego z ramienia karabinu, który potem, zsuwając się w dół, ociera się powoli o mundurowe guziki i okucia.

Po chwili słycaży także długi, niepewny oddech żołnierza. Teraz Niemiec też dostrzegł to, co Adam widzi już od dłuższej chwili: plątaninę krzyżujących się na dziedzińcu śladów stóp, a na tym ślady dwóch wleczonych worków. Żołnierz wychodzi parę kroków na dziedzińiec; tak jakby musiał podejść bliżej, żeby w ogóle zrozumieć, co widzi. W tej samej chwili Adam robi dwa kroki naprzód z wyciągniętym oburącz pistoletem.

Młody żołnierz odwraca się ku niemu, twarz naga i wytrzeszczona. Żyd z pistoletem.

To jest tak niepojęte, że nawet nie wie, jak powinien zareagować.

Adam robi szybko jeszcze krok do przodu, wciska mu lufę pistoletu prosto w twarz, a jednocześnie pokazuje mu, że ma rzucić karabin.

Mężczyzna słyca go nie wiedzieć czemu.

Adam chwyta jedną ręką pasek od karabinu, udaje mu się oprzeć kolbę o kolano i wycelować długą lufę. Zanim mężczyzna zdążył pojąć, co się dzieje, Adam zaczepił palcem spustu i pociągnął.

Strzał musiał trafić w samą krawędź szyi, bo ciało, jak szarpnięte, robi półobrót, podczas gdy z boku głowy tryska mu pióropusz krwi. Niemiec pada na wznak w śniegu, z rękami rozłożonymi, jakby chciał kogoś wziąć w objęcia. Adam znów doskakuje i przyciska wylot lufy do jego głowy, ale to już niepotrzebne. Krew płynie z rany na szyi wartką strugą jak z otwartego kranu. Niemiec się rusza, otwiera tylko usta, raz po raz, jak ryba, jakby szukał słów. Ale żadne słowo nie pada, albo go nie słycać, bo echo wystrzału wciąż dźwięczy echem i rozbrzmiewa wokół nich, i Adam wie, że w ciszy panującej teraz ten wystrzał musiał być słycaalny w całym getcie.

Zarzuca sobie karabin na ramię i wlecz oba worki z drewnem z dziedzińca do budynku magazynu, a potem znowu na plac przed budynkiem. A później samą Łagiewnicką, której środkiem idzie teraz z workami, jak otwarty cel. Każdy, kto go zobaczy, może w niego wymierzyć i strzelić.

Ale nikt go nie widzi — nikt nie strzela.

Śnieg przeszedł w deszcz, a w deszczu z wolna gęstnieje lekka mgła, która zabarwia się od rosnącego dookoła zmierzchu. Ostatnią rzeczą, jaką widzi, nim skręci w bok, z Łagiewnickiej, jest ten duży gettowy zegar, który zawsze tu stał. C z a s g e t t o w y: całkiem osobny czas, różniący się od wszystkich innych czasów świata. Teraz wskazówki na bladym cyferblacie pokazują 4.40.

Za dwadzieścia piąta. Śnieg zmienia się w deszcz. Żyd właśnie zabił Niemca.

Jeszcze parę kwartałów dalej:

Poszedł w górę Młynarskiej; trzyma się prawej strony, osłoniętej drzewami. W tym momencie dociera do niego, że powrót do Zielonego Domu to najgłupsze, co teraz może zrobić. Bo oczywiście właśnie tam Niemcy będą najpierw szukać. A jak poza tym zaczną przesłuchiwać ludzi z komanda do sprzątania getta, to łatwo mogą wydusić z Feldmana coś o Zielonym Domu i o badylarni.

Po drugiej stronie ulicy: długi rząd tanich czynszówek. Ze śniegu został teraz tylko drobny

deszcz. Najdalej za godzinę jego ślady zostaną całkiem wymazane. Wchodzi do jednej z mrocznych bram, wlokąc za sobą oba worki z drewnem. Wchodzi po schodach, jak najwyżej. Pierwsze, drugie piętro.

Drzwi jakiegoś mieszkania: otwiera je pchnięciem ramienia.

Dwa pokoje, odklejona tapeta zwisająca z poplamionych grzybem ścian; okno od ulicy: czarny od sadzy piec.

Wypuszcza z rąk worki. Siada na krzywej ramie łóżka. Chwyta go nagły ból w pachwinach. Czuje, że nie ma w płucach miejsca na te oddechy, które usiłuje w siebie wtłoczyć.

Kładzie się na plecach, na lodowatym łóżku, próbuje wymusić na sobie spokojniejszy oddech.

W poprzek sufitu pogmatwana siatka pęknięć tynku, który odpada zwilgotniały.

Więc w końcu ma drewno — dwa pełne worki. Mógłby nim nawet opalać, gdyby miał czym rozpalić ogień i gdyby nie to, że wtedy by natychmiast go odkryli.

Podobnie jak jego pistolet, nie wspominając już o karabinie, teraz także drewno jest całkiem bezużyteczne.

Zostaje w izbie na Młynarskiej przez trzy doby. W tym czasie deszcz zdążył parokrotnie zamienić się w śnieg i trzeciego dnia rano temperatura gwałtownie spada. Adam budzi się z zimna dużo wcześniej, zanim robi się jasno. Chłód przylega do ciała pod starym kożuchem Feldmana jak pierścień z zimnego metalu. Wewnątrz tego żelaznego pierścienia ledwie jest w stanie się ruszyć. Nie czuje skóry na twarzy, kiedy jej dotyka. Nie ma też czucia w palcach rąk i nóg. Przeżył już kiedyś tęgi mróz — ale takiego jeszcze nigdy. Kiedy z mozołem udaje mu się podciągnąć do pozycji półsiedzącej, widzi, że wilgoć pokryła okno od wewnątrz zastygłym wzorem w kratkę z lodu. Zewsząd buchają kłęby pary. Nie tylko z ust, kiedy oddycha, lecz także z podłogi i ścian. Niechętnie opuszcza łóżko, żeby poszukać czegoś do zjedzenia. W jednym z mieszkań śnieg nawiany przez okno zdążył zbudować półmetrowy wał pomiędzy łóżkiem w kącie a czarnym od sadzy piecem. Okno trzaska i huśta się na zardzewiałych zawiasach, całe powietrze wypełnione tym bezsensownym rozciąganiem, zawrosceniem i zgrzytaniem — dźwiękami bez ludzkiego sensu.

Wie z absolutną pewnością, że jeśli tu zostanie jeszcze minutę, to umrze. A już przeszukał wszystkie mieszkania w tym domu i nie znalazł nic do jedzenia. Wie, że musi pomyśleć rozsądnie:

W Zielonym Domu schował te ostatki, których udało mu się do tej pory nie zjeść. Suche resztki chleba; trochę mąki żytniej i kukurydzianej, którą wyskrobał z dna jakichś starych słoików; parę zmarzniętych buraków i rzep, wygrzebanych z ziemi na porzuconych działkach.

Jabłka: padałki, zgniłe tam, gdzie leżały, od spodu, ale od góry jeszcze całkiem jadalne.

Ten prowiant starczyłby na co najmniej jeszcze parę tygodni. Ale jeśli mróz nie zelżeje, musi zacząć opalać. Czy wtedy ma jakieś znaczenie, czy rozpali ogień tutaj, czy w piecu w Zielonym Domu? Jeżeli Niemcy są w pobliżu, wyczują zapach dymu niezależnie od tego, gdzie będzie. A więc lepiej wrócić do Zielonego Domu. Poza tym tam ma większe możliwości ucieczki i ukrycia się, gdyby się znowu pojawili.

I czemuż to, ściśle rzecz biorąc, sądzi, że poszukują właśnie jego? Albo że w ogóle mają czas na szukanie? Albo powód? Może słyszeli wystrzał, ale nie umieli określić, skąd dobiegł. Może trup wciąż tam leży — niewidziany — w zamrzniętej wodzie ściekowej na ciasnym wewnętrznym dziedzińcu w magazynie węgla i brykietów.

To niezbyt prawdopodobne. Lecz musi przyznać, że całkiem możliwe.

Dlatego, kiedy zapadł zmierzch, pakuje swoje nieliczne manatki, zarzuca na ramię karabin niemieckiego żołnierza, chwytając za te dwa worki z kawałkami desek i wywleka je z sobą na zewnątrz.

Mróz nie zelżał. Adam idzie po trzaskającym wolno lodzie. Wiatr mu przyciska do czoła i policzków palącą, lodowatą maskę.

Po chwili palce, którymi ściska worki, są całkiem zgrabiałe.

Jest taki osłabiony z głodu, że ledwie trzyma się na nogach. Wola mu każe iść do przodu, ale ta wola nie ma w czym znaleźć oparcia.

Nie może także nigdzie przysiąść.

Myśli o tym, co opowiadał mu ojciec, że pewnego razu w getcie było tak zimno, że nawet ślina zamarzała ludziom w ustach. A więc znaleźliby go tutaj, tak samo jak on znalazł Samstaga? Zmarłego w drodze do domu, ze swymi żalonymi workami z opałem. Do tego jeszcze

kradzionym.

Więc mimo wszystko idzie dalej. Nocne niebo niesie jak hełm nasunięty głęboko na czoło. Poniżej jego spojrzenie otwiera przed nim tylko wąski tunel. Tym tunelem przemieszcza się, nie przystając, nie oglądając się, by sprawdzić, czy tam w mroku, pod hełmem nieba, nie ma nikogo, kto może go widzieć i podążać jego śladem.

Mija warsztat Praszkiara, skręca w Okopową, a potem znowu jest na rogu Zagajnikowej. Wzdłuż skraju drogi i za płotami ogródków leżą wałki śniegu, który zdążył stopnieć i znowu zamarznąć. Ale śnieg jest nienaruszony. Nigdzie żadnych śladów po butach, jak mu się wydaje. O ile w ogóle jeszcze jest w stanie cokolwiek zobaczyć. Wzrok ma zmętniały, dwoi mu się w oczach, kiedy próbuje się na czymś skoncentrować.

Jest teraz tak słaby, że musi opierać się o wszystko, na co trafi.

Bramka do ogrodu, ściana domu; potem drzwi prowadzące do sieni, a z tej (Bogu dzięki!) mrocznej sieni na dół, do dającej schronienie piwnicy.

Zebrał już wszystko, co potrzebne. Na przykład papier smołowany do wyłożenia dna pieca, żeby drewno nie zawilgotniało. Wtyka parę dębowych gałęzi, jeszcze z liśćmi, i z zebranych kawałków desek buduje małą wieżę. Ogień zajmuje ją prawie natychmiast, Adam podsyca go przeciągiem, a następnie dokładnie przymyka drzwiczki, żeby ciepło rozchodziło się po pokoju, a nie tylko uciekało kominem.

Dym z jego ognia da się pewnie wyczuć na parę kilometrów stąd.

Lecz on się nie przejmuje. Ogień w piecu buzuje i sse spokojnie i potężnie, Adam zaczyna wręcz pocić się w wielkim kozuchu Feldmana. Pot leje się wielkimi taflami z jego ciała, poci się nawet zmarznięta na kość skóra jego twarzy. Krople spływają wokół uszu, warg i oczu.

I w owej tyleż niespodziewanej co uwodzicielskiej błogości, jaką stworzył wokół siebie, Adam czuje się niemal jak diabeł w swojej piekielnej norze czy czeluści. Bezwzględnie nienawistny w swojej nieodpowiedzialności.

Teraz niech przychodzą.

Lecz nikt nie przychodzi.

W końcu płomienie za żeliwną kratą rzedną. Ogień gaśnie, chłód znowu bierze w posiadanie całą izbę, zadziwiająco prędko.

Kiedy tam leży, w półjawie, trzęsący się z zimna, i nasłuchuje obcych dźwięków, zbliża się jeszcze raz do niemieckiego żołnierza, którego zabił.

Śmierci się w życiu już napatrzył, ale pierwszy raz zabił człowieka.

Do tego Niemca. Niektórzy pewnie powiedzieliby, że dobrze, że bydlak sam się o to prosił.

Ale dla niego ten czyn jest wciąż za duży, aby bez reszty ogarnąć go słowem lub myślą.

Najpierw myślał: zabiłem. Dlatego przyjdą tu, żeby go szukać. Nie dadzą za wygraną, póki się nie zemszczą. Obedrą go ze skóry, tak jak zrobili z tym Żydem Pinkasem, czy jak on się tam nazywał, który miał sklep złotniczy na Piotrkowskiej, nim utworzono getto, i gdy nastali Niemcy, próbował ukryć wszystko, co posiadał w różnych schowkach w mieszkaniu i u przyjaciół, i znajomych. Gdy Pinkas nie chciał zdradzić, gdzie poukrywał złoto, pobili go i zdarli z niego całą odzież, a potem obwiązali go pod pachami sznurem, sznur przywiązali do motoru z przyczepą, a potem wlekli nagie ciało Pinkasa w górę i w dół Piotrkowskiej, od Grand Hotelu do placu Wolności, aż całkiem zdarli z niego skórę, a od krwawego ochłapu, w jaki się zamienił, odpadły ręce i nogi. Pozostał z niego sam tułów i głowa.

Tak samo zrobią i z nim. Tak sobie wyobrażał.

Lecz kiedy jednak nie przyszli, opadły go wątpliwości.

Może to, co się stało, jednak się nie stało. Może tylko mu się przyśniło, tak samo jak czasami zdawało mu się albo śniło, że jest przy nim Lida.

Była tam, choć właściwie jej tam nie było.

Poza tym, może żołnierz, którego zabił, nie zginął naprawdę, ponieważ był Niemcem, a Niemcy jak wiadomo są nieśmiertelni. Zobaczył, jak pióropusz krwi, wytryskujący ze zdartej tętnicy na szyi, cofa się i wpływa z powrotem do ciała. Zobaczył, jak żołnierz podnosi się z ziemi, odzyskuje równowagę; ponownie chwyta swój karabin i gniewnie zwraca go przeciwko niemu.

U m r z e ć? Jeżeli ktoś miał tutaj umrzeć to przecież on — Ż y d.

Już na samym początku postanowione było, że to Żyd ma umrzeć, a jak już coś postanowiono, to tak ma ostatecznie być. Za kogo on się zresztą miał? Za pana historii? Chyba nawet Niemiec nie mógłby być taki szalony, żeby uroić sobie, że panuje nad wszystkim, tylko dlatego że pozostał na świecie sam jeden.

Spada nowy śnieg, i teraz leży wewnątrz swego mroku.

A mrok zostaje i pogłębia się też wokół Adama.

Adam jest w sercu tej zimy, otulony w nią, jak kamień w brzuchu wielkiego, śpiącego zwierzęcia.

Mróz trzyma; ale śnieg także ociepla, o dziwo.

W Zielonym Domu już nie jest tak zimno i mokro.

Zrywa podłogę w holu i piłuje deski z podłogi na opał. Używa starej, zardzewiałej żelaznej kraty, którą znalazł, by równomierniej rozprowadzać popiół w palenisku i tym sposobem dłużej zatrzymywać ciepło.

Wolno, niezwykle wolno, Zielony Dom zaludnia się na nowo.

Którejś nocy wydaje mu się, że słyszy pianino grające w Różowym Pokoju.

Ale ktoś zdjął powłokę z tej muzyki. Słyszać jedynie suchy mechaniczny stuk, kiedy drewniane młotki uderzają w stalowe struny w wielkim brzuchu instrumentu. W e w n ę t r z n a muzyka. I uderzenia coraz twardsze, coraz gęstsze. W końcu dźwięk staje się ogłuszający: kakofonia zimnych akordów, które rozchodzą się dreszczami po jego własnym ciele.

Uświadamia sobie, że jest chory.

Gorączka spływa przez niego falami: na przemian zimno i gorąco. Jest w jego ciele niebezpieczna senność, której nie wolno mu się poddać, wie to instynktownie. Aby ta senność nie zyskała nad nim przewagi, postanawia krzyczeć. Po prostu krzyczy ile sił w płucach. Wzywa krzykiem Feldmana. Wzywa imię ojca. Wzywa imię Lidy. Gdy nie przychodzi mu do głowy więcej imion, zaczyna wykrzykiwać nazwy miejsc, gdzie bywał, różnych ulic w getcie.

Czy te krzyki naprawdę rozbrzmiewają echem wśród pokoiów, czy jedynie uchodzą z niego jako słabe szepczące wydechy? Nie ufa już więcej swojemu słuchowi. Trudno powiedzieć, czy to, co sam słyszy, jest także tym, co słyszać poza nim.

W końcu zawodzą go także wszystkie głosy, i pokonuje go znużenie.

Pełza w gorączce po podłodze jak osesek.

Także inne dzieci pełzają dookoła na czworakach.

Pokój jest pełen dzieci. Tak jak powinno być.

Także Lida jest dzieckiem. Olbrzymią głową z ciepłymi, mokrymi ustami, z których ścieka nitka śliny. Jest zawinięta, tak jak kiedyś, w brudne prześcieradło z ciasnymi dziurami na ręce i nogi, tak by nie mogła się ubabrać własnym kałem.

A matka codziennie ściągała z niej to prześcieradło, prała i suszyła, i z powrotem zakładała jej przez głowę.

Ale Lida jest teraz czysta. Wlecze za sobą swoje długie ciało, jakby było tylko ciasną, nieporęczną powłoką, kokonem, który poczwarka za moment porzuci.

I uśmiecha się ze swoich mokrych ust. Czystym, otwartym, ufnym uśmiechem.

„Nigdy nie jestem martwa”, mówi.

Od paru dni słyszy odgłosy sporadycznej strzelaniny, nie rozumiejąc, w co się właściwie wsłuchuje. Nie w te masywne dywany dźwiękowe przelatujących alianckich samolotów, nie w gwizd i gwałtowne eksplozje spadających bomb. Nie w huk moździerzy — nawet nie w uporczywy terkot automatów.

Nie, on wsłuchuje się w m e c h a n i c z n ą strzelaninę.

Pospieszne, sporadyczne skrobanie w to, co teraz jest jego zewnętrznym niebem, niebem, które nosi dokoła głowy i ramion jak hełm, za każdym razem gdy się budzi.

Nad niskimi murami i kikutami drzew cmentarza rozpina się niebo szare jak emalia. Trudno mu uwierzyć, że to ten sam pejzaż, ten sam pejzaż, który powraca dzień za dniem, i w pierwszym odruchu chce znów się położyć: stawić czoło głodowi, próbując przynajmniej zasnąć. Dźwięk strzelaniny w końcu powszednieje jak bębnienie deszczu lub odgłos wody spływającej i kapiącej z dachu po nocy z ciężkim śniegiem, który zaczął topnieć.

Dopiero kiedy strzelaninie towarzyszą głosy, wybudza się naprawdę.

Głosy są czasem blisko, a czasem daleko, i znów niełatwo jest rozstrzygnąć, czy dobiegają z zewnątrz czy z wnętrza jego samego.

Dla pewności zarzuca sobie karabin na ramię i wychodzi.

Po takim długim znieruchomieniu niełatwo mu poruszać się swobodnie. Czuje się, jakby ktoś przytwierdził mu do rąk i nóg ciężkie kłody. Głowa mu ciąży, a w każdym razie ciągle chce się schylać.

Ktokolwiek go teraz zobaczy, powie, że jest jedynie własnym cieniem.

I może to prawda. Tak czy owak, przeżył sam siebie.

Przeżył wbrew wszystkiemu.

Oślepiająco białe zimowe światło nad polami, które pokrywa jeszcze śnieg.

Ale nie całkiem: kawałki ciemnej ziemi powoli przepalają się spod spodu. Świat jest biały i czarny, ze śnieżnymi smugami, które biegną przez czarne pola jak odbicia wielkiej białości nieba.

Na tle tej bieli widzi ludzi w ruchu. Idą tą samą drogą, którą kiedyś szły kolumny marszowe na Radogoszcz. Jednak ci, którzy tutaj teraz idą, poruszają się swobodniej; jakby żadne komendy nie były w stanie utrzymać ich w karbach. Czasami któryś z nich przystaje i wykrzykuje coś lub wymachuje rękami nad głową. Nie słyhać, co mówią. Ich głosy zlewają się w akustyczną ścianę, równie ostrą i nieprzystępną jak ściana światła, niebo.

Czy to jemu próbują dawać znaki? Czy to on ma być adresatem tych okrzyków i wymachiwania? Ale jakim cudem mogą go widzieć, skoro on ledwie rozróżnia ich sylwetki? Odległość musi być zbyt duża.

Potem kilka postaci odrywa się od grupy i zaczynają biec ku niemu.

To trzy osoby. Pierwszy biegnie Józef Feldman. Rozpoznaje wyraźnie te szybkie, sprężynujące kroki, jakby wciąż wychylone do przodu. Głowa pod paltem jest całkiem czerwona — zarazem podekscytowana i wylękła — jakby mu z trudem przychodziło posklejanie różnych części siebie w jedną, wewnętrźnie spójną twarz.

Feldman coś krzyczy, a z tego krzyku dobywają się osobne słowa.

Składa je razem, jakby:

— R u s c y... p r z y s z l i...

Potem, jakby słowa Feldmana zawierały ukrytą sceniczną wskazówkę, w Zagajnikową skręcają pierwsze ruskie tanki. Prawdziwe czołgi, na szerokich gąsienicach, typu KW, zbryzgane błotem aż po lufy, z czerwoną flagą z sierpem i młotem, przywiązaną z tyłu, nad warczącymi, dymiącymi silnikami. Wieże czołgów obsiedli żołnierze, po dwóch albo trzech. Niektórzy z nich śpiewają. Przynajmniej zdaje mu się, jakby słyszał jakąś pieśń, która się wznosi i opada wokół niego.

Wewnątrz tej pieśni i głośnego huku maszyn Feldman próbuje krzyczeć jeszcze coś, ale pieśń jest od niego silniejsza. Adam nie może już wytrzymać, puszcza się biegiem ku Zagajnikowej, skąd nadjeżdża konwój za konwojem; czołgi i transportery wyposażone w radia.

W połowie drogi ku rosyjskim oddziałom pancernym odwraca się i macha ręką.

Feldman także macha. Długimi, szerokimi wymachami ramion. Zdaje się, że mówi: „Chodź tutaj... tutaj...”

Ale Adam nie zwraca na niego uwagi. Musi wchłonąć ten cudowny moment wyzwolenia całym ciałem. Inaczej ta chwila nie będzie realna.

Teraz on także widzi. Na końcu Zagajnikowej płot z drutu kolczastego jest zburzony, budka strażnicza, gdzie niemiecki wachman zawsze stał z automatem na brzuchu, leży przewrócona. Po drugiej stronie tej granicy ciągnie się taki sam pejzaż jak tutaj. To samo płaskie, słoneczne światło, te same brudne tafle topniejącego śniegu. Adam już nie jest w stanie trzymać się na wodzy. Wybiega obok pozrywanych zasieków z drutu prosto na wolne pole i zaczyna tańczyć dokoła z rękami wyciągniętymi — w geście triumfu — w stronę białego bezdennego nieba.

Wtedy pada pierwszy strzał. Zaraz potem następny.

Nie może pojąć, czemu nogi pod nim nagle odmawiają mu posłuszeństwa. Ogarnięty falą paniki uświadamia sobie, że strzelają d o n i e g o.

Skąd padają te strzały? Kto to strzela?

Odwraca się, żeby pomachać znowu, wyjaśnić jakoś, że to nieporozumienie. Są wyzwoleni. On sam nigdy nie był niczym wrogiem.

Ale teraz nad Marysinem rozlega się jeszcze jeden strzał i wciska jego ciało, twarzą do przodu, prosto w błotnistą, słodką czarną ziemię.

Ze wszystkich sił próbuje wydobyć twarz z błota i zwrócić ją ku światłu.

I pod tym kątem niebo się zacina. Teraz już go nie ma.

Osoby

Gettoverwaltung („cywilny” niemiecki Zarząd Getta)

Hans Biebow, Amtsleiter, kierownik niemieckiego Zarządu Getta.

Joseph Hämmerle, szef finansów i gettowego Centralnego Wydziału Zakupów.

Wilhelm Ribbe, odpowiedzialny (z ramienia Zarządu Getta) za wydajność pracy, spieniężanie skonfiskowanych towarów i administrację gettowych fabryk.

Erich Czarnulla, odpowiedzialny (z ramienia Zarządu Getta) za całość produkcji wyrobów metalowych i za dostawy dla Wehrmachtu.

Heinrich Schwind, szef zarządu magazynów przy Bałuckim Rynku i na Radogoszczu, odpowiedzialny za nadzór nad wwozem artykułów żywnościowych.

Inni niemieccy urzędnicy (włącznie z administracją wojskową i policyjną)

Otto Bradfisch, SS-Obersturmbannführer i radca stanu, od 21 stycznia 1942 szef gestapo w Łodzi (Leiter für Stapostelle Litzmannstadt), główny odpowiedzialny za deportacje z getta do Chełmna, które zaczęły się w tym okresie; wcześniej aktywny w SS-Einsatzkommando na Ukrainie. Od 2 lipca 1943 nadburmistrz Litzmannstadtu (po Wernerze Ventzkim).

Günther Fuchs, SS-Hauptsturmführer i komisarz kryminalny, szef referatu „żydowskiego” gestapo w Łodzi (tzw. Referat II B4, później IV B4).

Albert Richter, SS-Sturmscharführer i sekretarz kryminalny, szef ekspozytury gestapo w getcie (Limanowskiego 1) i wiceszef referatu „do spraw żydowskich”.

Alfred Stromberg, SS-Hauptscharführer i nadasyntent kryminalny w Referacie II B4, „do spraw żydowskich”, przy Gestapo-Dienststelle Ghetto Litzmannstadt.

Älteste der Juden in Litzmannstadt (żydowska administracja getta)

Mordechaj Chaim Rumkowski, Przełożony Starszeństwa Żydów, Prezes rządzącej Rady Starszych (Bejrat); wywieziony przedostatnim transportem do Auschwitz, 28 sierpnia 1944, zamordowany tam z całą rodziną, przypuszczalnie natychmiast po przybyciu.

Dora Fuchs (Fuks), osobista sekretarka Rumkowskiego, szefowa tzw. Centralnego Sekretariatu, jedna z najbliższych zaufanych osób Rumkowskiego. Jako tłumaczka odgrywała ważną rolę w kontaktach z władzami niemieckimi. Dora Fuchs przeżyła i po wojnie wyemigrowała do Izraela.

Estera (Etkka) Daum, sekretarka i przełożona telefonistek w kancelarii Rumkowskiego na Bałuckim Rynku. Po wojnie wróciła do Łodzi; w 1973 wyemigrowała do Izraela.

Mieczysław Abramowicz, sekretarz i osobisty asystent Rumkowskiego.

Józef Rumkowski, brat Mordechaja Rumkowskiego, dyrektor administracyjny gettowego Wydziału Zdrowia oraz szef tzw. Najwyższej Izby Kontroli (przemianowanej później na FuKR — Fach- und Kontrollreferat — Referat Kontrolno-Fachowy), powołanej w celu zwalczania korupcji w getcie. Wywieziony z getta ostatnim transportem, w sierpniu 1944, i zamordowany w Auschwitz razem z resztą swojej rodziny.

Rebeka (Regina/Renia) Wołk, szefowa tzw. Sekretariatu Prezydialnego, później (do wiosny 1944) tzw. Sekretariatu na Dworskiej albo Sekretariatu/Biura Wołkówny.

Doktor Wiktor Miller, szef gettowego Wydziału Zdrowia (w 1941 zastąpił na tym stanowisku

doktora Leona Szykiera).

Leon Rozenblat, komendant regularnych sił policyjnych getta, tzw. Służby Porządkowej (do września 1940 nazywanej HIOD, Hilfsordnungsdiens), zepchniętej później na drugi plan przez tzw. Oddział Specjalny (Sonderabteilung); przez dłuższy czas piastował symboliczne stanowisko „zastępcy” Prezesa.

Szlomo (Salomon) Hercberg, szef rady zarządzającej Marysinem (tzw. Vorstand Marysin) jako osobną jednostką administracyjną w getcie; zarazem komendant Centralnego Więzienia oraz VI rewiru Służby Porządkowej (Marysin). Deportowany z getta i zamordowany wraz z całą rodziną w marcu 1942.

Aron (Arek) Jakubowicz, kierownik Centralnego Biura Resortów Pracy; zaufany Hansa Biebowa; po likwidacji getta przewieziony, za sprawą tego ostatniego, do specjalnego obozu pracy koło Sachsenhausen; przeżył wojnę.

Stanisław (Szaja) Jakobson, przewodniczący żydowskiego sądu w getcie; deportowany i zamordowany w Auschwitz w sierpniu 1944.

Dawid Warszawski, kierownik Centrali Krawieckiej; zamordowany w Auschwitz w 1944.

Henryk Neftalin, szef Wydziału Statystycznego z Biurem Meldunkowym (Meldeamt, Statistische Abteilung) i Archiwum; zamordowany w Auschwitz w 1944.

Szmul Rozensztajn, kierownik jedynej drukarni w getcie; szef Referatu Prasowego, a więc „wydziału propagandy” Rumkowskiego. Był także redaktorem tygodnika „Geto-Cajtung” wydawanego w okresie marzec-wrzesień 1941; autor sporządzonego w getcie „Notatnika”.

Doktor Michał Eliasberg, osobisty lekarz Prezesa (był jednym z trzynastu lekarzy, których Rumkowski kazał zwerbować w Warszawie, i którzy przybyli do Łodzi w maju 1941).

Oddział Specjalny Służby Porządkowej (Sonderkommando, od września 1942 Sonderabteilung)

Dawid Gertler, komendant; aresztowany w getcie 12 lipca 1943.

Marek (Mordka) Kligier, mianowany następcą Gertlera w lipcu 1943.

Rodzina Rumkowskiego (i personel jego sztabu)

Mordechaj Chaim Rumkowski, Prezes (Przełożony Starszeństwa Żydów).

Regina (Ruchla) Wajnberger-Rumkowska, żona Rumkowskiego (od grudnia 1941).

Stanisław Rumkowski (ur. 1929, jako Stein), przybrany syn Prezesa (od września 1942).

Józef Rumkowski, brat Prezesa.

Helena (Chaja) Rumkowska („Księżna Helena”), żona Józefa Rumkowskiego, odpowiedzialna za garkuchnie i inne zakłady zbiorowego żywienia, po tym jak je „upaństwowiono” (także te prowadzone przez różne partie, stowarzyszenia i organizacje dobroczynne).

Jakub Tausendgeld, adwokat i zarządca dochodów rodziny Rumkowskich, w tym także Chaima Rumkowskiego.

Doktor Herz Garfinkel, osobisty lekarz „Księżnej Heleny”.

Lew Kuper, stajenny i woźnica.

Dana Koszmar, gospodyni rodziny Rumkowskich.

Rodziny na Gnieźnieńskiej

Ada Herszkowicz, żona dozorczy, gospodyni domu

Adam Rzepin, robotnik imający się dorywczych zajęć

Lida Rzepin, siostra Adama

Szaja Rzepin, ojciec Adama i Lidy

Lajb Rzepin, brat Szai Rzepina; w czasie strajku w 1941 zatrudniony w meblarni na Drukarskiej — potem wtyczka i szpicel pracujący dla Sonderabteilung i kripo.

Hala Wajsberg, bratanica lalkarza Fabiana Zajtmana

Samuel Wajsberg, meblarz

Jakub i Chaim, ich dzieci

Mosze i Róża Pinczewscy

Maria Pinczewska, ich córka

Jakub i Rachela Frydmanowie

Feliks i Dawid, ich dzieci

Personel i dzieci z Zielonego Domu (sierocińca na ul. Okopowej)

Doktor Józef Rubin, dyrektor

Malwina Kempel, opiekunka dziecięca i sekretarka dyrektora Rubina

Róża Smoleńska, opiekunka dziecięca

Doktor Adrian Zysman, lekarz dziecięcy

Chaja Meyer, godpodyni/kucharka

Józef Feldman, dozorca, palacz

(starsze dzieci:)

Debora Żurawska

Kazik Majerowicz („Maur”)

Nataniel Sztuk

Werner Samstag

Mirjam Szygorska (zginęła w lutym 1942)

Estera Lubińska

Natasza Maliniak

Adam Gonik

Stanisław Stein (później Rumkowski)

(młodsze dzieci:)

Bliźniaki Abram i Leon Moserowiczowie

Dawid, Teresa, Zosia, Natan (z Helenówka)

Liba, Chawa i inne

Rodzina Schulzów (z kolektwy na Franciszkańskiej 27)

Arnošt Schulz, lekarz

Irena Schulzowá (Maman), jego żona

Věra Schulzowá, ich córka

Martin i Josef (Josel) Schulzowie, ich synowie

Archiwum (właśc. pododdział Wydziału Statystycznego)

Henryk Neftalin, szef wydziału i członek rządzącej Rady Starszych

Doktor Oskar Singer, doktor Oskar Rosenfeld i Alice de Buton (w tekście niewidoczni, lecz stale obecni autorzy Kroniki Getta).

Aleksander (Aleks) Gliksman, archiwista

Rabbi (właśc. „inżynier”) Icek Einhorn

Pinkas Szwarc, grafik, malarz, scenograf

Mendel Grossman, fotograf

Słuchacze z Brzezińskiej

Werner Hahn, Szmul Krzepicki, Mojsze Bronowicz, „mały” Szem

Brygada pracy na Radogoszczu

Harry („Herry”) Olszer, Verwaltungsleiter (inżynier), kierownik grupy budowlanej na Marysinie

Robotnicy

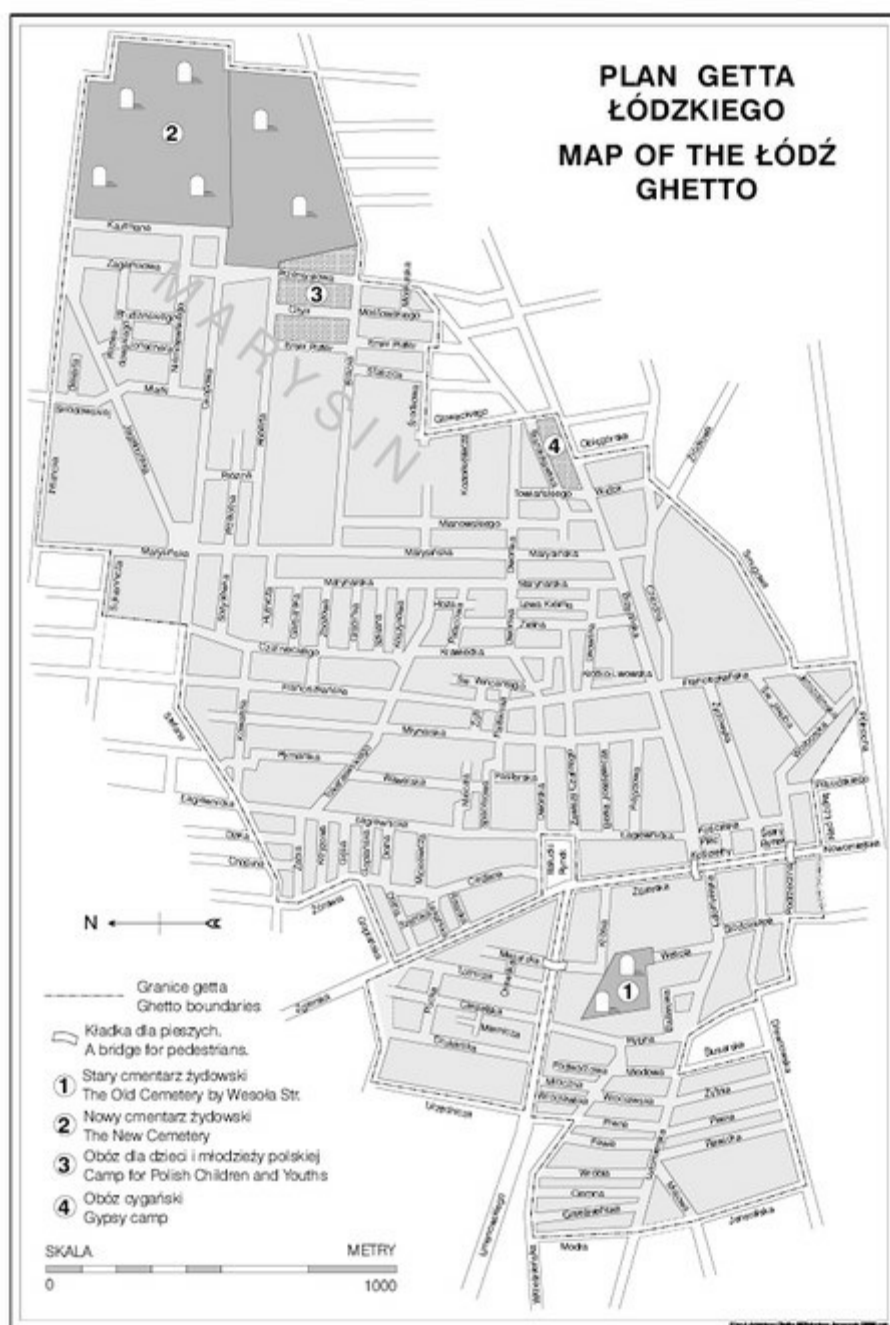
Marek Szajnwald, Jankiel Moskowicz, Gabriel Gelibter, Szymon Roszek, Pinkus Kleiman, Herc Szyfer i inni

Niemiecka służba wartownicza (Schupo i Bahnhofspolizei na Radogoszczu)

Dietrich Sonnenfarb, Oberwachtmeister

Lothar Schalz, Wachtmeister

Markus Henze



**Ważniejsze ulice w getcie
(nazwy polskie i niemieckie)**

Bałucki Rynek — Baluter Ring
Plac Kościelny — Kirchplatz
Radogoszcz — Radegast
Bazarna/Bazarowa — Basargasse
Bracka — Ewaldstrasse
Brzezińska — Sulzfelderstrasse
Ciesielska — Bleicherweg
Czarnieckiego — Schneidergasse
Drewnowska — Holzstrasse
Drukarska — Zimmerstrasse
Dworska — Matrosengasse
Flisacka — Hausierergasse
Franciszkańska — Franzstrasse
Gnieźnieńska — Gnesenerstrasse
Jagiellońska — Bertholdstrasse
Jakuba — Rembrandtgasse
Karola Miarki — Arminstrasse
Marynarska — Kelmstrasse
Marysińska — Siegfriedstrasse
Młynarska — Mühlgasse
Limanowskiego — Alexanderhofstrasse
Lutomierska — Hamburgerstrasse
Łagiewnicka — Hanseatenstrasse
Okopowa — Buchdruckergasse
Pieprzowa — Pfeffergasse
Podrzeczna — Am Bach
Próżna — Leere Gasse
Rybna — Fischgasse
Spacerowa — Reigergasse
Szkłana — Trödlergasse
Urzędnicza — Reiterstrasse
Wesoła — Dellwormstrasse/Lustige Gasse
Zagajnikowa — Bernhardstrasse
Zgierska — Hohensteinerstrasse

Słowniczek

Alejnihilf (jid.) — żydowska organizacja samopomocowa

badchen (jid.); Im *badchonim* — klaun, błazen

Bejrat (jid.) — inna nazwa ustanowionej przez nazistów tzw. Rady Starszych (Ältestenrat), której Prezesem był Rumkowski.

Bund — żydowska partia socjalistyczna; właśc. Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji (sprzeciwiała się zarówno asymilacji Żydów jak i syjonizmowi).

bundowiec — członek lub zwolennik Bundu

cadika (jid.) — w tradycji chasydzkiej święta, „sprawiedliwa” niewiasta obdarzona szczególną mocą

cedaka (jid.) — dobroczynność

cetl (jid.) — lista, kartka

Chanuka — żydowskie zimowe „święto światła”; upamiętnia powstanie Machabeuszy i ponowne otwarcie Świątyni Jerozolimskiej.

cheder (hebr.) — elementarna szkoła religijna

chewra (hebr.) — bractwo, stowarzyszenie, wspólnota

cicit (hebr.) — frędzle umocowane na czterech rogach tałesu

czulent (jid.) — żydowska potrawa, rodzaj duszonego gulaszu z koshernego mięsa, ziemniaków, fasoli i cebuli

dietka (pol.) — specjalne sklepy w getcie wydające rekonwalescentom (na receptę) żywność lepszej jakości

droszke (jid.) — dorożka, fiakier

dybuk (hebr.) — zły duch, demon

dzialke (jid.) — z polskiego: działka

ewed hagermanim (hebr.) — niewolnik Niemców

felszer (jid.) — fałszerz

ganew (jid.); Im *ganowim* — złodziej, hultaj

Gordonia — syjonistyczna organizacja młodzieżowa; ruch oparty na ideach filozofa postępowca Aarona Dawida Gordona (1856-1922).

grober (jid.) — kopacz

hachszara (hebr.); Im *hachszarot* — dosł. „przygotowanie”; obozy młodzieżowe przygotowujące do pracy w kibucach

haftara (hebr.) — „zakończenie”; fragmenty z Ksiąg Proroków odczytywane w szabat, święta i dni postu po czytaniu Tory

Haszomer Hacair (hebr. „Młody Strażnik”) — syjonistyczna marksistowska organizacja młodzieżowa

hejm (jid.) — z niem. *Heim, Erholungsheim*; „dom wypoczynkowy”

hilfer (jid.) — pomocnik, asystent nauczyciela

jeke (jid.) — wschodniożydowskie określenie Niemca; w gettowym slangu określenie zachodnich („niemieckich”) Żydów, przybyłych do getta po wrześniu 1941.

Jom Kipur — Dzień Pojednania

kadisz (hebr.) — modlitwa za zmarłych

kehila (hebr.) — wspólnota, gmina; *kahał* (jid.), żydowska gmina wyznaniowa; także zarząd tej gminy. W Rzeczypospolitej Szlacheckiej Żydzi cieszyli się znaczną autonomią. W XVI–XVIII w. centralny organ autonomii Żydów, Waad Arba Aracot, odpowiednik polskiego sejmku, zrzeszał przedstawicieli wszystkich gmin żydowskich; ten żydowski parlament sprawował władzę administracyjną i legislacyjną nad wszystkimi gminami żydowskimi na terytorium Polski. (Cała idea „rad żydowskich” czy „rad starszych” — niem. *Ältestenrat* — nadużyta i wręcz perwersyjnie wypaczona przez nazistów — ma swoje pierwotne źródło w owym podziale władzy legislacyjnej między narodami polskim i żydowskim w Polsce).

luftmensch (jid.) — człowiek „żyjący z powietrza”, „niebieski ptak”, osoba niepraktyczna, bez stałego zatrudnienia i dochodów

maca (hebr.) — chleb praśny, spożywany podczas święta Pesach, na pamiątkę wymarszu z Egiptu.

melamed (hebr.) — nauczyciel dzieci w chederze

mezuzza (hebr.) — dosł. „odrzwia”; umieszczany na framudze drzwi pojemnik z pergaminem zawierającym dwa fragmenty z Księgi Powtórzonego Prawa.

Micraim (hebr./jid.) — Egipt

Minjan (hebr.) — grupa modlitewna; niezbędne kworum do odmawiania modlitwy

Mittagessen (niem.) — „obiad”; gettowe określenie na zupę, którą wszyscy zatrudnieni w gettowych resortach dostawali za opłatą w miejscu pracy (tzw. zupa resortka).

neszome (jid.), lm *neszomes* — dusza

ochronke (jid.) lm *ochronkes* — ochronka

Ordnungsdienst (niem.) — OD, Służba Porządkowa, żydowska policja w getcie

Passierschein (niem.) — przepustka

pekl (jid.) — toból, pakunek

plejces (jid.) — z polskiego: plecy, protekcja

resort (pol.) — z niem. *Arbeits-Ressort*; fabryka albo większy warsztat w getcie

resortka (pol.) — zupa (obiadowa) serwowana przez kuchnie fabryczne

Rosz ha-Szana — żydowski Nowy Rok

Sonderkommando (niem.), później: *Sonderabteilung* — nazwa oddziału specjalnego żydowskiej policji w getcie, który pomagał gestapo w rekwirowaniu wartościowych przedmiotów w getcie, a następnie w gromadzeniu i eskortowaniu ludzi przeznaczonych do wysiedlenia albo pracy przymusowej; do lipca 1943 dowodził nim Dawid Gertler, a po nim — Marek Kligier.

szejne (jidn) (jid.) — dosłownie: „piękni” Żydzi, zamożna, elegancka klasa wyższa; por. *di balebatim* („szanowani”, mieszczenie, klasa średnia) albo *proste* („zwyczajni”, prości ludzie).

sziszke (jid.) lm *sziszkes* — „szyszka”, dygnitarz, „gruba ryba”

szolehc (jid.) lm *szolehcn* — łupina ziemniaka

szofar — (jid. *szojfer*) — instrument dęty z baraniego rogu, używany do ogłaszania niektórych świąt religijnych, np. żydowskiego Nowego Roku — Rosz ha-Szana, i przy opuszczaniu synagogi w Jom Kipur; wyrażenie *Iwan blozt szojfer* („Iwan dmie w szofar”) oznacza, że ktoś inny (pierwotnie Rosjanie, teraz władze niemieckie) kieruje sprawami

żydowskimi.

szofet (hebr./jid.) — sędzia, przywódca ludu

szojte (jid.) — głupek

szokln (jid.) — kiwać się w przód i w tył (przy modlitwie)

szomer (hebr.); Im *szomrim* — strażnik; członkowie świeckiej, marksistowskiej, syjonistycznej organizacji młodzieżowej *Haszomer Hacair*.

szpere (jid.; z niem.: *Gehsperre*) — szpera, zakaz wychodzenia z domu; *grojse szpere*: Wielka Szpera — gettowe określenie na przeprowadzoną w getcie przez SS brutalną akcję eksterminacyjno-wysiedleńczą w dniach 5–12 września 1942.

szpicn (jid.) — prominenci

sztetl (jid.) — małe żydowskie miasteczko

sztrejml (jid.) — chasydzka futrzana czapka

talmid (hebr.) — student

Talmud Tora (hebr.) — żydowska (religijna) szkoła podstawowa subsydiowana przez gminę, odpowiednik chederu dla uboższych dzieci; nauczyciel *Talmud Tory*, *mełamed*, mieszkał często z rodziną w lokalu, gdzie odbywało się nauczanie.

tales (z hebr. *talit*) — szal modlitewny

tefilin (hebr.) — filakterie (z gr.); dwa skórzane pudełeczka, na czas modlitwy przywiązywane rzemieniem do czoła i lewego ramienia.

tnoim (hebr.) — kontrakt zaręczynowy; w getcie eufemiczne określenie nakazów wysiedlenia wysyłanych ludziom uznanych za „element niepożądany”.

trejf (jid.) — trefny, niekoszerny, rytualnie nieczysty

Wydzielaczka — w gettowym slangu określenie kobiety rozlewającej ludziom zupę w fabrycznej kantynie lub garkuchni.